

-SŁAWEK- MICHORZEWSKI MILIARDER



SŁAWEK MICHORZEWSKI
MILIARDER



Projekt okładki
Monika Wojnarowska

Wykonanie graficzne
Robert Trojanowski [editor.design]

Korekta
Anna Zalewska

Redaktor
Jarosław Holden Gojtowski

Zdjęcie autora
Marcin Szpak

Opracowanie e-wydania

mobisfera

ISBN EPUB 978-83-66242-11-1

ISBN MOBI 978-83-66242-12-8

© tekst Sławek Michorzewski, 2019

© wydanie Oficyna 4eM, Warszawa 2019

Wydawca:



Oficyna 4eM Chlabicz Sp.J.
03-307 Warszawa, ul. Gersona 39
www.4em.pl

Moim dwóm ojcom:
Kazimierzowi Michorzewskiemu,
Zenonowi Majewiczowi

Rozdział 1

8 grudnia

– Kurwa mać! – Maciej Kupczyk rozpoczął dzień jak zwykle.

Przez przymknięte powieki spojrzął w kierunku zaciemnionych okien. „Na dziś zapowiadali pierwsze opady śniegu, bez szans na słońce, całe niebo będzie zasnuwane szarymi chmurami, szarymi jak moje całe kurewskie życie” – pomyślał, przesunął palcem po wyświetlaczu telefonu, wyłączając budzik nastawiony zawsze na tę samą godzinę – na 6.45. Położył się na wznak, zakrył dłońmi twarz, trzema kopnięciami posłał kołdrę na podłogę. Teraz miał pięć minut dla siebie, pięć minut na wypowiedanie magicznych zaklęć, odpowiednie nastrojenie się przed pracą, pozytywne myślenie, wizualizację pragnień i – jak mówił – „połączenie” z kosmosem.

Osiem lat temu Maciej Kupczyk oderwał się od materiałów przygotowujących go do egzaminów na studia medyczne. Wsiadł do pociągu, później pociągu, aż dotarł do miasta marzeń – Bydgoszczy. Marzenia bywają różne, jednak on, mieszkaniec wsi Bratian, pragnął mieszkać w dużym – jak na polskie standardy – mieście. Blżej miał do Torunia czy Olsztyna, ale uznał, że te miasta są zbyt małe na jego ambicje. A takie metropolie jak Trójmiasto czy Warszawa oneśmielały go, Łódź go brzydziła, a Kraków wprawdzie piękny, lecz był zbyt daleko.

Tylko Bydgoszcz wydawała się w sam raz i spełniała wszystkie kryteria jego misternie uknutego planu.

Maciej zamierzał zostać lekarzem, jednak egzaminy wstępne na studia medyczne okazały się zbyt trudne, żeby nie powiedzieć, że przerosły jego możliwości intelektualne. Z braku lepszych widoków, trochę za namową ciotki – siostry ciotecznej matki, u której zamieszkał na czas studiów – wybrał ekonomię.

Uwierało to go, ale po trzeciej nieudanej próbie otrzymania indeksu Collegium Medicum zdecydował, że pozostanie na

ekonomii, a potem zostanie księgowym.

Studia szczęśliwie ukończył w wieku 25 lat. Edukację powinien zakończyć rok wcześniej, jednak niespodziewana śmierć ojca Tadeusza, który zginął podczas żniw śmiercią tragiczną, wpędziła go w stan apatii i przygnębienia.

Ojciec, ot tak, po prostu, nałapał się piwa i wypadł z kabiny wprost pod tylne koło prowadzonego przez siebie kombajnu. Zwyczajna śmierć, jakich wiele podczas prac polowych w Polsce. Pogrzeb był katolicki, ksiądz nad grobem wspominał go jako prawego chrześcijanina i za wzór do naśladowania. „Będzie nam ciebie, Tadeuszu, brakowało, twój dobry serce i pomocnych dłoni najbardziej. Spoczywaj w pokoju” – powiedział na koniec. Pijaństwo i rozwiązłość obyczajów przemilczał, ale cała wieś znała Tadeusza od tej „niechrześcijańskiej” strony.

„My, bratianie, musimy trzymać się razem! Każdy bratianin powinien śpieszyć innemu bratianinowi z pomocą, gdy ten jej potrzebuje” – powiedział wuj z Warszawy Rajmund Miedzianowski, były mieszkaniec wsi Bratian, który pracował w Departamencie Polityki Zbrojeniowej Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie. Wuj Rajmund był obrotnym mężczyzną, zatem spieniężył większą część całkiem sporego gospodarstwa należącego do państwa Kupczyk, a położonego na skraju wsi Bratian. Było tego około 50 hektarów ziemi. Dziewięć hektarów przyległych do domu i dwie duże stodoły pozostawił matce Macieja – Elżbiecie. Ponadto kupił siostrzeńcowi małe mieszkanie w Bydgoszczy, a jego matce zobowiązał się wypłacać skromną, aczkolwiek dożywotnią emeryturę. Pani Elżbieta wydzierżawiła niesprzedane dziewięć hektarów bogatemu sąsiadowi Henrykowi Kiszonce, który majątku dorobił się na Islandii, jeszcze w latach 90.

Od tego momentu sytuacja materialna matki Macieja stała się wyraźnie lepsza niż za czasów, kiedy razem z mężem Tadeuszem zajmowali się gospodarstwem. A Maciej po kilku wizytach u psychiatry, a wcześniej po zjedzeniu kilkudziesięciu opakowań xanaxu, olanzinu i prozacu, wydobrał psychicznie na tyle, że mógł wrócić na studia. Obronił się rok później, uzyskując tytuł

magistra ekonomii z oceną dostateczną. Na szczęście przy wystawianiu oceny końcowej komisja nie wzięła pod uwagę tego, że spóźnił się pół godziny na obronę. Niska ocena miała związek z dość chaotycznie napisaną pracą oraz częściowym brakiem możliwości zrozumienia mówcy. Maciej na godzinę przed obroną dla ukojenia nerwów zażył bowiem dwie tabletki pernazyny, która to spowodowała, że stojąc na przystanku, przepuścił dwa autobusy linii 52, zanim się zorientował, że to jego autobus.

Później „zgubił” się na uczelni, a dokładnie rzecz ujmując – zamyślił się, czytając karteczki przypięte do tablicy ogłoszeń. Dopiero kiedy szczęśliwym zbiegiem okoliczności został odnaleziony i doprowadzony pod właściwe drzwi przez koleżankę Stasię Wolak, udało mu się stanąć przed szanowną komisją. Prawdopodobnie gdyby nie piekąca potrzeba, dokuczliwe hemoroidy panny Stasi Wolakówny, które szła dyskretnie nakremować do toalety, Maciej nie obroniłby się w wyznaczonym terminie. Na koniec nie było kwiatów, bo Kupczyk, choć szczerze chciał nimi wyrazić wdzięczność i podziękowanie, dopiero po obronie przypomniał sobie, że zostawił je na przystanku. W zamian za to zaskoczona komisja została dosłownie ośliniona po chętnie rozdawanych przez niego pocałunkach dziękczynnych.

Wprawdzie oblewanie jego magisterki nie cieszyło się zbyt dużą frekwencją – impreza trwała trzy dni. Jedynymi gośćmi w jego domu był sąsiad z parteru Julian, dealer leków psychotropowych oraz Boguś ekspedient w sklepie chemicznym, z zamiłowania piroman. Kiedy Maciej się obudził, nikogo u niego już nie było, ze ściany zniknął także telewizor, natomiast zostały na stole kilka opakowań po lekach, woreczki po narkotykach oraz kilka butelek po taniej wódce. Zatem w nagłym przebłysku świadomości zamknął drzwi, wziął tabletkę na sen i clonazepam. Kolejne dwa dni odsypiał psychotropowo-narkotyczno-alkoholowego kaca, by w końcu następnego, szóstego dnia po obronie, pojechać z radosną wiadomością do rodzinnego domu. Były sernik z pomarańczową skórką, tradycyjna kawa z fusami. W szklance.

Nawet kilka sąsiadek przyszło z ciekawości zobaczyć świeżo upieczonego magistra. Żaden z rówieśników, kolega czy koleżanka, z którymi Maciej się wychowywał, nawet nie zadzwonił z gratulacjami. Wieczorem matka zaczęła wspominać ojca, co organizm Macieja odebrał jako bodziec do zażycia dwóch tabletek lerivonu, które wcześniej kupił od sąsiada Juliana Babiucha. I od tego momentu rozmowa się nie kleiła. Następnego dnia spał do godziny 14. Po obiedzie poszedł nad staw na ryby, wieczorem pokłócił się z matką, bo ta kolejny raz zaczęła wspominać ojca. Przerzucił torbę przez ramię, trzasnęła drzwiami i pobiegł na przystanek. Wsiadł do ostatniego odchodzącego tego dnia pekaesu i ruszył w drogę powrotną.

Po drodze patrzył na zniekształcony w szybie krajobraz. Wszystko, co widział za oknem, rozmywało się, uwypuklało lub czasem robiło się wklęsłe. Zamyślił się. Doszedł do wniosku, że jego dotychczasowe życie nie było dobre, cały czas poruszał się w świecie, który nie odpowiadał jego aspiracjom, a przede wszystkim potrzebom finansowym, estetycznym i seksualnym. Brak pieniędzy, permanentny brak, bo w zasadzie to, co miał, wystarczało tylko na jedzenie i tabletki. Klaustrofobiczne mieszkanie urządzone starymi meblami z płyty wiórowej, obrzydliwa klatka schodowa, która nie zaznała remontu przynajmniej od 20 lat, tanie ciuchy kupowane na pobliskim rynku. Jego życie erotyczne to też dno, seksualny margines społeczny, katastrofa. Inicjacja seksualna wykonana na weselu kuzynki ustami pijanej ciotki pana młodego w kantorku z napojami. Później nic, onanizowanie się, sztuczna wagina kupiona w sklepie wysyłkowym – zakończył ten pobieżny, aczkolwiek dość samokrytycznie przeprowadzony remanent życia, po czym wrócił do głębszych przemyśleń. Najwyższy czas było zacząć dorosłe życie na poważnie. Czas skończyć z obżeraniem się tabletkami, bo kiedy przestawały działać, czuł się jak pustelnik, przez co jeszcze bardziej zamykał się w sobie. Doszedł do wniosku, że tabletki – mimo że są pyszne, a ich działanie cudowne – jednak cały czas mu szkodziły. To przez leki „zapuścił” się towarzysko, bo nie potrafił sobie nawet znaleźć

choćby kogoś do seksu, a przecież urody mu nie brakowało. Najwyższy czas było odciąć się od matczynej pępownicy, skończyć wegetowanie za marne grosze, które dostawał albo od matki lub wujka z Warszawy. Czas się ogarnąć, uporządkować sprawy, znaleźć tą jedyną na całe życie, ożenić się.

Dokładnie w momencie, kiedy autobus przejeżdżał przez most na Wiśle, a po przeciwnej stronie rzeki widać było mury fordońskiego więzienia, podjął decyzję, że będzie żył według własnych wytycznych, które uczynią z niego osobę nie tylko w pełni samodzielną, lecz także bogatą. Dlatego wymyślił pięć przykazań, których miał trzymać się przez całe życie. Obiecał to sobie.

1. Nie będę zażywał żadnych polepszaczy samopoczucia oprócz prozacu i lorafenu.
2. Nie będę nadużywał alkoholu. Jako limit ustalę pół litra wódki tygodniowo.
3. W pracy będę sumienny i w miarę możliwości koleżeński.
4. Będę przyjaźnił się tylko z osobami wpływowymi i majątymi.
5. Nie będę kłamał, chyba że kłamstwo będzie mogło wpłynąć korzystnie na zmianę mojej sytuacji zawodowej i finansowej.

Jeszcze tego samego dnia punkt po punkcie spisał owe przykazania drukowanymi literami na dwóch kartkach, przykleił je w dużym pokoju i łazience obok lustra. Od kolejnego poranka zaczął intensywnie szukać pracy. Przez trzy kolejne miesiące wysyłał CV na stanowiska przedstawicieli handlowych, regionalnych kierowników sprzedaży, a także zgodnie ze swoim wykształceniem księgowych. W sumie swoją aplikację wysłał 62 razy. Nikt nie zadzwonił, nikt nie odpowiedział e-mailem, nikt. Dwa razy nerwowym ruchem wysunął szufladę w łazience, gdzie trzymał leki psychotropowe, jednak w momencie, kiedy chciał sięgnąć po tabletki, jego wzrok trafił na kartkę przyklejoną na lustrze: „Stop! Nie rób tego! To ci nie pomoże!”.

Któregoś październikowego, słonecznego popołudnia poszedł kupić wyznaczony cotygodniowy przydział wódki i przy tak zwanej okazji gazetę. Kiedy stanął przy kiosku, na szybcie spostrzegł przyklejone ogłoszenie: „Pracownika na pół etatu zatrudnię. Wiadomość w kiosku”. Nie wiedząc czemu, pochylił się, wsadził głowę do kioskowego okienka, spojrzął w bładniebieskie, jakby pozbawione sensu życia oczy starszej pani, i zapytał:

– Oferta nadal aktualna?

Kobieta podała mu numer do szefowej i już dwa dni później Maciej Kupczyk, magister ekonomii, zasiadł za ladą kiosku wykonanego z waty szklanej i żywicy epoksydowej – zimą zimno, latem pot leje się po całym człowieku. Jednak cieszył się tą pierwszą pracą, wszak każdy musi od czegoś zacząć, a siedzenie w domu doprowadzało go do obłądu. Pierwszy dzień był przyuczany do wykonywanej pracy przez zmienniczkę, kolejnego dnia pracował już samodzielnie. O godz. 6 otworzył kiosk, ponieważ ranki były już bardzo chłodne, włączył piecyk gazowy, i zaczął sprzedawać. Do okienka podchodzili ludzie, bezimienne twarze niecierpliwie czekające na wydanie zamówionego towaru i resztę.

A to bilet „pan się pospieszy, bo 53 już jedzie”, a to papierosy „pan daje, bo jeszcze chcę zająrać, zanim przyjedzie autobus”, a to gazety „tę spod spodu pan da niewygniecioną”. Co klient to freek uszyty na własną modłę, prawie zawsze w pośpiechu. W końcu około godz. 9 przyszedł pierwszy spokojny klient. Siwy mężczyzna, po sześćdziesiątce, którego Maciej często widywał na osiedlu.

Ten gość był charakterystyczny. Chodził ubrany w czerwone, rozciągnięte dresy z odbarwieniami na wysokości kolan. I zawsze zalatywało od niego wódką. Ponadto spacerował z psem począłym prawdopodobnie ze zbliżenia labradorki z niewielkim sznaucerem.

– „Express”, paczkę mocnych i czerwoną zapalniczkę – odezwał się chropowatym, dość nieprzyjemnym głosem.

Maciej zgodnie z instrukcją wydaną przez szefową wyjął gazetę,

położył przed sobą, później wyciągnął z foremki jedną spośród 40 zapalniczek i sprawdził, czy działa. Nie działała. Pstrykał nią co chwilę (tak dla pewności), równocześnie schylił się pod ladę po papierosy. Kiedy podniósł głowę ponad blat, spostrzegł, że gazety rozłożone przed nim płoną. Zapalniczka zadziałała nad podziw skutecznie, bo w ciągu piętnastu sekund zapaliły się też podciągnięte do połowy okna papierowe żaluzje. Kupczyk zerwał się i zaczął innymi gazetami gasić pożar. Chwilę później płonął już cały kiosk. Wskoczył z niego na chwilę przed tym, jak zaczęły wybuchać dezodoranty i gaz do zapalniczek. Stał obok mężczyzny w wyciągniętych dresach, przestępując z nogi na nogę, i przyglądał się własnemu dziełu zniszczenia.

– Pracowałem 21 lat w milicji i później jeszcze prawie 10 w policji, widziałem wiele głupich zdarzeń i wielu debili. Jednak z takim idiotą jak ty, chłopcze, spotykam się pierwszy raz w życiu – powiedział mężczyzna i postać jeszcze mniej więcej minutę w milczeniu, i odszedł w kierunku sklepu spożywczego.

Później przyjechały policja i straż pożarna. W międzyczasie kiosk stopił się i teraz przypominał kopcący się naleśnik rozlany na chodniku. Policjanci zabrali Kupczyka do radiowozu, a strażacy przystąpili do dogaszania czegoś, co jeszcze niedawno było kioskiem z gazetami.

Kiedy radiowóz odjeżdżał w kierunku komendy, nastąpiła eksplozja butli z gazem, którą zasilany był mały piecyk w kiosku. Maciej, zanim zemdlał, przez szybę auta zdążył zobaczyć lecącego nad samochodami strażaka, który wymachiwał rękoma i nogami, próbując zachować jako taki balans.

Maciej był w szoku, który mimo wysiłków lekarzy nie mijał przez wiele dni. Trafiał zatem na miesięczną obserwację do szpitala dla nerwowo chorych w Świeciu. Przykazanie o ograniczeniu tabletek psychotropowych zostało złamane, pogwałcone wbrew jego woli. W szpitalu już pierwszego dnia poczęstowano go hydiphenem. Dwa dni później na oddziale pojawiła się jego mama, jednak nie wpuszczono jej na salę z uwagi na fakt, że mężczyzna nie chciał z nią rozmawiać i poprosił pielęgniarkę, żeby powiedziała matce, iż nie ma z nim

kontakty. Po trzech tygodniach jego pobytu w szpitalu przyjechał wujek Rajmund Miedzianowski z Warszawy i powiedział: „My, bratianie, musimy trzymać się razem! Każdy bratianin powinien śpieszyć innemu bratianinowi z pomocą, gdy ten jej potrzebuje”. Nie martw się, Macieju, zapłaciłem tej babie za kiosk, coś go spalił. Sprawy w sądzie też nie będzie, wszystko pozałatwiałem jak trzeba, tak po naszymu, po bratiańsku. Każdy dostał, co mu się należało, a ze szpitala wypiszą cię za tydzień. Jak wyjdiesz, to dam ci na wczasy, a potem pójdziesz do pracy tam, gdzie ci powiem. O resztę się martw – zakończył wywód, poklepał siostrzeńca lewą dłonią po twarzy, natarł mu rubasznie uszy i wyszedł.

Tygodniowe wakacje spędzone na Teneryfie, słońce, które mimo jesieni grzeje tak jak w Polsce w czerwcu, uczyniły dużo dobra dla Macieja. Do Polski wrócił pełen wiary w siebie, naładowany pozytywną energią. Z Lotniska Okęcie pojechał wprost do domu wuja, gdzie dowiedział się, że został stażystą w dziale księgowości bydgoskiej firmy o obco brzmiącej nazwie Veltronex. Wuj zapewnił, że po pół roku ma przejść na płatne stanowisko asystenta starszego księgowego. Jak powiedział, tak też się stało. Maciej Kupczyk stawiał się do pracy 8 grudnia, a po pół roku został w firmie zatrudniony na stałe.

– Kurwa mać! – krzyknął Maciej po raz drugi, przekręcając się w łóżku. – Dwa lata... co do dnia! Dokładnie dwa lata przekładania papierów z lewej strony biurka na prawą, wpisywania liczb do tabelki programów księgowych i zero możliwości na rozwój. Do tego ci korporacyjni debile i te głupie pizdy, te zera, którym się wydaje, że pozjadali wszystkie rozumy, że są zabawni, przebojowi i wyjątkowi. Boże jak ja tych karierowiczów nienawidzę!

Kupczyk wystrzelił z łóżka, następnie potruczał cztery metry dzielące go od łazienki, włączył światło i stanął przed lustrem. Spojrzał na swoje odbicie, przystojnego 27-latkę o bladej cerze, jasnych blond włosach i niebieskich oczach. Zaciśnął usta, przekręcił kran z zimną wodą, kilkakrotnie ochlapał twarz. Wyprostował się, jeszcze raz spojrzął w lustro. Woda spływała

mu z grzywki na powieki, rozmazując widok własnego odbicia.

– Ja ich wszystkich jeszcze zadziwię, wszystkim pokażę, na co mnie stać! Rozpierdolę... bandę żalosnych dupków, Bóg mi świadkiem, że jeszcze będą mi jeść z ręki! – krzyczał do lustra.

Rozdział 2

Kupczyk zamknął drzwi od swojego dwupokojowego mieszkania wybudowanego pod koniec lat 60. z płyt prefabrykowanych na bydgoskim osiedlu Błonie. Po wyjściu z klatki skręcił w prawo i z konieczności, z nieukrywaną niechęcią, przeszedł przez targowisko, które niejako przylegało do jego bloku. Następnie dwoma susami przeskoczył przez zamarznąty, wydeptany kawałek ziemi, który onegdaj był trawnikiem, wzdłuż którego stało zaparkowanych kilkadziesiąt aut. Jedno przy drugim, stłoczone niemal jak ludzie w porannym tramwaju. Pokryte szronem auta bardziej przypominały kolejkę wraków przygotowanych do złomowania niż wozy sprawne, gotowe do użycia. Wszystkie zaparkowane w rzędzie pojazdy, łącznie z 30-letnim czerwonym saabem należącym do Kupczyka, nie były warte więcej niż 12–14 tysięcy euro. Maciej z nieskrywaną niechęcią podszedł do swojego samochodu. Brązową teczkę, w której oprócz śniadania, starej gazety motoryzacyjnej oraz wymiętalonego podręcznika podrywania znajdował się futerał z długopisami, położył na tylnym siedzeniu samochodu. Usiadł na przetartym w kilku miejscach fotelu kierowcy, przekręcił stacyjkę. Akumulator z ledwością wprowadził w ruch rozrusznik, który następnie przekręcił korbowód silnika, samochodem delikatnie zabujało. Kiedy silnik „zaskoczył”, z oberwanego wydechu buchnęły kłęby siwego dymu, dokładając swoje trzy grosze do wiszącego od kilku dni nad miastem smogu. Szczęście dziś się do Macieja uśmiechnęło, w nocy temperatura spadła nieznacznie poniżej zera i zapewne dlatego auto odpaliło bez konieczności „pożyczania” prądu kablami od sąsiada. Teraz wyskoczył na zewnątrz, szybkimi ruchami skrobaczki pozbył się cienkiej warstwy szronu pokrywającego szyby, po czym zadowolony z siebie wsiadł z powrotem do auta i ruszył w kierunku firmy.

Po chwili jego uwaga skupiła się na sprawach zawodowych,

można powiedzieć, że rozmyślanie o pracy pochłonęło go całkowicie. „Jeżeli chodzi o wrogów zwyczajnych, to w firmie poza behapowcem najbardziej nie lubię informatyków – pomyślał i z niesmakiem wykrzywił usta. – W zasadzie nikt ich nie lubi. Zajmują całe piętro. Całe piętro napchane mężczyznami o wątpliwej aparycji, którzy prawdopodobnie się nie myją, bo zawsze śmierdzą, którzy witają się i pozdrawiają, machając chudymi rączkami. Na szczęście rzadko kiedy podają na powitanie obrzydliwe zapadnięte dłonie. Traktują je z większym pietyzmem niż pianista czy skrzypek. Możliwe, że się boją, że ktoś im je zmiażdży w uścisku. Jednak kiedy je już podają, te swoje obłeśne, blade, pokryte rzadkimi włosami dłonie, zwieńczone białymi palcami z poobgryzаныmi paznokciami, czuję się zniesmaczony i zde gustowany. Nieraz miałem ochotę ścisnąć je z całej siły, zgnieść to obślizgłe korporacyjne truchło tak, żeby coś w tych dłoniach chrupnęło. Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze. Nie widzę żadnej potrzeby zatrudniania takiej liczby informatyków w naszej firmie, przecież i tak większość rzeczy w komputerach robimy sobie sami. Gdyby to ode mnie zależało, to z uwagi na procedury bezpieczeństwa i profil działalności spółki przetrwałoby trzech, no może czterech. Reszta wyleciałaby na bruk. Natomiast jeżeli chodzi o wrogów nadzwyczajnych, to tu zdecydowanie na czele grupy stoi mój kolega z działu księgowości, starszy księgowy, chuj jebany Michał Pytel”.

Ostrożnie pokonał autem ostry zakręt wiodący wprost na parking znajdujący się z lewej strony nowoczesnego biurowca należącego do spółki Veltronex. Zaparkował saaba dokładnie pod oknem swojego biura znajdującego się na pierwszym piętrze. W pośpiechu zamknął samochód, po czym wbiegł na portiernię, gdzie zgodnie z wewnętrznymi procedurami bezpieczeństwa został wylegitymowany. Pokazał zgarbionemu ochroniarzowi legitymację pracowniczą, odbił kartę w zegarze, przeszedł przez bramkę. Zamaszyście uklonił się przechodzącemu dyrektorowi handlowemu Marczukowi, który nie odwzajemnił uprzejmości, tylko na widok nie lubianego księgowego odwrócił głowę i skrzywił

w korytarz wiodący do swojego biura. Maciej westchnął i biegiem ruszył po schodach na pierwsze piętro. Tuż przed drzwiami do swojego biura przystanął, przeczesał delikatnie włosy, uspokoił oddech, po czym nacisnął klamkę i przestąpił próg biura. Rzucił w eter „dzień dobry”, po czym skierował się do swojego biurka pod oknem.

– Cześć Kupa – odezwała się starsza księgowia Elżbieta.

– Dobry to był, zanim przyszedłeś – powiedział Michał Pytel.

Pozostałe trzy osoby pracujące w księgowości nawet nie oderwały wzroku od komputerów. Dla nich wejście Kupczyka znaczyło tyle co nic, tak jakby do pokoju wszedł duch. Maciej ze zwieszoną głową podszedł do biurka i włączył komputer. Postawił pustą teczkę koło kaloryfera i ciężko usiadł na krześle. Przeszywający ból, podobny do bólu wywoływanego przez użądlenie osy w kilku miejscach naraz, poraził jego pośladki. Najpierw wrzasnął, później poderwał się do góry tak gwałtownie, aż stopy straciły na moment kontakt z podłogą.

W tym samym momencie roześmiali się wszyscy, teraz dwóch jego kolegów i trzy koleżanki zwijali się ze śmiechu, kiedy on tarł się po tyłku, chcąc jak najszybciej pozbyć się uczucia pieczenia. Upokorzony wybiegł z pokoju wprost do łazienki. Pośladki mu płonęły. Szybko odpiął pasek, spuścił spodnie razem z majtkami i wypiął tyłek do lustra. Natychmiast pojawiły się na pośladkach trzy małe krwawe punkty. Teraz był już pewien, że usiadł na wbite w siedzisko szpilki czy może pineski. Jego złość zamieniona w bezsilność odbijała się w lustrze pod postacią wypieków na twarzy i wilgotnych od łez oczu. Odkręcił kran, zaczął delikatnie przemywać pośladki. Zimna woda dosyć szybko zaczęła przynosić ulgę, jednak nic nie mogło poprawić zdeptanego samopoczucia. Kiedy drzwi od łazienki niespodziewanie się otworzyły i zobaczył w nich dyrektora handlowego, tak szybko podciągał spodnie, że potknął się i upadł na kolana.

– Panie Kupczyk, czy panu już całkiem rozum odebrało? Jeżeli już zdecydował się pan na mycie tyłka w zlewie, w pracy, to chociażby pan drzwi zamknął.

– Przepraszam.

– Pan przeprasza, a co ja się naoglądałem, to moje. Niesmak pozostanie... A że pamięć mam fotograficzną, to pewnie na całe życie.

Kiedy Maciej wrócił do działu księgowości, wszyscy siedzieli z nosami „przyklejonymi” do monitorów. Nikt nie dawał niczego po sobie poznać, choć czerwone twarze i łzy w oczach świadczyły, że wszyscy dopiero skończyli się śmiać. Z zaciśniętymi szczękami podszedł do obrotowego krzesła i delikatnie obmacał jego siedzisko. Szpilki czy pineski, na które usiadł parę minut wcześniej, zniknęły. Jeszcze raz dokładnie obejrzał miejsce pracy, szukając ewentualnych niespodzianek, które mogli przygotować mu pod jego nieobecność koledzy. Włączył komputer i przez chwilę patrzył przez okno. Z zasnutego chmurami nieba sypały się drobne płatki śniegu, które powoli zmieniały krajobraz, przykrywając wszystko cieniutką warstwą bieli. Kolejny dzień w pracy, kolejne upokorzenie, tym razem gorsze niż wszystkie pozostałe, których doświadczał niemal codziennie. Komputer w międzyczasie włączył się, a na ekranie pojawiła się tapeta z roznegliżowanym mężczyzną, który całował się z innym mężczyzną. Kolejny kawał. Maciej kliknął prawym przyciskiem myszy, aby przywrócić poprzednią tapetę, kiedy usłyszał nad sobą głos dyrektora handlowego Marczuka.

– Czy moje oczy dobrze przekazują obraz z pańskiego monitora czy może to wszystko mi się śni?!

– To nie jest tak, jak pan myśli, panie dyrektorze. Ktoś zrobił mi głupi dowcip...

– Skąd pan, panie Kupczyk, wie, co ja myślę?

– Zapewniam, że to dowcip... głupi dowcip.

– Czy to, co widziałem chwilę temu w łazience, również można nazwać dowcipem?

Po tym nastąpiła kilkunastosekundowa pauza, podczas której Maciej pięcioma kliknięciami myszki przywrócił firmową tapetę Veltronexu.

– Dzisiaj nie będę miał już czasu, ale proszę przyjść do mnie jutro... powiedzmy o godz. 14. I nie będą to pogaduszki, tylko

rozmowa dyscyplinująca. Być może poinformuję o całej sprawie dyrektora finansowego i poproszę dział HR o przygotowanie nagany z wpisem do akt dla pana – dyrektor obrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Przepraszam, to moja wina – odezwał się Michał Pytel.
– Myślałem, że będzie śmiesznie, a wyszło tragicznie. Nie chciałem tak... Nie chciałem, żeby tak to się skończyło.

Maciej uniósł wzrok i spojrzał na znienawidzonego kolegę z pracy, choć słowo „kolega” w tym wypadku było daleko idącym nadużyciem. Patrzył na niego i zagryzał wargi, z trudem powstrzymując łzy. W całym dziale księgowości zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Jedynie szum wentylatorów komputerów zakłócał ciszę.

– Jeszcze raz przepraszam. – Pytel sięgnął po paczkę ciasteczek oreo, które leżały na jego biurku. – Proszę, to na zgodę, częstuj się w ramach przeprosin – uśmiechnął się szczerze i podszedł z wyciągniętą dłonią do Macieja.

Ten wstał z krzesła, jednak nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa. Stał i patrzył na swojego odwiecznego wroga, w końcu ucisnął jego dłoń, z paczki wyjął ciastko i szepnął „dziękuję”.

Wszyscy powoli wrócili do pracy. Kupczyk położył ciastko na biurku, spojrzał na pulpit monitora i z dużą niechęcią kliknął w okrągłą niebieską ikonę przedzieloną żółtą błyskawicą, która otwierała program księgowy firmy Veltronex. Kiedy program się otworzył, Maciej wpisał hasło logowania do systemu, spojrzał na wyświetlone z lewej strony ekranu ikonki. Kliknął w pierwszą od góry, czerwoną. Czerwone ikonki oznaczały klientów kluczowych, a do tej przyporządkowana była firma Apenbo AB ze Szwecji, odbiorca płytek scalonych służących do budowy urządzeń do termowizji wykorzystywanych w niektórych samolotach produkowanych przez koncern SAAB-a. Kupowali też kilka pomniejszych półproduktów i produktów niezwiązanych z wojskowością, takich jak czujniki ruchu czy urządzenie służące do wykrywania wycieków gazu z gazociągów. Maciej na technice się nie znał, wiedział natomiast, że szwedzkie zakupy składają się

na 16 proc. obrotów jego firmy i przez to jest to klient specjalny.

Wystawianie dokumentów sprzedaży zajęło mu czas do godz. 13. Do przerwy na lunch zdążył wystawić jeszcze faktury do Airbusa i firmy Dassault. Później do końca dnia zajmował się tak zwaną drobnicą. Jak zwykle za pięć szesnasta, tak jak wszyscy pracownicy jego działu, siedział już z teczką na kolanach i wpatrywał się w dłuższą wskazówkę ściennego zegara, kiedy ustawi się w pozycji pionowej. Kiedy to się stało, zerwał się na równe nogi, ciasteczko oreo wrzucił sobie do kieszeni płaszcza i jako pierwszy wybiegł z pokoju. Dziesięć schodów w dół, półpiętro, kolejne dziesięć i już stał w kolejce do obrotowej bramki wypuszczającej pracowników na zewnątrz. Dwie osoby przed nim szybko przeszły przez bramkę, sczytując jedna po drugiej w wyćwiczonych do perfekcji ruchach magnetyczne karty pracownicze. Maciej również przyłożył swoją kartę w wyznaczonym miejscu, popchnął jedno z trzech ramion, jednak bramka obróciła się tylko częściowo, do połowy go blokując. Szarpnął ciałem do przodu, powtórzył tę czynność raz jeszcze, lecz jakaś niewidzialna siła trzymała go za plecy. Po wykonaniu kilku nieskoordynowanych ruchów udało mu się odwrócić do tyłu o tyle, żeby zobaczyć, że pasek jego płaszcza razem ze szlufką został wkręcony w szczelinę kołowrotka. Oprócz tego dostrzegł przynajmniej dwadzieścia osób czekających w kolejce do wyjścia.

– Pan się nie szarpie, zaraz panu pomogę – usłyszał głos wartownika.

– Co się stało? – usłyszał głosy z tłumu. – To ten debil z księgowości zepsuł bramkę. – Ale jak to możliwe? – Boże, ja się akurat dziś spieszę po dziecko do przedszkola. – Co ten idiota znowu zrobił? – Ładna buzia to jednak nie wszystko, rozum, jak widać, jest ważniejszy!

W tym momencie impuls, genialna myśl podsunięta przez starą, zapamiętaną przez Kupczyka reklamę cukierków mentos przetoczyła się przez jego umysł. Postanowił zabłysnąć, zmienić swój wizerunek przystojnego nieudacznika w zabawnego kolesia radzącego sobie w każdej sytuacji. Obrócił się z promiennym

uśmiechem do tłoczącej się przy bramce gawiedzi, wyjął z kieszeni ciasteczko oreo, które dostał od Pytla, wrzucił je sobie do ust, mrugnął okiem w lewo i prawo, i obrócił się na pięcie, pochylił, usiłując zdjąć płaszcz w popisowym numerze przez głowę, kiedy poczuł, że kołowrotek niespodziewanie ustąpił, a on pikuje wprost na podłogę. Kontakt z podłożem nie był tak bolesny, jak się spodziewał, jednak uderzenie spowodowało zmiążdżenie ciasteczka oreo znajdującego się w jego ustach, z którego teraz, po wymieszaniu ze śliną, zaczął się sączyć niepowtarzalny smak kremu do golenia. „Skąd w ciasteczku krem do golenia? Tak, to kolejny idiotyczny kawał Michała Pytla”.

– Co tu się dzieje? – usłyszał nad sobą głos dyrektora handlowego Marczuka, którego nie mógł zobaczyć z uwagi na to, że dół płaszcza miał naciągnięty na głowę. – To znowu pan, panie Kupczyk?

– Tak, to ja, przewróciłem się – odparł niewyraźnie ustami wypełnionymi ciasteczkami wymieszanym z pianą, ponieważ teraz krem zamienił się w pianę i było jej coraz więcej.

– Proszę, panowie mu pomogą, bo inaczej nie wyjdziemy dziś z pracy – skinął na ochroniarzy.

W czasie, kiedy dwóch ochroniarzy odplątywało go z płaszcza, Kupczyk połykał niesmaczne ciastko, starając się jak najszybciej pozbyć kompromitującej zawartości ust. Wreszcie płaszcz znalazł się na swoim miejscu. Maciej stał ze zmierzwioną fryzurą, zmieszonym wzrokiem spojrzał na tłum koleżanek i kolegów z pracy stojących za bramką na wprost niego. Gdyby nie to, że bramka przepuszczała tylko po jednej osobie, prawdopodobnie doszłoby do linczu.

– Przepraszam bardzo – powiedział Maciej, a jego usta w tym samym momencie pokryły się pianą. Wszyscy w jednej chwili zaczęli się śmiać. Złość ustąpiła miejsca szyderze. Nawet dyrektor Marczuk śmiał się tak bardzo, że aż ukucnął. Upokorzeń jak na jeden dzień było zbyt wiele. Chłopak ze łzami w oczach sprintem pobiegł do samochodu, teczkę cisnął w głąb auta, przekręcił stacyjkę i zanim z budynku wyszli pierwsi pracownicy Veltronexu, odjechał z parkingu. Jechał i szlochał.

Jego twarz pokrywała piana, przez którą przedzierały się teraz na dół strugi łez, które zmieszane z kremem barwiły się na biało i kapały na płaszc. Nawet nie zauważył, że drugi raz tego dnia zaczął padać śnieg. Płatki śniegu kręciły kółka, spirale i spadały na rozgrzaną przednią szybę samochodu, zamieniając się w strużki wody. Maciejowi wydawało się, że cały świat teraz płacze nad jego losem. Losem nieudacznika i pierdoły.

Jednak gdzieś w głębi podświadomości cały czas wierzył, że jest to etap przejściowy, a jego życie któregoś dnia się odmieni na lepsze. Włączył wycieraczki, które wesoło rozmazały po szybie wyciśniętą na ich krawędzie białą farbę plakatową. Tym razem kawał był wyjątkowo niebezpieczny. Zanim zdążył je wyłączyć, szyba stała się całkiem białą, możliwość obserwacji drogi zmalała do zera. Maciej wcisnął gwałtownie hamulec. Stare hamulce zadziałały poprawnie, nie mniej śliska nawierzchnia spowodowała, że auto ściągnęło na prawo i samochód walnął błotnikiem w stojący na chodniku kosz na śmieci. Kupczyk wpadł w histerię. Zaczął krzyczeć, kopać w pedały i walić w kierownicę rękoma. Teraz na jego twarz wyskoczyły jeszcze dwa wielkie smarki. Zanim się opanował do tego stopnia, żeby wyjść z auta, minęło przynajmniej dziesięć minut. Łzy ciekły mu nadal, cicho szlochał, kiedy wycierał podniesionym z ziemi śniegiem szybę i wycieraczki. Zdeptanej godności, zniszczonego poczucia człowieczeństwa nie mogła popsuć bardziej nawet pęknięta przednia lampa jego samochodu. Wrócił do środka, wyciągnął ze schowka paczkę chusteczek higienicznych i wytarł twarz. Posiedział jeszcze tak parę minut, uspokajając oddech, po czym ruszył. Kiedy dojechał bliżej centrum i stanął w korku samochodów w kierunku ronda Grunwaldzkiego, jego telefon niespodziewanie zadzwonił. Niespodziewanie, ponieważ nikt do niego nigdy ot tak, spontanicznie, nie dzwonił, nie dzwoniły koleżanki, koledzy ani matka, która uważała, że to syn powinien dzwonić do matki, a nie matka do syna. Jedynie wujek Miedzianowski dzwonił cztery razy w roku, składając życzenia na Wielkanoc, Boże Narodzenie, urodziny oraz imieniny. Skonsternowany Kupczyk wyjął telefon z wewnętrznej kieszeni

płaszcz i spojrzął na wyświetlacz. Numer, który się wyświetlił, nie był zapisany w książce telefonicznej, więc nie mógł należeć do kogoś, kogo znał. Uznał, że to z pewnością pomyłka. Ostatecznie odebrał.

– Halo?

– Czy to idiota?

– Halo?

– Czy to numer do idioty? Dobrze się dodzwoniłem?

– Wypraszam sobie! Chyba ty jesteś idiotą! – prychnął Maciej i rozłączył połączenie. Tym razem smutek zastąpiła złość. Przesuwał się w korku powoli, jednak złość nie ustawała. Po chwili biały opel astra stanął szybą w szybą koło niego, kierowca, całkiem obcy człowiek, opuścił okno i zaczął kiwać do Macieja. Maciej opuścił korbką szybą i spojrzął w twarz nieznanego mężczyzny w garniturze.

– Faktycznie jesteś idiotą. Cóż za samokrytyka! – powiedział mężczyzna, uniósł kciuk do góry i gwałtownie ruszył do przodu.

Kiedy stanął w małym korku przed rondem Poznańskim, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to zupełnie inny numer niż poprzednio. Spodziewając się kolejnego kawału, odebrał telefon energicznie i odezwał się bardzo szorstko do słuchawki.

– Halo!

– Czy to pan idiota? – męski bardzo niski głos zadał identyczne jak poprzedni rozmówca pytanie.

– Sam jesteś idiota! Totalny kretyn! Debil! – darł się do słuchawki, obficie przy okazji plując na szybą.

– Faktycznie jest pan idiotą, tak tylko dzwoniłem, żeby sprawdzić.

Maciej krzyczał do słuchawki jeszcze przez dłuższą chwilę, mimo że wiedział, iż jego rozmówca się rozłączył. Zdenerwowany do granic możliwości dojechał na parking koło targowiska pod swoim blokiem. Zgrabnie wjechał tyłem na wolne miejsce parkingowe i gdy zaledwie wysiadł z auta, dobiegła do jego uszu rozmowa dwóch sprzedawców jajek, którzy mieli rozstawione swoje stanowisko sprzedaży przy

chodniku.

– Idiota?

– No żeby takie coś sobie przyczepić do auta, to musi być idiota.

Maciej zgrzytnął zębami, po czym podążył za wzrokiem dwóch mężczyzn wprost na tylny zderzak swojego samochodu, na którym naklejona była duża naklejka, na białym tle czarne litery składające się w treść:

„Jestem idiotą. Nie wierzysz? Zadzwoń: 991 019 201”.

Jeszcze nigdy Maciej nie był tak wściekły, oszalały ze złości. Zawsze stresujące czy nieprzyjemne sytuacje wywoływały w nim uczucie smutku, wstydu, a teraz wszystko poszło w drugą stronę. Podszedł do auta, paznokciem podważył róg naklejki i pociągnął. Jednak niska temperatura spowodowała, że naklejka zamiast się odklejać w całości, odchodziła w maleńkich kawałkach. To zdenerwowało go jeszcze bardziej. Złapał zderzak od dołu i silnymi ruchami góra-dół wyrwał go ze starych, ledwo trzymających plastikowych zaczepów. Ryknął i cisnął zderzakiem na miejsce, gdzie kiedyś był trawnik.

– A to ci dopiero idiota! – powiedział jeden z mężczyzn od jajek.

– Prawdziwy Stasku, najprawdziwszy.

Kupczyk wyjął teczkę z samochodu, zamknął drzwi, przeszedł przez pozostałości trawnika i z całej siły uderzył Staska teczką w twarz.

– A ty stój! – wrzasnął do drugiego. – Bo jak się ruszysz, stratuje wam te zbuki! Jeszcze raz któryś nazwie mnie idiotą, to was pozabijam, mam żółte papiery, i tak mi nic nie zrobią – te ostatnie słowa zrobiły zarówno na tym leżącym Stasku, jak i tym stojącym mężczyźnie największe wrażenie.

Kupczyk poprawił płaszcz, teczkę przełożył do lewej ręki i pobiegł w kierunku swojego bloku. Po wejściu do mieszkania przeszedł parę kroków dzielących go od sypialni, padł na łóżko i zamarł w bezruchu. Roztopiony śnieg z butów spadł pod łóżko, zamieniając się momentalnie w kałużę. Po paru minutach usiadł, zdjął buty, rzucając każdym z nich ze złością w ścianę. Wtedy dopiero położył się i zasnął.

Rozdział 3

Kupczyk obudził się, kiedy było już zupełnie ciemno, zdezorientowany wyjął z kieszeni kurtki telefon, na wyświetlaczu cyfry składały się w godzinę 18.23. Zerwał się z łóżka, jakby zasnął na najważniejsze w życiu spotkanie, stanął na podłodze dokładnie w środku śnieżnej kałuży. Nieprzyjemne uczucie zimna, znak kolejnej porażki, spowodowały, że padł na łóżko jak rażony piorunem i postanowił zostać w nim do rana.

Rozebrał się w łóżku, wszystko zrzucił na podłogę, poszedł do ubikacji, w drodze powrotnej wziął laptopa, z lodówki wyjął butelkę wódki i wszedł z powrotem pod kołdrę. Wódka smakowała wybornie, humor powracał, a umysł Macieja oddał się całkowicie studiowaniu internetu. Najpierw niejako pro forma zajrzał na Facebooka. Jego 36 znajomych, trzech z rodzinnej wsi, siedmiu ze studiów i 23 z pracy, chwaliło się publicznie swoim życiem. Zakupy na Gwiazdkę, zdjęcia z imprez, selfie z przyjaciółmi, żarciki, memy, transmisje na żywo, dziesiątki lajków – wszystko to było mu obce. Komentarze w stylu: „Jak zawsze świetnie”, „Supersprawa, cieszę się, że się dobrze bawicie”, „Gratulacje stary” niszczyły mu humor. Jego konto od samego początku pozostawało w zasadzie niezauważone. Na początku próbował, starał się nawet coś zamieścić, zwrócić na siebie uwagę. Wszystko jednak, co zamieścił, było ignorowane bądź krytykowane. W zasadzie każda jego aktywność, nawet jego komentarze, stawały się przedmiotem drwin. „Kupa, niczego mądrego w życiu nie wymyślisz”, „Miły komentarz nie zmienia faktu, że jesteś dupkiem”, „Kupa, może czas pomyśleć o odejściu z tego świata na własną rękę?” – te komentarze można zaliczyć do grupy uprzejmych. Od kiedy dwóch kolegów zaczęło bezcześcić jego i tak niezbyt miłe przezwisko i nazywać go per Gównno, zerwał kontakt z Facebookiem na ponad rok. Dwa miesiące temu nieśmiało zalogował się ponownie, jednak nie zamieścił żadnego

postu, swoją aktywność ograniczył do kilku lajków dwóch atrakcyjnych dziewczyn z pracy. Był typowym facebookowym duchem.

I tym razem zjechał suwakiem w dół, niejako wertując wydarzenia z życia 36 znajomych. Same durne przedświąteczne memy z mikołajem, reniferami i kilka politycznych, szydzących z premiera oraz prezydenta. Taki facebookowy standard. Jedynie znienawidzony Pytel chwalił się, że na Gwiazdkę chce sobie zakupuć skodę, zamieścił nawet zdjęcie samochodu z podpisem: „Skorzystałem z wyprzedaży rocznika i zamówiłem! Odbieram dzień przed Wigilią, chętne laseczki zapraszam na jazdę próbną”.

– Zaraz się porzygam! Pytel i nowy samochód. Jakiś koszmar – Maciej wyraził swoją opinię całkiem głośno, po czym zamknął Facebooka.

Na każdej kolejnej stronie, którą odwiedzał, pokazywał mu się banner reklamowy firmy Rewident. „Weź pożyczkę – spełnij swoje marzenia” – krzyczał do niego napis. „Pożyczki do 20 tysięcy złotych, bez zaświadczeń” – twierdziło inne hasło reklamowe Rewidenta. „Weź pożyczkę na święta i zarznij się na cały następny rok” – pomyślał, a jego uwaga na powrót skupiła się na Pytlu i na jego nowym samochodzie, a jeszcze bardziej szczegółowo na finansowaniu pojazdu. Myśli Macieja, dla których paliwem była chęć zemsty, zaczęły niepokojąco blisko krążyć wokół donosu na kolegę do urzędu skarbowego. „Mieszkanie w nowym bloku dwa lata temu, co roku wczasy za granicą, zimą narty, co weekend dwie imprezy w lokalach gastronomicznych wyższej kategorii, ciuchy ze sklepów w galeriach handlowych i teraz nowy samochód... nowy, a przecież ten poprzedni nie był aż taki stary. No może miał z siedem lat, nawet jeżeli skodę kupił na kredyt, to ciekawe, z czego będzie płacił raty, skoro wyraźnie żyje ponad stan! Powiadomienie odpowiednich służb o tym oszuście podatkowym, który na pewno ukrywa część dochodów, jest moim obowiązkiem. I nie jest to w sumie żaden donos, najlepiej będzie, jak urząd sprawdzi, czy mam rację czy nie, jeśli nie, to przecież krzywdy mu nie zrobią... a szkoda” – Pociągnął łyk wódki i na moment zapatrzył się w lampę na suficie, zbierając

na nowo myśli. „Jeżeli mu nic nie zrobią, to w zasadzie taki donos nie ma sensu, zresztą tak prawdę mówiąc, jakie nieujawnione dochody może mieć taki ćwok? Chęć zemsty przysłania mi racjonalne myślenie i przecież nie chodzi tylko o Pytła, muszę się odegrać na wszystkich! Ale jak?! Gdybym był bogaty i wpływowy, gdybym awansował, gdyby byli ode mnie zależni, gdybym mógł ich zwolnić, wszyscy zaczęliby darzyć mnie szacunkiem. Bogaty?! Żebym był bogaty, musiałbym wygrać w lotto lub odziedziczyć spadek... Śmierć matki niewiele zmieni, poza tym ona świetnie się czuje, a o awansie nie mam co marzyć”.

– Kurwa mać! Muszę odmienić swoje życie! – wykrzyczał swoje ulubione zaklęcie tak głośno, że sąsiadka z dołu prawie natychmiast wystukała swoją dezaprobatę na kaloryferze. Maciej zwiesił ramiona i głowę, patrzył na ekran laptopa, na którym migwały bannery reklamowe, rozświetlając jego twarz raz na żółto, raz na niebiesko. Jego wzrok bezmyślnie wpatrzony w monitor zaczął nagle czytać litery nagłówka wyświetlanego na środku monitora: „Łowca spadków zdemaskowany i zatrzymany przez policję”. Maciej kliknął myszką, żywo zainteresowany treścią artykułu, by już po chwili dowiedzieć się, że niejaki Mariusz G. wyszukiwał za granicą nekrologi. Przeglądał tylko takie, które powtarzały się w kluczowych gazetach, nekrologi osób ważnych. Interesowali go tylko bardzo bogaci przedsiębiorcy, politycy i biznesmeni międzynarodowego formatu. Jak podawano w artykule, Mariusz G. przy ustalaniu majątku denata korzystał z lokalnych rejestrów spółek handlowych. Przeważnie jednak wystarczyło wpisać nazwisko w przeglądarce Google, aby uzyskać potrzebne informacje. Po przeprowadzeniu takiego śledztwa jechał do... miasta zamieszkania nieboszczyka, wynajmował adwokata i zależnie od wieku denata podawał się za nieślubne dziecko bądź udawał prawnuczka osoby zmarłej. Żadna z oszukanych rodzin nigdy nie zażądała wykonania testów DNA, gdyż zawsze były to rodziny ekstremalnie bogate, a często ich członkowie to osoby powszechnie znane i szanowane. Nawet najmniejszy skandal mógłby zagrozić nie tylko wizerunkowi rodzin, lecz także

notowaniami kontrolowanych przez owe familie spółek na giełdzie. Ponadto adwokaci wynajęci przez Mariusza G., prowadząc zręczną grę, po dwóch-trzech spotkaniach z adwokatami rodziny zmarłego godzili się na symboliczne zadośćuczynienie w kwotach od 200 tysięcy do miliona euro. Mariusz G. wpadł w ręce policji, kiedy w tym samym roku zażądał spadku po zmarłym Hieronimie Hackem i Heinrichu Blumm, którzy – jak się okazało – byli przyrodnimi braćmi. Rodzina niezwłocznie powiadomiła organy ścigania i Mariusz G. został zatrzymany, kiedy przyjechał do adwokata, aby odebrać gotówkę. Kupczyk zapatrzył się na zdjęcie młodego mężczyzny stojącego przy czarnym astone martinie i zupełnie nie przeszkadzało mu, że ten mężczyzna miał zasłonięte czarnym paskiem oczy. „To jest to, to jest droga do pieniędzy, z tym że ja nie dam się złapać, bo nie będę pazerny. Skoro on działał w Niemczech i Austrii, to te kraje są spalone, wybiorę jakiś inny kraj!”.

Maciej zerwał się z łóżka. Jego umysł rozświeciły dziesiątki nieznanych mu jeszcze emocji, to endorfiny, prawdziwe, czyste, niechemicznie wywołane przez psychotropy czy narkotyki. Pobiegł do kuchni, by zrobić mocną kawę, wódkę wstawił do lodówki i wziął gorący prysznic. Po 15 minutach, dokładnie o godzinie 20.20, prawie trzeźwy usiadł z powrotem w łóżku z komputerem na kolanach i kubkiem kawy w ręce. Włączył przeglądarkę Google i zaczął intensywnie myśleć, do jakiej europejskiej nacji jest najbardziej zbliżona jego uroda. W końcu szeroko się uśmiechnął, mierzwiąc wymownie gęstą blond czuprynę, czas było zaplanować swoją nową przyszłość.

Rozdział 4

9 grudnia

Kiedy o godzinie 6.45 następnego dnia zadzwonił budzik, Maciej kończył zapisywać ostatnie zdanie w agendzie na najbliższy tydzień, był gotowy do realizacji swojego nowego planu na życie. Był gotowy do bycia w jednej czwartej Szwedem. Całą noc bowiem przeczesywał informacje o zgonach na szwedzkich portalach należących do największych gazet codziennych – „Dagens Nyheter”, „Expressen” i „Sydsvenska Dagbladet”. Jednak tam niczego nie udało mu się znaleźć. Dopiero kierowany wiejskim instynktem sięgnął po brukowiec. Znalazł internetową stronę gazety „Aftonbladet”, która odpowiadała jego potrzebom. Ponieważ nie znał szwedzkiego, gazetę przeglądał najpierw pod kątem zamieszczonych fotografii, a później treść artykułu kopiował i wklejał do translatora. Po trzech godzinach mozolnego przeczesywania portalu natknął się na artykuł sprzed dwóch dni ze zdjęciem masywnego bordowego budynku, który okazał się szpitalem w Sztokholmie. Treść artykułu po przetłumaczeniu na język polski wywołała wypieki na jego twarzy, ponieważ informowała o tym, że: „Lars Stigson, 99-letni znany z ekscentrycznych wybryków multimilioner, znajdujący się na siódmym miejscu listy wśród najbogatszych Szwedów, człowiek posiadający majątki w całej Europie, trafił do szpitala z ostrą niewydolnością nerek i jego stan jest krytyczny”. Wartość majątku tego starego pierdoły, według gazety, opiewała na 57 miliardów koron szwedzkich. Do tego artykułu zawierał skróconą historię jego życia. Podawano, że urodził się w Göteborgu, że w latach 1938–1939 mieszkał w Polsce, że studiował w Szwajcarii i po wojnie przejął interes ojca, który to zmarł na zawał w roku 1947. Później pisali też, że 10 lat wcześniej zmarła jego żona, że nie miał z nią dzieci i to, że dziennikarze odtworzyli drzewo genealogiczne Larsa Stigsona, co potwierdziło, że nikogo

z jego rodziny nie ma już wśród żywych. Tajemnica testamentu, który – jak pisała gazeta – miał być otwarty po jego śmierci przez notariusza Gustavsona, rozpaliała atmosferę do czerwoności. Wzbudzało to zrozumiałe emocje wśród Szwedów i w zasadzie idąc za ludzką naturą, można by powiedzieć, że cała Szwecja czekała, aż starzec zejdzie z tego świata, aby dowiedzieć się, kto odziedziczy miliardy koron. Kiedy Kupczyk skończył tłumaczyć artykuł, natychmiast przeliczył kwotę majątku Stigsona najpierw na złotówki, a później na euro.

Godzinę później Kupczyk zablokował na Facebooku osoby, które nie powinny wiedzieć o jego „nowej rodzinie”. Znalazły się wśród nich zarówno wszystkie osoby ze wsi Bratian, jak i dwóch kolegów z liceum, którzy mieli rodziny w jego wsi i mogli donieść matce o dziwnych wpisach syna. Oprócz tego profilaktycznie zablokował cztery osoby ze studiów oraz wszystkich trzech znajomych z bloku. Kiedy to zrobił, zamieścił na swoim profilu niewyraźne czarno-białe zdjęcie starszego pana, które znalazł w internecie, i podpisał je tajemniczo: „Już do Ciebie jadę, mój ostatni przyjacielu, nie odchodź, poczekaj”. Zamknął laptopa, zeszyt w smoki, w którym zapisywał wszystkie plany oraz zadania do wykonania, włożył do szuflady stolika nocnego i wstał z łóżka. Pierwszy raz zmotywowany, pierwszy raz bez „kurwa mać” na ustach. Poszedł do łazienki, wysikał się, wrócił do łóżka i zasnął. Po mniej więcej godzinie i trzydziestu minutach obudził go dźwięk wibrującego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz, na którym widniało nazwisko Pytel. Odłożył wibrujący telefon na stoliku nocnym, przeciągnął się, uśmiechając się do swoich myśli. Czterdzieści minut później wyszedł z domu. Kiedy podszedł do swojego saaba z kluczykiem w ręku, Stasek sprzedający jajka na chodniku profilaktycznie odwrócił się od niego plecami. „I tak ma być, respekt na kilometr, kiedy idę” – pomyślał i spojrzał na swój stary samochód, już miał włożyć kluczyk do zamka i otworzyć drzwi. Jednak cofnął rękę, przeszedł na drugą stronę ulicy, kluczyk wyrzucił do śmietnika, po czym machnął ręką na pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Hamulce czerwonego forda mondeo zapiszczały, a samochód ostatnie dwa metry pokonał,

ślizgając się na roztopionej śnieżnej brei, by w końcu zatrzymać się tylnymi drzwiami przed nosem Kupczyka.

– Najpierw do Rewidenta na Gdańską koło radia proszę – powiedział zaraz po wejściu i sięgnął po telefon. Miał nieodebranych szesnaście połączeń, piętnaście od swojego bezpośredniego przełożonego Michała Pytla oraz jedno od dyrektora handlowego Jerzego Marczuka, u którego miał być na dywaniku w sprawie wczorajszych wybryków. Natychmiast dodał ich numery do listy zablokowanych i wybrał numer telefonu do działu HR.

– Makowska słucham? – usłyszał głos kadrowej.

– Kupczyk przy telefonie – zaczął nieco zboląłym głosem. – Ja bardzo przepraszam, ale nie przyjdę dziś do pracy. Ktoś bardzo mi bliski jest w stanie agonalnym i poproszę dzisiaj dzień wolnego na żądanie.

– Jeżeli to ktoś bliski, to przysługują panu ustawowo dwa dni wolnego, ale tylko wtedy, jak umrze. Jeżeli jeszcze żyje, to nie mogę dać panu urlopu okolicznościowego, więc w grę wchodzi tylko urlop na żądanie potrącany z pańskiego urlopu.

– Dziadka przyrodni brat umiera – odparł zgodnie z planem, jaki ułożył w nocy na potrzeby tej mistyfikacji.

– To jest daleka rodzina i nawet gdyby nastąpił zgon, nie przysługuje panu żaden dzień wolny. Tak jak mówiłam, musi pan wziąć na ten okres urlop. Czyli dziś dzień wolnego na żądanie?

– Tak i poproszę dodatkowo urlop do 16 grudnia włącznie.

– To chyba pogrzeb cygański będziecie wyprawiać, że aż tylu dni wolnych pan potrzebuje.

– Nie wykazuje się pani taktem, pani Makowska. Dziadka przyrodni brat mieszka w Szwecji, lekarze twierdzą, że nie przeżyje doby. Jadę przygotować formalności pogrzebowe i załatwić sprawy spadkowe... rozumie pani... bardzo ważne sprawy spadkowe – te ostatnie cztery słowa powiedział z dużą tajemniczością w głosie. Wiedział bowiem, że dział HR to zakładowe centrum plotkarskie i to, co przekaże pani Makowskiej, do jutra obiegnie nie tylko cały biurowiec, lecz także inżynierów z produkcji.

– No tak, ale jak pan sobie w tej Szwecji sam poradzi?!
– zapytała z niedającym się ukryć zdziwieniem w głosie.

– Poradzę sobie, brat dziadka jest niesamowicie bogaty, dosłownie śpi na pieniądzach, to ułatwia wszystkie sprawy. Do widzenia.

Uśmiech po raz kolejny pojawił się na jego twarzy, spodobała mu się gra, w którą grał jeszcze bardzo nieśmiało.

– Pogrzeb to przykra rzecz i niepotrzebny wydatek – zabrzmiał beczelnie taksówkarz. – Ale spadek potrafi człowiekowi humor poprawić i łzy osuszyć.

– Potrafi. Ale jak pan sam w zasadzie powiedział, żeby wyjąć, trzeba najpierw włożyć. Zanim się spadek dostanie, trzeba ponieść masę wydatków, ale w moim wypadku wydane pieniądze to bardzo dobra inwestycja. Pan poczeka na mnie, załatwię szybko sprawę w Rewidencie i pojedziemy dalej.

Taksówkarz odprowadził wzrokiem Macieja do drzwi pooklejanego na żółto budynku, głównej siedziby firmy pożyczkowej Rewident w Bydgoszczy. Wewnątrz wszystko oprócz sufitu też było żółte. Kiedy otwierane na fotokomórkę drzwi zamknęły się za nim, poczuł się jak wrzucony do jajecznicy. Lekko zdezorientowany rozejrzał się po sali operacyjnej, szukając właściwego biurka. Kiedy przeczytał etykiety stojące na blatach, okazało się, że wszystkie były właściwe, bo przy wszystkich sześciu żółtych biurkach pożyczki udzielały niemal identycznie wyglądające ubrane na żółto brunetki.

– Zapraszam pana do mnie – odezwała się najładniejsza ze wszystkich sześciu kobiet.

Maciej usiadł naprzeciwko niej, siłą rzeczy spojrzął na przypiętą na lewej piersi plaketkę z napisem „Matylda”, później jego wzrok przeniósł się pomiędzy dwie opalone piersi i powoli powędrował w górę. Rozchylone w uśmiechu mięsiste usta odsłaniały rząd perłowo białych równiuteńkich jak paciorki w różańcu zębów, usta złożyły się najpierw w „dzióbek”, później wypowiedziały jedno słowo, drugie, trzecie, ale on patrzył teraz w głęboką zieleń oczu przechodzącą w kilkanaście odcieni brązu. Pierwszy raz widział takie oczy, wszystko wkoło przestało się liczyć. Ocknął

się dopiero, kiedy dziewczyna pomachała mu przed oczami ręką.

– W czym mogę panu pomóc?

– Odziedziczę... odziedziczyłem duży spadek, potrzebuję pieniędzy – wypowiedział na głos pierwszą myśl, jaką ułożył jego mózg.

– Spodobałam się panu? – zaśmiała się Matylda.

– Tak. Nie...

– Co pan się odezwie, to sobie zaprzecza – znowu się roześmiała, a jej piersi kilkakrotnie wesoło podskoczyły.

– Odziedziczył pan spadek, a jednak potrzebuje pieniędzy, a ja się panu podobam, ale nie podobam.

– To przez pani oczy... A tak na serio, to mam do odbioru spadek zagraniczny. Jeszcze go nie dostałem. Potrzebuję pieniędzy na podróż do Szwecji i formalności spadkowe.

– A jak dużo?

– Nie wiem dokładnie, ale to będzie w miliardach...

– W miliardach pan mówi – Matylda się uśmiechnęła. – Widzę, że lubi pan żartować...

– Lubię, i to bardzo – kokieteryjnie przewrócił niebieskimi oczami.

– No dobrze, nie pytam, ile pan odziedziczył naprawdę, bo to przecież nie moja sprawa. Interesuje mnie, jak dużo pożyczki pan potrzebuje – uśmiech nie zniknął z twarzy dziewczyny.

– Myślałem o 20 tysiącach.

– No dobrze, kwota pożyczki jest realna. Pan da dowód osobisty. Pracuje pan?

– Tak, w firmie Veltronex.

Dziewczyna podsunęła Maciejowi formularz wniosku o pożyczkę gotówkową i bacznie przyglądała mu się, kiedy wypisywał rubryki. Piętnaście minut później, po krótkiej weryfikacji, Maciejowi przyznano pożyczkę, a na jego konto bankowe miało trafić 18 tysięcy złotych. Dwa tysiące potrącono mu z góry jako koszty manipulacyjne konieczne do udzielenia kredytu.

– Jak wróci pan ze Szwecji ze spadkiem, to może pan wpadnie do mnie albo zadzwoni?

– Po następny kredyt?

– Nie, no skąd! Raczej spłacić kredyt – dziewczyna parsknęła śmiechem i podsunęła Maciejowi wizytówkę, mrugając przy tym zielonobrazowym okiem. – Serio podoba mi się pan, pieniądze ze spadku też się przydadzą, a nad charakterem i rozwojem intelektu to popracujemy – roześmiała się ponownie.

– Zadzwońię zaraz, jak tylko wrócę. Zadzwońię...

Maciej wsiadł do taksówki z prawdziwym młodzieńczym wzwozem. Naciągnął kurtkę na kolana, pochylając się jednocześnie w kierunku taksówkarza.

– Ale miła dziewczyna mnie obsługiwała... Szybko poszło.

– Panie, każdy się spieszy i jest miły, żeby tylko pieniądze zarobić. Umów się pan z nią, a najlepiej weź się pan z nią ożeń, to się okaże, że już wcale nie jest taka miła. Dokąd jedziemy? – zgasił Macieja taksówkarz.

– Do salonu Volvo.

Auto ruszyło, zanim Maciej zakończył zdanie. Wewnątrz zapanowała cisza przerywana tylko drażniącym drzeniem zużytych wycieraczek po szybie. Śnieg rozpadał się na dobre, a im mocniej padał, tym bardziej monotonnie hałasowały wycieraczki. Aby nie prowokować zbędnego monologu ze wszystkowiedzącym taksówkarzem, Maciej zaczął udawać, że śpi. Wyobrażał sobie, że mieszka w pięknym kremowym domu z widokiem na morze, stał na tarasie i patrzył, jak po wilgotnej od deszczu plaży chodzą ludzie. Odwrócił się i patrzył teraz przez duże tarasowe okno do wnętrza sypialni, gdzie na kremowej pościeli leżała Matylda, a dokładnie jego wyobrażenie o niej. Jej opalone ciało, płaski brzuch i piękne piersi zwieńczone sutkami w kolorze mlecznej czekolady skierowały Macieja na inne tory.

Marzenia zamieniły się w sen, także widok na morze przestał się liczyć. Ba! Nawet szarpanie przez taksówkarza za ramię potraktował jako część snu, a jego biodra cały czas poruszały się w tył i przód. Taksówkarz, który niejedno w swoim życiu za kółkiem już widział, najpierw chciał Macieja obudzić i wyrzucić z taksówki, jednak przestał go szarpać, a zamiast tego wyjął telefon i zaczął nagrywać ten niecodzienny, darmowy show.

W końcu Maciejem wzdrygnęło kilka razy, wypuścił powietrze ze świstem, a na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech zwieńczony wytryskiem w spodnie. Taksówkarz schował telefon i tym razem bardziej zdecydowanie szarpnął klienta za ramię.

– Jesteśmy na miejscu! Mam na pana czekać?

Maciej podskoczył na siedzeniu, kompletnie zdezorientowany odruchowo szarpnął za klamkę, zimny wiatr wepchnął spadający z dachu śnieg w jego usta dokładnie w momencie, kiedy chciał powiedzieć: „Proszę na mnie poczekać”. Kupczyk kaszlnął, jednak oprócz kaszlnięcia z nosa wyleciały mu dwie okazałe „świeczki”, którymi udekorował sobie kurtkę na wysokości piersi. Taksówkarz, przechylony przez oparcie siedzenia, ciężko przełknął ślinę, ponieważ zdał sobie sprawę, że owe smarki tylko przypadkiem nie poleciały w jego stronę. Kupczyk zaś, przyzwyczajony do wielu nieszczęść i kompromitacji, jakie go w życiu spotkały, patrząc taksówkarzowi w oczy, wytarł spokojnie kurtkę ręką, informując go przy tym, żeby poczekał.

Przed wejściem do salonu kurtkę jeszcze raz przetarł podniesionym z chodnika śniegiem, którym też wytarł ręce, po czym popchnął drzwi i wszedł do środka. Z miną znawcy zaczął spoglądać na wystawione pojazdy. Po kolei podchodził do kilku samochodów, cmokał, komentował pod nosem, jednak w żaden sposób nie zwrócił uwagi ospałego personelu. Dopiero kiedy złapał za klamkę i chciał wejść do pięknej białej limuzyny, jak spod ziemi wyrósł przed nim chudy wyrostek w białej koszuli z wyhaftowanym logo Volvo i przytrzymał dłońią drzwi.

– Bardzo pana przepraszam, ale nie może pan wejść do środka.

– A to dlaczego? Czy ja nie wyglądam jak klient?

– To nie o to chodzi.

– A o co?

– Jest pan mokry, tu, tu i o tu.

Ostatnie „tu” chłystek wskazał na krocze, dokładnie z przodu spodni, gdzie teraz przesiąknął ślad po romantycznych chwilach spędzonych z Matyldą nad morzem kilka minut wcześniej.

– To przecież śnieg, sam pan widzi, jaka jest pogoda za oknem

– Maciej zdecydowanie się postawił. – Przecież to salon Volvo,

w Polsce, a nie komis z kabrioletami w Miami. Jakiej pogody się pan spodziewał o tej porze roku?

– Ale...

– Nie ma żadnego „ALE”. Czyli jak dobrze pana zrozumiałem, gdy pada za oknem, nie mogę się przymierzyć do wybranego wcześniej modelu samochodu?!

– Ale...

– Pan kierownika czy właściciela zawezwie. Nie chcę, żeby pan mnie więcej obsługiwał. Nie rozmawiam już z panem.

– Słucham pana uprzejmie! – pomiędzy klientem a pracownikiem salonu wyrosła, a w zasadzie wcisnęła się pomiędzy ich torsy, kobieta lat mniej więcej 50, ubrana w stalową garsonkę. Nawet na wysokich szpilkach nie miała więcej niż 155 centymetrów wzrostu. Bujała się teraz w tył i w przód na czubkach butów, patrząc Maciejowi głęboko w oczy.

– Auto przyjechałem kupić, a ten tu pan nie pozwolił mi nawet wsiąść do środka... Bo rzekomo jestem mokry od śniegu.

– To już historia, Galan moje nazwisko, jestem właścicielką salonu.

– Miło mi, Kupczyk.

– Pana zapraszam do wybranego auta, a pana sprzedawcę po rzeczy do szafki. To druga i ostatnia nagana. Dziękuję panu.

– Ale...

– Ale pan się już nie kompromituje, słyszał pan, co powiedziała pani Galan – Maciej z uśmiechem odezwał się do sprzedawcy i ruszył w stronę upatrzonego volvo.

– Gównu to ciebie obchodzi, zresztą... zresztą... teraz to mam was wszystkich w dupie! – plamy od wody na tapicerce, winny jestem ja, nie wpuszczam klienta do środka, winny jestem ja. Już ja was wszystkich... – trzaśnięcie drzwi prowadzących do części socjalnej odcięło dźwięk i odgrażanie sprzedawcy w jednej chwili umilkło.

Kupczyk rozsiadł się wygodnie w białym S60. Wnętrze pachnące nowością, automatyczna skrzynia biegów, wyświetlacz niewiele mniejszy od monitora komputera, przy którym spędzał godziny w pracy. Jakże wszystko było inne niż w jego starym

saabie.

– I jak? Podoba się? – właścicielka wsadziła głowę przez okno i szczyrzyła się teraz do niego, wysuwając do przodu dwa rzędy białych licówek.

– Za drogi.

– Mamy wyprzedaż rocznika, to auto będzie tańsze o 10 proc., a ponieważ w przyszłym roku będzie dostępny nowy model, mogę dać panu ode mnie jeszcze kilka procent upustu dealerskiego. Pan przejdzie ze mną do gabinetu, to ustalimy nową cenę na to auto. Jeżeli się pan zdecyduje jeszcze dziś, dam panu zastępcze auto do momentu załatwienia formalności i odbioru pańskiego samochodu. Bo rozumiem, że pan weźmie auto w leasing bądź na raty?

– Na raty. Tak, na raty rzecz jasna – odparł Maciej, wysiadając z auta. – Dobrze, więc chodźmy do pani gabinetu.

Chwilę później wsiadł zły do taksówki. Oprócz 10 proc. wpłaty w gotówce jednym z dwóch dokumentów, które były potrzebne do zostania posiadaczem starego modelu volvo S60, było zaświadczenie o zarobkach. Maciej szybko policzył w pamięci, że nie będzie miał zdolności kredytowej, nawet jeżeli weźmie kredyt na pięć lat. Westchnął głęboko i zwrócił się do taksówkarza.

– Lekko nie jest, pan mnie zawiezie do wytwórni stempli na rondo Jagiellonów.

Kiedy auto ruszyło, naciągnął kaptur na głowę i zaczął podliczać posiadaną gotówkę, zestawiając ją z przyszłymi wydatkami. Bilans nie układał się pomyślnie. Zakup samochodu miał pochłonąć połowę posiadanych przez niego środków. Do tego musiał lepiej się ubrać, kupić garnitur, buty, koszule, później wybrać się w podróż, na miejscu zapłacić za pobyt w hotelu i za usługi prawnika. Cmoknął z niezadowoleniem i wyciągnął z kieszeni telefon. W przeglądarce internetowej wpisał: „Cena usług prawniczych w Szwecji”, po chwili ekran zabłysnął dziesiątkami stron, na których Polacy mieszkający w Szwecji wymądrzali się na różne tematy. W końcu na jednej ze stron znalazł oficjalny cennik, który zawierał informację na temat ceny

godziny pracy szwedzkiego adwokata. 1500 koron brutto po przeliczeniu dawało kwotę bez mała 650 złotych za godzinę konsultacji. „Kurwa mać, czy to się liczy od wejścia do gabinetu, a może początku rozmowy? A co z rozmową telefoniczną? Jakies nieprecyzyjne to wszystko. Będę musiał włączyć stoper, jak tylko ustalę, od kiedy liczy się rozpoczęcie pierwszej godziny. No dobrze, a jak on będzie pisał później pisma jakieś czy pozwy, to jak ja sprawdzę, ile czasu mu to zajęło?” – myśli Macieja nerwowo krążyły wokół możliwości sporządzenia prowizorycznej choćby kalkulacji. W końcu przyjął, niemal z całkowitą pewnością, że adwokat poświęci nie więcej niż pięć godzin na obsługę jego sprawy. Kiedy taksówka parkowała pod firmą wykonującą stemple, zakończył podliczanie wszystkich wydatków, które zamknęły się kwotą 35 tysięcy złotych. Osiemnaście tysięcy miał od Rewidenta, na koncie PKO miał otwartą linię kredytową na 8 tys. zł. Co dawało razem 26 tysięcy złotych. „Wpłata na samochód razem z ubezpieczeniem wyniesie 14 tysięcy. Dwanaście tysięcy zapasu powinno wystarczyć mi na skromne wydatki związane ze zmianą garderoby i podróż do Szwecji i zaliczkę dla adwokata. Resztę pieniędzy zorganizuję, jak wrócę do kraju. Przecież będę musiał zachować pozory i trochę poszastać gotówką, zanim nadejdą pieniądze ze spadku” – zakończył rozmyślanie, trzasnął drzwiami od taksówki i udał się do wytwórni stempli. Zamówił pieczętkę firmową Veltronexu, kupił bloczek druków zaświadczenia o zarobkach, wrócił do taksówki, zapłacił taksówkarzowi 120 złotych i podziękował za podwózkę. Pieczętka miała być gotowa do odbioru za godzinę, którą postanowił spędzić w pobliskiej kawiarni i wykorzystać ten czas na zorganizowanie sobie wyjazdu do Szwecji. Usiadł za stolikiem nieco skrępowany, gdyż do kawiarni i restauracji z własnej woli nie chodził nigdy. Owszem, był kilka razy, ale tylko na stypach czy weselach. Na szczęście w środku nie było żadnego klienta, przez co poczuł się nieco pewniej.

- Coś do picia na początek? – zapytała kelnerka.
- Poproszę kawę.
- Jaką?

- Normalną.
- A zna pan jakieś nienormalne? Czyli americanę, tak?
- Może być – policzki i uszy Macieja zaczęły nabierać purpurowego koloru.
- A z przelewowego czy z ciśnieniowego?
- Czy dzisiaj zakup kawy wygląda jak przesłuchanie?
- nieudolnie próbował zażartować, bo kompletnie nie zrozumiał, o co kobieta zapytała.
- Nie, ja tylko chcę, żeby pan dostał taką kawę, jaką pan lubi.
- Z fusami.
- No dobrze, przyniosę panu z przelewowego, tam czasem pływają jakieś fusy – kelnerka najwyraźniej uznała rozmowę za niegrzeczną, obróciła się na pięcie i poszła w kierunku baru z myślą naplucia mu do kawy.

Prom z Gdańska do Nynäshamn odchodzi następnego dnia o godzinie 18 i płynie prawie 18 godzin. Nynäshamn, jak obliczył, było oddalone od Sztokholmu tylko o 40 kilometrów. „Czyli na przebycie drogi w tę i z powrotem potrzebuję dwie doby, do tego na miejscu będę musiał spędzić dwa, no może trzy dni. Wszystko zależy od szczęścia, na jakiego adwokata trafię”. Muszę jeszcze znaleźć tani hotelik, najlepiej gdzieś na przedmieściach Sztokholmu. Zadowolony kupił bilet na prom wraz z samochodem na dzień 10 grudnia i z powrotem na 14 grudnia, za co zapłacił kartą debetową.

– Dziękuję – powiedział, kiedy kelnerka postawiła mu przed nosem filiżankę kawy z kręcącą się na samym środku pianką. Następnie wyjął z teczki bloczek z zaświadczeniami o zarobkach, który kupił w wytwórni stempli, i wypisał sobie średnie wynagrodzenie miesięczne wraz z premiami za ostatnie pół roku w kwocie 6330 złotych brutto miesięcznie. Zaświadczenie podpisał, podrabiając podpis głównego księgowego i zarazem bezpośredniego przełożonego Michała Pytla. Jako numer telefonu do kontaktu z przełożonym wpisał swój numer telefonu. Zadowolony z siebie dopił kawę, zostawił na stoliku 10 złotych, zamknął laptopa, po czym poszedł odebrać pieczętkę. Na korytarzu w firmie pieczętkarskiej przystawił sobie w dwóch

miejscach na zaświadczeniu wymagane pieczętki „Jakby to wuj Miedzianowski powiedział, to i bratiańska pomoc, i poszedł w kierunku odległego o 500 metrów najbliższego postoju taksówek.

Gdy Maciej usiadł na tylnej kanapie taksówki, usłyszał miły głos kierowcy: – Dokąd pan sobie życzy?

– Do salonu Volvo poproszę.

Rozdział 5

Britta patrzyła przez okno, kiedy samolot dotykał kołami świeżo odśnieżonego pasa lotniska Sztokholm Arlanda. Na horyzoncie za przeszklonym lustrzanymi szybami terminalu górowała pomalowana w szerokie szare i wąskie białe pasy wieża kontroli lotów, której wierzchołek do złudzenia przypominał okrągłą szklarnię. Z niesmakiem rozejrzała się po monotonnym zasnutym ciemnoszarymi chmurami niebie. „Następny raz zobaczę słońce i bezchmurne niebo pewnie dopiero w drugiej połowie kwietnia” – pomyślała i włączyła iPhone’a. Prawie natychmiast przyszedł do niej dwa SMS-y, pierwszy informujący o stawkach roamingowych obowiązujących w Szwecji dla klientów Cellcom Israel, drugi SMS był wysłany z nieznanego numeru i było w nim napisane: „Mercedes Sverige Taxi numer 477”. Kiedy samolot kołował w kierunku „rękawa”, zmieniła kartę SIM na szwedzką należącą do operatora Tele2 i ponownie uruchomiła telefon. Przed stanowiskami odprawy paszportowej stanęła na wprost okienka, nad którym górował podświetlany plafon z napisem: „Dla obywateli Unii Europejskiej”. Pracownikowi Straży Granicznej pokazała szwedzki paszport, mężczyzna machnął ręką, nakazując jej przejście.

Piętnaście minut później wyszła na zewnątrz terminalu przylotów, popychając przed sobą walizkę. Tak jakby to było zrzącenie losu, podeszła do pierwszej wolnej, pomalowanej na żółto taksówki należącej do korporacji Sverige Taxi. Taksówkarz wyszedł na zewnątrz mercedesa, żeby włożyć do bagażnika jej kremową walizkę. Kiedy mu ją podała, inny mężczyzna, którego obecności do tej pory nie zauważyła, stanął za jej plecami, delikatnie kierując ją do drzwi samochodu. Usiadła na tylnym siedzeniu, mężczyzna usiadł obok, trzasnął drzwiami z naklejonym na szybie numerem 477 i auto po chwili ruszyło. Taksówkarz wziął do ręki dziwny telefon komórkowy, z którego

wychodził długi kabel, który to z kolei zniknął w schowku umiejscowionym pomiędzy dwoma fotelami. Nacisnął dłużej przycisk numer dwa, następnie przyłożył aparat do ucha.

– Halo?!

– Odebrałeś ją? – w słuchawce rozległ się ciepły głos Aniki Jassem.

– Tak.

– Nie spuszcza jej z oczu dopóty, dopóki nie przyjadę. Wykonuj swoje zadania dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy, wszystko będzie następowało zgodnie z tym, co omawialiśmy na odprawie. Będę za 30, no może 40 minut.

Anika Jassem rozłączyła połączenie, przeszła z korytarza do windy wykonanej z tak mocno spolerowanego aluminium, że całość sprawiała wrażenie, iż jest wykonana z luster. Winda kursowała tylko pomiędzy pierwszą naziemną a drugą podziemną kondygnacją ambasady Izraela w Sztokholmie. Kobieta przyłożyła palec wskazujący do czytnika linii papilarnych i równocześnie nacisnęła przycisk ze strzałką skierowaną do góry. Winda ruszyła tak cicho, że tylko lekkie ugięcie kolan zasygnalizowało jej, że znajduje się w ruchu. Spojrzała jeszcze raz na białą teczkę z niebieskim paskiem, którą trzymała w lewej ręce. Takie kolory teczki oznaczały, że znajdują się w niej najbardziej tajne informacje dotyczące niezwykle ważnych i aktualnych operacji wywiadowczych prowadzonych przez Mosad. Kiedy sprawę zamykano, na teczkę naklejano zielony pasek, a następnie przenoszono je do archiwum. Teczka, którą trzymała, nie była jednak gruba, co z dużym prawdopodobieństwem mogło oznaczać, że sprawa jest całkiem „świeża”, a do jej zamknięcia pozostało z pewnością dużo pracy i zaangażowania. Od dziś bowiem w nową fazę wchodziła przygotowywana od niemal roku operacja „Chajal”. Anika była jej pomysłodawcą i teraz przez niespodziewany splot wydarzeń sprawa nie tylko dla niej, lecz także dla całego Mosadu miała najwyższy priorytet. Dzięki temu mogła korzystać ze środków

specjalnych bez czekania na zgodę przełożonych. Kiedy winda się zatrzymała, Anika poprawiła kręcone w paciorki czarne włosy, przerzucając je do tyłu i majestatycznym krokiem, stawiając stopy jak modelka na wybiegu, skierowała się do otwartego pomieszczenia, w którym znajdowało się 12 stanowisk operatorów wywiadu, zatrudnionych oficjalnie na stanowiskach dyplomatycznych w ambasadzie. Podeszła do swojego biurka, otworzyła metalową szufladę, wyjęła z niej damską torbę, teczkę z niebieskim paskiem włożyła na swoje miejsce do metalowej szuflady, przekręciła klucz w zamku i szybkim krokiem skierowała się w stronę drzwi wiodących na parking znajdujący się na tyłach budynku. Spojrzała przelotnie na zegarek, musiała się pospieszyć, aby dojechać punktualnie na miejsce spotkania.

Taksówka wolno pokonała łagodny zakręt ulicy Strandvägen i kiedy wyjechała na prostą, 100 metrów dalej po prawej stronie wyłonił się biały budynek hotelu Diplomat. Czerwone markizy, które zwykle od wiosny do jesieni zdobiły okna budynku, teraz zniknęły. Nawet czerwony dach przykrył teraz szron, przez co hotel stał się nieco podobny do średniowiecznego zamku. Samochód zatrzymał się przed wejściem, taksówkarz otworzył bagażnik, z którego wyjął kremową walizkę Britty oraz drugą czarną, która spoczywała nieco głębiej. W międzyczasie Britta razem z mężczyzną, który wsiadł z nią do taksówki na lotnisku, oddalili się w kierunku recepcji.

– Dzień dobry! Czym mogę służyć? – zapytała olśniewająco piękna blondynka stojąca za kontuarem recepcji.

– Gösta Knutsson moje nazwisko. Mam opłacony apartament od dzisiaj...

Kobieta uśmiechnęła się, wystukała na klawiaturze nazwisko, po czym ponownie się uśmiechnęła.

– Widzę, że państwa bagaże już są, bardzo proszę, oto karty do apartamentu numer 516. Igor zabierze walizki i wskaże państwu drogę. Jeżeli są państwo głodni, to zapraszam na śniadanie, które będzie serwowane do godziny 11.

– Dziękuję, czekamy na gościa. Może później zejdziemy na drugie śniadanie – odpowiedział. Britta włożyła rękę mężczyzny pod swoją pachę i razem przytuleni poszli za bagażowym w kierunku windy. Zaraz po wejściu do apartamentu boy hotelowy oprowadził Gösta po trzech pomieszczeniach apartamentu, tłumacząc zasady dogrzewania się klimatyzacją i obsługi ekspresu do kawy. Następnie „pobrał” 10 euro napiwku i zniknął. Gösta otworzył drzwi, rozejrzał się po korytarzu i wywiesił wywieszki „NIE PRZESZKADZAĆ”. Następnie podszedł do każdego okna w apartamencie, najpierw zamknął żaluzje, później zaciągnął ciężkie, ciemnoczerwone zasłony, które prawie na pewno w założeniu projektanta wewnątrz miały pełnić funkcję ozdobną.

Niecałe 10 minut później do holu hotelu Dyplomata weszła Anika Jassem, pozdrowiła uśmiechem blondynkę w recepcji i pewnym krokiem skierowała się prosto do windy. Na piątym piętrze odszukała drzwi oznaczone mosiężnym numerem 516 i zastukała w nie delikatnie paznokciami.

– Cześć – przywitała się z Gösta, który otworzył drzwi, po czym podeszła do Britty i podała jej rękę na powitanie. – Dobrze cię znowu widzieć – powiedziała, patrząc w jej piękne błękitne oczy.

– Ciebie również – odparła Britta i poszła do części kuchennej apartamentu. – Robię kawę i bierzmy się do roboty, chcę mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

– I będziesz miała, dziś się zaaklimatyzuj, natomiast jutro mamy niezmiernie ważny dzień, wreszcie finalizujemy sprawy formalne. A teraz pozwolisz, że zajmę się naszym bezpieczeństwem.

Anika wyjęła z torebki dużą paczkę prezerwatyw i po kolei przeszła wszystkie trzy pomieszczenia apartamentu, zakładając na czujki przeciwpożarowe i czujniki hotelowego systemu alarmowego po jednym kondomie. Gösta w tym czasie otworzył czarną walizkę i wyjął z niej urządzenie do wykrywania kamer i podsłuchów. Szedł teraz od ściany do ściany, machając w powietrzu urządzeniem kształtem przypominającym łapkę na muchy. Podchodził do każdego mebla, każdego elementu

wystroju pokoju i przykładał do niego to dziwnie wyglądające urządzenie. Britta w międzyczasie spieniła mleko i przygotowała trzy kawy latte, wyjęła z barku orzeszki oraz ciasteczka maślane i cały zestaw postawiła na ławie w salonie apartamentu. Usiadła na wygodnym fotelu i patrzyła, jak Anika i Gösta w milczeniu krzątają się po pomieszczeniach, wykonując swoją pracę. Wzięła do ręki puszkę z orzeszkami ziemnymi i zaczęła jeden po drugim wrzucać je sobie do ust. Był to bardziej odruch nerwowy niż potrzeba zaspokojenia głodu. Widziała bowiem, że jej obecna sytuacja życiowa daleko odbiega od planów, jakie snuła, zanim poszła na studia, a przyszłość wydawała się jej tak samo ekscytująca, nieprzewidywalna, ale i pełna niebezpieczeństw.

Rozdział 6

Rajmund Miedzianowski siedział w swoim apartamencie w Gdyni-Orłowo i czytał e-maile, których mimo całego dnia spędzonego w biurze Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON nie zdążył jeszcze przeczytać. Przyjechał godzinę wcześniej do Gdyni z Warszawy na urlop, żeby wyłączyć się z codziennych obowiązków, podładować akumulatory, a przede wszystkim odpocząć od pracy. Do Warszawy miał zamiar wrócić dopiero na święta. Jeszcze raz spojrzął w kalendarz, czy nie zapomniał godziny rozpoczęcia gry. Dzisiaj bowiem był umówiony na zalogowanie się do internetowej gry „World of Tanks” dokładnie o godzinie 20.30. Do gry logował się nieregularnie. Czasami robił to trzy razy dziennie, czasami w nieparzyste dni, czasami po dwóch tygodniach nieobecności w dzień parzysty. Zawsze grał około pół godziny wraz z zespołem złożonym głównie z podrostków-czołgistów dosłownie z całego świata. Poszedł do kuchni, przyniósł sobie puszkę coli, obok niej postawił kieliszek i zmrożoną butelkę wódki. Napełnił kieliszek do pełna, na klawiaturze wystukał swój nick Swordfish1956 i hasło, po czym wszedł do gry. Odnalazł swoją grupę i rozpoczęła się gra. „Wasze zdrowie...” – napisał po angielsku na wewnętrznym czacie do uczestników swojej gry. „Swordfish1956, za godzinę i piętnaście minut wpadaj na amerykański poczęstunek. Na zdrowie. Nie będziesz przecież pił do lustra” – odpisał jego kolega oznaczony nickiem Grozny94. Bardzo chętnie – odpisał Miedzianowski, wychylił kieliszek i wyprostował się na krześle.

– Kurwa mać! No żeż kurwa w dupę jego jebana mać! Chuj by go... Musiał akurat teraz, kiedy chcę mieć dwa tygodnie spokoju! I skąd on wie, że akurat od dzisiaj jestem w Gdyni?!

Wziął dwa głębokie oddechy i wrócił do gry. Grał jeszcze mniej więcej 35 minut, zanim wszyscy po kolei zgłosili chęć zakończenia potyczki.

Czterdzieści minut później, mimo późnej pory, Rajmund

Miedzianowski z trudem znalazł miejsce do zaparkowania przy parkingu przy ulicy Targ Rybny w Gdańsku. Śnieg rozpadał się na dobre, a służby drogowe jak zwykle w Polsce obowiązki wykonywały z ogromnym opóźnieniem. Aby zmieścić swojego dużego lexusa, dosłownie musiał przepchnąć zaspę, o metr wysypując część śniegu z powrotem na chodnik. Wysiadł z auta i szybkim krokiem, pochylając głowę tak, aby białe płatki nie wpadały mu do oczu, udał się w kierunku znajdującej się 200 metrów dalej nad Motławą restauracji Billy's American Restaurant. Kiedy wszedł do środka, skierował się na prawo w głąb sali. W rogu pod oknem siedział przystojny brunet około czterdziestki, popijał piwo, a kiedy go zauważył, przyjaźnie machnął ręką.

– Cześć Roberto! – Miedzianowski podał rękę siedzącemu za stołem mężczyźnie, a ten uśmiechnął się, wyciągając swoją dłoń na powitanie.

– Gwiazdka się zbliża, wszyscy szczęśliwi, a nie powinni – odezwał się z ledwo wyczuwalnym uśmiechem Roberto, jednocześnie wciąż się uśmiechając.

– Wiesz, co myślę? Że ty nawet strzelając komuś w głowę, się uśmiechasz – wyszeptał Miedzianowski.

– No co zrobić, co zrobić. Przecież zło i dobro nie istnieją, więc śmieję się zawsze, obojętnie, co robię. Ty, Swordfish, akurat powinieneś o tym dobrze wiedzieć, bo poznałeś mnie w czasach, kiedy zaczynałem pracę. Zamówiłem nam po tatarze i kieliszku wódki – powiedział to w momencie, kiedy do sali wszedł kelner niosący tacę z zamówieniem. Kelner podał zestawy, obrócił się na pięcie i dosłownie pobiegł w stronę kontuaru. Rajmund odprowadził go wzrokiem i obaj ze skupieniem zaczęli mieszać wołowinę z jajkiem, cebulą oraz ogórkiem.

– Co to jest? – Rajmund pokazał na leżące na krześle obok teczeki Roberto szare urządzenie przypominające wyglądem starego walkmana z dwoma plastikowymi antenami.

– To jest Misza 3. Aparat zagłuszający pracę urządzeń mających tranzystory i układy scalone w promieniu 20 metrów. Druga antena dodatkowo zakłóca fale radiowe. Włączyłem je 10 minut

przed twoim przyjściem. W restauracji nie działają ani monitoring, ani kasa fiskalna i tablet do bonowania zamówień też nie działa – pokazał na kelnera nerwowo szarpiącego monitor.

– Jak zwykle, bardzo sprytnie. Słyszałem o czymś takim, podobno też mamy takie ustrojstwo w firmie.

– Masz dla mnie to, co ostatnio obiecałeś? – zapytał Miedzianowski.

– Mam – Roberto sięgnął do skórzanej teczki spoczywającej na krześle i wyjął z niej szarą kopertę formatu A4.

– Załatwiamy oba tematy?

– Próbujesz mnie obrazić – odparł nonszalancko, kręcąc głową Roberto, i włożył sobie do ust widelec z kawałkiem tataru.

Rajmund otworzył kopertę, na kolanach położył dwa pliki dokumentów. Przewertował pięć kartek, z których każda miała wyciśniętą suchą pieczęć oraz przyklejony srebrny hologram w prawym dolnym rogu. Kiedy przeczytał, że każda kartka jest certyfikatem wystawionym na okaziciela potwierdzającym posiadanie 10 tysięcy akcji amerykańskiej spółki ACHILLION PHARMACEUTICALS po cenie nominalnej 2,9900 dolara za sztukę, uśmiechnął się. Plik kartek włożył z powrotem do koperty. Kolejne trzy zszyte ze sobą kartki były „papierowymi sejfami”, adresem blockchainowym zawierającym kombinację cyfr i liczb, pod którym zdeponowane zostały przez rosyjski wywiad bitcoiny. Po 50 bitcoinów pod każdym adresem jako zaliczka za wykonanie nowego zadania, liczone po kursie 3800 dolarów za bitcoina. Mimo że kurs bitcoina był najniższy od kilku lat, to posiadanie kryptowaluty miało jedną niezaprzeczalnie genialną cechę – zawsze można ją było spieniężyć całkowicie anonimowo. Kiedy wszystkie papiery trafiły z powrotem do koperty, Rajmund podniósł kieliszek do góry i spojrzał w oczy Roberto.

– Stare sprawy mamy pozamykane, a zaliczkę przyjmuję na poczet naszej dalszej współpracy. Na zdrowie!

– Mamy kłopot... Na zdrowie – podniósł kieliszek Roberto i kiedy tylko przełknął zimną wódkę, spojrzał na zdziwioną twarz rozmówcy.

– Jaki kłopot?

– Wywiady powariowały na punkcie SIXARX. Jak widać, obecnie w waszym ministerstwie pracuje więcej szpiegów, niż macie oficjalnie etatów. Fakt, że interesują się tym wszyscy, oznacza, że coś, co miało być tajne, jest już jawne, a przez to, nie daj Boże, stanie się powszechnie dostępne. Nie mogę, nie możemy na to pozwolić. Mimo że to broń, powiedzmy konwencjonalna, to jednak to rozwiązanie w rękach Amerykanów czy Izraelczyków może mieć fatalny wpływ na poczucie bezpieczeństwa. Oczywiście każde państwo może zbudować własny SIXARX. Ale po co, skoro wy już kończycie? Ważniejsze dla mnie jest dzisiaj, żeby projekt nie dostał się w tak zwane niepowołane ręce. Nie muszę cię przekonywać, że SIXARX w rękach terrorystów to byłby prawdziwy armagedon. Nikt na całym świecie nie mógłby czuć się bezpiecznie, miałyby to wpływ na poczucie bezpieczeństwa najważniejszych polityków, głów państw, w tym na przykład także papieża. I tak dalej. Co ci będę więcej mówił?!

– Myślę, że przesadzasz albo w GRU macie wyolbrzymione dane. O tym projekcie w zasadzie nikt nie wie. W ministerstwie wiedzą o tym trzy osoby włącznie ze mną, nawet w prywatnym zakładzie, gdzie SIXARX jest projektowany, wie o nim tylko zespół badawczy, łącznie siedmiu naukowców plus dwie osoby z administracji, i zarząd oczywiście. Całość projektu nadzoruje profesor Skarżyński i tylko on dysponuje całościową wiedzą nad projektem. Także to on bezpośrednio raportuje do zarządu oraz mojego szefa.

– Jeżeli w MON wiedzą o tym tylko trzy osoby, to wystarczy, że pozostałe dwie są szpiegami innych wywiadów – Roberto się uśmiechnął. – W jakim stanie według twojej wiedzy znajduje się na dziś projekt?

– Finalnej. Trwają ostatnie testy. Wstępnie w drugiej połowie stycznia zaplanowaliśmy ostatnie próby poligonowe. – Miedzianowski sięgnął do wewnętrznej kieszeni i położył tuż obok talerza rozmówcy małą kartę pamięci. – Tutaj masz kopię dwóch ostatnich e-maili z rozszyfrowanymi raportami z ośrodka badawczego. Nie ciesz się za bardzo, bo są to informacje ogólne,

e-maile nie zawierają żadnych informacji technicznych.

– Będziemy potrzebowali kompleksowej informacji o efektach działania SIXARX po próbach poligonowych, obojętnie, czy efekt będzie zadowalający czy nie, chcemy dostać natychmiast kopię projektu.

– Nawet ja nie mam wstępu do laboratorium, ponieważ trwają tam prace. Także nad innymi tajnymi projektami. Nie mam do nich dostępu, bo zajmują się nimi inne komórki ministerstwa. Laboratorium jest sterylne, do poszczególnych stref wchodzi tylko naukowcy odpowiedzialni za dany projekt, nie działają wewnątrz żadne telefony, a komputery potrzebne do obliczeń i projektów nie są nawet podłączone do sieci energetycznej, tylko zasilane z akumulatorów, które z kolei są ładowane przez fotowoltaikę zamontowaną na dachu budynku laboratoryjnego. Internetu, jak się domyślasz, też nie ma. Do laboratorium nie prowadzą żadne przewody elektryczne z sieci ogólnej i nie ma z nim łączności. Strefa badawcza jest całkowicie zamknięta. Nie ma nawet podłączenia do kanalizacji, a gówna naukowców płyną prosto do oczyszczalni ekologicznej. Naukowcy wchodząc do miejsca pracy, są prześwietlani i skanowani. Nie wolno im wnosić żadnych przedmiotów osobistych ze sobą. W zakładzie oprócz oficjalnego łącznika z MON działa dwuosobowa, tajna agentura wywiadu wojskowego. Pilnują dyskretnie, prześwietlają pracowników poza oficjalną procedurą. Informują wywiad o wszystkim, co się dzieje w zakładzie.

Roberto najpierw ze zrozumieniem pokiwał głową, później wsparł podbródek na lewej dłoni – Opowiadasz, jakbym o tym wszystkim nie wiedział. Ta tajna agentura to Leśniak z logistyki oraz inżynier Gajny z działu ekspertyz. Zresztą nie jesteśmy od nich gorsi, bo przecież mamy w zakładzie „śpiocha”, instalowałeś go parę lat temu. Czas go obudzić, pracuje już na tyle długo, że kontakt z nim nie wzbudzi niczyich podejrzeń, a dla naszej akcji może być bardzo pomocny. Jest w Veltronexie na co dzień i widzi rzeczy, o których ty nie wiesz. Każde zabezpieczenie ma dziurę, a może nawet dziury. Na pierwszy rzut oka nigdy ich nie widać, ale jeśli się trochę przyjrzymy, to z pewnością uda nam się coś

znaleźć. Dokumentacja projektu SIXARX musi trafić w nasze ręce tak, żeby nikt się nie dowiedział, że nastąpił przeciek. Budź go, obudź „śpiocha”, jest nam pilnie potrzebny! – ostatnie dwa zdania wycodził przez zęby, zupełnie „gubiąc” włoski akcent.

– Oczywiście. Zrobię to jeszcze przed świętami.

– Spiesz się.

Rozdział 7

10 grudnia

Mimo że do rozpoczęcia kalendarzowej zimy zostało jeszcze kilkanaście dni, a ciepła jesień trwała dosłownie do wczoraj, nad Paryżem wisiały gęste jak wata śniegowe chmury. Teraz ich kłęby niczym gigantyczne sterowce przesuwały się po niebie, sypiąc ze swych brzuchów płatkami śniegu jak pociskami. Ponad nimi po sam horyzont rozpościerał się nieprzebrany, gruby dywan szarych chmur. Viviane weszła do ogromnej stylowej jadalni ze srebrną tacą w rękach. Na leżący na tacy porcelanowy talerzyk z pietyzmem ułożyła wcześniej dwa rogałe z dżemem, oddzielając je od siebie serwetką, i potrójną kawę ristretto wlaną w dwie osobne filiżanki.

– Dzień dobry panu! – powitała gospodarza, domknęła lewe skrzydło drzwi kolaniem i postawiła tacę na okrągłym stole, który wielkością mógłby konkurować ze stołem króla Artura. Arnaud Pieto stał przy oknie ze wzrokiem wlepionym w znikające w śnieżnej bieli dachy samochodów. Skinął głową na powitanie Viviane i stanowczo odchrząknął kilka razy.

– No to mamy zimę. Jeszcze 15 minut temu ulice były czarne, a teraz spoczywa na nich już kilka centymetrów śniegu. Będą dzisiaj korki w mieście jak nic.

– Phi! – zachnęła się Viviane. – Korki to w Paryżu są, odkąd się urodziłam, a zwłaszcza teraz, przed świętami. Podziwiam ludzi, że wsiadają do samochodów w tym okresie. Ludzie praktyczni metrem jeżdżą, panie Pieto.

Mężczyzna uśmiechnął się z przekąsem. Mimo swoich 62 lat metrem jechał tylko raz, 17 lat temu, na prośbę swojego lekarza, żeby przełamać tkwiące w nim od dzieciństwa natręctwo, pewnego rodzaju fobię. Pamięta dokładnie, kiedy to było, bo został wtedy okradziony przez dwóch naturalizowanych marokańskich Francuzów. Stracił kilka tysięcy franków i portfel

z napletków renifera, który został mu подарowany przez fińskiego kolekcjonera dzieł sztuki, jednonogiego Jukkę Koivu. Siedząca w jego umyśle fobia to najważniejszy powód, dla którego Arnaud Pieto nie jeździł żadnym środkiem komunikacji masowej. Pieto po prostu brzydził się obcymi ludźmi. Ten tłum, ścisk, obecność innych, zbyt nachalne zapachy perfum, ścisk, bezsensownie wymieniane między sobą słowa, łupież, pot, plucie na siebie w czasie mówienia, ocieranie, podawanie dłoni kichanie, dłubanie w nosie, uchu, tiki – to wszystko w irracjonalnym poziomie nachalności docierało do wszystkich pięciu zmysłów.

Mierziło i drażniło. Widział wszystko, czuł dziesięciokrotnie bardziej niż inni. Wrażenia te potęgowała niezwykle dla przeciętnego śmiertelnika synestezja, którą odczuwał. To niewyjaśnione zjawisko polegające na odbieraniu muzyki, kolorów nie tylko słuchem, wzrokiem, a także pozostałymi zmysłami pomagało mu w obcowaniu z dziełami sztuki, ale w codziennym życiu bywało koszmarem. Pieto jako synestetyk był bardzo wrażliwym człowiekiem, estetą wielbicielem prawdziwego, aczkolwiek martwego piękna, jakim są obrazy i rzeźby. Chociaż w jego świecie każdy obraz żył życiem, jakie może dostrzec tylko wąska grupa wybrańców. Kiedy dotykał faktury obrazu, patrzył na namalowany żółty łan zboża, czuł zapach waniliowy, odczuwał kwaśny smak w ustach i słyszał jego muzykę. Muzykę płynącą z koloru. Niezwykły dar u niezwykłego, nietuzinkowego człowieka.

Arnaud Pieto, zwany przez bliskich Arnim, był szpakowatym mężczyzną o śniadej cerze. Synem generała lotnictwa Jeana-Luca Pieto, który pomiędzy wizytami w burdelu, pićm wina a biciem matki zajmował się wpajaniem synowi wojskowego drylu. Mimo upływu czasu, zarówno wyjątkowo smukła sylwetka, jak i sprężysty krok mogły świadczyć mylnie o tym, że Arnaud Pieto był wojskowym. Arni był kolekcjonerem, a może przede wszystkim handlarzem i złodziejem dzieł sztuki. Kierował jednoosobowym syndykatem, kradnąc dzieła sztuki na zlecenie, a także na własne potrzeby.

Kradzieże dokonywane były na całym świecie w sposób najbardziej zuchwały, niewiarygodny i spektakularny zarazem. To jego sprawką była kradzież z Muzeum Isabelli Stewart Gardner w Bostonie dzieł sztuki za rekordową kwotę 300 milionów dolarów w 1999 roku, podczas pokazu sztucznych ogni z okazji przełomu tysiąclecia, z Ashmolean Museum w Oksfordzie skradziono obraz Cézanne'a „Widok Auvers-sur-Oise” wyceniany przez ekspertów na prawie cztery miliony dolarów, z kolei w lutym 2006 roku z Muzeum Chacara skradziono cenne obrazy autorstwa Moneta, Picassa, Salvadora Dali i wielu innych znanych malarzy. Arnaud Pieta włamania zlecał. On całość tylko i aż nadzorował. Od dwóch lat, od kiedy jego dwaj siostrzeńcy zmężnieli i zaczęli uczyć się fachu, pojawiły się realne szanse na przejście na zasłużoną i pozbawioną finansowych trosk emeryturę. Teraz właśnie oni dwaj, począwszy od nowo planowanego skoku, mieli przejąć ciężar bezpośredniego ryzyka na siebie. Od jakiegoś czasu Arni zwykł mówić do siostrzeńców, że dopiero zaczyna być prawdziwym szefem, bo może skupić się wyłącznie na planowaniu i powiększaniu rodzinnego majątku. W samych nieruchomościach, wraz z superluksusowym 300-metrowym mieszkaniem przy Champs-Élysées, ulokował ponad 350 milionów dolarów. W wartościowym apartamencie mieszkał sam.

Uważał je za zbyt cenne, aby wynajmować je komukolwiek. W najbliższym sąsiedztwie ulokowane były jego ulubiona restauracja Léon de Bruxelles czy nowoczesna L'Atelier Renault, gdzie uwielbiał pić przedpołudniową kawę, patrząc na stojący na środku bolid Formuły 1. Miłości do samochodów Renault, mimo że był francuskim nacionalistą, nie miał nawet krzty. Uważał, że firma oszukuje rodaków, sprzedając im jednorazowe, tanio wykonane pojazdy za coraz większe pieniądze. Jednak niespotykany klimat tej przedziwnej restauracji-kawiarni bardzo mu odpowiadał i koił jego niechęć do rodzimej motoryzacji. Nawet czasem potrafił się skusić na pysznego burgera podawanego na życzenie z sosem musztardowym robionym przez kucharza na miejscu. Kulinaryny majstersztyk. Jednak ze

względu na chorobę nazywaną przez siebie ludowstrętem do żadnej z tych restauracji nie chodził osobiście. Zamawiał z nich dania do domu, a co się dzieje w ich wnętrzach, co zmienia się w środku, wiedział z obserwacji przeprowadzanych regularnie przez wojskową lornetę nożycową, którą ulokował na trójnogu przy oknie. Znał imiona obsługi, rozpoznawał stałych klientów i wiedział, kiedy jest dostawa świeżych warzyw czy wina.

Arnaud Pieto spojrział w kierunku Léon de Bruxelles, pokonując wzrokiem własne odbicie w szybie. Przez miliony lecących z góry płatków śniegu restauracja była prawie niewidoczna. Na moment przyjrzał się swojemu odbiciu, poprawił starannie fryzurę, obszedł ostrożnie ogromną trzymetrową choinkę ozdobioną w tym roku wyłącznie srebrnymi bombkami według wzorów Cartier i Versace, podszedł do stołu, usiadł na rzeźbionym krześle pamiętającym czasy Maximiliena de Robespierre'a i bez słowa zaczął jeść śniadanie. Gospoia Viviane delikatnie się ukloniła i zniknęła za wysokimi na dwa i pół metra dwuskrzydłowymi drzwiami. Tak jak najbardziej lubił, został sam ze sobą, pogrążony we własnych myślach. Spojrzął na zegarek, miał jeszcze 15 minut. Punktualnie o godzinie 9.15 usłyszy wysoki dźwięk dzwonka zapowiadającego przybycie spodziewanych gości. Viviane otworzy drzwi i zostanie postrzelona w nogę. Kiedy się przewróci, jeden z bandytów kopnie ją w szczękę jak najmocniej, najlepiej tak mocno, żeby się złamała. Później obaj bandyci ją zwiążą, zakneblują i zaciągną do kuchni, żeby niczego nie widziała i nie była niczego świadkiem. Pewnie, gdyby nie fobia przed ludźmi, kazałby ją zastrzelić, żeby napad wyglądał wiarygodnie. Jednak wiedział, że w jego wypadku znalezienie nowej gosposi i zaakceptowanie jej może zająć mu nawet rok. Gra nie była warta świeczki, zdecydował pozostawić ją przy życiu. „Jak widać, choroba może czasem uratować komuś skórę. Groteska teatru życia. Zabiłbym tysiące osób, żeby pozbyć się tej choroby” – pomyślał na głos i przełknął kęs rogala. Ponownie spojrzął na zegarek. Minęło zaledwie pięć minut. „Dziesięć minut, długie dziesięć minut...” – ponownie zatopił się we własnych myślach.

Pieto nie musiałby się uciekać do takich prymitywnych maskarad, gdyby nie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który wydarzył się trzy lata temu. Jego stały klient, 65-letni Helmut Stigg z Berlina, zachorował na raka mózgu. Atak guza był błyskawiczny, bo mężczyzna stracił kontakt z otoczeniem z dnia na dzień, zanim zdiagnozowano chorobę. Postępowała ona tak szybko, że zapowiadało się, że Stigg nie przeżyje czterech tygodni. Spadkobiercy w osobach jego trzech synów wyglądających jak klony młodzieńców z Hitlerjugend już stali nad ojcem w oczekiwaniu, kiedy wyda ostatnie tchnienie. Gdyby tylko wiedzieli, co Helmut Stigg ukrył w płaskim schowku w ścianie swojego okazałego domu... Były to dwa panele wykonane przez Maxfielda Parrisha na zamówienie pani Gertrude Vanderbilt w 1914 roku. Oba ukraść Arni Pieto z galerii w West Hollywood w roku 2002 właśnie na jego zlecenie. Teraz sytuacja stała się niebezpieczna. Jeżeli głupi synowie znaleźliby przez przypadek te obrazy i chcieliby je sprzedać, to oczywiście jest, że zostaliby aresztowani, a policja zaczęłaby się interesować kontaktami Herr Stigga. Bezsprzecznie Helmut Stigg w książeczce telefonicznej miał zapisany numer do swojego dostawcy, nie daj Boże, spisywał jakieś notatki czy prowadził pamiętnik. Pieto postanowił dyskretnie wyjąć ze schowków oba obrazy, zanim śmiertelna choroba zrobi z mózgu Niemca papkę i pośle go na śmierć. Ciemnej, bezksiężycowej nocy wyłączył system alarmowy i włamał się do jego domu. Ubrany w czarny strój jak wojownik ninja bezszelestnie przemknął po szerokich jak ulice korytarzach domu, aż dotarł do sypialni, w której pod aparaturą leżał jego były klient. Przeszedł obok łóżka wprost do drzwi wiodących do gabinetu. Odszukał znajomy mu, zamaskowany schowek, otworzył zamek ukryty pod kasetonem, po czym wyjął ze skrytki dzieła sztuki. Założył na nie specjalną klamrę, przełożył do czarnego bawełnianego worka, który to z kolei przewiesił przez plecy, i tą samą drogą, którą przybył, wyszedł z gabinetu wprost do sypialni. Światło latarki bardziej przypadkiem niż celowo na moment skierował na łóżko. Przerażony spostrzegł jednego z synów Helmuta Stigga, leżącego

na ojcu, który właśnie kończył dusić go poduszką. Młodzieniec zerwał się na nogi, zszokowany otworzył szeroko usta, by po chwili po rozpoznaniu w ciemności sylwetki wojownika ninja z workiem na plecach rozedrzeć się jak niemiecka syrena podczas alianckich nalotów.

– Morderca! Morderca! Pomocy! – krzyczał i uciekał w głąb korytarza, byle jak najdalej od zamaskowanego złodzieja.

Pieto, aby umknąć i ocalić skórę, musiał porzucić ciężkie, warte miliony dolarów dzieła sztuki. Kiedy wsiadał do wynajętego na fałszywe nazwisko mercedesa zaparkowanego tuż obok brzydkiego bloku przy Schlangenbader Strasse, policja już wjeżdżała na teren posiadłości Helmuta Stigga. Śledczy znaleźli zwłoki właściciela domu i dwa porzucone w bawełnianym worku panele. Rozpoczęło się zakrojone na szeroką skalę śledztwo w sprawie morderstwa Stigga i osobne w sprawie odnalezionych w jego domu trefnych dzieł sztuki.

Arnaud Pieto już po tygodniu został przesłuchany przez Interpol w jednej i drugiej sprawie. Jak słusznie przypuszczał, w notecie Stigga był istotny zapis dotyczący jego osoby: „Arnaud Pieto, Paris – zlecenia specjalne, tel. 0231401048”. Mimo że śledczym nie udało się udowodnić jego obecności w domu Helmuta Stigga feralnej nocy, to czujni detektywi Interpolu wpisali go na listę osób szczególnie niebezpiecznych, podejrzanych o morderstwa na zlecenie, kradzieże i nielegalny obrót dziełami sztuki. Od tamtej pory Pieto zawsze, kiedy wyjeżdżał z domu za granicę, był dyskretnie śledzony, a jego komórka była na podsłuchu.

To właśnie przez tę cichą inwigilację zdecydował się na przypięczętowanie swojego przejścia na emeryturę napadem rabunkowym na własny dom. Pieto, niejako przy okazji, chciał się pozbyć niektórych dzieł sztuki, które zdobiły ściany jego okazałego mieszkania. Każdy z obrazów miał certyfikat autentyczności i był zgłoszony do zbiorowej polisy ubezpieczeniowej zawartej w towarzystwie Allianz. Suma ubezpieczenia polisy opiewała na niebagatelną sumę 7 222 000 euro. Kradzież ubezpieczonych dzieł sztuki była bardzo dobrym

interesem. Oczywiście skradzione sobie samemu dzieła sztuki miał zamiar sprzedać za przyzwoite pieniądze na czarnym rynku najbliższym zaufanym klientom. Taką wersję przedstawił swoim, ponieważ za odegranie tego spektaklu odpowiedzialni byli jego dwaj siostrzeńcy – Yves Lavoisier i Timon Thouvenin.

To nie koniec jego chytrego planu. Stary złodziej przy okazji jednej awantury chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zależało mu na zmyleniu śledczych, ponieważ Arnaud Pieto przyjął zlecenie na kolejną kradzież na terenie Europy. Tym razem zlecenie w istocie różniło się od tych zwykle przez niego przyjmowanych. To miał być majstersztyk. Akt złodziejski był niezwykle wymagający, a przedmiot tym razem nie był dziełem sztuki, był czymś, co kryło się pod tajemniczą nazwą SIXARX. Z uwagi na skomplikowany system zabezpieczeń, który go chronił, jego kradzież miała być wyjątkowo hojnie wynagrodzona przez anonimowego zleceniodawcę. Arnaud po długim namyśle uznał, że tą sprawą będą mogli się zająć jego dwaj siostrzeńcy, kiedy on i jego gosposia będą leżeli w szpitalu i opatrywali rany po napadzie.

Kiedy Arni kończył drugą filiżankę ristretto, do jego uszu dobiegł dźwięk dzwonka do drzwi. Spojrzał na zegarek, była dokładnie godzina 9.15. Przełknął ostatni łyk kawy, oparł się o masywne oparcie stylowego krzesła, uśmiechnął i zastygł w oczekiwaniu na zaplanowany rozwój wydarzeń. Najpierw usłyszał wyraźny dźwięk otwieranych drzwi wejściowych, a później dwa ciche, następujące jeden po drugim „pif, pif”, po których nastąpiło głośne zwalenie się ciała Viviane na podłogę. Po tym drzwi wejściowe się zamknęły, a do jadalni weszło dwóch roślących mężczyzn w kominiarkach na głowach.

– Czemu strzeliłeś do Viviane dwa razy? Raz by wystarczył – powiedział bezbarwnym spokojnym głosem.

– Nie wiem, jakoś tak wyszło – odparł mężczyzna z małokalibrowym pistoletem w ręku.

– Po jednym strzale mogłaby przeżyć. A tak pewnie jest już trupem – powiedział drugi, wyciągając rolkę taśmy klejącej z kieszeni kurtki.

– Jak to?! – uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Arniego, zamiast niego pojawiło się zdumienie, bo mężczyzna stojący z pistoletem opuścił nieco lufę i strzelił. Kula przeszła łydkę dziesięć centymetrów pod lewym kolaniem.

Arni odgiął się do tyłu, obiema rękoma złapał się za piekącą łydkę, otworzył szeroko usta, zaczął krzyczeć z bólu. Zrobił to jak na zamówienie, gdyż stojący koło niego mężczyzna z rozwiniętym kawałkiem taśmy pakowej szybkim ruchem zakleił mu usta. Na tyle mocno, żeby wywołać nowy ból, i na tyle szczelnie, żeby uniemożliwić mówienie. Grymas cierpienia nie ustępował z twarzy Arniego, a na czole pojawiły się krople potu. Krew spomiędzy palców zaczynała kapać na nogawki spodni kupionych w butik u Karla Lagerfelda. Był tak skupiony nad opanowaniem przeszywającego całą lewą stronę, promieniującego w górę bólu, że nie zauważył, kiedy do jadalni wszedł trzeci mężczyzna, który najwyraźniej cały czas musiał znajdować się w hallu. Spojrzał na niego przez przymrużone powieki. Mężczyzna miał nie więcej niż 35 lat, był nieco niższy niż jego dwaj współnicy i w przeciwieństwie do nich nie miał założonej kominiarki. Spod ciemnej, kruczoczarnej grzywki patrzyły teraz na niego lazurkowe jak morze w Nicei duże oczy. Mimo bólu, który tłumił zmysły, Pieta rozpoznał w mężczyźnie Rafika Bellaïda. Dobrze go znał, spotkał się z nim kilkakrotnie. Kilkakrotnie, ponieważ Rafik odbierał od niego skradzione na zlecenie szejka M'Bohli Ouhaba obrazy. Rozszalałe zmysły Arniego poczuły smak, woń nadchodzącej śmierci, smak koloru czarnego, otchłani szarości, której jeszcze nigdy nie czuł tak wyraźnie. Synestezja, którą odczuwał od urodzenia okazała mu się teraz w pełnej krasie, z niespotykaną mocą. Nawet ból przestrzelonej nogi nie był w stanie zaburzyć odbierania bodźców. „To nie jest zwykły napad, oni przyszli mnie zamordować, zlikwidować! Akurat dziś, akurat przed świętami! Muszę negocjować, muszę negocjować!” – przez umysł z prędkością TGV przelatywały dziesiątki myśli, z których musiał wybrać jedną, tę właściwą, która pozwoli mu zaproponować coś, co zadecyduje, że Algierczyk pozostawi go przy życiu. Musiało

być to coś, co spowoduje, że będzie się to Arabowi opłacało.

– Piiiiiiii, Piiiiiiii – świdrujący uszy dźwięk dzwonka do drzwi oznajmił przybycie jego spóźnionych o trzy minuty siostrzeńców.

Arnaud Pieto zamknął oczy. Zdał sobie sprawę, że kiedy jego siostrzeńcy wejdą do środka, zostaną natychmiast zastrzeleni. Gorzkie łzy bezwiednie pociekły mu po policzkach. Mimo że chciał krzyczeć, taśma, którą miał okręcone usta i głowę, pozwalała jedynie na wydawanie cichych pomrukiwań. Z uwagi na przestrzeloną nogę nie mógł nawet wstać, rzucić się biegiem do hallu i ostrzec ich przed grożącym im niebezpieczeństwem. Jeden z zamaskowanych bandytów położył ciężką rękę na ramieniu Arniego, uniemożliwiając mu wykonanie jakiegokolwiek ruchu. W tym czasie Rafik wyjął zza pazuchy pistolet i razem z drugim bandytą cichutko, stawiając ostrożnie kroki, poszli w stronę drzwi.

Część drzwi rozprysnęła się, przesywając powietrze tysiącami drobnych igiełek składających się z popękanej farby i drzazg. Nanosekundę później ich dwie białe części, niczym wielkie skrzydła anioła, na moment zawisły na górnych zawiasach, po czym zwały się z hałasem na podłogę. Grad kul wystrzelonych z karabinków Heckler & Koch powalił na ziemię Rafika Bellaida i jego zamaskowanego kompana, znacząc krwawymi rozbryzgami kremową ścianę hallu.

– Policja, policja! Ręce do góry! – po ogromnym mieszkaniu Arnauda Pieto we wszystkich możliwych kierunkach rozbiegło się 20 policjantów z Groupe d’Intervention de la Gendarmerie Nationale. Kiedy pięciu z nich dotarło do jadalni, w której na krześle siedział zakneblowany Arni, zamaskowany bandyta przyłożył mu nóż sprężynowy do gardła i mocno go do niego przycisnął.

– Wycofać się kurwa! Wycofajcie się, bo go zarżnę jak cielaka! – ledwo skończył zdanie, gdy szyba w oknie wydała suche stęknienie i jego głowa rozbryznięta się, a jej kawałki poszybowały w kierunku stojących kilka metrów przed nim policjantów. Wieńcząc tę pełną dramaturgii scenę, oczy bandyty wesoło jak piłeczki pingpongowe potoczyły się wśród kawałków

czaszki, fragmentów kominiarki, mózgu i włosów leżących na kaszmirowym, wartym kilkadziesiąt tysięcy euro dywanie. Policyjny snajper, który strzelał znaną znajdującą się naprzeciwko kawiarni–restauracji L’Atelier Renault, znał się na robocie. Arnaud Pieto był ocalony. Brygada antyterrorystyczna w międzyczasie skończyła przeczesywać pokoje. W pomieszczeniach zostało tylko trzech policjantów, reszta się wycofała.

Zaledwie zniknęli w rozbitych drzwiach, do środka mieszkania weszło dwóch ubranych w cywilne ubrania detektywów, za których plecami, nerwowo rozglądając się, szli dwaj pielęgniarze z czerwonymi noszami. Jeden z policjantów, szczupły blondyn z wystającymi kośćmi policzkowymi, pochylił się nad leżącym w korytarzu trupem bandyty w kominiarce i zdjął ją z głowy nieboszczyka jednym mocnym szarpnięciem. Popatrzył na młodą twarz mężczyzny wykrzywioną w nienaturalnym grymasie pośmiertnego zwiotczenia mięśni. Spojrzał porozumiewawczo na swojego kolegę, kominiarkę rzucił na podłogę, przeszedł przez korytarz i wszedł do jadalni, gdzie z wyprostowaną, przestrzeloną nogą na krześle siedział Arnaud Pieto.

– Zdejmij mu z rzyja tę taśmę! – nakazał stojącemu obok antyterrorystyce.

Ten, bez zbędnej troski, złapał za koniec taśmy i energicznie szarpiąc, odkleił okręconą wokół głowy Arniego taśmę razem ze sporą ilością włosów.

– Witam, panie Pieto. Nazywam się Jacques Ypres komisarz Ypres, oczywiście zdaje pan sobie sprawę z faktu, że uratowaliśmy panu przez przypadek życie.

– Tak, zdaję, zdaję. Lekarza, potrzebuję lekarza, bo się za moment wykrwawię – odparł, całkiem dobrze udając histerię.

– Przy postrzale w łydękę wykrwawienie jest niemożliwe, panie Pieto. Sam pan widzi, że krwi jest niewiele. Wie pan, kim byli mężczyźni, którzy pana postrzelili, i czego chcieli?

– Nie wiem, kto to był. To jakieś arabskie przybłędy, pewnie bezdomni. To był napad, zwyczajny napad.

– Panie Pieto, proszę mnie nie obrażać i nie uwłaczać dekadzie

mojej służby w policji kryminalnej. Wiem, że pan wie, że jeden z mężczyzn zabitych tu dzisiaj nazywa się Rafik Bellaid. Spotkał się już pan z nim, nieraz.

– Nie znam go. Nigdy go nie widziałem. Lekarza, potrzebuję lekarza! – Arni zaczął krzyczeć.

Sanitariusze, którzy cały czas czekali w wejściu do jadalni i przyglądali się cierpiącemu mężczyźnie, teraz weszli do środka i rozstawili nosze na dywanie. Policjant gestem ręki powstrzymał ich, złapał za jedno z 12 krzeseł stojących przy stole i podsunął je swojemu koledze. Sam usiadł na brzegu stołu i zaczął przyglądać się Arniemu, jednocześnie cmokając przez zęby.

– Dobrze. Utrzymuje pan więc, że nie zna mężczyzny o imieniu Rafik. A tych dwóch pozostałych? – pokazał palcem na leżące po jego prawej stronie zwłoki mężczyzny z rozerwaną na kawałki głową.

– Przecież oni mieli kominiarki na głowach! Lekarza, człowieku, lekarza! – grał swoją rolę Arni.

– Wie pan, panie Pieto, czemu się tu znaleźliśmy? Wie pan, czemu zawdzięcza to cudowne ocalenie?

– Neeee – wyjęczał.

– Tak się szczęśliwie złożyło dla pana, że regularnie podsłuchiwaliśmy Rafika w związku z jego kontaktami z grupami terrorystycznymi. A o pana planach dowiedzieliśmy się... powiedzmy z innych źródeł. Wiedzieliśmy wszystko od początku, co i jak się wydarzy. Przypadkiem zaplanowaliśmy waszą mistyfikację na tę samą godzinę co ci nieboszczycy napad na pana. Pańscy siostrzeńcy są bardzo gadatliwi, nie rozumiem tylko, dlaczego się nie zjawili, tak jak zaplanowaliśmy.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi? – ratował się Pieto.

– Dokładnie pan rozumie... Mogliśmy poczekać, aż wystrzelacie się wzajemnie, lub wkroczyć do akcji. Wiem, że do pana dotarło, że uratowaliśmy panu i pańskim siostrzeńcom życie.

– Większej głupoty nie słyszałem. Skoro tak miało być, jak pan mówi, to czemu jestem tu sam? Gdzie są Yves i Timon?

– Nie wiem, ale się dowiem. Jeżeli żyją, to ich zatrzymam w areszcie i wszystkiego się dowiem, to tylko kwestia czasu. Tacy

jak oni zwykle pękają po 24 godzinach na dołku.

– Nie wiem, o czym pan mówi, komisarzu! Zresztą nawet jeśli by ta pana szalona teoria była prawdziwa, to i tak nic to panu nie da. To, co pan mówi, nie ma żadnej wartości procesowej. Moi siostrzeńcy nie przyszli, a ja zostałem napadnięty i postrzelony przez bandytów. Potrzebuję lekarza, lekarza! Słyszysz pan?! Jestem ofiarą!

– Histeryk z pana pierwszej klasy – detektyw siedzący na stole uśmiechnął się tak, jakby cierpienie Arniego sprawiało mu satysfakcję. Jeszcze sobie porozmawiamy, nie raz i nie dwa, panie Pieto. Tymczasem może pan jechać do szpitala – skinął na łapiduchów, którzy szybkim krokiem podeszli do rannego. Ułożyli go ostrożnie na noszach, do których został przypięty pasami na przylepce. Pielęgniarze z największym trudem podnieśli nosze z dygoczącym jak w hipoglikemicznym ataku mężczyzną. Nosze wpadły w tak silne wibracje, że ledwo byli w stanie zejść po schodach kamienicy. Kiedy wyszli na podwórko, ostatnie 10 metrów, jakie dzieliło ich od karetki, przebyli biegiem. Nosze wjechały z impetem po prowadnicach do wnętrza karetki, pielęgniarze szybko zatrzasnęli drzwi, syreny karetki rozcięły ciszę trzytonowym nieprzyjemnym dla ucha dźwiękiem. Arnaud Pieto jechał do szpitala.

Rozdział 8

Maciej obudził się w świetnym humorze. Był to bowiem kolejny dzień z rzędu, kiedy budząc się, nie powiedział „kurwa mać!”. Zamiast tego uśmiechnięty poprzeciągał się na łóżku, przez następne pół godziny przeglądał jeszcze kupione dzień wcześniej magazyny z modą i luksusowymi podróżami. W końcu znudzony rzucił czasopisma na podłogę, poprawił poduszkę pod głowę i sięgnął po laptopa. Włączył Facebooka, najpierw sprawdził reakcję na swój wcześniejszy post. Tak jak się spodziewał, nikt na niego nie zareagował. Czas było na uderzenie, czas było szokować! Jako kolejny post wkleił swoje selfie przy dwóch samochodach Volvo, które dzień wcześniej zrobił w salonie. Podpisał je: „Nie mogę się zdecydować? Które auto wybrać? Pomóżcie!”. Zamknął, a właściwie trzasnął pokrywą laptopa i zadowolony z siebie wystrzelił z łóżka jak sprężyna. Energicznie odsłonił okna, a jako że całe niebo było mocno zachmurzone, włączył światło i uśmiechając się, w podskokach oddalił się w kierunku łazienki. Uśmiech nie schodził z jego twarzy, nawet kiedy mył zęby. Pasta pryskała na lustro, szybę od kabiny prysznicowej, a nawet na sufit. Niezrażony, uśmiechnięty jak debil szczotkował zęby i podskakiwał ze szczęścia. W pewnym momencie, cały czas trzymając szczoteczkę w ustach, całkiem nagi wybiegł z łazienki, włączył telewizor na ulubiony kanał muzyczny Disco Polo TV. Głośne łup, łup, łup wybijające niezbyt ambitny rytm piosenki oznajmiło, że właśnie leci jego ulubiony utwór, stary hit „Jestem jak adrenalina”. Teraz Maciej jakby dostał szału. Rzuciło nim w tanecznym pląsie, wyjął szczoteczkę z ust i stojąc nago przed telewizorem, zaczął wyginać się „seksownie”, poruszać biodrami, z całych sił starał się naśladować ruchy brunetki męczącej się śpiewaniem tego utworu. W końcu nadszedł czas na refren piosenki i Maciej podskoczył, odwrócił się w kierunku okna, zaczął śpiewać do szczoteczki jeszcze głośniej, jeszcze mocniej ruszał biodrami,

kręcąc teraz nimi jak kobieta. Jednak kiedy spostrzegł trzy młode dziewczyny w oknie znajdującej się vis-à-vis biblioteki publicznej, od którego dzieliła go odległość nieprzekraczająca piętnastu metrów, jego ruchy najpierw zwolniły, a ręka ze szczołeczką opadła. Sekundę później Maciej rzucił się pod parapet.

– Kurwaaa! Jasna dupa, znowu coś musiałem odwalić! – powiedział i wysunął czubek głowy ponad parapet. Nawet krótkowidz z tej odległości zobaczyłby trzy pokładające się ze śmiechu dziewczyny z telefonami komórkowymi w rękach. Pokazywały palcami na wystające ponad parapet blond włosy oraz oczy Kupczyka i się śmiały. Musiały śmiać się tak głośno, że jakaś starsza kobieta w okularach, najpewniej bibliotekarka, wyszła zza regałów i otwierając szeroko usta, wymachiwała w kierunku dziewcząt groźnie prawą ręką. Muzyczny striptiz, a także nagrywanie materiału wideo zostały zakończone. Maciej wyrzwał jeszcze raz dla pewności, na czworakach podszedł do ściany i wyłączył światło.

Pół godziny później dobry humor powrócił, kiedy do nowo zakupionej torby marki Samsonite wkładał nowiutkie markowe buty sportowe, dwie nówki koszule z długim rękawem od Lacosty, cztery również nowe T-shirty. Ręcznik kąpielowy, cztery pary majtek, cztery pary skarpetek, kalesony, sweter oraz kosmetyczka napchana nowymi kosmetykami wypełniły wnętrze torby do końca. Maciej stanął przed dużym lustrem, odgryzł metkę od puchowej kurtki Nike, a kiedy miał ją już na sobie, zasunął zamek, poprawił świeżo i modnie przystrzyżone włosy i uśmiechnął się sam do swojego odbicia. Wyglądał lepiej niż świetnie. Począwszy od butów ze skóry jaka, przez jeansy, kurtkę i fryzurę, a skończywszy na – zdawałoby się – jaśniejszych niż zwykle błękitnych oczach, jego wygląd daleko odbiegał od tego, do którego zawsze był przyzwyczajony, wychodząc z domu do pracy. No i jeszcze ten obłądny zapach perfum. „Nie do wiary, że wystarczyły niecałe 3 tysiące złotych, żebym zmienił się w ciacho” – pomyślał, wywijając kołnierz beżowego golfu. Portfel wypchany koronami szwedzkimi włożył do wewnętrznej

kieszeni kurtki. Z komódki wziął czarny kluczyk z błyszczącym niczym polerowana platyna napisem „Volvo”. Złapał za torbę i jeszcze raz spojrzął na swoje odbicie. – Wyglądam jak młody Brad Pitt. Ja pierdole, ale odjazd – powiedział sam do siebie, zamknął drzwi i pobiegł szczęśliwy na parking.

Po drodze, przechodząc przez tętniące życiem targowisko, minął miejsce pracy poznanych dwa dni temu sprzedawców jajek. Stasek chwilę wcześniej profilaktycznie schował się do targowiskowej budki, z której natychmiast wyszedł razem ze współnikiem, kiedy Kupczyk podszedł do nowiutkiego, czarnego SUV-a marki Volvo i otworzył w nim bagażnik. Wrzucił do środka torbę, wsiadł do auta i rozparł się w skórzanym fotelu. Spojrzął na żałosny widok targowiska skleconego z szarej blachy falistej, bud obitych sidingiem oraz na równie żałosny widok przygarbionego Staska i jego kompana z petem bez filtra w ustach. Widoku syfu i tandety dopełniał stojący naprzeciwko stary i równie ohydny jak całość krajobrazu stary saab Kupczyka. Maciej wzдрыgnął się na ten widok, który jeszcze wczoraj jego mózg akceptował i uważał za normalną część życia. Pogładził oburącz kierownicę, wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał na dłuższą chwilę w płucach zapach wnętrza nowego samochodu oraz własnych perfum. Wcisnął przycisk „start”, lewarek skrzyni biegów przesunął na pozycję D i ruszył. Nagle szare chmury się rozproszyły, niebo stało się błękitne, a brzydcy ludzie zniknęli. Świat zza szyb SUV-a, choćby i wypożyczonego, wydawał się mienić tysiącami nieznanymi Maciejowi do tej pory kolorów.

Początkowo miał wrażenie, że wszyscy się na niego patrzą, a później, że jeszcze się uśmiechają... zwłaszcza dziewczyny. Kiedy zadzwonił dzwonek telefonu, a na monitorze w samochodzie pojawił się napis: „Dzwoni mama”, odrzucił połączenie, podkręcił potencjometr i zawadiacko uśmiechnął się do swojego odbicia w lusterku. Pogrążony w ulubionej muzyce, kontemplując przesuwane się za oknami ukochane miasto Bydgoszcz, dotarł do miejsca pracy, do Veltronexu. Oczywiście nie musiał tego robić, jednak pragnął zasiać wśród znienawidzonych kolegów ziarno zazdrości. Chciał poniżyć

przyszłego właściciela skody felicii Michała Pytla i zaskoczyć właściciela służbowego opla insignia dyrektora Jerzego Marczyka. Niby przypadkiem, niby ukradkiem, jednak w sposób całkowicie zamierzony, przejechał dokładnie o godzinie 11.35, w czasie półgodzinnej przerwy na lunch, pod oknami zakładowej stołówki.

Stołówka mieściła się na parterze po lewej stronie budynku, a z jej okien rozpościerał się widok na parking dla pracowników biurowca. Z uwagi na brak wolnych miejsc pod oknami zaparkował wzdłuż drogi, zastawiając skorodowanego focusa Elżbiety, koleżanki z działu, oraz fiata tipo asystenta prezesa Marka Małolepszego, którego także szczerze nienawidził. Wyłączył silnik i kiedy spojrział przez delikatnie przyciemnioną boczną szybę, widział kolegów i koleżanki siedzących za stołami i ich przelotne, ale – co najważniejsze – powracające spojrzenia. Przez moment siedział i kontemplował sytuację – on niewidoczny, jeszcze przez chwilę incognito, i niczego nieświadoma gawiedź.

Wyjście z auta musiało być spektakularne. Zamknął oczy, dwa razy wciągnął powietrze do płuc. – Raz, dwa, trzy – policzył na głos i szarpnął chromowaną klamkę. Popchnął drzwi najpierw lekko ręką, a później gwałtownie na całą szerokość nogą, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć, kto przyjechał tym pięknym samochodem. W tym momencie przejeżdżające przez parking auto dostawcze urwało mu drzwi. Drzwi się wygięły, uderzyły o błotnik, po czym pogięte odbiły się od niego i zawisły w powietrzu. Volvo w tym stanie bardziej przypominało muchę ze złamanym skrzydłem niż samochód. Na szczęście silnik nie był włączony i poduszki nie wystrzeliły. Kupczyk siedział sparaliżowany w fotelu, jego ręka i noga nadal trwały w pozycji „pchaj drzwi”. Kiedy spojrział nieco wyżej, zorientował się, że huk zderzenia musiał być ogromny, ponieważ chyba wszyscy pracownicy znajdujący się w stołówce stanęli przy oknach. Dwa rzędy ludzi przepychały się, walcząc o najlepszą pozycję. Ci, którym nie udało się podejść pod okno, stawali teraz na krzesłach i stołach, aby zobaczyć kolejną klęskę Macieja

Kupczyka. Jak zwykle w takich wypadkach na dalszy rozwój wydarzeń nie trzeba było długo czekać. Okna po kolei zaczęły się otwierać.

– Kupa! W jakiej wypożyczalni pracują tacy debile, że wypożyczyli ci auto?! – krzyczał Pytel.

– W wypożyczalni debili dla debili! – krzyknął Małolepszy i cała jadalnie ryknęła gromkim śmiechem.

– O, pan już idzie z furgonetki! Zaraz dostaniesz wpierdoli! – krzyknął ktoś z głębi sali.

Kiedy oprócz nieprzerwanej szydery część „koleżanek i kolegów” wyjęła telefony i zaczęła robić zdjęcia i filmy, dokumentując jego nieszczęście, Maciejowi łzy pociekły po policzkach. W tym momencie zadzwonił leżący pomiędzy jego nogami na siedzeniu telefon. Odwrócił głowę w drugą stronę i odebrał połączenie.

– Halo, słucham! – powiedział, ledwie powstrzymując się od wybuchnięcia płaczem.

– Dzień dobry! Kalinowska moje nazwisko. Ja dzwonię z Volvo Car Financial Credits. Czy ja się dodzwoniłam do działu księgowości firmy Veltronex?

– Kupczyk, przez ciebie już nigdy nie wsiądę do volvo, nawet do taksówki – krzyknął znowu Pytel.

Kupczyk zbladł. Był to bowiem, jak sądził, weryfikacyjny telefon z banku. Musiał teraz być wiarygodny, bo przecież jeżeli fałszerstwo zaświadczenia o zarobkach wyjdzie na jaw, to nie dość, że nie sprzedadzą mu samochodu, to jeszcze sprawa z pewnością trafi na policję. Przycisnął telefon do piersi, żeby zagłuszyć śmiech i krzyki swoich współpracowników. Serce waliło mu jak młot, a kierowca furgonetki, która urwała mu drzwi, był tuż-tuż. – Bardzo panią przepraszam, ale nasz kolega z pracy kupuje samochód i właśnie zaprosił nas do stołówki. Skąd pani dzwoni? Może pani powtórzyć, bo nie słyszałem?

– Volvo Car Financial Credits. Kalinowska przy telefonie. Czy rozmawiam z panem Michałem Pytlem?

– Tak, słucham, Pytel przy telefonie, jestem kierownikiem działu księgowości – żeby odciąć się od hałasu, Maciej odwrócił

się plecami do biurowca, a kaptur kurtki naciągnął na głowę.

– Kolega kupuje samochód? Jak rozumiem volvo, czyli chodzi o pana Kupczyka.

– Tak, dokładnie o pana Kupczyka, to on. Bo ja dzwonię w jego sprawie.

– Panie, nic panu nie jest? – teraz Maciej usłyszał dochodzący zza pleców nieznamy głos, należący z pewnością do kierowcy furgonetki.

– Tak o pana Macieja Kupczyka – powtórzył raz jeszcze do słuchawki. – Pan Maciej Kupczyk pracuje u nas w dziale księgowości. Bardzo panią przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać – rozłączył połączenie i odwrócił głowę w stronę kierowcy.

– Nie, nic mi nie jest. A panu? – odparł.

– Mnie nic, ale auto to mi pan rozjechał tymi drzwiami. Muszę dzwonić na policję. Nic nie poradzę, takie mamy polecenie od szefa.

Telefon Macieja rozdzwonił się ponownie. Wystraszony spojrzął na wyświetlacz, tym razem dzwoniła pani Galan z salonu Volvo. „W samą porę” – pomyślał.

– No dobrze! Pan dzwoni na tę policję, w końcu to tylko samochód, zawsze mogę kupić sobie nowy, a teraz najwyżej dostanę mandat – powiedział do kierowcy. – Byle szybko przyjechali, bo się spieszę na prom do Szwecji! – powiedział na tyle głośno, żeby ostatnie osoby wyglądające przez okno usłyszały słowa „prom do Szwecji”.

– Halo!

– Dzień dobry, panie Macieju! – odezwała się słodkim jak sacharyna głosem pani Galan. – I jak się panu jeździ volvo?

– Fatalnie, proszę pani. Właśnie pod pracą miałem kolizję. Proszę sobie wyobrazić, że nie zadziałał system ostrzegania o tym, że ktoś znajduje się w martwej strefie lusterka, i jakiś furgon uderzył mi w drzwi. Mało tego, nie wystrzeliła żadna poduszka powietrzna! Jestem wstrząśnięty! – Maciej odczekał chwilę, a ponieważ w słuchawce panowała absolutna cisza, zaczął mówić ponownie. – Przyjechałem do pracy zostawić

wniosek urlopowy, o godzinie 18 mam prom z Gdańska do Sztokholmu, jak mówiłem, jadę do Szwecji, by załatwić sprawy spadkowe. Czy może mi pani pomóc, pani Galan? Tak samo profesjonalnie pomóc, jak obsłużyła mnie pani wczoraj?

– Dzwoniła do mnie pani z naszej sieci finansującej samochody, że próbowała się dodzwonić do pana przełożonego, ale podobno jest u was jakaś impreza i pana przełożony nie mógł rozmawiać. Na zaświadczeniu o zarobkach podpisał się tylko księgowy, brakuje jeszcze pieczętka dyrektora lub prezesa.

– Pani Galan, załatwimy to, jak wrócę za parę dni. Ta pieczętka to nie jest żaden problem, przecież firmę Veltronex znają niemal wszyscy w mieście. Odłożmy formalności do mojego powrotu. Muszę zdążyć na prom, proszę mi pomóc, obiecuję, że się zrewanżuję.

– Dobrze. Zaufam panu, wszak wypadki mogą przydarzyć się każdemu, nawet najbardziej rozsądnemu, a na takiego mi pan wygląda. W ciągu godziny dojedzie do pana laweta po uszkodzony samochód, pożyczę raz jeszcze panu auto, tym razem małe, kompaktowe. Innego wolnego nawet nie mam. Na pewno nic się panu nie stało?

– Nie, nic. Auto ma uszkodzone drzwi i błotnik. Bardzo pani dziękuję i zapewniam, że nic mi się nie stało. Do widzenia, do zobaczenia za parę dni.

Maciej rozłączył się, oparł się o fotel i głęboko westchnął. „Zanim przyjedzie policja i laweta, muszę wejść do biura i złożyć wniosek o urlop. Będzie ciężko...”.

Kiedy wszedł do biurowca, strażnik, który dwa dni wcześniej widział jego popisy przy przejściu przez kołowrotek, od razu się uśmiechnął.

– Nie musi pan wyciągać legitymacji, będę długo pana pamiętał.

Maciej udał, że go nie widzi ani nie słyszy. Przeciągnął kartę magnetyczną przez czytnik, szybko przeszedł przez bramkę i pobiegł na pierwsze piętro do działu HR.

– Dzień dobry, pani Makowska. Przyjechałem osobiście...

– Widziałam, jak pan przyjechał – powiedziała, nie odrywając nawet oczu od monitora.

– Wszyscy widzieliśmy, jak pan przyjechał – powiedziała siedząca naprzeciwko Markowskiej zezowata blondynka z zajęczą wargą. – Taki ładny samochód. Rodzice pewnie będą wściekli – kobieta uniosła głowę i skupiła zęza zbieżnego na czole Macieja, najwyraźniej oczekując na odpowiedź.

– Ja jestem sierotą. Moi rodzice nie żyją, a ten samochód kupiłem wczoraj. Nic wielkiego, już wysłali mi z salonu zastępczy, a jak wrócę ze Szwecji, to kupię sobie nowy – wyrzucał z siebie kłamstwa, próbując na siłę patrzeć zezowatej kadrowej w oczy i pozbyć się uczucia, że ta zaraz wypali mu wzrokiem dziurę w czole.

Zaskoczona Makowska uniosła głowę i spojrzała na Macieja. Ten podał jej kartkę z wnioskiem urlopowym, a ona dalej na niego patrzyła! Mierzyła go od pasa w górę i mogło się zdawać, że nawet nieco się uniosła ponad krzesło, żeby spojrzeć mu na buty.

– Jakoś tak pan inaczej wygląda... Wyładniał pan... Choć nic panu nie brakowało. I taki jakiś elegancki mi się wydaje. I pachnie pan tak ładnie...

Komplement od kobiety lat 58 zrobił wrażenie na Macieju, na tyle silne, że postanowił nieco ją poczarować. Wyciągnął powoli obie ręce tak, żeby oprzeć się na rozłożonych na jej biurku segregatorach, spojrzeć w jej oczy, nawiązać relację, której nie udało mu się zbudować przez minione lata pracy. Tak jak zaplanował, ręce położył na dokumentach, a kiedy przeniósł na nie ciężar swojego ciała, ręce zapadły się w nicość. Segregatory bowiem wystawały znacznie poza krawędź biurka i dokładnie w tym miejscu oparł się Maciej. Następnie poleciał głową w dół, trafił szczęką w blat biurka, przez co nastąpił nokaut. Zanim jednak jego pozbawione świadomości ciało zetknęło się z biurową wykładziną, sytuacja w pokoju stała się dynamiczna, a rozwój wypadków co najmniej nieprzewidywalny. Poderwane gwałtownym naciskiem dwa segregatory zadziały jak katapulty. Stojąca na jednym z nich, wykonana z metalu, dość ciężka cukierniczka oraz kubek niedawno zaparzonej herbaty malinowej wystrzeliły w kierunku przeciwnego stanowiska pracy. Kubek poleciał lobem i był jeszcze w powietrzu, kiedy

cukiernica, lecąca z kolei torem płaskim, uderzyła dokładnie między oczy zezowatą księgową. Ta ogłuszona zapikowała w wysuniętą spod biurka klawiaturę jak dzięcioł. Impet uderzenia był na tyle spory, że fotel na kółkach, na którym siedziała, odjechał do tyłu, a jej głowa zsunęła się z klawiatury. Ułamek sekundy później wyrznęła zajęczką wargą i siekaczami w stojący pod biurkiem UPS, wyłączając go jednocześnie. To był dokładnie ten moment, kiedy kubek z herbatą spadł na leżącą na biurku stację komputera, na którym nieszczęsna kobieta jeszcze przed chwilą pracowała. Herbata rozbryznęła się po biurku, zalewając dokumenty pokryte rozsypanym cukrem, a spora jej część wlała się wprost do komputera. Nastąpiły trzask, huk, zadymiło się i w całym biurowcu zgasło światło.

– Pani Agatko... Pani Agatko? – cichutki głos pani Makowskiej rozległ się w pokoju. Kobieta wstała z fotela, a ponieważ nie było odzewu spod biurka, obeszła leżącego na boku Macieja i zatrzymała się, patrząc na leżącą na twarzy kobietę. Z całą pewnością kobieta doznała szoku, bo podniosła z biurka cukierniczkę i trzymając ją przed sobą niczym relikwią, wyszła z pokoju na korytarz, po którym stawiając drobne krociki, biegła w tę i z powrotem, krzycząc: – Ratunku! Pogotowie! Niech ktoś pilnie wezwie lekarza! Kupa zabił siebie i panią Agatkę!

Długo nie trzeba było czekać, kiedy na korytarz zaczęli powoli wychodzić zaskoczeni pracownicy Veltronexu. Wydawało się, że byli bardziej zdziwieni brakiem prądu niż tym, co wykrzykiwała pani Makowska. Zarówno biurowiec, jak i część produkcji miały niezależne zasilanie, a w razie przerwania dostawy prądu powinien włączyć się natychmiast generator prądu. Tym razem jednak tak się nie stało. Chwilę później na piętrze pojawili się niemal wszyscy pracownicy biurowca oraz ekipa elektryków i każdy chciał wejść lub chociaż tylko na moment zajrzeć do działu HR.

Maciej delikatnie otworzył oczy, wokół niego stało kilka osób, świecąc latarkami z telefonów komórkowych, co umożliwiało zakładowej pielęgniarce prawidłowe udzielenie pierwszej

pomocy. Brak prądu oraz fakt, że gabinet pielęgniarski znajdował się w suterenie, spowodowały, że było w nim prawie zupełnie ciemno.

– Wraca! Ocknął się – powiedziała pielęgniarka.

– W jego przypadku byłbym za eutanazją – odezwała się jedna z osób świecących telefonem.

– Ja też bym go nie cuciała – zawtórowała jakaś młoda dziewczyna. – Jaki przystojny, taki głupi.

Pielęgniarka podała Kupczykowi rękę i ten usiadł jeszcze lekko oszołomiony na kozetce. Poruszał ustami i językiem oraz szczęką. Nagle z głębi budynku dobiegło ciche burczenie generatora i po chwili lampy na suficie rozświetliły pomieszczenie. Wszystkie osoby będące w pokoju zmrużyły oczy. Przez kilkanaście sekund, zanim wzrok przywykł do jaskrawego sztucznego światła, w pokoju panowała prawie idealna cisza. Oprócz miarowych oddechów słychać było tylko ciszy szloch przechodzący w popiskiwanie. Ktoś w pomieszczeniu płakał.

– To my nie będziemy już potrzebni. Jest napięcie, jest życie. Bardzo proszę, wszyscy wracamy do zajęć – zarządził kierownik działu logistyki. – A pan niech zobaczy, co zrobił najlepszego pani Agatce, i proszę się dobrze nad sobą zastanowić. Pana zachowanie jest nieakceptowalne, ma pan szczęście, bo gdyby nie cywilizowane czasy, z pewnością spalilibyśmy pana na stosie.

– Ja bym go ściął! – ktoś szczeknął.

– Właśnie! Niech się Kupa nad sobą zastanowi – dodał jeszcze jakiś miły kobiecy głos i drzwi się zamknęły.

Maciej jednak tego nie słyszał, dzwoniło mu w uszach i wszystko docierało do niego jeszcze jak przez mgłę. Powoli odzyskiwał ostrość widzenia, jego oczom coraz wyraźniej ukazywała się leżąca na kozetce po przeciwległej stronie gabinetu kobieta, w której dostrzegał coś znajomego. Nie mógł jednak sobie przypomnieć co. Kiedy kobieta odwróciła głowę w jego stronę, mógł się jej przyjrzeć dokładniej. Miała wielkie „śliwy” pod oczami, tak wielkie, że widziała tylko przez szparki przypominające szczeliny obserwacyjne w czołgu. Do tego pomiędzy oczami, u nasady nosa, miała przyklejony plastrem

duży opatrunek. Zwieńczeniem wszystkiego były ogromne, spuchnięte, wymodelowane usta. Tak duże, że górna warga aż zawijała się na nos.

– Kełere rgaelerł suusd kursasałaaa blee bluuu – powiedziała do niego kobieta i odwróciła głowę do ściany.

Maciej wyprostował się i otworzył szeroko oczy. Dezorientacja na jego twarzy przybrała komiczny wyraz. Zdziwiony spojrzął pytającym wzrokiem na pielęgniarkę.

– Tak. To jest pani Agatka z kadr i to pan ją tak urządził. Podobno cukiernicą pan w nią rzucił. Czekamy na pogotowie, biedaczka musi jechać do szpitala na badanie głowy. Prześwietlenie, znaczy się.

„Dział kadr... Badanie pani Agatki?... Zwolnienie... Urlop... Prom... Samochód... Dziadek... Spadek!” – seria myśli przeleciała przez jego głowę. Wstał z kozetki, nadal lekko zdezorientowany szerokim łukiem skierował się w kierunku wyjścia z gabinetu. Nie zdążył jednak nacisnąć klamki, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, klamka poszła w dół, drzwi uchyliły się i do gabinetu wsadził głowę policjant z drogówki.

– Poszukuję pana, który spowodował wypadek. Podobno tutaj jest?

– Tak, to on! – pokazała palcem na Kupczyka pielęgniarka. – Ale my nie wzywaliśmy policji, dzwoniłam tylko po karetkę...

– To są jacyś ranni z tej lekkiej stłuczki? – zapytał mocno zdziwiony policjant.

– Stłuczki?! Pan to nazywa lekką stłuczką? Niech pan łaskawie spojrzy na panią Agatkę! – Pielęgniarka pokazywała na leżącą na kozetce kobietę, a prawą wciągała policjanta do środka pomieszczenia. – A temu tu w nic niech pan nie wierzy, to potwór o wyglądzie aniołka!

– Nic nie rozumiem. – Policjant skupił się z całych sił, spojrzął raz na Kupczyka, raz na panią Agatę. – Auto uszkodzone jest tylko od strony kierowcy, obrażeń od poduszki pani mieć nie może, bo nie wystrzeliły. Czyli to pani otworzyła te drzwi?

– Blueuee keee lekekeueeee! – odpowiedziała kadrowa Agata i rozpląkała się na głos.

– Ja otworzyłem te drzwi. Ta pani jest z innego wypadku.

– Ale my mieliśmy zgłoszenie tylko do jednego zdarzenia! Był jeszcze jakiś inny wypadek?

– Bo to nie był wypadek drogowy...

Drzwi od gabinetu otworzyły się ponownie, a tym razem stanęli w nich sanitariusze z pogotowia, których przyprowadził pracownik ochrony.

– Ja pójdę z panem policjantem na parking i wrócę tutaj do pani. Nie będziemy teraz wam przeszkadzać. Gdyby ktoś mnie szukał, proszę powiedzieć, że jestem na zewnątrz.

– Ale kto by mógł pana szukać? Mało ludziom własnych nieszczęść? – skwitowała pielęgniarka i zasłoniła kozetkę zielonkawym parawanem na kółkach.

Obaj wyszli z gabinetu i potruczali po schodach do góry. Policjant całą sytuację skwitował krótkim stwierdzeniem: „Chyba nie jest pan tu zbyt ceniony i lubiany”, na co Maciej wzruszył tylko ramionami i odparł: – To prawda, ale pracuję nad tym, żeby to zmienić. Naciągnął na głowę kaptur, szedł krok za policjantem, chowając się za jego plecami. Dopiero po opuszczeniu biurowca Maciej odetchnął pełną piersią, ponieważ było bardzo wątpliwe, aby ktoś z przełożonych wezwał go na rozmowę, kiedy wsiądzie już do radiowozu. Teraz wyprzedził policjanta, lekko nawet podbiegając, pociągnął za klamkę i szybko zajął miejsce z tyłu radiowozu, tuż obok kierowcy samochodu dostawczego. Kupczyk podał dokumenty policjantowi, a policjant zaczął pisać notatkę służbową. W międzyczasie przyjechała laweta, na której kierowca przywiózł czerwone volvo V40. Maciej na moment opuścił samochód policyjny, wyjął z bagażnika torbę i przełożył ją do nowego pojazdu. Zanim policjant zakończył rozmowę z Maciejem stwierdzeniem: „Proponuję panu mandat w wysokości 300 złotych i pięć punktów karnych...”, rozbity pojazd trafił na lawetę i pracownicy salonu samochodowego odjechali. Kiedy zgodził się na wymierzoną mu karę za wykroczenie drogowe, a policjant pochylił się nad bloczkiem, żeby wypisać mandat, na zewnątrz biurowca wyszli pielęgniarze i załadowali do karetki nosze z panią Agatką. Chwilę później

ambulans, zawodząc trzytonową syreną, przemknął obok nich, sypiąc na boki śniegiem. Maciej spojrzął na zegarek, dochodziła 13.20. „Najwyższy czas, aby wsiąść do auta, ruszyć z kopyta do Gdańska, najwyższy czas, bo przecież nigdy jeszcze nie płynąłem promem. Kto wie, co się może zdarzyć...” – pomyślał i wyciągnął rękę, aby odebrać mandat.

Rozdział 9

Britta siedziała w fotelu i płakała odwrócona przodem do zasłoniętego okna. Dla postronnego obserwatora, jakim był boy hotelowy, który przywiózł trzy obiady na wózku gastronomicznym, musiało to wyglądać, jakby się po prostu obraziła. Dopiero kiedy Anika zamknęła za nim drzwi, Britta z powrotem usiadła przodem do stołu, nad którym roznosiły się zapachy dań jednej z lepszych kuchni hotelowych Sztokholmu. Gösta rozdał wszystkim sztucce, po czym nie czekając, aż kobiety zaczną jeść, wbił ząbkowany nóż w dobrze wysmażony stek.

– Nie chcę, żebyście myśleli, że jestem zła – mówiła, szlochając – Ja się na to zgodziłam wyłącznie ze względów finansowych. Nie chcę do końca życia być biedną studentką, która, żeby skończyć studia, musi dorabiać jako gosposia, niania i Bóg wie kto jeszcze.

– Nikt nawet przez moment nie pomyślał, że jesteś złą osobą, Britto. Prawda? – Tu spojrzała na Gösta, który nie odrywając wzroku od obiadu, pokiwał głową. – Przecież nawet nic specjalnie złego nie musiałaś zrobić... No właśnie, myślałam, że to tygodniowe szkolenie w naszym ośrodku w Tel Awiwie rozwieje twoje wszelkie wątpliwości...

– No niby rozwiało, przygotowało mnie mentalnie na to, co ma nastąpić, jednak ja cały czas wewnątrz czuję się winna...

– Nie gadaj głupot. Nie jesteś niczemu winna, realizujemy tylko to, co zaplanowaliśmy. I tak byśmy to zrobili, z tobą czy bez ciebie. Możesz czuć się wyróżniona, poza tym pieniądze, tak jak mówisz, ci się przydadzą, a do tego zaczniesz nowe ekscytujące życie. Zobaczysz, jak to wciąga.

– Czy on cierpiał?! – najpierw jej głos wszedł na wyższy ton, a później zakryła usta wypięloną dłonią i krzyknęła: – Boże, on przeze mnie teraz cierpi!

– Nikt przez ciebie nie cierpiał ani nie cierpi. Kurwa mać! – Gösta opluł cały stół pogryzionym mięsem. – Ten gość ma 99 lat i nic nie czuł, kiedy wypił to, co mu podałaś, a trzy dni po

twoim wyjeździe najzwyczajniej trafił do szpitala z niewydolnością nerek. Sam zadzwonił około północy na pogotowie.

– Ma śródmiaższowe zapalenie nerek, a przez to ostrą niewydolność. Jest w śpiączce i nic nie czuje. Nie martw się, dożyć jego wieku w takim zdrowiu to jest prawdziwy przywilej. Niewielu go doświadcza.

– A teraz jedz, bo zbrzydniesz – powiedział, odślaniając zęby z poprzyklejanymi brokułami.

Dziesięć minut później po łzach nie było śladu. Żarty, śmiech i sielankowy nastrój. Roześmiani zdążyli odłożyć sztuce na puste talerze, kiedy do drzwi pokoju numer 516 ktoś zapukał. Anika wymownie spojrzała na zegarek. „15.15. Czyżby aż tak się spieszyło notariuszowi, że przyszedł kwadrans wcześniej?” – pomyślała. Wzięła Brittę za rękę, wyjęła broń z kabury i weszła razem z nią do sypialni. Przez szparę pomiędzy drzwiami a futryną obserwowała, jak Gösta podchodzi do drzwi i delikatnie je uchyla, jednocześnie trzymając za plecami glocka gotowego do strzału. Napięcie momentalnie opadło, kiedy do pokoju wszedł potargany notariusz Gunnar Gustavson. Jak zwykle zimą ubrany w czarną puchową kurtkę, tym razem rozpiętą, pod którą miał włożony granatowy garnitur oraz błękitną koszulę z ciemnoniebieskim krawatem. Pod pachą ścisnął nieco staromodną czarną torbę, zdawać by się mogło, że bardziej pasującą do zawodu lekarza niż rejenta.

– Dzień dobry! Przepraszam, ale jestem szybciej, bo nie było korków – powiedział, poprawiając siwe włosy. – Wydaje się to być dziwne, nieprawdaż? W sumie można powiedzieć, że jest przed świętami i nie ma korków... Ludzie zakupy przestali robić w Sztokholmie? Wszędzie korki, a u nas nie ma!

W międzyczasie broń powędrowała dyskretnie na miejsce, Anika razem z Brittą wyszły z sypialni, wyciągając dłonie do gościa. Kobiety szybko przełożyły ze stołu na wózek hotelowy talerze po obiedzie, Gösta odebrał od gościa ubranie, powiesił je na wieszaku, a wózek gastronomiczny wypchnął na korytarz. Britta, którą na szkoleniu w Tel Awiwie nauczono, co notariusz

lubi, co pije i jak się należy przy nim zachowywać, przyniosła nieproszona z lodówki butelkę 18-letniego aberloura i cztery szklaki z lodem.

– No świetnie! Jedna szklaneczka whisky jako toast. Nie odmówię. – Uśmiechnął się szeroko, ukazując wszystkim pełen garnitur nieco za dużych i nieco zbyt białych sztucznych zębów.

Britta nalała każdemu po mniej więcej 70 gramów trunku, zakręciła butelkę, postawiła ją na stole bliżej notariusza, a sama usiadła naprzeciwko niego. Mężczyzna jednym haustem wypił pół porcji, po czym rozpiął torbę, którą trzymał na kolanach, i wyjął z niej papierową, niebiesko-żółtą teczkę z godłem Szwecji na samym środku, a nazwą jego kancelarii notarialnej na dole. Położył na stole i z namaszczeniem wyjął z niej zapisaną drobnym pismem kartkę dobrej jakości z wyraźnym znakiem wodnym pośrodku.

– Oto sporządzony przeze mnie na państwa życzenie ostatni testament pana Larsa Stigsona – rozpoczął monolog, starannie dobierając słowa. – Oczywiście po naszym spotkaniu zdeponuję go w sejfie w mojej kancelarii, a po śmierci pana Stigsona zostanie złożony do sądu celem jego zrealizowania. Jak państwo widzą, testament jest opatrzony oryginalnym podpisem pana Stigsona, a jego oryginalność oraz fakt złożenia podpisu na tym dokumencie potwierdziłem zarówno swoją pieczęcią notarialną, jak i własnym nazwiskiem. Testament sporządziłem z datą, kiedy była pani, pani Britto, w Izraelu, dokładnie 3 grudnia, dzień po pani wyjeździe, a pan Stigson czuł się wtedy świetnie. Oczywiście podpis na dokumencie jest naprawdę oryginalny. Mam go, powiedzmy, ze starych zapasów, ponieważ kiedyś dostałem od pana Stigsona trzy karty podpisane in blanco. Okazało się, że wykorzystałem dwie, a trzecia została mi akurat szczęśliwie w zapasie, przez przypadek... całkowity przypadek. Powiedzmy, że zapomniałem ją zwrócić.

– Proszę kontynuować. Słuchamy pana uważnie. – Anika skinęła głową na kolegę, który natychmiast uzupełnił braki w szklance notariusza.

– Tak więc... Na zdrowie! – Wychylił jeszcze nieschłodzoną

przez lód znajdujący się w szklance whisky. – Ostatnia wola Larsa Torstena Stigsona urodzonego... I tak dalej... Sporządzona w obecności... I tak dalej... Z uwagi na brak znanych mi żyjących spadkobierców z pokrewieństwa... To taka formułka, wolałem ją wpisać, żeby testament był jak najbardziej wiarygodny. Spadek po mnie zapisuję w następujących proporcjach:

1. Fundacji Ochrony Przyrody „Salmo Salar” z siedzibą w Göteborgu – willę Urko wraz ze wszystkimi ruchomościami wewnątrz i na zewnątrz posesji, położoną w tym samym mieście, z przeznaczeniem na cele dowolne stowarzyszenia;
2. Stowarzyszeniu RFSL – 25 milionów euro wypłacane rocznie po milionie euro oraz kamienicę przy ulicy Köpmangatan 10 w Sztokholmie;
3. Stowarzyszeniu Pisarzy Szwedzkich – willę Josephine wraz ze wszystkimi ruchomościami wewnątrz i na zewnątrz posesji, położoną w Nicei, która ma być wykorzystywana jako dom pracy twórczej. Nieruchomość nie może zostać zbyta do 2050 roku;
4. Mojemu przyjacielowi Gunnarowi Gustavsonowi – willę w Stallarholmen wraz ze wszystkimi ruchomościami wewnątrz i na zewnątrz posesji;
5. Kolekcję trzynastu czołgów i wozów bojowych – Muzeum Czołgów w Bovington w Anglii. Transport morski zostanie wykonany na mój koszt ze specjalnie utworzonego funduszu;
6. Schronisku dla psów w Sztokholmie – 2 miliony euro, wypłacane po 50 tysięcy euro miesięcznie do wyczerpania kwoty;
7. Stowarzyszeniu Filmowców Szwedzkich – kolekcję dwudziestu sześciu zabytkowych samochodów;
8. Hospicjum BBV – 15 milionów euro. Płatne w całości jednorazowo;
9. Pozostałą część majątku, nieruchomości, akcje spółek, środki na kontach bankowych, kosztowności w skrytkach

bankowych, gotówkę z sejfów oraz pozostałe rzeczy materialne zgodnie z wykazem, który przekazałem notariuszowi, oraz zgodnie z inwentaryzacją, jaka ma zostać przeprowadzona niezwłocznie po mojej śmierci, przekazuję mojej ukochanej i ostatniej opiekunce Britcie Alvie Andersson, jeżeli zgodzi się przyjąć spadek i pod warunkiem, że zmieni własne nazwisko na moje rodowe nazwisko Stigson.

W przypadku odmowy przyjęcia całości spadku i (lub) odmowy zmiany nazwiska przez Brittę Alvě Andersson na moje rodowe nazwisko Stigson całość mojego pozostałego majątku zapisuję Fundacji Alfreda Nobla w Sztokholmie, a Britcie Alvie Anderson z całego majątku pozostawiam na pamiątkę wspólnie spędzonych lat obraz mojego autorstwa pod tytułem „Szczęśliwe wakacje”.

Na fundusz potrzebny do wykonania spadku przeznaczam 3 miliony euro, a na jego zarządcę i wykonawcę mojej ostatniej woli wyznaczam notariusza Gunnara Gustavsona... Bła, bła, bła...

Powyższe podpisuję, będąc w pełni władz umysłowych i tak dalej, i tak dalej... Sztokholm dnia...

Notariusz podsunął w kierunku Aniki pustą szklankę. – Pozwoliłem sobie w ramach premii zatrzymać dom wędkarski w Stallarholmen, nikomu to nie podpadnie, bo współpracuję z panem Stigsonem od 23 lat. Mamy wiele wędkarskich wypraw za sobą. Piękne wspomnienia, piękne, na zawsze zostaną w moim sercu. – W teatralnym geście przyłożył dłoń do serca. – Zresztą to mały, ledwie 300-metrowy obiekt na pięciohektarowej działce, a co do reszty, to trochę dałem tu, trochę dałem tam, żeby zostawić dobre wrażenie. Tak jak się umawialiśmy, temat zmiany nazwiska jest poruszony w testamencie oraz, tak jak chcieliście, 15 milionów trafi do waszego hospicjum. Wykonawcą testamentu jestem tak jakby, w tym momencie z urzędu, a otwarcie koperty z testamentem nastąpi nie później niż 48 godzin po pogrzebie. Sprawę zmiany nazwiska załatwię w kilka dni – zakończył notariusz i patrząc po twarzach wszystkich

obecnych, spreparowany testament włożył z powrotem do teczki.

Anika naląła notariuszowi kolejną porcję single malta. Skinęła głową na Gösta, który podał notariuszowi reklamówkę z sieci ICA Supermarket. Ten zajrzał do środka i ponownie spojrzął na Anikę.

– Trzydzieści paczek po 50 tysięcy euro?

– Tak jak się umawialiśmy, 50 proc. zaliczki. A teraz poproszę o stary testament i dokumenty do zmiany nazwiska dla Britty.

Rejent sięgnął po torbę z podłogi, którą postawił z powrotem na kolanach. Zabrał reklamówkę z pieniędzmi, włożył ją lewą ręką do torby, prawą jednocześnie wyciągając szarą zalakowaną kopertę oraz plik spiętych ze sobą zszywaczem kartek. Wszystko to podał Anice, po czym wychylił szklanekę whisky jednym haustem.

– Zaraz z nerwów się upiję, a przyjechałem samochodem. Nie powinienem w zasadzie pić, ale przyznam się, że tak zdenerwowany to byłem ostatni raz ze 30 lat temu... Jak żona rodziła.

– Odwieziemy pana do domu. Mamy na dole wynajętą taksówkę, nie może pan wracać pijany, zwłaszcza z oryginałem testamentu. – Anika rozłożyła przed Brittą papiery i podała jej długopis. – Z łaski swojej może pan pokazać, gdzie Britta ma podpisać wnioski o zmianę nazwiska?

– Już, pani Britto... Proszę tu... O tu...

W czasie, kiedy Britta z notariuszem podpisywała dokumenty, Anika z zalakowaną kopertą poszła do ubikacji. Zamknęła za sobą drzwi, jeszcze raz sprawdziła, czy czujnik dymu jest właściwie zabezpieczony prezerwatywą, i przedarła kopertę na cztery części. Wyjęła zapalniczkę i podpaliła papier, wrzucając jego płonące resztki do sedesu. Kiedy podpaliła ostatnią kartkę starego testamentu Larsa Stigsona, przyszedł do niej SMS. Wyjęła telefon z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

„Nastąpiła gwałtowna poprawa. Lekarz twierdzi, że nastąpił cud. Nerki zaczęły pracować, a pacjent obecnie siedzi na łóżku i żartuje”. Kiedy przeczytała całość, oczy jej wystrzeliły z orbit,

a nogi ugięły się pod nią. Ten cud bowiem, jeżeli nie minie tak samo gwałtownie, jak się objawił, może położyć całą misternie przygotowaną operację „Chajat”, a przy okazji pogrzebać tak błyskotliwie rozpoczętą karierę Aniki Jassem. Otworzyła drzwi i szybko je zamknęła, tak żeby smród spalenizny nie przeniknął do reszty pomieszczeń. Z trudem ukrywając zdenerwowanie, weszła do salonu i ze sztucznym uśmiechem zwróciła się do swojego kolegi z Mosadu.

– Na dzisiaj to wszystko. Zaprowadź, proszę, pana rejenta do taksówki, niech Sven odwiezie pana prosto do domu.

– To może ostatniego?! – Gustavson popchnął szklanę wymownie do Britty, która natychmiast napełniła ją do połowy trunkiem. Notariusz podniósł szklanę, patrząc na ilość whisky z prawdziwym uznaniem. Wychylił całość duszkiem, następnie wstał z fotela i chwiejnym krokiem poszedł po swoją kurtkę.

Chwilę później Gösta wyprowadził pod rękę lekko zataczającego się rejenta. Kiedy zamykał drzwi, usłyszał słowa Aniki.

– Jak Sven odwiezie notariusza, niech jak najszybciej wraca, bo Britta musi natychmiast jechać do szpitala!

Rozdział 10

Karetka sprawnie i – co by nie powiedzieć – dosyć szybko jak na panujące warunki pogodowe poruszała się po zatłoczonych ulicach Paryża. W pewnym momencie, tuż obok księgarni Le Feu Follet Livres Anciens, ambulans gwałtownie skręcił w prawo i zatrzymał się przed zakratowanym wejściem do znanego w mieście fryzjera ElodiE B. Boczne drzwi odsunęły się gwałtownie i równie gwałtownie się zamknęły, momentalnie wysysając z wnętrza całe ciepłe powietrze. Arnaud Pieto przekręcił głowę, spojrział półprzytomnym wzrokiem w stronę drzwi, a jego wzrok utkwiał na wylocie lufy pistoletu z tłumikiem, który trzymał w ręku zamaskowany mężczyzna. W jednej chwili zrobił się błąd jak alabastrowy posążek boga Priapa, podniósł się na tyle, na ile pozwalały mu pasy, jednak zarówno ubytek krwi, jak i strach spowodowały, że osunął się z powrotem bezwładnie, nieprzytomny na nosze. Po mniej więcej dwóch minutach, kiedy się ocknął, a jego wzrok zaczął rozpoznawać szczegóły, zobaczył nad sobą uśmiechnięte twarze Simone i Yves'a. Yves trzymał w ręku pistolet, który miał skierowany w stronę siedzącej z przodu załogi karetki, a Timon klepał go lekko po policzku. Uśmiech na moment pojawił się na twarzy Arnauda, kiedy uświadomił sobie, że jego dwaj ukochani siostrzeńcy żyją, kilka razy głęboko wciągnął powietrze, tak jakby zbierał się do dłuższego nurkowania, i próbował coś powiedzieć, jednak z jego otwartej buzi wylatywały tylko krótkie świsty.

– Tylko wujek się nie denerwuje, to my, nikt inny! Nic nam nie jest – zakomunikował Yves, po czym wyjął dwa banknoty po 200 euro i podał pielęgniarkom. – Mogę schować pistolet i chwilę tu posiedzieć z wujkiem czy będziecie się wygłupiać?

– Jasne – odezwał się kierowca ambulansu, wyciągając rękę po pieniądze. – Jeżeli można, to wyjdziemy na papierosa. Po co mamy słuchać czy przeszkadzać?

– Nieee, niee deenerwuje?! Myślałem, że coś wam się stało!
– wrzasnął Pieto, kiedy tylko zatrzasnęły się drzwi za pielęgniarkami.

– Kiedy podjechaliśmy pod dom, policja wbiegała do środka, staliśmy w aucie i czekaliśmy...

– Czyli się spóźniliście?

– Wujek się tak nie denerwuje...

– Jak mam się nie denerwować?! Jak mam się nie denerwować?! Kulasa mam przestrzelonego, będę kuśtykał o lasce do końca życia albo mi go jeszcze utną! Amputują mi nogę przy samym chuju przez wasze spóźnienie! Gdybyście byli w środku, mogło do tego nie dojść!

– Wujku...

– Zaraz, zaraz... Przecież wy się nigdy nie spóźniacie! Sam wam to wbiłem do głowy, więc zakładam, że byliście pod moim domem przed policją. Dlaczego więc nie weszliście na górę?

– Wujek się tak nie denerwuje... Ktoś nas ostrzegł.

– Ktoś do nas zadzwonił. Powiedział, żebyśmy nie wchodzili na górę, bo policja zastawiła zasadzkę.

Pieto wytrzeszczył oczy, zaczął łapczywie wciągać powietrze. Pewnie gdyby nie skrępowane, przypasane do noszy ciało, usiadłby i złapał się za gardło. Jednak teraz tylko odchylił głowę, głęboko i szybko oddychał. – I wy uwierzyliście w to, co mówił obcy człowiek przez telefon?

– Uwierzyliśmy – Yves i Timon pokiwali głowami.

– Nie mogliśmy nie uwierzyć, bo zanim się rozłączyłem, zobaczyliśmy, jak pod wujka dom podjeżdżają policyjne auta z tajniakami i mikrobus z antyterrorystami.

Pieto skupił wzrok na naklejce „Zakaz palenia” przyklejonej na ścianie ambulansu i na moment zamarł. – Ten telefon z ostrzeżeniem, a także to, co mówił ten bezczelny detektyw u mnie w mieszkaniu, wiele zmienia, nie trzeba być zbyt rozcigniętym, żeby zrozumieć, że ktoś chce się nas pozbyć.

– Arnaud przeniósł wzrok na siostrzeńców i zaczął powoli wypowiadać słowa, stawiając wyraźne pauzy pomiędzy nimi.

– Zaczynam być pewny, że zagrożenie wynika z przyjętego

przeze mnie zlecenia. Nie możemy ryzykować, wystarczy tego...

W tej chwili zadzwonił telefon. Mężczyźni najpierw spojrzeli po sobie, później Timon i Yves zaczęli oklepywać się po kieszeniach, telefon jednak nadal dzwonił i to tuż-tuż koło nich. Arnaud najpierw wzrokiem, później podbródkiem wskazał na swój brzuch.

– Na brzuchu, pod prześcieradłem mi dzwoni!

Timon wsunął rękę pomiędzy koc a prześcieradło i wyjął spod niego archaiczny telefon marki Nokia, z pewnością pamiętający początek minionej dekady. Spojrzał najpierw na kuzyna, później na wujka, następnie, kiedy jego wzrok powędrował w kierunku wyświetlacza, telefon przestał dzwonić.

– To chyba telefon jednego z tych pielęgniarzy... Bo... – zanim skończył zdanie, na podświetlonym na zielono wyświetlaczu pojawił się SMS o treści: „Arnaud odbierz”. Timon niemal bezmyślnie przysunął słuchawkę tuż pod nos Arniego. – To do wujka ktoś dzwonił.

– Co mi to gównem pokazujesz?! Przecież wiesz, że bez okularów nic nie zobaczę! Skąd wiesz, że to do mnie?

– Bo jest tak napisane w SMS-ie.

Dźwięk dzwonka telefonu wypełnił wnętrze ambulansu ponownie, jednak wszystkim trzem mężczyznom wydawało się, że 30 sekund wcześniej dzwonił jakoś tak weselej, a teraz, mimo że melodyjka była taka sama, brzmiał złowroźnie.

Yves wziął głęboki wdech i popchnął rękę Timona w kierunku Arniego. –Wujek mówi!

– Pieto, słucham! – odezwał się nadspodziewanie pewnym siebie głosem.

– Mimo tego, co zaszło dziś rano, wszystkie nasze ustalenia są aktualne, panie Pieto.

– Kto mówi?!

– Pan wie, kto mówi, choć nie poznaliśmy się osobiście. Zadanie musi zostać wykonane.

– Zadanie?! Ja jestem na emeryturze, dla nikogo nie pracuję, bo nie muszę! Do widzenia! Rozłącz to, rozłącz tego prowokatora, nie będę z nim gadał!

Timon posłusznie wcisnął przycisk i położył telefon na noszach. Pieto, choć wydaje się to mało prawdopodobne, zbladł jeszcze bardziej i teraz twarz jego kolorem nie różniła się od kremowego prześcieradła, którym był owinięty. Jego wszystkie komórki mózgowe starały się rozpoznać głos, skojarzyć go z jakąś sytuacją, dopasować do twarzy pośrednika, który zlecił mu kradzież. Wizualizował sobie jego jowialną twarz z nieodłącznymi kroplami potu na łysinie, jednak głos, który do niego mówił, był wyraźnie młodszy i bardziej zasadniczy. „Zresztą skąd wziął się pod prześcieradłem, którym jestem przykryty, telefon komórkowy?”. Nie zdążył rozwinąć myśli, kiedy drzwi od karetki otworzyły się z dwóch stron jednocześnie. Do karetki niespodziewanie wróciło dwóch pielęgniarzy.

– Wypierdalać na zewnątrz! – wrzasnął Yves. – Jak skończymy, to was zawołamy.

Pielęgniarze odwrócili się na siedzeniach do tyłu, tak jakby chcieli coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, jednak ich twarze znacznie różniły się od tych, które Timon i Yves spodziewali się zobaczyć. Do tego jeden z nich trzymał w ręku mały czeski pistolet maszynowy z dokręconym do niego ogromnym tłumikiem. Drugi „pielęgniarz” przechylił się przez siedzenie, wziął do ręki leżący na prześcieradle telefon komórkowy i podsunął go pod nos Arnauda Pieta.

– Masz, rozmawiaj! I zrób wszystko, żeby nie była to ostatnia rozmowa w twoim życiu – mówił z wyraźnym niemieckim akcentem. – A wy dwaj – zwrócił się do kuzynów – złapcie się uchwytów na suficie, każdy dwoma rękoma. Jeżeli któryś z was puści uchwyt, to mój kolega go zastrzeli. Jasne?

Timon i Yves skinęli głowami i powoli zacisnęli dłonie na dwóch uchwytach, które służyły do uchylania przeszklonej części dachu karetki. W karetkce rozległ się cichy dźwięk nawiązanego połączenia telefonicznego, sygnał był cichy, jednak na tyle wyraźny, że wszyscy słyszeli, kiedy w słuchawce odezwał się głos rozmówcy.

– Cieszę się, że tak szybko zdecydował się pan do mnie dodzwonić. Czas nas nagli, więc pominię uprzejmości. Ile dni pan

potrzebuje na wykonanie zadania, licząc od dzisiaj?

– Zostałem postrzelony w nogę i jadę właśnie do szpitala...

– Panie Pieto, jest to dla mnie bez znaczenia, co się przytrafiło pańskiej nodze. Jeszcze raz powtórzę pytanie: Ile czasu potrzebuje pan na wykonanie zadania, licząc od dzisiaj?

– Trzy, cztery dni na przygotowanie się do wyjazdu, dobę na dojazd... Na miejscu nie mniej niż tydzień do dwóch, z uwagi na konieczność dokonania obserwacji obiektu i wybrania odpowiedniego wariantu wejścia do środka. Potrzebuję nie mniej niż dwóch, może nawet trzech tygodni. To wariant optymistyczny. Optymistyczny, bo umawialiśmy się, że zlecenie mamy wykonać do końca lutego, a przecież do świąt zostało jeszcze kilkanaście dni! Zresztą jak mamy prowadzić obserwację w Boże Narodzenie czy Nowy Rok?

– Panie Pieto, nie mamy tyle czasu. Jeśli pan spojrzy na swoją nogę, to zrozumie pan, że sytuacja się zmieniła, bo mamy konkurencję, która nie dość, że się spieszy, to jeszcze próbowała nas z tej gry wyeliminować. Oceniam z kolegami, że nie ma pan więcej czasu niż dwa tygodnie. Maksymalnie możemy dać panu czas do końca świąt Bożego Narodzenia.

– To niewykonalne, nie możemy działać pod taką presją. Pośpiech zagraża powodzeniu całej akcji.

– Trudno. Nie ma pan wyjścia, czekamy na pańskich bratanków z powrotem najpóźniej do 27 grudnia. Jeżeli nie wrócą, to zabijemy najpierw pana, później ich. Telefon, z którego pan teraz ze mną rozmawia, proszę zabrać ze sobą. Będę do pana dzwonił, pan do mnie nie będzie. Drugą część pieniędzy otrzyma pan zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Czy wszystko jest jasne?

– Jasne – wydusił z siebie po dłuższej chwili.

Rozdział 11

– Tak więc proszę zabierać się do roboty – zakończył siedzący za dębowym biurkiem starszy mężczyzna i rozłączył połączenie z Arnaudem Piето. Teraz przeniósł wzrok na stojącego pod oknem obszernego gabinetu szatyna w wieku około 40 lat, o pociągłej twarzy z charakterystycznym siwym kosmykiem włosów po prawej stronie głowy. Ten wypuścił kłąb dymu z małej fajki i pokiwał głową.

– Kiwasz głową na znak aprobaty czy dezaprobaty, drogi Helmucie? – zapytał szef Bundesnachrichtendienst (BND), komórki niemieckiego wywiadu przy ambasadzie niemieckiej w Paryżu Martin Warnke.

– Sytuacja musi być dla nas niezwykle ważna, skoro sam, osobiście, ją pan prowadzi, panie generale. To w zasadzie niezwykle, nawet bardzo niezwykle. – Uśmiechnął się. – Skoro pan sam pilotuje sprawę, to czy warto jeszcze angażować mnie?

– Nie wygłupiaj się! Nie zdajesz sobie sprawy, ale nie jest mi do śmiechu. Zresztą tobie też nie powinno, od dziś to będzie także twoja praca.

– Ale...

– Siadaj. – Wskazał ręką postmodernistyczny zestaw klubowy, który stał w rogu gabinetu, sięgnął ręką w dół biurka i wysunął głęboką szufladę na dokumenty, z której wyjął butelkę czerwonego johnniego walkera i dwie szklanki do whisky. Wstał gwałtownie, zasunął szufladę kolaniem i podszedł sprężystym krokiem do stolika.

– Pana generała to się dzisiaj żarty trzymają czy z nerwów pomylił pan butelki? Taniej whisky do ust nie wezmę – zakomunikował rozparty na fotelu Helmut.

– To przez cukrzycę?

– Nie, cukrzycę opanowałem, robię tylko jeden zastrzyk dziennie „penem” i mam z głowy. Chodzi mi o to, że nie pijam trunków poniżej 50 euro za butelkę. Tak więc nie wypiję tego...

– Wypijesz, wypijesz. Jak ci powiem, ile chcę ci zapłacić, to, jak sądzę, enerdowską wódkę byś wypił z podłogi i cukrzyca by ci natychmiast przeszła.

– Tak więc dzisiejszy dzień może pan zapisać w swoim słynnym dzienniku Martina Warnkego jako dzień, w którym przekonał pan dwie osoby. Jedną groźbami, drugą przekupstwem. Napiję się z przyjemnością.

– Nie próbuj bawić się w telepatę... W zasadzie to bezczelne, co powiedziałeś. – Podał rozmówcy szklankę prawie do pełna napełnioną whisky i usiadł. – Ja ciężko pracuję. Dzisiaj przekonałem już dokładnie siedem osób, a jak wiesz, nie minęło jeszcze południe, i jak widzisz, nie pojechałem nawet do biura. Ze względu na nasze spotkanie nie pojechałem.

– Czego BND chce ode mnie?

– Przed chwilą, powiedzmy, że przypadkiem, słyszałeś moją rozmowę z Arnaudem Pieto. Nie kolekcjonujesz dzieł sztuki, więc jego nazwisko nic ci nie powie.

– Domyślam się, że to złodziej.

– Złodziej dzieł sztuki i biżuterii z górnej półki. Jest jak bohater hollywoodzkich filmów sensacyjnych. Potrafi zaplanować każdą kradzież, w zasadzie jak do tej pory można powiedzieć, że był nieomylny, przez co nigdy nie został złapany na gorącym uczynku. Dzisiaj w jego domu doszło do pozornie nieoczekiwanej sytuacji, przez co został postrzelony w nogę.

– Tak, słyszałem.

– Problem w tym, że on miał zostać postrzelony, ale przez swoich siostrzeńców, i trafić do szpitala. Pozorowany napad dla alibi. Miał kierować wszystkim ze szpitala, wiedziałem o tym od początku. To profesjonalista, nie przeszkadzało mi to.

– Więc?

– Niestety polega na tym, że do jego mieszkania przed dwoma godzinami weszli trzej likwidatorzy wynajęci przez kogoś... Nie wiemy, przez kogo, ale jesteśmy pewni, że przez wrogi nam kraj, z pewnością muzułmański. Francuski wywiad po zamachach w Paryżu i Nicei ma fioła na punkcie antyterroryzmu, więc inwigilują wszystko i wszystkich. Dość szybko zrozumieli

sytuację, a żeby mieć czyste ręce, powiadomili Sûreté o planowanym rzekomym napadzie rabunkowym na Pieto. Tyle dowiedziałem się godzinę temu od naszego informatora z francuskiej policji.

– Albo chcieli porwać Pieto i przekonać do zmiany frontu, albo zabić, żeby nas opóźnić.

– Myślę, że chcieli wyciągnąć z niego, co się da, i go zlikwidować. Co oznacza, że nasi wrogowie wiedzą, co zamierzamy, co z kolei oznacza, że mamy przeciek gdzieś w wywiadzie.

– Tutaj, w Paryżu?

– Pij, bo jak się lód rozpuści, to będzie nie do wypicia. – Generał Warnke odchylił głowę do tyłu, wziął głęboki oddech. W Paryżu o całej akcji wiedzieliśmy tylko ja i pośrednik, który zwerbował Pieto. Nie można wykluczyć, i mówię to z dość dużą pewnością, że to właśnie on gra na dwa fronty. W każdym razie zdecydowaliśmy się do tego zadania zatrudnić właśnie Arnauda Pieto, bo jest Francuzem i żeby w razie wpadki podejrzenia skierować na francuski wywiad.

– Skoro Deuxième Bureau odkryło i zniweczyło planowaną akcję u Pieto, to jest możliwe, że znają nasze plany. Ja na ich miejscu wynająłbym teraz Niemców i dokonał kradzieży, żeby w razie wpadki skierować podejrzenia na nas. – Obaj zaśmiali się równocześnie.

– Na zdrowie, panie generale. – Helmut podniósł szklankę. Obaj mężczyźni wypili whisky do dna. Helmut wytarł usta i spojrzał wyczekująco na szefa. – Panie generale, co to za hojna propozycja dla mnie?

Generał wstał od stolika, podszedł do staromodnej ni to meblościanki, ni to szafy połączonej z regałem, otworzył barek i wyjął z niego dużą kopertę. Dokładnie taką, w jakiej wysyła się cięższe przesyłki kurierskie. Wyjął z niej zdjęcie i usiadł z powrotem naprzeciw Helmuta.

– Tutaj masz zdjęcie naszego pośrednika, do którego straciliśmy zaufanie. Nazywa się Jacob Priller, na odwrocie zdjęcia masz jego adres. Musisz pojechać do niego i go przesłuchać. Musimy za

wszelką cenę się dowiedzieć, dla kogo oprócz nas pracuje.
– Podał rozmówcy zdjęcie razem z kopertą. W środku masz szczegóły informacji. Przeczytaj to teraz, a następnie wrzuc tam.
– Pokazał na kominek, w którym żarzyły się niedopalone kawałki drewna. – Ja muszę coś szybko napisać. – Generał Warnke wziął pustą szklanę i wrócił za biurko. Helmut odłożył zdjęcie mężczyzny o okrągłej twarzy w wieku około 70 lat, ubranego w szary płaszcz przypominający wzorem płaszcz z końca lat 60., w które ubierali się wtedy agenci Sûreté. Z koperty wyjął francuskie prawo jazdy ze swoim nowym nazwiskiem, nowy dokument tożsamości i kartę kredytową wystawioną przez bank BNP Paribas. Od teraz do końca akcji nazywał się Louis Poussin. Następnie na stół wysypał całą zawartość pakowej koperty. Dwa pistolety Makarov z wyciętymi numerami seryjnymi i rękojeściami owiniętymi plastrem, dwa tłumiki i paczkę zawierającą 50 sztuk amunicji 9 mm, plik stu banknotów o nominale 500 euro, zdjęcie Arnauda Pieta, Yves'a Lavoisier i Timona Thouvenina, małą fiolkę zamkniętą w plastikowym woreczku oraz kartkę z napisem „SIXARX”, której treść przeczytał powoli dwa razy. Następnie przez kilkanaście sekund przyglądał się generałowi, pokiwał głową, włożył wszystkie zdjęcia i kartkę z powrotem do koperty, zmiął w kulkę i cisnął nią do kominka.

– Ta fiolka z płynem cóż to takiego? – zapytał, przyglądając się pod światło ciemnobrązowej butelce.

– Do twojej kolekcji toksyn, prezent ode mnie. Prywatny prezent.

– Jakiego typu?

– Jad żmii rogatej – odparł generał, szczerząc zęby w szczerym uśmiechu.

Helmut uśmiechnął się z uznaniem. Wyjął z kieszeni pugilares, otworzył go i położył przed sobą na stoliku. Portfel oprócz plastikowej pipety i dwóch strzykawek mieścił w sobie pięć niewielkich plastikowych fiolek z różnymi rodzajami trucizn: toksynę botulinową typu B, czyli jad kiełbasiany, arsenik, sok z jabłuszka mancinella, sok z wilczych jagód oraz rycynę.

Wszystko, co mieściło się w tym małym portfeliku, jeżeli chodzi o możliwości eksterminacji człowieka, odpowiadało mniej więcej salwie kompanii wojska. Helmut dołożył do kolekcji podarunek i ponownie się uśmiechnął.

– Przeleję w domu we właściwą ampułkę. Bardzo dziękuję, panie generale. A te pieniądze z koperty?

– Te pieniądze to zaliczką na koszty podróży i wydatki nadzwyczajne, nie musisz się z niej rozliczać – generał Warnke mówił, nadal nie odrywając wzroku od monitora. – Jak wrócisz, dostaniesz 250 tysięcy euro w gotówce za wykonanie zadania. A tych dwóch włamywaczy masz pilnować jak oka w głowie dopóty, dopóki nie dostanę tego, czego chcę. Zanim wyjedziesz, załatw sprawę tego pośrednika, musisz wycisnąć go jak gąbkę. Brak wiedzy w naszej branży to największe ryzyko, a jak wiesz, nie możemy więcej ryzykować.

– A co, jeśli ci mużłmanie zechcą dokończyć to, co zaczęli, i zabiją tego Pieta w szpitalu?

– Horst i Jurgen, nasz zespół, który był przed chwilą w karetce, ma pilnować go w szpitalu na zmianę. Nie są oczywiście w nic wtajemniczeni, ale to dobrze wyszkoleni lojalni pracownicy naszej ambasady.

Helmut wziął ze stolika fajkę, pstryknął zapalniczką i niespiesznie ją rozpałił. Przeciągnął palcem srebrne wykończenia i wypuścił wielki kłęb dymu. Przez dłuższą chwilę patrzył na generała, który zamaszystymi ruchami pióra zapisywał jakąś notatkę. Jeszcze raz zaciągnął się tytoniem i przeniósł wzrok na wiszącą na ścianie dużą mapę Paryża.

– Panie generale, w kopercie nie znalazłem adresu tego Timona i Yves’a. Skoro mam wiedzieć, kiedy wyruszają, i ich kontrolować, to raczej muszę wiedzieć, skąd będą ruszać.

– Nie potrzebujesz, powiem ci, kiedy wyjeżdżają. Będziesz czekał na nich na miejscu albo dojedziesz parę godzin później. Nie ma potrzeby, żebyś jechał za nimi od początku. Niech wasza podróż odbędzie się całkowicie osobno, nie chcę, żeby przypadkiem widzieli cię na stacji benzynowej czy przy jakimś sklepie. Jeszcze cię później skojarzą i będzie tylko niepotrzebny

afront. Dyskretną opiekę nad nimi zaczniesz dopiero, jak zameldują się w hotelu. Na dzisiaj to wszystko, Helmucie. Bierz się do roboty!

Rozdział 12

Maciej prowadził z twarzą „przyklejoną” do przedniej szyby małego volvo. Całą drogę miał wrażenie, że z każdym przejechanym kilometrem pogoda się pogarsza. Mimo że do Gdańska miał żabi skok i w normalnych warunkach podróż zarówno drogą szybkiego ruchu, jak i autostradą nie zajmowała więcej niż 90 minut. Niestety, teraz minęły już dwie i pół godziny, a jemu została do przejechania jeszcze cała obwodnica Gdańska. Właśnie zatrzymał się na bramkach wyjazdowych z autostrady, przez małe okienko włożył w dłoń ubraną w wełniane rękawiczki bez palców bilet razem z gotówką. Po chwili ręka pojawiła się ponownie, wewnątrz dłoni znajdowały się paragon i reszta, a niewidoczny „ktoś” siedzący za umazaną lodem i śniegiem szybą, o nierozpoznawalnej płci, powiedział do niego „dziękuję”. Maciej wzdrygnął się z zimna i sięgnął po resztę.

– Do widzenia. Miłego dnia w pracy życzę!

– Miłego dnia? Tutaj? Co za złośliwy kretyn... – usłyszał, mimo że szybka zatrzasnęła się ułamek sekundy wcześniej.

„Jeśli chcemy zmieniać świat, to powinniśmy zacząć od siebie” – pomyślał Maciej, zapukał w szybkę i uśmiechnął się najszczerzej, jak potrafił.

– Coś się nie zgadza? – szybka lekko się uchyliła.

– Wesołych świąt jeszcze chciałem życzyć.

– Spierdalaj pan! Będziesz się tu nade mną pastwił, siedząc w wygodnym, ciepłym samochodzie. Jedź pan, ale już, bo inni kierowcy czekają! – tym razem nie tylko zidentyfikował głos jako kobiecy, ale z całą pewnością mógł stwierdzić, że był to głos typowo polski, narodowy. Zdenerwowany wrzucił pierwszy bieg i ruszył tak szybko, jak na to pozwalała śliska nawierzchnia. „Jasna dupa! Zapomniałem się, chciałem być uprzejmy, a przecież nawet taka niedojda życiowa jak ja wie, że typowy Polak jest miły tylko wtedy, gdy czegoś potrzebuje. No może jeszcze dla obcokrajowców jest uprzejmy, ale tylko dlatego, że zasób

nauczonych słów jest zbyt skąpy, aby być niemiłym. No przecież czego oni uczą nas na tych durnych lekcjach języka angielskiego... Bzdur jakichś. Jak się masz? Jak dojść na dworzec? Gdzie jest przystanek tramwajowy? Dokąd jedzie tramwaj numer 8? A powinni od razu uczyć odpowiedzi po naszemu: Tramwaj numer 8? A co, kurwa, czytać nie umiesz? Tam jest rozkład jazdy, idź sobie przeczytaj”. Rozmyślenia przerwał dźwięk dzwonka telefonu, który po chwili przeniósł się na głośniki w samochodzie. Na wyświetlaczu zestawu głośnomówiącego pojawił się komunikat: „Dzwoni Rajmund Miedzianowski”. Maciej przełknął z trudem ślinę, ręce zacisnęły się na kierownicy, pot momentalnie wystąpił na czoło, a strach sparaliżował jego serce.

– Ja za moment zwariuję... Boże, czemu mnie tak bardzo doświadczasz?! – zawył jak wściekłe zwierzę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z czegoś, czego kompletnie nie przewidział. O matce mógł mówić, że od dawna nie żyje, i tak się nikt tym nie interesował. Jednak to wujek załatwił mu pracę w Veltronexie i to właśnie wujek może zniweczyć jego plany. Bo czasem dzwoni do dyrektora Marczuka i nawet zdarza mu się przyjeżdżać do zakładu służbowo. „No tak... Teraz już dwa tygodnie przed świętami wszyscy dzwonią do siebie z życzeniami jak popierdoleni. Jeżeli, nie daj Boże, ktoś puści farbę i do wujka Miedzianowskiego dotrze informacja, że pojechałem do Szwecji po spadek, to sprawa się wyda i jedyne, co mi wtedy pozostanie, to zmiana pracy. Ba! Nawet to nie wystarczy, będę musiał zmienić miejsce zamieszkania. Kto wie, nawet może i wyjechać z kraju? Muszę coś wymyślić... Chociaż coś doraźnego” – zakończył myśl, po czym zdecydowanym ruchem sięgnął po telefon. Przycisnął palcem na szybce smartfona „ostatnie połączenia” i wybrał numer do wujka.

– Halo?! – w zestawie głośnomówiącym rozległ się głos wujka.

– Cześć wujku! Maciuś mówi.

– Właśnie dzwoniłem na twój telefon na biurko, ale nikt nie odebrał. Gdzie się podziewasz?

– Wziąłem tydzień urlopu. Nie chcieli mi dać wolnego, bo, jak

wiesz, koniec roku w księgowości jest najgorszy. Dopiero jak nakłamałem, że umarł dziadka brat w Szwecji i jadę na pogrzeb, to mi dali.

– Że co?!

– No nakłamałem, żeby dali mi urlop. Tak zwyczajnie. Nie wydasz mnie wujku?

Pięćosekundowa cisza w słuchawce dla umysłu Kupczyka stała się wielominutową katorgą.

– No nie wydam. My, bratianie, musimy trzymać się razem! Każdy bratianin powinien śpieszyć innemu bratianinowi z pomocą, gdy ten jej potrzebuje – wujek wyrecytował formułkę.

– Będę jechał pojutrze do Veltronexu, chciałem prezent na Gwiazdkę ci dać. Przyjadę do ciebie do domu, skoro nie ma cię w pracy.

– Ale ja na serio pojechałem do Szwecji na urlop. Wypożyczyłem auto i wyjechałem. Na promie już jestem wujku – dodał na koniec małe kłamstewko.

– Ty?! Sam?! Auto wypożyczyłeś i na prom wjechałeś?

– Tak, wujku, jak wrócę, to natychmiast do wujka zadzwonię.

– Cholera, niedobrze, bo jeszcze mam do ciebie sprawę. Jak tylko zjedziesz z promu, to podjedziesz do mnie, do Gdyni, zostaję tu aż do świąt. No właśnie, a ty skąd wypływałeś?

– Halo! Ha...o! Rw... m...e. Zadz...e. Wu...k. – Maciej udał jak najlepiej, że stracił połączenie, i natychmiast dodał numer wujka do numerów zablokowanych.

„To, że wujek »łyknął« kłamstwo o pogrzebie, żeby dostać urlop, było z mojej strony majstersztykiem. Jednak jeżeli cała firma przez dłuższy czas będzie huczała o spadku, do tego wuj zobaczy mnie w nowym volvo i szastającego gotówką, to mogę zostać zdemaskowany. Oczywiście zakładając, że cała intryga się powiedzie. Wujek jest najslabszym punktem mojego planu i do tego nie wiem, jak z tego wybrnąć. Przecież nie powiem mu prawdy... Mam teraz parę dni na przemyślenie sprawy”. Podkręcił radio i z trudem przedzierając się przez wyjeżdżone w śniegu koleiny, przejechał na skrajny pas ruchu, ponad którym widniała niebieska tablica „TERMINAL PROMOWY

WESTERPLATTE”.

Pięć minut później zatrzymał się przy kiosku z białej blachy, który pełnił jednocześnie funkcję odprawy celnej i punktu kontroli biletów. Szyba zjechała na dół, Kupczyk podał szatynce o dość umiarkowanej urodzie bilet, uśmiechając się jednocześnie.

– Polak? Przysięgłabym, że jest pan Szwedem – uśmiechnęła się.

– W sumie to w części jestem Szwedem, można tak powiedzieć. Tak sędzę, że można... – Nieco zmieszany odwzajemnił się teraz kobiecie kolejnym promiennym uśmiechem.

– Mam wprawę w rozpoznawaniu narodowości, pięć lat tu pracuję, więc ma się to oko, ale pan mnie jednak zmylił. Młodzi Szwedzi są bardzo często niesamowicie przystojni, a i pan jest niczego sobie. To stąd ta pomyłka.

– Pani wygląda mi na Norweżkę. – Chciał odwzajemnić się komplementem, chociaż nigdy nie widział nikogo z Norwegii, nawet w telewizji.

– Norweżkę?! – Kobieta wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia. – No wie pan?! Norweżki akurat są obleśnie brzydkie! I to wszystkie co do jednej! – Urażona kobieta zasunęła z hukiem okienko. – Co za cham! Idiota kompletny, ja mu serce na dłoni, a tu Norweżka! – doleciało jeszcze do Macieja, kiedy zamykał szybę.

Pół godziny później siedział w klaustrofobicznej kajucie we wnętrzu całkiem sporego jak na bałtyckie morze promu M/F „Wawel”. Rząd najtańszych kajut znajdował się na samym dole promu, poniżej linii wodnej, i dlatego pomieszczenie nie posiadało okna. Oświetlenie w postaci słabo świecącej żarówki przykrytej żółtym plafonem też pozostawiało wiele do życzenia. Maciej wyjął z torby tabletki na chorobę morską oraz zeszyt w smoki, w którym miał rozpisany biznesplan swojej przestępczej wycieczki. Wycisnął dwie żółte tabletki i połknął z nieudawanym obrzydzeniem. Wzdrygnął się. Rzucił się na łóżko, otworzył zeszyt i od nowa, krok po kroku zaczął analizować hipotetyczny ciąg zdarzeń. Jeszcze raz dla pewności sprawdził adres kancelarii prawniczej Olsen & Fersen oraz

wpisał do książki telefonicznej wszystkie dostępne numery telefonów. Następnie wszedł na Facebooka, aby spojrzeć na komentarze pod zamieszczonym wcześniej zdjęciem z podpisem: „Nie mogę się zdecydować? Które auto wybrać? Pomóżcie!”. Post nie dostał żadnego lajka, za to pod spodem jego koleżanki i koledzy zamieścili kilka pikantnych komentarzy do wydarzeń, które miały miejsce na parkingu i w biurze Veltronexu. „Następnym razem wypożycz czołg”, „Masowe samobójstwa właścicieli wypożyczalni samochodów w Bydgoszczy”, „Pozdrowienia od pani Anetki ze szpitala”, „Jak wrócisz, czeka na ciebie rachunek z elektrowni za naprawę sieci, dupku”, a Pytel wkleił zdjęcie ze stłuczki, którą Maciej spowodował pod biurowcem z komentarzem: „Dobry zwyczaj nie pożyczaj”. Maciej głęboko westchnął. Najbardziej irytujące dla niego było to, że nikomu nawet przez myśl nie przemknęło, że kupuje on samochód, a nie wypożycza. Zrozumiał, że popełnił błąd, pisząc tak lakoniczny, kretyński wręcz post. Zacisnął pięści i zęby. „Muszę być bardziej zdecydowany, muszę być arogancki i chamski, dość kładzenia uszu po sobie. Od dziś ja jestem królem, to w końcu ja będę dziedziczył!”. Niewiele się zastanawiając, napisał: „Nie zrozumieliśmy się. Ja nie pożyczam, ja kupuję, a stłuczki mam w głębokim poważaniu. Pytel, jak tam twoja nowa skodzina, biedaku?”. Wcisnął enter, po czym przez dłuższą chwilę siedział wpatrzony w ścianę i głęboko oddychał.

Później jeszcze raz, całkiem na chłodno, przeanalizował dostępny na stronach internetowych życiorys Larsa Stigsona. „Skoro jako 18-latek od 1938 do 1939 roku odbywał praktyki w firmie ojca w Polsce, to moja prababcia miała wtedy jakieś 20 lat. Młody jurny Szwed trachnął dwa lata starszą Polkę i tak urodziła się moja babcia. Moja babcia urodziła się w 1938 albo w 1939 roku, a matka w 1970. Pasuje jak ulał. Czyli ten umierający w Szwecji starzec to nie jest brat dziadka, jak powiedziałem w pracy, tylko pradziadek! Z kolei jak mnie Szwedzi zapytają, skąd wiem o tym, że Stigson był moim pradziadkiem, powiem, że prababcia przed śmiercią napisała list, w którym podała jego nazwisko. Stary list, bardzo stary. Muszę

go mieć... Że też wcześniej na to nie wpadłem!". Wypieki wystąpiły na jego twarzy, szybko w Google wpisał: „techniki starzenia papieru i tuszu”. Z jakiegoś forum dowiedział się, że starzenie papieru oznacza degradację celulozy, i najlepiej to zrobić, kładąc papier w solarium na godzinę czy dwie. Następnie ostrożnie wydarł z zeszytu w smoki podwójną kartkę i drżącą ręką, niewyraźnie bazgrząc jak osoba na łożu śmierci, napisał list do „jedyne go ukochanego” prawnuczka Macieja Kupczyka, informujący o przejmującej historii poczęcia jego babci Gertrudy przez przystojnego mężczyznę, którym teoretycznie mógł być Lars Stigson. Papier pozaginał na rogach, złożył na cztery, lekko pogniół, nadając mu pozory starości. List położył na niebieskim kocu, zrobił mu zdjęcie, po czym włożył do kieszeni na piersi koszuli, a żeby wdroić plan w życie, postanowił poszukać na promie solarium. Kiedy złapał za aluminiową klamkę i wychodził na korytarz, poczuł wyraźne wibracje. Najwyraźniej prom odbijał od nabrzeża.

Jako że „serce” promu M/F „Wawel” wraz z recepcją znajdowało się cztery piętra wyżej, Maciej poszedł korytarzem, aż dotarł do hallu, gdzie po przeciwnej stronie szybu windy znajdowały się schody. W ramach gimnastyki szybkimi susami, pokonując po dwa stopnie naraz, błyskawicznie znalazł się na piętrze, gdzie hall był znacznie większy, a na jego środku znajdowała się recepcja. W kolejce do recepcji stało kilkanaście osób. Jak się okazało, przynajmniej połowa z nich otrzymała karty do tej samej kajuty. Maciej odczekał trzy minuty, co jakiś czas przypatrując się strzałce z napisem: „RESTAURACJA, BAR, CASINO”, wskazującej na pokład znajdujący się bezpośrednio nad nim. Po chwili namysłu postanowił najpierw wypić kawę i wrócić do recepcji, kiedy sprawy zakwaterowania pasażerów zostaną rozwiązane. Na pokładzie restauracyjnym panowały gwar i duży ruch. Sporo ludzi stało gęsiego, przesuując tace po ladzie w kierunku dwóch kucharzy nakładających z metalowych pojemników wizualnie przystępne, jednak konsumpcyjnie ledwie akceptowalne dania. Po przeciwnej stronie restauracji znajdował się bar, za którego ladą krzątało się trzech barmanów, zręcznie

serwując zamówione drinki, piwo czy choćby czystą wódkę. Maciej stanął za dość ładną, ale ogromną kobietą w wieku około 30 lat. Bez wysokich szpilek, które dodawały jej około 10 centymetrów, mogła mieć 185 centymetrów wzrostu, duże stopy i dłonie oraz lekka nadwaga nadawały jej wyglądu olbrzymki. Kolejne osoby odeszły obsłużone od baru, teraz nadeszła kolej na kobietę i Macieja. Kiedy jeden z barmanów podszedł do Kupczyka, ten rzucił obcesowo:

– Kawę...

Zaskoczona kobieta, która się nie zorientowała, że Maciej mówił do barmana, odwróciła się i patrząc na niego z góry, prychnęła: – Daj spokój, nie umawiam się z konusami. Nawet z takimi z ładną buźką.

– Nie podskakuj, bo jak zdejmiesz szpilki, to nie dość, że będziesz nieproporcjonalna i gruba, to się okaże, że masz krótkie nogi. I weź, kobieto, załóż okulary, bo nawet nie widzisz z tego pułapu, że tylko kawę chciałem zabrać z baru.

– Niegrzeczny kutas! – wrzasnęła.

– Mówiąca krowa – zakończył niepodobną do sposobu, w jakim zwykł się komunikować ze światem, wypowiedź. Położył na blacie odliczone 10,50 złotych i sam równie zaskoczony, co podniecony własnym chamstwem poszedł do jedyne go wolnego stolika pod oknem. Kiedy usiadł, prawie zemdlął z wrażenia, jakie sam zrobił przed sobą. „Niegrzeczny komentarz na Facebooku, a teraz to z tą kobietą, chamskie, ale imponujące. Zresztą to ona sprowokowała całe zdarzenie. Była akcja i reakcja” – pomyślał i odprowadził ją wzrokiem. Spodziewał się, że kobieta żyrafa wykona gwałtowny skręt i zniknie w głębi restauracji, jednak stało się zupełnie inaczej. Usiadła dokładnie naprzeciwko Kupczyka, po przeciwnej stronie części komunikacyjnej restauracji. Spojrzała nieprzyjaznym wzrokiem na Macieja, włożyła słomkę do ust, pociągnęła jeden łyk i połowa drinka ze szklanki zniknęła. Coś na moment przysłoniło Maciejowi światło, podniósł głowę, a w zasadzie zadarł ją do góry, żeby spojrzeć na monstrualnego blondyna. Mężczyzna około lat 35, mierzył sobie przynajmniej 210 centymetrów

wzrostu, był barczysty, a jego muskularne przedramiona zdobiły wystające spod flanelowej koszuli tatuaże. Kiedy minął stolik Macieja, uśmiechnął się do olbrzymki i usiadł koło niej. Kupczykowi kawa zatrzymała się w ustach, przełyk zacisnął się tak, że o przełknięciu napoju nie mogło być mowy, tym bardziej że dziewczyna teraz pokazywała w jego stronę wielkim palcem wskazującym, a mina olbrzyma tężała z każdą sekundą jej opowieści. W jednej chwili spuścił głowę i wbił wzrok w filizankę, w której równocześnie zaczęła nerwowo krążyć łyżeczka. Teraz jego jedynym marzeniem było zniknąć, rozpuścić się w powietrzu niczym bąk puszczoney na wietrze. „Czas spierdalać” – pomyślał, puścił łyżeczkę i podniósł się gwałtownie z krzesła, jednak nie więcej niż o pięć centymetrów.

– Har du bråttom? – zapytał gigant, trzymając jednocześnie Kupczyka za ramię.

Nad Maciejem znowu zapanowała ciemność. Podniósł głowę do góry i spojrzał na twarz tak wielką, że obwodem mogła spokojnie równać się z kelnerską tacą. Przenikliwe, świdrujące spojrzenie szarobłękitnych oczu spowodowało, że jego prawa noga nagle zaczęła podskakiwać nerwowo, a na czoło wystąpiły krople potu.

– Tryggve się pyta, gdzie się spieszysz? – Zza pleców wielkoluda wyszła kobieta olbrzymka, która stojąc obok niego, wydawała się drobna, szczupła i powabna.

– Jaaa? Nie, nigdzie się nie spieszę, po drinka chciałem iść do baru – skłamał Maciej, spuszczać wzrok na szpilki w rozmiarze 44.

– Pomyśleć, że jeszcze przed chwilą był taki odważny, a teraz chce nas łotr zwieść swoją niewinną minką – powiedziała po szwedzku do partnera kobieta. – Pozwolisz, że się przysiądziemy, prawda?

– Bardzo proszę, siadajcie – powiedział nieśmiało i zaczął przyglądać się kobiecie. Jeansowy kombinezon rozpięty był na tyle, że jej obfite piersi zdawały się wylewać na zewnątrz. Duże usta, bardziej pasujące do Murzynki, dodawały jej urodzie wyjątkowo seksownego wyglądu.

– Magda jestem, a to jest Tryggve, mój narzeczony.

– Maciej Kupczyk jestem...

– Ale miało być incognito, bez nazwisk – przerwała mu wypowiedź. – Chociaż w sumie, skoro mamy czuć się ze sobą wszyscy swobodnie, to może tak jest lepiej.

Maciej szeroko otworzył oczy, ponieważ nie do końca, a w zasadzie wcale nie zrozumiał, czemu niby miałby zostać incognito i o jakim czuciu się swobodnie powiedziała Magda. Badawczo spojrzął na wpatzonego w niego Tryggve, a później z powrotem na Magdę.

– No tak... To przecież nie konspiracja. Tutaj, na promie, możemy czuć się swobodnie – odparł.

– Lubisz hardcore, wyczułam, jak tylko wymieniliśmy tych parę zdań przy barze...

– Hej! Jak wam leci kochani? – ni stąd, ni zowąd przed stolikiem zatrzymał się wąsaty koleś w kowbojskim kapeluszu na głowie, u którego boku stała pofarbowana na rudo okropnie brzydka raszpla z grubymi łydami wbitymi w białe kozaczki.

– Spoko. Bardzo dobrze. Poznajemy się właśnie – odparła Magda, posyłając czarujący uśmiech.

– My z Renatą z Suwałk jesteśmy, jakby co, to zapraszamy tam. – Wąsacz pokazał w róg restauracji, gdzie przy złączonych stolikach siedziało jakieś dwadzieścia osób. – Tam dziś jest centrum dowodzenia promem. Ja jestem Roni, a jak wcześniej mówiłem, to jest Renia, moja żona. Roni i Renia, jak brygada RR... Rimming i ruchanie – zaśmiał się rubasznie. – Oboje jesteśmy bi, jakby co. Kobieta zarzuciła włosami, odsłaniając odstające ucho, złapała mężczyznę za rękę, by po chwili zniknąć w głębi restauracji.

– No właśnie, na czym to skończyliśmy? – zadała pytanie retoryczne Magda, patrząc na zbliżających się do nich kobietę i mężczyznę. Każde z nich niosło na tacy po kilkanaście drinków.

– Bardzo proszę, częstujcie się. Terasa jestem, a to Sztéfan. Sztéfan jest Niemcem, ale rozumie po polsku. Bierzcie, bo my idziemy szukać naszego towarzystwa. No i mamy nadzieję, że dołączysz do nas ze swoim wikingiem i tym przystojniaczkiem.

– Bardzo dziękujemy, akurat nasze drinki się kończą! – Magda

zestawiła z tacy trzy drinki, posłała Sztefanowi całusa, a kiedy para odeszła, spojrzała ponownie Maciejowi w oczy. – Od dawna swingujesz?

– Jeżeli chodzi o swing, to słabo... W zasadzie to w ogóle nie tańczę. – Zestresowany spojrzął na rozkładającą się na podeście orkiestrę, wziął dużego łyka wódki z colą i spojrzął w zielone oczy Magdy. – Prawdę mówiąc, to kompletnie nie umiem tańczyć.

Dziewczyna zaśmiała się głośno i przetłumaczyła na szwedzki sens wypowiedzi Macieja. Tryggve, który cały czas przyglądał się chłopakowi, zaśmiał się tak głośno, że aż na całej sali zrobiło się cicho.

– Niby taki chojrak, potrafił zbesztać mnie przy barze, a teraz udaje niewiniątko. Strasznie mnie podnieciłeś, zresztą teraz, jak żartujesz, też mnie podniecasz. – Kobieta wzięła rękę Macieja i położyła sobie między nogi. – Czujesz, jak tam jest ciepło? Gorąco? Jaki żar bucha mi w piecyku?

Maciej poczuł, że zaraz zemdleje ze strachu, faktycznie ciepło spomiędzy nóg było bardzo wyczuwalne, jednak jego umysł skupił się na przetrwaniu, a nie na miłosnych karesach. Do tego dotarło do niego, że jeżeli Szwed się dowie, co mówi do Macieja dziewczyna, to jest możliwe, że jednym uderzeniem wbije mu szczękę do mózgu. Szarpnęła rękę, ale Magda trzymała ją tak mocno, że o przesunięciu ręki nawet na centymetr nie mogło być mowy. Zdenerwowany wychylił drinka duszkiem do dna.

– Ja nie wiem, co na to twój chłopak. Wolałbym jednak nie ryzykować jego gniewu.

– Wsiadasz na prom, gdzie, jak wiesz, po cichu organizujemy sobie spotkanie swingersów, wkładasz znak rozpoznawczy, kokietujesz mnie przy barze, teraz trzymasz rękę między moimi nogami, a jednocześnie martwisz się o gniew mojego chłopaka? – roześmiała się.

– Jaki znak rozpoznawczy?

Magda pokazała na wystającą z kieszeni koszuli kartkę papieru, tę samą, na której zapisał „pożegnalne wyznanie swojej prababci”. Maciej rozejrzał się po sali, gdzie około czterdziestu osób było ubranych w koszule lub coś, co miało kieszonkę na

przedzie, w którą to mieli wetknięte serwetki, chusteczki czy karteczki. Wszyscy z tymi chusteczkami w kieszonkach zachowywali się względem siebie bardzo otwarcie. Teraz spojrzał na Roniego, wścicza w kowbojskim kapeluszu, który bądź co bądź dyskretnie łapał od wewnętrznej strony uda siedzącą vis-à-vis niego brunetkę. Tryggve nagle wstał od stolika i poszedł do baru.

– Będziesz się z nami pieprzył – wyszeptła, pochylając się nad uchem Macieja i niejako przy okazji włożyła mu język w ucho.

– Przepraszam, ale czy ja dobrze zrozumiałem, że część z pasażerów umówiła się wcześniej i teraz płynie do Szwecji, żeby się w czasie rejsu ruch... to znaczy kochać ze sobą?

Oczy kobiety zaszyły mgłą podniecenia, zdawała się nie słyszeć pytania, wyjęła z prawej kieszeni kombinezonu różową tabletkę wielkości aspiryny i podała ją Maciejowi.

– Masz, będzie ci po tym przyjemnie jak nigdy dotąd. Weź, nie chcę słyszeć żadnych protestów, zobaczysz, że nie pożałujesz. Magda ci to mówi. – Włożyła tabletkę do ust Kupczyka i podała mu swojego drinka do popicia. Połknął tabletkę i przez moment poczuł się jak przyszły kochanek modliszki, która tylko czeka na kopulację, żeby go zjeść. Jednak alkohol, który tak łapczywie wypił, zaczął już krążyć w jego żyłach, z sekundy na sekundę czuł się coraz pewniej. Po chwili jego ręka, która cały czas znajdowała się między udami Magdy, rozluźniła się, a środkowy palec zaczął wykonywać rytmiczne posunięcia między nogami. Minutę później Tryggve wrócił do stolika z dużą butelką absoluta w kubełku z lodem i dużą butelką coli. Kolejny raz spojrzał Maciejowi w oczy, uśmiechając się jednocześnie. Pierwsze takty muzyki wyrzuciła z instrumentów trzyosobowa orkiestra promowa. Impreza zaczynała się na dobre.

Rozdział 13

Żółta taksówka marki Mercedes podjechała pod Saint Göran Hospital w Sztokholmie. Ośmiopiętrowy bordowy budynek w ciemnościach sprawiał upiorne wrażenie. Kierowca zatrzymał pojazd tuż za wejściem głównym i wyłączył silnik. Przez dłuższą chwilę w taksówce słychać było tylko niezbyt wyszukany utwór „Odödlig Kärlek”. Britta przechyliła się przez siedzenia do przodu i wyłączyła radio.

– Łatwo wam powiedzieć! Wejdź tam i bądź sobą. Od dwóch godzin zastanawiamy się, co dalej, ale nic nie wymyśliliśmy poza tym, że najlepiej by było, gdyby Stigson umarł...

– Niepotrzebne nerwy, Britto. Nie machaj tak rękoma i nie krzycz, bo zwracasz na siebie uwagę. – Anika złapała dziewczynę za ręce.

– Jednak nie umarł, mimo że podałam mu tę waszą „sprawdzoną” substancję powodującą śmierć nerek.

– Takie rzeczy się zdarzają. Dostałaś dawkę dla schorowanego starca, chcieliśmy, żeby wyglądało to jak najbardziej naturalnie. Jak widać, dziad ma nerki jak 20-latek i tym bardziej trzeba całą akcję powtórzyć, z tym że teraz użyjemy całkiem innego środka. Bierz te wafelki, mandarynki, jego ulubioną lemoniadę ananasową, rozchmurz się i idź uśmiechnięta do niego. Wszak jesteś jego ulubienicą i przyszłą dziedziczką. Wszyscy muszą widzieć, że się cieszysz, że wyzdrowiał, że jesteś najszcześliwsza na świecie i niesiesz mu to, co najlepsze, swoją miłość i przywiązanie do eleganckiego starszego pana. W końcu za to ci płacimy i za to gwarantujemy ci piękną i bogatą przyszłość.

– Ale ja mam wyrzuty sumienia. Drugi raz mam zabić tę samą osobę, a do tego jeszcze mi życzliwą. Spieprzyliście robotę, a ja mam teraz to wszystko naprawić. Czy te wafle w siatce mają jakiś wypełniacz? Bo on ma potężną alergię pokarmową na sezam, jakby umarł od tego, to pomyślą, że go specjalnie otrułam!

– To zwykle suche wafle z działu ekologicznej żywności,

w zasadzie mąka i woda bez żadnych dodatków, bądź spokojna. Masz, teraz włóż tę słuchawkę w ucho. – Anika podała jej małą przezroczystą kulkę. – Będziesz miała ze mną stałą łączność w dwie strony. Będę słyszała, co mówisz, a ty będziesz słyszała, co ja mam do przekazania tobie. Nie mazgaj się, to jest teraz twoja praca Britto! – Anika złapała oburącz za policzki Britty i obróciła jej twarz ku sobie. – Tylko ze złości nie wypij zatrutej lemoniady, ona jest tylko dla niego. A teraz idź, no już, i uśmiechnij się na Boga!

Britta wyszła z taksówki numer 477, do ręki wzięła reklamówkę z produktami z sieci sklepów ICA i ze złością trzasnęła drzwiami. Poprawiła kaszmirowy płaszcz, postawiła kołnierz, następnie spokojnym krokiem poszła w kierunku wejścia do szpitala. Była w niej dużo piękna, nawet kiedy szła odwrócona tyłem. Jej jasne włosy opadały równo na granatowy płaszcz, długie szczupłe nogi w kozakach miarowo, z rozmysłem odmierzały kolejne kroki. Kiedy zniknęła w wejściu do szpitala, Anika wyjęła z teczki iPada obudowanego w grube wojskowe etui. Weszła w aplikację CCTV Spy i z listy wybrała Capio Saint Göran's Hospital. Ekran tabletu rozświetlił się kilkudziesięcioma małymi ekranikami, nad każdym z nich był opis miejsca zamontowania kamer. Anika palcem stuknęła na podgląd z napisem „Wejście”, obraz się powiększył, a w jego centralnej części mogła zobaczyć Brittę idącą korytarzem w kierunku szpitalnej recepcji. Stuknęła dwukrotnie w jej sylwetkę, podświetlił się napis „TRACKING” i od tej chwili program sam, całkiem automatycznie, przełączał kamery, śledząc każdy krok Britty niosącej w siatce śmiertelność truciznę.

– Dzień dobry! Ja do pana Stigsona. Czy mogłaby mi pani udzielić informacji, gdzie leży? – zapytała w recepcji, mimo że doskonale wiedziała, na jaki oddział i do jakiego pokoju trafił jej pracodawca po zaprzestaniu pracy nerek.

– Trzecie piętro, oddział nefrologii. Pokój 301, proszę pani.

– Bardzo dziękuję. – Odeszła od lady i poszła w kierunku windy.

Na trzecim piętrze, po prawej stronie od windy, korytarz przegrodzony był aluminiowo-szklaną konstrukcją, gdzie pod

samym sufitem widniał duży niebieski napis „NEFROLOGIA”. Britta otworzyła drzwi i weszła do środka. Ledwie przeszła kilka kroków, gdy usłyszała za swoimi plecami kroki.

– Słucham panią? – odezwał się uprzejmy damski głos.

– Dobry wieczór. – Britta odwróciła się w stronę wejścia do pokoju, z którego dobiegł głos kobiety. – Jestem osobą towarzyszącą pana Stigsona. Na wieść o jego chorobie wróciłam dzisiaj z zagranicy. Czy mogłabym dowiedzieć się o jego stanie zdrowia i rokowaniach?

– Ach... Rozumiem. – Głos kobiety zmienił się na bardziej oficjalny. – Był tu sekretarz pana Stigsona, jako że pacjent jest osobą publiczną, zabronił udzielania mi jakichkolwiek informacji, no, chyba że pojawiłby się ktoś z rodziny.

– Ale przecież chyba pani wie, że pan Stigson nie ma nikogo, żadnej rodziny. Jestem jego najbliższą osobą, przyniosłam mu mandarynki i... Czy mogę się z nim zobaczyć? Wiem, że leży w sali 301.

– Przykro mi. Proszę wrócić jutro, a najlepiej pojutrze, kiedy będzie ordynator. Skoro jest pani jego prawną opiekunką, to na pewno udzieli pani wszystkich informacji. Nie mogę pani pomóc.

– Rozumiem. – Britta się uśmiechnęła. – Ale odwiedzić chorego przecież można, to nie jest zabronione.

– Przykro mi. Pan Stigson przebywa nadal na intensywnej terapii, obecnie jest dializowany. Naprawdę proszę mnie nie naciskać, w czasie dializy nie można nikogo odwiedzać. Zresztą to jest naprawdę słaby... kruchy i delikatny starszy pan. Przecież nie chce pani chyba, żeby stała mu się krzywda.

– No skąd ten pomysł...

– Naprawdę, z dobrego serca radzę pani przyjść pojutrze, w ciągu dnia. Najlepiej po obchodzie, a tak prawdę mówiąc, to po godzinie 12 jest najspokojniej, wtedy też będzie pani mogła się spotkać z ordynatorem.

„Dobrze. Nie naciskaj więcej, dwa dni wytrzymamy. Zapytaj się tylko, czy możesz zostawić mu to, co przyniosłaś”. – Britta usłyszała głos Aniki w słuchawce.

– Proszę chociaż pozwolić mi przekazać to, co przyniosłam. To

jego przysmaki. – Podała siatkę pielęgniarce, która od razu zajrzała do środka.

– Wafelki i mandarynki wykluczone. Lemoniada... Niegazowana, bez cukru i aspartamu... No dobrze, niech będzie. Jak tylko skończy się dializa, a nie będzie spał, to przekażę panu Stigsonowi, że to od pani i że przyjdzie go pani odwiedzić. Dobrze? – Pielęgniarka się uśmiechnęła. – Jak ma pani na imię?

– Britta, tak jak mówiłam, jestem opiekunką pana Stigsona. Proszę przekazać, że go pozdrawiam, tęsknię i będę pojutrze po południu. Mam nadzieję, że szybko będziemy mogli wrócić do domu. Bardzo dziękuję, dobranoc pani. – Odwzajemniła uśmiech, wyszła z oddziału nefrologii i skierowała się do taksówki, tym razem korzystając z klatki schodowej.

Kiedy weszła do wnętrza samochodu, spojrzała na Anikę i drżącym od emocji głosem zapytała: – Czy możesz mi powiedzieć, co ja tym razem mu tam w tej lemoniadzie zostawiłam?

– Po co ci taka informacja? Będiesz miała przez to wyrzuty sumienia.

– Skoro truję go drugi raz, to oznacza, że nie mam żadnego sumienia. Mów!

– W napoju była superbakteria New Delhi.

– Co to jest?

– Klebsiella pneumoniae NDM. Bakteria stworzona przez naszych specjalistów, pojawiła się tak samo nagle jak HIV i teraz cały świat medyczny zastanawia się, skąd ona pochodzi.

– Nic nie rozumiem oprócz tego, że się wymądrzasz. Co ona mu robi, ta bakteria? – Britta się zachnęła.

– To jedna z nielicznych bakterii, na którą nie działają żadne antybiotyki. Wywołuje zapalenie kolejno płuc, układu moczowego, opon mózgowych i na koniec sepsę. Ilość powikłań jest niemożliwa do przewidzenia. New Delhi zacznie działać maksymalnie za dwie doby od wprowadzenia do organizmu. Bez obaw, butelka dawno już będzie w śmietniku, zresztą nikt nie skojarzy powikłań u starca z lemoniadą, jeżeli o to się martwisz. Zakażenia bakteryjne w każdym szpitalu to norma. Nawet

w dobrym szwedzkim szpitalu.

– Rozumiem. Czyli nic mi nie grozi?

– Nic. Zachowałaś się bardzo profesjonalnie. Teraz wrócimy do hotelu, weźmiesz swoją walizkę i Sven odwiezie cię do domu Stigsona. Przecież to twoje miejsce zamieszkania. Wszystko musi wyglądać naturalnie. Jedźmy już. – Klepnęła Svena w ramię. Taksówka natychmiast ruszyła.

Rozdział 14

11 grudnia

Maciej schodził za seksowną Mulatką po schodach głównej klatki schodowej promu M/F „Wawel”. Dziewczyna trzymała go za rękę, delikatnie, prawie niewyczuwalnie ciągnęła za sobą. Kiedy zeszli na, jak się zdawało, ostatni pokład znajdujący się dokładnie tam, gdzie Kupczyk miał swoją kajutę, nagle się zatrzymała. Odwróciła głowę, położyła palec na ustach i pokazała na stalowe drzwi z napisem: „TYLKO DLA PERSONELU”. Przesunęła dźwignię, która odblokowywała drzwi, i nogą popchnęła je w głąb. Kiedy Maciej wszedł za nią do ciemnego pomieszczenia, kątem oka dostrzegł biegnących w jego stronę dwóch marynarzy w staromodnych mundurach marynarskich z kwadratowym wyłogiem sięgającym ramion i białych czapkach. Chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna wciągnęła go do środka, przesunęła dźwignię z powrotem do góry, blokując drzwi. Oparła się jedną ręką o ścianę, drugą podciągnęła krótką sukienkę, wypinając w stronę Macieja nagie, okrągłutkie pośladki ledwie widoczne w świetle małej, czerwonej lampy. Chłopak był tak napalony, że nie zdjął nawet spodni, tylko rozpiął rozporek i przystąpił do kopulacji. Przy drugim posunięciu „w głąb” głuchy łoskot walenia do drzwi wypełnił pomieszczenie. Każde posunięcie w dziewczynie zwieńczone było głośnym „BUM”.

– BUM... BUM... BUM...

– Proszę otworzyć drzwi! – słyhać było głos marynarzy pomiędzy uderzeniami w drzwi.

– BUM... BUM... BUM...

– Proszę natychmiast nas wpuścić!

Maciej doszedł do orgazmu w ciągu niecałych 30 sekund. Kiedy tylko zaczęła się ejakulacja, dziewczyna odwróciła się i zaczęła krzyczeć męskim głosem: – Co pan wyprawia?!

– Proszę natychmiast przestać się wygłupiać... – usłyszał

wyraźny męski głos i zaskoczony otworzył oczy. – Bo wyważymy drzwi! – teraz głos stał się realny, a zmysły Macieja zaczęły prawidłowo odbierać docierające do niego bodźce. Przyjemne wrażenia po śnie erotycznym zniknęły w ułamku sekundy.

– Zaraz, co się stało?! – zapytał wystraszony.

– Wszystko z panem w porządku?

– Tak! Chyba tak... – powiedział, rozglądając się po kajucie.

– A czemu do mnie tak napieracie?!

– Już po stewarda z kluczem zapasowym posłaliśmy. Panie, prom stoi od pół godziny w porcie! Za godzinę mamy zacząć wpuszczać samochody, ale nie możemy, bo pan nie zjechał! Kajutę sprzątnąć trzeba!

– Ale gdzie w porcie?

– W Rio de Janeiro!

– Gdzie?!

– Albo to debil, albo kolejny narkoman nam się trafił Mirosławie – ktoś z obsługi promu podzielił się refleksją na temat Kupczyka z Mirosławem.

– Panie prom jest w Szwecji! Kolega żartował.

– Kuuurwa, panie! Pospiesz się pan, bo jak za 15 minut nie będziesz pan na dole, to laweta pana auto odholuje na parking policyjny i zapłacisz pan sporą karę – odezwał się inny głos zza drzwi.

– Już, już idę panowie! Tylko nie odholowujcie mi auta.

– A nie wiesz pan może, czyj jest niebieski nissan? Bo nie możemy znaleźć właściciela?

– Nie, no skąd mam niby wiedzieć?! Pięć minut, pięć minut! Zaraz jestem przy samochodzie. – Chłopak, wprost z pozycji na brzuchu, w jakiej leżał na łóżku, chciał przekręcić się na bok i usiąść. Jednak dziwny ból przeszył jego trzewia. Wstał ostrożnie z łóżka, a ponieważ ból sprawiał, że ledwo mógł się wyprostować, zaczął obmacywać się między pośladkami. – Ale żeby mnie tak dupsko bolało? Pierwszy raz w życiu tak dziwnie się czuję – powiedział sam do siebie i ponownie rozejrzał się w koło, szukając wzrokiem spodni i reszty odzieży, którą miał na sobie minionego wieczora. „Co ja wczoraj robiłem? Co tu się

wczoraj wydarzyło” – zadał sam sobie pytanie. Do drzwi łazienki przyczepiony był przyssawką sporej wielkości purpurowy wibrator. Na stoliku stały dwie butelki z resztką whisky, oprócz tego na blacie stało pięć plastikowych kubków, obok których leżał masturbator. Podniósł z poplamionej wykładziny przewrócone krzesło i zaczął lokalizować rzeczy potrzebne do ubrania. Jako pierwszą znalazł koszulę, torba z rzeczami wciśnięta była do brodzika, buty... o dziwo – buty miał na nogach. Niestety, mimo dość gruntownych poszukiwań nie znalazł spodni, jednak zamiast nich znalazł czyjeś czarne męskie dresy Adidasa z charakterystycznymi paskami po bokach. Były nieco za długie, ale jako że nie miał się w co ubrać, a czas naglił, wciągnął je na siebie. Sprawdził kieszeń na piersi koszuli, list od prababci teraz zdawało się, że nabrał szlachetności. Był wymiętolony i polany jakąś cieczą, prawdopodobnie czerwonym winem, bo plama miała purpurowo czerwony odcień. Portfel i dokumenty były na miejscu, jedynie brakowało 200 złotych... „Pewnie przepiłem... Może wydałem na te gadzety?! Nie no to akurat jest bez sensu. Przecież na promie nie ma sex shopu” – pomyślał i spojrzał na przyssane do drzwi łazienki dildo koloru purpurowego. Złapał je w pól, pociągnął, a kiedy się odessało, wrzucił je do torby. Kupczyk odruchowo przerzucił torbę przez ramię i spojrzał do wnętrza łazienki, gdzie w lustrze nad zlewem pojawiło się jego odbicie. Odkręcił kran, ochlapał twarz i zwilżył wodą potargane włosy. Trzasnął drzwiami od łazienki, wybiegł z kajuty wprost w kierunku klatki schodowej.

Chwilę później szedł po pustym pokładzie ładunkowym, gdzie stały tylko jego czerwone volvo oraz niebieski nissan należący do kogoś, kogo najwyraźniej nie udało się jeszcze obudzić obsłudze. Kupczyk wrzucił torbę do bagażnika, odpalił samochód i kierując się zgodnie z namalowanymi strzałkami, zjechał z promu. Po przejechaniu kilkuset metrów, będąc jeszcze na przystani promowej w Nynäshamn, wpisał do nawigacji nazwę Motel L Hammarby Sjöstad położonego na południu Sztokholmu, gdzie uprzednio zarezerwował sobie pokój z widokiem na nabrzeże. Kiedy nawigacja odnalazła miejsce docelowe, Kupczyk wrzucił

bieg i ruszył. Czuł się fatalnie. Sięgnął po zakupioną jeszcze w Polsce butelkę wody mineralnej i wypił większość duszkiem. Nie dość, że głodny, to jeszcze był potwornie śpiący i czuł się kompletnie wyczerpany. Do tego złego samopoczucia dochodził dokuczliwy bądź co bądź ból tyłka. Jechał wolno i za wszelką cenę starał się przypomnieć sobie ciąg wydarzeń minionej doby. Wszak na prom wsiadł całą dobę wcześniej, a jemu utkwiała w pamięci pierwsza, no może dwie pierwsze godziny podróży. Wiedział tylko, że bardzo się podniecił już w restauracji, zresztą teraz mimo wyczerpania fizycznego nadal czuł się bardzo podniecony. „Co to była za pastylka, tabletką różową, co czyni cuda, ale zabiera pamięć? Hm... Może to przez alkohol. Pewnie tak. Upiłem się, a tabletką nie ma z pamięcią nic wspólnego... Zresztą czuję, że mam alkoholowego kaca”. W pewnym momencie krzyknął: – Już wiem! To przez tabletki na chorobę morską! Jak jadłem psychotropy, mój kac wyglądał zupełnie inaczej. Tabletki na chorobę morską plus alkohol spowodowały utratę pamięci i to, że teraz jestem zmulony! Jednak nic to, zwyczajna sprawa upić się, zerwać film i mieć kaca. Teraz liczy się tylko cała reszta zebranych w tę noc doświadczeń. Muszę przyznać, że trafiła mi się gratka. Los śmieje się teraz do mnie pełną gębą. W sumie ta Magda była niczego sobie, faktycznie trochę duża, ale za to konkretna i miła. Szczęście odwróciło się do mnie twarzą, a nie dupą. Pierwszy raz w życiu miałem szczęście... Żeby trafić na imprezę ludzi chcących uprawiać ze sobą seks, no i jeszcze nie odholowali mi auta, gdy zasnąłem. Normalnie już bym nie miał samochodu. – Całe 40 minut drogi z portu do hotelu zabawiał sam siebie to monologiem, to znowu dopadała go gonitwa myśli. Kiedy zgodnie z drogowskazem skręcił w kierunku hotelu, poczuł się naprawdę zmęczony. „Jak tylko się rozpakuję, zjem kolację i idę spać, to nic, że jeszcze nie ma 20. Jutro mam niezwykle ważny dzień... niezwykle ważny”. Przejechał ostrożnie przez parking, szukając wolnego miejsca. Niestety, wszystkie miejsca były zajęte. Auta stały w każdym wolnym miejscu, tak więc spróbował objechać budynek, na którego zapleczu prowadzone były jakieś prace budowlane.

Teren budowy był otwarty i niemal pod samym motelem pomiędzy małym dźwigiem a kontenerem socjalnym był całkiem spory placyk, na którym mógł postawić swoje auto. Z drugiej strony kontenera ktoś zostawił zaparkowanego vana, więc opcja wydała się Maciejowi bezpieczna. Postawił auto tak, żeby nikomu, kto przyjdzie nazajutrz rano do pracy, nie przeszkadzało. Wyłączył silnik, otworzył drzwi, przekręcił się z nonszalancją na siedzeniu, pociągnął za klamkę i wysiadł. Cienki lód, na którym stanął, zadziałał jak dobrze ukryta pod śniegiem zapadnia, ponieważ Kupczyk wpadł do lodowatej kałuży, zanurzając się w niej powyżej pasa. Teraz stał zszokowany i patrzył z niedowierzaniem na wnętrze samochodu z perspektywy pół metra powyżej poziomu ziemi. Jego twarz bowiem wystawała tylko kawałek ponad próg samochodu. Kiedy dotarło do niego, że w prawej ręce trzyma zalany wodą kluczyk, a w lewej urwaną klamkę od samochodu, zaczął przez zaciśnięte zęby cedzić wolno słowa.

– Kurwaaa! A już myślałem, że szczęście się do mnie uśmiechnęło! Dlaczego ja mam zawsze pod górę?! Przecież to jest tak bardzo niesprawiedliwe! – Zaciśnął szczęki, powstrzymał łzy, które jak zawsze zaczęły napływać mu do oczu, wrzucił kluczyk i klamkę do wnętrza auta, złapał się progu i rycząc jak zwierzę, podciągnął się do góry. Nawet kiedy stanął na czworakach, nie czuł się pewnie, bo śnieg przyprószył wszystko wokół i nie był pewny, czy znajduje się na stałym gruncie czy na lodzie. Ostrożnie przesuwiał się jak saper na polu minowym. Cały czas idąc na czworakach, otworzył bagażnik, wspiął się po tyle auta i usiadł na zderzaku. Włożył rękę do kieszeni dresów, wyjął z niej zamoczony telefon. Popatrzył na niego smutnym wzrokiem, po czym włożył go do wewnętrznej, suchej kieszeni kurtki. Przenikające zimno ścisnęło wszystkie mokre miejsca na jego ciele, a mróz spowodował, że spodnie od dresów błyskawicznie zaczęły tężeć. Trzęsąc się z zimna, szcękając zębami, wyjął z bagażnika torbę. Otworzył drzwi od strony pasażera i odszukał zamoczony kluczyk. Jako że umieszczony w nim pilot do sterowania zamkiem auta nie działał, zamknął drzwi tradycyjnie,

wkładając klucz do zamka, i na sztywnych nogach poszedł w kierunku wejścia do Motelu L Hammarby Sjöstad.

Rozdział 15

12 grudnia

Kupczyk przebudził się gwałtownie. Spojrzał w sufit, zdenerwowany podniósł się lekko na łokciach i przez pierwsze kilka sekund zastanawiał się, gdzie aktualnie się znajduje. Dopiero kiedy przypomniał sobie wczorajszą przygodę z kałużą, zrozumiał, że jest w motelu.

„Miasto Sztokholm, kraj Szwecja, kontynent Europa, planeta Ziemia, Układ Słoneczny, galaktyka Droga Mleczna. Tutaj jestem, ja mały okruszek wszechświata. Nic nieznaczący jak jeden płatek śniegu w grudniowej zamieci, teraz wstanę i słońce nade mną zaświeci”.

Tym razem nie było czasu na przeciąganie. Spojrzał na zegarek na wyświetlaczu radia stojącego na nocnym stoliku. Była dokładnie 8.03. Zeskoczył z łóżka i pierwsze swoje kroki skierował do kaloryfera, gdzie położone na ręczniku suszyły się dresy, klucz od samochodu oraz bądź co bądź wodoodporny telefon komórkowy. Po pobieżnym sprawdzeniu wydawało się, że wszystko jest w porządku. Telefon dał się uruchomić i ledwo się włączył, od razu przyszło połączenie od jego mamy. Odrzucił je tak jak poprzednio, nie miał teraz czasu na wysłuchiwanie opowieści o niczym, które zwykle snuła jego matka. Następnie sprawdził spodnie – były suche, a na pilocie od auta zapalała się dioda. Zadowolony z siebie szybko doprowadził się do porządku w łazience, później ubrał znowu nieco za duże dresy i szedł na dół do restauracji hotelowej na śniadanie. Szczęście uśmiechało się do niego od samego rana, ponieważ – jak dowiedział się w recepcji – 100 metrów od motelu w małej galerii znajdował się sklep z odzieżą szwedzkiej marki Stenströms, który otwierano o godzinie 9. Dokładnie o 9.40 ubrany w nowe spodnie, koszulę zakupioną jeszcze w Polsce i eleganckie buty ostrożnie wsiadł do samochodu od strony pasażera. Z duszą na ramieniu włożył

kluczyk do stacyjki, przekręcił go, auto odpaliło. Teraz w nawigacji wpisał nazwę ulicy wraz z numerem Kungsgatan 43, gdzie znajdowała się siedziba kancelarii prawniczej Olsen & Fersen. Wyjechał ostrożnie z placu budowy, jakby spodziewał się wpaść w kolejną zamrożniętą kałużę, i pognął tak szybko, na ile pozwalały mu miejskie korki w kierunku kancelarii, która miała być dla niego wrotami do nowego, lepszego życia. Tuż przed budynkiem znajdowała się zatoczka, gdzie na białym prostokątnym znaku oprócz namalowanego zakazu zatrzymywania się widniały napisane po szwedzku słowa: „Endast för anställda vid advokatbyrån Olsen & Fersen”. Napis przeczytał dwa razy i zinterpretował go jako „miejsce dla klientów kancelarii Olsen & Fersen”, a jako że miejsca były dwa, bez wahania wjechał na pierwsze z nich. Ponieważ ułamana klamka od drzwi kierowcy spoczywała w schowku, otworzył od środka drzwi od strony pasażera i z trudem wygramolił się z ciasnego wnętrza małego volvo na zewnątrz. Poprawił się, a jego wzrok przeniósł się na drugą stronę ulicy, gdzie widniał duży napis „S O L A R I U M”.

– No mam dziś farta! Jak nic powinienem zagrać w lotto – uśmiechnął się i podskakując z radości, przebiegł na drugą stronę ulicy.

– Dzień dobry! – powiedział po angielsku do Hinduski, która obsługiwała solarium.

– Dzień dobry! W czym mogę służyć?

– Chciałbym skorzystać z solarium.

– Na ile minut? – zapytała rzeczowo, pokazując dłonią na kabinę z naklejoną różową cyfrą numer 4.

– Pół godziny poproszę, tak do 10.30.

– Vad fan vill du ha?! – wyrwało się kobiecie po szwedzku.

– Bardzo przepraszam... Ile minut pan chce skorzystać, pytałam?

Maciej, jako że nie był pewien, czy powiedział dobrze zdanie, powtórzył jeszcze raz, bardzo wolno cedząc słowa w języku angielskim. – Teraz jest 10, poproszę 30 minut, do 10.30. Tak?

– Przepraszam za nieuprzejmość, ja rozumiem, że jest pan błady, ale korzystanie z solarium przez 30 minut może panu

zaszkodzić...

– Tak, poproszę 30 minut.

– Proszę, tu jest oświadczenie, dla osób chcących korzystać z solarium powyżej 10 minut, że robią to na własną odpowiedzialność oraz że zostały uprzedzone o negatywnych skutkach i niebezpieczeństwach wynikających ze zbyt długiego opalania się. Jednak mimo wszystko zadzwonię jeszcze do właścicielki, czy mogę pana wpuścić.

Kobieta po chwili wybrała numer do szefowej, mijał sygnał za sygnałem, ale ta nie odbierała. Im dłużej trwało połączenie, tym pracowniczka solarium robiła się bardziej nerwowa. W końcu zrezygnowana, drżącą ręką podsunęła Maciejowi oświadczenie do podpisania, wprowadziła go do kabiny numer 4 i wróciła za kontuar.

– Kolejna wizyta u psychologa murowana! Pierwszy klient i od razu wariat – powiedziała sama do siebie.

Tymczasem Maciej rozebrał się do naga, wszedł do łóżka, kartkę z „listem od prababci” położył sobie między nogi i rozpoczął opalanie. Kiedy minęło 10 minut roztropnie, pomny ostrzeżeń kobiety, wyszedł z łóżka. Usiadł na krześle obok, położył list na jarzeniówkach i zamknął pokrywę. Podmuch dmuchawy chłodzącej natychmiast zdmuchnął kartkę, która wystrzeliła ze szpary znajdującej się na szczycie łóżka i trafiła prosto w kilkucentymetrową szparę pomiędzy drzwiami i podłogą.

– Kurwa mać! – zaklął na głos i szybko wciągnął spodnie, następnie wpół rozebrany wyszedł na zewnątrz i ze zwieszoną głową zaczął szukać kartki papieru.

Kobieta za kontuarem krzyknęła, ale szybko zakryła dłonią usta i schowała się za ladą recepcji. Jej ręka błądziła po blacie, nerwowo szukając telefonu.

– Pani się nie denerwuje, ja już wracam do kabiny, coś mi tylko upadło. Zgubiłem coś po prostu.

Telefon na ladzie zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy dłoń kobiety ujęła go w palce. Pochwycony zniknął za ladą, skąd nagle rozległ się przeraźliwy wrzask w języku szwedzkim.

– Pani mnie ratuje! Gwałciiciel! Ratunku!

„Co to za idiotka, żeby tak się wydzierać. Przecież mam spodnie” – Maciej podniósł list, który znajdował się tuż za masywną doniczką, w której osadzona była sztuczna palma, i wrócił do kabiny. Usiadł z powrotem na krześle, otworzył łóżko i trzymając palcem kartkę raz z jednej strony, raz z drugiej, spędził następne 18 minut. Kiedy zgasły jarzeniówki, dmuchawa zaczęła pracować jeszcze mocniej, aby schłodzić rozgrzane lampy. Maciej schował kartkę do wewnętrznej kieszeni kurtki, ubrał się, po czym spokojnie wyszedł z kabiny. Jakie było jego zdziwienie, kiedy zobaczył stojących obok recepcji dwóch policjantów w mundurach.

– Dzień dobry! – powiedział wesoło. – To policja tak jak w Polsce przychodzi do solarium w czasie służby?

– Dzień dobry! – odparł jeden z policjantów. – Dokumenty proszę, mamy skargę o obnażanie się w miejscu publicznym.

– Że co?

– Tak jak pan słyszał. Rozebrał się pan przy tej pani, tak przynajmniej twierdzi ta pani.

– Przy tej pani?! Skąd, przecież ja byłem w spodniach, proszę sprawdzić na monitoringu! Ja tylko wyszedłem po kartkę, kartka mi upadła! To dla mnie bardzo ważny dokument.

Awantura trwała 10 minut, a z uwagi na dość ekspresyjne jak na szwedzkie standardy zachowanie Kupczyka został on zakuty w kajdanki i posadzony na fotelu. Sytuację rozładowało przybycie właścicielki, która okazała się bardzo atrakcyjną Białorusinką. Obejrzano komisyjnie nagranie z monitoringu, na którym dokładnie było widać, jak najpierw spod drzwi wylatuje papier, a później wpatrzony w podłogę zaczyna spacerować Maciej. Svieta roześmiała się, policjanci również, tylko Hinduska dalej nie bardzo chciała się rozchmurzyć.

– Panowie wybaczą. To nieporozumienie, prawda Ananti? – zwróciła się do pracowniczki. – Nic się takiego nie stało, nieporozumienie wynika wyłącznie z różnicy kultur. Ten pan nic złego nie miał na myśli. – Pan powie, że pan ją przeprosza – teraz zwróciła się do Macieja łamaną polszczyzną.

– Ale za co ja mam przeprosić? Jak przyjechała do Europy, to niech się asymiluje. Czemu ja mam u siebie przeproszać kogoś, kto przyjechał z Azji i nie rozumie, że nic się nie stało? To jest solarium, a nie kościół, meczet czy świątynia Buddy. Jak pójdzie na basen, to też będzie chciała, żeby wszyscy się ubrali? Nie zrobiłem nic złego i nie będę tej kobiety przeproszał. Jak jej nie pasuje, niech wypierdala do siebie, przecież to ona chciała tu przyjechać. Jak widzę, nie jest naukowcem od badań molekularnych i Szwedzi chyba ją o tę imigrację nie prosili?! – Maciej mimo miłego z natury usposobienia gotował się ze złości.

– Ja ciebie doskonale rozumiem i wiem, że masz rację. Ale tu jest Szwecja i Szwedzi z uwagi na to, żeby nikt ich nie posądził o ksenofobię, rasizm i inne gówna, zawsze stają po stronie imigranta. Myślisz, że zatrudniłam ją, bo jest taka świetna? Otóż nie, zatrudniłam ją, bo szwedzki rząd dopłaca mi połowę do jej pensji i mam ulgi w ubezpieczeniu społecznym. Jak jej nie przeprosisz, to aresztują cię, trafisz do sądu i możesz zapłacić w sądzie grzywnę. Nawet kilka tysięcy euro. Przepróż ją, tym razem ja ciebie proszę, a później możesz zaprosić mnie na kawę. – Mrugnęła z przyklejoną do powieki rzęsą.

Maciej, głęboko westchnął, bezsensownie tracił czas, który teraz powinien spędzać u adwokata. „Trzeba to zakończyć” – pomyślał, a ponieważ miał cały czas założone kajdanki, dość pokracznie wstał z fotela, podszedł dwa kroki w kierunku recepcji i ukłonił się najbardziej szarmancko, jak potrafił. Kiedy stał tak sekundę pochylony, zobaczył kątem oka, jak jego małe volvo odjeżdża na niebiesko-białej lawecie.

– Ja pierdołę! – krzyknął i chciał wybiec z solarium na ulicę i krzycheć, żeby kierowca lawety się zatrzymał, ale kajdanki założone z tyłu na rękach uniemożliwiły mu otwarcie drzwi.

Zanim zdjęto mu kajdanki i mógł wyjść na zewnątrz, po lawecie nie było nawet śladu. Stał tak na chodniku i głęboko oddychał. Wściekłość przelewała się przez jego umysł na przemian z załamaniem i rezygnacją.

– Tu zaparkowałem – pokazał Swiecie miejsce, gdzie teraz na

miejscu jego samochodu parkowało piękne volvo V90.

– Przecież to miejsce tylko dla pracowników kancelarii, a to chyba nawet jest auto tego Fersena, bo to mój klient, znam go z widzenia.

– Ja się właśnie do nich wybierałem...

Wrócił ze Svieta do solarium, policjanci uczynnie sprawdzili, na jaki parking zostało odholowane jego auto i ile będzie musiał zapłacić za wydanie pojazdu. Właścicielka solarium zegnając się, dała mu swoją wizytówkę i soczystego całusa w policzek. Maciej ukłonił się jeszcze raz wszystkim i poszedł na drugą stronę ulicy w kierunku eleganckiego budynku, gdzie mieściła się kancelaria Olsen & Fersen. Po podaniu swojego nazwiska przez domofon elektryczny zamek zabrzączał i Kupczyk wszedł do wnętrza świeżo wyremontowanej kamienicy. Ponieważ kancelaria znajdowała się na pierwszym piętrze, nie wybrał windy, tylko wolnym krokiem poszedł na górę, korzystając z klatki schodowej. Przed drzwiami zatrzymał się na moment, uniósł wysoko głowę i patrząc w sufit, na moment się zamyślił. „Zaczynam grę w nieznanym dla mnie świecie, poruszam się po nieznanym mi wodach. Od teraz muszę być innym człowiekiem, muszę być zdecydowany i pewny siebie. Gra toczy się o najwyższą stawkę, kiedy przekroczę te drzwi, odwrotu dla mnie już nie będzie”. Do ust włożył miętową gumę, wziął bardzo głęboki oddech, śmiało nacisnął na klamkę i wszedł do hallu, gdzie w recepcji siedziała pofarbowana na ciemny kasztan Azjatka.

– Dzień dobry! – zaczął mówić po angielsku, bardzo wyraźnie akcentując przerwy między słowami. – Nazywam się Kupczyk, Maciej Kupczyk. Przyjechałem wczoraj z Polski i przychodzę w bardzo ważnej sprawie spadkowej do pana Olsena lub Fersena.

– Mamy dział polski u nas w kancelarii. Nie sądzę, żeby pan Fersen miał powód się z panem zobaczyć. Chyba że był pan z nim umówiony? – odezwała się piękną, czystą angielszczyzną.

– Nie byłem i nie interesuje mnie wasz dział polski. Proszę przekazać panu Fersenowi, że przyjechał pan Kupczyk, spadkobierca pana Stigsona, i chce powierzyć jego kancelarii przeprowadzenie postępowania spadkowego. Całego

postępowania – tu celowo zrobił dłuższą przerwę – jestem jego prawnikiem. Wie pani, kto to jest Stigson? – Maciej rzucił okiem na blat biurka, za którym siedziała kobieta, gdzie na stercie gazet leżał złożony na pół jakiś brukowiec. Na tytułowej stronie widoczne było zdjęcie staruszka na tle jakiegoś zamku podpisane wielką żółtą czcionką: „Herr Stigson vaknade från en koma”.

Kobieta chrząknęła, nieco speszona spuściła oczy i pokazała Maciejowi na kącik gościnny w rogu hallu. – Zapraszam pana. Proszę spocząć, już dowiem się, czy pan mecenas przyjmie pana teraz.

Wybrał dwuosobową sofę, na której rozsiadł się dosyć swobodnie. Kobieta wyszła zza dużego recepcyjnego biurka i zniknęła w długim korytarzu. Kupczyk wyjął ze stojącego koszyczka cukierek i włożył go do ust. Połączony z gumą do żucia smakował wybornie. Ze sterty starych gazet leżących na dolnej półce stoliczka wyjął „Wheels Magazine” – szwedzką gazetę motoryzacyjną poświęconą restaurowaniu starych aut oraz przerabianiu pojazdów na hot rody. Nie zdążył nawet przejrzeć pobieżnie artykułu o odrestaurowywaniu zabytkowego cadillaca de ville, kiedy drzwi, w których przed minutą zniknęła recepcjonistka, się otworzyły. W jego stronę razem z kobietą zmierzał wysoki blondyn o tak jasnych włosach, że można było uznać nieopatrznie, że są siwe. Sprężystym krokiem z wyciągniętą przed siebie ręką ze złotym breitlingiem na ręce podszedł do Kupczyka.

– Folke Fersen. – Wyciągnięta ręka skierowała się wyraźnie ku Maciejowi. –Widzę, że także lubi pan stare samochody.

– Maciej Kupczyk. – Chłopak wstał i uściśnął dłoń prawnika, patrząc w jego niebieskoszare oczy. – To pan kazał odholować moje małe volvo?

– Yyy...

– Czerwone V40, postawiłem je na dole i przed przyjściem do państwa poszedłem kupić gumy do żucia. Kiedy wyszedłem ze sklepu, laweta właśnie z nim odjeżdżała. Myślałem, że na znaku jest napis, że to miejsce parkingowe dla klientów kancelarii.

– Och! Pan wybaczy! – Wskazał ręką na kobietę za kontuarem.

– Proszę się nie martwić o samochód. Choi zadzwoni na parking, odwiozą panu samochód na nasz koszt na miejsce. Bardzo trafna uwaga, dobrze, że pan zasugerował, dopiszemy jeszcze na tablicy informację w języku angielskim. Przepraszam, uznaję, że to jest nasz błąd, a na przyszłość proszę pamiętać, że parking dla klientów znajduje się tuż za rogiem budynku.

– Bardzo dziękuję za uczciwe podejście do sprawy.

– W końcu to kancelaria prawnicza, uczciwość to nasza dewiza.

– Ręką pokazał na drzwi swojego gabinetu. – A teraz zapraszam pana do mnie i pozwól pan, że dołączę do nas kierowniczkę naszego polskiego działu. Ułatwi to nam rozmowę i rozwieje wszelkie wątpliwości językowe.

Gabinet szefa kancelarii okazał się urządzony bardzo skromnie. Kupczyk spodziewał się wewnątrz bogatych jak u prezesa w jego firmie. A tu nic. Skromny stolik kawowy z jasnego drewna, tak samo skromne foteliki, biurko, dwa regały, też z jasnego drewna, i rzucająca się w oczy piękna lampa stojąca na biurku. Po chwili do gabinetu wszedł sam szef z tacą, na której miał postawiony dzbanek z kawą i herbatą oraz sześć filiżanek.

– Sam pan kawę i herbatę zrobił?

– Nie rozumiem – odparł Folke Fersen.

– U nas, w Polsce, sekretariat przygotowuje napoje dla szefa i gości.

– Choi ma dwa fakultety z prawa szwedzkiego i prawa międzynarodowego, mówi biegle w trzech językach i jeżeli poprosiłbym ją o zrobienie kawy czy herbaty, to mogłoby to być dla niej nieco upokarzające.

– No cóż... Znane mi sekretarki czy asystentki nie mają takich kompetencji. U mnie w pracy sekretarka prezesa skończyła wychowanie przedszkolne.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta lat około 40 z wygolonymi bokami głowy i czerwonym irokezem na środku. Podeszła do Kupczyka, wyciągnęła rękę, a spod garsonki wysunęło się wytatuowane przedramię.

– Janina Silberstin. Proszę mi mówić Janka, tak będzie wygodniej dla nas obojga.

Kupczyk przywitał się, a kiedy wszyscy usiedli, zaczął budować swoją opowieść.

– Jeżeli państwo pozwolą, będę mówił po polsku, a pani Janka, to znaczy Janka, przetłumaczy to, co mówię, na szwedzki. Czy możemy się tak umówić? – Ponieważ adwokat kiwnął głową, Maciej kontynuował wypowiedź bez zbędnej zwłoki. – Tak jak mówiłem, przyjechałem wczoraj z Polski i jestem prawnikiem pana Stigsona. Moja prababcia miała w latach 30. romans z moim pradziadkiem Larsem Stigsonem. Z tego romansu urodziła się moja babcia. Później wybuchła wojna, a musicie wiedzieć, że moja prababcia była Żydówką i musiała ukrywać się całą wojnę przed Niemcami. Przez to zmieniła zarówno imię jak i nazwisko, ponieważ weszła w posiadanie dokumentów osoby, kobiety, która została zabita podczas nalotów pod Bydgoszczą. Nie znam prawdziwego imienia ani nazwiska prababci, ponieważ po wojnie została ona przy przybranym nazwisku. Nikomu nie przyznałem się do tej pory ze znajomych, że jestem z pochodzenia Żydem. W Polsce nie we wszystkich kręgach jest to mile widziane.

Kobieta delikatnie uniosła brwi, następnie słowo po słowie przetłumaczyła panu Fersenowi pierwszą część opowieści Macieja Kupczyka. Kiedy skończyła, adwokat ze zrozumieniem pokiwał głową i skinieniem głowy dał znak, że jest gotowy wysłuchać dalszej części tej niezwykle ciekawej opowieści.

W momencie, gdy Kupczyk skończył, adwokat złożył dłonie i przyłożył je do twarzy, jakby się modlił. Na dłuższą chwilę zawiesił się, patrząc na jeden z trzech zawieszonych na ścianie obrazów z namalowanymi planetami.

– Proszę pana – odezwał się grobowo poważnym głosem. – Zdaje pan sobie sprawę z powagi oświadczenia, jakie pan składa?

– Naturalnie, że zdaje sobie sprawę. Jeżeli powiedziałbym panu, że nie zamierzam pretendować do spadku po moim pradziadku, to mógłby pan uznać, że jestem kłamcą. Ale ja nie jestem fałszywym uzurpatorem i chcę pretendować do spadku lub części spadku. To po pierwsze, po drugie, jeżeli dziadek uzna, że

nic mi się nie należy, oczywiście pogodzę się z tym – kłamało mu się tak dobrze, że cała sytuacja oraz powaga, z jaką traktował go adwokat, zaczęła sprawiać mu przyjemność. – Pojawiłem się u pana tylko dlatego, że nie dość, że nie wiem, gdzie mój pradziadek mieszka, to jeszcze obawiam się, że rodzina może nie chcieć mnie do niego dopuścić. Dopiero tu, w Szwecji, dowiedziałem się z prasy, że pradziadek umiera, jak piszą – jest w stanie agonalnym, więc myślę, że bez postępowania spadkowego i tak się nie obejdzie. Stąd moja wizyta – kłamstwo z rzekomą rodziną Stigsona, której jak wiedział nie było, sprawiło mu szczególną radość.

Sytuacja się powtórzyła, pani Janka przetłumaczyła bardzo starannie wypowiedź Macieja, który teraz śledził uważnie mimikę twarzy adwokata. Starał się za wszelką cenę wyczytać, co mężczyzna teraz myśli. Jednak twarz pana Fersena pozostawała jak odlana z wosku. Nie drgnęła żadna jego zmarszczka, żaden grymas twarzy nie zdradził, co tak naprawdę dzieje się w jego umyśle. Kiedy tłumaczenie dobiegło końca, mężczyzna znowu złożył dłonie jak do modlitwy i zaczął mówić.

– Proszę pana, od lat 30. XX wieku minęło 80 lat. Z pana wypowiedzi wynika, że jest pan absolutnie pewny tego, iż jest pan prawnukiem pana Stigsona. Zanim zajmę się tą sprawą, muszę mieć jakiś namacalny dowód, sam pan rozumie, że...

– Proszę bardzo – wyjął z kieszeni pogniecioną kartkę, podał mężczyźnie, a do kobiety zwrócił się po polsku. – Ten dokument napisała moja prababcia tuż przed śmiercią kilkanaście lat temu. Jest tam wszystko wyjaśnione.

Mężczyzna oddał kartkę pani Jance. Kobieta spojrzała na wymęczoną, poplamioną kartkę papieru, gdzie drżącą ręką opisano w kilkunastu zdaniach historię, jaką poczęstował ich chwilę wcześniej Kupczyk. Po przeczytaniu treści listu adwokatowi mężczyzna się uśmiechnął.

– Trochę to mało, jeżeli chodzi o tego typu sprawę, proszę pana. Żeby mnie pan dobrze zrozumiał, pan Stigson jest mi znany osobiście. Mogę powiedzieć, że dobrze znany, ponieważ oprócz relacji prywatnych mamy też relacje służbowe. Prowadziliśmy

kilka spraw związanych z RFSL – stowarzyszeniem gejów i lesbijek ze Sztokholmu, które w znacznej części on sam finansuje. Musi też pan wiedzieć, że pan Lars Stigson to zadeklarowany gej i z tego, co mi wiadomo, jest gejem od zawsze.

Kiedy coś pójdzie nie tak, zazwyczaj ciepło robi się człowiekowi od głowy. Maciej zapłonął jednak, poczuwszy od palców stóp. Ciepło postępowało błyskawicznie. Trzy sekundy później jego uszy i policzki, mimo że i tak były lekko zaczerwienione po solarium, teraz nabrały koloru purpurowego. Najpierw poczuł, że drży mu kącik ust, a później robi się słabo. W pierwszym odruchu paniki chciał wstać i wybiec z kancelarii adwokackiej, jednak szybko pojawiła się myśl, że nie ma samochodu, a los jego auta jest w rękach kobiety z recepcji o imieniu Choi. Zebranie myśli zajęło mu kilka sekund, w których trakcie Folke Fersen i pani Janka, jak mu się zdawało, wywiercali mu wzrokiem dziurę w twarzy.

– Z tego, co wiem, mój pradziadek miał również tu, w Szwecji, żonę. Zresztą nie można wykluczyć, że...

– Proszę pana, pani Elsa była od niego o 25 lat młodsza i została jego żoną w czasach, kiedy bycie gejem nie było tak oczywiście postrzegane jak dzisiaj. To był układ. Opiekowała się nim, ale jak to w życiu bywa, zmarła pierwsza na raka.

– Nie ma to znaczenia, panie Fersen – mimo że czułem, iż tonie, walczył jak oszalały, aby nie wyjść na idiotę do końca. – Moja prababcia nie kłamała, a jak widzę, zamiast próbować mnie zrozumieć i jako znajomy pana Stigsona pomóc mu skontaktować się z prawnikiem, insynuuje pan, że to, co mówię, jest albo nieprawdą, albo niemożliwe, bo pradziadek był gejem – powiedział po angielsku, nie czekając na tłumaczenie, i drżącą z nerwów ręką sięgnął po filiżankę z kawą.

– Przepraszam pana najmocniej, nie miałem nic takiego na myśli. Absolutnie! Mało tego, spełnię pana życzenie natychmiast. Jest jeden, bardzo prosty sposób, żebym pozostał lojalny, dbając o interes zarówno mojego starego klienta pana Stigsona, jak i pana jako ewentualnego mojego przyszłego klienta. Ponieważ, jak wieść niesie, pan Stigson odzyskał przytomność, po prostu

pojedziemy do szpitala. Sytuacja jest wyjątkowa, zrobię wszystko, żeby nam się udało w szpitalu z nim spotkać. Ruszajmy więc!

Łyk kawy, który akurat przełykał Kupczyk, zamienił się w kamień. Kiedy go w końcu przełknął, natychmiast wziął głęboki oddech. Odchylił się lekko do tyłu, bo zrozumiał, że sytuacja, w której się znalazł, dalece różni się od tego, co zakładał. Jest też drastycznie inna niż pasmo sukcesów oszusta spadkowego, o którym czytał w domu. Jego myśli w bezsensownej gonitwie krążyły w kółko niczym chomik w kołowrotku. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy, niczego mógł wymyślić, niczego nie mógł nawet zaplanować, cały był w rozsypce. Jego oczy, może pod wpływem przeciśniętej na siłę przez przełyk kawy, może pod wpływem bezradności, jaką odczuwał, zaszklily się.

– Łzy proszę sobie zostawić na szpital – dość szorstko powiedział adwokat. – Jeżeli jest prawdą, co pan mówi, to chcę panu powiedzieć, że ma pan szczęście, bo pan Lars Stigson mimo sędziwego wieku nie ma ani demencji, ani alzheimera. Swoją bystrością umysłu może zawstydzić niejednego 20-latką. Zapraszam na dół, pojedziemy w trójkę moim samochodem.

Błękitne niebo wpuściło promienie słoneczne do miasta. Teraz słońce odbijane przez pokryte śniegiem ulice i dachy świeciło tak mocno, że Maciej nie mógł otworzyć szeroko oczu. Po kilku minutach przedzierania się przez korki oczy Macieja z powrotem zaczęły łzawić. Łzy bezwiednie spływały po jego policzkach. Poirytowany zamknął powieki, oparł się o zagłówek i udawał, że zasnął.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała pani Janka, delikatnie dotykając ramienia Macieja.

– Oj! Przysnąłem chyba – zaspanym wzrokiem rozejrzał się po okolicy. Bordowy budynek Capio Saint Göran's Hospital w promieniach przedpołudniowego słońca stracił ponury bordowy kolor, jaki Maciej widział na fotografiach, i teraz wydawał się lśnić piękną czerwienią. Przyglądał mu się chwilę, pomny doświadczenia odwrócił głowę, poczekał, aż przejedzie

żółto-zielona karetką, i dopiero otworzył drzwi. Bez słowa, dwa kroki za adwokatem, ramię w ramię z panią Janką szedł ze spuszczoną głową jak krowa prowadzona na rzeź. „Boże, żeby się okazało, że umarł albo chociaż żeby był nieprzytomny. Co tu zrobić... Ratunku... Boże pomóż, Święta Mario, Panienko Najświętsza, Jezusie Nazareński... To, że jestem idiotą, to pewne. Ale jak teraz z tego wszystkiego się wymiksować. Jak stąd uciec, rozplątać się w powietrzu? Jak?!”

Pogrążony w wewnętrznym lamencie nawet nie zauważył, kiedy znaleźli się tuż przed wejściem na oddział nefrologii.

– Proszę kilka minut poczekać. Porozmawiam najpierw z ordynatorem oddziału, a jeżeli będzie taka możliwość, to wejdę do pana Stigsona i przygotuję go w paru słowach na tę niespodziewaną wizytę. Miejmy nadzieję, że wszystko się uda choć pobieżnie dziś wyjaśnić – uśmiechnął się cierpko do Macieja.

– Pan się nie martwi – zagadała Janka. – Pan Folke Fersen jest jednym z bardziej uznanych adwokatów w Szwecji. Jeżeli pana historia spotka się z potwierdzeniem, to wszystko dobrze się skończy, a ewentualnie testy DNA rozwieją wszelkie wątpliwości.

– Tak, od tego mogliśmy zacząć – chciał zabłysnąć pewnością siebie. – Przecież test to najprostsze rozwiązanie i jest jak najbardziej w moim interesie.

– Jesteśmy przecież w szpitalu, szwedzkim szpitalu, możemy wykonać każde badania bez zbędnej zwłoki. To nie Polska, panie Macieju. Pobierzemy próbki materiału genetycznego jeszcze dziś. A tak na marginesie, ten szpital też jest własnością pana Stigsona. Lepiej, żeby pan wiedział, w jakie progi pan wstępuje.

– Kupczyk prawie zjechał z krzesła. W ostatniej chwili złapał się obiema rękoma za krawędzie siedziska. – Przepraszam, ale muszę iść do łazienki, pilna sprawa – oddalił się na sztywnych nogach, ledwo ściskając zwieracze. Po drodze, kiedy mijał otwarty gabinet pielęgniarek, zapytał: – Przepraszam, gdzie jest toaleta? – Przepraszam? – powtórzył.

Zajrzał do środka, niestety nikogo nie było, kto mógłby udzielić mu informacji. Za to na wieszaku oprócz płaszczy i kurtek wisiały

damskie torebki, na stole leżały portfel oraz dwie słuchawki bezprzewodowych telefonów stacjonarnych. Maciej bez chwili namysłu wziął jeden z telefonów, schował go do kieszeni kurtki i oddalił się z oddziału nefrologii. Kierując się według wskazań podwieszonych pod sufitem tablic informacyjnych, prawie natychmiast odnalazł toaletę. Sprawdził każdą z trzech kabin, czy jest pusta, następnie wszedł do ostatniej, szybko zdjął spodnie razem z majtkami, przyjął pozycję „na narciarza” i wypróżnił się jak... krowa po buraczanych liściach. – Stres wyszedł ze mnie przez obolałą dupę – powiedział na głos i szybko zajął się przywracaniem siebie do porządku. Kiedy podciągnął spodnie, wyjął z kieszeni swój telefon. Wpisał w Google Translator zdanie: „Podłożyłem bombę w Capio Saint Göran’s Hospital. Spieszcie się”. Kiedy translator przetłumaczył to na język szwedzki, wyjął z kieszeni skradziony wcześniej telefon, wpisał numer 112 i wcisnął zielony telefonik. Kiedy usłyszał głos operatora centrum ratunkowego, przybliżył swój telefon do mikrofonu i nacisnął w Google Translator opcję odtwarzania. To samo zdanie wypowiedziane po szwedzku pomknęło wprost do operatora. Maciej rozłączył połączenie, wyłączył skradziony telefon, szybko wyszedł z kabiny i zalał telefon wodą z kranu. Następnie owinął go dokładnie, dosyć grubo papierem toaletowym, zamoczył w wodzie jeszcze raz i wyrzucił przez okno, na znajdujący się piętro niżej zaśnieżony dach. Ledwo zdążył zamknąć okno, drzwi od łazienki uchyliły się i głowę do łazienki wsadził adwokat.

– Panie Matieju – przekręcił jego imię – proszę się pospieszyć, pan Stigson jest co najmniej zaskoczony, w sumie to jest w szoku, nie mniej koniecznie chce pana zobaczyć.

Maciej skinął głową. – Doskonale, a więc idźmy – siedział sparaliżowany ze strachu, jednak z nadzieją, że odsiecz w postaci policji i saperów pojawi się, zanim rozpocznie się spotkanie.

Kiedy weszli do obszernej, prywatnej izolatki, Kupczyk spojrzał na siedzącego w łóżku starca. Siwe włosy bez łysiny, szczupła sylwetka i bystre niebieskie oczy. Mężczyzna z pewnością był stary, jednak nie wyglądał na swoje 99 lat, uśmiechnął się na

widok swojego „spadkobiercy” i wskazał na przygotowane uprzednio dla niego krzesło. Maciej usiadł i oparł się o drewniane oparcie, obok niego stanął adwokat, a pani Janka otworzyła stojącą na nocnym stoliku litrową butelkę lemoniady i rozlała ją w cztery plastikowe kubeczki. Każdy dostał swoją, wszyscy oprócz Macieja zaczęli pić ze smakiem. Miał tak ściśnięte gardło ze strachu, że nie prześliznęłoby się teraz przez nie nic. Zatem włożył sobie kubek między nogi i nerwowo łypał raz na Fersena, raz na Stigsona, który cały czas bacznie mu się przyglądał i uśmiechał.

– Rozmawiałem przed chwilą z panem Fersenem, który to opowiedział mi historię o moim romansie sprzed wojny. Więc podobno jesteś, młodzieńcze, moim prawnukiem? – Stigson skinął na Jankę, która natychmiast zaczęła tłumaczyć.

Maciej zrobił dłuższą przerwę, nasłuchiwał bowiem dźwięków dochodzących z korytarza. Miał nadzieję, że zanim wypowie pierwsze słowo, do pokoju wejdzie policja i ogłosi alarm. Kiedy cisza stała się nieznośna, z suchego gardła wyrwało się tylko:

– Tak... Prababcia w liście...

– Dobrze... Prababcia więc... – przerwał mu w pół zdania. – Jeżeli pozwolisz, poproszę cię, żebyśmy nie kontynuowali tego wątku, w zamian za to chciałbym, abyś wysłuchał mojej opowieści. – W tym momencie spojrzał na Macieja, a ponieważ ten robił się bledy jak papier, uśmiechnął się do niego. – I proszę cię, żebyś się trochę uspokoił, bo mi, chłopcze, jeszcze na zawał tu zejdziesz. Teraz skup się i słuchaj. – Starzec poprawił się na łóżku, spojrzał mu w oczy i zaczął powoli wypowiadać słowa. – Więc faktycznie tuż przed wojną pomieszkiwałem w Polsce. Byłem jeszcze młodym chłopakiem, kiedy mój ojciec kupił w Bydgoszczy fabrykę sygnałów i zwrotnic, która produkowała jakieś urządzenia automatyki kolejowej. Długo się nią nie nacieszył, bo rok później wybuchła wojna i zabrali ją Niemcy, a po wojnie fabrykę Niemcom zabrali komuniści... Zresztą nieważne. Pojechałem do tej Bydgoszczy niejako za karę, bo zostałem nakryty przez ojca w dość jednoznacznej sytuacji z moim nauczycielem od gimnastyki. Niestety, uległem pokusom

gibkiego męskiego ciała na tyle, że już nigdy nie przyglądałem się kobietom, rozumiesz przecież, w jakim sensie to mówię. W każdym razie, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, z kobietą spałem raz, dziwką, tu w Sztokholmie... Przepraszam panią tłumaczkę, ale było to dla mnie odrażające. Ta wilgotna ociekająca śluzem dziura... Całkiem jak jakaś ryba podczas tarła. Fuj! Moja niechęć fizyczna do kobiet to jednak nie wszystko. Chcę ci powiedzieć, że tuż przed moim wyjazdem do Polski zdarzyło się coś, czego nie da się przewidzieć nawet w kartach tarota. Pojechałem kiedyś z ojcem za miasto do wsi nad jezioro... No bo gdzie można jechać w Szwecji na piknik, jak nie nad jezioro? – uśmiechnął się ponownie. – Nieszczęśliwie mój ojciec strącił gniazdo szerszeni i chmara wściekłych szwedzkich szerszeni nas dopadła. Zanim wskoczyliśmy do jeziora, ukąsiły mnie trzy razy. Raz w szyję, raz w rękę i raz w prawe jajo. Po 15 minutach szerszenie odleciały, jednak jad w jądrze został. Dostałem zakażenia, jajo paprało się tygodniami. W końcu kazali mi je uciąć, bo infekcja poszła dalej i tak stałem się bezpłodny. Więc to, że jestem jednojajowym gejem przy fakcie, że do Polski wyjechałem już jako bezpłodny młodzieniec, nie znaczy nic. Tak więc między innymi na tej podstawie wydedukowaliśmy z mecenasem, że jesteś oszustem spadkowym. Taką hieną, która żeruje na tych, którzy mieli dosyć oleju w głowie, żeby się dorobić. Jesteś pewnie jednym z tych najmądrzejszych mądrali, którzy są tacy mądrzy, ale nigdy sami nie potrafili uczciwie zarobić choćby na porządny samochód. Co? Zanim zacząłeś kraść spadki, jeździłeś pewnie starym rzęchem?

Zaraz po tym, jak tłumaczka zakończyła wypowiadać ostatnie zdanie, Maciejowi wyszły wszystkie żyły na szyi i skroniach. Poderwał się do góry, jednak zdecydowany chwyt za ramię adwokata posadził go z powrotem na kubku z lemoniadą, który teraz zmiażdżył udem. Ciecz zalała siedzisko i podłogę wokół krzesła.

– Nigdy się nie spiesz. Wszystko, co robisz, musi być dokładnie zaplanowane i przemyślane... No tak, ale ty jesteś przecież zwykłym kretyńcem z ładną buźką. Przecież nikt, kto ma trochę

oleju w głowie, nie zrobiłby takiej fuszery z wyłudzeniem spadku jak ty. Ale zostawmy to, przejdźmy do dalszej części, powiedzmy części artystycznej – uniósł plastikowy kubek z lemoniadą i w geście toastu wypił połowę jego zawartości, natomiast Janka i Folke Fersen wychylili swoje kubki do dna. – Tak więc mój drogi... Jak ty masz na imię?

– Maciej.

– Maciej, jako że przypadkiem znalazłeś się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, chciałem zaproponować ci biznesowy układ. – Teraz Stigson spojrzał badawczo na kręcącego się na mokrym krześle Macieja. – Tak się akurat składa, że jestem stary i samotny, przez to, że samotny, nie mam spadkobiercy, a przez to, że nie mam spadkobiercy, trwa wyścig po spadek po mnie. Po moje nieruchomości, akcje spółek, obrazy, zbiory muzealne stoi obecnie kolejka pretendentów. A o moje miliardy koron dosłownie mizdrzą się wszyscy. Począwszy od stowarzyszeń kulturalnych, przez rodziców autystycznych dzieci, do kurwa pazernych księży katolickich, a na fundacji raka jądra skończywszy. O mojej przemiłej gospośi Britcie i kilkudziesięciu innych debilach nie wspomnę! – dziadek uniósł głos ze złości i zdawało się, że aż unosi się ponad łóżko. – Kiedy pan Fersen opowiedział mi historię o tajemniczym spadkobiercy z Polski, to ja pomyślałem sobie, że przecież taka historia spada mi z nieba. Całe życie byłem ekstrawagancki, potrafiłem się dobrze bawić i dobrze żyć. Więc czemu na koniec życia nie bawić się jeszcze lepiej?! Beztroska finansowa, podróże, zakupy, samochody, śmigłowce, samoloty, wszystko mi spowszedniało. Bo tak naprawdę, nawet jak o czymś bardzo marzymy, to kiedy w końcu zrealizujemy to marzenie, za kolejne pół roku staje się ono codziennością... Powszednieje, nie cieszy już, a z czasem nudzi. Rozumiesz mnie?

– Tak rozumiem, panie Stigson – odparł Maciej.

– Gównu mnie rozumiesz, bo jesteś biedny. Masz pełno gównianych marzeń za parę tysięcy euro. Jeden pokój więcej do mieszkanek, nowy samochód, telewizor z plastiku. Pragniesz otaczać się gównami, które uważasz, że odmienią twoje życie na

lepsze.

– Tak, chcę otaczać się takimi gównami, panie Stigson. Nie jestem na pana miejscu, jestem na swoim i pragnę tego, co według pana jest nic niewarte. Ja w przeciwieństwie do pana nie zdążyłem nacieszyć się życiem, wręcz odwrotnie można powiedzieć, że życie mnie nie rozpieszczało do tej pory, nie było ekstrawaganckie ani wesołe.

– To świetnie! Jestem pewien, że się dogadamy. Kto wie, może okazać się, że masz nawet jaja... Małe, ale zawsze.

– A co może lepiej mieć jedno duże i stare? – Maciej sam zdziwiony swoją postawą w jednej chwili zaczął czuć się pewnie, zaczął wzuwać się w grę.

– Doskonale! Takiego właśnie pyskatego ciebie potrzebuję! Świetnie... A teraz mnie posłuchaj. Wykorzystamy twój list od babci, potwierdzimy badania DNA i staniesz się na niby moim spadkobiercą. Chcę zobaczyć, jak zmienią się wszyscy, którzy byli dla mnie do tej pory mili i uczynni. Chce zobaczyć, jak cały świat się zmieni... Mam parę rachunków do wyrównania.

– Nie pyta się pan, czy się zgodzę?

– Przestań mnie rozśmieszać. Dostaniesz 200 tysięcy euro za rok życia w luksusie i udawania mojego prawnuka, pieniądze jeszcze dzisiaj mój sekretarz zdeponuje u pana mecenasa Fersena i zostaną ci wypłacone za rok, po wszystkim. Przez rok będziesz żył na mój koszt. Zgoda?

– Zgoda! – Maciej z radości oburącz uderzył się w uda i zatarł ze szczęścia dłonie.

– Tylko nie myśl sobie za dużo, jesteś spadkobiercą na niby, a ja już wiem, co chcę zrobić z moim majątkiem. Na wszelki wypadek napiszę nowy testament i ciebie oczywiście wydziedziczę. I żeby nie było niedomówień, we wszystko wtajemniczone są tylko osoby obecne tu w pokoju. Jeżeli piśniesz słówko, to nie dostaniesz ani jednego euro. Chojnie płacę za to, aby tajemnica o moim spadkobiercy została tylko między nami. Prawda, panie Fersen? Prawda, pani Silberstin?

Adwokat i Janka pokiwali głowami. Drzwi niespodziewanie się otworzyły, do środka wszedł dyrektor szpitala razem

z policjantem, który na parcianej smyczy trzymał przy nodze rudego cocker spaniela.

– Przepraszam, panie Stigson, ale otrzymaliśmy telefon, że w szpitalu ktoś podłożył bombę. Na razie, żeby nie wzbudzać paniki, od paru minut przeszukujemy pomieszczenia przy użyciu kilku psów tropiących pod kątem obecności materiałów wybuchowych. Jeżeli w parę minut niczego nie znajdziemy, będziemy musieli zarządzić ewakuację całego obiektu.

– Świetnie! Doskonale! – Lars Stigson spojrział na ścienny zegar, na którym wskazówki pokazywały 11.55. – Bardzo proszę natychmiast przygotować dla mnie ambulans. Ja i mój prawnuczek, pojedziemy do mojego domku wędkarskiego na wyspie Tranholmen, pan mecenas i jego asystentka pojedą za nami.

– Pana prawnuczek?! – Dyrektor w ostatnim odruchu opanował zdziwienie i zamiast za głowę złapał się za futrynę.

– Tak prawnuczek. Proszę, żeby przewieziono ze mną wszystko, co jest potrzebne dla pacjenta w moim stanie, oraz na stałe chcę mieć pod domem karetkę, a w środku lekarza z ratownikiem medycznym. Teraz mam po co żyć i muszę dociągnąć chociaż do setki i pan jest za to odpowiedzialny, panie dyrektorze.

Rozdział 16

Arnaud Pieto siedział na szpitalnym łóżku i patrzył przez okno. Widok z okna pokoju 206 szpitala Clinique Bizet nie napawał optymizmem nawet osobę zdrową. Dla synestetyka był to prawdziwy koszmar. Nowoczesna plomba wciśnięta pomiędzy kamienice, okraszona pospuszczanymi do połowy okien żaluzjami, wydawała się niemal opuszczona. Jedynym śladem życia w tym obiekcie były przypięte klamerkami do linki na balkonie zamarznęte turkusowe gacie. Dla Pieto widok miał zapach stęchlizny, odór ten czuł całym sobą, po kilku minutach stał się dla niego na tyle męczący, że sięgnął po pilota, nacisnął przycisk i zasunął żaluzje. Położył się do łóżka, spojrzął na zegarek, prawą ręką wyszukał pod poduszką telefon na kartę, który miał przeznaczony tylko do kontaktów z Yves'em i Timonem. Wziął aparat do ręki, a gdy spojrzął na wyświetlacz telefonu, ten właśnie zadzwonił. Wyciągnął rękę do radia stojącego na stoliku nocnym i głośno włączył pierwszą lepszą stację. Sam schował się pod poduszkę i nakrył się jeszcze kołdrą. Dopiero wówczas odebrał połączenie.

– Cześć wujku!

– Dzień dobry Timon! Jak przygotowania?

– Zbieramy wszystkie graty. W zasadzie można przyjąć za pewnik, że pojutrze o świcie wyjeżdżamy. Dzień wcześniej, niż zakładaliśmy.

– Świetnie, że przyspieszyliście, to dobra wiadomość. Uważajcie na siebie, patrzcie, czy nikt was nie śledzi i tak dalej. Jak dojedziecie na miejsce, zadzwonie do mnie. To wszystko. Czy może macie do mnie coś jeszcze?

– Jak wujka zdrowie?

– Wprost wybornie! Co za głupie pytanie?! Tylko żeby nie wpadło wam do głowy odwiedzać mnie w szpitalu czy choćby przejeżdżać koło mojego mieszkania. Jest zaplombowane, a w szpitalu ktoś cały czas dyskretnie mnie pilnuje.

– Kto?

– Skąd, do cholery, mam wiedzieć?! Przecież ich nie wylegitymuję!

– Aha. To... No to do usłyszenia.

Kiedy Arni rozłączył połączenie, zerwał z siebie kołdrę i poduszkę. Rozkopał pościel i wyraźnie zdenerwowany, z wypiekami na twarzy, usiadł z powrotem na łóżku.

– Kurwa mać! Przecież wyjazd miał być za cztery dni! Co za nadgorliwcy! – zezłościł się. – Pielęgniarka! Pielęgniarka! – krzyczał i naciskał przycisk alarmowy przy łóżku.

– Co się panu stało? – Do pokoju wbiegły dwie pielęgniarki w jednej chwili.

– Proszę mnie natychmiast wypisać! Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

– Proszę pana, tak się szczęśliwie składa, że właśnie wypisuję panu dokumenty. Gdyby nie pańska wczorajsza histeria, nie zostałaby pan w szpitalu nawet na noc!

– Przecież to zwykłe draśnięcie. Dzieci z takim skaleczeniem nawet nie idą do higienistki – zawtórowała druga kobieta.

– A często przyjmujecie na oddział dzieci z postrzałem w łydkę? – odciął się Arni.

– Dzieci z postrzałem przyjmujemy niemal codziennie, proszę pana. To Paryż XXI wieku, a nie tam paryska sielanka lat 60. czy 70., które pan zapamiętał jako młodziwiec. Dzisiaj to miasto przemocy i zła, jakby pan nie wiedział.

– Może się pan ubierać, wpis będzie gotowy za pięć minut. I przysięgam, że żaden znany mi przypadek postrzału nie wywołał u nikogo takiej histerii jak to skaleczenie u pana. – Obie pielęgniarki wyszły z pokoju urażone zachowaniem Pieta.

Arni usiadł na łóżku i zatarł z zadowoleniem ręce. Ściągnął spodnie od piżamy, które odsłoniły zabandażowaną łydkę, później zrzucił górę i zeskoczył z łóżka. Zrobił kontrolnie dwa przysiady, podniósł ranną nogę jak bocian, uśmiechnął się, po czym podszedł do szafy, która stała w narożniku pokoju. Otworzył jej drzwi i parę chwil później miał na sobie rzeczy, w których opuścił swoje mieszkanie. Gdyby nie dziura

i zaschnięta plama krwi na spodniach, można by powiedzieć, że wyglądał całkiem elegancko. Przeszedł się jeszcze raz na próbę, parę razy od ściany do ściany sali. „Nie jest najgorzej. Mogę chodzić bez kuli, utykam, ale jednak chodzę samodzielnie” – pomyślał, po czym wziął stojące pod szafą dwie kule i bardzo utykając, wyszedł na korytarz. Z recepcji wziął wypis, usiadł na wózku inwalidzkim, ciemnoskóry pielęgniarz zwiózł go do windy i wcisnął przycisk oznaczony strzałką. Pięto kątem oka zobaczył mężczyznę, który dzień wcześniej mierzył do niego z pistoletu maszynowego w karetce. Nie chcąc, aby ten się zorientował, że został zauważony, odwrócił głowę w drugą stronę. Tam jego wzrok trafił na drugiego mężczyznę, tego, który w tym samym ambulansie mówił do niego z niemieckim akcentem. Teraz siedział w lekarskim fartuchu przy drzwiach gabinetu zabiegowego i trzymał w ręku tablet. Pięto jeszcze raz odwrócił głowę, tym razem wbił wzrok w drzwi windy, które akurat się rozsunęły. Pielęgniarz zwiózł go na dół, by po chwili mógł znaleźć transport do domu.

– Czy ta karetka należy do szpitala czy może należy do firmy zewnętrznej? – zapytał Arni.

– Nie, szpital nie ma karetek, ani jednej karetki nie ma. Korzystają z takich firm jak ta – kierowca-pielęgniarz zatoczył ręką łuk, pokazując na wnętrze karetki.

– Czyli mogę pana wynająć?

– Musi pan zadzwonić pod ten numer – wyjął z kieszeni fartucha wizytówkę i podał Arniemu.

– A tak prywatnie? Dobrze zapłacę.

– Proszę pana, to nie jest takie proste, bo my mamy GPS w karetkach i jak odstawię karetkę na parking po mojej zmianie i ona ruszy, to od razu w firmie będą o tym wiedzieli. Niestety, nie mogę.

– Oczywiście, że pan może, to jest proste, proszę mnie posłuchać, zrobimy to prawie legalnie... O której kończy pan pracę?

– O 20.

– Idealnie. Dzisiaj wieczorem zabierze mnie pan spod szpitala,

bo muszę tam wrócić wieczorem na zmianę opatrunku, dojadę tam sobie taksówką. Wcześniej wypisze pan sam sobie dwa zlecenia na dwa kursy ze szpitala pod adresy, które zaraz panu podam. Bez obaw, pojedziemy dokładnie pod adresy, na które będą wystawione zlecenia, a GPS w firmie pokaże dokładnie to, co powinien pokazać. Jutro, jak zacznie pan nową zmianę, dogada się pan w szpitalu i podbiją panu te lipne zlecenia. Za ten wieczór dam panu tysiąc euro i dwie stowy dla tego gościa w szpitalu, co przystawi panu pieczętkę. Warunek jest jeden...

– Jaki? – podekscytowanym głosem zapytał kierowca.

Niech się pan nikomu nie chwali tą fuchą. Wyjedziemy, powiedzmy, o 18, a wrócimy przed 22, jeszcze wpadnie panu godzina z nadgodzin. Jest OK? Pasuje taki układ?

– Tysiąc dla mnie?

– Tak jak mówię. Nie dość, że nie prowadzę samochodu, to jeszcze, jak pan widzi, ledwo chodzę, a karetka gwarantuje mi wygodę i nieco szybsze przemieszczanie się po mieście. Jak pan dożyje mojego wieku, zrozumie, o czym mówię.

Kiedy podjechali pod dom Arniego, pielęgniarz chciał zaprowadzić rannego do mieszkania. Jednak Pieto pomny tego, że jego drzwi od mieszkania nie dość, że są uszkodzone przez antyterrorystów, to z pewnością zostały opieczętowane, odmówił przyjęcia pomocy. Chciał uniknąć niepotrzebnych pytań, a zresztą bał się, że pielęgniarz może się wystraszyć i odmówić mu pomocy wieczorem.

– Proszę, to dla pana. Będę o 18 przed szpitalem – powiedział, wręczając sanitariuszowi 10 euro napiwku, wcisnął kule pod pachy i mocno utykając, poszedł do drzwi kamienicy.

Zatrzymał się przed prowizorycznie naprawionymi drzwiami, zerwał policyjne plomby i zanim nacisnął klamkę, wziął dwa głębokie wdechy. Kiedy wszedł do mieszkania, kule wstawił do stojaka na parasole, następnie szczelnie zasłonił okna i dopiero później włączył światło. Bałagan był wszechobecny. Włączył płytę z muzyką J.S. Bacha i usiadł na sofie, żeby zebrać myśli i zaplanować kolejne działania. Jak łatwo się domyślić, załogi trupiarek, które przyjechały po zwłoki Vivian i trzech

rzezimieszków, niezbyt dokładnie wyzbierały artefakty. Pięto w zagłębieniu sofy znalazł kawałek czaszki z kępką czarnych włosów. Pod zabytkowym stołem oraz wokół wsuniętych krzeseł, pomiędzy plamami z zaschniętej krwi i fragmentów mózgu, leżało kilka zębów. Dywan wart krocie był w stanie agonalnym. Spojrzał w lewo, naprzeciw wejścia do mieszkania kawałki czaszki wystawały ze ściany powbijanej w tapetę. Krwawa melasa po tym, co wyleciało z głowy bandyty, zdawała się cały czas ściekać na wykładzinę, dokładnie w miejscu, gdzie zaschła krew Viviane. Odruchowo spojrzął na znaleziony kawałek czaszki, który podniósł z kanapy. Na skórze pomiędzy włosami coś było wytatuowane. Malutki tatuaż, cieniutki jak włos, mimo założenia okularów pozostawał dalej niemożliwy do rozpoznania. Arni zachnął się, podszedł do sekretarzyka stojącego pomiędzy dwoma oknami, które znajdowały się w salonie, zapalił małą halogenową lampkę, wyjął lupę i spojrzął przez nią na znalezisko. Jego oczom ukazał się rząderek drobniutek znaków, których znaczenia nie był w stanie zrozumieć „تمامدشمنخدايمنرابكش”. – Prawie na pewno to język perski – powiedział do siebie. Wrócił z powrotem na kanapę, kawałek czaszki cisnął pod stół i się zamyślił. Chciał dopracować szczegóły planu, który ułożył jeszcze wczoraj w szpitalu.

Zaczął analizować dzień po dniu wydarzenia, które nastąpiły, począwszy od przyjęcia przez niego zlecenia na kradzież SIXARX, a skończywszy na tym, co się stało wczoraj u niego w mieszkaniu. Po chwili podszedł ponownie do sekretarzyka. Uklęknął przed nim, złapał za dwie przednie nogi, uniósł go lekko, a obie nogi przekręcił na zewnątrz. W tym momencie coś w meblu trzasnęło, blat lekko skrzypiąc, uniósł się delikatnie do góry. Arni usiadł na krześle, uniósł go całkiem do pozycji pionowej. Wewnątrz sekretarzyka, ponad górnymi szufladami, a pomiędzy blatem jakiegoś 300 lat temu zmyślny rzemieślnik umieścił głęboką na pięć centymetrów skrytkę. Powierzchnia skrytki natomiast odpowiadała wielkością niemal wielkości blatu, dając spore możliwości dla kogoś, kto chciał ukryć kosztowności czy inne sekrety przed światem. Arni wyjął ze środka malutki pistolet

Jimenez model 22 i zastanowił się, co jeszcze może mu się przydać w wyprawie do Jacoba Prillera. Żeby zmusić pośrednika do mówienia prawdy, musiał wymyślić coś na sto procent skutecznego. Samo straszenie małym pistoletem na naboje 5,6 mm może okazać się bardziej groteskowe niż przerażające. „Raczej nie zabiorę do niego dmuchawki indiańskiej czy pistoletu maszynowego z tłumikiem!” – skarcił sam siebie w myślach za brak kreatywności. Spojrzał raz jeszcze do wnętrza skrytki. Wzrok jego zatrzymał się na metalowej gruszce.

Gruszkę tę ukradł wiele lat temu z Muzeum Tortur w Brukseli, między innymi dlatego do tej pory pozostawała w ukryciu. Metalowa gruszka znana była fachowcom z dwóch powodów: pierwszego, że była dość rzadka, a co za tym idzie – cenna, i drugiego, że było to wyjątkowo okrutne narzędzie tortur. Metalowa gruszka w miejscu, gdzie prawdziwy owoc ma ogonek, miała sporej wielkości pokrętko. Kiedy się nim kręciło, gruszka rozwierała się wzdłuż i wszerz na trzy części, rozszerzając się aż do wielkości piłki do siatkówki. W czasach inkwizycji karano, a właściwie zabijano bluźnierców, wkładając gruszkę w usta ofiary. Natomiast cudzołóstwo karano włożeniem gruszki w pochwę, a homoseksualizm rozerwaniem odbytu, po czym następował krwotok wewnętrzny, a co za tym idzie – śmierć nieszczęśnika. „Zabiorę to. Jak mu pokażę, co robi ta gruszka, to szybko przyzna mi się do wszystkiego, zanim mu ją włożę... Powiedzmy w usta” – wyraźnie ucieszony sięgnął po niepozorne narzędzie tortur. Pistolet wsunął do kieszeni spodni, oprócz gruszki z sekretarzyka zabrał jeszcze futerał z wytrychami oraz paralizator, po czym zatrzasnął blat. Spojrzał na zegarek „Prysznic i drzemka przed wieczorną eskapadą dobrze mi zrobią. Może jednak zacznę od drzemki” – pomyślał i skierował się do sypialni.

Rozdział 17

Sven już trzeci raz zjeżdżał na pobocze, przepuszczając policyjne radiowozy. Tym razem przejechało pięć dużych furgonetek i zielony samochód opancerzony.

– Co się dzieje? Nie pamiętam takiej sytuacji w Sztokholmie. Samochód pancerny? Przecież to nie Tel Awiw – powiedział, patrząc w odbijającą się w lusterku twarz Aniki Jassem.

– Nie wiem, ale jestem pewna, że nas to nie dotyczy. Może jakiś zamach terrorystyczny albo ktoś napadł na bank. Jedź dalej.

Kiedy mieli skręcić w ulicę Sankt Göransplan, okazało się, że jest zamknięta przez policyjną blokadę. Dwa radiowozy i sześciu policjantów w kamizelkach kuloodpornych, z pistoletami maszynowymi w dłoniach, stało, groźnie rozglądając się na boki.

– Jechać, jechać! Ulica zamknięta! – krzyknął jeden z nich na widok opuszczającej się szyby w taksówce.

– Przepraszam, ale ja do szpitala na umówioną wizytę! – krzyknęła do policjanta Britta.

– Jechać! Mówię: jechać! Wszystkie wizyty odwołane! Jechać, ale już! – policjant wydarł się na dobre.

– A jednak to nas dotyczy – powiedziała Anika i otworzyła tablet, aby uzyskać podgląd monitoringu ze szpitala. – Mam jakieś dziwne przeczucie, że coś nie gra. Chociaż wydaje się mało prawdopodobne, to nie wykluczam, że ktoś nie chciał, abyśmy spotkali się z panem Stigsonem. Jedź na ulicę Odengatan, tam po prawej stronie jest mała kawiarnia, cukiernia Piotra z francuskim pieczywem i ciastkami. Musimy spróbować ustalić, co się stało w szpitalu.

– Sprawdzę na stronach „Dagens Nyheter”, może coś piszą w aktualnościach – powiedziała Britta i wyjęła z kieszeni płaszcz iPhone’a.

Weszli do kawiarni. Britta nie odrywała wzroku od telefonu, a Anika od tabletu. W czasie, gdy kobiety zaczęły zajmować miejsca przy stoliku, Sven poszedł zamówić kawę. Napięcie było

ogromne, bo kiedy mężczyzna przyniósł na tacy trzy kawy i trzy croissanty, kobiety nawet nie podniosły oczu. Wciąż przeglądały strony internetowe.

– Nie ma połączenia ze szpitalem. Ktoś, a w zasadzie na pewno służby, albo odłączył szpital od internetu, albo zabrał recordery. Nie mogę się połączyć z siecią kamer. Nie dowiemy się, co zaszło, bo nie mogę odtworzyć nagrań... Kurwa mać!

– Znalazłam! W szpitalu jest bomba! „Anonimowy rozmówca zadzwonił pod numer alarmowy policji i poinformował, że w szpitalu Capio Saint Göran’s Hospital jest podłożona bomba. Właśnie zaczęła się ewakuacja wszystkich oddziałów poza najciężej chorymi... Policja otoczyła szpital...” – przestała czytać, podniosła wzrok i spojrzała na Anikę. – Czyli ewakuują wszystkich oprócz OIOM-u i aktualnie operowanych.

– Stigson zostanie w szpitalu. Chociaż coś wiemy. – Pani kapitan nerwowo stuknęła palcami w blat stołu.

Telefon Aniki zadzwonił tak niespodziewanie, że wszyscy aż podskoczyli. Wzięła słuchawkę do ręki i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił rejent Gunnar Gustavson.

– Pewnie po dwóch dniach wytrzeźwiał i zorientował się, że Stigson odzyskał przytomność. Co za panikarz. – Uśmiechnęła się i przyłożyła słuchawkę do ucha. – Tak, słucham!

– Pani Aniko, stało się coś strasznego! Musimy koniecznie się zobaczyć, i to natychmiast!

– Odengatan 27, cukiernia Piotra. Czekam na pana. – Rozłączyła się natychmiast, zanim notariusz powie przez telefon jedno słowo za dużo.

Ani wyśmienite jak na szwedzkie standardy ciastka, ani bardzo dobra kawa nie smakowały tak jak zwykle. Sven skończył swoje ciastko, wziął ostatni łyk kawy, wstał i bez słowa poszedł do samochodu. Wolał dla notariusza zostać anonimowym taksówkarzem, który dwa dni wcześniej odwiózł go do domu. Po pół godzinie nerwowego oczekiwania drzwi od lokalu otworzyły się i do środka wszedł potargany jak zwykle notariusz, jak zawsze z teczką pod pachą, jak zawsze w puchowej kurtce i granatowym garniturze z błękitną koszulą oraz

ciemnoniebieskim krawatem. Podeszedł szybkim krokiem do stolika, gdzie siedziały kobiety, pochylił się i spojrział najpierw na Britte, a później na Anikę. Krople potu spływały mu po czole, woń alkoholu pomieszana z mocnymi perfumami w jednym momencie zabiła przyjemny zapach w cukierni.

– Pan usiądzie i się uspokoi. Wygląda pan, jakby miał zaraz dostać wylewu, jest pan purpurowy na twarzy.

– Purpurowy?! Powinienem być fioletowy!

– Pan się uspokoi i bez okazywania zbędnych emocji opowie, czym się pan tak zdenerwował? Chodzi o tę bombę w szpitalu?

– Poproszę o czarną kawę! – krzyknął do ekspedienta. – Jaką tam bombę znowu... Dzwonił do mnie przed chwilą sekretarz pana Stigsona, pan Erik Svensson, i poinformował mnie, że w związku z tym... no... nie chce mi to kurwa jasna przejść przez gardło...

– Spokojnie, pan mówi. Dobrze panu idzie...

– W związku z tym, że odnalazł się prawowity spadkobierca pana Stigsona, jego prawnuczek, mam mu odwieźć stary testament, bo będzie chciał sporządzić nowy... nowy testament.

Britcie osunął się łokieć, na którym jej ręka podpierała głowę. Uderzona przedramieniem filiżanka z niedopitą kawą poszybowała wprost na białą ścianę cukierni. Twarz Aniki zrobiła się porcelanowa, a oczy zdawały się w jednym momencie zamienić w szklane protezy. Wyglądała teraz dokładnie jak lalka z lat 30. XX wieku. Gunnar Gustavson patrzył na kobiety. Każda z nich zachowywała się inaczej. Jedna w nerwowych odruchach sprzątała resztki filiżanki, a druga zdawała się dosłownie zmrożona.

– Halo! Pani Aniko?! – dotknął delikatnie jej dłoni. – Musi mi pani oddać stary testament Stigsona, ten, który dałem pani w hotelu! Halo, jest pani tutaj z nami jeszcze?

– Jestem, jestem – ledwie poruszając ustami, zaczęła mówić do notariusza. – Niech się pan umówi na jutro, panie Gustavson. Oddam ten testament jutro rano. Przywiozę go do kancelarii.

– Ale na pewno? Bo wie pani... Teraz to ryzykuję całą swoją karierą notariusza. Pieniądze oczywiście, które od pani dostałem,

zwrócić co do centa.

– Dobrze. Jutro się wymienimy, proszę, by przygotował pan ten testament, który wypisywaliśmy w hotelu. Zniszczymy go razem, komisyjnie.

– Naturalnie – przerwał na moment, ponieważ kelner stawiał kawę na stoliku. Kiedy odszedł, rejent wyjął z kieszeni marynarki małą piersiówkę, z której dopełnił kawę wódką do samej krawędzi filiżanki. – Wyobraża sobie pani? Prawnuk?! Odnaleziony na łożu śmierci prawnuk?! Przecież Stigson to najbardziej znany szwedzki gej, no może oprócz Oscara Swartza! Jest to doprawdy sensacyjna informacja. Bardziej mogłaby tylko Szwecją wstrząsnąć wiadomość o odkryciu życia na Marsie czy jakimś tam Saturnie. Od dzisiaj miałem nie pić i widzi pani, no sama pani widzi, że jest inaczej. Taki stres...

– Dobrze, o której możemy umówić się jutro w pana kancelarii? Wolałabym mieć to z głowy z samego rana.

– Otwieram od godziny 9...

– Może spotkajmy się, zanim pan oficjalnie otworzy kancelarię? Po co ma nas razem widzieć pana personel?

– Z ust mi to pani wyjęła. Pracowniczkę przychodzą do pracy na 8.45, zatem jeżeli będzie pani punktualnie o godzinie 8, to nawet kawę zdążymy wypić.

– Doskonale, panie Gustavson, bardzo dobry pomysł. Będę punktualnie, tak jak pan sobie życzy.

– Tak więc do jutra, tylko bardzo proszę mnie nie zawieść.

– Teraz dwoma dużymi haustami wypił kawę z wódką. Serwetką wytarł usta, po czym wstał i wyszedł z cukierni.

Anika przyglądała mu się przez szybę. Rejent przeszedł na drugą stronę ulicy, wsiadł do grafitowej limuzyny marki Lexus i odpalił silnik. Kłęby pary i spalin wydobywały się z rur wydechowych, jednak auto nie odjeżdżało. Po chwili przyciemniana szyba do połowy zjechała w dół. Widać było, że notariusz zakręca piersiówkę i wkłada ją za pazuchę. Zaraz po tym samochód ruszył.

– Sven po mnie zadzwonił. – Z zamyślenia wytrącił Anikę Gösta, który właśnie wszedł do cukierni. – Jak słyszałem, to niewiele

spraw idzie po naszej myśli.

– A co słyszałeś?

– Słyszałem, że w szpitalu rzekomo jest podłożona bomba. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Ktoś nie chciał, żebyśmy porozmawiali dziś z panem Stigsonem.

– A słyszałeś, że podobno odnalazł się jego prawnuczek?

– O kurwa... – Gösta zagryzł wargi. – To teraz przynajmniej wszystko jest oczywiste. Mamy do czynienia z zaplanowaną akcją jakiegoś wrogiego nam wywiadu lub konkurencyjnego, ale niekoniecznie wrogiego...

– Zdecydowanie wrogiego wywiadu, kolego. Obstawiam, że to Rosjanie do spółki z Irańczykami. Ty i Sven przystępujecie natychmiast do działań wywiadowczych. Przede wszystkim chcę wiedzieć, kim jest ten niby prawnuk, kiedy się urodził, jakie są jego koligacje rodzinne, zainteresowania, gdzie mieszka, z kim się rucha, co pije, jaką kończył szkołę, jakie ma słabości, gdzie ostatnio podróżował... Chcę wiedzieć nawet, gdzie ostatnio srał! Po drodze odwieziecie Brittę do domu Stigsona. Ja biorę taksówkę i wracam do ambasady. Meldować mi wszystko na bieżąco o każdej równej godzinie dnia i nocy. Jasne?

– Tak jest pani kapitan.

– W chwili, gdy policja tylko otworzy szpital, natychmiast wrócimy tam z Brittą. Musimy go zlikwidować, zanim napisze nowy testament. Jedyna nadzieja w tym, że ludzie z takim majątkiem z reguły do spisania testament proszą notariusza, więc teoretycznie mamy czas do jutra, bo Gustavson miał się umówić z sekretarzem Stigsona właśnie na jutro.

– A trująca lemoniada?

– Nawet jeżeli wypił lemoniadę... Nie możemy ryzykować. Symptomy występują po mniej więcej 48 godzinach, śmierć może nastąpić po kolejnych dwóch, trzech dobach. Planowanie zostawcie mnie. A teraz do roboty.

Rozdział 18

– Bardzo proszę, oto kluczyki. Samochód stoi na parkingu naprzeciwko naszego biura. Tutaj jeszcze proszę się podpisać, panie Poussin, i to by było już wszystko – powiedziała do Helmuta kobieta w wypożyczalni samochodów AVIS.

Helmut, z dobrze dobraną blond peruką na głowie, w połączonych okularach na nosie i kolczykiem w prawym uchu, wyglądał dokładnie tak jak mężczyzna z dokumentów, którymi się posługiwał. Teraz postawił lewą ręką niewyraźnego kulfona na formularzu wypożyczenia pojazdu. Zgarnął z blatu wszystkie rzeczy i nie żegnając się, wyszedł z wypożyczalni. Srebrny volkswagen passat mrugnął LED-owymi kierunkowskazami. Mężczyzna rzucił na siedzenie pasażera skórzany neseser, który miał w ręku, obszedł auto i wszedł do środka. Kwit z wypożyczalni włożył do schowka w podłokietniku, wcisnął przycisk „start” i dwulitrowy diesel żywo zaklekotał pod maską. Klimatyzację przełączył na maksymalną temperaturę, ustawił lusterka i jeszcze raz w pamięci powtórzył adres do pośrednika. Jacob Priller mieszkał w 15. dzielnicy, dwie przecznice od dużego parkingu, który to Helmut znał doskonale.

Pół godziny później, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, wjechał na obrzeża 15. dzielnicy Paryża i zatrzymał się tuż przy płocie specjalnej, wydzielonej części parkingu, gdzie służby zwożą uszkodzone w wypadkach pojazdy. Wyszedł z samochodu, naciągnął na głowę kaptur i wolnym krokiem zaczął spacerować wzdłuż płotu. Parking był ogromny, po przejściu 200 metrów skręcił w prawo i cały czas patrząc na stojące na placu wraki, starał się odszukać takiego samego lub podobnego kolorem volkswagena passata, jakiego wypożyczył. Po pięciu minutach zaczął żałować, że wygrała jego niemiecka natura, i odmówił wypożyczenia peugeota czy renault, którymi plac policyjny wydawał się niemal w całości zastawiony. W końcu w środkowej alei, pod samą latarnią, zobaczył upragnionego passata w kolorze

srebrnym. Dużo nie myśląc, przeskoczył przez płot, lekko pochylony, klucząc między samochodami, dotarł do celu. Tablica z przodu była lekko pocięta. Wyłamał ją z resztek plastikowej ramki, następnie to samo zrobił z drugą tablicą. Auto nie było mocno uszkodzone, więc z pewnością tablice są ważne, a samochód wkrótce będzie wystawiony przez ubezpieczalnie ponownie na sprzedaż. Dokładnie o taki pojazd mu chodziło. Zadowolony z siebie tablice włożył pod pachę i pochylony ruszył w drogę powrotną. Jednak kiedy był w połowie drogi, usłyszał dobiegające ujadanie psa, które w ułamku sekundy przemieniło się w ujadanie kilku psów. Odwrócił się i zobaczył w świetle oddalonej o jakieś 100 metrów latarni dozorcę z dwoma wielkimi kundlami na smyczy.

– Kradniesz części?! – krzyknął mężczyzna. – To ja ciebie tego oduczę! Na zawsze, kurwa!

Psy biegły w kierunku Helmuta z ogromną prędkością. A jemu do płotu pozostało około 30 metrów. Zbyt daleko, by uciec. Jego wyraz twarzy zmienił się w jednym momencie, tablice rejestracyjne rzucił na śnieg. Odwrócił się i ruszył w kierunku nadbiegających psów, wyciągnął zza paska pistolet, przyklęknął i strzelił dwa razy w ciągu jednej sekundy. Pistolet z tłumikiem wydał z siebie tylko ciche kłaśnięcia. Psy nawet nie pisnęły, potoczyły się siłą rozpędu, chlapiąc z rozwalonych czaszek krwią po ubitym śniegu. Helmut natychmiast podniósł się z kolana i ruszył biegiem wzdłuż sąsiedniej alejki, skręcił w lewo, po kilkunastu metrach jeszcze raz w lewo, i był już za plecami dozorczy.

– Brutus, Robespierre! Do nogi! – krzyknął zaniepokojony ciszą stróż.

Chwilę później, dostał rękojęścią pistoletu w potylicę, ogluszony poleciał na twarz do przodu. Helmut wziął go za nogi i zaciągnął do małego, jednoizbowego domku, który pełnił funkcję biura. Posadził go na krześle, zza pazuchy wyjął pugilares zawierający zestaw różnych trucizn, narkotyków, środków halucynogennych i usypiających. Otworzył go, popatrzył na jego wnętrze. Zza gumowej pętelki wyciągnął strzykawkę i naciągnął

z plastikowej fiolki odrobinę roztworu z wilczych jagód, założył igłę i wstrzyknął mężczyźnie w pośladek. Igłę zabezpieczył i razem ze strzykawką schował na miejsce. Z przegródki portfela wyjął jednogramowy woreczek z amfetaminą, przechylił głowę stróża do tyłu i wsypał część narkotyku do jego ust. Resztę amfetaminy rozsypał po stole, a prawie pusty woreczek wytarł ze swoich odcisków palców i położył obok papierosów na biurku. Pistolet, z którego strzelał do psów, włożył mężczyźnie w dłoń i strzelił z niego do monitora podłączonego pod system monitoringu. Później dwa razy wystrzelił do nagrywarki zapisującej obraz z kamer, celując dokładnie w miejsce, gdzie był twardy dysk urządzenia. Kiedy skończył mistyfikację, dymiącą jeszcze broń położył na kolanie stróża.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił, jak się ockniesz. Bon voyage, dupku!

Helmut wrócił po tablice rejestracyjne leżące w pobliżu zwłok psów, przeskoczył przez płot, wsiadł do auta i przejechał nim na drugą stronę parkingu, gdzie na terenie prawie hektarowego placu parkowali swoje samochody mieszkańcy najbliższych bloków i kamienic. Niestrzeżony parking, na który wjechał, był w dużej części niedoświetlony. Lampy co prawda stały w regularnych 20-metrowych odstępach. Jednak nawet licząc w optymistycznym wariancie, świeciła najwyżej co druga. Helmut postawił auto w miejscu, gdzie było ciemno, dokładnie w takim miejscu, gdzie w promieniu 15 metrów nie stał żaden inny samochód. Spokojnie wymienił tablice rejestracyjne, wrócił do auta, wyjął z kieszeni fajkę i odpalił ją od zapałki. Płomień oświetlił jego twarz, kiedy zgasł, zaczęły po niej wesoło płaszać błyskające „koguty” zatrzymującej się tuż przed wjazdem na parking karetki. Z torby wyjął pistolet z tłumikiem, umieścił go w prawej kieszeni kurtki, na ręce założył obcisłe skórzane rękawiczki, trzasnął drzwiami i ruszył w kierunku mieszkania pośrednika. Przeszedł obok próbującej zaparkować na zaśnieżonym chodniku karetki, szybkim krokiem obszedł znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy narożny budynek i skręcił w kolejną przecnicę. Pomalowana na ciemnożółty kolor

kamienica z pewnością pamiętała XVIII wiek i nawet dla niewprawnego oka musiała wyglądać na bardzo ekskluzywną. Miejscami spadzisty dach oraz łukowate okna nadawały jej nieco ciężki wygląd, jednak precyzja wykonania zdobień i okalające dach rzeźby sprawiały, że bezsprzecznie była wyjątkowa. Helmut, kiedy podchodził pod drzwi wejściowe, omiótł wzrokiem okna. Prawie we wszystkich świeciły się światła. Spojrzał na domofon i zawiódł się srodze. Spodziewał się zobaczyć listy nazwisk, a zamiast tego zobaczył tylko jeden mosiężny przycisk podpisany mosiężnymi literami składającymi się na słowo „RECEPCJA”. „Więc to ten jeden z ekskluzywnych domów, gdzie nie można wejść bez wiedzy pana ciecica. Zaraz usłyszę: »Albercie, proszę tego pana nie wpuszczać«” – pomyślał i nacisnął przycisk dzwonka. Długi czas jednak nikt nie reagował, zbyt długi czas. Nacisnął więc kolejny raz przycisk, tym razem stanowczo. Kilkanaście sekund później odezwał się ów wyimaginowany cieć Albert.

– Słucham!

– Ja do pana Jacoba Prillera. Jestem umówiony – powiedział, patrząc wprost w kamerę zamontowaną nad przyciskiem.

Domofon zabrzączał, drzwi ustąpiły pod naciskiem dłoni i Helmut wszedł do obszernego hallu, który nie przypominał klatek schodowych, jakie zwykle widuje się w kamienicach. Z szerokiego na mniej więcej osiem metrów i długiego na dziesięć metrów hallu odchodziły dwa szerokie korytarze dzielące kamienicę na część południową i część północną. Dokładnych wymiarów nie sposób było określić, ponieważ podłoga hallu wyłożona była ogromnymi biało-czarnymi kafłami, ściany natomiast pomalowano w biało-czarne linie oraz szachownice, co wywoływało wiele złudzeń optycznych. Na końcu, po przeciwnej stronie wejścia, widać było zabytkowe drzwi wiodące do dwóch wind, a za nimi po lewej stronie dostrzec można było masywną klatkę schodową. Ze ścian po lewej i prawej stronie zwisały cztery czerwone flagi, na środku każdej z nich znajdowało się srebrne godło. Centralnym punktem biało-czarnego, oświetlonego zimnym, LED-owym światłem hallu

była ułożona w podkowę recepcja, za której kontuarem siedział z miną kata karzeł. Ubrany był w czarny, dużo za duży mundur ze srebrnymi pagonami i czapkę ze srebrnym godłem wyhaftowanym ponad lakierowanym daszkiem. Helmut szedł przez hall bardzo wolno, a jego umysł z trudem akceptował to, co widział. Był bliski obłędu i wybuchnięcia niekontrolowaną radością z kulaniem się z rozbawienia po podłodze włącznie. Tym bardziej że zdawało mu się, iż im był bliżej kontuaru, tym mina karła stawała się coraz bardziej okrutna, oczy się zwięzały, a dłonie zaciskały się na blacie. Było też tak, że z każdym krokiem kontuar staje się wyższy i wyższy. Futurystycznie zaprojektowany hall sprawiał psychodeliczne wrażenie. Kiedy dotarł do celu, blat znajdował się na wysokości piersi, a karzeł zdawał się wyższy od niego o głowę.

– Słuchammm panaaa! – zaskrzeczał nieprzyjemnie, patrząc z góry na Helmuta.

– Jak wspominałem, ja do pana Jacoba Prillera. Jestem umówiony – powiedział, ledwie powstrzymując śmiech. – Nie boi się pan tak otwierać drzwi nieznanym do tak ładnego budynku? Z pewnością mieszkają tu sami ważni ludzie.

– Proszę pana, nie boję się, jestem niezłym, wyszkolonym karateką! – Zarówno treść wypowiedzi oraz pewny siebie ton karła, jak i pseudoesesmańska czapka zsuwająca mu się na oczy spowodowały, że Helmut nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Śmiał się, kucając i podnosząc się na zmianę. Kiedy wydawało mu się, że już się uspokaja, podniósł wzrok i wprost nad sobą zobaczył posępną twarz karła, który teraz jeszcze ubrał okrągłe, przyciemniane okulary, mniej więcej takie, jakich używają spawacze. Po kilkunastu kolejnych salwach śmiechu, zważywszy na charakter swojej wizyty, postanowił nie wdawać się w dalsze bezcelowe dyskusje. Wyprostował się nagle, jego twarz stężała, poprawił złote oprawki na nosie i jakby chciał poprawić włosy, wyciągnął rękę przed siebie. Złapał karła za szyję i nie wypuszczając z uścisku, przerzucił go przez ladę. Walnął nim o podłogę, a kiedy ten zdezorientowany chciał unieść głowę, uderzył go z całej siły kopniakiem w podbródek.

Nieprzytomnego portiera przerzucił z pleców na twarz, złapał za pasek od spodni i niosąc go niczym walizkę, obszedł kontuar i wszedł do recepcji. Po prawej stronie pod ladą wisiała tablica z zapasowymi kluczami do wszystkich mieszkań. Sięgnął po te właściwe i włożył je do kieszeni, następnie puścił stróża, który z głośnym plaśnięciem uderzył o podłogę. Helmut uklęknął pod blatem, tym razem swoją uwagę skierował na recorder zapisujący nagrania ze wszystkich kamer w budynku. Obrócił go tyłem, nacisnął przycisk, a dysk wewnętrzny wysunął się o centymetr poza obudowę. Wyjął dysk, włożył go do tylnej kieszeni, podniósł portiera za pasek i poszedł do windy. Cel jego wyprawy znajdował się na drugim piętrze. Kiedy winda się zatrzymała, wyszedł na korytarz, podszedł pod drzwi numer pięć i kolejny raz upuścił portiera. Wyjął z kieszeni klucz do drzwi, powolutku, bezszelestnie, ząbek po ząbku wsunął go do zamka i przekręcił okrągłą klamkę, równocześnie obracając klucz w prawo. Drzwi ustąpiły, do jego uszu dobiegła cicha muzyka poważna. Wyjął zza paska pistolet, popchnął delikatnie drzwi tłumikiem i zajrzał do środka. Z obszernego przedpokoju widać było znaczną część salonu, gdzie w narożniku, lekko stłumionym światłem migotała lampa z łososiowym abażurem. Nasłuchiwał przez chwilę. Muzyka dochodziła z głębi mieszkania. Przytrzymał nogą drzwi, klucz włożył z powrotem do kieszeni, sięgnął po portiera i trzymając go w lewej ręce, prawą zamknął drzwi od środka. Powolutku „wsadził” głowę do salonu, rozejrzał się po nim. Nikogo nie było. Przeszedł do barowej kuchni, gdzie otworzył drzwi ze szkła i metaloplastyki od pomieszczenia, które okazało się spiżarnią. Zlustrował jej wnętrze, po czym wrzucił tam kartę. Oprócz wejścia do hallu oraz kuchni z salonu wychodził duży szeroki korytarz prowadzący do pozostałych pomieszczeń. Helmut ostrożnie stawiając kroki, przeszedł przez salon właśnie do tego korytarza. Na jego ścianach pomiędzy futrynami wisiały stare obrazy, podświetlone ledwie widocznym delikatnym „płomieniem”. W szparze pomiędzy podłogą a drzwiami w wejściu znajdującym się na szczycie korytarza świeciło się bardzo jasne światło. Podszedł do drzwi i przyłożył

do nich ucho. Oprócz znanej mu operetki Franza Lehára pod tytułem „Żółty kaftan” z pomieszczenia dobiegały głosy podśpiewywania oraz branej kąpieli. „Nawet dobrze, bardzo dobrze. Rozejrzę się w międzyczasie po mieszkaniu, może znajdę coś, co może być dla nas wartościowe. Jakiś trop, może nawet dowiem się, dla kogo, gagatku, jeszcze pracujesz” – pomyślał i wrócił do salonu, od którego postanowił rozpocząć przeszukanie.

Rozdział 19

Kierowca karetki wyszedł na zewnątrz, otworzył boczne drzwi ambulansu i pomógł Arnaudowi Pieto stanąć na chodniku. Następnie podał mu kule i czekał w gotowości, żeby podtrzymać chorego w razie konieczności.

– Poradzę sobie. Mam w tej kamienicy coś do załatwienia – pokazał kulą na najbliższy budynek. – Czekaj na mnie i się nie ruszaj, powinienem być z powrotem za godzinę, może godzinę trzydzieści minut. A teraz podaj mi z siedzenia moją torbę.

Arni wsadził ręce w kule. – No wystarczy już tych czułości. Mówiłem, że sobie poradzę! – skarcił pielęgniarza, kiedy ten kolejny raz zaofiarował mu pomoc. Stąpając ostrożnie i podpierając się na kulach, tak jak przystało na osobę z raną postrzałową nogi, pokuśtykał w kierunku najbliższej kamienicy. Kiedy wszedł w jej otwarte na oścież drzwi, natychmiast odstawił kule w ciemny narożnik znajdujący się pomiędzy rurami kanalizacyjnymi a skrzynką pocztową. Rozejrzał się we wszystkie strony, następnie dość szybkim krokiem przeszedł przez podwórze kamienicy, które łączyło się z podwórkiem sąsiedniego budynku.

Spojrzał na domofon, większość przycisków była powyrywana, a tabliczki z nazwiskami zniszczone. Wyjął z kieszeni automatyczny wytrych, nacisnął klamkę, drzwi wejściowe jednak były otwarte. Arni przeszedł na podwórze, wspiął się na śmietnik, podciągnął się na ogrodzeniu, przeważył środek ciężkości i delikatnie opuścił się z drugiej strony. Tutaj podwórko niczym nie przypominało sąsiedniego. Było zadbanym ogrodem z ławkami i fontanną, nawet teraz, kiedy wszystko pokryte było śniegiem, sprawiało bardzo dobre wrażenie. Pochylony podbiegł do drzwi, które prowadziły do oranżerii, która to z kolei przyklejona była do bryły kamienicy. Automatyczny wytrych otworzył zamek w takim tempie, jakby Arni używał oryginalnego klucza. Cichutko poszedł w kierunku klatki schodowej i kiedy

wchodził po stopniach, spojrzął na widoczną od tyłu recepcję. „Nie ma portiera, znaczy się muszę bardzo uważać, bo pewnie ma obchód” – pomyślał i wyszukał w wewnętrznej kieszeni kurtki paralizator. Pod drzwiami numer 5 wyprostował się i zaczął obwąchiwać je jak pies. Tym razem nie chodziło o synestezję, kremowy kolor, jaki przeważał na korytarzu, zawsze miał dla niego lekko karmelowy zapach, jednak w powietrzu oprócz tego wymyślnego czuć było wyraźną woń palonego tytoniu. „Priller przecież nie pali... Może kogoś zaprosił i pozwala mu palić u siebie w domu” – pomyślał i przyłożył ucho do drzwi. W środku poza ledwie słyszalną muzyką panowała absolutna cisza. Włożył automatyczny wytrych do zamka, dwa razy nim poruszał, dało się słyszeć ciche, dwukrotne „klik, klak” i droga do wnętrza stanęła otworem.

Arni wszedł do środka, w momencie, kiedy domykał drzwi, usłyszał jakiś ruch w salonie, sekundę później wyraźnie usłyszał dźwięk zamykania „czegoś”. Może skrzyni, szafy czy komody. Zamarł. Schował wytrych w prawej kieszeni i wyciągnął pistolet. Odczekał kilkanaście sekund, cały czas trzymając rękę na klamce uchylonych drzwi. W końcu bardzo ostrożnie, na czworakach, wszedł do salonu. Położył się i bacznie patrząc po linii podłogi, dokładnie zlustrował pomieszczenie. „Za żadnym z mebli nikt się nie kryje, z całą pewnością nikogo w salonie nie ma. Dziwne... Widocznie poszedł tam, skąd dochodzi muzyka, jak nic... Jest w łazience” – przeanalizował sytuację. Pomny rozkładu pomieszczeń mieszkania Prillera wstał i z wyciągniętą przed siebie bronią, „świecąc” w ciemności białymi, bawełnianymi rękawiczkami, poszedł w kierunku łazienki. Kiedy dotarł do szczytu korytarza, przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał wyraźnie, że Priller właśnie wychodzi z wanny i podśpiewując operetkę, zapewne zaczyna się wycierać. Pięto rzucił okiem na zawiasy. Drzwi otwierały się na zewnątrz w prawą stronę korytarza. Obrócił się na pięcie i ukrył się w rogu, tak żeby otwierające się na korytarz drzwi od łazienki zasłoniły go przed oczami gospodarza.

Kiedy stał w gotowości do ataku, drugi raz naszła go myśl, że

coś tu jest nie tak, coś tu ewidentnie nie gra. Coś dziwnego wisi w powietrzu. Kilkanaście sekund później muzyka zamilkła, drzwi się otworzyły. Pośrednik bujając się delikatnie na boki, poszedł w kierunku salonu. Był niskim, grubym mężczyzną o okrągłej twarzy, z potężną łysiną. Jego głowę zdobił tylko skromy wieniec siwych włosów, nadając mu wygląd nieco podobny do mnicha, zwłaszcza teraz, kiedy szedł w brązowym szlafroku. Arni dyskretnie ruszył za nim, wyjął z kieszeni paralizator, w momencie, kiedy kończył się korytarz, przytknął go Prillerowi do karku, nacisnął spust na jakieś dwie sekundy i z całej siły popchnął go w głąb salonu. Ten chwając się na wiotkich nogach, przeturlał się przez kanapę i zaklinował pośladkami pomiędzy kamiennym stolikiem a masywną skórzaną sofą. Pieto poszedł do przedpokoju, podniósł z podłogi torbę i wrócił do salonu. Usiadł na fotelu dokładnie naprzeciwko pośrednika, którego cztery litery spoczywały na podłodze, plecy opierały się o kanapę, a nogi niczym u kobiety podczas badania ginekologicznego pozostawały uniesione wysoko ponad kamienny stół. Pomiędzy uda wtłoczył się jego ogromny brzuch, uniemożliwiając zmianę pozycji. Stół ważył ze 150 kilogramów, kanapa tylną częścią opierała się o filar, więc o przesunięciu mebli bez pomocy kogoś z zewnątrz nie mogło być mowy. Arni patrzył na twarz Jacoba Prillera, który zdawał się cały czas nieobecny. Jego oczy jakby były przykryte mgłą, a głowa raz opadała na piersi, raz się podnosiła. Dopiero kiedy obok pistoletu i paralizatora, które położył na stole, pojawiła się sporej wielkości metalowa gruszka z pokręteł, jego twarz nabrała wyrazu, a wzrok się wyostrzył.

– Pieto! Co ty robisz? – zapytał w momencie, kiedy ten odstawiał torbę na podłogę.

– Nic nie robię, bo chcę tylko pogadać. Mam do ciebie zaledwie dwa pytania.

– To nie mogłeś normalnie ich zadać? Tylko walisz mnie czymś w kark i kładziesz tu jakieś gówna na stole. Jeżeli chodziło ci o to, żeby zrobić wrażenie, to ci się udało!

– Pierwsze pytanie dotyczy tego, co się stało wczoraj rano u mnie w domu.

- A skąd ja mogę wiedzieć, co się stało u ciebie w domu?
- Drugie dotyczy zaś tego, że chcę wiedzieć, dla kogo pracuję. Dla kogo mnie wynająłeś?

Helmut z ukrycia, przez szpary w drzwiach ażurowej szafy, obserwował z zaciekawieniem spektakl wyreżyserowany przez Arnauda Pieta. Twarz Pieta w porę skojarzył ze zdjęciem, które oglądał wcześniej u generała Warnkego, inaczej ten już by nie żył. Niemniej teraz rozmowa zbaczła na temat, który powinien dla zleceniobiorcy pozostać tajemnicą. Sytuacja stawała się bardzo niewygodna dla Helmuta i – co rzadko mu się zdarza – nie za bardzo wiedział, jak z niej wybrnąć. Tym bardziej że ton głosu Prillera świadczył o tym, że jest mocno wystraszony i zaraz jak nic, zacznie sypać.

– Dobrze więc... Bardzo chciałbym ci pomóc, ale twoje pytanie jest idiotyczne, nieprofesjonalne. Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, dla kogo pracujesz – drżącym z nerwów głosem mówił pośrednik. – A co się stało w twoim domu wczoraj, jest dla mnie tajemnicą. Nic o niczym nie wiem! Przysięgam, że nie wiem! Jeżeli możesz, to mi powiedz, co się stało, może nasuną mi się jakieś wnioski.

– Nie wierzę ci, a mówić nie musisz, wystarczy, że napiszesz – przesunął po stole kartkę papieru i długopis tak, że znalazły się między jego nogami. Następnie wziął do ręki metalową gruszkę i podszedł do pośrednika, który teraz zaczął nerwowo – niczym prosiak – wierzgać nogami.

– Otwieraj pysk! – powiedział tak stanowczym głosem, że w oczach Jacoba Prillera pojawił się paniczny strach. Pieta brutalnie lewą ręką złapał go za szczękę, a prawą wciskał pomiędzy zęby metalową gruszkę. Pośrednik nagle poluźnił mięśnie karku, gwałtownie skierował głowę najpierw w lewo, później w prawo, robiąc nią zwód zakończony zaciśnięciem szczęk na lewej dłoni Pieta.

– Pierdolę to! – zaklął i niewiele myśląc, z całej siły, biorąc zamachy jak rzeźnik rąbiący mięso, zaczął uderzać masywną

gruszką w głowę Prillera. Przestał, kiedy po trzecim uderzeniu skóra na łysinie się rozstała, a krew natychmiast zalała czaszkę. Uścisk zębów ustąpił natychmiast, a głowa odchyliła się do tyłu. Arni jeszcze raz złapał za jego żuchwę i wcisnął do ust umazaną krwią gruszkę. Teraz szybko kręcąc pokrętle, rozwarł ją do takich rozmiarów, że wyjęcie jej z ust czy wyplucie nie było możliwe. Cieknąca z głowy krew i wystające z ust żelastwo spowodowały, że pośrednik sprawiał wrażenie woskowej lalki z Muzeum Tortur w Londynie. Pieto dla pewności jeszcze raz przekręcił pokrętło w gruszcze, tym razem, aż coś chrupnęło. Poszedł do kuchni, zjrzał do garnka z grubym dnem stojącego na kuchence. Był w nim zimny krem z pomidorów. „Podtopię go, jak to robią amerykańscy sadyści w Guantanamo, pomidorówką będzie w sam raz” – zadowolony ze swojego pomysłu uśmiechnął się do siebie i wziął garnek do rąk. Kiedy szedł w stronę kanapy, na moment przystanął, cały czas coś podejrzewał, intuicyjnie czuł nieokreślony wewnętrzny niepokój. Oprócz zapachu spalonego tytoniu, który wyraźnie wyczuwał w powietrzu, coś jeszcze było nie tak, jednak nie za bardzo potrafił skojarzyć co. W końcu uświadomił sobie, że kiedy wchodził do mieszkania, ktoś chodził po salonie i trząsał meblami, było to chwileczkę wcześniej, zanim Priller zaczął wychodzić z wanny. „Czyli nie mógł jednocześnie się kąpać i być w salonie! Ktoś jeszcze musi być w mieszkaniu!” – krótka refleksja przemknęła mu przez umysł, jego ciało stężało w jednym momencie, a wszystkie zmysły się wyostrzyły.

Pieto zamarł. Przycisnął garnek z pomidorówką do siebie i odwrócił się w kierunku, skąd – jak mu się wydawało – dochodził dźwięk, kiedy wchodził do mieszkania. Spojrzał na dwudrzwiową, białą szafę, której drzwi wykonane były z drewnianych żaluzji, był pewien, że tam ukrył ów palacz papierosów. „Tylko dlaczego się ukrył?!” – kiedy zadał to pytanie, garnek z pomidorówką przycisnął do piersi. Zdał sobie bowiem sprawę, że jeżeli jego teoria jest prawdziwa, to ten „ktoś” właśnie na niego patrzy. Priller zajączał i otworzył oczy, położył dłonie na wystającej z twarzy części gruszki i wpadł w histerię.

Z nadludzką siłą zaczął wierzgać nogami i pchać rękoma stół, że ten milimetr po milimetrze zaczął się odsuwać od sofy. Zdezorientowany Pieto spoglądał raz na zaklinowanego pomiędzy stołem a sofą pośrednika, a raz na ażurowe drzwi od szafy. I wtedy stało się coś tak bardzo niespodziewanego. Niekwestionowany król złodziei, wirtuoz w swoim fachu, człowiek o stalowych nerwach, Arnaud Pieto posikał się w spodnie. Otóż od strony kuchni w jego kierunku, z wielkim nożem do krojenia jarzyn, biegł karzeł.

Jakby tego było mało, karzeł oprócz za dużej marynarki mundurowej, która sięgała mu prawie do kostek, miał podbite oko i leciała mu z nosa krew. Kiedy był w połowie dystansu, nadepnął sobie krótką nóżką na poję marynarki, co spowodowało natychmiastowe przeniesienie środka ciężkości do przodu i teraz z nożem wyciągniętym przed głowę leciał w kierunku przerażonego Arnauda niczym rakietą. Pieto w ostatniej chwili, jednak całkiem rozsądnie, zasłonił brzuch spodem garnka, przy okazji wylewając na siebie krem z pomidorów. Nóż ześlizgnął się ze stali, a karzeł uderzył głową w krocze.

Upuszczony garnek z głośnym brzękiem pokulał się po podłodze, a obaj mężczyźni padli jak rażeni piorunem. Karzeł na plecy, nakrywając się króciutkimi nogami, a Pieto, który zwałił się na kolana, teraz trzymał się w okolicach podbrzusza i syczał z bólu, wyciągając chudą szyję w kierunku zawieszanej nad nim lampy, niczym wilk wyjący do księżyca.

Helmut mimo tego dość komediowego łańcucha nieoczekiwanych zdarzeń za wszelką cenę próbował zachować powagę. Jednak widząc miotającego się pomiędzy stołem a sofą Prillera z metalową gruszką w ustach, karła leżącego na plecach w pomidorówce oraz ujadającego Arnauda Pieto, usiadł w szafie i zasłonił twarz jakimś płaszczem, śmiejąc się tak mocno, że po chwili z jego oczu zaczęły płynąć łzy. Śmiał się mniej więcej przez minutę, a sytuacja w pokoju wyglądała nadal tak samo, żadnych zmian, jakiegokolwiek szansy na przełamanie impasu. Kiedy zaczął się nieco uspokajać, usłyszał dobiegające od strony korytarza

kroki. Po chwili zobaczył korpulentną blondynkę, która weszła do salonu i od razu złapała się za głowę.

– Sąsiedzie! Co tu się dzieje?! Co pan sobie włożył do ust?! – powiedziała z obrzydzeniem. – Weszłam, bo drzwi były uchylone, a przez te wrzaski koty mi się płoszą. Wszystko rozumiem, nawet taką orgię, ale... Czy mógłby pan tak nie jęczeć?! – tu spojrzała na Pieta, który cały czas trzymał się za krocze. Kiedy ten zajęczał raz jeszcze, do tego głośniej niż poprzednio, bez ponownego ostrzeżenia strzeliła go od tyłu na odlew w potylicę otwartą ręką. Król złodziei złożył się jak scyzoryk, padając twarzą wprost między nogi portiera. Karzeł przypominający teraz przewróconego nogami do góry żuka zmarł. Błyskawicznie sięgnął po leżący obok niego nóż i rzucił w sąsiadkę, trafiając ją prosto w czoło. Nóż do krojenia warzyw był wykonany z ciężkiej stali, zatem bez problemu wszedł w cel, zanurzając się w czaszce do połowy ostrza. Kobieta poleciała do tyłu na sztywnych nogach, uderzając głową w zawieszony na stelażu telewizor. Helmut w momencie przestał się śmiać, ponieważ w lot zrozumiał, że nie było to typowe zachowanie jak na portiera. Jego dłoń momentalnie spoczęła na rękojeści pistoletu. Priller widząc, co przytrafiło się jego sąsiadce, nadludzkim wysiłkiem przesunął kamienny stolik i wystrzelił z pułapki jak z procy. Biegł w kierunku wyjścia z majtającą się to na lewo, to na prawo gruszką w ustach. Przerażony Pieta, natychmiast podniósł się z podłogi na kolana i starał się sięgnąć po leżący na końcu stołu mały pistolecik. Karzeł przekręcił się na bok, wstał i ruszył biegiem za Prillerem. Niejako po drodze wpakował krótką nożkę w krocze Pieta, który tym razem upadł na twarz, wprost w rozlaną na podłodze pomidorową maź. Mimo ogromnego bólu świadomość sytuacji, w jakiej się znalazł, spowodowała, że wspiął się na stole i wstał z podłogi. Zabrał swój mały pistolecik oraz paralizator i słaniając się z bólu, wyszedł z mieszkania, by po chwili w dość dużym wysiłkiem zaczął biec w kierunku klatki schodowej.

Helmut pchnął drzwi szafy, z pistoletem w rękę przeszedł przez mieszkanie, wszedł do pokoju, który w mieszkaniu pośrednika

pełnił funkcję gabinetu. Z biurka zabrał gruby, poprzekładany różnymi kartkami notes, klucz do samochodu, do którego przyczepiony był pendrive, oraz laptopa. Chwilę później także wyszedł z mieszkania i spokojnym krokiem skierował się w kierunku drzwi oznaczonych zielonym napisem: „SCHODY PRZECIWPOŻAROWE”.

Kierowca karetki nerwowo spoglądał na zegarek, później wpatrywał się w ulicę, gdzie w bramie kamienicy zniknął Arnaud Pieto. Mijała godzina od momentu jego wyjścia z samochodu, a sanitariusz martwił się, czy starszy pan, idąc po śniegu o kulach, się nie przewrócił. Jeżeli jego klient uległby wypadkowi i wydałoby się, że on wykonuje dla niego fuchę, z pewnością straciłby pracę. Mało tego, mógłby do końca życia płacić odszkodowanie. Miał różne wizje. W tym kilka czarnych scenariuszy dotyczących tego, co mogło spotkać idącego o kulach po śniegu mężczyznę. W pewnym momencie znudzony wpatrywaniem się w drzwi kamienicy spojrzął przed siebie. Jego wzrok powędrował wzdłuż płotu wydzielonej części parkingu i zatrzymał się na odległej o jakieś 20 metrów od sanitarki bramie awaryjnej. Wrota bramy otworzyły się wbrew regułom na zewnątrz, blokując przejście na chodniku. Parę sekund później z bramy wprost na ulicę wytoczyło się auto. Na tej ulicy, ostatniej od strony południowej w 15. dzielnicy, ruch nawet w godzinach szczytu był niewielki. Teraz, wieczorem, ulica była całkiem pusta, więc koła auta pokulały się przez całą szerokość ulicy, odbiły się od krawężnika i zaległy na chodniku. Niemal w tym samym momencie z bramy wyszedł mężczyzna z założonym na głowę reflektorem samochodowym. Do nóg miał przywiązane błotniki od jakiegoś granatowego auta, przez co jego sylwetka przypominała nieco bramkarza hokejowego. Przepasany był oponą od dostawczego auta, lewą rękę miał włożoną w srebrny czajnik, a w prawej trzymał pistolet z tłumikiem. Gdy do sanitariusza dotarło to, co widzi, odruchowo złapał za „gruszkę” radiostacji i już chciał wezwać policję. Jednak w ostatniej chwili

przypomniał sobie, że znajduje się tutaj, można by powiedzieć, nielegalnie.

– Aaaaaaa! Aaaaaaa! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa... – Pielęgniarz aż podskoczył, kiedy ów stwór zaryczał, używając czajnika jako trąby sygnalizacyjnej.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – krzyząc, przemknął koło karetki bosy mężczyzna w szlafroku z jakimś metalowym przedmiotem w ustach, z czymś tak dziwnym, że kierowca nie umiał tego ani nazwać, ani opisać.

– Aaaaaaa! – tuż za nim biegł i krzyczał karzeł w za dużej marynarce, która wyraźnie mokra przypominała płaszcz ciągnący się po ziemi.

– Na Allaha! – krzyknął pielęgniarz, kiedy do karetki dosłownie wskoczył bez kul obłany pomidorówką Arnaud Pieto. – Jest pan ciężko ranny! – krzyknął i mimo szoku, jaki wywarł na nim ten widok, znowu odwrócił głowę w stronę bramy parkingu. Kolejne ryknięcie przetoczyło się przez ulicę. Stwór rycząc do czajnika, podniósł pistolet i strzelił do nadbiegającego z naprzeciwka Prillera. Czubek jego głowy eksplodował, a kula przebiwszy czaszkę, poleciała dalej i uderzyła w szybę stojącej dokładnie na linii strzału karetki. Kula jednak nie przebiła szyby. Utkwiła w niej, a odpryski szkła, które wybiła, uderzyły wprost w szyję sanitariusza. Cienki strumień krwi trysnął na szybę. Mężczyzna, który nie za bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się stało, odwrócił się i spojrzał na Pieto, któremu sikająca z szyi krew trysnęła mu prosto w oczy.

– Oż kurwa! – Pieto chwycił wiotczącego sanitariusza za kłapy i zrzucił z siedzenia. Przetarł twarz rękawem, usiadł na miejscu kierowcy, nacisnął przycisk włączający „koguty” na dachu, wcisnął gaz do dechy i ruszył przed siebie. Kolejna kula trafiła w szybę, tym razem dokładnie na wysokości fotela pasażera, na którym przed chwilą siedział Arni. Karetka buksując kołami, popędziła w stronę strzelającego mężczyzny, któremu tuż przed uderzeniem udało się wystrzelić ostatnią kulę z magazynka. Motoryka uderzenia dalece jednak odbiegała od znanych świata przypadków. Ów stwór, jako że przez klatkę piersiową miał

przewieszoną oponę, odbił się od karetki i po przelecaniu mniej więcej 10 metrów w powietrzu uderzył w biegnącego po przeciwnej stronie ulicy karła. Obaj mężczyźni potoczyli się nieprzytomni po chodniku.

Helmut, który stał za rogiem kamienicy i oglądał to widowisko z uśmiechem na twarzy, głęboko westchnął, po czym postawił kołnierz i poszedł dość szybkim krokiem do wypożyczonego samochodu. Kiedy wsiadł do środka, laptopa położył na siedzeniu, do ust włożył ulubioną fajkę i niespiesznie, aby nie wzbudzać podejrzeń gapiów, którzy okupowali okna w kamienicach, oddalił się z miejsca tych przedziwnych wydarzeń. Kilka minut później zaciągając się fajką, wyjął z kieszeni iPhone'a i wybrał numer do generała Warnkego.

– Mów – jak zwykle zasadniczo odezwał się generał.

– Sprawa wydaje się skomplikowana. Równocześnie ze mną u Prillera pojawił się nasz król złodziei i dodam, że nie był zbyt miły dla pośrednika.

– To znaczy?

– Chciał mnie wyręczyć i go przesłuchać. Z tym że zadał mu o jedno pytanie więcej. Oprócz tego, kto go napadł, chciał jeszcze się jeszcze dowiedzieć, dla kogo teraz pracuje.

– Jak rozumiem...

– Tego, co tu się wydarzyło, nie da się zrozumieć, nawet jeżeli pracuje się od 30 lat w wywiadzie, panie generale. Priller nie żyje...

– Zlikwidowałeś go? Powiedział coś?

– Nie bezpośrednio, zły los zabił pośrednika, zresztą gdyby nie ta przypadkowa śmierć, jestem pewien, że zabiłby go Pieto lub karzeł.

– Jaki, kurwa, znowu karzeł?

– Kiedy wszedłem do kamienicy, udawał portiera. Co się stało z prawdziwym portierem, nie wiem, ale przypuszczam, że leży gdzieś zabity. Ten karzeł chciał zabić Prillera, tego jestem akurat pewien. To jakiś wynajęty zabójca, niezbyt bystry, ale bardzo zawzięty. Jeżeli karzeł przeżył zderzenie z lecącym stróżem, to możemy mieć jeszcze z nim do czynienia.

- Jakie zderzenie i z jakim stróżem?
- Stróżem z parkingu... Tym, który zabił Prillera.
- Stróż z parkingu zabił Prillera? Ale za co?!
- Mówiłem panu, że tego nie da się zrozumieć. Mam laptopa, notes i jakiś pendrive przy kluczyku od jego auta. Jutro to panu zostawię w skrytce. O Pieta może się pan nie martwić, odjechał karetką.
- Karetką?! Czyli jest ranny?!
- Nie, wręcz przeciwnie. Pewnie to pana zaskoczy, ale biega jak gazela. Ta rana postrzałowa to jakaś lipa. Karetkę chyba ukradł...
- Nic nie rozumiem poza tym, że Priller nie żyje... Ale niech będzie – generał westchnął do słuchawki. – Jedź do domu i przygotuj się do wyjazdu. Dam ci znać, kiedy ruszyć.
- Tak jest – odparł Helmut i się rozłączył.

Pieto, kiedy tylko wyjechał z 15. dzielnicy, natychmiast zjechał na pobocze. Zapalił lampkę na suficie i spojrzał na podłogę, gdzie pomiędzy fotelami leżał w kałuży krwi, z otwartymi oczami nieżywy pielęgniarz. Złapał za lusterko i skierował je po kolei na swoją twarz, tors, a na koniec spojrzał na nogi. Twarz razem z włosami miał umazaną we krwi i zupie kurtkę, razem z założonym pod nią swetrem przesiąkniętą pomidorami. Spodnie i buty nie prezentowały się lepiej. Pieto wyłączył światło, przeszedł do tylnej części ambulansu, zdjął kurtkę i korzystając z płynów z kroplówek i wody utlenionej zaczął przywracać się do porządku. Kiedy uznał, że nic więcej nie da się zrobić, żeby wyglądać lepiej, złapał sanitariusza za ręce i z niemałym trudem wciągnął go do tyłu. Przykrył go prześcieradłem, które zdjął z noszy, po czym wrócił na miejsce kierowcy. Poprawił siwe włosy. Twarz wydała mu się nieco opuchnięta, nie mniej zdecydował, że w tym stanie, jeżeli naciągnie kaptur na głowę, będzie mógł wrócić bezpiecznie do domu taksówką, a nawet autobusem. „Kaptur w taką pogodę nie powinien nikogo dziwić, nawet jeżeli kurtka jest trochę poplamiona, to wyjdę na podstarzałą fleję. Zresztą teraz pół

Paryża to fleje” – pomyślał, przełączył dźwignię automatycznej skrzyni biegów i ruszył w kierunku ulicy Rue de Navarre.

Im bliżej centrum się znajdował, tym ruch stawał się większy. Pokonanie trzech kilometrów zajęło mu godzinę, przez co stał się nieco nerwowy, bo czas, do kiedy karetka niby oficjalnie została wynajęta, dobiegał końca. W momencie, gdy minie ustalona wcześniej godzina pracy kierowcy, dyspozytor może do niego próbować wydzwaniać. W końcu zdenerwowany włączył sygnały dźwiękowe i „koguty” na dachu. Sytuacja zmieniła się diametralnie, a uśmiech zagościł ponownie na jego twarzy. Piętnaście minut później był niemal u celu swojej podróży. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, wyłączył wszystkie sygnały i spokojnie wtoczył się na małą zatoczkę obok sklepu z podrabianą elektroniką. Mimo że właścicielami sklepu byli Hindusi, w jego witrynie jak co roku zainstalowali wielką choinkę ozdobioną złotymi bombkami i złotymi lampkami. Poświata od choinki była tak jasna, że ambulans zdawał się teraz także mieć złoty kolor. Wyłączył silnik, zaczął wkładać ręce do każdej kieszeni obszernej kurtki, żeby zrobić w niej porządek. Pistolet do lewej, paralizator do prawej, wytrych na powrót do wewnętrznej. Z kieszeni na piersi wyjął płaskie pudełko z dwoma wystającymi kablami. Wytarł je o spodnie i włożył z powrotem na miejsce. „I to by było na tyle” – wstał z fotela, sięgnął do szafki za swoimi plecami. Popatrzył na półki, z górnej sięgnął po litrową butelkę ze spirytusem. Odkręcił nakrętkę i jej zawartość wlał do kratek nawiewu w desce rozdzielczej ambulansu. Z ligniny zrobił knot i wcisnął w środkową kratkę nawiewu, a potem podpalił. Płomień dość leniwie zaczął przesuwać się po papierze. Następnie król złodziei przeszedł do tyłu, odkręcił zawór butli z tlenem i tylnym wyjściem wyszedł z karetki. Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się w przeciwną do ruchu stronę, gdzie trzy przecznice dalej znajdował się wielopiętrowy parking. Kiedy skręcał w prawo, przez ramię spojrzął w kierunku oddalonej od 200 metrów karetki, która teraz świeciła się płomieniem kilkukrotnie jaśniejszym niż hinduska choinka w oknie. A gdy dotarł już do szarego budynku parkingu, znowu zaczynał padać

śnieg. Naciągnął kaptur mocniej, tak że sięgał mu teraz poniżej czoła. Wszedł do klatki schodowej, wcisnął przycisk wzywania windy, która zawiozła go na trzecie piętro. Następne kilkanaście metrów przeszedł pochylony, skręcił w kierunku stojącego w rogu pod ścianą białego mercedesa klasy S. Nacisnął przycisk na pilocie, otworzył drzwi od strony pasażera i wszedł do środka. Następnie sprawnymi złodziejskimi palcami otworzył schowek, wyjął scyzoryk, którym podważył lampkę, by potem wyjąć z niej żarówkę, a do kabli podłączyć małe czarne pudełeczko, które ukrył w kieszeni kurtki. Pudełeczko wepchnął w dziurę pomiędzy wnętrzem schowka a deską rozdzielczą, lampkę wcisnął na miejsce. Zadowolony z siebie, scyzorykiem uszkodził czujnik zamknięcia schowka, tak żeby prąd cały czas docierał do zamkniętego w czarnym pudełeczku urządzenia lokalizacyjnego GPS. Zamknął schowek, oparł głowę o zagłówek i wziął głęboki wdech. „Najwyższa pora wracać do domu. Pojadę najpierw autobusem, później przesiadę się do metra, na koniec do domu wrócę taksówką. Dokładnie tak zrobię” – wysiadł z auta, pochylił się i już niebywale spokojnie poszedł w kierunku klatki schodowej.

Rozdział 20

13 grudnia

Za sześć minut godzina 8, szary ford mondeo zaparkował w zatoczce tuż przed wjazdem do piętrowego parkingu przy Malmskillnadsgatan. Na zewnątrz nie dość, że było prawie ciemno, to temperatura, która spadła do -12 stopni Celsjusza nie napawała optymizmem. Gösta nie wyłączył silnika, oboje razem z Aniką patrzyli w lusterka samochodu i słuchali porannych wiadomości. Spiker właśnie kończył opowiadać historię o fałszywym alarmie bombowym w szpitalu. „Jak twierdzi policja, połączenia dokonano z telefonu stacjonarnego z oddziału nefrologii. Nie wiadomo, kto użył telefonu, śledztwo jest w toku. Będziemy państwa informować o jego przebiegu. Szpital w godzinach rannych zacznie przyjmować na oddziały ewakuowanych wcześniej pacjentów”.

– Z oddział nefrologii... Słyszałeś?

– Czemu nie korzystamy z naszych policyjnych informatorów? Przecież mogliśmy to wiedzieć już wczoraj. Kurwa, ja pierdołę!

– Nikt, ale to nikt nie może wiedzieć, co robimy ze Stigsonem i jakie mamy plany. Działamy sami, nasłuchujemy, podsłuchujemy, o nic żadnego informatora nie pytamy. To więcej niż ściśle tajne, nikt nie może nas połączyć ze sprawą Stigsona. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby ktoś skojarzył, że dopytujemy się o szpital, a za moment ginie tam Stigson? Wyobrażasz sobie skandal, jaki by wybuchł, gdyby wydało się, że próbowaliśmy go dwukrotnie otruć...

– To chyba oczywiste.

– Zaczynam mieć bardzo poważne obawy. – Anika odprowadziła wzrokiem wjeżdżającą w głąb parkingu limuzynę marki Lexus. – Jeżeli alarm bombowy pochodził z oddziału nefrologii i szpital został ewakuowany, to bez wątpienia oznacza, że ktoś działa bezpośrednio przeciwko Mosadowi. Zrobiono to po

to, żeby uprowadzić w zamieszaniu Stigsona ze szpitala. Według mnie został porwany, sterroryzowany i dlatego wczoraj jego sekretarz zadzwonił do notariusza w sprawie zwrotu prawdziwego testamentu. Przypuszczam, że Stigsona w szpitalu nie ma od wczoraj. Jest w rękach jakiegoś wywiadu, a ten prawnuczek to nie kto inny jak pracownik służb. Kurwa mać! Teraz mi się już wszystko ułożyło!

– Zaraz będziemy wszystko wiedzieć. A Sven pokazał na notariusza, który wyszedł z parkingu, z teczką pod pachą, pochylony zmagął się z wiatrem. Szedł w kierunku skrzyżowania z ulicą Hamngatan, na której zaraz za domem towarowym w kamienicy należącej do banku mieściło się jego biuro.

Anika odczekała dwie minuty, wzięła z tylnej kanapy dużą damską torbę, którą przewiesiła przez ramię, na głowę założyła czapkę baseballową, na nią naciągnęła kaptur wełnianego płaszcza i wyszła na zewnątrz. Zamknęła drzwi, przejrzała się jeszcze w przyciemnionej szybie samochodu, pochyliła się i poszła w kierunku biura notariusza. Minęła witrynę sklepu Oscar Jacobson przy Hamngatan 18, aby 50 metrów dalej skręcić w lewo, w stronę biurowego wejścia do budynku, w którym od frontu mieściła się główna siedziba Nordea Banku w Szwecji. Palcem we włochatej rękawiczce nacisnęła przycisk domofonu z napisem: „NOTARIUSZ GUSTAVSON”. Ciche brzęczenie oznaczało, że zamek drzwi ustąpił. Szybkim krokiem poszła na górę, na czwarte piętro, gdzie znajdowała się kancelaria notarialna. Otworzyła szklane drzwi i weszła do środka. Sekretariat dwuizbowego biura pachniał świeżo parzoną kawą. Ekspres właśnie miał kawę potrzebną do zaparzenia drugiej filiżanki, którą teraz podstawiał Gustavson.

– Dzień dobry pani! Ale się pani ciepło ubrała, zapraszam do środka. Proszę przejść od razu do mojego gabinetu – odezwał się, kiedy zobaczył Anikę w drzwiach.

– Dzień dobry! – odparła i szybkim krokiem przeszła do głównego pomieszczenia kancelarii.

Wnętrze kancelarii nie przypominało większości szwedzkich biur. Było urządzone na staroświecki sposób z wielkim jak na

skandynawski minimalizm przepychem. Modernistyczne meble, piękne, ciężkie lampy. Wygodne pikowane fotele z zielonej skóry i kilka niesamowicie drogich obrazów mówiło wiele o właścicielu. W czasie, kiedy Anika oglądała z uwagą pomieszczenie, do biura wszedł notariusz, niosąc tacę z dwoma filiżankami kawy, śmietanką i cukrem. Postawił tacę na biurku, podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość.

– Przewietrzę na moment biuro, lepsze świeże powietrze niż zaduch. Ma pani przy sobie ten stary dokument? – powiedział i spojrzał na siedzącą cały czas w płaszczu kobietę.

– Mam, oczywiście, panie Gustavson, że mam. Poproszę o zwrot zaliczki i o wyjęcie nowego testamentu. Zaraz go wspólnie zniszczymy.

Notariusz podszedł do równie staromodnej, pasującej idealnie do stylu biura kasy pancерnej, która stała w rogu pomieszczenia. Piękna stara zielona kasa, ze złotymi ornamentami i malunkami na krawędziach, stojąca na gustownym, stalowym postumencie z pewnością pamiętała jeszcze lata 20. minionego wieku. Rejent sześć razy ustawił pokrętko na właściwych cyfrach, pociągnął za mosiężną rączkę i drzwi z niemałym oporem ustąpiły.

– Piękna, a w zasadzie przepiękna szafa pancerna, panie Gustavson. Przepraszam za śmiałość, nie będę zaglądać do środka. Czy mogę ją obejrzeć?

– Ach! Tak, zna się pani na sztuce użytkowej, jak widzę. Tak naprawdę mówi się „sejf pancerny”. To zabytek, austriacki legendarnej firmy Wertheim z 1872 roku. Z roku, kiedy firma przekształciła się w spółkę akcyjną i wypłynęła, jak to się zwykło mówić, „na szerokie wody”. Wyjątkowy egzemplarz, prawdziwy rarytas, oczywiście ogniotrwały! Proszę, proszę śmiało, może pani oglądać do woli. Mamy jeszcze całe pół godziny, zanim przyjdzie moja asystentka.

Anika wyjęła z torebki czarny futerał, dokładnie taki sam, w jakim nosi się okulary. Otworzyła go, włożyła palce do środka i zdjęła z igły założonej na strzykawkę plastikowe zabezpieczenie.

– Już do pana idę... Pięknie pan o tej szafie opowiedział

– podeszła do mężczyzny, który stał teraz wyprostowany i jedną ręką przytrzymał ciężkie drzwi szafy. Stała nieco za nim, delikatnie złapała strzykawkę z trucizną i powoli zaczęła ją wysuwać z etui.

Notariusz odwrócił się niespodziewanie. – Pani się rozbierze, pani Aniko... Ja rozumiem pośpiech, ale nie będziemy tego robić w płaszczu. Tam jest wieszak.

– Ty kurwiarzu! Ty! Ty... Łachudro jebany! – oboje aż podskoczyli na dźwięk niezbyt miłego dla ucha wrzasku kobiety. W drzwiach do gabinetu stała blondynka słusznych rozmiarów lat około 55 z ogromnymi ustami i nadmiernie wystającymi kośćmi policzkowymi. Typowa ofiara nastrzykiwania botoksem i kwasem hialuronowym, jakich dziś pełno na ulicach wielkich miast. Ubrana była bardzo niechlujnie, można było się domyślić, że ubierała się wyraźnie w pośpiechu lub w ciemnościach. Na jej garderobę składało się między innymi rozpięte sztuczne futro z soboli, biała bluzka z żabotem, spodnie w panterkę i buty z futra foki, mniej więcej takie, jakie noszą Eskimosi. Przepasana była dużą niebieską torbą z sieci sklepów Ikea.

– Ależ Huldo! – odezwał się do kobiety rejent.

– Cały weekend chlałeś wódę i waliłeś konia przy porntubie... Ty... Ty chuju tyyy! – Zrobiła krok naprzód i od razu dało się zauważyć, że kobieta jest pijana albo zażyła jakieś silne środki farmakologiczne. – A teraz wychodzisz z domu godzinę wcześniej, żeby ruchać to pudło! – Kobieta wyciągnęła rękę, pokazując na Anikę. – Tę oto raszplę!

– Pani się uspokoi, jestem tu służbowo! – Anika lekko podniesionym głosem starała się zachować maksimum profesjonalizmu i zastopować rozdrażnioną kobietę.

– Oczywiście, że jesteś tu służbowo! A co niby miałaś powiedzieć, że co? Że po co przyszłaś?! Robić lachę?!

– Właśnie. Pozwól, że ci przedstawię, droga Huldo, to jest pani Anika!

– Anika? To prawdziwe imię czy masz przybrane jak wszystkie prostytutki?!

– Bardzo panią przepraszam, pani pozwoli, że przedstawię, oto

moja żona Hulda! – co najmniej zmieszany rejent wreszcie otrząsnął się z szoku i starał odzyskać inicjatywę. Wzruszył ramionami w przeproszającym geście, smutno uśmiechnął się do Aniki. Przeszedł pięć kroków dzielących go od żony, złapał ją delikatnie za ramiona i już chciał coś powiedzieć, kiedy żona włożyła rękę do torby, po czym błyskawicznie ją wyjęła. W zaciśniętej dłoni błysnął srebrny onanizator dla mężczyzn, który sekundę później został użyty jako tłuczek i wylądował na głowie rejenta. Srebrne, metalowe kulki znajdujące się w urządzeniu rozsypały się po podłodze.

– Nie podobam ci się już, że sobie robota do walenia konia kupiłeś?! No nie podobam ci się?! – Tu nastąpił moment, kiedy Hulda cisnęła z całej siły onanizatorem w wycofującego się na bezpieczną odległość rejenta. Następnie wydała z siebie ryk przypominający ostatnie tchnienie bawoła, złapała się za koszulę z żabotem i rozdarła ją, rycząc po raz drugi. Dwie sztuczne piersi wyskoczyły na zewnątrz. Jednak nie były to implanty, jakie Anika widziała wcześniej, te wyglądały, jakby chirurg zamiast implantów użył piłki, którą przeciął na pół i wsunął jej dwie części pod skórę Huldy. Do tego piersi były zbyt szeroko rozsunięte, sutki sprawiały wrażenie zeza rozbieżnego. Ten z lewej piersi patrzył na sufit, a drugi zdawał zaglądać kobiecie pod pachę. Anika parsknęła śmiechem, ale natychmiast starając się naprawić swój błąd, zakryła usta dłonią. Nie uszło to jednak uwagi kobiety. W stronę kapitan Mosadu poleciał ciężki, zabytkowy dziurkacz. Świsnął kilka centymetrów od głowy chowającego się za Aniką niczym tarczą notariusza, po czym zdemolował wiszący na ścianie obraz Andersa Zorna. Kiedy pani kapitan odwróciła głowę, zobaczyła, że kobieta wkłada rękę do torby i wyjmuje z niej pistolet marki Beretta. Od razu spostrzegła, że małe tłuste dłonie ledwo mogły objąć rączkę wojskowego pistoletu, a palec z trudem dosięgał spustu. Hulda przyłożyła sobie broń prostopadle do skroni, jednak zbyt krótki palec nie mógł już w tej pozycji dosięgnąć spustu. W lot zrozumiała, że kobieta jest zdesperowana, ale z przyczyn technicznych w tej pozycji samobójstwo jest mało

prawdopodobne. Ostatnia rzecz, jaka była jej teraz potrzebna, to huk niekontrolowanego wystrzału i histeria notariusza nad zabita żoną.

– Nigdy mnie nie kochałeś! Gunnarze Gustavson, ożeniłeś się ze mną tylko dla pieniędzy – strumień łez popłynął z oczu kobiety.
– Tatuś mnie przed tobą ostrzegął...

– Pani to odłóż, ja przyszedłam tylko po dokumenty... Porozmawiajmy. Zrobię pani kawę i drinka, gniew nie ma sensu.
– Anika dała krok do przodu i wyciągnęła rękę do kobiety.

Hulda zrezygnowana opuściła broń. Spazmy okraszone strumieniem łez, które teraz zmieszane z makijażem spływały po policzkach, szyi oraz zezowatych implantach, kończyły swój bieg pomiędzy fałdami wiszącego brzucha. Pani kapitan spojrzała na zegarek, czas było wychodzić, za 20 minut przyjdzie sekretarka, a sytuacja w biurze nie była taka, jaką wyobrażała sobie przed wejściem do budynku.

Po omacku manipulując dłonią w kieszeni płaszcza, zabezpieczyła strzykawkę z trucizną, następnie z ledwie skrywaną odrazą przytuliła zasmarkaną i mało urodziwą Szwedkę. Gładząc ją po włosach, delikatnie złapała za dłoń, która cały czas ścisnęła rękajeść beretty.

– Odłóżmy broń na biurko, pewnie jest naładowana i gotowa do strzału... Niebezpieczna...

Kobieta pokiwała głową, a jej ręka zwiotczała i poddała się delikatnemu naporowi dłoni Aniki, która tylko na to czekała. Gwałtownym ruchem uniosła pistolet, przystawiła go pod odpowiednim kątem do skroni Huldy, odchyliła własną głowę, żeby uniknąć ochlapania mózgiem i nacisnęła spust. Charakterystyczne kliknięcie piezoelementu w pistolecie – zapalnicze wywołało iskrę, co spowodowało zapalenie się dość dużego płomienia, który wesoło wyskoczył z lufy. Włosy Huldy zajęły się w ułamku sekundy, a jej głowa teraz przypominała małe ognisko. Nikt ze znajdujących się w pokoju nie zdawał sobie w pierwszych sekundach sprawy z tego, co zaszło. Jako że Anika zasłaniała nieco postać grubaski, rejent nie wiedział, że jego żona płonie żywym ogniem. Niedopalone resztki płonących włosów

spadły na sztuczne futro z soboli. Reakcja futra na ogień była tak gwałtowna, że Anika uciekając przed eksplodującym płomieniem, odskoczyła do tyłu, a pod jej podszewkami znalazły się metalowe kulki wysypane z pękniętego onanizatora. W niekontrolowanym pędzie przejechała do tyłu jakieś dwa metry, kiedy uderzyła biodrami o biurko, nakryła się nogami, przeleciała przez blat i spadła na podłogę pomiędzy krzesłem a niszczarką do dokumentów. W tym czasie Hulda rzucała się we wszystkie strony, próbując pozbyć się płonącego balastu, który stopiony przywarł do jej ciała, w końcu nie mogąc zrobić nic innego, zaczęła biec przed siebie w kierunku męża. Po drodze kolanem uderzyła w drzwi sejfów, które natychmiast się zatrzęsły. Z wykonanego z tworzywa sztucznego futra kapąły na wykładzinę jego fragmenty, znacząc drogę płonącymi punktami. Po następnych trzech krokach złapała męża za ramiona i popchnęła go w kierunku otwartego okna. Anika zobaczyła tylko, jak oboje wrzeszcząc, spleceni w morderczym uścisku, razem z żaluzjami polecili w dół z czwartego piętra. Kiedy zszokowana wstała zza biurka, prawie cała wykładzina płonęła. Ratując się przed poparzeniami, a w zasadzie ratując życie, rzuciła się „na szczupaka” w kierunku wyjścia do sekretariatu, przerzuciła ciało przez próg, wykonując fikołka, i natychmiast wstała. W drodze do wyjścia naciągnęła na głowę kaptur, następnie pochylona dość zdecydowanym krokiem zbiegła po schodach. Kiedy wyszła z klatki schodowej, spojrzała w lewo. Na chodniku tuż przed głównym wejściem do banku leżały splecione w ostatnim uścisku kopcące się zwłoki, nad którymi pochylało się kilkanaście osób. Odwróciła głowę i poszła w kierunku czekającego na nią przy parkingu samochodu.

– Śmierdzisz spalenizną. Coś poszło nie tak? – zapytał zaniepokojony jej zapachem i wyglądem Gösta.

– Żadne szkolenie Mossadu nie jest w stanie nauczyć zachowania w takiej sytuacji, kiedy robisz coś, co dokładnie zaplanowałeś, a zamiast tego dzieją się tak naprawdę czary.

- Masz ten testament i pieniądze?
- Jest zatrzaśnięty w sejfie, pieniądze prawdopodobnie też tam są, a biuro płonie. Na szczęście wiem, że sejf jest ogniotrwały.
- W tej chwili zadzwonił telefon Gösta. Mężczyzna odebrał połączenie, jednocześnie wciskając przycisk głośnomówiący w iPhone.
- W szpitalu Stigsona nie ma. Pielęgniarka powiedziała mi, że wczoraj został przetransportowany karetką do domu – informował Sven.
- Na Jahwe... Do którego domu? Przecież ten człowiek ma ich w Szwecji z piętnaście.
- Pytałem, ale pielęgniarka nie wie. Dwie pielęgniarki i lekarz dziś nie przyszli do pracy na oddział, mówiła, że nawet nie ma się kogo zapytać. Obfotografowałem wszystkie szczegóły pomieszczenia, w którym leżał Stigson. Może coś zauważymy, jakiś istotny szczegół...
- Poczekaj, nie rozłączaj się, dzwoni Britta na drugiej linii
- powiedziała Anika i odebrała połączenie. – Halo! Mów Britta...
- Cześć! Wiem, gdzie jest Stigson, musimy się natychmiast spotkać.

Rozdział 21

Kupczyk leżał rozciągnięty w przepastnym łóżku i promieniał. Sufitował, uśmiechając się do swoich myśli, a w zasadzie do gonitwy myśli, jaka przebiegała teraz przez jego głowę. „Nigdy nie myślałem, że Sztokholm położony jest na wyspach. Tam wyspach... Na 14 wyspach! Ludzie podniecają się Amsterdamem, a tu jest znacznie fajniej, na pewno dla mnie. Jakie życie potrafi być piękne. Koszmar bycia nikim, zwykłym nieużytecznym biedakiem zamieniony w jednej chwili w piękno życia, częściowo pozorne, ale jednak piękno” – uśmiechnął się teraz tak szeroko, że odsłonił pełen garnitur białych zębów, przewrócił na lewy bok i zapalił światło. Po tej części pokoju stało bowiem kilkanaście papierowych toreb z zakupami, które wczoraj po południu zrobił na koszt swojego nowego pradziadka w najlepszych sklepach galerii handlowej Mall of Scandinavia. Papierowe torby od Clas Ohlson, Hugo Bossa, Lycka Juveler, Oakley, Aple, Aero Postale, Abercrombie oraz kilku innych światowych i skandynawskich marek cieszyły jego oczy. Czuł się jak nigdy przedtem, czuł się szczęśliwy. Nadchodził czas na rewanż na Pytlu, dyrektorze Marczuku i wszystkich innych znienawidzonych przez te lata pracy w Veltronexie. „Przecież nic tak nie boli Polaka, gdy drugiemu zaczyna się powodzić. Nie słyszałem, aby w Polsce ktoś komuś dobrze życzył. Polak nawet jak mówi na głos, że dobrze komuś życzy, to w duchu mówi wszystko na wspak” – znowu się uśmiechnął. I zaczął mówić na głos: – Nic tak nie cieszy bliźniego jak nieszczęście drugiego... Nic tak nie martwi bliźniego jak finansowe szczęście drugiego – wypowiedział jedno stare przysłowie, przy okazji wymyślając drugie, na własne potrzeby. Wstał z łóżka i wszystkie torby z zakupami ułożył na płasko na szerokim na dwa metry łóżku. Na rękę założył zakupiony w Lycka Juveler zegarek Omega Seamaster 300 z niebieską tarczą. Teraz delikatnie wsunął się pod kołdrę, lewą rękę z zegarkiem położył na kołdrze i na wysuniętym statywie zrobił

sobie selfie nowiutkim modelem iPhone'a, który ledwie dwa miesiące wcześniej miał światową premierę. Z zadowoleniem oglądał zdjęcie swojej uśmiechniętej twarzy otoczonej pięknymi butikowymi torbami, z zegarkiem marzeń zapiętym na przegubie. Włączył Facebooka, aby sprawdzić, co nowego u jego wrogów. Zdjęcie z jego ostatniej katastrofy pod biurem zamieszczone przez Pytla polajkowały 93 osoby. Czyli więcej, niż pracuje w budynku biurowym. To była zła wiadomość. Dobra natomiast była taka, że pod jego bezczelnym wpisie pod tym zdjęciem: „Pytel, jak tam twoja nowa skodzina, biedaku?” nie było kontrkomentarzy. „Jednak cię trafiłem Pytel! Musiało boleć, bo pewnie w takim volvo, które ja dostałem jako auto zastępcze, ty nawet nie siedziałeś biedaku... A o tym, co rozbiłem, to nawet nie wspomnę”. Zachęcony do natychmiastowego działania na swojej „ścianie” zamieścił selfie, które wykonał dwie minuty wcześniej w łóżku. Tym razem długo myślał nad treścią, jaką zamieścić pod zdjęciem, w końcu zdecydował się na wpis: „Wreszcie mam mój wymarzony zegarek Omega Seamaster z tarczą pod kolor moich oczu. Wrażenia z ciężaru na nadgarstku – bezcenne. Kto wie ,o czym mówię?”. Kliknięcie na przycisk „udostępnij” sprawiło mu przyjemność niemal erotyczną. Jeszcze raz popatrzył na swoje dzieło widniejące na ścianie Facebooka. Z premedytacją nie napisał o pozostałych widocznych na zdjęciu torbach wypchanych ciuchami i gadżetami. Miało to oznaczać, że nie jest to dla niego na tyle istotne, żeby o tym wspominać. Niech ich męczy, co jest w środku, niech ich skręca, niech im żal dupę ściska. Wyłączył Facebooka i rozciągnął się w łóżku wśród toreb. Ocierał się o nie, przytulał do opakowania od macbooka, wachał kurtkę od Calvina Claina czy bluzę z kapturem Hilfigera. Po chwili położył się na plecach. Wyciągnął przed siebie rękę z telefonem, aby sprawdzić, czy już ktoś skomentował jego post. W tym momencie telefon zadzwonił, zawibrował, wysmyknął mu się z rąk i uderzył o kant metalowego łóżka. Szybka trzasnęła tak głośno, że huk mógł przypominać strzał z wiatrówki. Maciej szybko usiadł na łóżku i zdenerwowany wziął telefon do ręki. Przez pajęczynę pęknięć na wyświetlaczu widział, że dzwonił do

niego jakiś szwedzki numer. Westchnął głęboko z żalu nad szybkością. Jeszcze raz spojrzął na dzwoniący numer, zanim odebrał połączenie, jak się domyślał, dzwonił ktoś z kancelarii prawniczej.

– Halo! Słucham, Maciej mówi.

– Cześć Maciej. Wujek Rajmund przy telefonie. Czemu nie mogę się do ciebie dodzwonić z mojego numeru?

Maciej jeszcze raz spojrzął na wyświetlacz, pęknięta szybkość najwyraźniej zniekształciła numer kierunkowy kraju i zamiast +48 zobaczył numer +46 i niepotrzebnie odebrał telefon z Polski, tym bardziej od wujka, od którego połączenia zablokował jeszcze przed wjechaniem na prom.

– Odbieram. Przecież wujek dzwoni i odebrałem, wszystkie połączenia odbieram wujku. Co to za pomysł, żebym od mojego ukochanego wujka nie odbierał telefonów? – Maciej nieco zdenerwowany wizją rozmowy z Miedzianowskim ponownie położył się na plecach i wyciągnął ręce z telefonem przed siebie.

– No dobrze, dobrze, już nieważne. Kiedy ty wracasz z tej Szwecji, powiedz?

– Jutro wieczorem wsiadam na prom w Nynäshamn i dzień później będę na Westerplatte. Tak przynajmniej zaplanowałem.

– To się świetnie składa, że wracasz jutro, bo ja jestem przypadkiem w Szwecji...

W tym momencie telefon po raz drugi wypadł Kupczykowi z dłoni, z tym że tym razem uderzył go w nos. Nie dość, że boleśnie, to jeszcze łzy popłynęły jak na komendę z obu oczu naraz. Z zamkniętymi oczami ręką szukał telefonu, z którego cały czas dochodził głos wujka:

– ... w Sztokholmie dokładnie i też wracam jutro. Co za zbieg okoliczności. Halo? Jesteś tam?

– Jestem wujku! – przyłożył telefon do ucha. – Faktycznie zbieg okoliczności.

– Może byśmy się spotkali na obiad albo kolację? A gdzie ty jesteś właściwie?

– Jestem w Kirunie.

– Gdzie?!

– To jest na północy Szwecji.

– A co ty tam robisz?

– Ja? Poluję na renifery... – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Przez moment było słyhać, że wujek kaszle. Prawdopodobnie zakrztusił się czymś.

– Przepraszam, zakrztusiłem się orzeszkiem. – Odkasznęłam jeszcze kilka razy. – Możesz mi jeszcze raz powtórzyć, co robisz?

– Poluję na renifery. Tak... Wykupiłem sobie przez Internet odstrzelenie jednego renifera. Mówiłem ci, że lecę na wczasy, ale nie mówiłem, jakiego typu są to wakacje.

– Przecież ty nie miałaś w życiu karabinu w rękach?!

– Bo to nie z karabinu...

– A z czego, kurwa, jak nie z karabinu? Dobrym słowem, nadzieją, szczerą intencją będziesz strzelał?!

– Z kuszy... strzałą.

– Przecież to, kurwa mać, jeszcze trudniejsze! I nie strzałą, tylko bełtem, bełtem się z kuszy strzela. Ty coś kręcisz. – Wujek wyraźnie wyczuł nieszczerą intencję siostrzeńca. – Przecież jakby nieroztropni Szwedzi dali ci kuszę do ręki, to z pewnością ktoś by zginął, mówię ktoś, bo na pewno nie renifer! Jak to możliwe, że chciałeś akurat zająb... zabić renifera w Szwecji?!

– Ot tak, po prostu.

– Ot tak, po prostu?! I żebyś pod żadnym pozorem nie brał mi kuszy do ręki, bo jutro na żywo będzie relacja w BBC News i TVM24! Słyszysz mnie?!

– Idą! Już idą po mnie! Muszę iść, bo quady już podjechały.

– Kiedy wciskał czerwony przycisk, zdążył jeszcze usłyszeć: „Quady, o tej porze roku?! Chyba skutery śnieżne! Poczekaj, potrzebuję cię, każdy bratianin...”.

Kiedy wyłączył telefon, poglądził go po rozbitej szybie i zamyślił się: „W dupie mam bratiańską solidarność. Wujek może i będzie zły, ale się nie obrazi. Przecież mam chyba prawo do odrobiny prywatności. Zresztą do czego on teraz jest mi potrzebny. Byle trzymał język za zębami i mnie nie wydał. Pieniądzy dostanę aż nadto, jako pseudodziedzic i tak będę musiał zwolnić się z pracy. Przecież nie będę mógł pracować, to

po prostu nie będzie wypadało. Wujek może poczekać”. Poranny wzwód przyspieszył jego decyzję o tym, żeby wziąć natychmiast kąpiel, zresztą i tak zostało mu niewiele czasu, gdyż o godzinie 9.30 miał pojawić się w jadalni na śniadaniu. Zadowolony z siebie wstał z łóżka, zdjął koszulkę, bokserki i podszedł do okna. Przez szparę w zasłonach prześwitywało słońce. „O tej porze roku w Szwecji słońce to musi być dobry znak na cały dzień” – złapał oburącz zasłony i rozsunął je na tyle, na ile pozwolił mu na to zasięg ramion. Kilkadziesiąt fleszy rozświetliło jego pokój. Odruchowo zasłonił jedną ręką oczy, a ułamek sekundy później sterczącego niczym lufa małej armatki penisa. Zanim rzucił się przerażony na podłogę, zobaczył przez palce lewej ręki, że ogrodzenia pilnuje kilkunastu ochroniarzy ubranych w czarne uniformy. Natomiast przed płotem, na chodniku stoi kilkadziesiąt osób i stara się zrobić mu, z niewiadomych powodów, zdjęcie lub nakręcić film. Leżał tak na brzuchu pod parapetem i starał się zrozumieć, co takiego się stało, że ludzie przyszli zrobić mu zdjęcia!

W dosyć obszernej jak na standardy domku wędkarskiego jadalni na szczycie ośmioosobowego dębowego stołu siedział w wózku inwalidzkim Lars Stigson. Po jego prawicy siedzieli Janina oraz adwokat Fersen. Po jego lewicy siedział szef największej w Szwecji agencji ochrony Securitas AB Alf Granath. Gdzieś w tle ubrana w tradycyjny ludowy strój szwedzki i żółty fartuszek krzątała się po kuchni kucharka z Nigerii, przygotowując dla wszystkich śniadanie.

– Jaką mamy, pani Janino, sumę wydatków z wczorajszych zakupów?

– Wszystko kosztowało łącznie 14 259 euro.

– Czy będzie można się z nim teraz pokazać? Czy to na elegancko, czy to na sportowo?

– Tak, panie Stigson, garnitur firmy Boss, płaszcz oraz lakierki zostały zakupione. Na sportowo ma przynajmniej pięć kompletów, do tego dwie kurtki i trzy pary butów. Musiałam mu

trochę doradzić, bo gust ma, delikatnie mówiąc, zdziaczały.

– Świetnie. Czy przewiduje pani jeszcze jakieś wydatki na tego młodzieńca w najbliższym czasie?

– Chyba nie. Dopiero na lato trzeba go będzie ubrać na nowo. Teraz ma wszystko, co jest mu potrzebne do życia.

– Świetnie. To mój fałszywy spadkobierca, który ma wyglądać na prawdziwego. Czy on do Szwecji przyjechał?

– Volvo V40, panie Stigson. Nowym modelem, ale niestety czerwonym! – odparł nieco zdegustowany adwokat. – Auto stoi u nas pod kancelarią.

– To też trzeba będzie zmienić, muszę się zastanowić, czy idziemy w szwedzki ascetyzm czy w gustowną rozrzutność.

Gospościa postawiła przed każdym kubek kawy oraz talerz śniadaniowy i uprzejmie zakomunikowała z wyraźnym akcentem języka joruba, że śniadanie będzie gotowe za pięć minut.

– Długo myślałem wczoraj wieczorem o tym wszystkim, co się wydarzyło, i postanowiłem moją krótką refleksję przelać na papier. W piśmie tym zawarłem pewne zmiany w ostatnio podjętych przeze mnie decyzjach finansowych. Oto zamknięty moją pieczęcią rodową list – Stigson wyjął go z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Oddaję go przy świadkach, bardzo proszę o odczytanie i przekazanie tego listu mojemu przybranemu spadkobiercy, kiedy umrę. Teraz będziemy się przez moment dobrze bawić, ale mówiąc szczerze, nie czuję się na siłach doczekać moich setnych urodzin. W ogóle jakoś tak dziwnie się czuję... Gardło mnie boli.

– Ja też dzisiaj nie najlepiej się czuję, grypa chyba mnie rozbiera – odparł adwokat. – Odnośnie do listu, oczywiście go odczytam, a następnie przekażę do rąk własnych w obecności pani Janki.

– Marne to dla wszystkich będzie pocieszenie, ale i mnie coś łupie w kościach, wyraźnie czuję osłabienie. W gardle też mnie drapie – odparła Janina.

Dyskusję przerwało pojawienie się w szerokim wejściu do jadalni Macieja, który zatrzymał się zaraz po wejściu i zdawało się, że nie może zdecydować się, na którym krześle usiąść.

– Co masz taką niepewną minę, chłopcze? – odezwał się pan

Stigson. – Miałeś już okazję zostać sfotografowany? Mam nadzieję, że byłeś ostrożny.

– Zostałem... Proszę pana zaskoczony! Kim są ci ludzie? – gestem ręki wskazał za okno, po czym zdecydował się zająć miejsce naprzeciw Janki.

– To reporterzy, dziennikarze, hieny i osoby prywatne. Telewizja, portale internetowe, gazety, magazyny i tak dalej – teraz głos zabrał nieznajomy jeszcze Maciejowi właściciel agencji ochrony. – Nie martw się, moi ludzie gwarantują bezpieczeństwo. Mysz tu się nie prześlizgnie.

Gospośnia postawiła miskę z jajecznicą na boczku, deskę z serami oraz dwa talerze posiekanych drobno pomidorów z cebulką, margarynę oraz szwedzki, słodki chleb. Wszyscy obecni z apetytem zaczęli konsumować śniadanie.

– Ale czemu ci ludzie tu przyjechali i po co im moje zdjęcia? Może ktoś ich tu przysłał? – powiedział zmartwiony Maciej.

– Ja ich kazałem tu ściągnąć – odezwał się pan Stigson. – Obiecałem ci zapłatę, ale za konkretną usługę. Teraz musisz wczuć się w rolę. Na razie masz udzielić dwóch krótkich wywiadów, dać się kilka razy sfotografować i zniknąć na dwa-trzy tygodnie dziennikarzom z oczu.

– Sfotografować to już się dałem, kiedy odsłaniałem zasłony, niestety zrobiono mi zdjęcie... W sumie to kilkadziesiąt zdjęć, bo fotografowali mnie chyba wszyscy stojący przed domem.

– Świetnie! I na dzisiaj wystarczy tego fotografowania. Mam nadzieję, że było to korzystne ujęcie?

– Nie jestem przekonany.

– Zasłoniliśmy wszystkie okna w całym domu, proszę się do nich nie zbliżać i tym bardziej ich nie odsłaniać – powiedział Alf, podnosząc do ust widelec z jajecznicą. – Przepraszam, panie Stigson, proszę kontynuować.

– Dzisiaj mamy zaproszenie do SMT Radio i wolałbym, abyś więcej nie pokazywał twarzy, niech do jutra napięcie osiągnie punkt wrzenia. Zgodziłem się na twój wywiad dla „Dagens Nyheter”. Przyjadą jutro i zrobią nam „rodzinne” zdjęcie.

– Dobrze, panie Stigson.

– Oczywiście, że dobrze. Gazeta ukaże się pojutrze, mamy za pasem święta i cały okres przedświąteczny, wszyscy będą się na ciebie w tej gazecie gapić. Tego samego dnia spodziewam się pierwszych reakcji moich lizusów, prezesów stowarzyszeń, muzeów, fałszywych przyjaciół i innego obślizgłego gówna, które całe życie lepiło mi się do podeszew. Jestem naprawdę bardzo ciekawy, czy grozi ci niebezpieczeństwo? Czy będą chcieli cię zabić?

Maciejowi kawałek boczku stanął w poprzek gardła i nie chciał przejść w dół. Próbował go odkaszlnąć lub połknąć, jednak zaklinował się na dobre. Dopiero pan Alf klepnął chłopaka w plecy na tyle mocno, że kawałek boczku wrócił do ust.

– Jak to zabić? Żartuje pan... Chyba...

– Nigdy w życiu. Stałaś na drodze do fortuny kilkadziesiątu organizacjom i osobom prywatnym, które wiedziały, mało tego, były pewne, że po mojej śmierci dostaną jakieś konkretne korzyści materialne. Mam na myśli nie tylko pieniądze, lecz także akcje firm, nieruchomości, dzieła sztuki czy choćby kolekcje. Sam jestem ciekawy, jak się zachowają ci wszyscy mili i uroczy ludzie. Przecież mówiłem ci, do czego jesteś mi potrzebny i za co ci zapłacę. Nie wracajmy do tego więcej, umowa między nami została zawarta.

Kiedy w milczeniu kończyli jeść śniadanie, na teren posesji wjechał żółty bus z naklejonymi na boku logotypami spółki ochroniarskiej pana Granatha. Wszystkie szyby w pojeździe były oklejone lustrzaną folią, a za sprawą licznych anten przykręconych do dachu samochód sprawiał wrażenie pojazdu do zadań specjalnych. Tylne drzwi otworzyły się i ochroniarze wyjęli z pojazdu pięć wózków inwalidzkich, na siedzisku każdego wózka leżała wypchana duża, czarna torba. Chwilę później cały ten sprzęt został wniesiony do wnętrza domu.

– Dobrze, że już jesteście. Będziemy gotowi za pół godziny do wyjazdu. Proszę przygotować ewakuację wozu uprzywilejowanego wraz z dwoma wozami zabezpieczenia – zakomenderował Alf.

– Tak jest, szefie – Najstarszy rangą ochroniarz wyprężył pierś.

Rozdział 22

W apartamencie hotelu Diplomat w dwóch fotelach oraz na sofie siedział cały zespół odpowiedzialny za realizację operacji „Chajat”. Ich wzrok skierowany był na telewizor, gdzie na kanale SVT1 pokazywano poranne wiadomości. Jako jedno z głównych wydarzeń pokazano pożar w biurze notarialnym, gdzie ratując się przed płomieniami, notariusz Gunnar G. i jego żona Hulda G. wyskoczyli przez okno. Następnie wydarzeniem, do którego powracano kilkakrotnie, było oblężenie przez dziennikarzy z całej Skandynawii domu wędkarskiego pana Stigsona. Kamera telewizyjna uchwyciła moment, kiedy nagi mężczyzna odsłaniał zasłony, jednak odbicie fleszy od szyby zniekształciło obraz na tyle, że wyraźny pozostawał tylko sterczący penis, którego z racji godziny emisji wiadomości zamazano. Do studia zaproszono nawet specjalistę od prawa spadkowego i prowadzono debatę, czy spadkobierca jest prawdziwy, czy to tylko prowokacja znanego ze swej ekscentryczności multimilionera. Obraz z kamery telewizyjnej umieszczonej na śmigłowcu pokazywał dom wędkarski oraz jego przyległości z góry. Całą posesję otaczali ochroniarze rozstawieni mniej więcej co trzy metry. Na zbliżeniu można było zobaczyć, że każdy ochroniarz wyposażony jest w pistolet, paralizator, a za pasek ma wetkniętą pałkę typu tonfa. Dom przypominał bardziej miejsce spotkania grupy G7 niż dom, gdzie przebywa dziadek z prawnukiem.

– Dzwon jeszcze raz. – Anika podsunęła Britcie telefon. – Może teraz odbierze.

Britta bez słowa wybrała numer do osobistego sekretarza Stigsona, pana Erika Svenssona, i tak jak poprzednim razem połączenie zostało odrzucone. Kiedy odkładała telefon na szklaną ławę, przyszedł do niej SMS o treści: „Jestem zajęty. Proszę czekać na pana Stigsona w domu. Jak będę czegoś potrzebował, dam znać”. Britta przekazała Anice telefon.

– Stigson izoluje wszystkich. Miałam rację, że został porwany.

Zawiedliśmy na całej linii, nasze służby informacyjno-wywiadowcze zwłaszcza. Muszę zameldować o wszystkim pułkownikowi. Britta i Sven, pojedziecie na wyspę Tranholmen. Może jakimś cudem jak Britta tkliwie opowie, że stoi pod płotem, uda się jej wejść do środka. Zarządzam 24-godzinną obserwację obiektu!

– Tak jest, pani kapitan – powiedział Sven.

– Jest jednak coś, o czym nasi oponenci nie wiedzą – odezwał się Gösta. – Bakteria z lemoniady powinna już dziś dać pierwsze symptomy rozwijającej się choroby.

– Ta niemoc mnie zabija! Potrzebuję, kurwa mać, informacji! – Anika rzuciła cukierniczką w ścianę. – Jak on zachoruje po tej lemoniadzie, a zdążył napisać nowy testament, to po nas! Jeżeli nie napisał, to musimy go natychmiast zgładzić! Sven zabierz ze sobą wszystko, co może być niezbędne na miejscu. Jeżeli uda nam się potwierdzić, że nowego testamentu nie ma, to masz podjąć próbę likwidacji przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Tak jest, pani kapitan.

– Gösta, jedziesz ze mną. Wszyscy do roboty, nie mamy chwili czasu do stracenia.

Kiedy Sven zjechał z promu łączącego Sztokholm z małą wyspą Tranholmen, słońce kolejny raz tego dnia pokazało się w całkiem sporej dziurze w chmurach. Przysunął twarz do szyby i chciwie łapał docierający do niego każdy promień. Pięć minut później taksówka dojechała na północ wyspy i Sven skręcił w ulicę Svanstigen. Natychmiast kiedy auto wyjechało zza zakrętu, zobaczyli z Brittą, że droga po lewej stronie jest cała zastawiona samochodami przeróżnej maści. Samochody zarówno stacji telewizyjnych, jak i prywatne wozy redaktorów gazet i magazynów stały nawet po prawej stronie ulicy, tuż przy wodzie, a jedno z aut jakiś pomysłowy gość, z braku wolnego miejsca, zostawił nawet na pomoście. Jakiś desperat stał na dachu starego citroëna i ze statywu robił zdjęcia aparatem z ogromnym teleobiektywem. Taksówka jechała bardzo wolno,

a Britta z przerażeniem patrzyła na kłębiący się pod bramą domu wędkarskiego Stigsona tłumek gapiów, fotoreporterów oraz dziennikarzy radiowych i telewizyjnych. Tuż przed bramą stały trzy samochody transmisyjne z głównych szwedzkich stacji telewizyjnych.

– Zatrzymaj się, Sven, przed bramą i poszukaj gdzieś miejsca do zaparkowania. Przecież muszą mnie wpuścić do środka. W końcu jestem jego jedyną opiekunką.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Od tej pory każdy ma swoje obowiązki, jak uda ci się wejść do środka, wiesz, co masz robić. Czekam na informację i przystępuję do akcji.

– Dobrze Sven.

– Od tego zależy dalszy przebieg naszej akcji.

– Tak. – Dziewczyna złapała za klamkę i spojrzała na posesję przez szparę powstałą pomiędzy stojącymi pod płotem dziennikarzami. W tej chwili brama garażowa w domu wędkarskim zaczęła podnosić się do góry. – Coś się dzieje, nie odjeżdżaj! – Britta wyszła z auta i zaczęła przeciskać się pod płot. Ludzie z aparatami na szyjach, komórkami w rękach zaczęli zbiegać się ze wszystkich stron. Każdy w tym momencie chciał zająć jak najlepszą pozycję do wykonania zdjęcia. Britta wcisnęła głowę pomiędzy dwa kute pręty ogrodzenia. Brama podniosła się całkiem do góry, odsłaniając wnętrze garażu. Szmer jęków i westchnień zaskoczonych gawiedzi przetoczył się po ulicy, równocześnie rozbłysnęło kilkadziesiąt fleszy, zapaliły się wyciągnięte do góry reflektory wozów transmisyjnych. Z garażu pchany przez ochroniarza na wózku inwalidzkim wyjechał ogromny pluszak pod postacią psa Pluto, dwa metry za nim ochroniarz pchał kolejny wózek, na którym siedział taki sam pies Pluto, następnie kolejny, kolejny, aż w końcu ukazał się piąty taki sam niby-pluszak na wózku. Jak na komendę wszystkie wózki stanęły frontem do fotoreporterów, psy, a konkretnie osoby przebrane za psa Pluto, pokiwały fotoreporterom. W tym czasie z tyłu żółtego busa z lustrzanymi szybami na ziemię zjechała winda do wózków i pierwszy pluszak Pluto, który cały czas machał do gawiedzi, został na nią wepchnięty. Kiedy winda

oderwała się od ziemi za ukrytych za świerkami, jodłami oraz innymi krzewami iglastymi wystrzeliły w niebo sztuczne ognie, rakiety i fajerwerki.

Reportерom opadły szczęki, jeden mniej roztropny operator kamery odchylił się do tyłu, śledząc wzlatującą w niebo raketę, i upadł na plecy razem ze sprzętem. Kiedy windą do busa wjeżdżał kolejny pluszak, a do góry wzlatywały kolejne fajerwerki, salwa zimnych ogni z kilku miejsc ogrodu sprawiła, że fotoreporterzy próbujący robić zdjęcia z uwagi na intensywny rozbłysk światła musieli zasłonić lub zamknąć oczy. Pismacy byli tak zaaferowani tym, co się dzieje przed nimi, że nie spostrzegli, kiedy za ich plecami na ulicy pojawiły się dwie półciężarówki, będące w istocie platformami z nagłośnieniem. Dokładnie takimi, jakich używa się w czasie parad miłości i innych imprez masowych.

Kiedy z ogromnych głośników ryknęły pierwsze takty kultowego utworu techno „10 in 1”, podmuch uderzenia basów sprawił, że część z reporterów padła ze strachu na ziemię, tłukąc aparatami, kamerami, mikrofonami czy smartfonami o chodnik. Ci, którym udało się utrzymać na nogach, zobaczyli jeszcze kilka salw zimnych ogni, po czym ogród zaczął spowijać dym wydmuchiwany z kilku przemysłowych wytwornic dymu. Jakby tego było mało, każdy ze stojących na terenie posesji ochroniarzy włączył trzymany w ręku wskaźnik laserowy. Wiązki zielonych i czerwonych smug zaczęły przecinać dym, co w połączeniu z hałasem z głośników tworzyło wrażenie jak z imprezy muzycznej Mayday. Efekty specjalne uzyskiwane za pomocą superkomputerów w hollywoodzkich produkcjach wydawały się zwykłym żartem w porównaniu z tym, co się działo tu, na maleńkiej wyspie Tranholmen w Sztokholmie. Setki ptaków, których nie wystraszyła kanonada fajerwerków, teraz poderwały się do lotu. Wytwornice pracowały pełną mocą, po minucie dymu było tyle, że Britta przestała widzieć czubek własnego nosa. Wystraszona uczepliła się szczebelków w płocie, zaciskając dłonie tak mocno, że przestała do nich dochodzić krew. Z uwagi na zaburzenia błędnika większość zgromadzonych przed domem

ludzi nie była w stanie przejść nawet kroku. Dudniąca muzyka potęgowała wrażenie dezorientacji, a uderzenia basu spowodowały przeniesienie drgań i wibracji na grunt. Zanim utwór się rozkręcił, z nosami przy ziemi leżeli wszyscy ważniacy ze szwedzkich mediów. Przymarznięty do ogrodzeń, płotów śnieg i lód w jednej chwili oderwał się i spadł na zdezorientowanych dziennikarzy.

Tymczasem wewnątrz busa wszyscy „aktorzy” zdjęli głowy psa Pluto. Ochroniarze zabezpieczyli koła wózków w wyznaczonych na podłodze miejscach. Kierowca założył specjalne gogle, dzięki którym można było prowadzić wóz bez względu na dramatyczny poziom widoczności na zewnątrz.

– Wszyscy gotowi? Możemy jechać?

– Tak. Ruszamy – odezwał się Stigson i z zadowoleniem zatarł dłonie.

Szofer odpalił silnik. Dwóch ochroniarzy ubranych w takie same gogle, jakie miał założone kierowca, odsunęło ręcznie bramę i żółty bus wyjechał na zewnątrz, pozostawiając za sobą zdezorientowany tłum. Trzy minuty później muzyka ucichła, a dwie wielkie dmuchawy, które wypchnęli zza domu ochroniarze, momentalnie rozwiały dym, odsłaniając zaskoczone, oszołomione twarze dziennikarzy i fotoreporterów. Między innymi Svena, który ze zwieszoną brodą siedział za kierownicą żółtej taksówki, a jego palec wskazujący cały czas przyciskał guzik opuszczania bocznej szyby. Britta „wyjęła” twarz spomiędzy szczebelków ogrodzenia i spojrzała na Svena.

– I co teraz, Sven? Co, kurwa mać, teraz?!

– Nie wiem, serio nie wiem. Nawet nie wiem, co powiedzieć. Wsiadaj do samochodu.

Rozdział 23

14 grudnia

Nad ranem Yves i Timon weszli do wynajętego na fałszywe dane osobowe mieszkania przy Rue de Navarre w Paryżu. Puste kubelki po jedzeniu na wynos, jakie zwykle kupowali w wietnamskiej restauracji La Mekong, stały niemal w każdym wolnym miejscu kuchni. Timon zamknął drzwi wejściowe, przełożył ze stołu do plastikowych siatek stare kartoniki oraz styropianowe pojemniki po jedzeniu. Yves wyjął z lodówki dwa boxy z makaronem z warzywami zakupione dzień wcześniej. Chwilę później w ich rękach pojawiły się pałeczki i zaczęli pałaszować to nietypowe jak na francuskie standardy śniadanie. Timon włączył zawieszony na ścianie telewizor, w którym akurat pokazywano prognozę pogody na najbliższe dni. Pogoda nie napawała optymizmem, zwłaszcza na długą podróż po drogach Europy. Sięgnął po iPada i wszedł na stronę internetową portalu Lemonde.fr. Obrzucił wzrokiem wydarzenia z Paryża, w pewnym momencie jego oczy się powiększyły, pałeczki powędrowały na stół.

„Transformers zaatakował w 15. dzielnicy” – taki tytuł przykuł jego uwagę. Uśmiechnął się, otworzył całą treść artykułu i przecierając oczy ze zdumienia, zaczął czytać linijka po linijce:

Nocny stróż po zażyciu niedozwolonych środków odurzających przebrał się za transformersa, po czym w narkotycznym szale zastrzelił dwa psy oraz mężczyznę w szlafroku. Z kolei ofiara szaleńca, mimo pięciostopniowego mrozu, biegła po ulicy ubrana jedynie we frotowy szlafrok (jak twierdzi anonimowe źródło policyjne), miała w ustach metalowy przedmiot, który przypominał dziób ptaka. Jest bardzo możliwe, że ten niecodzienny widok mógł sprowokować będącego pod silnym działaniem narkotyków pracownika parkingu do oddania strzałów. Prawdopodobnie zastrzelony przez szaleńca

mężczyzna też był niezrównoważony psychicznie, gdyż w jego mieszkaniu znaleziono zabitą nożem sąsiadkę, a w schowku przy klatce schodowej znaleziono zwłoki portiera. Policja poszukuje podejrzanego o udział w zajściu karła oraz mężczyznę, który z miejsca tragedii odjechał karetką. Pojazd znaleziono spalony ulicy Rue de Navarre. Podejrzewa się, że ciało znalezione wewnątrz karetki należy do sanitariusza. Wiele wskazuje na to, że karetka została uprowadzona, a kierowca zabity znacznie wcześniej. Transformers z lekkimi stłuczeniami został przewieziony na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Poniżej zamieszczamy film nagrany przez kamerę przemysłową znajdującą się przy wjeździe na parking. Jeżeli ktoś z państwa rozpoznaje postaci z filmu, proszony jest o zgłoszenie się na policję. Policja zapewnia pełną anonimowość.

Timon nie mógł przestać się śmiać. Kiedy przeczytał artykuł Yves'owi, rechotali wspólnie. Śniadanie przestało być ważne. Salwy śmiechu przewalały się po kuchni. Kiedy od nieprzerwanych skurczów brzucha zaczęły boleć ich mięśnie, powoli zaczęli się uspokajać. Obaj spojrzeli na telewizor, gdzie również zanosząc się śmiechem, prezenterka telewizji informacyjnej komentowała film z kamery przemysłowej. Kamera pokazywała widok ulicy wzdłuż płotu parkingu. W pewnym momencie zobaczyli biegnącego w szlafroku mężczyznę, za którym w odległości kilku metrów biegł ubrany w za duże rzeczy karzeł. Potem karzeł gwałtownie skręcił i przebiegł na drugą stronę ulicy. Nagle do znajdującej się na drugim planie karetki sprintem podbiegł ktoś, kto z sylwetki przypominał ich wujka, Arnauda Pieta. Wsiadł do karetki, a chwilę później widać, jak mężczyzna w szlafroku pada na twarz, a karetka rusza i przejeżdża pod kamerą i znika.

– Ty to widziałeś? – odezwał się Timon.

– Chyba zwariowałeś!

– Mówisz, że zwariowałem, ale widziałeś to samo...

– Możesz powiedzieć mi, jak postrzelony niecałe dwie doby wcześniej w nogę wujek może biegać sprintem? Do tego jednocześnie będąc w szpitalu? Zresztą wujek ma ponad 60 lat,

nie byłby w stanie tak biegać nawet ze zdrową nogą.

– Ale ten gość najwyraźniej przyjechał tam karetką, a karetka została spalona przedwczoraj 200 metrów stąd. Tak piszą w „Le Monde”...

Obaj się zamyśliли i zaczęli rozważać prawdopodobieństwo udziału wujka zarówno w porwaniu karetki, zabójstwie sanitariusza, jak i podpaleniu samochodu dla zatarcia śladów. Po chwili dyskusji uznali to za niemożliwe, a sylwetkę uchwyconego przez kamerę mężczyzny uznali za co najwyżej lekko podobną, ale należącą do znacznie młodszego mężczyzny.

– Zresztą wujek nigdy nikogo nie zabił – zakończył rozważania Yves. – A tu nagle zabity pielęgniark w karetce.

Timon wyjął z szafy dwie duże torby wojskowe w kolorze czarnym. Postawił je na podłodze, dopiął zamek błyskawiczny jednej z nich. Yves w tym czasie wyłączył prąd, złapał za jedną z toreb i wyszedł na korytarz. Zamknęli drzwi i zbiegli po schodach. Pięć minut później wjechali windą na trzecie piętro wielopoziomowego garażu i podeszli do białego mercedesa klasy S. Timon otworzył auto, obaj wrzucili torby do bagażnika, wsiedli do środka i spojrzeli na siebie.

– Jesteśmy zawodowcami! Jesteśmy niepokonanymi Francuzami! Kto stanie nam na drodze, pożądaj tego srodze! – wykrzykali chórem wyuczoną przez Arniego motywacyjną formułę i przybili „piątkę”.

– No to zaczynamy nowe wyzwanie – powiedział Yves, poprawiając blond włosy. – Odpalaj, grzejemy fotele i jazda ku przegrodzie!

Kiedy wyjechali z parkingu na ulicę, z nieba posypały się duże, ale na szczęście bardzo wolno padające płatki śniegu. Pogoda nie rozpieszczała. Niezmiennie od trzech dni nad całą niemal Francją przesuwały się ciężkie napakowane śniegiem chmury, tu i tam spuszczając swój ładunek, zima w tym roku miała być niezwykle dokuczliwa dla mieszkańców całego kontynentu. Jakby Europa miała odpokutować za ciepłe lato, które trwało tak naprawdę od kwietnia do października. Minęli miejsce, gdzie dwa dni wcześniej spłonęła karetka, tuż za skwerem z wielką choinką

skręcili w kierunku obwodnicy.

– A więc dobrze, pojedziemy przez Lille, kieruj się na północny wschód, a ja teraz, na spokojnie, jeszcze raz odczytam naszą listę pozycja po pozycji. – Yves wyjął spod siedzenia małego laptopa i wcisnął przycisk włączający zasilanie. Po chwili zniecierpliwiony powolnym wczytywaniem systemu zaczął bębnić palcami po klawiaturze.

– Macbooka byś sobie kupił. Zanim ci się ten Windows wgra, to będziemy w Polsce.

– Mój laptop cię denerwuje, a moja kurtka z frędzlami i motocykl cię śmieszają...

– Jest zima, a ty pierdolisz o motocyklach? – Timon zniecierpliwiony klepnął kuzyna w rękę. – Jeśli już się nagadałeś, to sprawdź listę, zanim wyjedziemy z miasta, może czegoś zapomnieliśmy.

– Hmm... No więc tak... – Yves spojrzał na ekran, wpisał dwunastocyfrowe hasło i zaczął czytać zapisane w zaszyfrowanym pliku pozycje.

– Telefon do kontaktu z wujkiem. Jest w schowku. – Otworzył schowek, pokazał go kuzynowi i zamknął z powrotem w schowku. – Światło się w schowku przepaliło. Co za gówna teraz produkują, przecież ten samochód ma niecałe pół roku. Pomyślałbyś?

– Daj spokój, lampka nie jest teraz ważna. Czytaj dalej pozycja po pozycji, bo się pogubimy.

– Pistolety Ruger 5,6 mm – dwie sztuki + tłumik i dwa zapasowe magazynki.

– Pistolet jednostrzałowy w pompce do roweru na amunicję 5,6 mm – dwie sztuki.

– Strzelający długopis na amunicję 5,6 mm.

– Amunicja subsonic 5,6 mm – trzy pudełka po 50 sztuk.

– Kamizelki kuloodporne – dwie sztuki.

– Skaner fal.

– Dialer dezaktywacyjny.

– Zagłuszacz sygnału GSM.

– Podśluch w breloczku – trzy sztuki.

- Noktowizor Cyklop – dwie sztuki.
- Lornetka z dalmierzem.
- Lornetka mini.
- Zegarek z kamerą i podsłuchem.
- Kamera w guziku z podsłuchem.
- Statyw uniwersalny.
- Diament do szyb z przysawkami – dwie sztuki.
- Elektroniczny wytrych.
- Stetoskop.
- Gaz usypiający w butli – 2 kg.
- Maski przeciwgazowe – dwie sztuki.
- Parasol z kamerą.
- Krótkofalówki – dwie sztuki.
- Minisłuchawkowy zestaw do łączności radiowej – dwie sztuki.
- Ciekły azot – 0,5 l.
- Telefony GSM nowe, zestawy słuchawkowe – dwie sztuki.
- Pianka do okien – dwie sztuki.
- Rysunki budynków przyległych, zdjęcia budynku i plan budynku, zdjęcia satelitarne.
- Lina alpinistyczna pojedyncza – 150 m.b.
- Błoczki, karabinki, uprząż kong i tym podobne gadżety. No i to by było na tyle. Każdą z odczytanych rzeczy osobiście pakowałem. Broń i zapasowa amunicja jak zawsze są schowane pod tłumikami po obu stronach auta. Coś ci się jeszcze przypomina? Coś jeszcze powinniśmy mieć?
- Musimy mieć szczęście, zwyczajnego złodziejskiego farta. To szczęście musi się spotkać z naszym profesjonalnym przygotowaniem i wyposażeniem. Uważam, że jesteśmy do bólu doskonali. Pomyśleliśmy o wszystkim, nie znamy strachu, jesteśmy gotowi na większe wyzwania niż ta kradzież.
- Taaa... Też tak myślę. Tym bardziej że Polska to kraj gamoni. Nikt się nawet nie zorientuje, że tam byliśmy. Wjedziemy i wyjedziemy niezauważeni.
- A jeżeli jakiś Polaczek stanie nam na drodze, to go natychmiast, bezszelestnie zgładzimy. W końcu z nami nie ma żartów! Jesteśmy zawodowcami! Jesteśmy niepokonanymi

Francuzami! Kto stanie nam na drodze, pożałuje tego srodze! – po raz kolejny, klaszcząc w ręce, wyrecytowali motywacyjną formułę.

Yves przekręcił potencjometr w radiu i z głośników systemu Harman Kardon popłynęła głośno aksamitna muzyka starego przeboju, śpiewanego przez Joe Dassin „Et si tu n’existais pas”. Siostrzeńcy zawadiacko położyli ręce na szerokich mercedesowskich podszybiach i wesoło podśpiewując, spoglądali na mijaną okolicę. Właśnie wyjechali poza północne granice Paryża. Śnieg przestał padać mniej więcej równo z nastaniem świtu, przed nimi było tysiąc kilometrów drogi do pokonania po szerokich, aczkolwiek śliskich i zaśnieżonych autostradach.

Rozdział 24

Tuż po godzinie 7 na telefon pana Fersena zadzwonił sekretarz Erik Svensson i poinformował go o tragicznej śmierci notariusza oraz jego żony. Przez to atmosfera w domu stała się nieco nerwowa, a głośne rozmowy dobiegające z jadalni, gdzie rozsiedli się Szwedzi, nie pozwoliły Maciejowi spać do zaplanowanej godziny 9. Noc spędzona w luksusowym pałacyku przy Sigurdvägen 12 w Djursholm, położonym na obrzeżach Sztokholmu, zrobiła na nim ogromne wrażenie. Ta należąca do mecenasa Folke Fersena nieruchomość według niego była najpiękniejszym miejscem, jakie widział podczas wizyty w Szwecji. „Czerwona cegła. Surowy styl, ale piękny i czysty” – skwitował w myślach, kiedy dzień wcześniej przyjechali tu wszyscy po wizycie w radiu. Tym razem żadnemu z paparazzich nie udało się ich wyśledzić. Nie mniej bezpieczeństwa osób przebywających na terenie posesji w dyskretny sposób pilnowało ośmiu ochroniarzy pełniących wartę w dwóch zaparkowanych na uboczu furgonetkach.

Kiedy skończył poranną kąpiel, zszedł na dół, ukłonił się wszystkim obecnym, mówiąc jednocześnie „dzień dobry”, i poszedł do salonu. Jego iPhone zadzwonił, spojrzął na wyświetlacz – dzwoniła mama. Beznamiętnie skillował połączenie, usiadł na skórzanej pufie, wziął pilota do ręki i niejako automatycznie włączył telewizor. Spojrzął przelotnie na rozpoczynające się wiadomości poranne i jak zwykle przed śniadaniem odpalił Facebooka w telefonie, żeby sprawdzić, co słychać u jego wrogów. Ostatnio zamieszczone zdjęcia z zegarkiem polubiło kilkanaście osób, a zaproszeń do znajomych miał aż 126, z czego 112, jak policzył, było od dziewczyn i kobiet w różnym wieku. Przesunął listę nazwisk. Większość z nich były to pracowniczki z jego firmy, ale było też ponad 30 dziewcząt, których kompletnie nie kojarzył.

„Niebawale, przecież nigdy nikt mnie nie zaprosił do

znajomych. To ja zawsze musiałem tygodniami czekać na akceptację i z reguły ona nigdy nie nadchodziła. A tu proszę, jedna fotografia z zakupami i wszystko zaczyna działać się samo” – pomyślał i przystąpił do zamieszczania kolejnego zdjęcia. Tym razem zamieścił selfie z pradziadkiem, które wykonał dzień wcześniej w studiu radiowym. Wyraźnie było na nim widać dwa żółte mikrofony z logo SMT Radio oraz uśmiechnięte twarze obu mężczyzn. Zdjęcie podpisał prowokacyjnie: „Spadkobierca fortuny Stigsonów wraz z pradziadkiem w SMT Radiu”. Następnie przyjął wszystkie zaproszenia do znajomych bez wyjątku. Jego twarz rozpromieniała w uśmiechu, kiedy od razu, w ciągu kilkunastu sekund, pod jego zdjęciem z dziadkiem pojawiło się najpierw pięć lajków, później 17, a po kolejnej minucie aż 33. Zadowolony wyłączył Facebooka i spojrzał w telewizor.

Akurat teraz w wiadomościach porannych na głównym szwedzkim kanale informacyjnym pokazywali spektakl zorganizowany przez jego „pradziadka” dla dziennikarzy i fotoreporterów na wyspie Tranholmen. Maciej natychmiast włączył kamerę w telefonie i zaczął nagrywać przebieg zdarzeń prosto z ekranu telewizora. Do pokoju weszła, kaszląc, zasmarkana Janka. Spojrzała na ekran telewizora akurat w momencie, kiedy ochroniarze wyprowadzali wózki, na których siedziało pięć klonów psa Pluto. Oboje z Maciejem wybuchnęli gromkim śmiechem. Śmiali się jeszcze przez dłuższą chwilę po zakończeniu emisji reportażu.

Kiedy Maciej ponownie spojrzał na ekran, zobaczył na nim prom, dokładnie taki sam, jakim przyłynął do Szwecji. Na nabrzeżu portu stał policjant w mundurze i opowiadał o czymś, żywo gestykulując.

– O czym on mówi? – zapytał pani Janki.

Janka bardzo starała się powstrzymać kaszel. W końcu usiadła na kanapie, ciężko łapiąc powietrze, i zaczęła tłumaczyć zachrypniętym głosem.

– On mówi, że trzy dni temu na promie doszło do podwójnego morderstwa, ale zwłoki odkryto dopiero dzisiaj, ktoś wcisnął je

do schowka na liny.

W tej chwili pokazano dwa zdjęcia z paszportów, na którym były znane Maciejowi twarze. Zrobił się blady, osunął się na fotel, spojrzał na prawniczkę i wyszeptał cicho:

– Proszę mi wszystko tłumaczyć, to ważne. Będę dziś płynął o godzinie 18 tym promem i chcę wiedzieć, czy coś mi grozi.

– Na razie mówią, że zabójstwo może mieć związek z nieudanym przemytem narkotyków. Trzy dni temu w pozostawionym na promie niebieskim nissanie znaleziono 10 kg kokainy. Właścicieli pojazdu nie odnaleziono. Policja przypuszcza, że porzucony samochód mógł należeć do zamordowanej pary... Uważają, że to porachunki konkurencyjnych gangów przemycających narkotyki.

– Coś więcej?

– Mówią też, że prom będzie opóźniony i zaczną przyjmować podróżnych dopiero o godzinie 20. Policja musi skończyć zabezpieczać ślady.

– Śniadanie! Wszyscy na śniadanie! – rozległ się zachrypnięty głos pana Fersena, który wszedł do salonu ubrany w gruby sweter, a szyję miał owiniętą szalikiem.

Janka wstała ze skórzanej kanapy i poszła w kierunku, skąd dobiegał głos jej szefa. Maciej natomiast wstał z pufy, przeszedł parę kroków i padł dokładnie na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała prawniczka. Był blady jak wapno, ponieważ czuł, że zaraz zemdleje. Profilaktycznie nogi ułożył na oparciu kanapy, a dłonie położył na twarzy. O błędzie w rozpoznaniu nie mogło być mowy, z pewnością na zdjęciach pokazanych w telewizji były twarze Magdy i Tryggve, z którymi spędził wieczór przy stoliku w restauracji na promie i pewnie jeszcze w łóżku i... Maciej głęboko oddychał, próbując uspokoić bijące w szaleńczym tempie serce. Wyteżał pamięć, jak mógł najmocniej, jednak z wydarzeń na promie pamiętał w zasadzie, jak siedzieli przy stoliku... „Zjadłem tabletkę, nachlałem się i może ich zabiłem?!”

– Poderwał się z kanapy i pobiegł do łazienki zwymiotować. Niestety, pusty żołądek wyrzucił z siebie tylko poranną herbatę. Maciej wstał z kolan, opłukał twarz w zlewie, następnie wycisnął

z tubki na dłonie i wtarł żel dezynfekujący, a następnie dużą porcją kremu ochronnego. Poprawił włosy i wyszedł z łazienki.

– Nie stresuj się, chłopcze, wizyta dziennikarza i fotoreportera w domu to nic strasznego – powiedział Stigson, wycierając zakatarzony nos. – Wczoraj w radiu byłeś w nadzwyczajnej formie, weź się w garść, bo na zdjęciach wyjdiesz gorzej niż ja.

– Dobrze, panie Stigson – Maciej uśmiechnął się cierpko i podszedł do stołu zastawionego obfitym śniadaniem oraz pudełkami z aspiryną i chusteczkami higienicznymi. Kiedy spojrzął po twarzach obecnych przy śniadaniu, stwierdził, że tylko szef agencji ochrony pan Alf wygląda dobrze. Janka Silberstin, Folke Fersen oraz Lars Stigson wyglądali na osoby chore, a nawet bardzo chore. Wziął kromkę słodkiego szwedzkiego chleba, posmarował margaryną, położył na to plaster okrągłej kiełbasy i ugryzł kęs. Nie sposób jednak było go przełknąć. Odwrócił głowę w kierunku telewizora, gdzie w wiadomościach pokazywali znany mu szpital Capio Saint Göran's Hospital, a w czerwonym pasku pod materiałem zdjęciowym przesuwali się w jakieś informacje.

– Panie Stigson, do przyjazdu dziennikarza mamy niecałe 30 minut, trzeba się przebrać i doprowadzić do porządku. Ciebie, młody człowieku, też to dotyczy.

– Fatalnie się czuję – odparł Stigson. – Nie będę się przebierał, włożę tylko golf i marynarkę na piżamę. A ty, Macieniu, idź się ubierz w nowe rzeczy, nie możesz być ubrany w to samo co wczoraj w radiu!

Maciej bez słowa, na sztywnych nogach poszedł do pokoju na górę. Usiadł ciężko na łóżku i pokręcił głową. „Nie ja ich zabiłem, nie ja... No bo niby jak mógłbym poradzić sobie z dwoma olbrzymami? Jak mogłem sam zataszczyć zwłoki do jakiegoś schowka na liny? Przecież do czegoś takiego potrzeba przynajmniej dwóch bardzo silnych osób. Jestem niewinny, więc nie mam się czym przejmować” – za wszelką cenę chciał wyrzucić z siebie kłębiące się myśli.

Jednak wymazane z pamięci wspomnienia z prawie całej doby spędzonej na promie nie dawały mu spokoju. Z podręcznej torby

wyjął nowy, biały T-shirt Burberry i zapinany na trzy guziki sweter z szetlandu. Najpierw ubrał ciemnogrnatowe jeansy, zamszowe buty klubowe i poszedł bardziej z nerwów niż z konieczności, by poprawić włosy do łazienki. Poperfumował się obficie, założył T-shirt, następnie sweter i szedł na dół w chwili, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Przybyli dziennikarze, a dokładnie trzy osoby. Dziennikarka, fotoreporter i asystentka, która od progu sprawiała wrażenie, jakby przyjechała tylko po to, żeby uwieść Macieja. Zostali wprowadzeni do środka przez dwóch ochroniarzy, którzy na komendę pana Alfa zniknęli jak duchy.

Po wymianie uprzejmości i przedstawieniu się, przybyła trójka została posadzona przy stole tak, aby zajęła miejsca po przeciwnej stronie do pana Stigsona, Macieja oraz Janiny. Dopiero teraz Maciej spostrzegł, że ta piękna dziewczyna, obdarzona przez los piękną twarzą i niesamowicie zgrabną sylwetką, ma kikuty rąk, brakowało jej dłoni. Ma jednak dwie protezy, skryte w skórzanych rękawiczkach.

W międzyczasie, zanim postawiono ciasteczka owsiane i kawę, Kupczyk lekko wstrząśnięty swoim odkryciem bacznie obserwował dziewczynę, która to z kolei uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Jej ręce leżały na blacie, a żaden palec dłoni nawet drgnął, żadnego ruchu, jak u rzeźby. „U nas, w Polsce, nawet taka bardzo ładna dziewczyna bez rąk pracy by nie znalazła. Parę groszy renty i spierdalaj siedzieć w domu i czekać niechybnie na śmierć. Jednak Skandynawia to jest klasa, to jest opieka, to są możliwości. A tak na marginesie, to ciekawe, jak ona coś notuje, jak choćby włącza dyktafon, skoro jest asystentką? Albo jak tu się umalować czy założyć majtki!?” – pomyślał i przeniósł wzrok z powrotem na niesamowicie ponętną twarz dziewczyny. Po słownej rozgrzewce pani redaktor położyła dyktafon na stole i zaczęła od zadawania pytań milionerowi. Janina, żeby Maciej wiedział, o czym aktualnie jest mowa, natychmiast tłumaczyła mu każde zadane pytanie i odpowiedź na język polski. W następującej po sobie kolejności padały następujące pytania: Jak się pan dowiedział, że ten oto mężczyzna jest pańskim

wnukiem? Czy robiliście badania DNA? Czy zapisze pan prawnukowi cały majątek? Jak się pan czuje, oprócz tego, że jest pan zaziębiony? W tym czasie asystentka odrzuciła lekko do tyłu proste blond włosy, wywinęła seksownie pełne różowe usta i puściła do Macieja oko. Kiedy wyjęta z buta stopa powędrowała pod stołem pomiędzy jego nogi i spoczęła na jego kroczu, natychmiast zeszywniał. Przywarł plecami do oparcia krzesła i spojrzał dziewczynie w oczy. Oczy dziewczyny płonęły, usta teraz rozwarły się, a stopa delikatnie ocierała się o krocze. Maciej spuścił wzrok, spojrzał między swoje nogi i zobaczył piękną zadbaną stopę z pomalowanymi na kolor karminowy paznokciami. Jego fallus stanął dęba. Kiedy przez umysł przebiegła mu myśl: „Jak ona to robi, że bez rąk jest taka zadbana” jej dwa palce złapały za suwak zamka od rozporka i odpięły go. Maciej podniósł głowę i spojrzał ze zdziwieniem na dziewczynę. Ta kokieteryjnie poruszyła ramieniem, uśmiechając się jednocześnie, wyciągnęła w kierunku Macieja dłoń i odwróciła ją wierzchem do góry. Wewnątrz czerwonej rękawiczki leżał zawinięty w foliowy papierek cukierek – landrynka.

– To dla ciebie – wyszeptała po angielsku, tak naprawdę nie poruszając nawet ustami.

Maciej wziął cukierek w rękę i spojrzał ponownie w jej oczy i zachrypniętym z podniecenia szeptem zapytał: – Jak masz na imię?

– Nieważne... Tak mam na imię.

Spuścił wzrok pod stół. Korzystając z palców jednej stopy, dziewczyna rozpięła mu rozporek w spodniach, z bokserek wyciągnęła fiuta, teraz dołożyła drugą stopę i robiła fachowy footjob. Maciej, aby zamaskować całą akcję, wsunął się głębiej pod stół, jego twarz robiła się czerwona, a oczy rozkojarzone. Dziewczyna z kolei tylko się uśmiechała, ani jeden ruch, ani jeden gest nie wskazywał na to, co właśnie teraz robi pod stołem. Nawet kiedy fotograf wstał i zaczął pstrykać zdjęcia nic, ale to nic nie zmieniło się w jej wyglądzie. „Spokojnie można ją nazwać rzeźbą robiącą stopami laskę” – skonstatował w myślach

i uśmiechnął się nieco rozbawiony sytuacją do dziewczyny.

– Wygląda pan na wysportowanego, jest pan szczupły i przystojny...

– Tak jak kiedyś dziadek – wtrącił Stigson.

– Czy stosuje pan jakąś dietę? – To pytanie, na poziomie pytań do Miss Polonia czy Miss Szwecji, zostało skierowane właśnie do Macieja. Jednak dopiero kiedy Janina lekko szurnęła jego rękę, przypomniał sobie, że udziela właśnie wywiadu. Tłumaczka powtórzyła pytanie, a Maciej starał się zebrać w sobie myśli. Im bardziej chciał się skupić, tym bardziej nadchodzący orgazm go rozpraszał.

– Eee... Ja nie... Nie robię diety. Żadnej diety nie mam, jem tyle, ile trzeba. – Teraz dziewczyna przestała na moment, dotykała jego penisa delikatnie, jakby nie chcąc zakłócić Maciejowi wypowiedzi. Jednak jego podniecony umysł nie działał prawidłowo i ciężko było mu konstruktywnie odpowiedzieć na zadane pytanie. – Mam złe doświadczenia z dietą – kontynuował. – Marianna. nasza zakładowa grubaska z działu zaopatrzenia, ciągle robiła sobie diety, żarła te reklamowane wszędzie preparaty na odchudzanie. Przez przypadek dowiedziała się, że ma tasiemca, a kiedy go wysrała. popłakała się i dostała depresji. Stwierdziła, że ponieważ pozbyła się pasożyta, będzie jeszcze grubsza. Depresja skończyła się zwolnieniem od psychiatrii. Miesiąc w psychiatryku, dwa miesiące w domu. Kiedy wróciła ze zwolnienia lekarskiego, ledwo zmieściła się w drzwi w pracy. Tydzień później skoczyła z wiaduktu kolejowego, wprost na samochód niestety. Kierowca i pasażer zginęli na miejscu, a ona przeżyła. Odratowali ją – ruchy stóp Szwedki teraz stały się rytmiczne i zdecydowane. Maciej przyspieszył wypowiedź na tyle, na ile mógł. – Od roku jest z powrotem w psychiatryku. Tak więc idąc za tym przykładem, wiem, że żeby nie być grubym, nie należy żreć bez opamiętania. Ile trzeba jeść wiecee...dzieć kaaażdy po... powinien...

Maciej najpierw zeszytywniał, zacisnął pięści, a wzrok wbił w stojącą na witrynie wazę, a po kilku sekundach na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech.

– Coś się panu stało? – zapytała Janka.

– Nie... Nic. To stres, wywiadu do gazety udzielałam pierwszy raz w życiu. Spiałem się. Pani przetłumaczy to, co powiedziałem. Bardzo proszę. – Spojrzał dyskretnie między nogi, a jego oczom ukazał się niespodziewany obraz. Prawa stopa dziewczyny złapała między palce sterczącego jeszcze fiuta i włożyła go na miejsce. Ledwie to zrobiła, zniknęła, a w tym czasie lewa stopa zapięła mu zamek. Po chwili prawa stopa pokazała się z powrotem z chusteczką między palcami i zaczęła wycierać plamy na spodniach. Maciej spojrział jeszcze raz na dziewczynę, która teraz mrugnęła i skinieniem głowy pokazała na cukierka, jakiego chłopak cały czas miętosił w rękę.

– Zjedz go, jest pyszny – wyszeptała i uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Dziękujemy państwu! – Wymianę spojrzeń przerwał głos pana Fersena. – Nasz czas się skończył. Mam nadzieję, że wywiad dla czytelników „Dagens Nyheter” będzie interesujący. Autoryzacja oczywiście konieczna. Kiedy adwokat wstał, wszyscy pozostali oprócz Stigsona wstali od stołu jak na komendę. Dwaj ochroniarze pojawili się w pokoju niczym duchy. Przeprowadzili gości do korytarza, następnie wyprowadzili ich na zewnątrz i zamknęli drzwi.

Maciej usiadł na kanapie i głęboko westchnął. Włączył telewizor z nadzieją, że zobaczy jakieś nowe informacje o morderstwie na promie. Jednak i tym razem wiadomości zaczęły się znowu od ich wczorajszego wyjazdu z domu wędkarskiego. Odpalił Facebooka i jak tylko pokazał mu się niebiesko-biały panel, jego twarz rozpromieniła. Ledwie minęła godzina, a otrzymał znowu prawie 50 zaproszeń do grona znajomych. Natomiast pod zdjęciem z dziadkiem było aż 112 polubień i 14 komentarzy. Z Polski, od wrogów z jego zakładu pracy też. Zadowolony spojrział na cukierek i plamy na spodniach. Teraz wiedział, że jest kimś, teraz poczuł się prawdziwym mężczyzną. Odkręcił folię od cukierka, do drzwi zadzwonił dzwonek, zaraz po tym do środka weszło dwóch ochroniarzy, wprowadzając kobietę i mężczyznę.

– Co jest? – szorstko zapytał pan Alf, wychodząc z jadalni.
– Ci państwo twierdzą, że są z gazety „Dagens Nyheter” ...
– Tak, bo właśnie zadzwoniono do nas rano i przesunięto naszą wizytę u państwa o godzinę. – Zaczęła szybko strzelać słowami ruda Szwedka. – Tu jest moja dziennikarska legitymacja, a to jest Urko, nasz fotograf z gazety...

– Nikt się nie rusza! Stać! C I S Z A!!! Czy ktoś z tamtej ekipy używał dezodorantu, zostawił może coś lub ktoś coś od nich dostał?

Maciej patrzył zaskoczony na stojących w hallu ludzi. – Ja, ja dostałem cukierek od tej dziewczyny bez dłoni.

– Gdzie go masz?

– Tu go mam... W dłoni.

– Odłóż go natychmiast! – Alf złapał stojącą w hallu drewnianą miseczkę z kluczami, wysypał je na podłogę i podbiegł do Macieja.

Maciej wrzucił na wpół odwinięty cukierek do miseczki. Alf odstawił ją na stół, wziął ze stolika z alkoholami litrową butelkę absoluta i powiedział do Macieja: – Idź do łazienki. – W ubikacji, nad wanną, zaczął polewać ręce chłopaka wódką.

– Co się w zasadzie dzieje? Coś nam grozi? – Do łazienki z termometrem w ustach wszedł adwokat.

– Nam nie, ale tego chłopaka moim zdaniem próbowano otruć jakąś silną trucizną. Dziewczyna udawała, że nie ma dłoni. Rękawiczki chroniły ją przed działaniem trucizny z cukierka!

– To czemu on jeszcze żyje?

– Nie wiem, są różne trucizny, przecież może zacząć działać za dobę albo dwie! Zaraz zabierzemy ten cukierek do laboratorium.

– Zła wiadomość, chłopcze, jest taka, że prawie na pewno chciano cię otruć. Dobra wiadomość natomiast może być taka, że uratowałeś życie, bo nie zdążyłeś odwinąć cukierka. A te plamy na spodniach? – pokazał na niewyschnięte jeszcze plamy po nasieniu Macieja.

– Hm... Ponieważ prawie wszyscy są przeziębieni, wtarłem w dłonie żel ochronny. Taki tam dezynfekujący i później krem ochronny. On zostawia na skórze taką cieniutką powłokę... A tu

mi trochę się polało na spodnie – skłamał.

Do łazienki w tym momencie zajechał na wózku pchany przez Jankę pan Stigson. Popatrzył przez otwarte drzwi na to, co robił Alf z Maciejem. Na jego twarzy pojawił się uśmiech i wyraźne oznaki zadowolenia. Zatarł obydwie ręce.

– A jednak! Miałem rację, że moi spadkobiercy to kanalie! Chcieli cię zabić... Żebym wiedział tylko, którzy to pierwsi nastali na ciebie zabójców!

Maciej błądy jak syn młynarza siedział na brzegu wanny i zdawało mu się, że zaraz straci przytomność. Oparł się mokrą od alkoholu ręką o kafelki na ścianie i spojrzął na swojego przybranego przodka.

– Myśli pan, że to nie koniec?

– Ależ skąd! Myślę, że to początek zamachów na ciebie, chłopcze. Zakładam, że teraz im się nie udało i trucizna nie zdążyła zadziałać – starzec zaczął gwałtownie kaszleć, w końcu odchrząknął i słabym głosem odezwał się ponownie. – Skoro im się nie udało, to z pewnością wrócą. Wiemy o jednych, którzy już się zdecydowali cię zgładzić, kto wie, może kolejni, potencjalni spadkobiercy będą chcieli zrobić to samo. Mam taką nadzieję, że będą chcieli – Stigson się roześmiał.

– Na szczęście dzisiaj wracam do Polski – wyszeptał.

– Nie ciesz się tak, zaraz po sylwestrze chcę cię widzieć tu z powrotem. Spektakl musi trwać. Zresztą kto powiedział, że w Polsce będziesz bezpieczny. – Stigson znowu chrząknął, po czym zaczął mówić konfidencyjnym szeptem. – A teraz musimy udawać, że nic się nie stało. Nie wolno nikomu wspominać, że to był zamach. Powiemy dziennikarzom, że jakaś inna gazeta zrobiła im psikusa i podszyła się za nich. A teraz proszę do salonu.

Szef agencji wyszedł z łazienki i wrócił do hallu. Przeprosił za nieporozumienie i posadził gości z gazety „Dagens Nyheter” przy stole. Następnie dyskretnie wyniósł cukierek w miseczce i przekazał jednemu ze swych ludzi, aby zawiózł go do policyjnego laboratorium. Na stole po raz drugi postawiono ciasteczka owsiane i kawę. Spektakl z udziałem dziennikarzy

rozpoczął się od początku. Posypały się pytania i na nowo zaczął błyskać flesz lampy błyskowej. O dziwo, pytania przygotowane na spotkanie były podobne, jeżeli nawet nie takie same jak zadawane poprzednio. Czterdzieści minut później po dziennikarce i fotografii został tylko zapach perfum.

Na drugie śniadanie gosposia pana Fersena podała kanelbulle, szwedzkie ciasteczka cyrkonowe i kawę latte. Stan zdrowia pani Janki pogorszył się na tyle, że zaraz po zjedzeniu drugiego śniadania zdecydowała się wrócić do domu i położyć w łóżku.

– Drogi chłopcze. Chciałbym mieć pewność, że kiedy wrócisz do Polski, także będziesz wyglądał na milionera. Nie może być cienia wątpliwości, że jesteś moim prawdziwym krewnym. Proszę mu wydać jeden z moich samochodów – zwrócił się do Fersena. – Niech weźmie dużego jaguara, tego czarnego. Kazałem go kupić miesiąc temu i nawet go nie widziałem. Możesz nim jeździć do końca trwania naszej umowy. Chyba że umrę wcześniej, to będziesz go musiał zwrócić. Maciej prawie uniósł się ze szczęścia pod sufit. Wielki uśmiech pojawił się na jego twarzy i nie chciał zniknąć, nawet gdy zaczął mówić.

– Przepraszam, ale ja tu przyjechałem wypożyczonym volvo i muszę je zaraz po powrocie oddać do dealera, nie mogę wrócić dwoma samochodami naraz. Mógłby mi pan...

– To radź sobie. Przecież to twój problem, a jako że jesteś od przedwczoraj moim prawnikiem, wymagam, abyś wykazał się zaradnością i sprytem. Nie jestem okrutny, ja tylko żądam, chcę, pragnę, żebyś ze Szwecji wyjechał jaguarem – spojrzał na Macieja, na którego twarzy malowały się ogromne szczęście i zmartwienie w jednym momencie.

– O której masz prom?

– Teoretycznie o godzinie 20...

– To masz masę czasu na rozwiązanie swojego problemu. Możesz na przykład podpalić auto, przecież na pewno jest ubezpieczone... Przyjedzie policja, spisze protokół i po sprawie. Podpowiadam tylko. – Starzec uśmiechnął się cynicznie.

– Tego akurat nie mogę zrobić, już jedno auto temu dealerowi zniszczyłem – powiedział cicho pod nosem.

– Panie Alf, z uwagi na to, co się stało, proszę bardzo wzmocnić do czasu wyjazdu chłopaka ochronę. Później może pan ludzi puścić do domu. Proszę także postać kogoś po jaguara i przekazać klucz do wozu oraz dokumenty Matieniowi. Przy okazji odwiedźcie panią adwokat do domu, bo nam tu płuca wykaszle biedaczka. Panie Fersen. – Spojrzał zmęczonymi oczami na bladą twarz adwokata. – Bardzo proszę... Wydać chłopakowi 6... A niech będzie 7 tysięcy euro. Na te dwa tygodnie pobytu w Polsce powinno mu wystarczyć, żeby zrobić dobre wrażenie. Ja idę się położyć do sypialni, grypa wygrała. I panu też to radzę zrobić, jest pan blady, a nos ma pan czerwony jak clown – zwrócić się do Fersena. – Najlepiej niech pan zawoła lekarzy z ambulansu, przecież siedzą tam i nic nie robią, a nas grypa pożera żywcem.

Stigson odjechał wózkiem od stołu i kiedy przekraczał próg od jadalni, odwrócił się jeszcze na moment w kierunku Macieja.

– Bądź ostrożny, młodzieńcze, i zachowuj się godnie milionera. Wśród znajomych z pracy i tak dalej. – Wózek ruszył, a kiedy zniknął za załomem ściany, do uszu Macieja dobiegło jeszcze: – Killerzy też wrócą... Bądź czujny.

Pan Alf Granath „wyszczekał” przez krótkofalówkę krótką komendę i chwilę później dwóch jego podwładnych wyprowadziło z domu ślaniającą się na nogach Janinę. Maciej został w salonie sam ze sobą. Usłyszał trzaśnięcia drzwi od samochodu, a kiedy wyrwał przez okno, zobaczył, jak ochroniarze odjeżdżają spod domu żółtym renault megane, pozostawiając po sobie smugę pary i spalin. Usiadł z powrotem na kanapie, rozsiadł się wygodnie i włączył telewizor. Na kanale informacyjnym kolejny raz pokazywano szpital, w którym trzy dni wcześniej spotkał się ze Stigsonem. Przez moment przyglądał się osobom w maskach chodzącym po korytarzach czy też pchającym nosze z chorymi. Wzdrygnął się. Teraz do jego lęków związanych z możliwością utraty życia w zamachu oraz z niewyjaśnionym morderstwem na promie zaczął dochodzić niepokój o wykrycie jego jako sprawcy fałszywego alarmu bombowego. Końcówki palców u dłoni miał zimne jak lód. Jego umysł z jednej strony był psychicznie wyczerpany emocjami

i strachem, a z drugiej żył wizją zasmakowania życia, którego nie znał, i przede wszystkim odkucia się na wrogach z pracy. Sam fakt otrzymania na dwa tygodnie kwoty 7 tysięcy euro jako kieszonkowego rzucił go na nieznanym dotąd wymiar finansowy. Jak szybko policzył, będzie mógł oddać pożyczkę w Rewidencie i jeszcze zostanie mu więcej niż jego dwie pensje miesięczne na dwa tygodnie życia.

„No tak, ale po co mam oddawać pieniądze? Przecież mogę to zrobić później, a teraz cieszyć się życiem. Nawet jak ten stary chuj wyciągnie kopyta, to i tak dostanę 200 tysięcy euro. Wystarczy mi na duże mieszkanie bez konieczności sprzedaży mojego i jeszcze na chwilę wygodnego życia. Zresztą teraz mam nowy fach w ręku. Zmienię fryzurę i pojedę do Norwegii albo Finlandii po nowy spadek”. Wziął do ręki telefon, westchnął głęboko, wybrał numer i przyłożył iPhone'a do ucha.

– Jak polowanie? Ktoś zginął? – usłyszał spokojny głos wujka.

– Ja prawie bym przed chwilą zginął – odparł bezmyślnie.

– Ty? Przecież zawsze, jak gdzieś się pojawiaasz, to komuś coś się dzieje, nie tobie.

– Żartowałem, nikomu nic się nie stało. Tylko grypa trzy osoby rozłożyła. No to wracamy razem dzisiaj do Polski, to znaczy ja z wujkiem. Zanim nas ostatnio rozłączyło, słyszałem, że potrzebuje wujek mojej pomocy...

– Jak się zobaczymy, to pogadamy...

– A wujek do Szwecji samochodem przyjechał?

– Rowerem wodnym przypedałowałem.

– Z wujka jak zawsze jest żartowniś... Taki... – Tu odczekał kilka sekund. – Więc ma wujek samochód ze sobą?

– Nie mam. Przyleciałem samolotem i mam bilet powrotny wykupiony na dzisiaj, ale skoro już tu jesteś, to nie podaruję sobie tej przyjemności i wrócę z tobą promem.

– Doskonale! Bo tym razem ja mam do wujka prośbę...

– Tym razem?!

– To nic wielkiego, taka drobna przysługa... Czy wróciłby wujek moim samochodem do Polski?

– Saabem? Tym rzęchem? Nie ma mowy. Nawet bratianin jest

zwolniony z takiego typu pomocy.

– Przecież mówiłem wujkowi, że mam nowe volvo z wypożyczalni...

– Moment. A czemu ty nie możesz prowadzić?

– Mam też drugie auto, którym muszę wrócić do Polski. Nie mówiłem wujkowi, ale zacząłem dorabiać na transportowaniu luksusowych aut po Europie – wyrzucił z siebie pierwsze w miarę rozsądne kłamstwo, które przyszło mu do głowy.

W słuchawce przez chwilę było słyhać, jak Rajmund Miedzianowski kaszle. – Zakrztusiłem się ciastkiem...

– Odkaslnął jeszcze kilka razy, zanim wrócił do rozmowy.

– Strach jeść, jak się z tobą rozmawia. Najpierw niespodziewany urlop, polowanie na renifery, w które nie wierzę, a teraz luksusowe samochody. Czy ty się aby nie wpakowałeś w jakąś aferę Macieju?

– W nic wujku się nie wpakowałem. Słowo bratiana, że wszystko jest legalne i... I... Bezpieczne. Całkowicie bezpieczne.

– Spotkajmy się za dwie godziny. Jestem w centrum Sztokholmu, zapisz, proszę, adres...

Rozdział 25

Gösta i Anika leżeli nadzy w wygodnym łóżku hotelu Diplomat i palili papierosy. Sponiewierana pościel, spodnie, broń w kaburach oraz reszta wierzchniej odzieży leżały porozrzucane po całej sypialni.

– Przepraszam cię. – Uniosła dłoń z papierosem do ust i zaciągnęła się mocno. – Nigdy jeszcze się tak nie zachowałam wobec żadnego podwładnego. Wobec nikogo, z kim pracowałam, się tak nie zachowałam. Nigdy... Wybacz, ale musiałam odreagować, a innego sposobu nie mogłam znaleźć.

– Przepraszasz... Czyli się asekurujesz. Czy mogę zatem pani kapitan wylizać raz jeszcze? Teraz?

– Nie! To nadal ja tu wydaję rozkazy.

– To już jest mobbing, z molestowaniem włącznie. – Roześmiał się, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Zaczął przerzucać kanały, aż na TV6 udało mu się odnaleźć bieżące wydanie wiadomości. Informacje międzynarodowe zamknięto oberwaniem się jakiegoś klifu, następnie na ekranie pokazał się charakterystyczny bordowy budynek Capio Saint Göran's Hospital. Gösta nacisnął przycisk potencjometru i treść wiadomości wypełniła sypialnię. „Od dziś rana wydział nefrologii szpitala Capio Saint Göran's Hospital został objęty kwarantanną. Trzy osoby pracujące na tym oddziale zostały zakażone sepsą. Ich stan lekarze określają jako krytyczny”. Gösta usiadł na łóżku, sięgnął z nocnego stolika po telefon, który podał Anice.

– Coś jest nie tak. Przyjrzyjmy się zdjęciom, które zrobił Sven w Sali, gdzie leżał Stigson. Byliśmy pewni, że milioner wypił lemoniadę.

– Dokładnie. – Anika zaczęła przerzucać zdjęcie po zdjęciu, aż znalazła fotografię pustej butelki po lemoniadzie. Powiększyła je na tyle mocno, na ile pozwalał jej na to iPhone, i zaczęła intensywnie przyglądać się zdjęciu.

– Kurwa mać! Ta baba z koleżankami na dyżurze wychłapy

lemoniadę z bakterią, a szwedzka uczciwość kazała jej odkupić nową. Z tym że pewnie w szpitalnym sklepiku nie było takiej, jak sprzedają w sklepach ICA.

– Faktycznie. – Gösta pokiwał głową i idiotycznie rozłożył ręce. – Przynajmniej jedna zagadka się rozwiązała. Stigson nie umrze w wyniku zatrucia bakterią. Zgładziliśmy za to niewinne trzy osoby, tak zwane przypadkowe ofiary operacji specjalnych. I nikt się nigdy o tym nie dowie.

– Przestań filozofować. Pozostaje nam wiele innych pytań, na które nie znamy odpowiedzi. Na przykład gdzie obecnie jest Lars Stigson? Daj pilota, może coś jeszcze mówią ciekawego na innych kanałach. – Dokładnie w momencie, kiedy wzięła go do ręki, gdzieś pod ubraniami zadzwonił telefon.

Anika usiadła na łóżku, włożyła do połowy spalonego belmonta do ust, wypięła się z premedytacją do Gösta, podniosła jeansy, którymi przykryta była torebka, i zaczęła przeszukiwać jej wnętrze. Pod notesem, iPadem mini, małą kosmetyczką, portfelem, paczką chusteczek, aspiryną, kluczami od biurka, kluczami od domu, pudełkiem zapalek, miniscyzorykiem, zapasowym magazynkiem do pistoletu Jericho, kremem do rąk, gumami do żucia oraz paczką prezerwatyw leżał iPhone.

Britta siedziała na bujanym, ulubionym fotelu pana Stigsona, trzymała słuchawkę przy uchu i patrzyła w ogień jak zahipnotyzowana. Przewrócona butelka po whisky i wypełniona do połowy złotą cieczą szklanka postawiona między nogami nie pozostawiały złudzeń. Dziewczyna była pijana.

– Halo – usłyszała w słuchawce głos Aniki.

– Nie wiem, no nie wiem, czy to ważne, ale dzwonił do mnie przed chwilą jakiś szef, z jakiejś agencji ochrony, że zaraz przyjadą jego ludzie i wezmą jaguara.

– Jakiej agencji?

– Chyba tej, która ochraniała wczoraj dom na Tranholmen. Mają zabrać jaguara dla Stigsona.

– Już tam jedziemy! Jakby przyjechali przed nami, musisz ich

zatrzymać do naszego przyjazdu. W jakikolwiek sposób zatrzymać. Nie mogą odjechać, zanim dotrzemy na miejsce. Tak?!

– Dobrze, już dobrze... Zatrzymam. – Britta się rozłączyła. Odstawiła whisky na blat kominka i lekko zataczając się, poszła w kierunku łazienki, by doprowadzić się do jako takiego porządku. Po drodze w jednym z okiem delikatnie rozsunęła zasłony i spojrzała przez wąską szczelinę na zewnątrz. Za bramą wjazdową odległą od pałacyku o jakieś 50 metrów stały trzy wozy transmisyjne oraz kilka samochodów osobowych. Kilku paparazzich przechadzało się wzdłuż płotu i rozcierało zgrabiące od mrozu dłonie. – Pojeby – powiedziała do siebie i poszła do łazienki. Kiedy wyszła spod prysznica, złożyła na siebie wrzosowy szlafrok, rękawem wytarła zaparowane lustro, nałożyła odzieżkę, po czym z namaszczeniem zaczęła układać sobie suszarką włosy. Kiedy 15 minut później ją wyłączyła, usłyszała, że naraz dzwonią dzwonek do drzwi i jej telefon. Spanikowana, natychmiast pobiegła do biblioteki, gdzie zostawiła telefon.

– Halo – wrzasnęła zdyszana do słuchawki.

– Gdzie ty, kurwa mać, się podziewasz?

– W łazience byłam!

– Gösta, ochroniarze po jaguara i cała banda ludzi czeka pod bramą, żeby wejść do środka! Nie rozłączaj się, posłuchaj mnie!

– Tak, słucham cię.

– Zatrzymaj wszystkich i najpierw wpuść Gösta. Zaprowadź go do garażu, on wie, co ma robić. Później możesz im wydać samochód. Tak?

– Tak.

– Jak to zrobisz, weź taksówkę i jedź do hotelu Diplomat. Znają cię tam, każdy potwierdzi, że tam byłaś. Idź w jakieś miejsce, gdzie jest monitoring, do restauracji czy choćby baru, i czekaj na nasz powrót.

– Do baru pójdę.

– Doskonale. Idź do baru, znajdziemy cię. A teraz otwórz im bramę – powiedziała Anika, po czym połączenie zostało przerwane.

Britta zabrała z kominka niedopitą whisky i szybkim krokiem zeszła na parter do wygrywającego utwór „Carmina burana” wideodomofonu. Na dużym wyświetlaczu zobaczyła Gösta ubranego w niebieski strój, charakterystyczny dla firm monterskich, obok stał ubrany w czarny uniform ochroniarz, a obok ochroniarza był karzeł ubrany w garnitur, płaszcz i kapelusz.

– Dzień dobry panom – odezwała się lekko zniekształconym przez działanie alkoholu głosem. – A teraz po kolei! Pan w niebieskim kombinezonie?

– Ja w sprawie wycieku wody z kranu w piwnicy. Tu mam zlecenie od mojego szefa. Dzwoniła pani wczoraj.

– Nie musi mi pan przypominać, że dzwoniłam. Pan wchodzi i zamknie za sobą furtkę. – Nacisnęła przycisk domofonu i spojrzała, jak Gösta przechodzi przez bramkę. Odczekała kilkanaście sekund, żeby zdążył podejść bliżej domu, i odezwała się ponownie. – Pan w czarnym mundurze do kogo?

– My z kolegą po jaguara.

– Już otwieram bramę, tylko żeby nie było, że nie mówiłam... To wszystko się nagrywa. Jesteście odpowiedzialni za to, żeby za wami nikt nie wlaźł na posesję. Jasne?

– Tak jest, proszę pani. Jasne.

Nacisnęła przycisk uruchomienia bramy na pulpicie domofonu i podeszła do drzwi, które uchyliła, żeby Gösta mógł wejść, zanim zrobią to ochroniarze. Następnie wróciła do domofonu. – A pan w jakiej sprawie? – zwróciła się do karła.

– W sprawie spadkobiercy.

– Słucham?! Spadkobiercy?

– Tak. Prawnuka pana Stigsona, był u nas wczoraj w radiu i zapomniał zabrać swojego laptopa. Dzwonił dziś i prosił, żeby go tu odwieźć, do jego nowego domu – podsunął pod kamerę macbooka.

– Proszę dać komputer ochroniarzom, będą teraz wjeżdżać na posesję. Przekażę go z pewnością właścicielowi. Do widzenia. – Puściła przycisk połączenia w momencie, kiedy Gösta wszedł do hallu. Wychyliła do dna whisky, szklanekę odstawiła na stolik

pod domofonem. Złapała Gösta za rękę i wciągnęła w głąb domu, bo wyraźnie było słychać, jak samochód z ochroniarzami podjechał pod wejście. Trzasnęły drzwi, a odgłos skrzypiącego pod butami śniegu stawał się coraz wyraźniejszy.

– Jaki mamy plan?

– Jesteś pijana?!

– I chuj? Masz teraz czas na prawienie morałów?

– Hm... Muszę wejść do bagażnika jaguara. Resztę zostaw mnie, jak tylko wyjedziemy, natychmiast jedź do hotelu taksówką, zamówioną przez telefon taksówką. Rozumiesz?

– Anika mi już to mówiła. – Skończyła zdanie, kiedy w drzwiach stańto dwóch postawnych ochroniarzy, Britta spojrzała gniewnie na „hydraulika”. – A szef nie mówił, że miał być pan rano? Spóźnił się pan ponad dwie godziny! – A panowie się rozgospzczą! Tam proszę wejść, do jadalni. Pokażę temu panu, co ma robić, i już się panami zajmuję – powiedziała nieznoszącym sprzeciwu głosem, pokazując jednocześnie palcem jadalnię. Popchnęła delikatnie Gösta w kierunku szarych ognioodpornych drzwi. Następnie przeszli przez pralnię, suszarnię oraz kotłownię i pokonali 10 schodów do obszernego mniej więcej 250-metrowego garażu. Britta zapaliła światło.

– Wow! Ja pierdołę! – powiedział Gösta na widok, jaki odstaniały zapalające się po kolei lampy. Iluminacja garażu dawała wrażenie udziału w show na jakichś targach motoryzacyjnych. – Kurwa mać! Pierwszy raz widzę coś takiego na własne oczy. Jaguar, do którego miał wsiąść, zaiste był najskromniejszym pojazdem stojącym w garażu.

– Koenigsegg... Brabus... Bugatti... Ja pierdołę, po co to temu starcowi? Przecież i tak nie jest w stanie do tego wsiąść?

– Do wsiadania to ma volvo i jaguara. On twierdzi, że te auta to inwestycja. Ale po co inwestować w auta, jak się ma prawie 100 lat? Tego też nie rozumiem i chyba nikt nie zrozumie. A teraz zapraszam do bagażnika – Britta nacisnęła przycisk w pilocie i tylna kłapa jaguara uniosła się do góry.

Mężczyzna wszedł do środka, ułożył się wygodnie w obszernym bagażniku, pod głowę położył sobie koc, który leżał zwinięty

w rolkę wewnątrz auta, i nacisnął przycisk zamykania bagażnika. Britta położyła pilota do samochodu na półeczce pomiędzy przednimi fotelami, trzasnęła drzwiami i poszła do góry.

– A teraz panowie powiedzcie mi, czym mogę wam służyć?

– Weszła do jadalni i zwróciła się do siedzącego pod oknem przystojnego bruneta.

– My tylko mamy zabrać terenowego jaguara. Nic więcej – odezwał się rudzielec siedzący przodem do wejścia.

– A tu jest laptop, który przekazał nam ten krasnal pod domem.

– Karzeł, nie krasnal. – Britta wzięła macbooka i położyła go na blacie kredensu. – No to zapraszam panów do garażu. Pójdę przodem, żeby było nam łatwiej.

Kiedy weszli do garażu, Britta włączyła światło, a obaj ochroniarze zaczęli biegać od samochodu do samochodu, jakby byli dziećmi. Chodzili, cmokali, podziwiali kolekcję i nie szczędzili pikantnych komentarzy na temat dziesięciu superekskluzywnych pojazdów miliardera.

– Panowie, jaguar jest tutaj! – Rozbawiona ich zachowaniem Britta pokazała na stojącego na środku garażu jaguara, na którego obaj w ogóle nie zwracali uwagi.

– A tak... Pani wybaczy, ale takie coś widziałem tylko na kanale Discovery... A teraz nawet tam nie zobaczę, bo puszczają wyłącznie programy o drwalach i kierowcach ciężarówek – powiedział przystojniejszy brunet.

– Gdzie pilot do auta?

– Wszystkie piloty i kluczyki są w samochodach. Zapraszam jednak tylko tutaj. – Znowu się roześmiała i wskazała jaguara. Mężczyźni wsiedli do środka, rudzielec ustawił sobie fotel, lusterka i nacisnął przycisk „START” umieszczony na kremowej desce rozdzielczej. Rozrusznik zakręcił, jednak auto nie odpaliło. Nacisnął ponownie, a sytuacja się powtórzyła. Obaj spojrzeli na Britte, która rozłożyła ręce.

– Nie wiem, to auto jest nowe, przywieźli je z salonu i nikt nim nie jeździł. Sprawdźcie, czy ma benzynę.

– Ma.

– No to nic wam na to nie poradzę. Musicie próbować dalej

– odparła nieco zdenerwowana sytuacją.

Po 10 minutach naciśnięcia przycisku z napisem „START” silnik auta nie wydał z siebie nawet cichego mruknięcia, a akumulator został całkowicie rozładowany.

– Angielskie gównie – powiedział rudzielec, wyjął z kieszeni telefon, naciśnął przycisk i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Szefie, Ragnvald mówi. Jaguar pana Stigsona nie pali i już z pewnością nie odpali. Co mamy robić? – Mężczyzna zdawał się cierpliwie słuchać tego, co ma do powiedzenia szef. – Dobrze, czekam – odpowiedział szefowi i jeszcze raz naciśnął przycisk w desce rozdzielczej. Akumulator był tak słaby, że rozrusznik nie przekręcił się nawet o milimetr. – Halo, szefie, tak, jestem... Tak, rozumiem doskonale. Wykonuję.

Obaj ochroniarze wyszli z jaguara i bez słowa skierowali się do stojącego po lewej stronie garażu czarnego volvo S90. Wsiedli do środka, rudzielec przekręcił pokrętko uruchamiania silnika znajdujące się pomiędzy fotelami i po garażu rozniósł się wesoły dźwięk klekoczącego diesla. – Co zrobić? Miała być cicha benzyna, a będzie traktor – powiedział brunet do zaskoczonej rozwojem sytuacji Britty. – Pani z łaski swojej nas wypuści. Brama!

Britta, chcąc nie chcąc, naciśnęła przycisk w pilocie i jedna z bram garażu zaczęła unosić się do góry. Ledwie podniosła się do połowy, rudzielec dodał gazu, auto wystrzeliło z garażu, kierując się do bramy wyjazdowej z pałacu.

– Wyłaź z auta – wrzasnęła do zatrzaśniętego w bagażniku Gösta i pobiegła do góry, żeby wypuścić ochroniarzy. Patrzyła przez okno, jak brunet przesiada się do żółtego renault, i obaj podjeżdżają pod bramę. Kiedy ją otworzyła i auta zniknęły jej z oczu, zobaczyła, jak kilka pojazdów należących do paparazzich pojechało w ślad za ochroniarzami. Zamknęła bramę, a ponieważ Gösta nie nadchodził, zbiegła ponownie do garażu.

– Otwórz, wypuść mnie, kurwa mać! – usłyszała stłumiony głos kolegi z Mosadu. – Podeszła do drzwi, szarpnęła za klamkę, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Były zamknięte.

– Nie mogę. Auto się zatrzasnęło, zamknęło się same! – Britta

zaczęła nerwowo się rozglądać. W końcu wzięła jeden ze stojących na regale pucharów pana Stigsona i z całej siły walnęła nim w boczne okno. Szyba rozbiła się w drobny mak. Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie, otworzyła drzwi od środka, odbezpieczyła zatrzaski tylnego siedzenia i Gösta wytoczył się z bagażnika do wnętrza auta.

– Dawaj jakiś wóz!

– Możesz jechać wyłącznie moim starym twingo. Reszty aut naprawdę nie wolno nawet odpalać.

Trzydzieści sekund później Gösta przejechał przez bramę posiadłości pana Stigsona i pozostawiając za sobą tumany śniegu, pędził najszybciej, jak mógł, przed siebie. Po około 100 metrach zatrzymał się, trąbiąc obok zaparkowanego po prawej stronie drogi audi A3. Opuścił szybę i zobaczył zdezorientowaną twarz Aniki.

– Jaguar nie odpalił! Gdzie pojechali? Gdzie, kurwa mać, pojechało to volvo?!

– W prawo, w Sockenvägen! Za nimi jedzie kilka samochodów z paparazzimi!

– To wiesz, co masz zrobić!

Gösta wrzucił jedynekę i popędził we wskazanym przez Anikę kierunku. Pani kapitan ruszyła za nim. Po kilku minutach, kierując się w zasadzie wyłącznie intuicją, udało im się dogonić cały peloton, dwa auta prowadzone przez ochroniarzy i pięć samochodów należących do fotoreporterów. Pomędzy kolejnymi światłami przepychali się po dwupasmówce, aby znaleźć się jeden, góra dwa samochody za jadącymi równo obok siebie ochroniarzami. Kiedy samochody skrzyły w wąską, jednokierunkową drogę, volvo przyspieszyło, a kierujący renault ochroniarz zwolnił na tyle, żeby uciekający pojazd mógł odskoczyć. Po chwili volvo stanęło na światłach, ale już dwie przecznice dalej. Wściekłość paparazzich i oficerów Mosadu zaczynała sięgać zenitu, bo renault nie przekraczało teraz prędkości 40 km/godz. W końcu, kiedy stanęło na czerwonym świetle przed szeroką na dwa pasy ulicą, w śledzących wstąpił nowy duch. Każdy miał nadzieję, że dogonią kierowcę volvo.

Wtem w renault włączyły się światła awaryjne, drzwi się otworzyły, a kierowca wyszedł z samochodu, przeciągnął się leniwie i pobiegł wzdłuż stojących za nim pierwszych trzech samochodów, schylając się co chwilę. Dwadzieścia sekund później był już z powrotem w swoim aucie, skręcił w prawo i odjechał, pozostawiając śledzących go fotoreporterów w samochodach z poprzebijanymi oponami. Jako że ulica była jednokierunkowa, a po bokach stały donice i stojaki do parkowania rowerów, o ominięciu unieruchomionych samochodów nie było mowy. Pościg zawiódł na całej linii, kolejna próba zorganizowania cichego zabójstwa Larsa Stigsona się nie powiodła.

Rozdział 26

Maciej włożył do bagażnika czarnego volvo S90 czwartą, ostatnią sportową torbę z zakupami zrobionymi za pieniądze „pradziadka”. Odsunął zamek bocznej kieszeni torby, z którą przyjechał z Polski, i wyjął z niej paczkę czekoladowych przysmaków – Malaga, Tiki Taki i Kasztanki. Trzasnął klapą, wszedł do domu, gdzie poszedł prosto do pokoju, w którym był jego darczyńca.

– Przyszedłem się pożegnać – powiedział, pukając do drzwi. Kiedy po dłuższym czasie nikt nie odpowiedział, zapukał ponownie. Przyłożył ucho do drzwi, za którymi słychać było tylko wyraźne równomierne chrapanie. Postanowił nie budzić staruszka, przekręcił najciszej, jak potrafił klamkę, wszedł do środka sypialni i na stoliku nocnym położył mu paczkę polskich słodyczy. Potem przeszedł jeszcze przez część jadalną domu, gdzie pożegnał się z panem Alfem, który z uwagi na powagę gościa, jakiego ochraniał, całe swoje biuro przeniósł do jadalni.

– Chyba i mnie grypa rozkłada – powiedział, ściskając dłoń Macieja z siłą goryla. – Jedź ostrożnie. I do zobaczenia w styczniu.

– Pan weźmie aspirynę zawczasu, ja już dwie wziąłem. Do widzenia, uciekam, bo nie dotrę na spotkanie z wujkiem – otworzył drzwi i zbiegł do samochodu. W odbiciu bocznej szyby poprawił kołnierz, przeszedł parę metrów, żeby było widać obłądnie ładną sylwetkę samochodu. Selfie wykonał tak umiejętnie, że oprócz jego uśmiechniętej twarzy i markowego auta udało mu się uchwycić większą część domu adwokata Fersena. Usiadł za kierownicą i z uśmiechem na ustach włączył silnik oraz podgrzewanie siedzeń. Przyjemne ciepło w jednej chwili zaczęło pełzać po jego pośladkach i plecach.

Otworzył Facebooka, gdzie na jego profilu biło od powiadomień o nowych zaproszeniach do znajomych i lajkach czy komentarzach. Nie zważając na to, jakby podniecało go ignorowanie rosnącego nim zainteresowania, z dużą

nonszalancją w gestach i mowie ciała umieścił na swoim „wallu” zrobione przed chwilą zdjęcie. Podpisał je krótko: „Takie tam z nowym samochodem... A tymczasem ja się bawię, a pradziadek śpi”. Zadowolony z siebie, niedbale wrzucił telefon pomiędzy fotele i ruszył w kierunku centrum Sztokholmu, gdzie za godzinę i 15 minut miał umówione spotkanie z wujkiem. Podróż według wskazań nawigacji mijła bardzo szybko, ponieważ już po niecałych 40 minutach wjechał w ulicę Strandvägen. Kiedy lektor poinformował, że do celu pozostało tylko 200 metrów, zwolnił i po przejechaniu kolejnych 150 metrów udało mu się znaleźć wolne miejsce parkingowe tuż przed wejściem do Bistro Linné.

Wysiadł z auta, zapiął pod szyję czerwoną pikowaną kurtkę i spojrzał w górę na piękne zabytkowe kamienice stojące po prawej stronie ulicy. Zarówno budynek, w którym mieściło się bistro, jak i budynek przyległego do niego hotelu zrobił na Macieju bardzo miłe wrażenie. Przeszedł 50 metrów i przystanął przed wejściem do hotelu, gdzie po bokach właśnie rozstawiano standy z naklejonymi plakatami, informującymi o zbliżającej się w weekend walce boksterskiej wagi ciężkiej Andriej Gubin vs. Alrik Mortensen. Na plakatach dwóch blondynów wyglądających jak kopie Conana Barbarzyńcy pozowało z nagimi torsami. Kupczyk przepuścił dwie kobiety, spojrzał jeszcze raz na plakat i wszedł przez okazałe drzwi do wnętrza hotelu Diplomat. Nieco zagubiony spojrzał na błyszczącą na ręku nową omegę. „Mam masę czasu, pójdę do baru, coś przekąszę, a może nawet wypiję” – odszukał wzrokiem tablicę informacyjną z napisem: „RESTAURACJA” i śmiałym krokiem poszedł w kierunku masywnych drewnianych drzwi. W środku zamiast przepychu odnalazł białe blaty i czarne krzesła z oparciami na ręce, mniej więcej takie same, jakie można kupić w sieci IKEA, pod oknem stoliki z czarnymi blatami oraz pikowane fotele. Piękno w szwedzkim wydaniu, skromne, ale eleganckie. Rozejrzał się dokładnie po wnętrzu, poszukując jakiegoś przyjemnego miejsca do przetrwania najbliższych 40 minut. W sali restauracyjnej mimo późnej już pory obiadowej tylko trzy stoliki były zajęte. Spojrzał w prawo na długi bar, za którym stały wysokie, czarne

taborety z okrągłymi siedziskami, taka staromodna wersja hokera. Bardzo mu się to spodobało. Podeszedł do baru i usiadł centralnie, pośrodku odliczając mijane taborety. Jego miejsce przypadło dokładnie naprzeciwko brązowej tablicy, na której kredą napisano przysmaki dnia.

– Dzień dobry. Poproszę frytki i kawę – powiedział do barmana z fryzurą wystylizowaną na „Limahla”.

– Jakie frytki?

– Jak to jakie frytki? Normalne, z ziemniaków – odparł szczerze zaskoczony pytaniem.

– To ja wiem. – Barman się uśmiechnął. – Ale francuskie, belgijskie, z frytkownicy na gorące powietrze czy tradycyjne smażone w głębokim oleju, z ziemniaków ekologicznych czy hiszpańskich? Z ketchupem czy bez? A może z sosem majonezowym? Średnie, duże, małe? Lekko solone, mocno czy pan nie używa soli w ogóle? Więc jakie te frytki podać?

– Z Lidla, kurwa mać! Żółte takie! – powiedział sam do siebie po polsku. – Obojętne, jakie frytki, i kawę czarną średnią, bez cukru – dodał po chwili, próbując się nawet uśmiechać.

– Jaki gatunek kawy pan sobie...

– Ożeż w dupę jebany! Obojętne... Kawa i frytki, obojętne jakie. Proszę...

– Polecam panu belgijskie, chętnie się przyłączę, tak jak pan do mojego drinka – usłyszał za sobą pięknie brzmiący kobiecy głos, wypowiadający niemal idealnie słowa po angielsku.

– Jakiego drinka? – Odwrócił się zaskoczony i zobaczył tuż za swoimi plecami piękną dziewczynę, blondynkę z włosami za ramiona, mniej więcej w jego wieku, – Jakiego drinka? – powtórzył cicho oniemiały jej olśniewającą urodą.

– A tego, szanowny panie. – Dziewczyna pokazała na stojącą po jego lewej stronie szklanekę ze zdobieniem Jack Daniel's napełnioną w jednej trzeciej trunkiem i resztkami stopionych kostek lodu.

– To niebezpiecznie tak zostawiać napój na barze bez opieki. Może dorzuciłem coś do niego?

Dziewczyna zajrzała swoimi niebieskimi oczami w jego

niebieskie oczy, odsunęła stołek barowy i usiadła na nim jednym poślądkiem, nie tracąc kontaktu wzrokowego z Maciejem.

– Akurat ty nie musisz niczego wrzucać, żeby się ze mną umówić. Britta jestem – wyciągnęła pięknie wypielęgnowaną dłoń, którą Maciej ujął i polskim, niezbyt eleganckim zwyczajem pocałował. – Mmmm – szybki jesteś, ledwie dwa słowa powiedziałam, a się już do całowania zabierasz.

– Maciej jestem, ale proszę mi mówić Matthias.

– Na długo w Sztokholmie? – zapytała, kręcąc szklanką z whisky.

– Niestety, dzisiaj wyjeżdżam, czekam na wujka, z którym wracam do Polski. A ty?

– Mieszkam tu. – Roześmiała się, odsłaniając piękne śnieżnobiałe zęby i różowiutki dziąsła. – W hotelu się tylko z kimś umówiłam. W sumie to przypadek, że tu jestem.

– Podobno nie ma w życiu przypadków. – Maciej przeszedł na wyczytaną w poradniku „Jak poderwać dziewczynę” bajerę o przeznaczeniu. – Żadne spotkanie nie jest przypadkiem, a doskonale zaplanowanym przez los wydarzeniem.

– Też tak sądzisz?

– Jestem o tym przekonany. Jak tylko ciebie zobaczyłem, coś we mnie drgnęło. Poczułem się tak, jakbyśmy się już kiedyś, gdzieś w poprzednich wcieleniach, spotkali.

– Czyli znalazłam bratnią duszę w hotelu Diplomat. – Znowu się roześmiała, delikatnie przysuwając się w kierunku Macieja. – Tak mogę chyba powiedzieć, bo ja też się tak poczułam, kiedy cię zobaczyłam.

– Podobno jak ludzie się znali w poprzednim wcieleniu... – nagle odezwał się barman.

– Ale my chcemy porozmawiać we dwoje, tylko we dwoje – zbesztła barmana po szwedzku, który teraz ukłonił się, bez słowa odsunął się dwa kroki w prawo i zaczął polerować kieliszki.

– Coś się stało? – zapytał Maciej.

– Nie, tylko zwróciłam mu uwagę, że nam przeszkadza. Dobrze mi się z tobą rozmawia, nie chcę się rozpraszać.

– No tak, ale niestety, jest mi strasznie przykro, bo ja dziś wracam do Polski, ale za dwa tygodnie muszę wrócić tu do mojego pradziadka – przez moment się zawahał, bo już miał na końcu języka chęć pochwalenia się, „kim jest”, ale stwierdził, że dziewczyna może polecieć na niego dla kasy, a nie dla jego urody i charakteru. – Pradziadek mieszka w Sztokholmie od dawien dawna, poznał kiedyś Szwedkę i został tu na stałe – skłamał.

– To całkiem tak jak ty. Też właśnie poznałeś Szwedkę i kto wie, co będzie dalej. – Znowu się uśmiechnęła.

Kiedy barman przyniósł frytki i kawę, nawet nie zwrócili na niego uwagi. Stał kilka sekund, przyglądając się im, pokręcił głową i wrócił do polerowania szkła.

– Skoro dziś wyjeżdżam, to może wymienimy się numerami telefonów? Będzie mi łatwiej ciebie odszukać, kiedy wrócę, będę mógł ci wysyłać zdjęcia...

– A masz Facebooka?

– Jasne, że mam!

– Britta Alva Andersson, tak się nazywam – powiedziała dziewczyna, wzięła frytkę z koszyczka i włożyła ją Maciejowi do ust. – Teraz mnie wpisz.

Maciej wziął telefon do ręki, otworzył aplikację. 56 zaproszeń do znajomych i 139 powiadomień o komentarzach lub lajkach. Dziewczyna spojrzała na jego wyświetlacz i zrobiła zdziwioną minę.

– Chyba dawno tu nie zaglądałeś. Tyle zaproszeń do znajomych? Jesteś jakimś sławnym człowiekiem? Piosenkarzem może czy aktorem?

– Nie. – Maciej się uśmiechnął i zaczął wpisywać jej imię, kiedy jego telefon zadzwonił. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Folke Fersen. – Bardzo cię przepraszam, ale mam służbową rozmowę. Przy okazji skorzystam z toalety.

– Nie ma sprawy, nigdzie się stąd nie ruszam.

Kupczyk zsunął się ze stołka, ruszył w kierunku toalety. – Halo, witam panie mecenasie – powiedział do słuchawki.

– Tu twój pradziad – w słuchawce usłyszał przeziębionego Stigsona. – Gdzie jesteś?

– Jestem w hotelu Dyplomata, umówiłem się z wujkiem, ma zabrać mój samochód na prom. Kazał pan, żebyśmy sobie radzieli, to sobie radzę.

– Świetnie, szkoda tylko, że nie zdążyliśmy się pożegnać. W moim wieku przeżycie każdego dnia to wyczyn... I jeszcze ta paskudna grypa.

– Zostawiłem panu na stoliku polskie przysmaki, cukierki czekoladowe. Warto posmakować, moje ulubione to Malaga, tak jak to hiszpańskie miasto Malaga, i jeszcze Kasztanki, jak kasztan, od kasztana. K A S Z T A N K I – przeliterował powoli.

– To świetnie. Bardzo ci dziękuję. Jak dojedziesz do Polski, daj znać, kontakt do mnie będziesz miał przez mecenasa Fersena. Bon voyage, mój chłopcze – i się rozłączył.

Lars Stigson poprawił poduszkę, którą oparł o szczyt łóżka, i teraz, pół siedząc, mógł lepiej oglądać telewizję. Spojrzał na stojącego w drzwiach sypialni Alfa, a jego twarz rozjaśniała w promiennym uśmiechu.

– Pomyśleć, że w mój dzień zaczynała wkradać się nuda! – podniósł głos. – Pan powiadomi prasę, że spadkobierca Stigsona przebywa obecnie w hotelu Dyplomata. Niech latają i go szukają, wszak nikt, no prawie nikt, jeszcze nie wie, jak on wygląda.

– Dobrze, panie Stigson.

– Trzeba podkreślić nieco atmosferę. Bo co mi tam z tego życia zostało? Ten chłopak to teraz moja jedyna rozrywka i jedyne emocje... Muszę mieć z tego show. Show na miarę naszych czasów, zresztą kto wie, może go te pazerne świnię faktycznie zabiją... Jednak byle nie za szybko. – Zaśmiał się i sięgnął po woreczek z cukierkami zostawionymi przez Macieja. Wyjął jednego, uważnie obejrzał i podał Alfowi. – Wyglądają przepysznie. Co by nie powiedzieć, to Polacy wyroby czekoladowe zawsze mieli na wysokim poziomie – wyjął kolejny cukierek, odwinął papierek z napisem „K A S Z T A N K I” i włożył go sobie do ust.

Kupczyk wyszedł z ubikacji, tanecznym, pełnym szczęścia krokiem minął recepcję i udał się w kierunku restauracji.

– Maciej! – usłyszał znajomy głos wujka za swoimi plecami.

– Cześć wujku! – Odwrócił się zaskoczony, szukając wuja wzrokiem. Dopiero kiedy spuścił głowę, zobaczył swojego chrzestnego siedzącego przy stoliku w lobby hotelowym. Stolik był nieco schowany za ogromną hotelową choinką, przyozdobioną jak co roku w bordowo-złote, firmowe kolory hotelu Dyplomata. Obok wujka siedział karzeł z podbitym okiem, aktówką na kolanach i z zawziętą miną mieszał łyżeczką kawę. – Jestem trochę wcześniej, ale się wujek mną nie przejmuję, mam zajęcie. Nie będę przeszkadzał.

Miedzianowski wstał od stolika, obszedł choinkę, podszedł do Macieja, cmokając i pogwizdując. – Jak ty ładnie wyglądasz. – Następnie odszedł parę kroków w tył i oglądał go jak manekina w sklepie z odzieżą. – Jesteś taki... Odmieniony, jak nie ty.

– Wydaje się wujkowi, to może przez nowe spodnie i bluzę. Na Gwiazdkę sobie kupiłem.

– Ja już kończę, dosłownie minutkę, a skoro już jesteś, to pójdziemy coś zjeść przed drogą, najlepiej do Bistro Linné, mamy przynajmniej godzinę.

– Mam kurtkę w restauracji i muszę się z kimś pożegnać. Wujek idzie, ja już tam dojdę, wiem, gdzie jest Bistro, mam tam zaparkowany samochód. Dwie minuty i jestem.

Nie czekając na odpowiedź, chłopak pobiegł w kierunku restauracji. W biegu otworzył drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. Wujek odprowadził go wzrokiem i wrócił do stolika. Usiadł naprzeciw karła i podniósł filiżankę z espresso do ust.

– Serio jesteś pewien, że Żydki z Mosadu postanowiły przejąć nasz cel za pomocą podstawionego spadkobiercy Stigsona? – zapytał karzeł.

– Nie ściągałbym cię do Sztokholmu, gdyby sytuacja nie była poważna. Najpierw mieliśmy informację, że będzie to kobieta... Jednak od trzech dni trwa tu histeria, bo Stigson rzekomo

wykonał badania DNA i znalazł swojego prawnuka. Do tego nikt nie wie, jak on wygląda.

– Laptopa, tego macbooka ze specjalną niespodzianką, zawiozłem do domu Stigsona, jak tylko przyleciałem z Paryża. Zapalnik nastawiłem na 7 minut od momentu włączenia laptopa.

– Nie wtrącam się w takie rzeczy, wiesz, co robisz. Roberto mówi, że jesteś najlepszy, a ja mu wierzę.

– Ale widzę, że się martwisz. Daj spokój, w dzisiejszych czasach elektronicznej inwigilacji nie da się pozostać anonimowym. Będziemy wiedzieli, jak wygląda szybciej, niż myślisz.

– Tym się nie martwię, jutro „Dagens Nyheter” ma zamieścić jego zdjęcie i jakiś wywiad. Chwalą się tym od samego rana, że mają wyłączność. Musisz go zlokalizować i zlikwidować. Środki masz w zasadzie nieograniczone.

– Dobrze, nie przejmuj się, ja pracuję nad tym, od kiedy wyszedłem z samolotu. Obiecałem każdemu ze stojących pod domem Stigsona paparazzi po tysiąc euro, jeżeli podadzą, gdzie obecnie przebywa spadkobierca. Odezwą się szybciej, niż myślisz.

– Dobrze. Ja idę z moim siostrzeńcem na lunch, później jedziemy na prom do Nynäshamn. Kontakt ze mną jak zawsze przez grę w czołgi w wyjątkowych przypadkach przez TELEGRAF. Miłej pracy. – Miedzianowski wstał od stołu, założył na siebie kurtkę i wyszedł z hotelu, kierując się w lewo, wprost do Bistro Linné. Kiedy wszedł do środka, akurat zwalniało się miejsce pod oknem z widokiem na ulicę Strandvägen. Wnętrze tego najbardziej luksusowego bistro, a w szczególności gustowne dekoracje, przykuwały wzrok każdego, kto tam wchodził. Można było jeść tam nawet co tydzień, to jednak wewnątrz zawsze odkrywało się na nowo. Kiedy piegowaty kelner wysprzątał stolik, Miedzianowski usiadł na wygodnym krześle i zapatrzył się na stojącą na stole pod szarą, kamienną ścianą prezentację szampanów.

– Pożegnałeś się z koleżanką? – powiedział na widok Macieja, który otrzepywał stopy ze śniegu na wycieracze.

– A skąd wujek wie, że to była koleżanka?

– Ja wiem wszystko i jeszcze więcej! Miałeś rumieńce, jak wyszedłeś z toalety. Więc albo miałeś wyjątkowo dokuczliwe zatwardzenie, albo chodzi o kobietę. No, chyba że trzepałeś kapucyna?

– Nie, no skąd! Dziewczynę fajną spotkałem w restauracji, kiedy czekałem na wujka. Ale kiedy wszedłem tam z powrotem, to barman powiedział, że przyszedł po nią ktoś z rodziny i szybko wyszli. Na szczęście wiem, jak się nazywa... Ale piękna była.

– Czy ty się czasem nie zakochałeś?

– Nie, no skąd! Tak w pięć minut to chyba jest niemożliwe się zakochać, takie rzeczy wuju to tylko w kinie albo u chorych psychicznie.

– Zapamiętaj to, co ci powiem teraz na całe życie, to przestroga. Miłość to toksyna, która z mózgu robi papkę i pcha człowieka do robienia głupot. Zakochany mężczyzna jest jak zombi. Strzeż się miłości, bo źle skończysz... W najlepszym wypadku czeka cię tylko niesmak.

Rozdział 27

Arnaud Pieto siedział na łóżku w sypialni i owijał elastycznym bandażem świeżo zmieniony opatrunek na łydce. Kiedy skończył, wykonał dwa przysiady, sprawdził, czy bandaż się nie zsuwa, po czym ubrał wygodne szerokie jeansy. Zadowolony z siebie odwrócił się i kolejny raz zrobił przegląd walizki. Oprócz unikalnych wykonanych przez niego samodzielnie wytrychów, noktowizora i tabletu ze specjalnym oprogramowaniem do walizki trafiły tylko rzeczy osobiste, potrzebne do codziennego funkcjonowania w podróży. Sweter, koszula, T-shirty, zapasowe spodnie, bielizna, skarpety, wypchana do granic możliwości kosmetyczka, kalesony, futrzana czapka, ciepłe rękawice oraz kilka mniej ważnych drobiazgów. Na wierzch położył dwa granatowe ręczniki i zamknął walizkę na zamek. Następnie przeszedł do kuchni, zrobił sobie kawę espresso, wziął z blatu laptopa i zasiadł przy małym kuchennym stole. Jako że samolot rejsowy Lufthansy do Gdańska z przesiadką we Frankfurcie odlatywał o godzinie 18.30, z niczym nie musiał się spieszyć, miał jeszcze spokojne pół godziny dla siebie. Sprawdził raz jeszcze elektroniczny bilet w telefonie, po czym włączył macbooka, otworzył program do śledzenia nadajnika GPS i spojrzał na mapę, która wyświetliła się na ekranie. Niebieski punkt mrugał dyskretnie i wolniutko przesuwał się na monitorze w prawą stronę mapy Europy. Wyświetlone pod punktem cyfry oznaczały prędkość, z jaką poruszał się samochód. Pieto sięgnął po telefon, przytrzymał przycisk numer 2 i przyłożył telefon do ucha.

Podświetlony delikatną białą poświatą zegar na środku deski rozdzielczej mercedesa klasy S 6.3 AMG pokazywał godzinę 16.15. Yves Lavoisier i Timon Thouvenin wygodnie rozparci w kremowych skórzanych fotelach odprowadzili wzrokiem tablicę wyznaczającą zjazd na Kołbaskowo. Właśnie wjechali do

Polski bez zbędnej straty na granicy. Strefa Schengen to dar dla każdego podróżnika. Zarówno turysty, jak i przemytnika czy złodzieja. Nowo wybudowana, odśnieżona droga szybkiego ruchu zachęcała do szybkiej jazdy. Dokładnie w chwili, kiedy spojrział na wyjęty ze schowka telefon, ten zadzwonił, a jego wyświetlacz rozbłysnął jaskrawym światłem. Timon wziął smartfona do ręki i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Cześć wujku!

– Cześć Timon! Gdzie jesteście?

– Drogi wujku, wszystko idzie zgodnie z planem, właśnie wjechaliśmy do Polski.

– Droga dobra aby? Odśnieżona?

– Drogi są nadspodziewanie dobre. Nawigacja pokazuje, że następne 270 kilometrów mamy jechać ze Stietina do Bygoscycy pięć godzin. Ale to chyba niemożliwe, przecież drogę mamy jak stół. W każdym razie poradzimy sobie bez względu na wszystko. Co u wujka? Jak noga?

– Jeszcze trochę boli. Mówią, że za jakieś pięć dni wypiszą mnie ze szpitala, ale co cierpię, to moje. Dostałem tabletki przeciwbólowe, poczytam chwilę i pewnie po 18 pójdę spać.

– Dobrze. Niech wujek wypoczywa i niczym się nie martwi. Damy sobie radę.

– To do usłyszenia.

– Paaa. – Timon położył telefon między fotele, spojrział na wyświetlacz, po czym zgodnie ze wskazaniem nawigacji zjechał w prawo i mocno docisnął pedał gazu. Setki koni mechanicznych zabulgotały pod maską, a auto pomknęło do przodu jak wystrzelone z katapulty. Z każdym przejechanym kilometrem liczba lamp na poboczach malała, aby w końcu po przejechaniu niecałych 30 kilometrów przykryć krajobraz nieprzenikniętą ciemnością. Samochodem co chwila zaczęły wstrząsać drgawki spowodowane ubytkami w asfalcie, przez co Timon dosyć mocno ograniczył prędkość. Poprawił się niepewnie w fotelu i złapał mocno oburącz kierownicę, bo auto zaczęło wozić po głębokich koleinach. Coś takiego widział pierwszy raz w swoim życiu. Jednak po chwili koleiny zniknęły i przed nimi pokazał się gładki

jak stół asfalt. Znowu mógł dodać gazu i przyspieszyć.

– Myślałem, że jak się skończyła ta dwupasmówka, to już teraz cały czas będzie dziurawa droga... Aż się spociłem. To był chyba jakiś odcinek eksperymentalny, przecież nikt normalny nie oddałby takiej drogi do ruchu.

– Tak, pewnie robią tu jakieś pomiary. Dwupasmówka się skończyła pewnie tylko na chwilę – powiedział Yves, ziewając.

– Na szczęście już po wszystkim, asfalt gładziutki jak u nas. Jesteśmy w kraju polskich gamoni, jednak widać, że odrobili lekcje, i teraz drogi mają dobre! – powiedział Timon, czochrając się prawą ręką po włosach.

BUM! JEB! BUM! BUM! – Seria głośnych uderzeń rozdarła ciszę wewnątrz samochodu. Hałas był tak intensywny, że obaj odnieśli wrażenie, iż przód auta zaraz odpadnie. Chrząst wyginanego metalu i gniecionej blachy narastał. Kierownica trzymana jedną ręką przez Timona przekręciła się i samochód zarył prawą stroną w zaspę znajdującą się po prawej stronie drogi.

– Bomba! Kurwa, ktoś nam podłożył bombę! – krzyknął przerażony Yves.

– Wyskakuj z auta! Wyskakuj! – wrzasnął w panice Timon, szeroko otworzył drzwi i na szczupaka rzucił się w kałuże pełne rozmokniętego śniegu, który znajdował się na drodze po posypaniu solą. Przejeżdżający tuż obok TIR donośnie zatrąbił, jego wielkie koła wpadły w znajdującą się tuż obok dziurę w jezdni, chlustając śnieżno-błotną breję wprost do wnętrza mercedesa.

Ociekający od lodowatej wody Timon szybko zerwał się z pozycji leżącej na nogi i zszokowany stanął z przodu samochodu. Gładki asfalt, o którym przed chwilą mówił, skończył się niespodziewanie po przejechaniu 500 metrów. Teraz w świetle przejeżdżających wolno ciężarówek widział skupisko ogromnych dziur, wyrwanych z nich, toczących się po drodze kawałkach asfaltu i wapiennego tłucznia wypłukanego z dziur zrobionych przez mróz.

– Wpadliśmy w dziurę, dziury! Serię dziur! – krzyknął do Yves'a, który wyglądał niepewnie zza dużej zasy.

– No co ty?! Przecież to niemożliwe. Nie ma takich dziur, które mogą zniszczyć mercedesa! – powiedział, patrząc na wyrwane przednie prawe koło i pęknięty, leżący na ziemi zderzak.

– A jednak. Trzeba teraz znaleźć kogoś, kto opiekuje się tym eksperymentalnym odcinkiem, pomoc jakąś wezwać.

– Ja nadal nie wierzę. To niemożliwe, żeby takie dziury były w asfalcie, że mogą urwać koło. Przecież to też Europa. Może mają nas na kamerze? Na pewno mają, skoro to eksperymentalny odcinek drogi.

– Latarkę, daj latarkę! Muszę ocenić szkody.

– O kurwa!

– Co?!

– Nie mamy latarek! Zapomniałem!

– Jak zapomniałeś?!

– Normalnie, kurwa mać, zapomniałem. Zresztą czytałem ci listę i sam stwierdziłeś, że wszystko, co powinniśmy wziąć, jest w samochodzie.

– Ja stwierdziłem?! Potwierdzałem tylko, to co czytałeś, nie było na liście latarek, to nie potwierdziłem. Nie próbuj zwalić teraz winy na mnie, bo to ty nie zabrałeś tych pieprzonych latarek!

– W komórce masz latarkę!

– Latareczkę, nie latarkę... Potrzebuję normalnej, dużej LED-owej latarki!

– Nie mamy takiej! Nie wyżywaj się na mnie, zawsze jak coś nam nie wychodzi, to jest na Yves'a!

– Nic nie jest na ciebie. Wyłącznie stwierdziłem fakt, że to ty nas pakowałeś i nie zabrałeś latarek. I to właśnie dlatego nie mogę dokładnie obejrzeć, co się stało z kołem!

– Urwane jest! Kurwa, co się stało z kołem?! Widać, że leży pod podwoziem... Sam w dziurę wjechałeś, a teraz na mnie, że latarki nie wziąłem...

– I w ogóle to wejdźmy do auta, bo zaraz nas ktoś przejedzie. Latarki nie zabrał, strach pomyśleć, co będzie dalej – Timon mamrocząc pod nosem, zrzucił zziębniętą ręką śnieżną breję z siedzenia kierowcy i wszedł do auta. Począł chwilkę, aż Yves zajmie miejsce w środku, i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik

ryknął, a do środka zaczęło momentalnie dmuchać ciepłym powietrzem. Timon chciwie przyłożył dłonie do kratki na desce rozdzielczej, próbując ogrzać skostniałe dłonie. Ciepłe powietrze opływało jego sztywne z zimna palce, kiedy podgrzewane siedzenie zaczęło oddawać ciepło w pośladki i plecy, zrobiło mu się błogo. Niespodziewanie tuż obok nich zatrzymał się żółty samochód pomocy drogowej. Kierowca włączył światła awaryjne, następnie wewnętrzna lampka w kabinie zapaliła się, rozświetlając ciemność żółtym, nieco drażniącym kolorem. W jej poświacie widać było, że kierowca najpierw czegoś szukał, a później tym czymś uderzał o deskę rozdzielczą. Gdyby robił to latem, można by pomyśleć, że zabija muchy, jednak zimą jego zachowanie wyglądało na co najmniej dziwne.

– No mówiłem, że to musi być odcinek specjalny, sam widzisz, że przyjechali, zanim zdążyliśmy wziąć komórkę do ręki. Wcale latarka nie będzie nam potrzebna – powiedział Yves z kpiną w głosie.

Kierowca pomocy drogowej wysiadł na zewnątrz, podszedł do drzwi mercedesa i zapukał w boczną szybę.

– Latarka mi się zepsuła. Macie panowie latarkę? – To były pierwsze wypowiedziane po polsku słowa, jakie usłyszeli. Spojrzeli na siebie zdumieni, jakby dopiero teraz uświadomili sobie, że mówią w zasadzie tylko po francusku, bo ich angielski pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Ponieważ pomimo wypowiedzianych słów kierowca pomocy drogowej nie uzyskał odpowiedzi, przeszedł do przodu uszkodzonego auta i spojrzał na rejestrację. Po czym ze zrozumieniem pokiwał głową i podszedł jeszcze raz do drzwi mercedesa.

– Kopytko się podwinęło. Hłe, hłe, hłe! – zaśmiał się głupawo. – Łi, Łi o żordłi. Hłe, hłe, hłe! Francuzi. Nicht fersztejen polski? Eee? Latarkę? No la – tar – kę? La – ta – re – czkę? Macie panowie? W CB-radiu powiedzieli mi, że ktoś wpadł w dziurę, to jestem, ale bez latarki nie będę widział, jak linę podczepić. He?

– Dobrze, że pan przyjechał. Wpadliśmy w dziurę, a mój kuzyn nie zabrał nawet latarki – Timon powiedział najwyraźniej, jak

umiał, wolno cedząc słowa po francusku. – Latarki! Lanterne, l a m p e, l a m p e d e p o c h e! – powtórzył trzy razy.

– A! Łi, Łi! Lampę! Jednak rozumiecie coś po polsku!

– Lampe! Oui!

Kierowca odwrócił się do szoferki i sięgnął z siedzenia po zepsutą latarkę.

– Oui! Widzisz Yves, nie jest tak źle. Polak nas rozumie – powiedział szczęśliwym głosem.

– L a m p a n i e d z i a ł a. – Bezradnie rozłożył ręce. – A co, umiecie naprawić?

Yves wziął z ręki Polaka latarkę i wcisnął przycisk. Jednak światło się nie zaświeciło. – Timon, ta latarka nie działa! Po co on nam daje zepsutą latarkę?! – zakomunikował zdziwionym głosem.

– Łi, łi! Coś się zepsuło. Nie działa. – Kierowca wzruszył ramionami i zastygł w oczekiwaniu na sprawną latarkę, którą, jak podejrzewał, mieli Francuzi. Seria kolejnych niespodziewanych wymian gestów i zdań utwierdziła obie strony, że będą musieli sobie poradzić bez latarki. Po godzinie zmagających na wyszarpaniu mercedesa z zaspą i wciągnięciu go na lawetę wszyscy trzej wsiedli do szoferki i samochód pomocy drogowej ruszył w nieznanym kierunku.

– Jak najszybciej musimy zawieźć samochód do serwisu! Serwisu Mercedesa! Oui? – zakomunikował Yves, rysując w powietrzu znak firmowy firmy Daimler-Benz.

– Aaa! Serwis Mercedes! Łi, łi! Heniek jestem, 500 euro holowanie. – Podał brudną od smarów i błota rękę siedzącym po prawicy kuzynom. – H e n i e k! Ja H e n i e k! – Pokazał ręką na swoją pierś ubraną w kurtkę moro, której lata świetności minęły na pewno ze dwie dekady temu.

– Aaa! Henek! Ja jestem Mauricio, a to mój kuzyn Jean. – Podał fałszywe imiona Timon.

– Serwis Mercedes jest u mojego kolegi Bogdana – powiedział, podkreślając wąsy mysiego koloru. – On wam naprawi auto. Jest lepszy niż serwis Mercedes w Szczecin. Jest duuużo lepszy i tańszy. Ja 500 euro za holowanie.

– Oui! Serwis Mercedes i otel! Otel?!

– Jaki tam hotel. Pieniądze będziecie wydawać. Moja konkubina Jadwiga, kobieta znaczy się, ma pokoje gościnne. Może nie luksusowe, ale bardzo, bardzo wygodne i tanie. Sto euro za noc... Od osoby ma się rozumieć. Może to nie Hilton, ale naprawdę będziecie zadowoleni.

– Oui! Hilton! Oui! – Yves aż klasnął w ręce na myśl o dobrej kolacji ze słodkim deserem i dwóch, no może trzech kieliszkach dobrego wytrawnego wina.

– No! Hilton. No! Hilton! – powtórzył. – Jadzia hotel! Prześpicie się wygodnie, a jutro Bodek naprawi wam to urwane koło.

– Yes, yes! Now Hilton. You drive thru! Hilton first! – Szczęśliwy Timon zdobył się na wypowiedzenie kilku słów po angielsku, mimo że szczerze tego nie lubił.

– Cieszę się, że się zgadzamy. No! Hilton. – Skręcił z głównej drogi w lewo, a dokładnie w kierunku Goleniowa.

Po kilku kilometrach pomoc drogowa zjechała na połą, zasypaną śniegiem, dziurawą drogę. Pokonanie kolejnych dwóch kilometrów z ciężkim mercedesem na lawecie zajęło 10 minut. Gęsty las i ciemna noc potęgowały wrażenie nieprzeniknionej ciemności. Kuzyni zaczęli najpierw nerwowo się wiercić, a później szeptać sobie na ucho.

– Co to za droga? Chyba nie do serwisu czy hotelu?! – zaczął Yves.

– Może to jakiś skrót?

– Ja mam złe przeczucia. Ten Polak chce nas chyba wywieźć do lasu i zabić. To pułapka.

– Możliwe, że masz rację... Żle to wygląda.

– Z tą dziurą w jezdni to była aranżacja, za szybko się pojawił z pomocą. Mam wrażenie, że on tam gdzieś czekał i obserwował drogę... Kto wie, może ta dziura to jego robota?

– A może wpadamy w psychozę? To inny kraj, może tak tu ludzie podróżują? On na pewno zna okolicę jak własną kieszeń.

– Właśnie dlatego tu wjechał. Załatwi nas! No, chyba że my załatwimy najpierw jego. Musimy działać, i to natychmiast!

Timon na chwilę spuścił głowę. Wahał się i zastanawiał

jednocześnie, jak rozwiązać zaistniały problem. „Wszak w każdej chwili kierowca może wyjąć ukryty pistolet i ich zastrzelić, może w lesie czekają jego wspólnicy”.

– Uderzę go zaraz w krtań i obezwładnię. Uważaj, będę atakował – syknął do ucha kuzynowi i przysunął się nieco do kierowcy.

– Teraz?!

– Tak, teraz.

– Aaaaa! Aaaaa! – Krótki okrzyk, który wydobył się z gardła obu kuzynów, wywołany był nagłym błyskiem wewnątrz szoferki. Oślepieni krzyknęli tak głośno, że kierowca Heniek podskoczył na siedzeniu.

– Hłe, hłe, hłe! – Heniek śmiał się z całych sił. – Choinki się zabojady wystraszyły! Ale z was bohaterowie – mówił i naciskał umieszczony na desce rozdzielczej przycisk, którym co chwila włączał i wyłączał całkiem sporą plastikową choinkę zamontowaną na przednim podszybiu.

Kuzyni spojrzeli na siebie i parsknęli głośnym śmiechem. Stres, napięcie zostało w jednej sekundzie zastąpione salwą historycznego śmiechu, który przerodził się w spazmatyczny rechot oraz pokazywanie sobie palcami sztucznej, obskurnej choinki. Choinka bowiem wykonana była ze splecionego drutu, pomiędzy który ktoś powcisnął powycinane z folii zielone paski. W miejscach, gdzie nie było owych pasków imitujących igły, przyklejone były żarówki. Całości tego bożonarodzeniowego koszmaru dopełniały ślady srebrnej i białej farby.

– To tutaj! Jesteśmy w serwis! Mercedes serwis! – Przez śmiech usłyszeli słowo „serwis” i Timon odruchowo podążył wzrokiem za palcem kierowcy Henryka, który właśnie pokazywał na ledwo oświetlony stary zniszczony budynek położony jakieś 20 metrów od gruntowej drogi. Kiedy wjeżdżali na ogrodzone starą zardzewiałą siatką podwórko, obaj Francuzi najpierw zwrócili uwagę na ogromnego psa przywiązanego do wyłamanych wrót bramy wjazdowej, a później w reflektorach pokazały się oprószone cienką warstwą śniegu, dwa mercedesy klasy S, trzy BMW serii 7, jaguar F-Pace, koenigsegg regera, bentley

continental, pagani zonda oraz porsche cayenne turbo. Budynek, obok którego tak licznie stały jedne z najlepszych aut na świecie, sprawiał wrażenie, że zaraz się rozpadnie. Tynk odpadał z niego całymi płatami, odsłaniając białe pustaki. Namalowany dawno temu na ścianie czerwony napis: „Serwis pojazdów zagranicznych” zdawał się jednak nie tracić na ważności. Na przedzie budynku niczym ogromne usta widniały połatanе wstawkami z metalu, niedbale pomalowane na niebieski kolor dwuskrzydłowe wrota warsztatowe.

– Co to, kurwa, jest? Warsztat w środku lasu?! – zapytał sam siebie zaskoczony Yves.

– Jakiś multiserwis... Sądząc po autach... Chyba multiserwis.

– U nas takie auta to stoją pod kasynem w Monte Carlo, a tu o proszę... Kurwa, w lesie sobie stoją.

– To musi być jakiś multiserwis...

– Zapewne renomowany... Pewnie auto zastępcze nam dadzą...

– Ja pierdzielę... Nie wierzę w to, co widzę! – Timon złapał się oburącz za głowę i wlepił wzrok w stojące pod płotem samochody.

– Na Polskę mówi się Meksyk Europy, ja jednak myślę, że... – nie dokończył rozpoczętego zdania Yves, bo jedno skrzydło niebieskich wrót się rozwarło i naprzeciw nich wyszedł ubrany w niebieski kombinezon grubszy mężczyzna, którego twarz przyozdabiały grube, czarne wąsy. Wewnątrz całkiem obszernego warsztatu od razu rzuciło się w oczy stojące na podnośniku lamborghini reventón, przy którym majstrował inny mechanik. Ten z kolei wyglądał jak klon kierowcy Henia. Przyprószone włosy, ogorzała twarz, siwe wąsy, a wszystko to ubrane w nieśmiertelne moro. Yves wzdrygnął się, pociągnął za rączkę od drzwi i wyskoczył na śnieg, wprost przed oblicze wąsatego mechanika.

– Salut!

– Co?! – odparł zaskoczony mechanik.

– Daj spokój, to Francuzi, niczego nie rozumieją – powiedział Heniek, podszedł do mechanika i „przybił z nim piątkę”.

– Ujechało im koło na mojej dziurze kilometr za Orlenem.

– Nie rozumieją, ale lepiej za dużo przy nich nie mówić.
– Wąsaty mechanik spojrział na ziejące pustką miejsce po kole i ze zrozumieniem pokiwał głową. Timon i Yves stali dwa kroki obok i obaj ze wszystkich sił starali wyłowić się jakieś słowa, które będą brzmiały znajomo, podobnie, tak aby mogli zrozumieć choć kontekst rozmowy. Rozmówcy wymienili ze sobą kilka zdań, jednak kuzyni nie zrozumieli z nich niczego. Dopiero kiedy kierowca Heniek zaczął tłumaczyć im, kontynuować rozmowę, odnajdując przy okazji w sobie duże pokłady talentu pantomimicznego, wszystko zaczęło przybierać dla nich bardziej zrozumiałą formę. W ruch poszły ręce, nogi, plecy, rysowanie na śniegu, gwizdanie czy inne dźwiękonaśladowcze porykiwania i innej kategorii onomatopeje. Ustalono, że holowanie kosztuje 500 euro, a auto zostanie naprawione na jutro do południa za 6 tysięcy euro. Mechanik Bodzio, do którego należał warsztat, zapewnił, że oczywiście dokona wpisu do książki serwisowej pojazdu, posługując się pieczętką autoryzowanego serwisu Mercedesa, bo taki właśnie serwis prowadzi.

Mercedes Francuzów został ściągnięty z lawety. Wszystkie bagaże zostały wyjęte z bagażnika i pieczołowicie ułożone w samochodzie pomocy drogowej. Dochodziła godzina 20, kiedy kuzyni zajęli miejsca w sfoferce. Nie było im zbyt wygodnie, gdyż bagaże znajdowały się w każdym miejscu w kabinie. Po prostu siedzieli na nich, mieli je nad głową, na półce i pod nogami. Ściśnięci jak śledzie czekali zniecierpliwieni, kiedy kierowca Henryk zajmie miejsce za kierownicą i zawiezie ich do upragnionego Hiltona. Po mniej więcej 10 minutach drzwi otworzyły się i Heniek z trudem, sapiąc, wdrapał się na siedzenie kierowcy. Zatrzasnął drzwi i w jednym momencie po sfoferce rozniósł się smród papierosów pomieszany z odorem wydychanego alkoholu. Szyby w aucie zaparowały natychmiast. Heniek, błędząc chwiejną ręką po omacku, włączył oświetlenie na szpetnej choince zamontowanej dokładnie na środku deski rozdzielczej. Światło rozjaśniło mrok panujący w aucie, oświetlając wykrzywione w grymasie zdumienia twarze kuzynów. Obaj oszołomieni widokiem przyglądali się Heniowi,

który głośno czkając, zataczał się na siedzeniu i próbował trafić kluczykiem do stacyjki.

– Kurwa! On jest kompletnie pijany! – krzyknął Yves.

– Pijany?! On jest nieprzytomny! Kiedy zdążył się tak urządzić?

– To nie może być tylko alkohol, nie było go z nami przecież niecałe 15 minut.

– Myślisz, że się naćpał?! Nie wygląda na narkomana...

– Ja ci mówię, że wziął LSD! Zaraz zobaczy smoka albo się zacznie głupio śmiać.

– Hę, hę, hę! – Roześmiał się Henryk, zanim Yves skończył zdanie. – Hę, hę, hę! W tym momencie drzwi od strony kierowcy otworzyły się i pojawił się w nich jeszcze bardziej pijany mechanik Bodziu z niedopitą butelką wódki o pojemności 0,7 litra.

– Eeee! Nieee dopiłeś swojej flachy! W chuja chcesz mnie zrobić?!

– Bodek, nieee pierdol! – Henryk wyrwał z rąk kolegi butelkę i już miał się z niej napić. Jednak zatrzymał się i powoli jak robot odwrócił się w stronę Francuzów. Wytarł szyjkę butelki rękawem i podsunął ją pod nos Timona. – Golnicie żaaabojady? E?! – Kiedy zobaczył jego szczerze przerażoną twarz, wzruszył ramionami, przewrócił oczy białkami do góry. – No to nie golnicie – powiedział i przytknął szyjkę butelki do ust, i przechylił wprawnym ruchem dnem do góry. Ćwiartka wódki w trzy sekundy znalazła się w brzuchu kierowcy, który teraz wytarł twarz rękawem i głęboko dwa razy westchnął.

– To jest niemożliwe. On zaraz umrze! Czytałem w internecie, że jak się wypije więcej niż pół litra od razu, to śmierć jest pewna – prawie wykrzyczał z siebie Yves, łapiąc się uchwyty na desce rozdzielczej.

– Oni tu tak chleją i nikt od tego tu nie umiera. O tym to ja czytałem w necie i to wiele razy. Na sto procent to nie było LSD, tylko wódka... Choć po takiej ilości pewnie też można zobaczyć smoka.

– O ja cię pierdołę. – Yves złapał się za głowę. – To jak my teraz dojedziemy do hotelu?! No i jak ten mechanik naprawi nam na

jutro auto?! Jestem załamany, sytuacja jest patowa! Może zadzwonimy po taksówkę?

– No to, kurwa, weź telefon i dzwoń! Tylko ciekawe, po jakiemu się dogadasz? I jaki adres podasz? Że niby gdzie ma przyjechać? Do lasu, kurwa? Zresztą nawet jakbyś znał język, to i tak pewnie byś się nie dogadał, bo wszyscy w koło są pijani – ostatnie zdanie wypowiedział scenicznym szeptem, nadając swojej wypowiedzi złowieszczy charakter.

– Skąd to wiesz?!

– Nie wiem, czy można wierzyć w to, co jest napisane w internecie, ale tam pisali, że tu co weekend policja łapie prawie tysiąc pijanych kierowców. Chodzą pogłoski, że stale po drogach może jeździć ich nawet kilka tysięcy.

Heniu beknął głośno, zasalutował na pożegnanie koledek, zatrzasnął drzwi i odwrócił się do kuzynów. Jego twarz wyglądała jak wystawiony na działanie promieni słonecznych czekoladowy batonik. Wszystkie mięśnie twarzy zwiotczały, skóra wisiała, tworząc fałdy nachodzące jedna na drugą, a wąs wyglądał jak wskazówki zegara pokazujące godzinę 7.25.

– Je ziem otel – Heniek wymówił kilka słów w nieznanym dialekcie. – Nie zmieniając debilnego wyrazu twarzy, patrzył spode łba na oszołomionych Francuzów, próbując włożyć do stacyjki kluczyk.

Kiedy wreszcie mu się to udało, samochód prawie natychmiast ruszył. Yves skrył twarz w dłoniach, a Timon z niedowierzaniem patrzył na kierowcę Henryka i profilaktycznie zaczął szukać pasów bezpieczeństwa. Po dłuższej chwili nerwowego obmacywania zakamarków siedzeń odnalazł wciśniętą za oparcie klamrę z pasem. Pociągnął za nią, a pas bezwładnie wytoczył się z puszkii niczym puszczona w ruch rolka papieru toaletowego.

– Zepsuty! Kurwa zepsuty! – Prawie rozhisteryzowany podetknął klamrę pod nos Yves'a, który teraz ze wzrokiem wlepionym w prędkościomierz przełykał głośno ślinę.

– Boże, tyle niebezpieczeństw przeżyłem, ale zawsze miałem wrażenie, że panuję nad sytuacją, że moje życie jest w moich

rękach. A teraz czuję, że straciłem kontrolę nad wszystkim, i przysięgam, że jeszcze nigdy się tak nie bałem, jak teraz się boję! – przekrzykując wyjący silnik, Yves kurczowo zaciskał dłoń na uchwycie zamontowanym na desce rozdzielczej.

Mniej więcej po 15 minutach Timon, który siedział bliżej Heńka, był skrajnie wyczerpany łapaniem za kierownicę i przywracaniem pojazdu na właściwy tor jazdy.

– Może się zamienimy miejscami? Ręce mi mdleją od tego stresu?

– Siedź i się nie ruszaj. Przecież musimy być gdzieś blisko hotelu, jedziemy przez te lasy i jedziemy. Najwyższy czas na jakąś cywilizację.

Kiedy samochód skręcił z „głównej” drogi, według drogowskazu Smolniki 1, i po stu kolejnych metrach skręcił w polną drogę, na której końcu majaczyły kontury pamiętającego czasy II wojny światowej domu ze spadzistym dachem.

– Po co on się tu zatrzymuje? – zapytał Yves, kiedy zobaczył ceglany dom z ledwie tłącą się żarówką na ganku.

– Nie wiem... Pewnie tu mieszka.

– Hilton! Łi Łi. Hilton! – powiedział, bełkocząc Heniek i pokazał ręką na rudere.

Rozdział 28

Britta siedziała po turecku na skórzanej sofie w apartamencie numer 516. Patrzyła na Anikę i Svena, którzy siedzieli z laptopami na kolanach i z zapałem początkującego pisarza stukali w klawiatury. Kolejne wykonane przez nią połączenie do osobistego sekretarza pana Stigsona zostało odrzucone. Dziewczyna wyduła wargi, wzruszyła ramionami i wyciągnęła się na sofie.

– Nic z tego nie będzie. Jestem traktowana jak powietrze, od kiedy pojawił się ten uzurpator do spadku – powiedziała i otworzyła Facebooka w oczekiwaniu, a w zasadzie bardziej w nadziei, że spotkany na dole przystojniak wyśle jej zaproszenie do znajomych.

– Właśnie dostałam potwierdzenie. Od jutra rana mamy wsparcie satelity wojskowego. Kolejne dwa dni ma być bezchmurna pogoda, jest zatem szansa, że żaden samochód już nam nie zwieje.

– Pech... Miało być tak prosto, miała być Britta, a teraz okazuje się, że może nie być nam do niczego potrzebna. Nie wiemy nawet, z kim gramy, nie wiemy nawet, gdzie są Stigson i jego prawnik. – Sven wstał z fotela i poszedł do aneksu kuchennego. Wsunął kapsułkę do ekspresu, nacisnął zielony przycisk. Po całym pokoju w jednej chwili rozszedł się przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy. Mężczyzna wziął filiżankę do ręki i podszedł do okna. Omiótł wzrokiem panoramę pogrążającego się w ciemnościach miasta i niejako odruchowo spojrział na dół.

– O kurwa mać! Ale tłum!

– Co?!

– Pełno fotoreporterów jest na dole pod hotelem.

– Pewnie ktoś sławny znowu przyleciał, jakiś Di Caprio albo Penélope Cruz – odparła, nie odrywając oczu od monitora Anika Jasem.

– Tak to wygląda, musi to być ktoś niezwykle sławny. Pójdę

zobaczyć, co się dzieje. – Dwa razy przechylił filiżankę z espresso, pochłaniając całą jej zawartość. Odstawił ją na blat i wyszedł z apartamentu.

– Bardzo bym chciał, żebyś mi opowiedział, jakim to sposobem dostałeś tak odpowiedzialną pracę – zapytał, patrząc w oczy Macieja wujek Rajmund.

Maciej pochylony nad talerzem z fusilli con verdure dłubał w nich widelcem i zbierał się do udzielenia jak najmądrzejszej przygotowanej uprzednio odpowiedzi.

– Bo wiesz, przewożenie luksusowych samochodów to odpowiedzialna praca. A jaki teraz samochód masz do przewiezienia?

Kupczyk pokazał palcem zaparkowaną na ulicy 10 metrów za wujkiem flagową limuzynę firmy Volvo. Miedzianowski przekręcił się do tyłu na krześle i pokiwał głową z uznaniem. Jednak kiedy patrzył na piękny samochód, jego wzrok przykuło mniej więcej 30 osób z aparatami fotograficznymi kłębiącymi się przed wejściem do hotelu.

– Auto piękne, w sumie to też mógłbym sobie takie kupić.
– Uśmiechnął się. – Zobacz, ile ludzi przed wejściem do hotelu, wydaje mi się, że przyjechał ktoś ważny. Pełno fotoreporterów...

Dźwięk przychodzącego SMS-a dobiegł z wewnętrznej kieszeni marynarki Miedzianowskiego. Mężczyzna wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz, gdzie komunikator TELEGRAF pokazywał nową wiadomość.

„Spadkobierca Stigsona jest teraz w hotelu Diplomat, musiałeś się z nim minąć w drzwiach. Działam. Rocco”.

– Coś się stało wujku? – Maciej spojrzał na zatroskaną minę krewnego.

– Nie, nic takiego. To tylko kolega, z którym mnie widziałeś w hotelu, życzy mi miłej podróży. – Wytarł usta białą serwetką.
– Pójdę jeszcze odcedzić kartofelki przed podróżą.
– Miedzianowski wstał od stołu, spojrzał przez okno na reporterów, którym najwyraźniej nie pozwolono wejść do

luksusowego hotelu. Teraz robili zdjęcia każdemu, kto wchodził i wychodził ze środka. Oślepieni blaskiem fleszy przechodnie i goście hotelowi odgrazali się grupce żądnych tego jednego, jedyne go zdjęcia paparazzi. – Co za chamstwo z tymi dziennikarzami! – powiedział i wolnym krokiem poszedł w kierunku wejścia do toalety.

Maciej szybkimi ruchami widelca wrzucił sobie to ust kilka fusilli, pochylił się nad telefonem i na Facebooku wystukał w wyszukiwarce zapamiętane imię i nazwisko Britta Andersson. Po chwili pojawiło się ponad 30 kobiet o takich samych danych personalnych. Jednak ta jedyna, którą pragnął zobaczyć, była już na siódmej pozycji. Rozpoznał ją po szerokim uśmiechu i lekko zadartym nosie. Serce od razu zabiło mu mocniej, natychmiast wysłał jej zaproszenie do znajomych i zauroczony jej zdjęciem patrzył na ekran, uśmiechając się sam do siebie. Kiedy do stolika wrócił wujek, spojrzał na niego z uśmiechem.

– Co tak zęby suszysz? Coś się stało szczególnie radosnego, jak mnie nie było? – zapytał wuj.

– Nie, nic... ja się... tylko cieszę, że razem wrócimy do Polski.

– Gdzie masz to drugie auto?

– Parę przecznic stąd, 10 minut drogi może.

– To kończ, proszę, i jedziemy, jeszcze trzeba dojechać na prom.

– Pomachał ręką w stronę kelnera. – Bardzo proszę o rachunek!

Britta leżała na sofie i regularnie co kilka minut podnosiła ze stołu iPhone'a, żeby sprawdzić Facebooka. „Czerwona ikonka!” – pomyślała i aż usiadła z wrażenia. „Jest! Jest zaproszenie do znajomych. Matthias! Matiej Kupcik” – przeczytała w myślach i zatwierdziła nową znajomość. Natychmiast, tak jak to czyni prawie każdy, kto dodaje nową osobę do znajomych, weszła na jego profil. Z bijącym sercem spojrzała na jego twarz na pierwszym zdjęciu, a później w stojące na jego tle volvo i okazały dom z czerwonej cegły. „Piękny dom i piękne volvo, takie samo jak ma Stigson, nawet kolor taki sam. Matthias jest z pewnością kimś niezwykle przystojnym i zamożnym” – pomyślała,

przesunęła ekran w dół i pokazało jej się kolejne zdjęcie Matthiasa, tym razem z Larsem Stigsonem w studiu radiowym. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, telefon wypadł jej z ręki, a ona w tej samej chwili zakryła usta ręką, żeby nie krzyknąć. Błądząc ręką na oślep po podłodze, starała się zebrać do kupy wszystkie myśli, żeby jak najspokojniej, bez zbędnych emocji, ocenić bieżącą sytuację.

Stacjonarny telefon hotelowy zaczął dzwonić nieprzyjemnym, świrdującym uszy wysokim dźwiękiem. Anika spojrzała na Britte starając się dość nieudolnie podnieść smartfona z podłogi.

– Ja odbiorę. Nie przeszkadzaj sobie. – Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. – Tak, słucham.

– Dowiedziałem się od fotoreporterów, że w hotelu przebywa spadkobierca Stigsona. – W słuchawce rozległ się głos Svena. – Przystępuję do poszukiwań, może będę miał szczęście.

– Wiesz, jak wygląda?

– Nie, nie wiem i fotoreporterzy też nie wiedzą.

– Poczekaj w lobby, już idę. Musimy go zlokalizować i wiesz co... pod żadnym pozorem nie możemy go stracić z oczu.

– Telefon, weź też telefon.

– Trzy minuty i jestem na dole. – Anika wsunęła do tylnej kieszeni spodni telefon, założyła za pasek kaburę z pistoletem, narzuciła na siebie kurtkę i poszła w kierunku wyjścia z pokoju.

– Co masz taką... taką jakąś dziwną minę? – zapytała Britte, sięgając jednocześnie po kurtkę.

– A jaką mam mieć? Jestem kłębkiem nerwów! – odburknęła niegrzecznie. – Coś się stało, że tak nagle wychodzisz?

– Nic się nie stało. Nie ruszaj się stąd. Jakbyś miała jakieś informacje odnośnie do Stigsona, natychmiast dzwoń do nas – powiedziała i wybiegła z apartamentu.

Sven stał oparty o ladę recepcji i najdyskretniej, jak potrafił, przyglądał się siedzącym w lobby gościom hotelowym. Spojrzał odruchowo na telefon. Połączenie do Aniki wykonał minutę temu. „Spokojnie zdążę jeszcze pójść do ubikacji, zanim pani

kapitan zjedzie na dół. Kobiety nawet jak się spieszą, to wszystko i tak robią dwa razy wolniej niż mężczyźni” – spuentował w myślach i skierował się energicznym krokiem w stronę toalet. Następnie klamka, pchnięcie drzwi, przejście przez część toalety przeznaczoną na umywalnię, skręt w prawo i już przed nim znajdowały się oddzielone kamiennymi murkami pisuary. Toaleta była pusta. Wybrał pierwszy od wejścia, dokładnie odwrotnie, niż robią wszyscy mężczyźni szukający ustronnego miejsca do oddania moczu. Wszedł pomiędzy dwa kamienne „parawany” i zaczął sikać.

– Świat zwariował – usłyszał, że ktoś mówi do niego po angielsku. Głos dobiegał z bliska, jednak osoba wypowiadająca słowa pozostawała niewidoczna. – Cały hotel ugania się za jakimś mężczyzną, który ma odziedziczyć spadek. To jak jakaś gra uliczna, proszę pana, nieprawdaż?

Sven stanął na palcach, spojrzął w lewą stronę i zobaczył czubek głowy i oczy karła, który mówił do niego z zabawnym francuskim akcentem.

– Tak naprawdę nikt nie wie, jak ten mężczyzna wygląda, do tego ta histeria wszędzie taka, jakby sam Jezus zstąpił z niebios – zakończył swój wywód karzeł.

– No to będzie miał pan okazję powiedzieć, że Jezus sikał obok pana – odparł Sven, przybierając nieco wyniosłą minę.

Tym razem czubek głowy karła pojawił się ponad murkiem oddzielającym pisuary. – Nie rozumiem za bardzo? – Karzeł z rosnącym zainteresowaniem lustrował każdy centymetr młodej uśmiechniętej twarzy Svena.

– Wszyscy szukają, a ja sikam sobie spokojnie obok pana. – Sven rozbawiony miną, jak zakładał, Francuza postanowił brnąć w niewinne kłamstwo dalej. Trzask pękającego kafelka na wysokości swojej piersi przyozdobiony czerwoną plamą zwrócił jego uwagę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z gardła wydobył się tylko świst. Zaskoczony odwrócił głowę przez lewe ramię, gdzie zobaczył karła z pistoletem w ręku. Nogi się pod nim ugięły i zapadł w ciemność.

Karzeł podszedł do niego i ukucnął. Wyjął mu z kieszeni portfel,

w którym były dokumenty oraz kluczyki od mercedesa. Następnie wyciągnął swój telefon i zrobił zdjęcie twarzy Svena, cofnął się dwa metry i strzelił mu trzy razy w głowę. Przyjrzał się jeszcze przez chwilę zwłokom.

– No to po sprawie. Najłatwiej zarobione pieniądze w tym roku – powiedział spokojnie, odkręcając tłumik, wsadził go razem z pistoletem do kieszeni płaszcza i wyszedł z ubikacji, kierując się prosto w stronę drzwi z napisem: „Tylko dla personelu. Wstęp wzbroniony”. Nacisnął kławkę i wszedł do środka. Dwie minuty później wyszedł z pomieszczenia z powrotem do hallu, gdzie w stronę męskiej toalety biegło właśnie kilku reporterów. „Oho! Znaleźli pierwsze zwłoki” – pomyślał Rocco, wyszedł spokojnie na ulicę, po czym stanął pod hotelem nieco w cieniu markizy zdobiącej okno na parterze. Chciał jeszcze przez jakiś czas popatrzeć na akcję policji, dyskretnie wykonać zdjęcia telefonem osobom kręcącym się wokół hotelu. Miał nadzieję, że później, kiedy zobaczy zdjęcia na komputerze, uda mu się zidentyfikować osoby z innych organizacji wywiadowczych. „Teraz nudniejsza część mojej pracy... jak ja tego nienawidzę” – skwitował w myślach, wyjął telefon z kieszeni i skupił wzrok na wejściu do hotelu.

Rozdział 29

Punktualnie o godzinie 20, tak jak zapowiedziano w telewizji, pracownicy zaczęli wpuszczać samochody do środka promu. Oboje z wujkiem uśmiechnięci stanęli przy recepcji, żeby zamienić najtańszą kajutę na najniższym pokładzie promu, jaką miał wykupioną Maciej, na drogą dwuosobową z dużym oknem na czwartym pokładzie. Kiedy przyszło do płacenia, Rajmund Miedzianowski z nieukrywaną satysfakcją wyjął kartę kredytową.

– Jesteś na dorobku, cieszę się, że znalazłeś sobie dodatkowe źródło dochodów. Oczywiście zapłacę za całą podróż, wiesz, jak to jest między nami, bratianami.

– Bardzo proszę, oto klucz do panów kajuty. Proszę przygotować się na lekkie niewygody związane z podróżą, ponieważ będziemy płynęli w lekkim sztormie.

– Naprawdę? – zapytał Maciej.

– Siedem stopni w skali Beauforta, da się przeżyć. Pan się aż tak nie przejmuj, zimą „siódemka” to norma.

Kiedy weszli do kajuty, każdy położył swój bagaż na łóżku. Wujek zasunął niebieską roletę w oknie, usiadł na łóżku. Plecami oparł się o ścianę, łokieć podparł na walizce i przyglądał się Maciejowi, który rozpiął torbę i teraz nerwowo ją przeszukiwał.

– Słuchaj, przystojniaku, nie trać czasu na nerwowe ruchy, weź kosmetyczkę i idź się „zrobić” do łazienki. Część biznesowa i artystyczna przed nami, a na to wszystko mamy tylko dobrą część czasu.

– Lepiej, żeby doba nie minęła mi tak szybko jak w tę stronę.
– Uśmiechnął się cierpko i z kosmetyczką pod pachą poszedł do łazienki. Najszybciej, jak umiał, wziął prysznic, ułożył sobie fryzurę, owinął się ręcznikiem i otworzył drzwi. – Wujek słyszy, jak wieje? Już mam chorobę morską, a prom jeszcze nie płynie... Muszę mieć jakieś środki, jakieś lekarstwo, bo jak nie, to ze mną koniec.

– A jak dopłynąłeś w tę stronę?

– Miałem tabletki... Szukałem w torbie, ale gdzieś je chyba zgubiłem.

– Uspokój się. Po co ta panika? Najłatwiej to nazwać się chemii, a wątroba jak ma ci się niszczyć, to z honorem, po polsku – od wódki, a nie od leków sprzedawanych przez amerykańskie koncerny. Zawsze mam ze sobą dwa zestawy koralików na chorobę morską.

– Czego?

– Stara chińska metoda. Próbuja ją teraz naśladować, produkując tandetne opaski uciskowe i głównie im wychodzi. Siadaj na kajo – powiedział wuj, po czym otworzył walizkę i wyjął z niej papierowe pudełeczko z chińskim napisem. Z pudełeczka wysypał na dłoń dwie kulki wielkości połowy ziarna grochu każda i pasek zwykłego plastra, nie dłuższego niż sześć centymetrów. – Teraz położę ci te kulki na jeden punkt koło nadgarstka i drugi na znany w akupunkturze jako P6, nie ruszaj ręką przez moment. – Docisnął kulki palcem do nadgarstka, następnie nakleił na nie silnie naciągnięty plaster.

– I to wystarczy? Plaster się nie odklei?

– Oczywiście, że wystarczy. Plaster jest absolutnie wodoodporny, możesz iść w nim na basen. À propos... Teraz ja się wykąpię, przykleję sobie koraliki i możemy iść na szwedzkie klopsiki i wódkę do restauracji.

Kiedy pół godziny później wyszli z kajuty i wchodzili piętro wyżej, przez prom przebiegło charakterystyczne drzenie, by chwilę później przejść w stałą delikatną wibrację. Lampy nadbrzeża zaczęły przesuwać się za oknami, prom wychodził z portu. Restauracja tak jak zwykle była zatłoczona. Maciej stanął za wujem w kolejce do samoobsługowego baru i lustrował każdą osobę przechodzącą obok niego lub siedzącą przy stoliku. Szukał chusteczki albo serwetki wystającej z kieszeni koszuli czy marynarki jako znaku rozpoznawczego. Jednak tym razem większość pasażerów na promie stanowili szwedzcy mężczyźni. Maciej odetchnął z ulgą, ponieważ szanse, że spotka kogoś z ostatniego rejsu, były wątpliwe. Nawet osoby obsługujące za

barem oraz w restauracji zmieniły się, nikogo, kto niefortunnie mógłby go skojarzyć z rejsem do Szwecji, na szczęście nie było. „Ufff... Nic gorszego niż niepotrzebne spotkanie i tłumaczenie się przy wujku nie mogłoby mi się przytrafić” – odetchnął.

– O, znajoma twarz! – ktoś głośno krzyknął w jego stronę i zanim Maciej odwrócił głowę, poczuł uścisk ręki na ramieniu. Ciepło przeszło jego ciało, od uszu począwszy, aż dotarło do dużego palca stóp.

– Ale afera, co?!

Maciej wytrzeszczonymi oczyma patrzył na stojącą po jego lewej stronie kobietę o rudych włosach, brzydkiej twarzy oraz wąsatego mężczyznę w kowbojskim kapeluszu. Pamiętał ich jak przez mgłę.

– Kto to jest, Macieju? – Wujek odwrócił się i teraz patrzył nieco zaskoczony na tę niecodzienną parę.

– Nie poznajesz nas? Przecież to nie możliwe! – odezwał się mężczyzna.

– Renia i Roni z Suwałk! Brygada RR. Rimming i ruchanie – zaszcebiotała kobieta. – Panowie razem?

– Tak, razem, ale mamy sprawy rodzinne do omówienia – z ledwo skrywanym uśmiechem odparł Miedzianowski.

– Państwo wybaczą, ale może później...

– Dobrze, dobrze. Nie chcemy się narzucać – odparł Roni i teraz zwrócił się do Macieja. – Fajnie było ostatnio, będzie trzeba to powtórzyć, co nie?

– No trzeba...

– Szkoda tylko, że tamci... – Roni wykonał gest, przejeżdżając sobie dwukrotnie palcem wskazującym po szyi. – Oboje nie żyją.

– Tacy mili i pełni seksu ludzie. Morderca musiał płynąć z nami promem. Kto wie, może nawet siedzieliśmy z nim przy jednym stoliku?! Okropność – powiedziała Renata, wzięła pod pachę swojego chłopaka i poszła z nim w kierunku baru.

Maciej błądy jak ściana patrzył na grube łydki, które zdawały się rozrywać górę kozaków, i wielką jak balia kołyszącą się na boki dupę. Wzdrygnął się i spojrzał na wujka, który to z kolei uważnie przyglądał się jemu.

– Jak słyszę, masz chyba jakiś poważny problem. Ktoś zginął?

– Para, która płynęła do Szwecji, piliśmy razem, alkohol i takie tam jeszcze. Nie bardzo rozumiem, jak to się mogło stać, gość miał ponad dwa metry wzrostu.

– Hmm, rozumiem. – Pokiwał głową. – Nakładaj sobie, co chcesz, ale polecam klopsiki.

Kiedy usiedli przy stoliku, wuj z apetytem zaczął zajadać ziemniaki z sosem z klopsików. Maciej natomiast mieszał w talerzu i z niechęcią włożył sobie klopsika do ust. Ostatnim tchnieniem zasięgu telefonu wuja przyszło powiadomienie o SMS-ie. Miedzianowski wyjął telefon i spojrzął na wyświetlacz. W aplikacji TELEGRAM miał jedną wiadomość od Rocco. Otworzył ją i natychmiast się uśmiechnął. „Spadkobierca Stigsona nie żyje. Izraelczycy się wściekną”. Kiedy skończył czytać wiadomość, dotarło jeszcze załączone do tekstu zdjęcie zwłok Svena. Telefon schował z powrotem do kieszeni, złapał szklanekę z piwem i uniósł do góry w geście toastu.

– Twoje zdrowie, Macieju. Nie miej takiej zatroskanej miny, przecież nie masz z tym zgonem chyba nic wspólnego?

– Nie mam!

– No to czym się przejmujesz? Pij, bo za chwilę oddalimy się od lądu, zaczniesz porządnie bujać, trzeba się szybko nastukać i iść spać. I nie martw się, wujek jest w stanie rozwiązać każdy twój problem. Wiesz, jak to jest między nami, bratianami...

Piętnaście minut później puste talerze po kolacji zniknęły, a na stoliku pojawiły się cooler z butelką wódki, dwa kieliszki oraz cola. Maciej nalał obu wódki, po czym patrząc w jego oczy, podniósł kieliszek do góry na znak toastu.

– Za nas, bratian!

– Za bratian!

Kiedy wypili, Maciej ponownie spojrzął wujowi w oczy. – Kiedy rozmawialiśmy przez telefon dwa dni temu, podczas mojego pobytu w Kirunie, wujek mówił, że potrzebuję pomocy. Coś było faktycznie na rzeczy czy to tylko taki żarcik?

– Serio, mój drogi, potrzebuję twojej pomocy. Nalej jeszcze jednego, proszę, to lepiej będzie się nam gadało, bo sprawa jest

dość delikatna, bym powiedział.

Rajmund Miedzianowski wytarł serwetką usta po kolejnym toaście „za bratian” i teraz on spojrzał głęboko Maciejowi w oczy.

– Jak wiesz, pracuję w ministerstwie, zajmuję się tam nowatorskimi rozwiązaniami zbrojeniowymi. To znaczy, chciałbym się takimi zajmować, bo nie trzeba być geniuszem, wystarczy tylko czytać gazety, żeby wiedzieć, że u nas nic nowatorskiego się nie dzieje.

– Nie czytam zwykłych gazet... Tylko motoryzacyjne.

– Nieważne. Ważne, że pewne nowatorskie rzeczy są opracowywane w Veltronexie. To jedyna w Polsce prywatna firma z takim potencjałem w zakresie nanotechnologii.

– Możliwe, ale ja nic o tym nie wiem, przecież wuj wie, że wbijam tylko cyferki i numery faktur do systemu. – Maciej z powrotem napełnił kieliszki. Swój wziął do ręki, uniósł go i wychylił razem z wujem jak na komendę.

– Nieważne, że nic o tym nie wiesz. Ważne jest to, że chciałbym, żebyś dla mnie kogoś zabił.

Maciej zamarł z butelką coli przy ustach. Patrzył na wuja, przelatowały mu przez głowę różne myśli, co odpowiedzieć, jednak trudno było mu się zdecydować na właściwą w jego ocenie ripostę.

– Za ile? – spytał w końcu całkiem śmiało.

Miedzianowski otworzył szeroko oczy, patrzył przez moment zdziwiony na swojego krewnego i w końcu się roześmiał.

– Przecież żartowałem, zresztą ty też żartowałeś, prawda?

– Nie skąd... Wcale nie żartowałem – odparł dosyć hardo Maciej.

– No to nalej, a ja ci coś wyjaśnię. Nigdy nie pytaj się, „za ile”, tak jak to zrobiłeś, dopóty, dopóki nie poznasz celu, jaki masz zlikwidować. Ranga celu, trudność dostępu do celu, zaangażowanie środków, czas realizacji zlecenia, kraj, w jakim zlecenie ma być wykonane, wybór rodzaju środka likwidacji i jeszcze kilka pomniejszych punktów, to wszystko ma wpływ na cenę. Nie ma na świecie ludzi do końca bezpiecznych. Kiedyś we Włoszech wysadzono autostradę, żeby zlikwidować zwykłego

sędziego Falcone, a 11 lat wcześniej zamachowcowi udało się podejść do prezydenta Reagana z rewolwerem na odległość metra. Zresztą tak samo było z „naszym” papieżem. Różnica jest taka, że zamach na sędziego był profesjonalnie przygotowany, sprawcy w zasadzie nie zostali złapani, bo udało się ustalić tylko jednego. Nazywał się Giovanni Brusca i de facto ani nie planował, ani nie koordynował zamachu. Prawdziwy mózg, sprawca skasował pieniądze i rozpląnął się w powietrzu. Natomiast pozostałe dwa zamachy na Reagana i papieża nie dość, że się nie udały, to jeszcze sprawcy wpadli już w momencie zamachu. Tak więc przemyśl następnym razem sobie to, co powiedziałem, zanim udzielisz komuś mniej wyrozumiałemu tak głupiej odpowiedzi, bo źle skończysz.

– A skąd wujek wie takie rzeczy?

– Jak to skąd? Przecież o tych zamachach jest napisane nawet w Wikipedii, a reszta to po prostu zwyczajna analiza i trochę wiedzy z filmów akcji. Wracając do naszych bratiańskich spraw, chciałem, abyś dla mnie pracował. W ten sposób możesz udzielić mi pomocy i do tego jeszcze mieć pół etatu w ministerstwie.

– Jak to w ministerstwie?

– Byłbyś prawdziwym agentem, szpiegiem MON w Veltronexie.

– Serio? Nie wiedziałem, że Ministerstwo Obrony Narodowej rekrutuje szpiegów.

– Rekrutuje. – Wuj kiwnął głową. – To ściśle tajne, więc skąd miałeś wiedzieć. Za tę dodatkową pracę na pół etatu przysługiwałoby ci pełne wynagrodzenie, oczywiście pieniądze dostawałbyś z tajnego funduszu gotówką ode mnie. Co miesiąc, ma się rozumieć.

– Serio? Ja agentem? – Maciej podniecony do granic wytrzymałości złapał za kieliszek i dosłownie wlał sobie jego zawartość do gardła. Oczyma wyobraźni widział siebie jako tajnego agenta, szpiega przemysłowego pracującego dla Ministerstwa Obrony Narodowej z kontem napchanym 200 tysiącami euro przez Stigsona i jeszcze w bonusie dodatkową wypłatą.

– Serio. Byłbyś tajnym agentem. Twoja praca byłaby niezwykle

ważna dla kraju, dla jego obronności przede wszystkim.
– Miedzianowski patrzył z największym przejęciem i powagą na swojego siostrzeńca. – Czy się zgadzasz narażać własne życie dla dobra kraju?

– Tak!

– Dobrze. Przysięgę odbiorę od ciebie w kajucie.

Maciej płonął ze szczęścia. Rozpierała go taka radość, że gdyby mógł, to skoczyłby do sufitu. Teraz będzie mógł zaistnieć na serio, będzie kimś! W duchu zaczął rozważać, czy nie przedstawić wujowi całej intrygi przejęcia spadku, jaką zaplanował w Polsce i w jego opinii z sukcesem zrealizował w Szwecji. „Przecież mógłbym zabłysnąć przed wujem swoją inteligencją i już niejako nabytym doświadczeniem w podszywaniu się pod inne osoby czy zdobywaniu informacji. Powinienem, wręcz muszę się tym pochwalić” – pomyślał i postanowił wypić jeszcze jednego na odwagę.

– Skoro jestem z tobą tak szczerzy i zostałeś przeze mnie już zatrudniony, to zdradzę ci parę szczegółów z mojej bardzo niebezpiecznej pracy dla kraju. Powinno ci to dodać determinacji i odwagi. Tak więc pewna wroga naszemu krajowi organizacja wywiadowcza próbowała pokrzyżować nam plany. Jeden z członków tej organizacji miał podawać się za wnuka, nazwisko pewnie i tak ci nic nie powie, niejakiego Larsa Stigsona... prawnuka, dokładniej rzecz biorąc.

Kieliszek wypadł z prawej ręki Macieja na stół, polewając wódką wszystko wkoło. Miedzianowski złapał dłońmi obie dłonie siostrzeńca i przytrzymał je na stole.

– Nie denerwuj się tak! W tym zawodzie musisz mieć nerwy ze stali. Problem został dziś definitywnie rozwiązany. – Wsadził rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął telefon, podtykając pod nos Macieja ekran ze zdjęciem zastrzelonego Svena. – Tak wygląda ten rozwiązany problem, zlikwidowany na zawsze. Szwedzka gazeta nawet wywiad z nim zrobiła, ma się ukazać rano, czyli jak już wiesz, będzie nieaktualny. – Roześmiał się. – Ja nie rozumiem jak...

Wuj mówił dalej, ale broda Kupczyka zaczęła rytmicznie drżeć

tak mocno, że szczęknięcie zębami i dreszcze przeszywające całe ciało nie pozwalały na zrozumienie jego głosu. Miedzianowski poruszał ustami, jednak on słyszał już tylko zniekształcone dźwięki muzyki, a jego wzrok skupił się na wiaderku z lodem. Podniósł powoli drżące ręce do góry, żeby zakryć twarz. Kiedy oparł je na łokciach, plaster naklejony na lewym przegubie, namoczony w wódce się podwinął, a kulki spadły na stół i potoczyły się na podłogę. W ostatnim odruchu zdrowego rozsądku zdążył złapać cooler do lodu i zwymiotował.

Rozdział 30

Anika Jassem wyszła z windy i od razu wpadła na parę Azjatów, którzy biegli przez lobby i wykrzykiwali w kółko jakieś dwa gardłowo wypowiedane słowa. Przystanęła na moment i spojrzała najpierw w lewo później w prawo. Oceniała, że coś niespodziewanego musiało się stać, ponieważ ludzie biegali bez ładu od lewej do prawej. Duży tłum zgromadził się przy drzwiach z przykręconą tabliczką z napisem: „Tylko dla personelu. Wstęp wzbroniony”. Rozejrzała się w poszukiwaniu Svena, jednak w panującym bałaganie, błyskach fleszy reporterów i krzykach nie sposób było go odnaleźć. Podeszła do kłębiącego się tłumu i stając na palcach, starała się zobaczyć, co wydarzyło w pokoju dla personelu. Kiedy po niemałych trudach udało jej się zajrzeć do środka, spostrzegła leżącego na wznak człowieka ubranego w uniform ochrony hotelu, nad którym pochylał się inny pracownik i próbował go reanimować. Czerwone ślady na szyi i plama moczu wokół ciała nie pozostawiały złudzeń, że człowiek został uduszony, a reanimacja to strata czasu. Wszystko wskazywało na to, że ktoś, kto go zabił, chciał zniszczyć zapis rejestratorów obrazu z kamer telewizji przemysłowej, a stan urządzeń wskazywał, że mu się to udało. – Proszę się cofnąć! Bardzo proszę się cofnąć. – usłyszała za sobą doniosły, męski głos. – Gdzie jest ten drugi trup?

Kiedy się odwróciła, zobaczyła dwóch policjantów w mundurach oraz dwa zespoły reanimacyjne. Natychmiast się wycofała i poszła w kierunku recepcji, skąd zobaczyła tłum gapiów przed męską toaletą i przepychających się między nimi kolejnych policjantów. Przez jej umysł przebiegały różne wersje wydarzeń oraz scenariusze tego, co zaszło. „Sven jak zwykle się pospieszył” – karciała go w myślach. „Sprzątnął spadkobiercę w kiblu, zniszczył zapis i wyszedł z hotelu. Pewnie pojechał do punktu ewakuacyjnego albo do ambasady”. Kiedy doszła do toalety, policjanci kończyli usuwać sprzed drzwi gapiów

i fotoreporterów robiących zdjęcia. Jeden z policjantów wszedł do ubikacji, a drugi delikatnie zatrzymał ją ręką i zatrzasnął drzwi.

– Proszę odejść, nic tu pani ciekawego nie zobaczy.

– I nie zobaczyłam, zamknął mi pan drzwi przed nosem. Ktoś zginął?

– Młody mężczyzna, nic więcej pani nie powiem. Proszę odejść! To dotyczy wszystkich państwa! Proszę nie utrudniać i zrobić przejście dla techników.

– Nikt nie opuści hotelu przed spisaniem personaliów. Proszę zamknąć drzwi wejściowe – krzyczał wyższy rangą policjant, który właśnie wszedł do budynku. – Proszę nie utrudniać nam pracy!

Zdjęcia uśmiechniętej twarzy Macieja jedno po drugim zniknęły przesuwane na wyświetlaczu iPhone'a. Britta leżała na plecach na sofie i setny raz przeglądała każde, które zamieścił na Facebooku. Na jego profilu zdjęcia prywatne pojawiały się dopiero od kilku dni, lista znajomych była niedostępna, nie sposób było na szybko ustalić, gdzie pracuje ani gdzie mieszka. „Nie wyglądał mi na szpiega, raczej na niezbyt bystrego przystojniaka” – pomyślała i wróciła do oglądania zdjęcia wykonanego przed domem Folke Fersena. Starła się po szczegółach okolicy zlokalizować, gdzie może znajdować się dom z czerwonej cegły, w którym przebywa obecnie Stigson. Wtem niespodziewanie telefon zawibrował, a na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko sekretarza Stigsona. „Wreszcie ten błdy chuj oddzwania” – wcisnęła zielony telefonik.

– Halo, słucham?

– Pani Britto, Erik Svensson przy telefonie.

– Tak wiem. Dobry wieczór, miło, że pan oddzwania.

– Ja dzwonię tylko panią poinformować, że pan Lars Stigson zmarł... A w zasadzie nie jestem pewien, czy nie został zamordowany.

– Słucham?! – Britta usiadła na sofie z wrażenia.

– Ten człowiek, który miał być, czy może jest, jego spadkobiercą, podał mu cukierki zawierające sezam. Nie muszę pani tłumaczyć, że sezam dla Larsa był niczym cyjanek. Szok anafilaktyczny był tak gwałtowny, że zespół z karetki, która stała pod domem, nie zdążył go uratować.

– Ale jak to? Przecież zawsze pan Lars czytał skład, zanim zjadł cokolwiek.

– Tak, ale to były polskie cukierki. Zresztą teraz niech się tym zajmie policja. Dzwonię tylko poinformować, żeby na jutro przygotowała pani wszystko, co potrzebne do pogrzebu. Mam na myśli odzież. A zresztą wie pani, o co chodzi, prawda? Nie wiem wprawdzie, kiedy wydadzą nam zwłoki, niemniej musimy być gotowi. Dobranoc.

– Dobranoc. – Britta rozłączyła się i przycisnęła telefon do piersi. Spokojnie zaczęła ponownie analizować sytuację. – Co z testamentem? – zapytała sama siebie na głos. „W zasadzie odpowiedź jest jedna. Można przypuszczać, że jeżeli ten Matiej zabił Stigsona, to musi mieć w ręku testament korzystny dla siebie, a ten sporządzony dla mnie przez notariusza jest już nieaktualny. Kurwa mać! Taki niewinny wygląd, buźka aniołka. Matiej musi zginąć, bo inaczej cały plan spali na panewce”.

Zamek w drzwiach wydał z siebie długie piśnięcie i do apartamentu weszła z powrotem Anika z kurtką Svena pod pachą. Wyjęła kartę z zamka, uśmiechnęła się szeroko do Britty.

– Co jest, mała?! – spojrzała na nią pytająco, odpięła kaburę i położyła razem z telefonem na stole. Z paczki wyjęła belmonta, włożyła go sobie do ust i jeszcze raz spojrzała na Britte. – Masz minę, jakby ktoś umarł. Rozchmurz się, wszystko już się kończy we właściwy sposób. W zasadzie prawie się zakończyło. Został nam teraz tylko pan Stigson i pierwsza faza operacji „Chajat” będzie za nami.

– Co masz na myśli? – z dużą niepewnością w głosie zapytała Britta.

– Sven dosłownie przed chwilą tu, w hotelu, zlikwidował

spadkobiercę Stigsona. Sam się znalazł, przyjechał do hotelu i trach! Kompletny przypadek. – Anika sięgnęła po telefon, wybrała numer z książki telefonicznej i wcisnęła przycisk połączenia.

Britta wstała z sofy i szybkim krokiem, jakby w ostatniej chwili chciała uciec przed nadchodzącym płaczem, poszła do łazienki. Anika wzruszyła z dezaprobatą ramionami, odpaliła papierosa, zarzuciła kurtkę na plecy i wyszła na balkon. Ponieważ nikt nie odebrał, wybrała numer ponownie. Tym razem połączyła się natychmiast.

– Panie pułkowniku, melduję, że odzyskaliśmy kontrolę. Sven załatwił sprawę, myślę, że jest w drodze do punktu ewakuacyjnego... Rozumiem... Rozumiem... Nie, nie zdążył wziąć nawet telefonu. Taka sytuacja. Tak jest... Oczywiście. Dziękuję i dobranoc.

Anika zaciągnęła się głęboko, spojrzała w dół. Na chodniku oraz na ulicy stało sześć policyjnych samochodów oraz dwa ambulanse, pomiędzy którymi, nie zważając na okoliczności, hostessy rozdawały przechodniom ulotki informujące o zbliżającej się walce bokserskiej Andriej Gubin vs. Alrik Mortensen. Zauważyła, jak po przeciwnej stronie ulicy zaparkował ford, z którego wysiadł Gösta, i teraz, żeby przejść przez jezdnię, czekał, aż przejedzie kolejny ambulans na sygnale. „Ambulanse są zbędne, trupiarki raczej powinni przysłać” – skwitowała w myślach Anika. Zaciągnęła się papierosem, odwróciła twarzą w stronę okna i oparła biodrami o balustradę. Chwilę później wewnątrz salonu pojawiła się z powrotem Britta. Wzięła paczkę papierosów ze stołu i wyszła na balkon.

– Wydajesz się jakaś nienaturalna. Nerwowa czy coś takiego? – zapytała Anika, zaciągając się papierosem.

– Ja?

Paczka papierosów wypadła Britcie z rąk wprost pomiędzy nogi Aniki. Nachyliła się, jednak zamiast podnieść belmonty, niespodziewanie złapała Anikę za nogi powyżej kostek i pociągnęła do góry. Oparta biodrami o balustradę kobieta straciła punkt podparcia na podłodze, a tułów przeważył ją

i poszybowała z piątego piętra w dół. Jej ciało przebiło markizę i uderzyło z impetem w stojącego pod markizą karła. Huk łamanych kości i uderzenia o chodnik był tak duży, że słyszeli go ludzie idący po drugiej stronie ulicy.

Kiedy Britta wychyliła się delikatnie przez balustradę, puchowa kurtka, którą Anika miała narzuconą na plecy, jeszcze spadała ku ziemi, kręcąc w powietrzu kółka. Finalnie zakończyła swój lot teatralnym gestem, przykrywając ciało pani kapitan leżące na chodniku.

– Niech twój Jahwe będzie z tobą. – Odwróciła się i zamarła. Metr przed nią stał Gösta. Od razu złapał ją za gardło i ściskając mocno, podszedł do balustrady, wychylił się delikatnie i kiedy zobaczył na chodniku zbiegowisko, wszystko dla niego stało się jasne. Ludzie, którzy zauważyli jego, jak wygląda przez balustradę, zaczęli pokazywać go sobie palcami. Dwóch stojących na dole policjantów włączyło latarki. Gösta odchylił się, zawlókł wierzgającą nogami i drapiącą go Britte do salonu, gdzie uderzył ją z całej siły lewym prostym w podbródek. Zwolnił uścisk, dziewczyna zatoczyła się i upadła nieprzytomna na podłogę. Teraz szybko złapał sportową torbę, wrzucił do niej pistolet, dwa laptopy, teczkę Aniki, szybkim ruchem zapiął zamek. Nie tracąc czasu, złapał Britte w pól, przerzucił ją przez ramię, torbę przewiesił przez drugie i najszybciej, jak umiał, opuścił pokój, zatraskując za sobą drzwi. Kiedy pokonywał kilkanaście metrów dzielących go od drzwi do klatki przeciwpożarowej, odwrócił się i zobaczył, jak w holu, na końcu korytarza, otwierają się drzwi od windy i wybiegają przez nie policjanci. W ostatniej chwili zdążył wejść na klatkę schodową. Zbiegł dwa piętra i spojrzał w dół. Na górę wbiegało kilku policjantów, zatem skręcił przez drzwi przeciwpożarowe na korytarz trzeciego piętra. Przystanął przy pierwszych drzwiach, które napotkał. Niewiele myśląc, rzucił torbę na wykładzinę, wyjął z niej małe, plastikowe pudełeczko z czerwonym guzikiem u góry. Przyłożył je do elektronicznego zamka i przytrzymał guzik, po upływie kilku sekund zamek wydał charakterystyczne długie piknięcie i się otworzył. Popchnął nogą torbę do wnętrza pokoju, gdzie także wszedł,

i cicho zamknął za sobą drzwi. Pokój okazał się bliźniaczym apartamentem tego, który zajmowali na piątym piętrze. Wyraźnie było słychać głośną hiphopową muzykę dobiegającą z głębi apartamentu. Gösta przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał tego, co się działo na korytarzu. Najpierw usłyszał kroki, a później w głośniku krótkofalówki rozległ się głos jakiegoś policjanta:

– Tu 06. Nikogo nie ma w pokoju. Sprawca uciekł.

– Zabezpieczcie wszystkie wyjścia przeciwpożarowe. Nikogo nie wypuszczać, monitoring nie działa. Jeszcze raz powtarzam, musimy zatrzymać wszystkich w hotelu i przeszukać pokoje – usłyszał głos policjanta stojącego tuż przed drzwiami.

Cofnął się o dwa kroki i wyjrzał zza załomu do wnętrza apartamentu, w którym panował straszliwy bałagan. Od razu było widać, że mieszkający w nim goście nie przejmują się konwenansami i przyjechali tu, żeby dobrze się bawić. Muzyka z sypialni „rypała” nieprzyjemnym bitem, a piosenkarz najwyraźniej pozbawiony krzty muzycznego talentu wykrzykiwał słowa w języku rosyjskim. Gösta wepchnął torbę głębiej do salonu i jeszcze raz dokładnie zlustrował pomieszczenie. Oprócz porzrzuconych rzeczy, jeansów, sportowych szortów, adidasów, kilku butelek po whisky, puszek po piwie, rozerwanym kartonie z wódką niczego więcej nie zobaczył. „Gówniarze na wakacjach. Niestety muszę wam zakłócić tę sielankę i na jakiś czas przejąć pokój”. – Pochylił się, Brittę delikatnie ułożył na podłodze i ostrożnie stąpając pomiędzy porzrzuconymi rzeczami, przeszedł przez salon. Na chwilę przystanął przed lekko uchylonymi drzwiami i przez szparę w drzwiach zobaczył włączony telewizor na kanale rosyjskiej telewizji muzycznej. Pokiwał z politowaniem głową, popchnął drzwi, dał krok do przodu, a kiedy drzwi zupełnie się otworzyły, na moment przystanął ze zdziwienia.

Trzy metry przed nim w różowej peruce, różowym boa, różowym staniku i majtkach płaś w rytm muzyki zarośnięty, wytatuowany koleś. Podnosił na przemian owłosione nogi w szpilkach i popijał z gwinta wódkę z butelki. Po prawej stronie

pokoju na szerokim łożu leżał na wznak drugi mężczyzna, na którego penisie w pozycji odwrotnej siedziała silikonowa, czarnoskóra lalka naturalnej wielkości. Zdawało się, że patrzy teraz na Gösta z szeroko otwartymi oczami i otwartą ze zdziwienia buzią. Mężczyzna z kolei wpatrzony w swojego kolegę trzymał lalkę w biodrach i poruszał nią z góry na dół. Gösta podszedł do telewizora i wyłączył go. Następnie, jak uczono go na szkoleniach, żeby zrobić odpowiednie wrażenie w takiej sytuacji, dał krok w kierunku mężczyzny w peruce i z całej siły z otwartej dłoni przylał mu w tył głowy tak mocno, że peruka poleciała na ścianę. Jednak nic więcej się nie stało. Żadnego odchylenia głowy, upadku, szoku, strachu... Kompletnie nic. Mężczyzna spokojnie się odwrócił, a jego twarz wydała się Gösta jakaś bardzo znajoma. Teraz wszystko zaczęło się dziać w nieco przyspieszonym tempie, mniej więcej tak jak w niemych filmach z Charliem Chaplinem. Mężczyzna z lalką usiadł na łóżku. I to był ten moment, kiedy Gösta wytrzeszczył oczy, ponieważ rozpoznał w mężczyznach Andrieja Gubina i Alrika Mortensena. Dwóch bokserów wagi ciężkiej, którzy mieli nazajutrz stoczyć walkę wieczoru.

– To morderca! Ratunku! – Po plecach Gösta przebiegł nieprzyjemny dreszcz, ponieważ kiedy gdzieś z tyłu, za swoimi plecami, usłyszał głos Britty.

Pierwszy cios wyprowadzony przez Gubina, potężny lewy sierpowy minął głowę asa Mosadu o centymetr. Ten uchylił się w ostatniej chwili, balansując tułowiem w lewą stronę. Następny cios o sile młota kowalskiego przeleciał nad jego głową, kiedy zrobił unik, przysiadając. Będąc teraz w półprzysiadzie, wyprowadził szybki cios w wątrobę Gubina. Musiało go to zboleć, ponieważ cofnął się krok, a kiedy kolejny, trzeci z rzędu cios nie trafił w głowę Izraelczyka, zaryczał jak zwierzę. – Teraz cię zabiję! – Złapał silikonową lalkę, którą cały czas miał nasadzoną na członka jego kolega, i uderzył nią z forhendu rywala w klatkę piersiową. Gösta wyfrunął z pokoju, machając w powietrzu rękoma jak ptak, upadł na plecy i ślizgając się po podłodze, uderzył barkiem w nogę od stołu. Kamienny wazon,

który stał na blacie, przewrócił się i spadł mu na mostek, powodując natychmiastowe zapowietrzenie i pozbawił go możliwości obrony. Gubin stawiając ostrożnie kroki w szpilekach, na granitowej podłodze podszedł do Gösta i z całej siły zaczął uderzać go ważącą ponad 40 kilogramów lalką. Lala wytrzymała trzy ciosy, metalowy kręgosłup pękł w szyi i teraz jej głowa wisiła na silikonowej skórze pomiędzy dwoma piersiami. Rosjanin uniósł jeszcze raz lalkę pionowo do góry, po czym potężnym zamachem nasadził ją krocem na twarz Gösta. Głowa lali w tym momencie odpadła od tułowia i potoczyła się w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżała Britta. Jednak ani Britty, ani torby ze sprzętem, bronią i laptopami izraelskiego wywiadu już w apartamencie nie było.

Rozdział 31

15 grudnia

Timon otworzył oczy. Najpierw delikatnie, później bardzo szeroko, aż w końcu dostał wytrzeszczu. Przez pierwsze sekundy jego umysł nie mógł w żaden sposób rozpoznać pomieszczenia, do którego wszedł w nocy w prawie całkowitych ciemnościach. Z przerażeniem patrzył na brązowy zaciek w kształcie penisa z wielkimi jajami, umieszczony w centralnym miejscu na pożółkłym suficie. Penis był długi i gruby, a wielkie jądra zachodziły aż na ścianę. Obskurny pokój nie przypominał mu żadnego miejsca, w którym spał. Poderwał się gwałtownie i usiadł na trzeszczącej, starej wersalce. Dopiero teraz dotarło do jego zaspanego umysłu, że przygoda z urwanym kołem, wizyta w serwisie samochodów luksusowych w lesie czy Hilton zamieniony na obskurny pokój na poddaszu to nie był tylko zły sen, którego doświadczył nad ranem. Yves chrapał tak mocno, że szyby w starym drewnianym oknie niemal wpadały w wibracje. Timon rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym spędził noc. Prezentowało się znacznie gorzej, niż oglądał je wieczorem przy świetle latarki z iPhone'a. W pokoju znajdowały się dwie stare wersalki, z których zostały usunięte boczne poręcze. Pod oknem stała stara, drewniana skrzynia, a pod ścianą dwuskrzydłowa szafa z uchylonymi drzwiami, przez których szczelinę widać było znajdujące się wewnątrz stare zakurzone butelki, gąsior po winie i metalowe puszkę. Całość inwentarza postawiono na drewnianej, niemalowanej od lat podłodze. Głęboko westchnął i zobaczył, że para Leci z jego ust.

– Hej! Yves?! Halo śpisz? – zapytał kuzyna, który przestał chrapać, leżał teraz na wznak z otwartymi oczami i patrzył nieruchomo w sufit. Kiedy powtórzył pytanie, a ten ponownie nie odpowiedział, poszedł się w jego stronę, usiadł na łóżku i dotknął policzków kuzyna. Były jak z lodu, usta miał uchylone i nie

wydobywała się z nich para. – Jezusie! Yves?! Co ci jest?! Przecież nie można umrzeć ot tak, bez powodu! – Zaczął szarpać kuzyna i bić go po twarzy. Nagły i głęboki charakterystyczny dla bezdechu sennego wdech powietrza ocucił Yves'a w jednej chwili. Mężczyzna usiadł na łóżku i błędnym, nieświadomym wzrokiem rozglądał się po poddaszu, starając się zrozumieć sytuację oraz rozpoznać miejsce, gdzie się znajduje.

– Ale mnie wystraszyłeś! Tym razem naprawdę wyglądałeś, jakbyś nie żył.

– Gdzie my jesteśmy? Gdzie jest nasze auto i sprzęt?! Eh... Gdybyś nie wpadł w tę dziurę...

– O proszę! Gadasz jak moja była dziewczyna. Ledwo oczy otworzysz i już jedziesz z pretensją do całego świata.

– Daj spokój z twoją byłą dziewczyną. Mówię tak, bo jestem załamany. Błąd numer jeden jest oczywisty. Kompletnie nie panujemy nad sytuacją! Wszystko, ale to kompletnie wszystko wymknęło nam się spod kontroli. Błąd numer dwa jest taki, że nie upieraliśmy się, że ma nas zawieść do Hiltona.

– Przecież on mówił, że to jest Hilton!

– A sprawdziłeś w translatorze? Może „hilton” to po polsku słowo oznaczające „dom”?

– Srom! Zbieraj się, idziemy pod prysznic i trzeba... No właśnie, i co dalej? A jak nam nie oddadzą samochodu?

– No weź przestań. Zmusimy ich, żeby nam oddali, nie ma opcji, żeby coś dalej poszło nie tak. – Timon zdawał się coraz bardziej rozdrażniony zaistniałą sytuacją. Wstał z łóżka i gwałtownie wyprostował się od razu, uderzając się w głowę o skos dachu. Zaklął szpetnie i trąc dłonią bolące miejsce, pochyłony podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę, pociągnął ją, ale drzwi się nie otworzyły. Oparł lewą rękę na futrynie, prawą mocno nacisnął i klamkę, ale drzwi nadal nie ustępowały. Spojrzał na Yves'a, który stał za nim w slipkach i poplamionym T-shircie Armaniego. Miał duże, można powiedzieć, że wytrzeszczone ze zdziwienia oczy i wzruszał bezradnie ramionami.

– Poczekaj, teraz ja spróbuję. Przecież nie mogli nas zamknąć tu na strychu. – Yves, odsunął gestem dłoni kuzyna, złapał oburącz

za klamkę, zaparł się stopą o futrynę i z całej siły pociągnął. Siła, z jaką młodzieniec się zaparł, była tak wielka, że kiedy klamka „wyskoczyła z drzwi”, odrzuciło go o dwa metry do tyłu. Poleciał bezwładnie pod ścianę, gdzie stało stare krzesło, które upadając, zamienił w drzazgi. Przez kilka sekund w pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza. Słysząc było tylko odgłos psa ujadającego gdzieś w oddali.

– Pomóż mi! Złamałem żebra!

– Skąd wiesz?

– Bo już je kiedyś złamałem! Wiem, jak to boli!

– Żartujesz prawda?

Yves jednak nie odpowiedział, ponieważ drzwi do pokoju, skrzypiąc jak na horrorze, zaczęły otwierać się powoli do środka pokoju. Stała w nich wiejska, polska baba z zakrwawioną siekierą pod pachą.

– Kuraka zabiłam! – odezwała się, mówiąc gardłowym „R”.

– Rosół Jadzia robi... Jak chceta się umyć, to na dole jest łazienka, tylko wycier...

– Vicier? – zapytał, a w zasadzie stwierdził Timon i odwrócił się w kierunku Yves’a, bo słowo to w języku francuskim mogło oznaczać równie dobrze „zniszczyć”, co „zabić”.

– Jeno wycierać mi się dokładnie! Bo jak zachłapieta podłogę...

– Pochyliła się na Yves’em i zaczęła dotykać jego nóg i kawałów krzesła. A co to? Krzesło żeśta to połamali?! – Pokiwała z dezaprobatą głową nad szczątkami krzesła, które wystawały spod Yves’a, złapała siekierę za trzonek, pochyliła się bardziej i wolno zaczęła podchodzić bliżej.

Mężczyzna podpierając się na łokciach i odpychając nogami od podłogi, starał się odsunąć jak najdalej od kobiety, która delikatnie, aczkolwiek złowieszczo raz podnosiła, raz opuszczała zakrwawioną siekierę. Kiedy była bardzo blisko, a siekiera unosiła się tuż nad jego głową, poczuł za plecami ścianę. Spojrzał na kuzyna, który stał sparaliżowany ze strachu i patrzył tylko, jak przynajmniej stukilowa baba zmierza wprost na Yves’a. Wyciągnęła rękę i powoli dotknęła jego twarzy. Pogładziła go po policzku i zmierzwiła mu włosy.

– Ładnyś kawaler... Buźka taka delikatna.

– Nagle za oknem rozległ się głośny klekot dieslowskiego silnika i jakieś auto zatrzymało się z nieprzyjemnym dla uszu piskiem hamulców.

Kobieta na moment zamarła w bezruchu, po czym wstała i się wyprostowała. – Jadzia i Heniek przyjechali. Idźta się myć, a za krzesło to zapłacita osobno. No już! – Odwróciła się na pięcie i bujając obfitym zadem, wyszła z pokoju.

Timon podał rękę Yves'owi i teraz obaj stanęli przed oknem i patrzyli na podwórko. Drzwi od samochodu się otworzyły i w kierunku domu poszli Heniek oraz Jadzia. Na lawecie pomocy drogowej załadowana była maszyna do rozdrabniania gałęzi. Timon ciężko przełknął ślinę.

– Wiesz, co to jest? – zapytał.

– Maszyna do gałęzi, miele je na wióry. A co?

– A jest zima, śnieg wokoło, wszystko jest zamrożnięte... Wiesz, że takiej maszyny używa się tylko od wiosny do jesieni?

– Przesadzasz, pewnie używali jej wcześniej, a teraz przewożą z miejsca na miejsce. Jakby chcieli nas ukatrupić, to już wczoraj nie wyszlibyśmy żywi z tego warsztatu.

– No nie wiem... Idę się myć, a ty wejdz jeszcze pod kołdrę.

– Timon spojrział na swój zegarek marki Suunto, który wskazywał temperaturę, i ciężko przełknął ślinę. – Serio wejdz do łóżka, tu w środku jest zaledwie 12 stopni Celsjusza.

– Zastanawiam się, czy oni specjalnie nie chłodzą tego pomieszczenia. – Wskoczył do łóżka i roześmiał się z tej bądź co bądź komicznej sytuacji, szcękając jednocześnie zębami.

Pół godziny później, obaj ubrani w swetry, na które założyli grube, czarne polary, do tego po dwie pary jeansów i zimowe grube buty, pojawili się w kuchni. Stanęli w drzwiach, rozejrzeli się przez okno po podwórku i pytającym wzrokiem spojrzeli na Jadzię, a następnie na siedzącego za stołem Henia.

– Siadajta mnie tutaj. – Heniek nogą wysunął dwa taborety spod stołu. – Jadzia śniadanie wam robi. Jajówa będzie.

– Chyba chce, żebyśmy usiedli. – Yves podsunął sobie taboret pod tyłek i ostrożnie na nim usiadł, jakby nie był do końca

pewien, czy się nie załamie.

– Jakoś im nie ufam – powiedział Timon i także ostrożnie zajął miejsce za stołem. Spojrzał za okno i jeszcze raz przyjrzał się lawecie z załadowanym na nią rozdrabniaczem do gałęzi.

– Trzeba będzie skorzystać z tłumacza, bo inaczej nie dowiemy się, o czym rozmawiają.

– Przesadzasz, przecież to zwykli, prości ludzie. Czego się spodziewałeś na polskiej wsi?

Timon nic nie odparł, tylko wyjął z kieszeni telefon, włączył tłumacz na rozpoznawanie mowy w języku polskim i zaczął jednocześnie przysłuchiwać się ich rozmowom.

– A czemu nie zważyłeś tego ustrojstwa po drodze u Bodka, tylko do chaty z tym żeś się przywłókł? – zapytała kobieta.

– A mnie się żyć tak chciało, że nie wytrzymałem. W brzuchu mi burczało, a gazy mi się przewalały tak głośno, że motoru nie słyszałem... Aż bąk mi z dupska wyfrujnął. Raz, drugi, aż w końcu prawdziwej pierdziawy dostałem.

– Dobrze, żeś nie walił z rury, jak z Francuzami jechałeś, całkiem byś ich zagazował. Ja już znam te twoje gazy, śmierć jak nic! – Zaśmiała się Jadzia, a po chwili rubaszenie zaśmiał się także Henryk.

Timon spojrzął na wyświetlacz, na którym pojawiły się przetłumaczone na język francuski szczątkowe informacje dotyczące ostatniego zdania: „... walić z rury Francuzów, jadąca... całkowite zagazowanie. Ja wiem o twoim gazie, śmierć i nic”. Kiedy odczytał treść, przetknął ciężko ślinę, pochylił się konfidencko do swojego kuzyna i wyszeptał: – Pierwsze dwa zdania powiedzieli w jakimś innym języku, bo tłumacz w ogóle tego nie przetłumaczył. Ostatnie zdanie jednak brzmiało jednoznacznie. Przeczytaj je i zaśmiej się, jakbym pokazywał ci żart, nie mogą wiedzieć, że ich zrozumieliśmy. – Podsunął mu pod oczy wyświetlacz telefonu. Yves przeczytał tłumaczenie i już chciał się zaśmiać, kiedy zadzwonił telefon Henia położony na stole.

– No! Co znowu? – odezwał się nonszalancko, przyciskając brudną ręką telefon do policzka. – Widzisz! Mówiłem, że się

opyla wyjechać dwie duże lochy w asfalcie. Codziennie świeże siano dla ciebie i na waciki dla mnie. Już zapierdalam!

Timon znowu spojrzął na telefon. Tym razem translator na niewiele się zdał: „... Widzieć. Mówić, opylać dwa duże samica dzika asfalt. Codziennie świeże siano ty i wata dla mnie. Już...”. Timon zaczął analizować nowe tłumaczenie i ponownie podsunął pod nos kuzynowi telefon.

– Jadzia, jadę, śniadanie poczeka. Znów jakiś zagranicznik się w naszą lochę wpierdolił koło Orlenu. Ze stacji dzwonił. Będę tu po nich po 12, wtedy zjem. – Heniek wstał od stołu, pochylił się nad Francuzami i wolno zaczął cedzić słowa: – P r z y j a d ę p o w a s . H o t e l i ś n i a d a n i e , r a z e m l i c z ą c , 3 0 0 e u r o – uśmiechnął się, na głowę założył całkowicie brudną czapkę baseballową i wyszedł z domu.

Na wyświetlaczu iPhone’a pojawiło się tłumaczenie zgodne z tym, co powiedział Heniek. Kuzyni spojrzeli na siebie zdziwieni.

– 300 euro?!

– Za ten survival?!

– Dobra, cicho. – Zreflektował się Timon. – Uspokój się, nie mogą wiedzieć, że wiemy, że chcą nas zabić... Musimy się zachowywać normalnie.

– Ale to chyba jest normalnie, to chyba jest normalna reakcja na takie traktowanie! Złodziejom to ja strzelam w kolano!

– Daj spokój...

– Trzysta euro za ten, kurwa, XIX-wieczny nieogrzewany pokój? Czy to jest „Germinal” Zoli? Miasteczko górników?! – wybuchnął Yves. – I do tego jeszcze planują nas walnąć rurą i zagazować. Gardło mnie boli, żebra boją, a ten tu 300 euro jeszcze chce!

– Daj spokój, nie prowokuj teraz awantury. Skoro chcą nas zagazować, to musimy się naradzić, odzyskać auto i dojechać do tej Bydgoszczy! Musimy być profesjonalistami...

– Ani mi się śni! Nie odpuszczę tej babie z wąsem!

– Czego się tak Francuz wydziera! – krzyknęła Jadzia i domyślając się, o co chodzi, postanowiła przejść do ataku.

– Chyba mówił wyraźnie. 300 euro, jak nie pasowało, to trzeba

było zostać na śniegu! A śniadanie to co? Jaja ekologiczne na jajówę wprost z kurnika, kura ekologiczna na rosół, co matka ją zabiła! Wszystko wkalkulowane w cenę! W trzydziestym dziewiątym też wam się nie podobało walczyć ze Szwabem, a teraz mi takie coś na mojej agroturystyce! Ja się wykończę.... – Podeszła do stołu, pochyliła się nad Yves'em i grożąc mu palcem, wykrzyzczała prosto w twarz. – I krzesło, co żeśta połamał, też 100 euro! Razem 400 i ani centa mniej.

Yves spojrzał na leżący telefon na stole, który tym razem całkiem dobrze poradził sobie z tłumaczeniem słów wypowiedzianych przez Jadzię. Kiedy pojawiła się informacja o krześle za 100 euro, wstał gwałtownie dokładnie w momencie, w którym kobieta przysunęła swoją twarz jeszcze bliżej. Pełen ekspresji wyprost kolan spowodował nagłe zderzenie czubka czaszki Yves'a z podbródkiem Jadzi. Uderzenie było tak silne, że stopy Jadwigi oderwały się od linoleum, którym była wyłożona kuchnia, i kobieta lobem, niczym skoczek wzwyż, poszybowała w powietrzu w kierunku znajdujących się za jej plecami drzwi. Uderzyła w nie głową i plecami na tyle mocno, że skobel, na który były zamknięte, wyrwał się z futryny i lotem jednostajnie przyspieszonym wystrzelił do wewnątrz pomieszczenia, gdzie na podłodze i na stole stała rozstawiona aparatura do pędzenia bimbru. Skobel zahaczył o wygiętą w literę „U” cienką metalową rurkę, w której wybił mały otwór, po czym odbił się od ściany i upadł na podłogę. Wyraźne syczenie i para zaczęły natychmiast wydobywać się przez powstałą nieszczelność. Yves, który odrzucony zderzeniem usiadł z powrotem na krzesło, patrzył teraz przez otwarte drzwi na nieznanne mu urządzenie. Było to coś, co widział pierwszy raz w życiu, i mimo skrupulatnego przeczesywania archiwum umysłu nie mógł w pamięci odszukać niczego, co kojarzyło mu się przedziwnym urządzeniem, na które patrzył. Oprócz tego w pomieszczeniu na rozwieszonych linkach ponad aparaturą wisały pęta kiełbas. Kilkadziesiąt sztuk prawdziwej polskiej, wiejskiej kiełbasy.

– Zobacz na to! – Pokazał lewą ręką, ponieważ prawą rozcierał rosnącego w oczach guza.

Timon najpierw spojrział na nieprzytomną kobietę, której głowa i ciało leżały pod stołem z aparaturą, a stopy pozostały w kuchni. Później z zainteresowaniem zlustrował zespół połączonych ze sobą miedzianych kotłów, pomniejszych naczyń i poskręcanych rurek. Wnętrze obskurnej nory nie konweniowało ze złoto – czerwonym kolorem profesjonalnej bimbrowni. – Wygląda jak silnik od jakiegoś UFO – skwitował.

– Czujesz ten dziwny zapach? To gaz! Spierdalamy! Z tego ulatnia się gaz! To wytwornica jakiegoś gazu bojowego! To o tym mówił ten gość, tym chcieli nas zagazować! – Yves zerwał się z taboretu, zatkał ręką usta, nos i wybiegł na zewnątrz do przedpokoju. Kiedy obok niego pojawił się Timon, zatrzasnął drzwi, a wycieraczkę wcisnął w szparę pomiędzy drzwiami a podłogą.

– Co z nią? – Timon kiwnął znacząco głową, myśląc o nieprzytomnej Jadzi.

– Widziałeś... Nic jej już nie pomoże. Gaz ją zabije.

– Kuchenka! Na kuchence smażyła się jajecznicia i zupa! Jeżeli ten gaz jest łatwopalny, to zaraz wylecimy w powietrze! Szybko! Trzeba brać torby z ekwipunkiem i wiać!

Teraz obaj zaciągnęli do płuc potężną dawkę powietrza i rzucili się biegiem po schodach. Wpadli do pokoju na poddaszu, każdy z nich złapał po torbie z ekwipunkiem i najszybciej, jak się dało, zbiegli na dół. Timon kopnął drzwi wejściowe do budynku, a kiedy się otworzyły, zobaczyli, że od strony stodoły szła kobieta, która godzinę wcześniej weszła do ich pokoju i z lubieżnym zaciekawieniem obmacywała twarz Yves'a. Dreptała teraz drobnymi kroczkami, stawiając ostrożnie stopy po wytyczonej w śniegu ścieżce. Przed sobą na rękach niosła kilka szczap porąbanego drewna, na których miała położoną znajomą im siekiere.

– Co teraz? – zapytał Yves.

– Mógłbym zapytać się o to samo. Jedno jest pewne: jak ta baba tam wejdzie, to zabije ją gaz!

– To akurat mam w dupie!

– A nie powinieneś. Musimy odzyskać nasz samochód,

a podejrzewam, że ona jest jedyną osobą, która wie, gdzie jest ten warsztat w lesie. To wieś i tak samo jak we francuskiej wsi każdy wie o każdym wszystko. Zagadaj do niej, ja sprawdzę, co jest w tych garażach. – Timon rzucił torbę na śnieg i pobiegł w kierunku wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Kiedy zajrzał do środka, zobaczył tylko stary ciągnik rolniczy i czerwone cinquecento. Samochodzik, który dość często widywał na ulicach Paryża, kiedy był dzieckiem.

– Jest samochód! Może to za dużo powiedziane, ale jednak ma cztery koła – wychylił się zza drzwi i krzyknął do kuzyna, który szamotał się z kobietą – bierz babę, drogę nam pokaże – a sam otworzył drzwi i niemałym trudem wszedł do ciasnego wnętrza pojazdu. Tak jak się spodziewał, kluczyki były w stacyjce. Już chciał przekręcić kluczyk, kiedy w drzwiach pojawił się Yves wlokący kobietę po śniegu za nogi. – Zwariowałeś? Nie mogłeś jej przyprowadzić... Czy przynieść?

– Nie mogłem, za ciężka. Musiałem ogłuszyć. Wyłaż z auta, ja babę przywlokłem, nie będę teraz sam toreb nosił.

Od tego momentu zaczęło się logistyczne wyzwanie dla kuzynów. Po otwarciu pokrywy bagażnika okazało się, że nie zmieści się do niego żadna z dwóch toreb z ekwipunkiem. Kiedy włożyli je do auta, nie było mowy o wejściu do środka. Mieścił się wtedy tylko kierowca. W końcu Yves wpadł na pomysł, aby torby ułożyć na dachu i przywiązać do niego linką alpinistyczną, którą zabrali z Francji. Po dziesięciu minutach wiązania fachowych supłów udało się przymocować ekwipunek.

– To lepiej mieć w aucie ze sobą. – Timon wyjął z bocznych kieszeni torby dwie pompki do roweru, z których każda mogła wystrzelić pocisk kaliber 5,6 mm i podał je kuzynowi. Następnie na siedzeniu pasażera posadzili kobietę, którą również przywiązali linką i zakneblowali. Timon zajął miejsce kierownicą, a Yves jako że nie zmieścił się w normalnej pozycji na tylnym siedzeniu, usiadł w poprzek pojazdu. Wyciągnął dłonie przed siebie i delikatnie klepnął kobietę po twarzy, która momentalnie zaczęła odzyskiwać świadomość. Otworzyła oczy, jednak była jeszcze mocno zdezorientowana, zdawało się, że patrzy cały czas

w jeden punkt. Timon przekręcił kluczyk, silnik odpalił od pierwszego przekręcenia się korbowodu.

– Mamy szczęście... To najpiękniejszy dźwięk dzisiejszego poranka! Inaczej musiałbyś nas pchać – odezwał się Timon, wyciągnął rękę do tyłu i przybili z kuzynem „piątkę”. – „Jesteśmy zawodowcami! Jesteśmy niepokonanymi Francuzami! Kto stanie nam na drodze, pożałuje tego srodze!” – wykrzyczeli swój ulubiony okrzyk bojowy, Timon wrzucił jedynekę i wyjechał z garażu. Kiedy mijali dom ze spadzistym dachem, czarny dym wydobywał się przez uchylone okno na parterze. Yves spojrzał na kobietę, ale nie było widać na jej twarzy żadnej nerwowej reakcji.

– Przedziwne... Zwiążaliśmy ją, a się nie rzuca, nie jęczy, nie próbuje błagać o litość i nawet pożar jej własnego domu nie zrobił na niej żadnego wrażenia – zdziwił się Yves.

– To seryjni mordercy! Miałeś rację, że ta dziura w drodze zrobiona jest specjalnie, a pseudomechanicy i ten z pomocy drogowej zabijają podróżnych i zabierają im samochody, czyszczą karty kredytowe oraz biorą to, co ofiary mają przy sobie. Więc nie spodziewaj się empatii...

– No tak... Te auta w lesie, a w zasadzie ich marki mówią same za siebie. Tylko dlaczego nie próbowali zabić nas od razu?

– Nie wiem... Ale możliwe, że nie mieli maszyny do rozdrabniania gałęzi albo po prostu mieliśmy po prostu szczęście. Jestem przekonany, że próbowaliby zabić nas dzisiaj, a tak my ich zabijemy – skręcił samochodem z polnej drogi na wąską wiejską i skierował się w kierunku głównej drogi, to jest w kierunku, z którego, jak zapamiętał, dzień wcześniej przyjechali. Po kilku minutach, kiedy wjechali do kolejnej wsi, gdzie drogi rozwidlały się, Timon zjechał samochodem na pobocze i włączył światła awaryjne.

– Wydaje mi się, że teraz trzeba jechać w lewo. Weź włącz translator i zapytaj babinę, gdzie jest mechanik we wsi.

Yves wyjął telefon, włączył translator, po czym mówiąc bardzo wyraźnie, zadał pytanie: „Nie krzycz, kobieto. Nic ci się nie stanie, powiedz tylko, jak dojechać do mechanika?”. Kiedy translator

zaczął powoli wypowiadać słowa, przyłożył jej telefon do ucha. Odczekał chwilę, następnie wyjął jej z ust knebel, który wypadł z ust razem ze sztuczną szczęką. Kompletem, szczęk dokładnie – góra i dół. Twarz staruszki momentalnie zapadła się tak mocno, że zdawało się, że dolna szczęką dotyka nosa. Sztuczna szczęką natomiast wpadła pomiędzy poły grubego fartucha, który miała na sobie, dokładnie na wysokości biustu i zniknęła pomiędzy dwoma wielkimi piersiami. Zadane przez translator pytanie oraz zaistniała sytuacja zaowocowała wypowiedzeniem przez kobietę kilku słów, które z uwagi na tembr jej głosu, wiejską gwarę oraz brak zębów zabrzmiały jak przerywane odgłosy samicy kaszalota. Kobieta wydała z siebie tych kilka dźwięków, a później zaczęła seplenić coś pod nosem sama do siebie.

– Co teraz? – zapytał Yves.

– Co teraz?! Weź, jej wyjmij tę „szufladę” z dekoltu.

– Jak wyjmij?

– Normalnie rękoma, ręką wyjmij jej zęby i włóż na miejsce.

– Chyba zwariowałeś! Sam to zrób.

– Nie mogę, bo... Bo trzymam kierownicę. Zresztą to ty lubisz starsze kobiety. Zrób to!

– Chyba ty lubisz starsze. Spierdalaj.

– Przecież wiesz, że nie znajdziemy mercedesa, jeżeli ona nie pokaże nam drogi!

– Ty też to wiesz! Więc śmiało, proszę. – Yves przechylił się przez oparcie i rozchylił delikatnie fartuch razem ze znajdującą się pod nim bluzką. – No dalej, nurkuj!

– Nie zrobię tego. – Timon odwrócił głowę w stronę okna.

– Rozwiąż te linki, niech sama sobie wyj... – Nie dokończył zdania, ponieważ obok nich zatrzymał się policyjny radiowóz.

– Ja pierdolę! – powiedział Yves, sięgnął po jedną ze strzelających pompek i podał ją kuzynowi.

Rozdział 32

Rano stan Macieja przedstawiał się więcej niż żałośnie. Od mniej więcej godziny 23 dnia poprzedniego przebywał w ciasnej ubikacji, jaka przynależała do jego kajuty, do tego cały czas klęczał, bądź w przerwach w wymiotowaniu siedział i zaparty nogami o ścianę. Do tego sztorm z siedmiu stopni w skali Beauforta przeszedł w mocną dziewiątkę. Tak określił to wujek, krzycząc do niego przez drzwi. To właśnie przez to oprócz zawrotów głowy, wymiotów dręczył go koszmar przemieszczania się różnych przedmiotów po łazience. Czasem dostawał razy szamponem, a czasem wypadającą z kosmetyczki maszynką do golenia. Jego ciało i duch cierpiały katusze. Siedział teraz z głową pochyloną nad klozetem i mimo że chciał, to nie mógł, a w zasadzie nie miał już czym wymiotować. Walcząc z chorobą morską, próbował pozbierać myśli, uporządkować jakoś w kolejności wydarzenia ostatnich czterech dni w stosunku do tego, co powiedział w restauracji wuj Rajmund. Zrozumiał bowiem, że bycie spadkobiercą Larsa Stigsona wcale nie jest takie fajne, jak zakładał. Przede wszystkim nie jest bezpieczne. Zresztą starzec ostrzegał go, że osoby liczące na majątek po jego śmierci teraz mogą czuć się zagrożone.

„W życiu bym się na to nie zgodził, gdybym wiedział... Ale żeby było aż tak niebezpiecznie?! Najpierw kobieta w domu u Fersena z cukierkiem, a teraz jakiś biedak stracił życie przeze mnie... Kompletnie niezrozumiałe jest, co mają do tego mój wujek i Ministerstwo Obrony Narodowej? Czyżby w wojsku było aż tak źle, że łąszczy się na majątek jakiegoś Szweda? Najwyraźniej muszą chcieć go ograbić. Nie wiedziałem, że nasza armia pozyskuje pieniądze w ten sposób... Zresztą nieważne, ważne jest jak z tego wybrnąć? Tylko jak wybrnąć skoro już dziś, właśnie teraz w kioskach w całej Szwecji ludzie kupują gazetę z moim wywiadem i zdjęciami ze Stigsonem? Do tego, zamieściłem moje zdjęcie z „pradziadkiem” na Facebooku. Przecież jak się wujek

dowie, że to ja, to chyba mnie nie zabiją?!” – myśl goniąca myśl, jedna gorsza od drugiej. Maciej dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez przypadek polują już na niego nie tylko spadkobiercy, ale i Wojsko Polskie. Około godziny siódmej rano morze dosyć szybko zaczęło się uspokajać. W końcu Unormowało się na tyle, że o dziewiątej wrócił do łóżka i zasnął głębokim snem. Kiedy wujek obudził go siedem godzin później, czuł się jak wyciśnięty przez wyżymaczkę. Przede wszystkim bolała go z powodu odwodnienia głowa i brzuch od przyciskania klozetu do żołądka. Wziął prysznic, doprowadził się do jako takiego porządku i usiadł na łóżku naprzeciwko Miedzianowskiego.

– Napij się kawy – podsunął mu pod nos kubek rozpuszczalnej kawy. – Muszę we wszystko cię wtajemniczyć, a do tego umysł musisz mieć sprawny.

Maciej spojrzał wystraszonym wzrokiem na wuja, sięgnął po kawę i wypił dwa duże łyki, trzymając kubek oburącz.

– Wujek jest pewien, że się nadaje?

– Nie tylko się nadajesz, ale jesteś do tego stworzony. Masz ważną misję do wykonania. Powiniennem odebrać od ciebie przysięgę. Podnieś prawą Wyciągnij dwa palce, a resztę schowaj i powtarzaj za mną: – Przysięgam wypełniać bez zastrzeżeń wszystkie rozkazy i pracować dla Polski Rzeczypospolitej Ludowej... Co ja gadam, Rzeczypospolitej Polskiej. Powtórz.

– Przysięgam wypełniać bez zastrzeżeń wszystkie rozkazy i pracować dla Rzeczypospolitej Polskiej.

– Nie szcędząc sił, działać dla jej dobra... Tego... No... Tak mi dopomóż Bóg.

– Nie szcędząc sił, działać dla jej dobra. Tak mi dopomóż Bóg

– Maciej powtarzał słowa, jedno po drugim, a jego oczy się zaszklily. Spełniało się bowiem jego największe marzenie, niestety przez jakiś niepojęty zbieg okoliczności, wuj był hipotetycznie jego wrogiem.

– No! Jesteś teraz przyjęty! – Poklepał po policzku Macieja.

– Możemy zacząć działać oficjalnie. Słuchaj mnie teraz, czy wiesz dokładnie, czym zajmuje się zakład, w którym pracujesz?

– Wiem... Robimy płytki do dronów, jakieś układy sterowania

dla Airbusa i Saaba, drobiazgi do systemów termowizji. Elektroniczne gadzety na polski rynek. Wiem, bo księguję prawie wszystko, co robimy. Tylko wydział piąty przechodzi przez Pytla.

– Otóż właśnie. Oprócz działów elektroniki użytkowej macie, tak jak powiedziałaś, wydział piąty zajmujący się badaniami naukowymi oraz wynalazkami i tym chciałbym, żebyś się zajął w ramach pierwszego zadania, przeniknął do ich projektu SIXARX. Słyszałaś o tym projekcie?

– Nie słyszałem, ani słowa.

– To kryptonim bardzo skomplikowanego systemu... Który w krótkiej przyszłości może zastąpić snajperów i zmienić zasady przeprowadzania operacji specjalnych.

– Na czym to polega?

– Wyobraź sobie, że pojedynczy żołnierz ma broń, z której może wystrzelić jednocześnie sześć pięciocentymetrowych, trójkątnych dronów, każdy z nich jest napędzanych pojedynczym, czterołopatowym wirnikiem. Każdy z dronów leci w kierunku osobnego celu z prędkością stu kilometrów na godzinę. W momencie, gdy zlokalizuje cel, skrzydełka wirnika odpadają, a krótki impuls rakietowy w ostatniej fazie lotu rozpędza to urządzenie do prędkości ponad 300 kilometrów na godzinę. Uderza zawsze w głowę, a przy uderzeniu odpala mały ładunek kumulacyjny, który wciska przez maleńką dziurę w czaszkę ogromne ciśnienie, zamieniając mózg w rozbełtaną galaretkę. Broń jest bezszelestna, a słysząc ją dopiero w momencie, gdy jest już za późno. Pociski SIXARX można kierować na cel zdalnie, także w nocy za pomocą termowizji czy noktowizyjnej, mogą być naprowadzana laserem oraz można wgrać dane telemetryczne. Rozpozna z 50 metrów twarz celu, odrzuci wirnik i uderzy w punkt. Wiesz, co to oznacza?

– Że jest skuteczna?

– Tak, bo jak masz SIXARX, możesz zabić każdego człowieka na świecie. Bez względu na to, czy jest prezydentem czy papieżem. Wgrywasz dane telemetryczne twarzy jakiegoś prezydenta, odpalasz minidrona SIXARX z odległości 1500 metrów i masz po sprawie. Chcesz kogoś porwać, a ma ochronę? Strzelasz tyle

pocisków SIXARX, ilu jest ochroniarzy i cel zostaje w jeden chwili bez ochrony. Podjeżdżasz i go porywasz.

– Ahaaaa. – Maciej z przejściem pokiwał głową. – Już rozumiem.

– Kiedy ten samonaprowadzający się nośnik ładunku kumulacyjnego zostanie ukończony, zmienią się zasady ochrony VIP-ów na całym świecie. Zmieni się cały świat tak jak po 11 września. Egzekucja wrogów choćby takiego kraju jak USA stanie się znacznie prostsza i bardziej higieniczna. Ataki dzisiejszych dronów zabijają z reguły kilka osób, burzą domy, ranią dzieci, a tu cięcie jak skalpelem. Ciach! Ciach i masz! Możesz zlikwidować kogoś nawet w podziemnym dworcu centralnym w Warszawie. Wystarczy, że wpuścisz SIXARX do tunelu wiodącego na dworzec. Doleci na stację, wyszuka cel i go zlikwiduje. Jedyne ograniczenie to czas lotu, który wynosi 55 sekund, ale prawdę mówiąc, to bardzo dobry wynik. SIXARX to jeden z pięciu ważnych projektów, nad jakimi obecnie pracuje twoja firma, ale ten jest Najważniejszy ze wszystkich projektów prowadzonych obecnie na świecie.

– Ale jak ja mogę pomóc? Przecież nie znam się na tym...

– Musisz nawiązać przyjacielski kontakt z Pytlem...

– O co to, to nie! – Maciej zerwał się z koi zdenerwowany i teraz patrzył na wujka z góry. – Nie będzie żadnego przyjacielskiego kontaktu z Pytlem. Sam wujek mówił, że z wrogiem się nie negocjuje.

– Ale dla dobra kraju...

– Wujek mi tu tylko z przysięgą nie próbuje wyjeżdżać... Jeżeli chodzi o Pytla, to czuję się zwolniony ze wszystkich przysiąg. Kodeks karny też mnie nie dotyczy.

– Ale ja bardzo cię proszę! Zaufałem ci, werbując cię do pracy, nie możesz odmówić wykonania rozkazu. Zresztą jesteś bratianinem! Bratianin nigdy nie odma...

– Wujek może kazać mnie rozstrzelać, ale z Pytlem żadnych układów nie będzie. – Założył ręką na rękę i usiadł obrażony.

– Na początek chciałbym wiedzieć, co Pytel księguje dla całego piętego wydziału i czy księguje wszystko, co przychodzi i co wychodzi. Także chcę wiedzieć, co kupujecie do badań – tym

razem wuj zmienił taktykę i zaczął udawać, że nie słyszał słów Macieja. – Nie interesuje mnie, jak to zrobisz, ale musisz informować mnie o zakupach piątego wydziału na bieżąco. Później chciałbym, abys postarał się zaprzyjaźnić z odpowiedzialnym za badania profesorem Skarżyńskim...

– Tym starym chujem?! Widziałem go dwa razy w życiu. Jak idzie, zostawia za sobą białą ścieżkę z łupieżu. To oblech! Zresztą w zakładzie nikt mnie nie lubi, dopiero walczę o swoją pozycję. Nie wiem, czemu miałby się ten Skarżyński ze mną zaprzyjaźnić?

– Kto wie, może powie ci coś, co planuje, nad czym zamierza pracować. Następnie chcę, żebyś jak najszybciej przeniknął do laboratorium. Potrzebuję, muszę zdobyć kopię projektu. Mamy na to trochę czasu, ale chciałbym, żebyś się zaczął do tego intensywnie przygotowywać. Nie dzwoń do mnie częściej, niż robiłeś to zwykle. Wszystkie informacje będziesz przekazywał mi osobiście werbalnie bądź, na nośniku elektronicznym. Żadnych odstępstw. Jeżeli będę coś chciał, to przyjadę, jeżeli ty będziesz coś chciał, to masz mnie zaprosić do siebie albo przyjechać w odwiedziny. Jasne?

– Jasne.

– To dobrze, bo chcę, żebyś wyszedł na ludzi...

– Wujku, a ten człowiek ze Szwecji, którego zdjęcie mi pokazywałaś... – Maciej ciężko przełknął ślinę. – O co tam chodziło? Bo mówiłeś, że obcy wywiad...

– Tak, próbowali nam sprzątnąć nie tylko projekt SIXARX, ale i wszystkie inne. Chytry, dobrze przemyślany plan. Ciebie to jednak już nie dotyczy, spadkobierca miliardera Stigsona nie żyje, tak więc przebiegu twojej misji już nic nie zakłóci.

– Nic więcej mi wujek nie powie?

– Na ten temat już nie, bo sprawa Mosadu ciebie nie dotyczy. I pamiętaj, nigdy nie chciej posiąść zbędnej wiedzy. Może być dla ciebie ciężarem, a nawet być bardzo niebezpieczna. Są takie informacje, po których ujawnieniu musiałbym cię zabić. – Tu spojrzął, groźnie ściągając brwi i marszcząc czoło, przechylił lekko głowę i zajrzał głęboko w jego oczy. – Ale nie obawiaj się, dziś jesteś bezpieczny. Całkowicie bezpieczny.

Maciej ponownie ciężko przełknął ślinę. Wstał z koi, sięgnął po torbę, odwrócił się tyłem do Miedzianowskiego i w nerwowym odruchu zaczął poprawiać porządnie poskładane rzeczy. Mimo największego wysiłku intelektualnego, jaki sobie zadał, nie umiał wyjaśnić zbiegu okoliczności, jaki nastąpił w Sztokholmie. Bardziej z potrzeby ukojenia nerwów niż konieczności poprawił sobie nieco włosy i położył się na koi twarzą do ściany.

– Niedługo będziemy na miejscu, prosto z promu pojedziemy do Bydgoszczy. Zostawimy samochód i odwieziesz mnie później na dworzec, rano muszę być w Gdyni z powrotem, bo mam ważne spotkanie. A ty do kiedy masz urlop?

– Jeszcze jutro mam wolne – bąknął pod nosem.

–Więc dobrze. Odpuść sobie jeszcze jutro. Święta za pasem, dobry moment na nawiązanie bliższych relacji. Krótko mówiąc: „Agencie specjalny Kupczyk! Do roboty”.

Rozdział 33

Szyba w policyjnym wozie „powędrowała” w dół, a funkcjonariusz dał ręką znać, żeby też spuścić szybę. Timon przekręcił kilka razy korbką w drzwiach i spojrzął w kierunku policjanta, szykując „pompkę” do strzału.

– To wy jesteście tymi Francuzami, którzy śpią u Nowaków?
– zapytał czystą francuszczyzną z nieznanym akcentem policjant.

– No... Tak to my... – odparł zaskoczony Timon. – A to aż tak widać?

– Przecież jedziecie jego samochodem. – Wychylił się teraz trochę bardziej w lewo, żeby zajrzeć do środka cinquecento.

– A dokąd wieziecie babcię Ankę?

– Drogę nam ma pokazać do warsztatu – odparł zgodnie z prawdą.

– Babcia Anka? A wy to uzdrowiciele może czy coś takiego?

– Nie... Biznesmeni.

– To jak ona ma wam drogę pokazać? Przecież ona nie mówi po francusku...

– Ale my korzystamy przecież z tłumacza – w pół zdania przerwał wypowiedź policjanta Yves, który przez uchylone okno pokazał iPhone’a z włączonym Google Translatorem.

– ... nie mówi po francusku i jest niewidoma od urodzenia

– kiedy policjant wypowiedział ostatnią część zdania, zapanowała całkowita cisza. – Nie babcia Ania?! Mam rację?!

– krzyknął do kobiety, która teraz odwróciła twarz w jego kierunku i z racji braku szczęki wyrzuciła z siebie kilkanaście kompletnie niezrozumiałych słów.

– Babcia Anka mówi, że ją porwaliście, związaliście i chyba chcecie zgwałcić! – roześmiał się i oparł się ręką na siedzisku fotela pasażera. Patrzył cały czas na kuzynów, a jego ręka zdawała się czegoś szukać.

– A skąd pan tak doskonale zna francuski? – zapytał Timon, chcąc szybko zmienić temat.

– We francuskim więzieniu siedziałem w Marsylii konkretnie, jakieś 20 lat temu... Z Rumunem i Grekiem w jednej celi. Żeby było łatwiej, porozumiewaliśmy się po francusku, stąd mam taki dziwny akcent.

Yves i Timon spojrzeli na siebie zdumieni. Pierwszy raz bowiem słyszeli, żeby policjant siedział w więzieniu.

– Co, dziwicie się? Nie byliśmy jeszcze wtedy w Unii, a rok odsiadki we Francji uległ zatarciu po pięciu latach. Jak wstępowałem do policji, byłem czysty jak łąza. No i jestem teraz tu sam jeden na wiejskim komisariacie – policjant lekko odchylił się do tyłu.

Timon szybkim ruchem wyciągnął na długość rąk pompkę przez szybę, rozległo się ciche piff, a wystrzelona kula trafiła mężczyznę prosto w oko. Głowa opadła, a tułów bezwładnie przechylił się do przodu i zawisł na pasach, po chwili strumień krwi zaczął płynąć z pustego oczodołu wprost na fotel pasażera.

– Czemu go zastrzeliłeś? Przecież nie stanowił zagrożenia?

Timon wysiadł z auta, podszedł do otwartego okna radiowozu, włożył do niego rękę i podniósł z siedzenia pistolet, który teraz ostentacyjnie pokazał kuzynowi.

– A temu! Ona mu coś więcej powiedziała niż to, co przetłumaczył. Rozszyfrował nas albo cała wieś jest w zмовie i żyje z takich jak my. Siadaj za kierownicę, musimy schować w lesie ten radiowóz i wreszcie poszukać mechanika! Bystrzaku... Niewidomą o drogę chciałeś pytać... tłumaczem...

– Sam nie wiem, jak to możliwe, że nie zorientowaliśmy się, że ta tutaj babcia Anka jest niewidoma – powiedział Yves, przepychając się na fotel kierowcy. – Tylko się znowu mnie nie czepiaj! Tak jak z latarką, znowu będzie na mnie!

– Nie czepiam się... ale to ty z nią bliżej obcowałeś. To ciebie dotykała, ty ją przyniosłeś do garażu, więc miałeś czas, żeby zobaczyć, że jest niewidoma!

– A koło ciebie teraz siedziała i też się nie obczaiłeś, że jest ślepa!

– Bo prowadziłem! Zamknij się teraz i jedziemy! – Policyjny pistolet walther włożył sobie za pasek od spodni. Odpiął pas

i przerzucił trupa twarzą w dół na dywanik po stronie pasażera. Zajął miejsce za kierownicą i ruszył. Sprawdził w lusterku czy cinquecento jedzie za nim, po czym skręcił na rozwidleniu w lewo, w kierunku widocznego na horyzoncie lasu. Jazda śliską drogą zajęła im około dziesięciu minut, po czym wjechali w przesiekę. Na szczęście na drodze zalegała tylko kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu, do tego ujeżdżona przez pojazdy. Timon kluczył przez kilka minut po lesie, starając się odjechać jak najdalej od głównej drogi. W końcu skręcił w prawo i podjechał duktem pod stromą górkę, za którą droga zakręcała delikatnie w lewo i przebiegała przez małą polanę. Uznał, że to miejsce jest wprost idealne do realizacji planu, więc zatrzymał radiowóz. Z bocznej kieszeni wziął chusteczki higieniczne i zatrzaskał drzwi. Obszedł auto, otworzył korek wlewu paliwa, skręcił z ligniny lont i wepchnął do środka wlewu. Podpałił go, następnie odszedł od auta parę metrów, cały czas bacznie przyglądając się płomieniowi.

Henio raz jeszcze sprawdził pas, którym zabezpieczył srebrnego volkswagena passata na swojej lawecie. Ledwie wygięty wahacz i pęknięta aluminiowa felga, kwalifikowały volkswagena do kategorii aut lekko uszkodzonych. Niezadowolony z tego faktu wszedł do szoferki, nerwowo cmokając.

– Serwis volkswagen?! Łi? – powiedział Henio, zwolnił hamulec hydrauliczny i auto ruszyło.

– Ja... Serwis Volkswagen bitte – odparł mężczyzna siedzący na siedzeniu pasażera.

– To ty nie Francuz? Blachy francuskie przecież masz. Nicht Franse? Eee?

– Was?

– Jaaaa! Naturliś! Pojedziemy do Bodka. Bodek faren! Serwis Volkswagen najlepszy w okolicy, bessaaa FałWe serwis u Bodzia. Holowanie 500 euro!

– Was?

– Jaaaa! 500 euro! Dobrze zrozumiałeś, co? – Uśmiechnął się do obserwującego go mężczyzny, który nie zmieniając niezadowolonego wyrazu twarzy, wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki skórzany pugilares. Położył go sobie na kolanach, pogładził ręką i przesunął suwak zamka błyskawicznego. Ponownie na moment spojrzął na kierowcę, który kręcił kierownicą w prawo, skręcając w leśny dukt, po czym z powrotem pochylił się nad otwartym pugilaresem. Otworzył go i zaczął lustrować włożone w niego plastikowe fiolki.

– Co to? Was ist...? – Henio pokazał na zawartość portfela.

– Diabetes... zucker... sachar... – Helmut odwrócił się w jego stronę i pokazał strzykawkę.

– Diabetyk?

– Ja, ja. Diabetes.

– Co ty, chłopie, cukrzycę masz, a używasz jeszcze strzykawki? Przecież są do tego specjalne dozowniki, takie automatyczne całkiem.

– Ja...

– Co biedaku, pewnie szwabskie NFZ ci leków nie refunduje, co? – Z dezaprobatą pokręcił głową. – To ja za holowanie wezmę czterysta euro, masz upust ode mnie, po kosztach cię potraktuję. Moja teściowa, babcia Anka też ma cukrzycę, ale ona to ma wszyscyuchno refundowane... stara baba, do tego ślepa jak kret, a energii ma tyle, że latać by mogła.

Helmut pokiwał głową, jakby rozumiał to, co mówił kierowca, wyjął fiolkę z jadem żmii rogatej i naciągnął do małej strzykawki jedną trzecią jej objętości. Nasadził na strzykawkę igłę w zabezpieczeniu, zamknął pugilares i położył go na deskę rozdzielczą tuż obok tandetnej choinki.

– Zaraz się zatrzymam, to się bezpiecznie wklujesz, tu zaraz za następnym zakrętem, bo teraz z górki będzie.

Płomień zaczął powoli ogarniać radiowóz, auto paliło się coraz gwałtowniej, jednak nie następował żaden spektakularny wybuch. Timon wsiadł z powrotem za kierownicę cinquecento

i patrzył jak zahipnotyzowany na płomień, które teraz ogarnęły cały samochód. Zadowolony ze swojej roboty, wrzucił „jedynekę” i ruszył po śladach własnych kół w drogę powrotną.

– I co dalej? – zapytał Yves, który siedział z tyłu i ładował nowy nabój do pompki.

– Nie wiem. Czuję się jak spadochroniarz wyrzucony z samolotu w kraju wroga i to bez mapy!

– Jak na razie to musimy wyrzucić ją. – Yves odłożył nabitą pompkę na siedzenie, pochylił się od tyłu nad kobietą, wyjął mały nóż z buta, odciął węzeł łączący linkę i zaczął ją rozwiązywać. Ta pochyliła delikatnie głowę, ułatwiając mu zadanie. Po odwinieciu ostatniego zwoju wyprostowała się gwałtownie, z całej siły walnęła potylicą w nos Yves’a. Jego głowa odskoczyła na bok, a krew z rozbitego nosa ozdobiła szybę – Kurwa! Czy mi się wydaje czy tutaj wszyscy, których spotykamy, chcą nam zrobić krzywdę! – wrzasnął, zatykając palcami krwawiący nos.

Timon zanim kuzyn skończył krzyczeć, przechylił się, pociągnął za rączkę od otwierania drzwi, obrócił się na siedzeniu i dwoma nogami wypchnął babcię Ankę z samochodu. Staruszka w bezwarunkowym odruchu, kiedy traciła równowagę, próbowała złapać się czegośkolwiek, a przypadek sprawił, że złapała się za górny narożnik drzwi. Szarpnięcie było tak duże, że zawias w cinquecento strzelił jak zapalniczka. Auto gwałtownie skręciło w prawo wprost w zaspę. Babcia Ania wylądowała na drzwiach, które odpadły od auta i teraz po zetknięciu ze śniegiem zamieniły się w sanki, bardzo szybkie sanki. Najpierw siłą rozpędu wykonała kilka piruetów wokół własnej osi, minęła unieruchomione cinquecento i zaczęła przyspieszać gwałtownie z dość sporej góry. Droga, po której poruszała się ruchem jednostajnie przyspieszonym tuż przed skrzyżowaniem z inną, nieco szerszą leśną drogą przechodziła w dość ostre siodło. Owo siodło zadziało jak wyrzutnia, drzwi razem z babcią Anią zostały wystrzelone w powietrze tuż przed maską zbliżającej się lawety pomocy drogowej wiozącej na sobie srebrnego volkswagena passata.

Henio, który właśnie odwrócił głowę od Helmuta, w ostatniej

chwili zauważył przelatującą przed maską teściową. Wyrazu jego oczu nie oddadzą żadne zabiegi literackie, ponieważ rozpoznał ją od razu po fartuchu w paski i kraciastych, grubych rajtuzach, które nosiła niemal od zawsze.

– Oż kurwa mać! – Wcisnął z całej siły pedał hamulca, jednocześnie skręcił kierownicę najpierw w lewo, później w prawo. Auto natychmiast wpadło w poślizg i walnęło prawą stroną kabiny w brzozę. Helmut przypięty zepsutym pasem, z czego nie zdawał sobie sprawy, został wyrwany z siedzenia i walnął centralnie twarzą w drzewo, które ułamek sekundy wcześniej zbiło szybę i teraz stykało się z przodem szoferki. Zaraz po uderzeniu odrzuciło go pozbawionego przytomności z powrotem na siedzenie i gdyby nie złamany nos oraz rana na czole, można by pomyśleć, że słodko drzemie. – Oż kurwa mać! Co tu się dzieje?! – powtórzył przekleństwo Henio, wyskoczył z kabiny i ruszył w las w poszukiwaniu babki Anki. Odnalazł ją od razu, ponieważ kraciaste rajtuzy świeciły w zaśnieszonym lesie intensywnością kolorów niczym pochodnia. Henio stanął nad teściową i z niedowierzaniem kręcił głową. Jej spódnica, kilka halek oraz fartuch były podwinięte tak mocno, że zatrzymały się pod pachami i przykryły jej twarz, odsłaniając grube jak dęby giczały oraz ogromny, wielofałdowy, blady brzuch. Jakby tego było mało, spod tułowia babci Anki zaczęły wybiegać zaspane, czerwone mrówki, którym przez przypadek zburzono dom. Henio, mimo że jeżeli chodzi o kobiety i poczucie estetyki wybredny zbyt nie był, wzdrygnął się na ten widok. Pochylił się i warstwa po warstwie zaczął ściągać z twarzy babci Anki odzież. Na koniec zdjął dwie ogromne, długie piersi w staromodnym staniku oraz fartuch, spod którego wypadła sztuczna szczeka. Złapał ją z obrzydzeniem przez rękaw i włożył do kieszeni. Z niewyobrażalnym trudem przerzucił kobietę przez plecy, zaniósł do szoferki i posadził na siedzeniu kierowcy. Uszkodzenia samochodu na szczęście okazały się niewielkie. W zasadzie poza podłużnym, pionowym wgnieceniem i zbitą szybą niczego więcej nie zauważył. Kiedy sprawdził, że mocowanie passata nie ucierpiało, stanął na stopniu do szoferki

i centymetr po centymetrze zaczął przesuwając teściową na środkowe siedzenie. Zadanie to zajęło mu kilka minut, w których czasie spociał się tak mocno, że musiał zdjąć kurtkę. Złożył ją w kostkę, pochylił się pomiędzy fotele, aby położyć ją na podłodze i wtedy zobaczył strzykawkę, którą chwilę wcześniej napełniał „insuliną” Niemiec. Przepchnął się w jego stronę i parę razy poklepał go po twarzy, patrząc uważnie, czy nie ma żadnej reakcji. W końcu nieco zaniepokojony przystawił swój nos do ust Helmuta, aby wyczuć oddech. „No! Przecież nie mógł umrzeć od takiego tam puknięcia w drzewo. Nieprzytomny, ale żywy, a nos się do wesela zagoi. Ocuć go u Bodzia” – pomyślał i przez moment popatrzył raz jeszcze na strzykawkę. – A jak dostanie ataku i mi zejdzie? – powiedział do siebie, po czym zdjął z igły zabezpieczenie, wbił ją w jego udo i nacisnął tłoczek strzykawki. Po wykonaniu zastrzyku zestaw odłożył na półkę w desce rozdzielczej, zasiadł za kierownicą i odpalił silnik. Ciepło natychmiast buchnęło z nawiewu, napełniając wychłodzoną szoferkę gorącym powietrzem.

Timon skryty za drzewem przyglądał się stojącej w dole drogi lawecie. Kiedy usłyszał, że silnik samochodu zapalił, natychmiast pobiegł w kierunku znajdującego się dwadzieścia metrów dalej cinquecento.

– Wskaku! Jedziemy – krzyknął do stojącego koło auta Yves’a.

Zasiadł za kierownicą, wyłączył światła i wolno podjechał do krawędzi górk. Laweta najpierw wycofała do tyłu kilka metrów, później powoli, nieco majestatycznie, bujając się na wybojach, zniknęła za ścianą zagajnika. Timon ruszył, zjechał z górk, następnie wolno wziął zakręt i ostrożnie zaczął śledzić pomoc drogową. Po przejechaniu około trzech kilometrów las niespodziewanie kończył się i dwieście metrów dalej niedaleko od drogi znajdował się warsztat Bodka. Rozpoznali go bez trudu, zanim ciężarówka skręciła przez rozwaloną bramę.

– Zjadę tu na pobocze, wyjmij z torby lornetkę – zarządził Timon.

Yves bez zbędnego komentarza wyszedł przez dziurę po drzwiach i kiedy tylko złapał za lornetkę z dalmierzem,

natychmiast przyłożył ją do oczu. Drugą ręką, nie przerywając obserwacji, wyszukał w torbie po omacku mini lornetkę i podał ją kuzynowi. Teraz obaj wpatrzeni w szoferkę, patrzyli, jak auto przejeżdża przez bramę. Po lewej stronie placyku tuż obok głównego budynku stała maszyna do rozdrabniania gałęzi, przy której majstrował coś mechanik Bodzio i spokojnie palił papierosa. Spojrzał przez ramię w kierunku bramy, odłożył do skrzynki narzędziowej klucz i odpalił maszynę.

– Jednak to prawda – oznajmił Timon.

– Taaa... Kolejna niczego nieświadoma ofiara wjeżdża na teren posesji.

Ledwo wóz się zatrzymał, drzwi z obu stron szoferki gwałtownie się otworzyły. Mężczyzna, który wysiadł od strony pasażera, miał zakrwawioną twarz, zataczał się i wyraźnie utykał na lewą nogę. Kierowca Henio wymachiwał jakimś małym zaciśniętym w dłoni, krzyczał coś do mechanika i pokazywał na mężczyznę, który teraz oparł się o jaguara i ciężko oddychał. Popatrzył na rozmawiających mężczyzn, rozpiął pasek w spodniach, owinął nim lewą nogę w pachwinie, po czym dał krok do przodu i upadł na kolana. Bodek wyłączył maszynę i ruszył w kierunku warsztatu. Momentalnie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Kiedy już wydawało się, że Helmut upadnie na twarz, ten podparł się na jednej ręce, sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej pistolet i biorąc pod uwagę jego stan fizyczny, pierwszorzędnie wycelował, trafiając Bodka w plecy w momencie, kiedy ten pociągał prawe skrzydło bramy warsztatowej. Heńka pierwszy strzał trafił w jądra tylko dlatego, że uwagę Helmuta odwróciła babcia Anka, która w momencie oddawania strzału wypadła z szoferki na twarz. Drugi strzał trafił dokładnie w mostek. Obaj mężczyźni upadli jednocześnie, martwy Henio padł na lewy bok, umierający Helmut na twarz z wyciągniętą przed siebie ręką z pistoletem. Leżał teraz i głośno rzeził. Jako że był to jedyny dźwięk, jaki docierał do wyostrzonego zmysłu słuchu babki Anki kobieta, kiedy tylko podniosła się z ubitego śniegu, natychmiast podążyła w jego stronę, omiatając jedną ręką przestrzeń przed sobą. Po

kilkunastu sekundach dotarła do Helmuta, uklękła i zaczęła macać na wpół żywego mężczyznę. Przez przypadek pociągnęła za lufę pistoletu, a jako że palec Helmuta nadal spoczywał na spuście, padł strzał. Babcia Anka na moment wyprostowała się, by po chwili zwalić się bezwładnie na mężczyznę. Ciężar był tak duży, że zadziałał szybciej niż jad żmii rogatej. Uderzenie i masa wycisnęły całe powietrze z jego płuc, powodując momentalne niedotlenienie.

– Ja pierdole! – powiedział Yves, odejmując lornetkę od oczu.
– Co to, kurwa, miało być?! Ta cała akcja?

– Nie wiem, wiem natomiast, że musimy się pospieszyć! Będziemy mieli czas podyskutować o tym po drodze.

Minutę później czerwone cinquecento wjechało przez bramę. Kuzyni wysiedli z samochodu i nie zważając na trupy, weszli do warsztatu. Mercedes o dziwo był prawie gotowy, jednak słowo „prawie” czyni w tym wypadku wielką różnicę, ponieważ auto nie miało założonego koła. Obok leżało tylko stare, połamane koło.

– Chyba jednak nie pojedziemy. Może oni akurat nas nie chcieli zabić?

– Nie gadaj głupot! Widziałeś, co zrobili temu z passata. Auto naprawione... Koła brakuje, bo nowego najwyraźniej mechanik nie zdążył kupić. – Timon spojrział na zegarek.

– Kurwa mać! I co teraz?!

– Jak teraz ktoś tu przyjedzie, to w związku z zaistniałą sytuacją będziemy musieli go zabić. Stos trupów będzie rósł... Poza tym za moment pojawi się w okolicy straż pożarna, bo palił się dom i niedaleko stąd radiowóz. Kto wie, może już nawet jadą. Nie mamy więcej niż pół godziny, a jeszcze musimy zatrzeć wszystkie ślady.

Po krótkich oględzinach pojazdów znajdujących się na placu i w warsztacie kuzyni zdjęli z lawety passata i wymienili wgięte koło na odkręcone ze stojącego pod płotem audi. W czasie kiedy Timon przepakowywał torby do auta i wciągał zwłoki do warsztatu, Yves opuścił tłumiki od mercedesa, żeby wyjąć ze schowków dwa ukryte pistolety z tłumikami. Po pół godzinie

passat z racji wygiętego wahacza z nieco przekrzywionym przednim prawym kołem stał gotowy do drogi. Timon wjechał cinquecento do garażu, położył się pod samochód i punktakiem zrobił dziurę w zbiorniku paliwa, które teraz zaczęło zalewać warsztat. To samo zrobił we własnym mercedesie. Kiedy wyszedł spod samochodu, w warsztacie rozległ się dźwięk dzwoniącego telefonu. Timon i Yves równocześnie spojrzeli na zwłoki Helmuta. Po krótkiej chwili telefon przestał dzwonić i dało się słyszeć krótkie piknięcie informujące o przychodzącym SMS-ie.

– Yves schylił się i wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki iPhone'a. Pomazał palcem po ekranie, na którym zobaczył początek wiadomości SMS. Jego nadawcą był niewprowadzony do książki telefonicznej numer telefonu, a treść SMS-a brzmiała: „Timon i Yves nie dojechali jeszcze do By...”.

– Jak pierdolę! Choć tu do mnie Timon i zobacz to! – Yves pobladł w jednej chwili i wyciągnął rękę z telefonem w kierunku kuzyna.

– Co jest?! – Timon podszedł, wziął telefon do ręki i przeczytał wiadomość. – Myślisz, że to o nas? – Zaniepokojony patrzył, jak Yves przegląda dokumenty wyjęte z portfela nieboszczyka.

– Louis Poussin, tak się nazywał – przeczytał z prawa jazdy. – Nic mi to nie mówi.

– Mi też...

– Daj telefon, trzeba podsunąć mu pod twarz, żeby się odblokował. – Zbliżył telefon do twarzy Helmuta, następnie puknął palcem w wiadomość i teraz obaj pochyleni nad wyświetlaczem czytali chórem, to co „ów” tajemniczy numer przysłał do denata: „Timon i Yves nie dojechali jeszcze do Bydgoszczy. Mają rezerwację w hotelu City. Prawdopodobnie zatrzymali się gdzieś na noc. Miej oczy szeroko otwarte”. Kiedy skończyli czytać, spojrzeli na siebie ciężko wystraszeni. Krople potu spływały po plecach Timona, Yves ciężko przełknął ślinę, a jego ręce delikatnie, aczkolwiek wyraźnie zaczęły drżeć. Timon zaczął rozglądać się po warsztacie, przeszedł wzdłuż stołu montażowego, przystanął na moment, w końcu zniecierpliwiony wziął do ręki dużą piłę do drewna i podszedł do trupa Helmuta.

Zaparł się prawą nogą o klatkę piersiową, piłę przyłożył do szyi i krótkimi szybkimi ruchami w pół minuty odpiłował mu głowę. Wyjął z bagażnika mercedesa reklamówkę po ciuchach ze sklepu Lacoste i wrzucił ją do środka.

– Nie wiem, o co chodzi, ale z pewnością musimy dowiedzieć się, w czym rzecz i kim był ten mężczyzna. Głowę musimy trzymać w zimnym, żeby telefon go nadal rozpoznawał.

– Kurwa, kiedyś telefony odblokowywano odciskiem palca, wystarczyłoby mu odciąć palec. A teraz głowę trzeba... no nic, na razie włożę ją do bagażnika.

– Idź do passata, ja podpalę warsztat i spierdalamy stąd.

– Jedziemy do tej Bydgoszczy?

– A chcesz powiedzieć wujkowi, że się rozmyśliłeś?

– Nie no skąd?!

– To sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. Oczywiście, że jedziemy do Bydgoszczy. Jedyne, co musimy zmienić to hotel, nie wydaje mi się po tym, co przeczytałem, że chciałbym choć dobrą spędzić w hotelu City.

– Nie wiem, co o tym myślisz, ale ja uważam, że ktoś na nas poluje.

– Albo polował raczej, bo przecież nie żyje.

– A skąd wiesz, że ten bez głowy był tylko jeden? Może jest ich więcej?

– Pamiętaj, że może być zupełnie odwrotnie – odparł Timon po chwili namysłu.

– Co masz na myśli?

– Może on miał nas ochraniać. – Od zapałki odpalił szmatę, wyszedł na zewnątrz razem z Yves'em i cisnął ją w głąb garażu.

– Niemniej masz rację, musimy być bardzo ostrożni.

Rozdział 34

16 grudnia

Dwa dni po śmierci pana Stigsona Britta nadal miała podpuchnięte od płaczu oczy. Siedziała teraz w poczekalni kancelarii Olsen & Fersen i czekała na wyznaczone jej na dziś rano spotkanie. Kiedy wskazówka przekroczyła o sekundę godzinę 9, drzwi wejściowe do kancelarii otworzyły się gwałtownie i stanął w nich oczekiwany pan mecenas oraz osobisty sekretarz Larsa Stigsona pan Erik Svensson. Obaj mężczyźni uklonili się i po zdjęciu płaszczy przywitali się z ubraną na czarno Brittą.

– Zapraszam państwa do mnie do gabinetu. – Gestem ręki mecenas zaprosił gości. – Państwo poczekają, ja już przygotowuję nam kawę.

Kiedy weszli do środka, zajęli miejsca przy stoliku kawowym, pan Svensson wyjął z teczki gruby kalendarz i zdawał się nie zauważać Britty, która sięgnęła ze stolika po gazetę codzienną i zaczęła ją bezceremonialnie przeglądać. Pięć minut później z kawami i ciasteczkami maślanymi na srebrnej tacy wszedł gospodarz. Postawił tacę na stoliku, po czym sięgnął po swoją teczkę i zasiadł naprzeciwko gości.

– Pani Britto, panie Eriku, jako że notariusz Gustavson zmarł tragicznie parę dni temu, przypadł mi ten smutny zaszczyt otwarcia, przeczytania i wykonania ostatniej woli naszego wspólnego pracodawcy pana Larsa Stigsona.

Zarówno Britta, jak i sekretarz odłożyli wszystko, co mieli w rękach, i teraz z największą uwagą patrzyli na dużą zalakowaną kopertę, którą w ręku trzymał adwokat. Britta uśmiechnęła się, ponieważ była ponad wszystko pewna, że wewnątrz koperty znajduje się testament napisany przez notariusza pod dyktando izraelskiego wywiadu.

– Kopertę dziś wydano mi na komisariacie policji, który

prowadzi sprawę pożaru w biurze notarialnym. Czy wszystko jest dla państwa jasne i mogę ją komisyjnie teraz przy was otworzyć?

Britta i sekretarz spojrzeli na siebie, następnie przenieśli spojrzenia na Fersena i pokiwali jednocześnie na znak aprobaty głowami.

– Ja się zgadzam – powiedziała Britta. – Zresztą moja zgoda nie ma tu nic do rzeczy. Pomińmy uprzejmości i niech pan czyni swoją powinność.

– Oczywiście, że tak – skinął jeszcze raz głową sekretarz.

Folke Fersen odchylił się do tyłu, złapał lakową plombę na kopercie i przełamał ją na pół. Britta przełknęła głośno ślinę i na moment zatrzymała powietrze w płucach. W tym czasie niebiesko żółta teczka z testamentem została wyjęta z koperty, adwokat położył ją sobie na kolanach i otworzył. Następnie linijka po linijce zaczął czytać na głos zapisane na kartce wytyczne dotyczące realizacji testamentu.

– Pani Britto, choć sam nie wiem jak to możliwe, ale wychodzi na to, że odziedziczyła pani prawie cały majątek. Szczerze gratuluję i mam nadzieję, że będzie pani należycie się o niego troszczyła.

– Nie wiem, co powinnam w takiej chwili powiedzieć...

– Doskonale odgrywała swoją rolę – nie spodziewałam się czegoś takiego. No może jakaś skromna kwota w ramach odprawy, ale takie coś?

– Niezbadane są pomysły miliarderów, a zwłaszcza tak ekscentrycznych, jakim był pan Stigson – adwokat wstał od stolika, obszedł biurko i wysunął szufladę. – Nie mniej data testamentu opiewa na dzień 3 grudnia, a w dniu 13 grudnia pan Stigson wręczył mi ten oto list – tu sięgnął w głąb szuflady i wyjął z niego szarą kopertę – który napisał podczas pobytu w domku wędkarskim na wyspie Tranholmen. List opatrzony jest pieczęcią rodową pana Stigsona, został napisany przez niego własnoręcznie i wręczony mi przy świadkach. Miał być odczytany przy spadkobiercy pana Stigsona i pani Jance, która niestety cały czas jest chora. Musimy być pewni, że ten list nie

zawiera przypadkiem zmienionej wersji testamentu.

Britta zrobiła się czerwona ze złości i niemocy. Najchętniej wyjęłaby nóż i zarżnęła obydwu mężczyzn i wyszła z testamentem z kancelarii.

– No dobrze, ale z tego, co wiem, to właśnie spadkobierca jest podejrzany, a w zasadzie jest pewne, że to on poczęstował Larsa cukierkiem z sezamem.

– Tak, ale nie zmienia to faktu, że jest to sprawa dla policji. Dla mnie jako prawnika pana Stigsona najważniejsze jest dopełnić jego ostatniej woli. Zresztą chłopak mógł nie wiedzieć o alergii swojego pradziada. Nie oszukujmy się, przyjechał trzy dni wcześniej z Polski, nie znał szwedzkiego, nikt go o tej alergii nie informował, a nawet jakby, to i tak każdy sąd go uniewinni.

– Ale przecież on nie żyje.

Obaj mężczyźni zaskoczeni spojrzeli na Brittę. – Ale chodzi pani o spadkobiercę?

– Tak, słyszałam, że zginął w strzelaninie w hotelu Diplomat.

– Co to za niepotwierdzone plotki z gminu? – Fersen na moment „się zawiesił”. – Zresztą pani Britto, zobowiązałem się otworzyć to pismo przy nim i mam zamiar dotrzymać słowa. Oczywiście, że jeżeli pan Kupczyk nie żyje, to zrobimy to komisyjnie przy pani i panu Svenssonie. Kto wie, może dziedziczy pośmiertnie, a może dziedziczyć razem? Jak dla mnie najważniejsze jest teraz skontaktować się z panem Matiejem i umówić nam spotkanie.

– Dla mnie również. Choć mówię panu, że on nie żyje – odparła i oczami modliszki wpatrującej się w śniadanie, pożerała kopertę, którą trzymał w ręku Folke Fersen.

Rozdział 35

Roberto idąc ulicą, spojrzął przez szybę do środka, znanej w Gdyni restauracji Pasta Miasta, podniósł rękę na powitanie i wszedł do środka. Rajmund Miedzianowski, który siedział wewnątrz, uśmiechnął się na widok swojego opiekuna z GRU. Mężczyźni usiedli naprzeciw siebie bez słów. Roberto wyjął z teczki gazetę „Dagens Nyheter” i pokazał okładkę, na której pod napisanym żółtymi literami tytułem „Miliarder” uśmiechnięty Maciej Kupczyk obejmuje Larsa Stigsona.

– Dwie kawy i dwie sałatki z buraków poprosimy na drugie śniadanie – powiedział Roberto do kelnerki, która była w połowie drogi do ich stolika, po czym odwrócił się do rozmówcy. – Wiesz, jak to wygląda? – odezwał się do Miedzianowskiego, robiąc przy tym cierpką minę.

– Sałatka z buraków? Jasne, że wiem... Buraki, sałata, parmezan...

– Nie sałatka, pytałem o to, co jest napisane w gazecie. Wiesz, jak to wygląda?

– No jak?

– Wygląda na to, że jesteś podwójnym szpiegiem. Umieściłeś swojego siostrzeńca w fabryce jako niby naszego śpiocha, a w międzyczasie dogadałeś się z Mosadem. Teraz on jest filarem operacji...

– Ale przecież ja sam was o tym poinformowałem! – przerwał w pół zdania wyraźnie zdenerwowany tym, co usłyszał. – Jak tylko zobaczyłem w internecie gazetę z Maciejem, natychmiast nalegałem na spotkanie.

– I tylko dlatego jeszcze żyjesz, choć nie ukrywam, że przestaliśmy ci ufać i nadal zastanawiamy się, czy to nie jest jakaś zasadzka.

– Blefujesz – rozchmurzył się Rajmund – gdybyście przestali mi ufać ta rozmowa by się nie odbyła. Wiem, że macie gotowy plan, to znaczy ty masz gotowy plan i wiem, że wiesz, że jestem ofiarą

mojego siostrzeńca, a nie w nim w zмовie.

– Mówiłeś, że twój siostrzeniec jest niezbyt rozgarnięty, a jednak cię wykiwał – Roberto zaśmiał się cierpko.

– Nie mnie tylko nas, nas wykiwał i zapewniam cię, że nie on tylko jakiś zespół analityków z Mosadu. Mój siostrzeniec nie jest zdolny do samodzielnego działania, nic z tych rzeczy. Przecież nawet uwierzył, że został tajnym agentem Ministerstwa Obrony Narodowej. Znam go i wiem, że nie blefował, on serio w to uwierzył.

– A jeżeli tylko dobrze grał głupiego? Może to ty jesteś kretynem, towarzyszu Miedzianowski!

– Nie jestem.

– Coś takiego... a jednak myślę, że jesteś. Nie przyszło ci do głowy, że może celowo nie zlikwidował w Sztokholmie spadkobiercy? A co jeżeli pracował jeszcze dla kogoś innego?

– Nic podobnego. Rocco zawsze sumiennie wykonywał zadania, ja zresztą też działałam bardzo sprawnie.

– Sprawnie? Dobrze ci płacimy, a ty nie umiesz kontrolować nawet własnej rodziny. Podwórka własnego nie jesteś w stanie upilnować – Włoch złośliwie zmrużył oczy i na moment skupił się na sylwetce wychodzącej zza baru kelnerki.

Odebrał od niej kawę i podał Miedzianowskiemu, drugą kawę postawił przed sobą. Odprowadził wzrokiem kelnerkę ubraną w kusą spódnicę i zaczął mieszać kawę, patrząc w oczy swojego człowieka w MON. Pod względem operacyjnym ten nieoczekiwany rozwój wydarzeń bardzo go cieszył, nie mniej w żadnym razie nie chciał zdradzać tego po sobie. Dlatego właśnie zrobił posępną minę i patrząc na rozmówcę, zastanawiał się, jak najkrócej przekazać całkiem nowe plany, które osobiście przygotował wobec niego oraz Macieja Kupczyka.

– Będziesz musiał zlikwidować swojego siostrzeńca.

– Natychmiast to uczynię.

– Nadgorliwość to najgorsza cecha, jaką może legitymować się szpieg GRU. – Uśmiechnął się cierpko. – Spokojnie, nie śpiesz się z tym aż tak bardzo. Zabijesz go, ale jeszcze nie teraz. Na razie trzeba go tylko porządnie nastraszyć, z tym że musisz zrobić to

od razu, najlepiej jeszcze dzisiaj. Jeżeli masz rację i faktycznie jest on lebiegą życiową, to powinien z marszu przejść na naszą stronę. Teraz napij się kawy i wysłuchaj wszystkiego, co mam do powiedzenia. – Roberto podparł brodę na dwóch dłoniach i spokojnie patrzył, jak jego agent chwyta za uszko filiżankę.

– Zamieniam się w słuch – odparł Miedzianowski i wziął mały łyk kawy.

Rozdział 36

Gösta usiadł na więziennym łóżku z IKEI i zaczął patrzeć przez zakratowane okno. Nie, żeby pamiętał katalog z asortymentem sklepu na pamięć, po prostu w jego służbowym mieszkaniu, konkretnie w pokoju dla gości miał dokładnie takie samo łóżko. Mimo że był w połowie Szwedem, nie cierpiał tego zalewu świata szwedzkimi meblami. Obojętnie, hotel w Bangkoku, kwatera w Liverpoolu czy pudło w Sztokholmie, a meble wciąż te same. Patrzył na chmury, a jego myśli kręciły się wokół Britty i Aniki. Zmiana stron przez Brittę była faktem, a to, że kobieta mogła działać sama dla siebie i zabić Anikę z chciwości, wydało mu się kuriozalne i przestał brać tę możliwość w ogóle pod uwagę. Starał się natomiast domyślić, kiedy Britta została zwerbowana przez obcy wywiad, zastanawiał się, czy stało się to, zanim zwrócili się do niej, czy stało się to już w trakcie jej pracy dla Mosadu. „Biedna Anika, pewnie jak spadała z balkonu, nie zdążyła zrozumieć, co się stało, może i lepiej, że nie zdążyła. Niepotrzebne nerwy tuż przed śmiercią” – spuentował nieco żartobliwie, po czym uśmiechnął się sam do swoich myśli.

Najmniej zmartwień i smutku krążyło w jego głowie wokół własnego losu. Nad tym, co się wydarzy odnośnie do jego osoby, nie musiał się zastanawiać. Wiedział na podstawie konkretnych przypadków, jakie mieli jego koledzy w służbie Mosadu, że nawet gdyby był winny, jego przełożeni wyciągną go z więzienia maksymalnie w rok. Tym razem jednak sprawa była prosta, więc wypuszczenie go na wolność nie zajmie więcej niż 48 godzin. Oparł się plecami o chłodną ścianę i pogрузzył się w lekturze gazety codziennej. „Andriej Gubin zwyciężył przez nokaut w siódmej rundzie Alrika Mortensena” – wyczytał jako pierwszą wiadomość i pomacał się po obolałej szyi oraz czole. – Gdyby nie ta „betonowa” lala do ruchania, to bym ci wlał” – powiedział sam do siebie i zaśmiał się cicho rozbawiony sytuacją, jaką zastał w boksterskiej alkowie. Po chwili powrócił do lektury i co jakiś

czas zaczął spoglądać w stronę drzwi. W końcu usłyszał na korytarzu Odgłos kroków pod celą.

Zasuwa w zamku przesunęła się, drzwi otworzyły się na szerokość.

– Gösta Oloffson, wychodzi pan, ktoś wpłacił za pana kaucję – powiedział policjant.

Niecałą godzinę później siedział w pokoju pułkownika Izraela Pinkusa i przyglądał się dokumentowi zwolnienia za kaucją wystawionemu przez szwedzki sąd na jego własne nazwisko. Wygląd jego twarzy najlepiej opowiadał o jego przeżyciach sprzed dwóch dni. Wielki siniak, przechodzący w krwiak na szyi i krwawy odcisk na czole metalowego stelażu krocza należącego do silikonowej lali spowodowały, że pułkownik nie omieszkał zadać to jedyne jedno niewygodne pytanie:

– Co ci się stało w szyję i czoło? Przecież szwedzka policja nie bije, Britta cię tak urządziła?

– Bokser wagi ciężkiej Andriej Gubin ubrany w szpilki i damską bieliznę pobił mnie do nieprzytomności silikonową lalą do ruchania – odparł zgodnie z prawdą.

– Uuuuu... Widzę, że nie jest dobrze z twoją psychiką. Ja doskonale rozumiem, co przeszedłeś, strata Aniki też jest dla mnie bólem, ale takie coś...

– To prawda. Dokładnie tak było.

– W policyjnym raporcie tego nie ma – pułkownik uniósł brwi, a na jego czole wyskoczyła jedna głęboka jak Rów Tonga zmarszczka.

– Wielu rzeczy nie ma w policyjnych raportach. Może bokser zdjął te ciuszki, a lalę ukrył, zanim zawołał policjantów.

– No tak. Przepraszam, nie powinienem wątpić w żadne twoje słowo. – Pułkownik zasępił się na chwilę – taką sytuację, to znaczy zgon dwóch agentów naraz w Europie mieliśmy ostatnio w latach osiemdziesiątych.

– Dwóch?

– Byłeś w hotelu i nie wiesz, co się przytrafiło Svenowi?

– Nie wiem. Kiedy wszedłem do hotelu, był tam tłum rozhisteryzowanych ludzi, zrozumiałem, że coś się musiało stać,

więc zaniepokojony pędem pobiegłem do pokoju. Tam zobaczyłem, jak Britta przerzuca Anikę przez balkon.

Pułkownik pokiwał głową ze zrozumieniem – Sven, został zastrzelony przez karła pracującego dla GRU. Sprawa nigdy by się nie wydała, gdyby nie Anika, która spadła na niego i go zabiła. W jego kieszeni znaleziono pistolet z tłumikiem, z którego prawdopodobnie zastrzelono Svena. Tylko nie możemy rozgryźć, czemu GRU zlikwidowało Svena, co takiego zaszło w toalecie?

– Kto wie, może ten karzeł z GRU osłaniał prawnuka. Sven poszedł do toalety, rozpoznał tam prawnuka, chciał go zlikwidować, a przy okazji sam zginął.

– Nie wykluczam też i takiego scenariusza. Nie mniej operacja „Chajat” właśnie zostaje zakończona. Nie osiągnęliście podstawowych celów, jakie były wam wyznaczone, do tego 50 proc. zespołu nie żyje, a 25 proc. przeszło na stronę wroga.

– Ależ...

Pułkownik uniósł rękę w geście nakazującym milczenie – od teraz jesteś szefem nowej operacji pod kryptonimem Efes. Waszym zadaniem będzie zlikwidowanie spadkobiercy Larsa Stigsona, który nazywa się Maciej Kupczyk, oraz zniszczenie laboratorium badawczego w Veltronexie. Badań pewnie to nie przekreśli, jednak opóźni je przynajmniej na rok. Do tego czasu będziemy mieli swój własny SIXARX. Dla waszej wygody dowództwu nie zależy na tym, żeby wyglądało to na wypadek. Możecie zrealizować cel dowolnymi środkami, nawet jak użycie trotylu i wyleci w powietrze cały budynek i tak wszystko pójdzie na konto arabskich terrorystów. Dostaniesz do pomocy dobrze wyszkolonego sapersa Lewiego Cajmera, który za godzinę przylatuje do Sztokholmu. Wytypowałem go, bo Lewi ma dodatkowy atut, świetnie mówi po polsku, a ta umiejętność jest tam ważniejsza niż wyszkolenie saperskie. Doprowadź się do porządku, odpocznij parę dni, przygotujcie sobie plan i wykonajcie zadanie. Jeżeli nad Polską będzie bezchmurnie, to będziecie mieli wsparcie satelity wywiadowczego. Tyle jeszcze mogę dorzucić od siebie.

– A Britta?

– Pracujemy nad tym. Ta niefortunna sytuacja, a zwłaszcza kradzież dwóch służbowych laptopów oraz zarejestrowanej na nas broni to blamaż. Musieliśmy zmienić wszystkie hasła w ambasadzie i dla świętego spokoju kupić nowe serwery. Przez to do jutra jesteśmy odcięci od internetu, więc i od świata. Cholera wie, czy czegoś nie zdążyli wrzucić.

– Ale kto?

– Nie wiem. Mówię ci, że nad tym pracujemy. Możesz być pewien, że śmierć Aniki oraz Svena zostanie pomszczona. Dobrze wiesz, że nie puszczamy tego typu spraw płazem. To wszystko z mojej strony na dzisiaj.

– Jeżeli pan pułkownik pozwoli, to polecimy do Polski już jutro rano. Jestem głęboko w sprawie i wiem, że liczy się każdy dzień. Nie ma chwili do stracenia, tym bardziej że wyczytałem w gazecie, że spadkobierca Stigsona jest już w Polsce. Zresztą mam tylko obite żebra i kilka siniaków, ogólnie rzecz biorąc, jak na to, co przeszedłem, to czuję się nie najgorzej.

Pułkownik złożył ręce jak do modlitwy i przyłożył je do ust. Patrzył przez dłuższą chwilę na przekrwione prawe oko swojego podwładnego oraz siniak w kształcie wagi na czole. W końcu wypuścił przez złożone dłonie głośno powietrze. – Dobrze zgadzam się, możecie lecieć jutro. Tylko przypudruj na Boga sobie to czoło...

Rozdział 37

Maciej obudził się zlany potem. Śniło mu się, że wujek ubrany w mundur oficera wojska polskiego zakłada mu stryczek na szyję. Usiadł na łóżku i schował twarz w dłoń. „Miałem być dziedzicem, a jestem tylko dobrze opłacanym aktorem odgrywającym rolę dziedzica, miałem być szpiegiem, a prawdopodobnie zginę z ręki własnego wujka. Zamiast się cieszyć ze zwycięstwa nad Pytlem, siedzę i się tylko martwię. Muszę coś pilnie zaradzić, może nawet ukryć się na jakiś czas”. Wszedł do kuchni, wziął puszkę mielonki z szafki, pociągnął za kółeczko i zerwał wieczko. Wyjął ze zgrzewki butelkę wody mineralnej, włożył ją pod pachę, w otwartą konserwę wbił widelec, po czym wrócił do pokoju. Pierwszy kęs smakował wybornie, następny już ledwo się przecisnął przez zwięzony ze stresu przełyk.

Włączył telewizor, aby pierwszy raz od sześciu dni móc obejrzeć poranne wiadomości na TVM24. Pierwszy widok, jaki ujrzał na ekranie, pokazywał bydgoskie osiedle Błonie. Kamera pokazywała znaną reporterkę Joannę Pentkowską, która stała przy ulicy Broniewskiego i opowiadała o czymś, żywo gestykulując prawą ręką. Na drugim planie widać było jego starego saaba oraz targowiskową „budę” Staska sprzedawcy jajek. Szybko zrobił głośniejsze i zaczął wsłuchiwać się w treść reportażu na żywo. „... jeszcze parę dni temu, ten całkiem anonimowy, zwyczajny człowiek mieszkający w bloku z wielkiej płyty, jeżdżący tym oto bardzo starym i wysłużonym samochodem nie zwróciłby niczyjej uwagi. Dziś jest znany jako spadkobierca fortuny Stigsonów. Tak jest, proszę państwa, to prawda, zwyczajny człowiek mieszkający pośród nas stał się najbogatszym człowiekiem w Polsce. Miliarderem, ponieważ jego majątek w przeliczeniu na złotówki czyni z niego wielokrotnego miliardera. Bardzo proszę, podejźmy może i zapytajmy kogoś przypadkowego, czy zdaje sobie sprawę, kto obok niego

mieszka”. – Kobieta przeszła przez wydeptany trawnik i podeszła wprost do Staska. Pod nos podetknęła mu wielki mikrofon, a kamera bezlitośnie pokazywała jego wystraszone, wielkie, umieszczone pośród miliona zmarszczek oczy.

– Dzień dobry panu! Czy zna pan właściciela tego pojazdu?
– zadała pytanie, pokazując na saaba z urwanym zderzakiem.

– Znam.

– A wie pan kim jest?

Maciej zacisnął wargi w oczekiwaniu na odpowiedź, a ponieważ Stasek długo się zastanawiał, zacisnął jeszcze z nerwów pięści, ponieważ zastanawiał się, jak będzie wyglądała pierwsza wiadomość na jego temat przekazywana w kraju.

– Ten agresywny kretyn? – odpowiedział pytaniem na pytanie Stasek.

– Właściciel tego tu auta stał się najbogatszym człowiekiem w kraju, słyszał pan o tym?

– Ten agresywny kretyn... mój wspólnik mianowicie, ostatnio tego pana chciał wyprowadzić z równowagi. Co nie. Wkurzyć go chciał. Ale ten pan tu od tego auta, to klasa człowiek. Kurturarny i w ogóle...

Maciej odetchnął z ulgą. Wyłączył telewizor, z podłogi podniósł spodnie, które wczoraj w nocy sponiewierał, kiedy się rozbierał. Spojrzał przypadkiem na wyświetlacz telefonu i zamarł, ponieważ na wyświetlaczu wyciszonego telefonu widniało kilkanaście SMS-ów oraz ponad dwadzieścia nieodebranych połączeń, które przyszły w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Przesunął palcem listę SMS-ów. Oprócz SMS-a od Marczuka, Pytla oraz mecenasa Fersena, reszta wysłana była z numerów niezapisanych w książce adresowej. Nieco przytłoczony tą ilością niespodziewanych połączeń przeczytał pierwszego w kolejności SMS-a od dyrektora handlowego Marczuka: „Dobre wieści się szybko rozchodzą. Słyszałem, że jest już pan z powrotem w Polsce. Bardzo serdecznie zapraszam pana do siebie do gabinetu na kawę w dogodnej dla pana chwili. Dziś co prawda mamy zapowiedzianą delegację z Francji nie mniej zawsze może się pan przyłączyć do rozmów. Z ukłonami Marczuk”. Kupczyk

odsunął iPhone'a od twarzy i jeszcze raz przeczytał wiadomość – „... w dogodnej dla pana chwili? Z ukłonami?” – przeczytał i zaczął kontemplować sytuację – Co to kurwa ma znaczyć?! Ja rozumiem, że jestem spadkobiercą, obrzydliwie bogatym człowiekiem, ale reakcja dyrektora jest nieadekwatna do bodźca – podsumował i teraz z niemałym obrzydzeniem spojrzął na wyświetlacz i otworzył wiadomość od Pytla. „Ty chuju! Dobrze to sobie wymyśliłeś, ale ja nie dam się nabrać! Wiem, że z tym spadkiem to ściema” – Maciej uśmiechnął się, a później z zadowoleniem skonstatował w myślach – „Wymyśliłeś? Przecież to plan doskonały debilu, ale co by nie powiedzieć to intuicję masz dobrą... debilu”. Kolejny SMS, który w kolejności otworzył, był przesłany przez nieznaną mu numer. Słowo po słowie zaczął ją czytać na głos: „Dzień dobry! Ponieważ nie mogę dodzwonić się do pana, osobiście postanowiłem przekazać tę krótką wiadomość za pośrednictwem SMS-a. Bardzo się cieszę, że już wrócił pan do kraju. Jutro zapraszam pana na posiedzenie zarządu, będzie nam bardzo miło wysłuchać pana opinii w kluczowych sprawach dla naszego zakładu. Pozdrawiam Jan Kuciak”. – Prezes Jan Kuciak, przecież to niemożliwe, żeby sam szef firmy, szwagier premiera, chciał usiąść ze mną przy jednym stole! – Szczerze wstrząśnięty wyłączył i odłożył telefon, wziął trzy głębokie wdechy, zanim sięgnął po laptopa. Położył go na kolanach i jeszcze przez moment analizował SMS od prezesa. Najbardziej tajemniczej postaci, jaką w życiu spotkał, a w zasadzie widział z daleka tylko dwa razy. Prezes był prawie niewidzialny, a po firmie krążyły legendy na jego temat. A to, że przenika przez ściany, że umie przewidywać przyszłość czy posiada inne już raczej takie bardziej ludzkie umiejętności. Najpopularniejszą legendą była jego rzekoma skłonność do przebierania się za różne postacie. Podobno... Bo nikt go przebranego za nikogo jeszcze nie widział. Kupczyk wziął głęboki wdech i włączył laptopa. Przełknął ciężko ślinę, kiedy zobaczył, że na każdym liczącym się polskim portalu, na samej górze, były „przedruk” ze szwedzkiej gazety i jego zdjęcie z Larsem Stigsonem. Zamknął z głośnym plaśnięciem laptopa, przez chwilę

starał się uporządkować myśli i wymyślić jakąś koncepcję działań na najbliższe dni. Zanim jednak zdążył na dobre rozpędzić wyobraźnię dzwonek domofonu przerwał jego rozmyślenia. Podniósł słuchawkę domofonu i przyłożył do ucha.

– Tak?

– Pan Kupczyk?

– Tak, słucham

– Dzień dobry, nazywam się Joanna Pentkowska, przyjechałam do pana z wraz z ekipą telewizyjną TVM24. Chcielibyśmy przeprowadzić z panem wywiad...

– Wielu by chciało.

– Z tym że my panu dobrze zapłacimy...

– Co? Zapłacić to ja wam mogę za waszą stację. Chyba zwariowaliście z tą ofertą, żadnego wywiadu nie będzie. Poza tym skąd macie mój adres? Musieliście pozyskać go nielegalnie, a to jest niezgodne z RODO. Doniosę na was na policję, to jest zwyczajny stalking, to jest nękanie!

Zadowolony ze swojej asertywności odwiesił słuchawkę i skierował się wprost pod prysznic. Wytarł się, przy pomocy pięciu różnych produktów kupionych na portalu Fale Loki Koki starannie ułożył włosy, po czym ubrał się w komplet zupełnie nowiutkich rzeczy nabytych w szwedzkich butikach. Psiknął się dwa razy perfumami BOSS, telefon, dokumenty zapakował do kieszeni nowej kurtki, spojrzął na klatkę przez judasza i wyszedł z mieszkania. Naciągnął kaptur od bluzy na głowę, wszedł dwa pietra wyżej i dyskretnie spojrzął przez okno na klatce schodowej. Na dole pod klatką stało ponad dwadzieścia osób z mikrofonami, aparatami i kamerami na plecach. Jak policzył, były wszystkie trzy główne kanały telewizyjne, sześć radiowych i przynajmniej dziesięciu reporterów z jakiś nieokreślonych gazet. „Pierwszy dzień w Polsce i już mnie ta popularność wkurwia. Jak żyją tacy ludzie jak DiCaprio? Przecież to musi być udręka”. – Wrócił do mieszkania nieco zdenerwowany, ale też z nowym pomysłem w głowie. Złapał za słuchawkę domofonu i krzyknął:

– Halo! Słyszycie mnie? Jest tam pani z TVM?

– Jestem! – odezwała się po chwili kobieta.

– Słuchajcie, mówię to do was wszystkich na dole. Jak chcecie, żebym udzielił wam wywiadu, to musicie jechać do mnie pod pracę do Veltronexu. Będzie większe audytorium i sceneria też ciekawsza niż tu na osiedlu. Żebyście się zdążyli rozstawić, będę tam za 40 minut. Pasuje?

– Super, świetnie, pasuje, doskonale, przepięknie, cudownie, rewelacja, już tam jedziemy – odezwali się po kolei stojący pod klatką dziennikarze.

Przez kolejne trzydzieści minut Kupczyk pakował z powrotem do sportowej torby rzeczy, które wydawały mu się niezbędne do życia przez najbliższe kilka dni. Sprawdził przez okno czy nie czyha na niego jakiś ukryty fotoreporter. Jako że nikogo pod drzwiami do klatki nie było, zbiegł na dół, przeszedł przez targowisko, gdzie po wskazaniu go palcem przez Staska odebrał kilka „dzień dobry” od nieznanym mu sprzedawców. Odwzajemnił uprzejmości, przeszedł przez ulicę i poszedł w kierunku samochodu „ukrytego” za budynkiem poczty.

Odpalił auto, kontemplując przez moment muzykę, jaka popłynęła z głośników. Chwila relaksu i przyjemności szybko jednak minęła, ponieważ cały czas w jego podświadomości tkwił zakotwiczony obraz denata, którego zobaczył dwie doby wcześniej na telefonie wuja. Spojrzał na martwy wyświetlacz wyłączonego telefonu. Wśród listy widzianych wcześniej SMS-ów oraz połączeń nie odnalazł numeru od Miedzianowskiego, co jego umysł odebrał z jeszcze większym niepokojem. Nerwowo spojrzął w lusterko, rozejrzał się nerwowo w lewo, w prawo, patrzył podejrzliwie na przechodzące przed maską osoby, nawet na te w podeszłym wieku. „Każdy jest podejrzany, bo każdy może wyjąć pistolet i mnie kropnąć. Co robić?” – niezbyt optymistyczny zestaw myśli przegalopował przez jego umysł. Kropelki potu pojawiły się na jego twarzy i karku. W końcu nie wytrzymał, wyszedł z auta, z torby leżącej w bagażniku wyjął cloranxen, jego zdaniem najlepszy lek przeciwlękowy dostępny w kraju. Połknął podwójną dawkę tabletek, jakie nakazywał zażywać lekarz, wsiadł do auta i ruszył. Parę minut później skręcił na parking

hotelu Trym położonego malowniczo nad brzegiem rzeki Brdy. Auto zaparkował w najodleglejszym miejscu parkingu tuż obok srebrnego vw passata z francuskimi numerami rejestracyjnymi. Wyjął bagaż i poszedł w kierunku recepcji. Po krótkiej rozmowie z recepcjonistą o stylizacji na fircyka z lat 30., odebrał kartę od pokoju 101, podziękował za pomoc bagażowemu i poszedł schodami na pierwsze piętro. Otworzył drzwi i trzymając torbę przed sobą, wszedł do obszernego przedsiionka. Położył bagaże na podłodze, zatrzasnął drzwi i dla pewności przekręcił blokadę zamka. Odwrócił się i wszedł w głąb pokoju. W tym momencie dawka szoku oraz strachu dosłownie odrzuciły go na szafę. Lęk, przeogromny lęk przed utratą życia chwycił go za gardło, ponieważ naprzeciw niego na fotelu siedział wuj Miedzianowski i mierzył do niego z pistoletu z tłumikiem.

– Ani kroku w tył, bo strzelę ci w łeb! – bardzo stanowczym głosem powiedział wuj i nogą podsunął mu krzesło. – Siadaj tu i połóż obie ręce na kolanach. Ale już!

Nogi zwiotczały mu w jednej chwili. Upuścił torbę i nerwowo patrząc w otwór w tłumika, usiadł na krześle. Jego ręce powoli powędrowały na kolana, które mimowolnie zaczęły najpierw delikatnie drżeć, aby w przeciągu kilkunastu sekund drżenie przeistoczyło się w nerwowe podskakiwanie każdej nogi z osobna. Wuj przechylił się nieco do przodu, niespodziewanie z całej siły spoliczkował Kupczyka, którego głowa, zanim wróciła do pierwotnej pozycji, dostała „na odlew” drugiego plaskacza tak mocnego, że dwa uwolnione gile z nosa poleciały w kierunku zawieszzonego na ścianie lustra.

– To na powitanie i po to, żebyś wiedział, że masz przejebane, chłopaku. – Rzucił mu taśmę pakową na kolana. – A teraz z łaski swojej wyłącz swój telefon komórkowy i podaj go mnie, następnie owiń sobie tę taśmę wokół nóg, tak żeby ściśle przylegały do krzesła.

Maciej zacisnął szczęki. Łzy spływały mi po piekących do granic możliwości policzkach. Wyłączony wcześniej telefon podał wujowi, wziął taśmę i apatycznym ruchami przykleił obie nogi do krzesła, następnie Miedzianowski zrobił to samo z jego rękoma,

przyklejając je wzdłuż ciała do oparcia. Kiedy skończył, usiadł z powrotem na fotelu, wziął pistolet do ręki i spojrzał w oczy siostrzeńca.

– Od kiedy pracujesz dla Mosadu?

– Nie pracuję dla żadnego Mosadu wujku, to wszystko to jakieś niepojęte nieporozumienie! Ja... ja... pracuję sam dla siebie i wszystko powiem, tylko wujek mnie nie bije. – Maciej tłumiąc płacz, opowiedział najszczerzej, jak umiał, wszystkie szczegóły swojej eskapady aż do momentu, w którym został przyklejony do krzesła w hotelowym pokoju. Nie pominął w niej tak naprawdę niczego oprócz istotnego faktu, że Stigson wynajął go tylko do odgrywania roli spadkobiercy. Jego podświadomość uznała, że skoro wuj nie zastrzelił go od razu, to może właśnie trzymanie się tej wersji może uratować mu życie – I tak naprawdę nie wiem czego Mosad czy inne tam jakieś wywiady mogą chcieć od spadkobiercy Stigsona i jaki to ma związek ze mną? – zakończył wypowiedź, wybuchając od nowa płaczem.

– Znam cię od urodzenia i nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Przecież nie byłąś zdolny do wymyślenia tak doskonałej intrygi, a biorąc pod uwagę, że Stigson dwa dni temu zmarł, to zgodnie z tym, co mówisz, jesteś miliarderem, a Veltronex może być twój.

– Jak to zmarł?

– Podobno to ty go zabiłeś jakimś cukierkiem. Taką znam wersję. Zapytam jeszcze raz, dla kogo pracujesz?

– Jak to Veltronex może być mój? Jakim cukierkiem? – Tu przypomniał sobie pozostawione u starca w sypialni cukierki, przez co jeszcze więcej łez napłynęło do jego oczu.

– Pomyśleć, że wczoraj zaprzysiągłem cię jako tajnego agenta Ministerstwa Obrony Narodowej. Jesteś zdrajcą i do tego nie chcesz powiedzieć, dla kogo tak naprawdę pracujesz! Może jak trochę pocierpisz, to zmądrzejesz! – Wuj szybkim ruchem zakleił taśmą usta Kupczyka i ponownie z całej siły strzelił go z liścia tak mocno, że krzesło przechyliło się do tyłu i chłopak poleciał wprost na znajdującą się metr za plecami szafę.

Rozdział 38

Timon stał przy wyjściu na balkon i patrzył na malowniczy pejzaż za oknem. Widok rzeki Brdy wpływał kojąco na jego zszarpane przez ostatnie dwa dni nerwy. Kiedy za ścianą usłyszał najpierw kilka głuchych uderzeń, a później dwa nagle ucięte wrzaski aż się wzdrygnął.

– A w recepcji mówili, że to bardzo spokojny hotel i goście kulturalni – odezwał się z łazienki Yves, którego także najwyraźniej zaniepokoiły odgłosy dochodzące zza ściany.

– Gdyby nie ten SMS, który przyszedł do gościa bez głowy, nie zdawalibyśmy sobie z niczego sprawy, a teraz wszystko będzie nas niepokoiło i będziemy myśleli, że każdy nas obserwuje albo będzie chciał nas zabić.

– To się nazywa psychoza.

– Skończyłeś się odświeżać? Możemy już jechać?

– Wszystko mnie swędzi... jakiejś grzybicy się chyba nabawiłem poprzedniej nocy – powiedział Yves, wychodząc z łazienki ubrany w dres i buty sportowe reeboka. Wziął kurtkę z wieszaka, z komódki kartę kodową do pokoju, nacisnął klamkę i otworzył drzwi na korytarz – No ruszaj się, jedziemy.

– Tak idziesz? W dresach?!

– A ty w marynarce i wizytowych spodniach? Przyjechaliśmy tu do pracy, a nie na pokaz mody. Jak ty wyglądasz?!

– Zastanów się, kto wzbudzi większe podejrzenia, dresiarz kręcący się koło płotu czy człowiek w eleganckich ciuchach? – spuentował Timon, zatrzasnąwszy za sobą drzwi oznaczone numerem 102.

– Faktycznie szwendający się koło płotu dresiarz może wyglądać na złodzieja, ale gość w garniaku wygląda, jakby uciekł z psychiatryka. Tak czy inaczej, poza czapką niewidką nie ma dobrego stroju na kręcenie się przy płocie z monitoringiem mądrało.

Arnaud Pieto wysiadł zmordowany na peron stacji Bydgoszcz Główna. Mimo symbolicznych wręcz opadów śniegu, pociąg na trasie Gdańsk – Bydgoszcz spóźnił się tylko o 55 minut, co biorąc pod uwagę złą reputację PKP, było wynikiem powyżej oczekiwań pasażerów. Wszyscy wysiadający i wsiadający, jak ocenił w myślach Francuz, mieli „niespotykanie szczęśliwe miny”. Niestety Pieto nie dość, że nie był w stanie zrozumieć, czemu pociąg odległość niecałych 200 kilometrów pokonał w trzy godziny, to jeszcze był przemarznięty do szpiku kości, ponieważ ogrzewanie w jego wagonie nie działało. Na jego ogólnie złą kondycję psychiczną, a także ogólne poirytowanie wpływał także brak kontaktu z siostrzeńcami. Sygnał GPS, jakie emitowało urządzenie zamontowane przez niego w schowku mercedesa, zanikł przed południem. Ot tak, po prostu migający punkt na mapie, pokazujący miejsce postoju samochodu gdzieś koło Szczecina, zniknął, a telefon, którym mieli się posługiwać, pozostawał poza zasięgiem albo był po prostu wyłączony. Arni przeczuwał wszystkimi swoimi synestetycznymi zmysłami, że musiało stać się coś złego. Tym razem jego myśli miały wyjątkowo burzowy charakter, do tego synestezja sprawiła, że czuł, jakby do nosa wciągnął „ścieżkę” z kurzu. Po wyjściu przed nowoczesny budynek dworca, po prawej stronie zobaczył kilkanaście bardzo starych samochodów stojących koło znaku postój taksówek. Przez moment przyglądał się im się z zaciekawieniem, ponieważ wiek pierwszego stojącego pod znakiem „TAXI” fordą scorpio ocenił na mniej więcej 30 lat. Na moment zły humor i zmęczenie ustąpiły rozbawieniu sytuacją. „Takie pojazdy jeżdżące jako taksówki w Europie widziałem tylko w Albanii”.

– Hotel Trym. Wie pan, gdzie to jest? – powiedział po angielsku do kierowcy, kiedy wsiadł właśnie do rzeczzonego bordowego fordą.

Jednak kierowca zamiast odpowiedzieć na pytanie i ewentualnie ruszyć, otworzył drzwi i krzyknął do trzech mężczyzn palących papierosy przy starym peugeocie: – Jachu!

Cho no, Angola mam. Przetłumacz mi, gdzie on chce jechać – zakończył i teraz odwrócił się do Pieta. – Pan moment poczeka, kolega będzie z panem rozmawiał, bo ja nie tego... po angielsku.

Po niezbyt krótkiej rozmowie z Jachem, w końcu udało się ustalić, że klient jest Francuzem i chce pojechać do położonego nad rzeką Brdą hotelu Trym. Drzwi zatrzasnęły się, a Pietro odczuł teraz w całej krasie zapachy interioru trzydziestoletniej taksówki. Milion wypuszczonych we wnętrzu gazów połączony z dziesiątkami tysięcy wypalonych papierosów, smrodem hektolitrów potu wsiąkniętych w siedzenia oraz wżartym w tapicerkę chemicznym odorem choinek zapachowych, wszystko to potęgowało atmosferę katastrofy ekologicznej, jaka panowała we wnętrzu wozu. Skrzypiący fotel kierowcy, przerywający co chwilę pracę silnik oraz pożółkłe podsufitki dopełniały spektaklu „zapach, światło oraz dźwięk”. Do hotelu dojechał na trzech wdechach, nieoficjalnie pobijając rekord Polski w zatrzymaniu powietrza w płucach. Symboliczne 50 euro za przejechane cztery kilometry wręczone niezrzeszonemu w korporacji taksówkarzowi oszustowi zakończyło jego katusze. Kierowca wyjął walizkę jedną ręką, a drugą trzymał klapę bagażnika, bo gdyby ją puścił to z uwagi na niedziałające, wysłużone teleskopy klapa zmiażdżyłaby mu rękę. Pietro złapał za rączkę w walizce i zaciągnął się chciwie świeżym, mroźnym powietrzem dokładnie w momencie, kiedy kierowca ruszył, a z tłumika buchnął wielki kłęb siwego dymu o niepowtarzalnym aromacie gazu zmieszanego z resztkami niedopalonej benzyny. Arnauda w jednej sekundzie zemdlilo, zdążył wejść na trawnik przed wejściem do hotelu, złapał się za gałąź świątecznej choinki i zwymiotował. Dwie minuty później rozchełstany, szeroko stawiając nogi, wszedł do hotelowego lobby, bez zbędnych uprzejmości odebrał w recepcji kartę kodową i poszedł na górę wprost do swojego pokoju numer 103.

Kiedy dojechali na peryferie miasta, a zabudowania przy ulicy zmieniły się w gęsty iglasty las, Timon zgodnie ze wskazaniem

nawigacji skręcił w boczną ulicę, nad wyraz hojnie obdarzoną przez władze miasta latarniami ulicznymi, które mimo dnia świeciły pełną mocą. W oddali bardzo intensywnie migały niebieskie światła policyjnych kogutów. Kiedy dojechali bliżej, spostrzegli dwa wozy straży pożarnej, karetkę, trupiarkę z zakładu pogrzebowego oraz dwa radiowozy. Pomiędzy karetką a wozem straży pożarnej stał srebrny samochód do wnętrza, którego przez przednią szybę wbił się jeleń. Głowa zwierzęcia wraz z jednym porożem zwisała przez wybitą szybę w drzwiach pasażera. Oczy, przypominające szklane, czarne kulki zdawały się patrzeć na zaskoczone twarze przejeżdżających obok kuzynów.

– Ta scena przypomina mi, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie. To zła i niespodziewana śmierć – dwa tony niższym niż jego właściwy głos odezwał się Yves.

– A co pod pociągiem, to lepsza i bardziej spodziewana, znaczy się? Francuski filozof się znalazł, nie przyjechałeś tu na wykłady melepeto.

– Nie o to mi chodziło...

– Daj spokój, jak na Polskę to nawet sprawnie nam poszło. Odkąd jesteśmy w Bydgoszczy, wszystko dobrze nam się układa, nic niespodziewanego nam się nie przydarzyło.

– Te trupy tam i zabity jeleń to zły znak. Dla nas zły znak!

– Kurwa! Pierdolisz jak jakaś Wiedźma Ple-Ple... „zła i niespodziewana śmierć”, „zły znak”. Od kiedy to interesujesz się metafizyką? Wujek o tym wie?

– Przeczucie złe mam, a wujek niby o czym ma wiedzieć?

– Właśnie, à propos wujka Arnauda – nieco zdenerwowanym głosem odezwał się do kuzyna, po czym sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął telefon, który był przeznaczony do kontaktu z wujem. – Rozładowany, ten trup się wyładował do zera, a przecież wczoraj go ładowałem.

– Daj, włączę. – Yves podłączył przewód, odłożył telefon i spojrział przez szybę.

Podwójny stalowy płot zwieńczony kłębami drutu kolczastego ciągnął się wzdłuż drogi. Co 20 metrów na wysokich tyczkach zamontowane były po dwie kamery, oprócz tego bezpieczeństwa

pomiędzy płotami strzegły czujniki ruchu.

– Już dojeżdżamy, jeszcze jakieś 300 metrów i powinno być widać zakład.

Po chwili biegnąca wzdłuż drogi linia płotu skręciła od 90 stopni, a droga przeistoczyła się w duży plac będący parkingiem, na którego szczycie stał nowoczesny czteropiętrowy biurowiec. Timon odrobinę zwolnił i skręcił w kierunku budynku. Yves w tym czasie wziął do ręki swojego iPhone'a, zamontował go w uchwycie na szybie i włączył kamerę, chcąc w ten sposób, nie zwracając niczyjej uwagi nagrać szczegóły otoczenia. Passat zwolnił jeszcze bardziej, Yves z twarzą przyklejoną do szyby lustrował okna.

– Laboratorium jest w głębi zakładu, według mapy niecałe dwieście metrów za biurowcem. Jak wyjedziemy za niego, powinno być je widać – powiedział i przysunął twarz jeszcze bliżej szyby.

Niespodziewanie z biurowca wybiegł mężczyzna w garniturze pod postacią dyrektora Marczuka. Pomachał ręką w kierunku samochodu i kiedy Timon zatrzymał auto, uśmiechnął się szeroko. Szczęząc zęby do zaskoczonego Yves'a, otworzył drzwi, pochylił się nieco i zaczął mówić piękną francuszczyzną:

– Jesteście panowie punktualni jak przysłowiowe francuskie TGV. Bardzo się cieszę, że panowie już są. Prezes czeka – kiedy skończył to zdanie, otwarte ze zdziwienia szczęki kuzynów sięgały klatki piersiowej.

– Na nas? Prezes czeka? – odparł Yves.

– No tak, goście specjalni... – Tu uśmiechnął się po szelmowsku, puścił do nich „oko” i zabłysnął swoim ulubionym żarciem biznesowym. – „Ja oczywiście wiem, że przyjechaliście nas ograbić z najnowszych technologii, ale cóż dziś nie jest na sprzedaż. Negocjacje z panami będą dla mnie przyjemnością”. Proszę, tu jest miejsce dla panów, proszę zaparkować. – Pokazał dłonią na zatoczkę tuż obok schodów wiodących do biurowca, trzasnął drzwiami i odszedł parę kroków.

Timon i Yves spojrzeli na siebie oniemiaли. Jednemu chłodny dreszcz przebiegł po plecach, drugiemu krople potu pojawiły się

na pomarszczonym ze zdziwienia czole.

– Jakie, kurwa, negocjacje?

– Zdaje się, że on wie, że przyjechaliśmy ich okraść? Tak przynajmniej dał do zrozumienia.

– Raczej nie o to chodzi. Musieli chyba nas z kimś pomylić. Zachowajmy spokój. Ruszaj powoli, objedziemy parking i powoli wracamy do hotelu – stwierdził Yves i nerwowo zaczął patrzeć na okna biurowca.

– Nie możemy ot tak, teraz odjechać, to wzbudzi podejrzenia! – zaprotestował scenicznym szeptem i wjechał autem na wskazaną przez dyrektora Marczuka zatoczkę.

– Podejrzenia to wzbudzi, jak pójdziemy na spotkanie i nie będziemy wiedzieli, od czego zacząć te negocjacje, o których mówił... Zamkną nas, zanim zaczniemy misję.

– To powiemy, że pomylił się spotkanie, za takie coś nie zamykają. Powiemy, że jechaliśmy do innego zakładu, choćby Pepsico. Przecież to duże miasto, muszą mieć pepsi, co nie? A teraz wysiadaj i się uśmiechaj do tego pajaca w garniturze.

– Kurwa... w dresach i reebokach na spotkanie biznesowe? On ma garnitur!

Timon nie wytrzymał, przechylił się do drzwi Yves'a, pociągnął za klamkę i popchnął je – Wypierdalaj na zewnątrz – syknął i sam wyszedł z samochodu.

– Jeszcze raz dzień dobry – Marczuk wyciągnął rękę i przez moment przyglądał się kuzynom.

– Niech zgadnę! Pan w marynarce to Marc, a pan to Philippe.

– Chciałbym być uprzejmy i potwierdzić pana typowanie, ale jest dokładnie odwrotnie. Marc, niestety opaskudził się kawą po drodze i stąd to niezbyt oficjalne ubranie. W zasadzie powinniśmy najpierw jechać się przebrać do hotelu.

– Tak, tak. Przepraszam za strój.

– Nie ma za co przepraszać, zapraszam do gabinetu prezesa, wypadki się zdarzają. Niemniej zapewniam panów, że strój, w jakim panowie przyjechali, nie ma żadnego znaczenia. Panowie u nas pierwszy raz, więc jeszcze nie wiecie, że i tak się przebierzemy.

– To zrozumiałe, przecież to zakład produkcyjny. Na produkcji chodzi się w fartuchach.

– No tak... Jeżeli panowie pozwolą, to pójdę przodem – dyrektor Jerzy Marczuk mimo skonfundowanych min dwóch pracowników ochrony przeprowadził kuzynów bez wystawiania przepustek przez bramki kontrolne. Szybkim krokiem cała trójka pokonała schody na pierwsze piętro, po czym została wprowadzona przez sekretariat do niezbyt dużego pomieszczenia prezesa zarządu. Wewnątrz oprócz biurka, przy którym stały dwa fotele dla gości, znajdowały się tylko stół konferencyjny dla sześciu osób oraz wysoka komódka. Ustawiono na niej liczne puchary i fotografie. Na jednym z nich prezentował się uśmiechnięty prezes Jan Kuciak z papieżem. Obaj ludzie sukcesu, Optymistycznie patrzyli w obiektyw, ściskając się za ręce.

– Bardzo proszę, od teraz, nie ma nas dla nikogo. Drzwi będą zamknięte bez względu na to, co będzie się działo na zewnątrz – powiedział Marczuk do sekretarki Oli, po czym zamknął za sobą drzwi na klucz, podszedł do komódki, wziął do ręki jeden z pucharów i do niego chuchnął.

– Czujnik oddechu. Nasz zakładowy patent – skomentował swoje zachowanie i odstawił na miejsce puchar. Cały mebel z cichym bzyczeniem przesunął się w prawą stronę, a oczom zaskoczonych kuzynów ukazało się małe, pomieszczenie. Mniej więcej trzy na trzy metry kwadratowe. Po prawej stronie pomieszczenia znajdowała się szafa garderobiana, naprzeciw niej ławka do siedzenia, vis-à-vis wejścia do pomieszczenia stalowe drzwi.

– To nasza śluzka bezpieczeństwa. Tu się przebierzemy – powiedział Marczuk i kiedy zasuwał za sobą komódkę, w pomieszczeniu samoczynnie włączyły się światła umieszczone w podłodze.

– Tak jak mówiłem, dla nas to zrozumiałe. Przecież to zakład produkcyjny – już nie tak całkiem pewnym głosem odezwał się Timon.

Marczuk przez chwilę przyglądał się kuzynom, mierząc ich

wzdłuż i wszerz. Po czym ze zrozumieniem pokiwał głową i odsunął jedno skrzydło trzydrzwiowej szafy. W tym momencie oczom kuzynów ukazało się przynajmniej dziesięć różnych strojów.

– Strój osy dla pana. – Marczuk ściągnął wieszak oraz odpowiednią głowę z półki i podał zaskoczonemu Yves’owi.

– A na pana motyl idealnie będzie pasował, odegnę nieco skrzydełka, żeby się panu wygodnie siedziało. Kiedy podał strój motyla Timonowi, ten spojrzał na Yves’a i przewrócił oczami.

– Miałeś rację, w tym kraju jest coś nie tak z ludźmi...
– wyszeptał na ucho kuzynowi.

– Najgorsze jest to, że ja się zaczynam do tego przyzwyczajając, a pewnie jak stąd wyjadę, zacznę mi tego brakować.

– No właśnie...

– Tym razem chyba pomyliliśmy fabryki! Przecież to nie może być zakład produkujący uzbrojenie! – Yves odszeptał nieco zbyt głośno.

– Nie pomylili panowie fabryk. Wszystko jest w porządku, zapewniam panów. Kiedy się przebierzemy, proszę mówić sobie „per” pan Motyl czy pan Mucha. Nie używamy imion własnych. To takie dodatkowe środki ostrożności. Mimo że pomieszczenia obudowano klatką Faradaya, nie chcemy ryzykować jakiegoś niepożądanego nagrania – powiedział i sięgnął po strój muchy.
– I proszę rozebrać się do naga przed założeniem stroju. Telefony i wszystko, w czym i z czym tu weszliście, proszę zostawić na wieszaku.

Od tego momentu zapanowała całkowita cisza. Kilka minut później pan Osa, pan Motyl oraz pan Mucha stali przodem do lustrzanych drzwi szafy.

– Bardzo przepraszam! – głos pana Osy wydobywający się przez zamontowany w masce modulator dźwięku zrobił piorunujące wrażenie gdyż dźwięk, jaki wydobywał się z głośniczka, był metaliczny i złowrogi.

– To modulator, też dla bezpieczeństwa. Śmiało proszę mówić, co chciał pan powiedzieć?

– Serio uważa pan, że wszystko jest w porządku? – zapytał pan

Osa, machając prawą ręką.

– Czułki w porządku, skrzydełka też. – Pan Mucha oglądał pana Osę kawałek po kawałku. – Moim zdaniem wszystko jest w porządku.

– A cycki?! Mam cycki! – Pokazał na swój tors osy, gdzie rysowały się dwie nie tak znowu wielkie wypukłości.

– No masz – pokiwał głową pan Motyl i okazując dezaprobatę, złożył skrzydła.

– No trudno. Musimy już wejść do środka. Faktycznie są, ale za to niewielkie – starał się zakończyć spór pan Mucha.

– Ale to ustawia mnie mentalnie o półkę niżej w negocjacjach!. Czuję ogromny dyskomfort panie Mucho! Nie jestem transwestytą. Żądam stroju o cechach męskich!

Zafrasowany pan Mucha poprawił nieco będące częścią kostiumu włoski. Już chciał zareagować na ten kolejny wyraz niezadowolenia ważnego gościa, kiedy zabręczał elektromagnes w zamku, coś zaskrzyphiało i masywne dźwiękoszczelne drzwi się uchyliły. Pan Mucha delikatnie uklonił się, zapraszając gestem ręki pana Motyla oraz pana Osę do przejścia w głąb kolejnego pomieszczenia. Pokój o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych był cały wykonany z surowego betonu wypolerowanego tak mocno, że miejscami wydawało się, że ściany wykonano z żywicy na wesoły połysk. Na środku pomieszczenia stał tylko duży drewniany stół, otoczony ośmioma drewnianymi krzesłami, a na jednym z nich siedział pan Owsik. Pan Motyl i pan Osa spojrzeli na siebie i mimo że mieli założone głowy owadów, było widać, że ostatkiem sił powstrzymują się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– I weź im teraz powiedz, że pomyliłeś spotkania, bo tak naprawdę to jechałeś do Pepsico – syknął pan Osa i odwrócił się w kierunku pana Owsika.

Pan Mucha pokazał miejsca przy stole, które goście zajęli w taki sposób, że każdy z obecnych usiadł po innej stronie stołu.

– Dzień dobry! – zaczął pan Owsik. – Cieszę się, że panowie tak szybko przybyli. Proszę wybaczyć maskaradę, ale to dla bezpieczeństwa, gdyby...

- Choć to uważamy za niemożliwe – wtrącił się pan Mucha.
- ... ktoś chciał nas nagrać. Na nic film i fonia, kiedy przy stole siedzą cztery owady i nie wiadomo kto jest kim. Zresztą ja osobiście lubię się przebierać... to doskonała forma kamuflażu.
- Za owsika? – zapytał nieco niegrzecznie pan Motyl.
- A co to za pomysł z tym owsikiem? Jestem Pędrak, larwa chrabąszcza! Też coś! Przecież chyba widzicie, że mam nóżki? Tu wyciągnął przed siebie dwa szeregi znajdujących się po bokach krótkich nóżek.
- Panowie, jako że zostaliście nam przedstawieni jako najlepsi spece od tego typu zadań – pan Mucha postanowił przestawić rozmowę na właściwe tory i przejść od razu do meritum – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami przygotowaliśmy zaliczkę, a konto waszej pracy.
- To oczywiście, to warunek przystąpienia do pracy panie Mucho – zaimprovizował pan Osa.
- Jak wiecie, musimy pozbyć się budynku. Najlepiej całego. Metoda jest nam niemal obojętna... oczywiście nie chcemy, żeby elementy budynku poleciały do sąsiedniej dzielnicy, czy żeby przy okazji zburzyło nam biurowiec... na wymianę szyb oczywiście się zgadzamy.
- Proszę mówić jaśniej albo najlepiej przejdźmy od razu do szczegółów – pan Motyl podparł głowę oburącz i wbił zaintrygowany wzrok w pana Muchę.
- Budynek ma 2 piętra nad ziemią i 2 pod ziemią. Łączna powierzchnia budynku wynosi 7650 metrów kwadratowych, z czego na podziemia przypada ponad 5000 metrów kwadratowych. Mieści się w nim supertajne laboratorium wydziału piątego – tym momencie spojrzenia pana Osy i pana Motyla skrzyżowały się – niestety musimy je zniszczyć, tylko nie wiemy, jak to zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Panowie są specjalistami od demolki, więc teraz my zamieniamy się w słuch.
- To nie jest takie proste. Budynek ma dwie kondygnacje pod ziemią – ze sprytem podchwycił temat pan Motyl, powtarzając pozyskaną przed chwilą wiedzę. – Co oznacza, że żeby zniszczenie było kompletne, musimy zacząć od dolnych

kondygnacji. Wiele zależy od tego, co znajduje się wewnątrz. Potrzebujemy dokładnego planu budynku oraz musimy przeprowadzić inspekcję osobiście.

– To wykluczone – do rozmowy wtrącił się pan Pędrak – nie mogą panowie tam pójść, to wydział pod specjalnym nadzorem, ściśle tajny wydział. Nie możemy... jest to technicznie niewykonalne.

– Widzę, że panowie chcą coś powiedzieć, ale nie chce wam to przejść przez gardło – pan Motyl wychwycił lekkie drżenie głosu pana Pędraka.

– Także nasze motywy muszą pozostać nieznane, również dla panów – pan Pędrak oparł teraz kikutki na stole, pochylił się nad nim nieco i mówił, patrząc wprost na pana Motyla. – W budynku znajduje się pewna ilość materiałów wybuchowych i miotających, jednak nie tak duża, żeby miały wpływ na zniszczenie budynku. Żeby ułatwić nieco panom zadanie, zamówiliśmy tysiąc litrów czystego alkoholu oraz sześć butli z ciekłym tlenem, którego z innymi substytutami używamy jako składników paliwa raketowego, a jako że do naszego najnowszego wynalazku teoretycznie potrzebujemy właśnie takiego paliwa, ten zakup nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

– Z tego, co wiemy, obiekt jest całodobowo chroniony przez uzbrojonych strażników, jest tu także skomplikowany system czujników ruchu, potykaczy oraz nowoczesny monitoring. Przeszkód typu płoty, zasieki wokół budynku należącego do wydziału piątego nawet nie liczę – wyrecytował zgodnie z posiadaną wiedzą przywiezioną z Paryża pan Osa. – Żeby dokonać dzieła zniszczenia, oprócz planów budynku będziemy potrzebowali kompleksowej informacji odnośnie do tras i częstotliwości kursowania patroli.

– Oprócz tego także wykazu zabezpieczeń elektronicznych wraz ze schematem – dodał pan Motyl.

– Wszystko, co jest panom potrzebne do pracy, znajduje się tutaj. – Pan Pędrak podniósł z podłogi skórzany nesenser. Postawił go na stole i popchnął małą rączką w kierunku pana Motyla.

Pan Motyl otworzył torbę i zajrzał do środka. Wewnątrz na kilkudziesięciu paczkach z pieniędzmi leżał mały laptop. Pokiwał ze zrozumieniem głową i spojrzał teraz na pana Muchę.

– Połowa gotówki, tak jak się umawialiśmy – skinął głową w kierunku nesesera. – Niestety u nas nastąpiły nieoczekiwane komplikacje i przez to czas nas nagli bardziej, niż sądziliśmy. Mamy ważne propozycje zmian do naszej umowy. Pierwsza jest taka, że muszą panowie wyrobić się do świąt, a druga to, że za pośpiech dorzucimy 20 procent do całej sumy. Co panowie na to?

Ponownie wzrok pana Osy i pana Motyla skrzyżował się na chwilę. Delikatne skinięcie głów wymownie zasygnalizowało zgodę na obie propozycje.

– Świetnie. A teraz, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie, pójdziemy się przebrać w cywilne rzeczy i zapraszam panów na zakład do wydziału pierwszego, gdzie produkujemy płytki scalone do noktowizorów. Proszę wziąć torbę i od tej chwili do końca waszego pobytu w zakładzie nie poruszać tematu wydziału numer pięć oraz żadnego słowa, które tu wymawialiśmy. Kamery są wszędzie, a jak ktoś chce, to zawsze może odczytać, co się mówi z ruchu warg. Tak więc prosimy o ciszę w eterze.

Czterdzieści pięć minut później Timon z Yves'em pożegnali się tuż przed wyjściem głównym biurowca Veltronexu z prezesem Kuciakiem oraz dyrektorem Marczukiem. Tuż zbrojeniowego biznesu udały się na powrót do gabinetu, natomiast kuzyni z zadowolonymi minami poszli w kierunku samochodu.

– Czy ty rozumiesz, co tu się, kurwa mać, dzieje? – zapytał Timon, kiedy tylko zasiadł za kierownicą.

– Rozumiem – odparł Yves, ledwie pohamowując chęć roześmiania się na głos.

– Ten jeleń... to auto, które po drodze zabiło jelenia, a konkretnie ci ludzie z tego auta... rozumiesz? Jest wielce prawdopodobne, że byli tu dziś umówieni.

– Czyli też myślisz, że weszliśmy na ich miejsce? Trafiliśmy

w sytuację, trafiliśmy w coś, co się mogło przydarzyć tylko takim szczęściarzom jak my dwaj!

– Teraz szczęściarzom? Przecież mówiłeś, że to zły znak, a udało nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu Yves!

– To znaczy?

– Skoro mamy wszystkie schematy zabezpieczeń wydziału numer pięć, to oznacza, że włamiemy się tam i ukradniemy projekty SIXARX, a wychodząc, wszystko zniszczymy. Po pierwsze zatrzymamy za sobą ślady kradzieży. Nikt nie będzie wiedział, że projekt żyje sobie własnym życiem u nowego właściciela, a po drugie zarobimy... no właśnie, ile zarobimy? Ile jest w torbie? Sprawdź proszę.

– 500 tysięcy euro.

– No to zarobimy milion dwieście, z czego dwie stówki damy wujasowi.

Zadowolony Timon odpalił samochód i ruszył wolno wzdłuż biurowca. Roześmiany od ucha do ucha Yves patrzył w okna oszklonego budynku, gdzie bardziej niecierpliwi pracownicy, zdążyli zapalić już w niektórych pokojach światło. Auto ledwie obracając kołami, wytoczyło się za budynek, a oczom kuzynów ukazała się kilkudziesięciosobowa grupka dziennikarzy objuczona sprzętem fotoreporterskim wszelkiej maści. Mężczyzna z naciągniętym na głowę kapturem, kiedy zobaczył blond włosy Yves'a, otworzył szeroko oczy, następnie wskazał na niego żółtym mikrofonem z napisem FMF FM i wszyscy reporterzy rzucili się na samochód, a dokładnie w kierunku Yves'a. Samochód w jednej chwili został otoczony, lampy zamontowane na kamerach włączyły się, błysnęły flesze.

– Kim do chuja są ci ludzie?!

– Ja pierdołę, zakryj twarz! – krzyknął Timon, przyłożył dłoń do nosa i przez palce patrzył na kręcących się wokół auta ludzi.

– Ten kraj mnie przeraża! – Yves odwrócił od okna głowę i zasłonił twarz przedramieniem – co to ma znaczyć?! Przecież nic wielkiego jeszcze nie zrobiliśmy! Gazu! Wciskaj gaz do dechy, przecież chyba się rozbiegną!

– Wszędzie na świecie byłbym tego pewien, ale w Polsce już

nie!

– Gazu!

Pieto zmęczony podróżą od razu po wejściu do pokoju skierował się do łazienki. Kiedy wyszedł spod prysznica ubrał czerwony szlafrok, z pietyzmem poprawił w zaparowanym lustrze siwe włosy. Chwilę potem rzucił się na hotelowe łóżko.

Rzucił się na hotelowe łóżko, wyciągnął spod kołdry poduszkę, podłożył ją pod głowę i usadowił się wygodnie. Wziął pilota i nacisnął przycisk numer 1, pod którym zakodowany był kanał TVM24. Już chciał przerzucić program na następny, kiedy kątem oka zobaczył w materiale pokazywanym „na żywo”, tłumek dziennikarzy otaczający srebrnego vw passata, gdzie na siedzeniu pasażera siedział jego siostrzeniec Yves, a w tle, tuż za samochodem widać było kontury błękitnego neonu układającego się w logotyp spółki Veltronex. Pieto w jednym momencie zeszytniał. Nagle któryś z reporterów krzyknął w nieznanym mu języku polskim:

– Przecież, to nie jest Kupczyk, ten tu jest tylko do niego podobny!

– Auto ma francuskie blachy, przepuście ich. To pomyłka – krzyknął ktoś inny dokładnie w momencie, kiedy silnik passata zawył, a wóz pognął przed siebie. Następnie na oczach setek tysięcy siedzących przed telewizorami widzów, z uślizgiem pokonał najbliższy zakręt i zniknął w tumanach poderwanego z jezdni śniegu.

Pieto pod wpływem nieznanego do tej pory sobie nerwowego odruchu stanął gwałtownie na łóżku na baczność, uderzając czubkiem głowy w zamontowany centralnie nad wezłowiem mosiężny kinkiet. Zakończona szpicem lampa, zanim oderwała się od ściany, wbiła się w czaszkę mężczyzny na niecały centymetr głębokości. Za mało, by zabić, jednak zbyt głęboko, by nie wymagało to pomocy ambulatoryjnej. Oczy Pieto wystrzeliły z orbit, podniósł rękę do góry i dotknął sterczącego z głowy na sztorc kinkietu, a ponieważ nie wiedział, co się stało i co

konkretnie wystaje mu z głowy, zszedł z łóżka i na drżących nogach poszedł w kierunku lustra. Gdy w nie spojrzął i spostrzegł wbity w głowę szpic oraz sterczące niczym poroża renifera, mosiężne ramiona lampy zwieńczone białymi żarówkami, jego oczy przewróciły się białkami do góry i zemdlony upadł na twarz.

Rozdział 39

Prawie nagi Maciej siedział przyklejony taśmą do krzesła na balkonie hotelu Trym. Mimo że jego usta były dokładnie zaklejone, nie powstrzymało to niekontrolowanego szcęknięcia zębami. Do tego napięte mięśnie, szybki oddech, zwieńczony kłębami pary wyrzucanymi przez nozdrza świadczyły o tym, że organizm chłopaka walczy z hipotermią. Ponieważ siedział przysunięty plecami do balustrady, lodowaty wiatr smagał go po całym ciele. Patrzył przez okno balkonowe na wnętrze pokoju hotelowego gdzie jego wuj, dotychczasowy dobroczyńca, opiekun rodziny, a przede wszystkim bratianin leżał na łóżku, pił drinka i oglądał telewizję, podczas kiedy on, Maciej, powoli, aczkolwiek zdecydowanie zamarzał. Kiedy kątem oka zobaczył, że w pokoju po prawej stronie zapaliło się światło, zaczął wpatrywać się w nie z nadzieją, że może ktoś wyjdzie na zewnątrz zapalić papierosa. Jednak, gdy odchylił głowę w prawo, zobaczył dwóch młodych mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą, żywo gestykulując. Wydawało mu się, że słyszy pojedyncze słowa wypowiedane po francusku. Jeden z nich włączył telewizor i podkręcił głośność tak bardzo, że Maciej słyszał, co mówi redaktor. „Boże, wywietrzcie pokój, wyjdźcie zapalić, cokolwiek zróbcie, byle na zewnątrz! Tu jestem i potrzebuję pomocy! Umieram! Ratunku!” – pomyślał Maciej, kiedy w telewizji zobaczył znajome zdjęcie zamieszczone w szwedzkiej gazecie. Teraz pokazywali je na kanale Pissat News, na przemian z Veltronexem, do którego Maciej miał jutro jechać do pracy. Obaj mężczyźni nagle odwrócili się twarzami do telewizora i zaczęli wpatrywać się w ekran, pokazując palcami na biurowiec. Chwilę później znowu pokazano zdjęcie Macieja z miliarderem Larsem Stigsonem, tym razem jako tło w studiu, gdzie teraz dwóch zaproszonych gości wdało się w dyskusję z redaktorem prowadzącym popołudniową audycję.

– Coś jest nie tak. Znowu pokazują ten Veltronex. Tu

w powietrzu wisi jakaś grubsza afera – oznajmił Timon, nie odwracając wzroku od telewizora. – Do tego ta dziwna sprawa z chęcią zniszczenia wydziału numer pięć. Jeżeli zarząd chce wysadzić swój zakład, to znaczy, że ma coś do ukrycia, a dowody winy mają zostać w ten sposób zniszczone.

– To wszystko nie ma sensu! Do tego można uznać, że po pokazaniu nas w telewizji, jako złodzieje i zamachowcy jesteśmy spaleni. Na moje to możemy wracać do Paryża.

– Przesadzasz. Jestem pewien, że to, co pokazują w telewizji odnośnie do Veltronexu, nas nie dotyczy... Przynajmniej jeszcze nas nie dotyczy. Potrzebujemy konsultacji, a nie mamy kontaktu z wujkiem – powiedział Timon, wybrał po raz kolejny jego numer, przyłożył telefon do ucha i usiadł na łóżku. Jako że wyciszenie ścian działowych pomiędzy pokojami nie należało do najlepszych, od razu dało się słyszeć charakterystyczną melodyjkę z iPhon'a, która dzwoniła za ścianą. Melodyjka wygrywała dokładnie w przerwach pomiędzy sygnałem oczekiwania na połączenie, jaki słyszał Timon.

– Dziwne. Mam wrażenie, jakby telefon wujka dzwonił za ścianą.

– Dziwne?! Tu wszystko jest dziwne... Jakieś takie kurwa niebywałe i nieznanne. Od momentu, jak tylko przekroczyliśmy granicę, nie spotkało mnie nic, czego jako normalny człowiek, Francuz, mógłbym się spodziewać. Wszystko jest dokładnie odwrotnie niż u nas, tylko ruch drogowy mają identyczny.

– Dokładnie jest tak, jak mówisz – Timon pokiwał ze zrozumieniem głową, ściszył telewizor i ponownie wybrał numer wujka.

– Mam chociaż nadzieję, że w lodówce jest normalne whisky, a nie jakiś magiczny napój, po którym będę miał halucynacje. – Yves wyciągnął z lodówki małą buteleczkę whisky, odkręcił nakrętkę i wyszedł na balkon. Zaczerpnął w płuća świeżego mroźnego powietrza i przechylił buteleczkę, wypijając z niej od razu połowę zawartości. Jeszcze raz wziął głęboki wdech, spojrzął w lewo w kierunku mostu przez Brdę, a następnie w prawo. W tym momencie jego wzrok natrafił na siedzącego na

krzesle pod balustradą, znanego mu mężczyznę. Yves przez krótką chwilę przyglądał się znajomej twarzy, następnie ciężko przełknął ślinę i przetaił oczy. Spojrzał przez ramię, gdzie w telewizorze na tle gości zaproszonych do studia jako tło nadal eksponowano fotografię chłopaka. Nieznane dotąd doznanie fizyczne przemknęło przez wszystkie komórki nerwowe mężczyzny, prawie paraliżując jego ruchy. Jeszcze raz kątem oka spojrzął na siedzącego pod balustradą Kupczyka, który przez zakneblowane usta bardzo chciał mu coś powiedzieć. Następnie na nieco ugiętych nogach wszedł z powrotem do swojego pokoju i usiadł błądy na łóżku obok kuzyna.

– Jest gorzej, niż przypuszczaliśmy. Timon przestań dzwonić i wysłuchaj mnie – powiedział grobowym głosem, po czym z największą podejrzliwością spojrzął na wypitą przez siebie do połowy buteleczkę z whisky.

– No nie odbiera. Myślę, że wujkowi w szpitalu podają jakieś silne środki nasenne. Co masz taką obesraną minę?

– Na balkonie siedzi zakneblowany gość z telewizji! O ten...

– Przecież to niemożliwe. Na naszym balkonie?

– Na sąsiednim balkonie siedzi... i przestań w kółko mi mówić, że coś tu jest niemożliwe!

– Hm... To nie nasza sprawa, powiedziałbym w normalnych okolicznościach, ale tym razem to chyba coś więcej niż zbieg okoliczności. – Timon wstał z łóżka, wyjął z torby pistolet, dokręcił do niego tłumik, po czym razem z kuzynem z dużą ostrożnością wyszli na balkon. Przełożył pistolet do lewej ręki i ukrył go, trzymając lufę wraz z tłumikiem wzdłuż uda. Przez moment przyglądali się wydającemu nieartykułowane dźwięki Kupczykowi, który na ich widok wyraźnie się ożywił i teraz zaczął nawet całkiem mocno podrygiwać razem z krzesłem. Yves położył palec na ustach, nakazując Maciejowi uspokojenie się, sam natomiast ostrożnie wychylił się przez balustradę oddzielającą oba balkony i dyskretnie zajrzał do pokoju obok. Po chwili gestem dłoni przywołał kuzyna, a ich oczom ukazał się mężczyzna w slipkach leżący na łóżku, który oglądał kanał pornograficzny i gmerał sobie ręką w bokserkach. Obok niego na

stoliku leżały kajdanki oraz taśma pakowa, którą przyklejony był do krzesła Kupczyk.

– To jakaś gejowska ustawka. Ostatnia rzecz, jaka jest potrzebna temu tu, to nasza pomoc – skomentował nieco zrezygnowanym głosem Timon.

– To myślisz, że kogoś może podniecać walenie w zimny tyłek?

– Ludzi może podniecać nawet katar z nosa... a co dopiero zimna, zmarznięta na kość dupa. Jak sądzisz, czy wypada im tę zaplanowaną zabawę nieco popsuć?

– Co masz na myśli?

Yves nie zdążył dokończyć zdania, kiedy Timon był już na sąsiednim balkonie. Przeszedł cichutko obok Kupczyka i „przykleił się plecami do ściany tuż obok lekko uchylonych drzwi balkonowych.

– Zrobimy im kawał. Ubezpieczaj mnie – powiedział i położył rękę na ramie od okna, popchnął ją gwałtownie i ruszył biegiem w kierunku łóżka, na którym leżał Rajmund Miedzianowski. Odbił się z dwóch nóg i impetem całego ciała wylądował na niespodziewającym się niczego mężczyźnie. Sięgnął po leżące na stoliku nocnym kajdanki i w ułamku sekundy skuł mu ręce. Miedzianowski, nieco znieczulony trzema wypitymi drinkami, zorientował się, co się dzieje dopiero wówczas, gdy został zrzucony z łóżka na wykładzinę. Pierwszy raz w życiu poczuł, że kompletnie nie panuje nad sytuacją, a dynamika akcji przerasta jego umiejętności walki wręcz, jakie nabył na kursie samoobrony pod koniec lat 80. w Ludowym Wojsku Polskim.

– Wiem, że jesteście z Mosadu! Mam informacje, które mogą was zainteresować! Dogadajmy się! Błagam was! Będę waszym najlepszym agentem! – zdążył krzyknąć, zanim Timon okrcił jego usta dwukrotnie taśmą pakową. Spanikowany podniósł głowę i teraz patrzył, jak Yves wciąga do środka krzesło razem z dygoczącym z zimna Kupczykiem.

Pięć minut później Miedzianowski siedział na balkonie przyklejony do krzesła dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stało krzesło z Maciejem. Maciej natomiast leżał na łóżku przypięty kajdankami za jedną rękę do szczebelków

u wezgłowia. Do drugiej ręki Yves przykleił mu taśmą szklanę, do której nalał sporą porcję whisky. Ostatni kawałek taśmy pakowej zużył na usta. Kluczyk od kajdanek położył na blacie stojącego pod ścianą sekretarzyka. Timon podkręcił nieco głośność telewizora i obaj kuzyni zniknęli tą samą drogą tak samo szybko, jak się pojawili.

Zmarznięty, rozdygotany umysł Macieja nie potrafił uspokoić ciała oraz wytrwać w skupieniu wystarczająco długo, żeby zrozumieć zaistniałą sytuację. Wyziębiony do granic możliwości, kiedy tylko poczuł ciepło pościeli, w ostatnim świadomym odruchu położył rękę z drinkiem na stoliku i zapadł w głęboki sen. Kiedy się obudził, pierwsze, co zrobił, to odruchowo chciał przetrzeć zaspane oczy i wlał sobie całą zawartość drinka do nosa i w oczodoły, co z uwagi na zaklejone usta prawie skończyłoby się utopieniem. Kaszłał, próbując wyrzucić z płuc whisky przez nos przez kilka minut, po czym znowu zamęczony zasnął. Kiedy się obudził, kolejny raz analizował zaistniałą sytuację. Spojrzał na zegarek stojący na stoliku. Dochodziła pierwsza w nocy, jak szybko policzył, spał prawie sześć godzin. Rozejrzał się i ocenił sytuację, która nie wydała mu się nawet tak beznadziejna, jak początkowo sądził. Niestety, nie był w stanie stwierdzić, czy na balkonie nadal siedzi wuj Miedzianowski, bowiem odbicie światła z lamp w pokoju uniemożliwiało zobaczenie tego, co znajduje się na zewnątrz. Wziął dwa głębokie wdechy, przechylił się przez łóżko i o jego metalową ramę zbił szklanę, którą miał przyklejoną w dłoni. Sam się zdziwił, bo skaleczył się dopiero, kiedy uwolnionymi palcami odklejał sobie taśmę z twarzy. Teraz, kiedy miał już wolne usta, zębami, bardzo delikatnie, uważając, aby nie pokaleczyć się kolejny już raz, centymetr po centymetrze uwalniał dłoń od taśmy i rozbitej szklanki. Kiedy to zrobił, zwój taśmy z poprzyklejonym szkłem rzucił na podłogę, a sam zaparł się nogami o ścianę i oburącz starał się wygiąć szczebelek u wezgłowia tak mocno, żeby jego dolna lub górna część wyskoczyła z ramy. Kiedy już tracił nadzieję na powodzenie swojego planu, szczebelek niespodziewanie puścił. Kupczyk fiknął koziołka do tyłu i spadł

z łóżka, pociągając za sobą pościel i poduszkę, spod której wyskoczył schowany tam przez wujka pistolet z tłumikiem. Zadowolony z siebie leżał przez moment na podłodze i szczęśliwy śmiał się na głos. Podniósł z podłogi pistolet, sprawdził, czy jest zabezpieczony. Za pomocą kluczyka zdjął kajdanki z przegubu lewej dłoni i z bronią gotową do strzału wyszedł na balkon. Wujek siedział na fotelu, pokryty białym szronem, a temperatura jego ciała nie różniła się od -7 stopni Celsjusza, jakie obecnie panowały na zewnątrz. Maciej wzdrygnął się, przerażony szybko wrócił do pokoju i zamknął okno. Bardziej z potrzeby ukojenia nerwów niż z konieczności posłał łóżko, wziął ze stołu czystą szklankę i wlał w nią od razu dwie buteleczki whisky z minibaru. Wychylił całość w dwóch łapczywych łykach, aż poczuł ból w krtani. Ponieważ whisky się skończyła, sięgnął po dwie miniwódki, które natychmiast wlał do szklanki, po czym usiadł na łóżku i zwiesił głowę. Całe jego życie legło w gruzach. „Ledwie zacząłem coś w życiu znaczyć, a już wszystko zaprzepaściłem. Moja nowa praca w ministerstwie, moje 200 tysięcy euro od Stigsona, wszystko to wydaje się być stracone. Najgorsze jest to, że nic nie rozumiem z tego, co się dzieje... A ci dwaj goście zza ściany? To z dużą pewnością może być moja ochrona. Wuj krzyczał, że są z Mosadu, więc pewnie miał rację, bo przecież go zabili. Wszystko w zasadzie się zgadza, bo z tego, co wyczytałem, to izraelskie służby nie biorą jeńców. Tylko dlaczego mnie chronią i czego może chcieć ode mnie Mosad? A może to był tylko wygłup, który skończył się śmiercią wuja? Nie no, co ja pierdołę? Przecież mieli ze sobą pistolet z tłumikiem” – przez umysł Kupczyka myśli krążyły, najpierw bezładnie układając się z wolna w stos żalów i wyrzutów sumienia. Także typowe polskie „co by było gdyby” w pewnym momencie zawładnęło jego umysłem. Jednak nowe doświadczenia z ostatnich dni, ostry chrzest, jaki dostał od życia, wpłynął z pewnością na to, że jego myśli zaczęły się porządkować, a z tych uporządkowanych powoli zaczęła wyłaniać się całkiem nowy plan działania.

– To, co zrobiłem, z pewnością jest niegodne bratianina,

niegodne jest też to, co teraz będę musiał zrobić, ale cóż... Muszę ratować własną dupę – wymamrotał pod nosem i tak jak poprzednio wypił w dwóch haustach cały alkohol. Szklanke odrzucił na łóżko, wytarł ręką twarz i zaczął się ubierać. Chwilę później ubrany w kurtkę, czapkę i rękawiczki wyszedł na balkon. Zajrzał do pokoju sąsiadów, gdzie zobaczył szczelnie zasunięte zasłony. Zadowolony położył na balustradzie oddzielającej balkony koc, najciszej, jak umiał podsunął w to miejsce krzesło z zamrożonym Miedzianowskim. Przeszedł na balkon sąsiadów i złapał za szczyt krzesła i po kocu, nie pozostawiając śladów na balustradzie, przerzucił zwłoki. Spocony usiadł na moment na kolanach wuja, tak jak to zwykł rozbić, kiedy był małym chłopcem, tym razem jednak nie żeby wyłudzić pięć złotych na lody, tylko żeby odpocząć. Nawet ta sytuacja go trochę rozbawiła. Kiedy nieco nabrał tchu, przełożył koc na przeciwległą balustradę i w taki sam sposób przetransportował krzesło ze zwłokami wujka na kolejny balkon. Wrócił do pokoju, wszystkie rzeczy Miedzianowskiego złożył „w kosteczkę” i podrzucił je nieboszczykowi, układając w stos na zamrożonych kolanach. Następnie z uwagi na pozostawione na balkonach ślady swoich butów połał wszystko przyniesioną w czajniku wodą, która przy siedmiostopniowym mrozie niemal od razu zamarzała. Kiedy wrócił do pokoju, dochodziła godzina 1.25. Zmęczony do granic wytrzymałości zjadł tabletkę na uspokojenie, którą popił ostatnią znalezioną w minibarku wódką, nastawił budzik na godzinę 6.30 rano i położył się do łóżka.

Rozdział 40

17 grudnia

Tuż po godzinie 6 rano, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno, kuzyni zeszli na parking przy hotelu Trym. Yves otworzył bagażnik, odwinął z worka głowę Helmuta i podsunął przed jego martwe oblicze iPhon'a, który mimo szronu na brwiach i połyskującej od mrozu skóry rozpoznał dawnego właściciela. W tym czasie Timon odpalił samochód i ustawił temperaturę na maksymalną wartość.

– Mamy jakieś nowe informacje od tajemniczej głowy?
– zapytał, kiedy kuzyn wsiadł do auta.

– Jest jeden SMS z tego samego numeru: „Kuzyni nadal nie zameldowali się w hotelu City. Co się tam dzieje? Proszę o natychmiastowy raport” – odczytał i uśmiechnął się, wypuszczając kłęb pary. – To raportu nie będzie.

– Mylisz się. Właśnie, że raport będzie. – Timon przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów i auto ruszyło. – Tylko przestawię samochód tak, żebyśmy widzieli, kiedy nasz sąsiad wyjdzie z hotelu.

– A to dlaczego?

– Pojedziemy za nim. To, że jest gejem i lubi marznąć, to już wiemy, ale nie wiemy, czemu pokazywali go w telewizji razem z Veltronexem. To może być ktoś ważny, kto może być dla nas pomocny przy kradzieży SIXARX.

– I mieszka w hotelu ze starym dziadem w pokoju?

– Tu przyjechał się tylko stukać, on z pewnością mieszka gdzie indziej – powiedział i zaparkował samochód naprzeciw wyjścia z hotelu. – A teraz napiszemy wiadomość na telefonie „tajemniczej głowy” i wyślemy do jego szefa.

– Skąd wiesz, że do szefa?

– Jak prosi o raport, to musi być szef – powiedział Timon i zaczął pisać wiadomość: „Kuzyni nie dojechali. Czy oni mają

powody, żeby się przede mną ukrywać?”, a kiedy po niecałej minucie przyszła odpowiedź zwrotna, odczytał ją na głos: „Bardzo niepokojące, że nie dojechali. Postaraj się ich natychmiast odszukać. Zlikwidujesz ich dopiero po powrocie do Paryża, żeby cię ręka nie świerzbiła. Wszystkie inne ustalenia są aktualne”.

– Zlikwidować? Czyli i tak mieli nas zabić?! Oż kurwa w dupę jego jebana mać! – Yves wyrwał telefon kuzynowi, szarpnął klamkę, wyszedł na zewnątrz i na moment podniósł do góry klapę bagażnika. Po chwili wrócił do środka wyraźnie z siebie zadowolony.

– Cożeś zrobił baranie? Czy to, co ja myślę? – Wyszarpał nerwowym ruchem Yves’owi telefon, spojrzął na wyświetlacz i zaczął powoli, niczym nauczyciel do krnąbrnego ucznia, wypowiadać słowa: – Ta „tajemnicza głowa” to był prawie na pewno ktoś od zleceniodawcy, taki nasz niby anioł stróż. Dopóki zleceniodawca nie wiedział, że ten gość nie żyje, dopóty mogliśmy wodzić go za nos. Teraz kiedy wysłałeś MMS’a ze zdjęciem „tajemniczej głowy”, przestała ona być zarówno tajemnicza, jak i nam potrzebna, a reperkusją twojej głupoty będzie to, że zapewne przyślą kolejnego killera, z tym że nie po to, aby nas śledzić, tylko od razu zabić. Nie bez znaczenia jest też fakt, że nie będziemy wiedzieli, jak on wygląda. Jednak jesteś kompletnym kretynem Yves, niezabranie latarki przy tym to chuj.

– Ale przecież to nie my zabiliśmy tego gościa od „tajemniczej głowy”. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– To teraz, debilu, wyślij mu sprostowanie: „Sorry, ale to Heniek z pomocy drogowej zabił pana człowieka, a my tylko obcięliśmy mu głowę i trzymamy ją w bagażniku”.

– Serio?

– Serio to jesteś kretynem. Wyślij zdjęcie „tajemniczej głowy” do wuja Arnauda, możliwe, że znał denata, a nawet jeśli nie, to może chociaż do nas zadzwoni.

Pomimo dwóch karkołomnych przesiadek Gösta i saperowi

Lewiemu Cajmerowi nie udało się złapać samolotu z Londynu do Bydgoszczy. Koniec końców polecieli do Berlina, skąd z lotniska Tegel wynajęty w prywatnej firmie przewozowej samolot dostarczył ich na bydgoskie lotnisko tuż przed godziną 7. Posługując się paszportami dyplomatycznymi, bez najmniejszych przeszkód przeszli przez bramki kontroli celnej oraz paszportowej. Pchając przed sobą walizki, opuścili mały terminal, wsiedli do pierwszej wolnej taksówki i pojechali w okolice wynajętej na fałszywe nazwisko kwatery przy ulicy Krakowskiej w Bydgoszczy. Ze względów bezpieczeństwa kazali wysadzić się na ulicy Chopina, z której wyjazd znajdował się niecałe 200 metrów od ich kwatery. Lewi, jako że bardzo dobrze mówił po polsku, zapłacił taksówkarzowi. Po chwili hałasując kółkami walizek stukającymi o bruk, poszli w kierunku eleganckiej, secesyjnej kamienicy. Kod do domofonu otrzymany wcześniej przez internet zadziałał poprawnie, a klucz od mieszkania leżał zgodnie z ustaleniami pod wycieraczką. Mężczyźni postawili walizki w salonie, obeszlili lokal, lustrując uważnie jego wnętrze. Lewi rzucił się na kanapę, ziewnął i patrzył, jak Gösta otwiera na podłodze walizkę ze sprzętem.

– Padam na ryj. Od wczoraj latam jak bocian po świecie. Mogę pracować, ale najpierw muszę coś zjeść.

– Jest 7.10, trochę za wcześnie. Restauracje są jeszcze pozamykane.

– Oj, nie. Mniej więcej 500 metrów stąd jest hotel, a w hotelu zawsze rano podają śniadanie. Z tego, co piszą w internecie, śniadania w tym hotelu są wyborne. Wolnym krokiem to nie więcej niż 10 minut drogi stąd. – Lewi wstał z sofy, złapał kurtkę leżącą na krześle i rzucił nią w kompana. – Zbieraj się, głodne wojsko oznacza niskie morale. Idziemy na śniadanie, a później demolujemy i wysadzamy.

Rozdział 41

Dźwięk budzika w hotelowym zegarku przyprawił Macieja o palpację serca. Pełen bólu w zakwaszonych po wczorajszym wysiłku mięśniach usiadł na łóżku i skrył na moment twarz w dłonie, przecierając przy okazji oczy.

– Kurwa mać! – tak jak zwykle, każdego dnia powszedniego Maciej Kupczyk przywitał, kolejny, rozpoczęty dzień życia. Przez przymknięte powieki spojrzął w kierunku zaciemnionych okien – A miało być tak pięknie... przez tydzień można powiedzieć, że niemal było – powiedział zrezygnowany i poszedł do łazienki. W trakcie brania prysznic miał wrażenie, że ktoś pukał do drzwi. Zakręcił na moment wodę i zamarł w bezruchu. Kiedy żaden niepożądany dźwięk nie dotarł do jego uszu, odetchnął z ulgą i kontynuował kąpiel. Ubrany w elegancką koszulę, eleganckie spodnie i buty zbiegł na parter do restauracji na śniadanie. Po drodze uważnie przyjrzał się osobom siedzącym w recepcji, a także gościom spożywającym śniadanie. Nic nie przemawiało za tym, że trup wujka został znaleziony. Uznał to za dobrą monetę i po zjedzeniu dwóch tostów z dżemem puścił się pędem po kurtkę do pokoju. Ubrał się szybko, z pistoletu należącego do wuja Miedzianowskiego odkręcił tłumik i wszystko to włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki. Z komódki zabrał wyłączony telefon, złapał za klamkę, otworzył drzwi i zamarł.

Metr przed drzwiami stał starszy mężczyzna, który wyglądał jak skrzyżowanie Świętego Mikołaja z reniferem. Maciej zmierzył go od stóp do głów i mimo kotłującego się w umyśle wielkiego stresu na ten niecodzienny widok prawie parsknął śmiechem. Człowiek ten ubrany był bowiem w białe skarpetki, krwisto czerwony szlafrok z kremowym kołnierzem, jego nos zdarty dzień wcześniej na wykładzinie niewiele odbiegał od koloru szlafroka, a z głowy wystawały mu dwie duże łopaty mosiężnych poroży, każde zwieńczone białą żarówką.

Mężczyzna ten był wyraźnie czymś poruszony, krzyczał coś po francusku i pokazywał na okno. W końcu ruszył do środka pokoju, Maciej zrobił unik, żeby nie zderzyć się z lampą, jaką miał na głowie mężczyzna. Pieto wbiegł do środka, gdzie po pięciu krokach natrafił na resztki zbitej przez Kupczyka szklanki, co wywołało u niego kilkanaście przedziwnych pląsów i podskoków. Maciej zszokowany patrzył na ponad starszego, siwiutkiego mężczyznę, który podskakiwał na środku pokoju przebrany w przedziwny strój Mikołaja i wykrzykiwał w kółko kilkanaście tych samych słów po francusku. W końcu podbiegł, a w zasadzie pokicał, jakby tańczył krakowiaka, z powrotem w stronę Kupczyka, złapał go za rękę i poprowadził w kierunku otwartych drzwi swojego pokoju. Pokoju na balkonie, którego Kupczyk podrzucił krzesło z zamarznętym wujem Miedzianowskim. Maciejowi udało się wyszarpać dłoń z uścisku mężczyzny dopiero na środku pokoju. Wszechobecny w każdej komórce jego ciała strach ścisnął go za gardło, a do płuc w jednej chwili zaczęło docierać zbyt mało powietrza. Widok od środka budynku wydawał się znacznie bardziej przerażający niż ten, jaki widział w nocy. Za oszronioną szybą siedział jego nagi wuj, rzeczy, które ułożył mu na kolanach leżały zrzucone po lewej stronie zwłok, a na głowie siedział czarny gawron i wyjadał z pustego oczodołu resztki oka. Całości tego pełnego dramatyzmu obrazu dopełniał widok kilkudziesięciu krążących nad balkonem mew, srok, gawronów i innych ptaszysk. Kiedy spojrzął wyżej, zobaczył, że ptaków jest przynajmniej kilkadziesiąt, a ze wszystkich stron nadlatywały kolejne. Widowisko wyglądało tak, jakby ptaki znad całej Brdy przyleciały na wyjątkowo smaczną wyżerkę z ciała Rajmunda Miedzianowskiego. Tymczasem Pieto nie przestawał wykrzykiwać w kółko tych samych kilku słów w języku francuskim i bezustannie wskazywał ręką na zwłoki. Ponieważ Maciej znajdował się w głębokim szoku, zdawał się patrzeć na ten horror, jakby nie istniał.

Sytuacja ta poirytowała Arnauda Pieta, który energicznym ruchem otworzył drzwi na balkon. Cały czas wrzeszcząc, wybiegł

na zewnątrz, a jego zranione, krwawiące od szkiełek stopy ubrane w skarpetki natychmiast straciły przyczepność na wylanej przez Macieja w nocy wodzie. Nogi Pieta poszybowały do góry jak na disnejowskiej kreskówce. Sekundę później uderzył potylicą w balustradę, odbił się od niej i zapikował głową w podłogę, wbijając sobie połowę kinkietu w mózg. Siła uderzenia oraz pozycja „na klęczkach” spowodowały, że szlafrok przesunął się do przodu, odsłaniając nagie, blade jak śnieg pośladki, na których widniał tatuaż o treści „Liberté”. Teraz obydwaj denaci wyglądali jak futurystyczna fontanna ułożona przez jakiegoś performersa, ponieważ w chwili odłączenia mózgu Pieta zaczął wydalać z siebie płyny ustrojowe, a ciepły mocz w połączeniu z mrozem spowodował zwieńczenie tragicznego spektaklu kłębami unoszącej się z podłogi pary.

Kiedy ze smartfona leżącego na łóżku obok starej nokiai wydobyl się dźwięk przychodzącego SMS-a Kupczyk najpierw podskoczył wystraszony, a później niejako odruchowo spojrzął na wyświetlacz, gdzie pokazało się zdjęcie obciętej głowy Helmuta podpisane w języku francuskim: „Mamy problem. Y i T”. Mimo że treść podpisu była dla niego nieznaną, widok oszronionej, urznitej głowy w reklamówce zrobił na nim takie wrażenie, że natychmiast pobiegł do swojego pokoju, gdzie rzucił się do ubikacji. Grzanki z dżemem oraz kawa zjedzone na śniadanie rozbryznięły się w postaci brązowego pawia. Po kolejnych dwóch skurczach żołądka mdłości ustąpiły miejsca histerii. Dopiero dwie rozkruszone i roztarte kartą kredytową na stole tabletki hydroxyzinum, które wciągnął bezpośrednio do nosa, jako tako umożliwiły mu ustanie na nogach. Przemył jeszcze twarz, owinął szyję oraz usta szalikiem i wyszedł na korytarz. Zapewne z uwagi na wczesną porę jeszcze nikt nie odkrył tragedii w pokoju numer 103. Zarówno korytarz, jak i widoczny po lewej stronie hall pierwszego pięta świeciły pustkami. Zatrzasnął drzwi od pokoju i chwiejnym krokiem skierował się w kierunku klatki schodowej, a następnie wyjścia na parking. Kiedy usiadł w samochodzie, odpalił silnik, spojrzął na swoją zmęczoną twarz w odbiciu lusterka i pokręcił z niedowierzaniem głową. Zanim

podgrzewany fotel zaczął przekazywać ciepło poślądkom i plecom dokonał pobieżnego podsumowania sytuacji.

Zrozumiał, że dwa trupy na tym samym piętrze zaprowadzą go wprost na komisariat policji, gdzie od razu wyda się, że jeden z denatów to jego wujek. Był szczerze przerażony. „Wszędzie trupy! Co tu się kurwa mać dzieje i co ja biedny mam teraz zrobić?! Kim był ten człowiek, do którego ktoś przesłał wiadomość z obciętą głową? Przecież jest więcej niż pewne, że za moment zginę. Jak nie z ręki swoich to obcy mnie zabiją” – pomyślał i spojrzął we wsteczne lustro, gdzie zobaczył w srebrnym volkswagencie stojącym kilkanaście metrów dalej dwóch mężczyzn. Auto miało włączony silnik i wycieraczki, a siedzący w aucie mężczyźni zdawali się wlepić wzrok w jego volvo. „To pewnie ci dwaj Francuzi z Mosadu, którzy zabili wujka” – pomyślał, kiedy udało mu się dostrzec w passacie francuskie tablice rejestracyjne. W tym momencie wielka ptasia kupa spadła na sam środek szyby. Maciej przysunął się do kierownicy i spojrzął do góry dokładnie w momencie, kiedy kolejne dwie „laksy” rozbryznęły się na szybie. Kilkadziesiąt rzeczonych wcześniej ptaszysk latało nad budynkiem tu i tam zrzucając swój niepotrzebny ładunek. Kupczyk pierwszy raz tego ranka się uśmiechnął. „Mama zawsze mówiła, że jak ptak osra, to czeka człowieka wielkie szczęście A tu tyle szczęścia na raz. Oby miała rację” – pomyślał i kolejny raz spojrzął w niebo.

Te trzy pierwsze kupy były jednak niczym pierwsze krople deszczu przed letnią ulewą. Chwilę później kilka kolejnych kup jedna po drugiej zaczęły spadać na karoserię i szyby samochodu Kupczyka. Jako że ptaków było coraz więcej, sytuacja stała się bardziej dynamiczna, stuk ptasich odchodów o karoserię i szyby stawał się coraz głośniejszy. Maciej szarpnął dźwignię automatycznej skrzyni biegów, włączył wycieraczki, głęboko wcisnął pedał gazu i skierował się w kierunku wyjazdu z hotelu na ulicę Jagiellońską. Kiedy rozpędzone auto było tuż przed wyjazdem na ulicę, dosłownie w ostatniej chwili zauważył przed maską biegnące zygzakiem dwie męskie sylwetki.

Gösta i Lewi pędzili przed siebie skupieni na kluczeniu pomiędzy gradem lecących z nieba ptasich kup.

– Oglądałeś film „Ptaki” tego wariata Hitchcocka? – krzyknął Lewi.

– Oglądałem.

– Tam ptaki atakowały ludzi, ale na nich nie srały!

– To faktycznie niedopatrzenie ze strony reżysera.

Obaj wpatrzeni w wejście hotelu kompletnie nie zdawali sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Uratowało ich to, że Gösta niejako z przyzwyczajenia odwrócił się przez ramię, żeby zobaczyć czy nikt ich nie śledzi. To był moment, w którym spostrzegł i od razu rozpoznał czarne volvo, które uprzednio widział w garażu Stigsona w Sztokholmie. Popchnął Lewiego, który wytrącony z rytmu biegł teraz nienaturalnie pochylony do przodu i machał w powietrzu rękoma, szukając wyimaginowanego miejsca podparcia. Gösta natomiast o ułamek sekundy za późno rzucił się w lewo. Rozpędzony samochód zahaczył go narożnikiem zderzaka o nogę, przez co zerwał mu ze stopy ciężki zimowy but. Wążący prawie kilogram but typu „traper” uderzył w tylną lampę volkswagena passata, rozbijając i odłupując znaczną jej część. Zanim resztki z rozbitej lampy dotknęły leżącego na asfalcie śniegu, volkswagen ruszył.

– Lewi wstawaj! Nie możemy pozwolić mu odjechać! Zatrzymaj passata! – wrzasnął Gösta, rzucając się do tylnej klamki przejeżdżającego koło niego wozu.

– Halt! Haaalt! – krzyknął pierwsze słowo, jakie przyszło mu do głowy, agent Mosadu Lewi Cajmer, a następnie rzucił się na maskę samochodu.

Ten moment wykorzystał jego przełożony, kocim ruchem szarpnął za klamkę i wskoczył do tyłu auta. W nienaturalnej pozycji, z największym trudem wyjął zza paska pistolet i przyłożył Timonowi do głowy.

– Stop the car! – powiedział już całkiem spokojnie, dociskając lufę do skroni Francuza.

Wóz przejechał jeszcze metr na ślizgających się po śniegu

kołach, zanim zatrzymał się na dobre. Lewi podniósł z ziemi but kolegi i szybko wszedł do środka.

– Jedź za tym volvo! Szybko! – powiedział po angielsku do Timona, przełożył pistolet do drugiej ręki, a wylot lufy przyłożył do jego karku – Jak będziecie posłuszni, nic wam się nie stanie! No już, gazu!

Francuzi spojrzeli na siebie i jak na komendę obaj przewrócili oczami. Samochód ruszył, skręcił w prawo, a jako że Kupczyk zatrzymał się na pobliskich światłach, bez trudu zajęli miejsce dwa samochody za nim.

– On wie, że jesteśmy za nim – powiedział Timon, kontrolnie odwracając się lekko do tyłu. Przez chwilę patrzył na intruzów, chcąc wy badać, czy rozumieją język francuski.

– Oni chyba sprawdzają czy znamy francuski – powiedział do partnera Gösta, posługując się językiem hebrajskim.

– Nie znamy – odparł Lewi.

– Wydaje mi się, że oni sprawdzają czy znamy ich język. Skąd oni są? Poznajesz, po jakiemu gadają? – zapytał Yves, jednak zanim rozwinął myśl, Lewi wymownie przylał mu z otwartej ręki w czubek głowy.

– To Niemcy, przecież wyraźnie słyszałem, że krzyczał „Halt”, jak chciał zatrzymać samochód. Lepiej siedź cicho! – warknął Timon i nacisnął pedał gazu, aby podgonić oddalające się volvo.

We wnętrzu zapanowała całkowita cisza przerywana tylko bryzgnięciami śnieżnej brei o nadkola i podwozie pojazdu. Lewi spojrzał na moment na Gösta i uśmiechnął się do siebie, ponieważ jego prawą stronę głowy oraz bark zdobyły dwie całkiem sporej wielkości ptasie kupy. Kiedy Kupczyk zjechał do bezdotykowej myjni, wysiadł z auta i bezceremonialnie zaczął myjką ciśnieniową splukiwać ptasie odchody z lakieru, zdawało się, że cisza jeszcze się pogłębiła.

– Ma gość nerwy ze stali – powiedział Lewi.

Trzy minuty później Kupczyk wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku ulicy Nakielskiej, z której po przejechaniu pięciu kilometrów skręcił w długą prostą, wiodącą w kierunku zakładu Veltronex. Na moment zatrzymał auto, chcąc sprawdzić, czy

passat nadal jedzie za nim. Kiedy po chwili pojawił się srebrny volkswagen, dodał gazu i skręcił w prawo. Prowadzone przez niego volvo toczyło się wolno w kierunku wejścia do budynku, gdzie tłum dziennikarzy i fotoreporterów uważnie lustrował każdą wchodzącą do biurowca osobę. Kiedy dojechał pod biurowiec, spomiędzy dziennikarzy wybiegł ochroniarz, kłaniając się nisko, podbiegł do drzwi kierowcy i zdjął czapkę. Przez szybę w stojącym dwadzieścia metrów za volvo samochodzie Yves, Timon, Lewi oraz Gösta widzieli, jak ochroniarz otwiera pilotem szlaban umożliwiający wjazd na teren zakładu. Dopiero kiedy auto przejeżdżało pod szlabanem, dziennikarze zorientowali się, że w samochodzie siedzi sam ON miliarder Maciej Kupczyk. Kilkadziesiąt osób ruszyło, ślizgając się po ubitym śniegu, niestety zbyt późno, bo samochód zdążył przejechać pod szlabanem, zanim pokonali połowę dystansu. Zawiedzeni zawrócili z powrotem do biurowca, gdzie po chwili jeden przez drugiego zaczęli przeciskać się na siłę przez drzwi wejściowe do budynku.

– Kim do chuja Wacława jest ten gość? – zapytał głośno Yves.

– Zaczynam myśleć, że on mógł być jedną z osób, z którą rozmawialiśmy wczoraj. Na przykład panem Owsikiem.

– To trochę źle go wczoraj potraktowaliśmy...

– Milczeć! – wrzasnął Gösta. – Jedziemy z powrotem pod hotel. Później będziecie wolni. No już ruszaj! – przycisnął mocniej lufę do karku Timona.

Rozdział 42

Pan Stonka oraz pan Biedronka siedzieli za stołem w tajnym pomieszczeniu sąsiadującym z gabinetem prezesa Kuciaka. Pan Stonka wyglądał na bardzo zmartwionego. Jego głowa podparta na dwóch przednich odnóżach oraz zwisające czułki świadczyły o złym stanie psychicznym. Wpatrywał się apatycznie w położoną przed nim kartkę okraszoną kilkoma czerwonymi pieczętkami.

– Przegraliśmy pierwszą sprawę sądową ze Szwedami i to jest złe, ale nie najgorsze. Można powiedzieć, że to jest mały chuj! Najgorsza jest ta pierdolona kurwa jego mać kontrola, która przyjeżdża zaraz po nowym roku – nerwowym ruchem złożyła kartkę na pół. – Tym razem zasłanianie się tajemnicą handlową czy państwową na nic nam się nie przyda – powiedział.

– Po cholere jasną mi to mówisz... panie Stonka! Uważasz, że jestem debilem i nie wiem, co się stanie? Jeżeli Francuzi nie zniszczą budynku badawczego, to obaj pójdziemy pierdzieć w pasiaki na lata. Przecież tym razem animacja komputerowa nie wystarczy, żeby przekonać komisję, że wydaliśmy dwadzieścia milionów euro na projekt SIXARX... który tak naprawdę nie istnieje.

– Istnieje w ich umysłach, istnieje na grafikach, animacjach, wyimaginowanych dokumentach, projektach, a przede wszystkich w oczekiwaniach MON. Budynek musi zostać zniszczony i to pan, panie Biedronka, jest za to odpowiedzialny. Profesorek po tym wszystkim ma iść na miesiąc do psychiatryka. Niech udaje załamanie nerwowe.

– Na pewno nie będzie chciał się zgodzić...

– Wziął pół miliona euro za udział w tej mistyfikacji, więc niech słucha poleceń! Gdyby był tak mądry, jak udaje, to SIXARX na serio by powstał, a tak wszystko jest jak z tymi śmigłowcami, dronami, tarczą antyrakietową i okrętami dla naszego wojska. Wojsko teoretycznie jest, wszyscy udają, że się starają, pensję

biorą, a zamiast jednostek liniowych mamy armię kwatermistrzów i logistyków, kurwa jego mać! Jak wybuchnie wojna, będziemy się napierdalać mapami, konserwami i talerzami z kantyny!

– No my ze swojej strony możemy dorzucić do tego fantastycznego zestawu uzbrojenia polskiej armii, świetną animację komputerową naszej „wunderwaffe” – roześmiali się obaj, unosząc odwłoki ponad krzesła.

– W sumie nie przejmujemy się na zapas. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

– Ułoży? Jurand ze Spychowa też myślał, że Krzyżacy go wypuszczą. I co?

– Tylko bez defetyzmu, pośmialiśmy się, naradziliśmy, to teraz do roboty – pan Stonka spojrział na zegarek – Mamy mało czasu, dochodzi ósma. Nasz królewicz Kupczyk zapewne podjechał już pod pracę. Zapewne swoim nowym, bardzo drogim samochodem... No sam pan powie, jaki taki kretyń może mieć tyle szczęścia w życiu?

– Jak widać może. Musimy to umiejętnie wykorzystać, zanim jako spadkobierca Larsa Stigsona przejmie akcje firmy. Osobiście uważam, iż fakt, że ów Szwed, a pradziadek naszego pracownika przed wojną był właścicielem firmy i teraz chce ją odzyskać, nie musi wyjść nam koniecznie na złe.

– Co ma pan na myśli?

– Przecież ten idiota dysponuje setkami milionów euro, a miliardami w złotych inaczej mówiąc. Wystarczy, że od razu damy mu dobre stanowisko i trochę władzy. Będziemy traktowali go jak właściciela, jednocześnie wszystkimi możliwymi sposobami opóźniając przejęcie Veltronexu. Wydoimy tego kretyń, wyciągniemy na nowe nikomu niepotrzebne inwestycje przynajmniej drugie tyle ile udało nam się ukraść przy projekcie SIXARX.

– Pieniądze nawet durniom przynoszą ogromny szacunek. Ja wykonałem już dziś pierwszy krok ze swojej strony i kazałem go wpuścić przez bramę główną i zaparkować samochód na terenie zakładu.

– Serio? Przecież nawet my parkujemy auta na zewnątrz.

– I o to chodzi. Niech się czuje wyjątkowo, niech się czuje ważniejszy od prezesa. My jako dobrzy przyjaciele będziemy go szanować, rozpieszczać i podtykać pod nos co rusz nowe propozycje inwestycyjne. A później jak napasiemy do syta nasze brzuszki, niech nas zwolni.

– Dokładnie! Niech nas nawet wypierdoli z roboty. Byle tylko Francuzi zniszczyli wszystkie ślady po drodze do naszej finansowej chwały – powiedział pan Stonka i wstał od stołu.

– A teraz przeberzmy się i chodźmy przywitać naszego dobrodzieja.

Maciej Kupczyk był tak zaskoczony faktem wpuszczenia go przez bramę główną, że kiedy zatrzymał auto pod wejściem „cywilnym” od tyłu biurowca, przez dłuższą chwilę musiał zebrać myśli, żeby ochłonąć. Spojrzał przez boczne okno na stojącego w oddali srebrnego passata. „Skoro wczoraj uratowali mi życie, a dziś za mną jeżdżą, to znaczy, że rzeczywiście mnie chronią. Nie będę na nich więcej zwracał uwagi” – to była ostatnia myśl, jaka przemknęła mu przez umysł, zanim zauważył w oknach biurowca dziesiątki par oczu wpatrujące się w jego samochód i próbujące przeniknąć, zobaczyć coś przez przyciemnione szyby wozu. Tym razem roztropnie spojrzął w boczne lusterko i dopiero otworzył drzwi. Kiedy wyszedł, zadarł głowę do góry i niczym papież uniósł rękę w geście pozdrowienia. Wyjątkowo zamiast obelg w kierunku Macieja poleciały uśmiechy i całuski przesyłane przez koleżanki z pracy. Drzwi od budynku otworzyły się gwałtownie. Wybiegł z nich ochroniarz z szufelką pełną soli zmieszanej z piaskiem, którą zaczął rozsypywać przed krocącym do biurowca Maciejem. Kiedy ten przeszedł przed drzwiami i wszedł do hallu, oślepił go błysk fleszy i niemal ogłuszył wrzask pytań zadawanych przez reporterów z całej Polski. W tym momencie ze schodów na parter zstąpił sam prezes Kuciak w towarzystwie dyrektora handlowego Marczuka. Wśród strzelających jak karabiny maszynowe migawek, wśród

błyskających fleszy prezes rzucił się w ramiona zaskoczonego i zdeprymowanego Kupczyka. Ledwie skończył ścisnąć i trząść jego dłoń, a już na szyję Macieja rzucił się dyrektor Marczuk, który ścisnął jego dłoń, pozując jednocześnie do zdjęć.

– Moi drodzy! Szanowni państwo! Proszę o ciszę – odezwał się do tłoczących się przed bramkami wejściowymi reporterów i dziennikarzy. Kiedy hałas spowodowany przez flesze oraz pokrzykiwania reporterów całkowicie zniknął, odezwał się z nutką wesołości i zawadiactwa w głosie. – My też się cieszymy z powodu powrotu po urlopie naszego najważniejszego pracownika. Państwa zainteresowanie jego osobą jest całkowicie zrozumiałe. Niestety mamy swoje plany i jeżeli chcą państwo porozmawiać z panem Kupczykiem – tu prezes wyrwał rękę Macieja z uścisku dyrektora Marczuka i zastąpił ją swoją dłonią – informuję, że jutro, powiedzmy o godzinie 10 rano odbędzie się konferencja prasowa dla państwa.

Po hallu portierni najpierw rozległ się jęk zawodu, a chwilę później z powrotem w ruch poszły kamery i aparaty fotograficzne.

– Umówmy się, że będą mieli państwo pół godziny. Później poprosimy państwa o opuszczenie naszego zakładu – zakończył Marczuk, przekrzykując hałas. Następnie złapał Macieja pod mankiet i poprowadził schodami do góry. Kiedy weszli na pierwsze piętro, drzwi do wszystkich pokoi były pootwierane na oścież. Wszyscy, którzy tylko zmieścili się w otworach futryn stali i przyglądali się niecodziennemu wydarzeniu. Maciej, który szedł tuż za dyrektorem handlowym, rozdawał uśmiechy na lewo i prawo, szczególnie szeroko uśmiechnął się w kierunku działu księgowości gdzie na progu stali wszyscy oprócz nikczemnika Pytla. Wtedy drzwi od sekretariatu otworzyły się przed nim po raz pierwszy w życiu. Oprócz pięknie urządzonego pomieszczenia zobaczył stojącą przed biurkiem seksowną sekretarkę Olę Różycką. Niezliczoną ilość razy onanizował się, patrząc na jej zdjęcia zamieszczone na Facebooku i Instagramie. Od razu zwrócił uwagę, że nigdy wcześniej nie widział u niej tak dużego dekoltu, jakim uraczyła jego zmysły dzisiaj. Dziewczyna

stała i patrzyła na niego, pożerając go wzrokiem. Poszedł do niej i uściśnął jej delikatną, wypielęgnowaną dłoń, z kolei ona pochyliła się lekko i pocałowała go w policzek. Zanim jej usta oderwały się od policzka, Maciej osiągnął pełen wzwód, z którym to wkroczył do gabinetu prezesa delikatnie popychany w plecy przez dyrektora Marczuka. Kiedy usiedli za stołem, asystentka Ola podała trzy kawy espresso, a także kilkanaście pączków od „Sowy” ułożonych na talerzu w piramidę. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi, niejako dając sygnał do rozpoczęcia rozmowy pomiędzy trzema najważniejszymi osobami w Zakładzie Elektroniki Użytkowej „Veltronex” SA.

– Jak się pan czuje w nowej roli? Tyle pieniędzy, takie możliwości? – zapytał Marczuk, wyciągając w kierunku Macieja rękę, w której trzymał cukierniczkę.

– Normalnie się czuję. Mimo że pieniądze szczęścia nie dają, to jednak mieszkanie w pałacu w Sztokholmie różni się od mieszkania w M-3 na osiedlu Błonie. Dziękuję za pozwolenie wjechania za bramę, dziennikarze rozstrzelaliby mnie pytaniami – roześmiał się, a z nim obaj szefowie, śmiejąc się znacznie dłużej, niż to mogłoby wynikać z jakości żartu.

– Postaramy dostosować się ze wszystkim do pana obecnego statusu materialnego. Dostanie pan osobny gabinet oraz oczywiście zmianę angażu.

– Myślał pan już, co robi z akcjami Veltronexu, jeżeli sprawa pójdzie po pana myśli?

– Przepraszam, ale nie zrozumiałem pana dyrektora – odparł Maciej, po czym włączył wyjęty z kieszeni telefon, położył na blat stołu i spojrzął na obserwujących go mężczyzn.

– Jak to... niech pan nie udaje, że nie wie, o co chodzi?

– Kolega źle się wyraził – prezes skarcił wzrokiem Marczuka – nie chciał pana urazić. Tak naprawdę chcemy wiedzieć, co pan zrobi po tym, jak wasi adwokaci odzyskają ostatecznie dla pana Veltronex? Pytam hipotetycznie, bo za parę dni kolejny termin rozprawy, a w sumie to nie musimy się sądzić. Możemy się tu w trójkę dogadać przecież.

– Jak to odzyskają dla mnie? V e l t r o n e x? – tu zrobił tak

głupią minę, że w gabinecie na chwilę zapanowała całkowita cisza, którą przerwały dopiero liczne, nakładające się na siebie dźwięki powiadomień, jakie przychodziły na „świeżo” włączony smartfon Macieja. Kuciak i Marczuk spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– To pan nie wie, że przed wojną Veltronex należał do rodziny Larsa Stigsona? Firma nazywała się Fabryka Sygnałów i Zwrotnic AGYTON. Nie wiedział pan o tym?

– Neeeeee – odparł zdziwiony Maciej, do którego zaczynało docierać to, co powiedział prezes Kuciak.

– I nie wie pan, że Lars Stigson walczył o odzyskanie udziałów Veltronexu i wygrał już sprawę w pierwszej instancji?

– Co prawda ukrywaliśmy to przed pracownikami, ale przed panem nie chcieliśmy ukrywać. To znaczy myśleliśmy, że został pan już o tym poinformowany przez pana Stigsona.

– O fabryce sprzed wojny wiedziałem, jednak nie wiedziałem, że chodzi o Veltronex...

– Tak to właśnie wygląda panie Kupczyk. Jeżeli porozumiemy się z panem odnośnie do ugody sądowej, będzie pan z nami współzarządzał Veltronexem. Nie musimy ze sobą walczyć, możemy być partnerami i dać panu władzę już dziś.

– Jeszcze raz, powoli – powiedział chłopak, którego twarz teraz czerwieniała, miejscami przechodząc w purpurę. – A o jaki procent akcji konkretnie chodzi?

– Można w zasadzie powiedzieć... mocno teoretyzując, że w dużym zaokrągleniu – silił się na bycie wiarygodnym Marczuk – przysługuje panu 55,3 procent akcji spółki Veltronex. Oczywiście po tym, jak zakończy się postępowanie sądowe.

– Czyli jeżeli dobrze rozumiem, to mógłbym wtedy panów zwolnić? – Maciej parsknął śmiechem.

– No niby tak... ale do tego to jeszcze droga daleka...

– Przecież nie ma pan powodu, żeby nas zwalniać. To dla zakładu byłoby nieopłacalne. Lepiej się dogadać... zgoda buduje, a niezgoda... wie pan, co mam na myśli.

– Niestety nie wiem.

Teraz Kupczyk zrobił bardzo poważną minę. Spojrzał

ostentacyjnie na wyświetlacz telefonu, tak jakby obecność prezesa i dyrektora była mało ważna. 372 komunikaty na FB, 57 wiadomości tekstowych robiło wrażenie, jeszcze bardziej łechcąc jego ego. Przez rozradowany umysł przebiegały różne warianty możliwych następstw tej wspaniałej informacji. „Dopóki nikt nie wie o mojej umowie ze Stigsonem i nie wypłynie na jaw prawdziwy testament, będę w zakładzie królem. Muszę iść im na rękę, być dla nich miły, aż nadto miły. Lekceważącym gestem wyłączył telefon kwitując:

– Popularność ma też swoje wady, od wczoraj rana w zasadzie nie włączam telefonu – teraz wyczekał chwilę uważnie patrząc na pełne napięcia twarze jego przełożonych. – Pytel musi odejść, taki mam warunek na początek, i deklaruję swoją chęć współpracy z panami – powiedziała i wyciągnęła rękę.

– Tak jest, natychmiast go zwolnimy – odparł uśmiechnięty Marczuk i uściśnął wyciągniętą dłoń Macieja.

– Jednak myślę, że ot takie zwyczajne zwolnienie to byłby istny akt miłosierdzia. Proszę przenieść go do jakiejś upokarzającej pracy.

– Co ma pan na myśli?

– Zróbcie go po prostu moim asystentem.

– Mogę to uczynić, i jak tylko wróci z urlopu.

– Z urlopu?

– Niestety do końca roku ma urlop, tak więc sprawa musi te dwa tygodnie odleżeć.

– To fatalnie, że ma urlop – Maciej uśmiechnął się cierpko. – Panowie pozwolą, że sobie wszystko jeszcze raz przemyślę i wrócę do pracy jutro tuż przed konferencją. Po konferencji omówimy wszystko raz jeszcze, tym razem z detalami. Jestem przekonany, że się dogadamy. Poza tym bardzo interesuje mnie powodzenie projektu SIXARX. Wiem, że to dziś kluczowe dla mojego zakładu. Proszę o przygotowanie wszelkich możliwych informacji na ten temat.

W tym momencie twarz prezesa Kuciaka przybrała tak bladego koloru jak filizanka, którą trzymał w ręku. Usta Jerzego Marczuka spierzchły się w jednym momencie, a prawa dłoń bezwiednie

zaczęła stukać palcami po blacie – SIXARX powiada pan...
– niemal wyszeptał

Rozdział 43

Kiedy kilka minut później Maciej rozsiadł się na powrót w czarnym volvo jeszcze raz zadarł głowę i popatrzył na okna w biurowcu. Prawie przy każdym ktoś stał i patrzył w dół w jego stronę. Nie za szybko, nie za wolno wyjechał pod uniesionym szlabanem przy okazji podnosząc rękę do salutującego mu ochroniarza. Zanim do końca objechał parking stwierdził, że mężczyźni śledzący go srebrnym volkswagenem zniknęli. Przedświąteczna muzyka z radia wprowadziła jego i tak świetny nastrój niemal w euforię. Poranne emocje związane z wydarzeniami w hotelu zostały w jednej chwili zepchnięte w sferę niebytu, za sprawą informacji o Veltronexie, Wizja choć czasowego współzrządzenia w firmie działała co najmniej jak heroina. Tysiące kolorowych myśli wytwarzanych przez endorfiny przenikały przez jego ciało. Przyjemność była wszędzie. W skórze, włosach, na karku, w mięśniach, a nawet pod paznokciami. Płynął szczęśliwy przez miasto wprost w kierunku swojego mieszkania. Zaparkował samochód tuż obok porzuconego saaba, naciągnął na głowę kaptur i wesoło pogwizdując poszedł do siebie. Zaraz po wejściu do klatki spojrzął przelotnie na skrzynkę pocztową. Oznaczona numerem 36 skrzynka zdawała się pękać w szwach. Kiedy ją otworzył okazało się, że oprócz kilkadziesiątu reklam oraz pojedynczego awiza listu poleconego nic więcej w niej nie było. „Spacer na pocztę dobrze mi robi. Przejdę się pośród gawiedzi, pośród zwykłych zjadaczy chleba i przypomnę sobie przedświąteczny rytm mojego osiedla” – zdecydował. Awizo włożył do kieszeni, zdjął kaptur, poprawił zmierzwione włosy i powoli, nieco nienaturalnie, stawiając drobne kroki poszedł przeżąc się przez targowisko w stronę budynku poczty. Kiedy był u celu swój spacer skwitował dumnie: „Statystycznie co piąta osoba mnie rozpoznaje. Jeszcze parę dni i moją twarz będą znali wszyscy”. Pani w okienku należała do tychże dwudziestu procent

społeczeństwa, które rozpoznawało Macieja, bowiem nie poprosiła go nawet o dowód osobisty i wydała list podsuwając elektronicznego pada celem pokwitowania odbioru listu. – Taki pan przystojny, a wie pan, że mam córkę na wydaniu. Jakby co polecam się – powiedziała kiedy odchodził od kontuaru, co skomentował delikatnym uśmiechem oraz lekkim ukłonem w stronę potencjalnej teściowej.

Kancelaria Radcy Prawnego Macieja Pitolaka napisała do niego list. Obejrzał jeszcze dwa razy kopertę zanim jego wzrok trafił na szyld Kebabu „Paragraf”. Głód zwyciężył. Kopertę włożył do kieszeni i wszedł do najbardziej znanej w okolicy „kebabowni”. Lokal skromny, ale czysty i z doskonałym kebabem swoją nazwę zawdzięczał znanemu bydgoskiemu prokuratorowi, który w owym przybytku popołudniami całkowicie niezgodnie z przepisami dorabiał do pensji. Człowiek ten swoje dodatkowe zajęcie traktował całkowicie hobbystycznie, a przygotowywany przez niego kebab był wyjątkowej jakości. Niestety dziś jeszcze godzina była zbyt wczesna by spotkać mistrza Dominika, zamiast niego kebab przygotowywał jakiś nieznany mu chłopak, ubrany w fartuch oraz białą kucharską czapkę nasuniętą na oczy. Kupczyk usiadł za czystym stolikiem na wysokim stołku, po prawej stronie położył zawiniętego w ciasto kebaba z sosem mieszanym, przed sobą postawił puszkę coli. Wyjął list i zębami rozerwał kopertę. Położył go na stół, wziął do ręki puszkę z napojem i ostrożnie wlał sobie trochę słodkiego napoju do gardła. Tego mu było trzeba. Przez moment kontemplował ulubiony smak coli, zamknął oczy i połykał go bardzo powoli. Kiedy je otworzył aż podskoczył z wrażenia. Przed nim bowiem stała para, którą poznał od razu – Renata i Roni, rimming i ruchanie zawsze do usług – powiedział sam do siebie – Przypadek? Czy jest jakiś inny powód dla którego mnie straszycie?

– Jesteś nam coś winien mój drogi Macieju – powiedział Roni i podsunął pod nos Kupczyka wyświetlacz smartfona, na którym widniało zdjęcie wykonane we wnętrzu kabiny promu. Na pierwszym planie fotografii wyraźnie widać jak Kupczyk trzyma

w ustach penisa wielkoluda Tryggve, natomiast na drugim, Magda wpycha w jego odbyty purpurowe dildo. Prawdopodobnie to samo jakie znalazł przyssane do drzwi w kabinie promowej. Maciej od razu przypomniał sobie nieznany wcześniej ból tyłka z jakim obudził się tamtego ranka. Uśmiechnął się w myślach do siebie, spokojnie odłożył kebab i spojrzał na tę wyjątkowo obleśną i antypatyczną parę jaką była brygada RR.

– I pewnie chcecie za ten fotomontaż jakieś pieniądze ode mnie? Co? Przecież nie jestem gejem. Wiem o tym – roześmiał się – a nawet gdybym był to i tak się nikt nie zdziwi. Mój pradziadek także był gejem.

– Milion euro kolego – powiedziała Renata.

– Spierdalajcie. Daj mi to zdjęcie to sam je wyślę do Taktu, albo TVM24. Też mi wstyd. Idźcie już, bo mi kebs stygnie. Nie zepsujecie mi dziś humoru. Spierdalajcie, no już! – ostatnie słowo powiedział na tyle głośno, że siedzący dwa stoliki dalej klienci kebabu spojrzeli w ich stronę.

– Milion euro kolego do końca tygodnia, albo będziemy przeciwko tobie zeznawać w sprawie zabójstwa Tryggve i Magdy na promie. Policja już koło tego węszy. Wiesz co będzie jak we dwoje powiemy, że widzieliśmy jak dźgasz ich nożem? Zadzwoń do ciebie w piątek, miej przygotowane pieniądze. Tu masz wydrukowane swoje zdjęcie jak obciążasz denatowi – Roni rzucił zdjęciem w Kupczyka. Wziął kebab ze stołu, podsunął go pod usta Renaty, która ugryzła spory kawałek, następnie sam odgryzł dużą jego część, a niezjedzoną resztę rzucił ostentacyjnie na rozłożony przed Maciejem list polecony i wyszedł.

Kupczyk ciężko westchnął i przełknął ślinę. Przelotnie spojrzał na pracownika kebabu, który obserwował całą scenę i teraz wydawał się bardzo nią poruszony. Maciej odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć przez szybę na Renatę i Roniego, którzy szli w kierunku parkingu znajdującego się na tyłach budynku poczty. „Jeżeli zrobią jak mówili to mam przechłapanie... a miliona przecież nie mam” – pomyślał i już chciał odwrócić głowę kiedy spostrzegł w ich zachowaniu coś dziwnego, nienaturalnego wręcz. Otaczało ich znacznie więcej pary wydobywającej się z ust

niż u innych ludzi. W zasadzie można było uznać, że ilość wydychanej pary narasta wprost proporcjonalnie do zwalniającego się tempa marszu. W końcu stanęli. Renata pochyliła się, Roni podniósł głowę do góry i wachlował sobie dwoma rękoma przed ustami. Renata próbowała najpierw podskakiwać, później rzuciła się na śnieg i zaczęła go jeść. Ułamek sekundy później Roni zwałił się na twarz wprost w zaspę. Tłumek ludzi momentalnie otoczył nieprzytomnego Roniego i wijącą się po śniegu jak wąż Renatę. Kobieta krzyczała i pokazywała ręką na witrynę kebabu Dominik, gdzie z twarzą przyklejoną do szyby siedział Kupczyk.

– Kurwa mać! Panie, co było w tym kebabie? – powiedział i rozchylił ciasto leżące przed nim specjału, gdzie we wnętrzu leżało więcej papryczek chili co mięsa, a mięso posypane było zmielonym chili, przez co całe wnętrze bułki miało kolor czerwony. Przewrócił oczami i spojrzał na kebab–mistrza, którego wygląd wydał mu się teraz bardzo znajomy, wręcz bliski. Mężczyzna stał bowiem bez kucharskiej czapki, gotowy do wyjścia, do ucieczki z kebabowni Paragraf. Kiedy przebiegł obok niego, Maciej dostrzegł na rękawie kurtki drobny haft „volvo” i skojarzył go od razu. Był to chłopak, który przez niego, mniej więcej dziesięć dni temu stracił pracę w salonie samochodowym należącym do pani Galan. Tylko cudem Maciej nie zjadł przygotowanej trucizny. Wziął list i zdjęcie ze stołu do ręki, cołą oraz kebab wrzucił do kosza i powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi wyszedł na zewnątrz. Tłum tak szczelnie otaczał „brygadę RR” kordonem, że nie było widać co się wewnątrz dzieje. Zanim zniknął za rogiem zdążył jeszcze zobaczyć przepychającą się pomiędzy pieszymi na chodniku karetkę. Zły, głodny, a przede wszystkim wystraszony. Po przejściu stu metrów skręcił w lewo i poszedł wzdłuż pawilonu handlowego, minął kolejne trzy witryny sklepowe aż dotarł do piekarni. Zatrzymał się na moment, zlustrował kilka osób stojących w kolejce i mimo że był potwornie głodny, zamiast wejść do środka, usiadł na murowanym parapecie przed witryną. Łapał chciwie powietrze, a serce waliło mu jak młot. Dla uspokojenia postanowił zająć

czymś myśli. Wyjął z kieszeni list polecony, rozłożył go na kolanie i zaczął czytać poczynawszy od nagłówka:

„Pozew o zapłatę odszkodowania. Wartość przedmiotu sporu 2250000,00 słownie dwa miliony dwieście dwadzieścia pięć tysięcy złotych” – Ile? Co to kurwa ma być?! – powiedział, prawie wykrzyczał po czym z powrotem wrócił do czytania: „Powódka: Agata Szpytka – Gaska, Pozwany: Maciej Kupczyk... zamieszkały pod adresem... Wnoszę o: Zasądzenie od pozwanego Macieja Kupczyka na rzecz powoda, tytułem odszkodowania, kwoty 2250000,00 w nawiasie dwa miliony... złotych... Zasądzenia od pozwanego na rzecz powoda kosztów postępowania według norm przepisanych... Przeprowadzenie rozprawy także pod nieobecność powoda. Uzasadnienie... w wyniku uderzenia cukierniczką... herbata... wybite zęby... porażenie prądem... złamana szczęka... trwałe jąkanie i zaburzenia pamięci” – kiedy skończył uniósł głowę i spojrzął przed siebie. Jego oczy zaszyły mgłą nienawiści.

– Ta suka kadrowa Agatka pozywa mnie o dwa miliony złotych? Za uderzenie cukierniczką? Zaburzenia pamięci? Trwałe jąkanie? Jak można stwierdzić trwałe jąkanie skoro stało się to niecałe dwa tygodnie temu! Kurwa mać! – krzyknął tak głośno, że ludzie przechodzący obok chodnikiem spojrzeli w jego stronę, a część z nich ukłoniła się.

Teraz lęk na przemian mieszał się ze złością, rezygnacją, a nawet histerią. Złość zmięła pozew od Agatki, lęk wsadził go do kieszeni, rezygnacja zabiła uczucie głodu, a zbliżający się atak histerii popchnął go w stronę domu, gdzie w szufladzie leżały tabletki psychotropowe. To one były teraz najbardziej adekwatne do użycia w zaistniałej sytuacji. Przeszedł przez ulicę, następnie minął budę targową Staska, który razem ze współnikiem zdjął czapkę i teraz obaj kłaniali mu się w pas. Wbiegł na pierwsze piętro klatki schodowej, stanął przed swoimi drzwiami i rozejrzał się zdziwiony po podłodze. Na wycieracze leżało kilka kartek, list i dwie wizytówki. W szparę pomiędzy futryną a drzwiami włożone miał kilka kolejnych „bilecików”. Wyjął jeden z nich i otworzył złożoną na dwie części karteczkę.

„Zapraszam na obiad. Sąsiadka spod piętnastki”, po przeczytaniu upuścił karteczkę na podłogę i wyjął zza drzwi następną, „Jestem mamą małej Małgosi. Małgosia ma rozszczenie kręgosłupa oraz porażenie mózgowie... jest pan moją nadzieją na wsparcie...” – mam większe problemy niż twoja córka, droga mammo Małgosi i nie mam nadziei na wsparcie – powiedział, zmiął kartkę i cisnął nią ze złością o podłogę. Klucz od mieszkania, który cały czas trzymał w lewej ręce włożył do górnego zamka i próbował przekręcić. Zamek jednak nie reagował. Sprawdził ponownie i ze zdziwieniem stwierdził, że zamek był otwarty, nacisnął odruchowo klamkę, a drzwi ustąpiły natychmiast. Wizytówki oraz „bileciki” spadły równocześnie pod jego nogi. Zdziwiony obejrzał futrynę, krawędź drzwi i stwierdził, że nie są uszkodzone. Jednak kiedy tylko wszedł do środka nie miał wątpliwości, że włamał się do niego uzdolniony złodziej. Wszystko, co zajmowało uprzednio miejsce na regałach, w szufladach czy szafkach, znajdowało się teraz na podłodze. Maciej zamknął za sobą drzwi i pobiegł do sypialni gdzie dzień wcześniej zostawił torby z zakupami przywiezionymi ze Szwecji oraz siedem tysięcy euro gotówki, którą zostawił w paszporcie na komódce. Wszystko zniknęło, a w miejscu gdzie zostawił torby, u jego stóp leży ściągnięty z łóżka „wypatroszony” materac, z którego zwisały na zewnątrz sprężyny i gąbka. Widok ten wydał mu się końcem wszystkiego, agonią jego życia. Kolana zadziały jak zawiasy zapadni i zwałił się częściowo na podłogę, częściowo na resztki materaca. Kiedy cztery godziny później podniósł głowę, usłyszał przebijający się do świadomości dźwięk domofonu. Zdezorientowany, na czworakach wśród zapadającej ciemności poszedł do domofonu i wziął słuchawkę do ręki.

– Halo? – odezwał się suchym głosem.

– Pan Kupczyk?

– Tak, a o co chodzi? Jestem z wydawnictwa K.A. Łowicz. Nie mogę się do pana dodzwonić, ma pan wyłączony telefon. Chciałam napisać o panu książkę, czy może pan mnie wpuścić?

– Nie mogę – odwiesił słuchawkę i usiadł pod domofonem, który po chwili zadzwonił ponownie. Maciej patrzył na

przewrócony do góry nogami budzik świecący czerwonymi cyframi 91:91 co w połączeniu z dźwiękiem rozlegającym się nad głową spowodowało, że chłopak złapał za leżący obok niego but i rzucił nim w budzik. Następnie wstał, zacisnął zęby, złapał oburącz za domofon, oderwał go od ściany, wyrwał z niego kabel i cisnął o podłogę. Chwilę później zatrzasnął drzwi od mieszkania, zbiegł po schodach, nacisnął klamkę i kopnął z całej siły drzwi od klatki schodowej. Trafiły w ramię natrętną kobietę z wydawnictwa, która uderzona, cofnęła się dwa kroki do tyłu, straciła równowagę i upadła plecami na stojącego przed klatką bałwana.

– Ty chuju! Już ja o tobie napiszę – usłyszał krzyk kobiety, kiedy szedł wzdłuż bloku. Na moment zwolnił, ponieważ przypomniał sobie treść karteczki, jaką znalazł na wycieracze: „Zapraszam na obiad. Sąsiadka spod piętnastki”. A jako że akurat przechodził obok drugiej klatki, zatrzymał się, spojrzął na listę numerków na domofonie, wyciągnął rękę i zadzwonił pod numer 15. „Podjem, trochę umysł mi odpocznie, poza tym u sąsiadki nikt nie będzie mnie szukał. Chwila spokoju mi się należy”.

– Taaaak? – dość przyjemny kobiecy głos w domofonie przerwał mu planowanie popołudnia.

– Sąsiad z mieszkania numer 36. Zapraszała mnie pani na obiad? Czy aktualne?

– Wiedziałam, że pan przyjdzie – usłyszał jeszcze śmiech i domofon zabrzęczał. Maciej nacisnął klamkę i zanim wszedł na klatkę schodową, drzwi mieszkania na parterze otworzyły się. W progu stała uśmiechnięta kobieta lat mniej więcej trzydzieści, z ciemnymi włosami podkreślonymi trwałą ondulacją spiętą gumką. Jej każda dłoń wyposażona była w pięciocentymetrowe szpony pomalowane na kolor turkusowy, co w zestawieniu z sukienką w słoneczniki robiło duże wrażenie. Wszystko to jednak, ten niezbyt delikatnie eksponowany brak gustu rekompensował biust z kreską przynajmniej na dwadzieścia centymetrów.

– Zapraszam sąsiada – powiedziała miłym głosem szerzej otwierając drzwi, przez co Kupczyk stojąc jeszcze w drzwiach

klatki schodowej wiedział jakie dziś jest menu. Mieszanina zapachów, smażonej kapusty oraz smażonych kotletów wdarła się bowiem na klatkę schodową informując także sąsiadów na czwartym piętrze, co kobieta gotuje na parterze.

Kupczyk w dwóch susach pokonał sześć schodów dzielące go od kobiety. Głęboko wciągnął powietrze do płuc i przystanął na moment, bowiem wyczuł, że sąsiadka spod siedemnastki gotuje gulasz. Przez moment przemknęła mu nieco nietaktowna myśl, że może jednak zapuka naprzeciwko, bo gulasz lubił bardziej niż kotlety.

– Dżesika jestem – powiedziała i pocałowała go w policzek pozostawiając przy okazji stempel z różowej pomadki. Uśmiechnęła się szeroko, delikatnie popchnęła gościa do wnętrza mieszkania.

– Maciej Kupczyk.

– Nie musisz się przedstawiać, przecież wiem kim jesteś. Nie zaprosiłabym na obiad nieznanego – przysunęła swoje usta bliżej do jego ucha – także brzydkiego bym nie zaprosiła. Piękniśiu mój...

– No tak... zrozumiałe...

– Może przejdźmy od razu do środka – wzięła jego dłoń i wcisnęła sobie między nogi. Maciej spojrział w dół gdzie kipiący, opalony biust zdawał się krzyżeć do niego: „Włóż rękę, zatop we mnie dłonie, odkuj się za ten chujowy dzień. Odrobina przyjemności należy ci się nawet teraz”.

– Może najpierw zjemy?! – wyszeptał ostatkiem zdrowego rozsądku.

– Neeee! – zajęczała – Nie będziesz teraz jadł, bo jak się nażresz to będzie ci się chciało spać, a nie bzykać!

Maciej wyjął dłoń z mokrego jak marcowe roztopy krocza Dżesiki, podciągnął sukienkę w słoneczniki powyżej bioder, a kobieta jakby miała do papci z pomponami przyczepione sprężyny odbiła się od podłogi i naskoczyła na biodra Macieja. Przeszedł z kobietą trzy kroki dzielące ich od wersalki w pokoju po czym runęli na nią spleceni w miłosnym uścisku.

– Wiesz ja mam od dawna takie nietypowe marzenie – szeptała

rozpinając jednocześnie Maciejowi rozporek – zawsze chciałam znaleźć się w księdze rekordów Guinnessa...

– Chyba w kategorii głębokości pochwy! Dżesika ty dziwkoooo!
– wrzask, krzyk rozpaczy wydobył się z szafy, której dwuskrzydłowe drzwi nagle otworzyły się z trzaskiem, a z wnętrza wyskoczył mężczyzna z małą kamerą cyfrową przytwierdzoną opaską do czoła.

Prawie równocześnie drzwi wejściowe do mieszkania otworzyły się gwałtownie i do pokoju wbiegła trzyosobowa ekipa telewizyjna pod postacią gwiazdy stacji telewizyjnej TVM Kamili Mili, kamerzysty oraz ochroniarza.

– Program „Na zdrady nie ma rady!” Jesteście zdemaskowani!
– krzyknęła do kamery Kamilla Milla, a ochroniarz osłonił zaskoczonych kochanków od zazdrosnego męża, który teraz starał się dosięgnąć prawym prostym leżącego cały czas na Dżesice Macieja.

– Gwałćciel! Zgwałćć mnie chciał sąsiad zboczeniec!

– Mamy cię, rozpustny katabasie! – darł się mąż. – Zapłacisz mi za to! Ty... ty... myślisz, że co?!

– Ależ proszę pana ja tu tylko przyszedłem na schabowego?

– Jeszcze obiad przyszedłeś mi wyżyć padalcu!

– Wypraszam sobie! Zostałem zaproszony przez pańską żonę na obiad! – Maciej podniósł się z wersalki i zapinał rozporek chowając się za plecami prowadzącej program kobiety.

– Ty ździro! Dupy dajesz i obcym gotujesz w mieszkaniu, za które ja płacę raty?! Żyły sobie wypruwam co miesiąc, żeby nam bank mieszkania nie zabrał!

– Ale ja to chciałam zrobić właśnie po to, żeby ten pan nam spłacił kredyt... chciałam zrobić to dla nas idioto! Wszystko jak zwykle popsujesz. – Dżesika usiadła na łóżku i rozplakała się patrząc w obiektyw kamery.

– Jak to ten pan miał nam spłacić kredyt? Kim do cholery jest ten gość?!

– Debilu, wszystko popsujesz! To jest nasz sąsiad, ten miliarder spod trzydziestki szóstki. Ten co go w telewizji ciągle pokazują! Wszystko zepsujesz kretynie!

– Ależ ja pana najmocniej przepraszam! – wyraz twarzy mężczyzny poprzez złość, dezorientację zmieniła teraz wyraz na pełną wstydu i uniżenia. – Pan sobie raczy spocząć, żona obiad zaraz nałoży. Przepraszam raz jeszcze Budzigniew Morawiecki jestem – wyciągnął rękę w kierunku Macieja.

– Budzigniew?! Ale w ankiecie napisał pan, że ma na imię Wojciech – odezwała się oburzonym tonem Kamila Mila. – Jest pan kłamcą!

– Jestem i co mi pani robi? – hardo odpowiedział mężczyzna.

– Ale jak to? To już koniec małżeńskiej awantury? Chce pan prostytuować żonę w zamian za spłatę kredytu?

– A spierdalajcie mi tu z tą telewizją! Wynocha! No już! – w Budzigniewie drugi raz tego popołudnia obudził się gniew – Programu z nami nie będzie, żona wcale nie chciała mnie zdradzić! No już wypierdalać!

W jednej chwili w pokoju wywiązała się prawdziwa awantura. Z uwagi na to, że prowadząca program nie chciała ustąpić, oraz miała wsparcie w postaci rosnącego ochroniarza, w ruch poszły pięści, parasol oraz gipsowa figurka Buddy, którą Dżesika rozbiła na głowie Kamili Mili. Kupczyk ukucnął i po chwili ruszył w kierunku drzwi, a jako że wszyscy zajęci byli awanturą bez przeszkód wszedł do kuchni, wziął z talerza do ręki schabowego i w miarę spokojnie wyszedł z mieszkania. Jednak na wszelki wypadek pierwsze dwadzieścia metrów od klatki pokonał biegiem. Później kiedy doszedł do narożnika budynku zjadł łączywie kotleta i dopiero wówczas odetchnął. Jako że umysł jego był zaprzątnięty szantażem, pozwem jak i okradzionym mieszkaniem, zgonem wujka i wieloma innymi nieszczęściami niejako automatycznie nie poświęcił więcej uwagi na wydarzenia u sąsiadów. Jego twarz na powrót przybrała nieco depresyjnego wyrazu. Kiedy przechodził obok „budy” Staska, który składał stoisko popchnął go z premedytacją w momencie kiedy ten podniósł kilka dużych foremek z jajkami. Stasek upadł na plecy, azymane przez niego w rękach 180 jajek powypadało z foremek i zbombardowało mu – a jakże – twarz.

– Nie tylko ja mam dziś pechowy dzień – powiedział Kupczyk,

wsiadając do samochodu.

Zdenerwowany współnik Staska wybiegł z wnętrza pawilonu i zamiast zająć się kolegą, podniósł dwa nierozbite jajka i rzucił nimi w odjeżdżający samochód. Głuche uderzenie o tylną szybę Maciej skwitował wzruszeniem ramion. Skręcił w lewo w ulicę Szubińską i pojechał prosto do hotelu Trym.

Na parkingu było prawie pusto. Oprócz furgonetki należącej do hotelu parkowały tam tylko trzy samochody. Pośród nich nie było znajomego vw passata, co nieco go zaniepokoiło i zmusiło do ponownego przeanalizowania sytuacji. Wszak mógł jechać do innego hotelu, jednak po chwili przemyślenia uznał to za przyznanie się do winy. Skoro pojawia się tu, to znaczy, że nie ma nic do ukrycia, że jest niewinny. „Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni” – chwilę później przypomniał sobie starą maksymę, którą wyczytał w kryminałach. – „Ale ja przecież nie zabiłem ani wujka, ani tego gościa w szlafroku. To były wypadki” – skarcił się w myślach, otworzył drzwi i poszedł do hotelu.

– Witamy ponownie panie Kupczyk – przywitała go recepcjonistka, nieco podejrzliwie patrząc na jego podkrążone oczy i zmierzwione włosy. – Żle się pan czuje?

– Ja? Nie, po prostu jestem przepracowany. Za dużo emocji...

– Rozumiem. Niestety nie mogę pana położyć w tym samym pokoju, mieliśmy nad ranem nieprzyjemne zdarzenie i pierwsze piętro jest zamknięte. Zresztą policja z pewnością się do pana zgłosi, bo wzięli pańskie dane.

– Jakie zdarzenie?

– Kryminalne. Nic więcej nie mogę panu powiedzieć – kobieta spuściła wzrok – Proszę oto pańska karta, pokój numer 208, drugie piętro.

– A ci Francuzi, którzy spali koło mnie, to gdzie śpią? Pytam, bo w nocy strasznie hałasowali i nie chciałbym koło nich spać.

– Policja ich przesłuchiwała jak tylko wrócili do hotelu, po czym się wymeldowali i wyjechali.

– Wyjechali?

– Tak, dokładnie tak jak powiedziałam. Wyjechali.

Rozdział 44

Gösta pojechał pod dom wypożyczoną z wypożyczalni Herz skodą octavia. Spojrzał do góry, zgodnie z umówionym wcześniej znakiem żaluzja była odsłonięta w jednej trzeciej. Czyli sytuację można było uznać za „bezpieczną”. Zamknął wóz, pobiegł na piętro, gdzie w drzwiach stał już Lewi.

– Nie było mniej obciachowego koloru?

– Nie... To jedyne auto tej wielkości, jakie nie ma GPS.

– Będziemy wyglądać jak straż pożarna. A powinno być zupełnie odwrotnie. – Lewi zasiadł z powrotem do stolika gdzie ułożył wiele przedmiotów, z których powoli powstawała bomba.

– Zrobię tak, by losować miejsca wybuchu. Teraz jest wszędzie pełno kamer, nie będziemy ryzykować i za nim jeździć. Zresztą i tak nie mamy na to czasu. Ustawiam przed zapalnikiem licznik impulsów elektrycznych, a kiedy piąty raz włączy się prąd obwód się zamknie i bomba wybuchnie.

Gösta rozłożył mapę Polski kupioną na stacji paliw, później odszukał bazę paliwową numer 2 położoną nieopodal miasta w Nowej Wsi Wielkiej. Następnie obok niej położył mapę miasta Bydgoszczy – Dobrze. Ja z kolei już wiem jak zniszczymy budynek.

– Jak?

– Powiem ci później, bo jak zrobię to teraz to jeszcze nas z podniecenia przez przypadek wysadzisz. Nie mniej obiecuję, że będzie to wielkie widowisko, wielkie BUMM, takiego jakiego to miasto jeszcze nie widziało.

Kiedy usiedli w samochodzie obaj wyłączyli telefony komórkowe. Gösta wrzucił bieg i zaczął zawracać samochodem tak aby mógł wjechać w ulicę Jagiellońską. Kiedy to uczynił przejechali te same kilkaset metrów jakie pokonali dzisiaj rano pieszo w kierunku hotelu Trym. Tuż przy wjeździe na parking

zwoleń, a Lewi kawałek po kawałku lustrował parking – Stoi! – powiedział z entuzjazmem w głosie. Gösta objechał rondo i wjechał w ciemną ulicę Pestalozziego, gdzie po przejechaniu dwustu metrów zaparkował samochód w ciemnym miejscu. Obaj założyli na głowę czapki z długim daszkiem oraz kaptury. Przeszli trzy ulice dalej po czym zeszli w dół ulicy Wyszyńskiego w kierunku hotelu. Następnie skręcili w prawo aby w miejscu niedozwolonym przebiec przez ulicę. Teraz wszystko odbyło się jakby to były ćwiczenia w bazie w Hajfie. Gösta wszedł na parking pierwszy, rozpiął kurtkę i wyjął zza pazuchy automatyczny karabinek do paintballu marki Tippmann. W ułamku sekundy 3 kule rozbryznęły się na obiektywie kamery przemysłowej. Następnie pozostając w martwej strefie widzenia monitoringu oślepił w ten sam sposób pozostałe dwie kamery zewnętrzne i dał znak ręką Lewiemu. Sam zaś ukrył karabinek i stanął przy wjeździe na parking udając, że próbuje zapalić papierosa. W tym czasie jego parter obszedł volvo Kupczyka, i położył się pod przód pojazdu. Po mniej więcej trzech minutach wyszedł spod auta, a kiedy podszedł do partnera ten zapytał:

– Co tak długo?

– Długo? Kurwa, nie mogłem znaleźć żadnych kabli tak wszystko jest pochowane. Wpiąłem się w końcu pod byle co...

– Mam nadzieję, że nie pod kierunkowskaz, bo wybuchnie już przy piątym zaświeceniu się żarówek, albo nie pod tylny halogen, bo wybuchnie dopiero przy piątej mgle – zaśmiał się.

– Halogen wykluczony, ale nad kierunkowskazem bym nie dyskutował.

Obaj wrócili inną drogą do samochodu, następnie klucząc po osiedlowych ulicach przez kilka minut, wyjechali w zupełnie innej części miasta. W międzyczasie Gösta podał mapę Lewiemu, który bez najmniejszych problemów odczytywał poprawnie polskie nazwy i kazał się prowadzić wprost do Nowej Wsi Wielkiej gdzie mieściła się baza paliwowa numer 2. Jako że na zewnątrz panował niewielki mróz, a opady śniegu skończyły się dwa dni wcześniej szlabany w Nowej Wsi minęli już po dwudziestu minutach jazdy. Gösta na przystanku autobusowym

zawrócił i pognął z powrotem w kierunku Bydgoszczy.

– Co ty robisz? – zapytał Lewi, kiedy wyjechali ze wsi.

– Nie widzisz?

– No jak to nie widzę? Widzę i czuję. Zawróciłeś przed skrętem do celu.

– Nie patrzysz tam, gdzie trzeba. Co widzisz przed nami?

– Cysterna jedzie, no i co z tego?

– Wiezie mniej więcej 20 tysięcy litrów paliwa. I powiedz mi, czy podczas dzisiejszej wizyty w Veltronexie widziałeś jakieś zapory?

– Jeżeli chodzi o takie przeciw wdarciu się ciężkiego pojazdu, to nie widziałem.

– No i co o tym sądzisz?

– O kurwa! Jesteś genialny.

– No właśnie... od tak zwyczajnie przejedziemy cysterną przez płot. Budynek wydziału piątego znajduje się mniej więcej 200 metrów od parkingu dla samochodów osobowych. Jutro na spokojnie jeszcze raz wszystko dokładnie sprawdzimy przed atakiem. Następnie późnym wieczorem porwiemy cysternę, założymy pod nią dla pewności dwa ładunki zapalające z trzydziestominutowym opóźnieniem zapalnika i skierujemy ją rozpędzoną w budynek laboratorium. 20 tysięcy litrów paliwa wleje się przez powybijane okna, szyb windy, klatkę schodową. Jest więcej niż pewne, że większość paliwa w tym czasie spłynie do najniższego poziomu, a później wypierdoli w powietrze niczym Wezuwiusz!

– Łał! Poruczniku Gösta, widać, że płynie w panu szwedzka krew. Umiesz kalkulować na chłodno. Nie mniej 30 minut opóźnienia zapalnika to strasznie dużo... Naprawdę ma pan zimną krew – roześmiali się razem, wyprzedzili cysternę i pognali do siebie do mieszkania przy ulicy Krakowskiej.

Rozdział 45

18 grudnia

Yves gwałtownie zerwał się ze snu. Usiadł na łóżku i głośno dysząc i rozglądał się po niezbyt dużym pokoju hotelu City w Bydgoszczy. Spojrzał na zegarek w telefonie, na którym cyfry wyznaczały godzinę 8.33.

– Zły sen? Czy zmaza poranna? – zapytał przebudzony hałasem Timon.

– Nie, ale mam pomysł, jak bez większego obciachu i w miarę legalnie dostać się na teren Veltronexu. Przecież chyba nie myślisz, że uda nam się przeskoczyć przez dwa płoty, przy okazji ominąć czujniki ruchu i monitoring na płocie.

– Hm... każde urządzenie, jakie włączył człowiek, drugi człowiek może wyłączyć. Chcę jeszcze trochę poleżeć w ciszy, budzik mam na 9 opowiesz mi, jak wstaniemy. – Timon przewrócił się na drugi bok.

– Ale ja wiem, jak wejść do środka i niczego nie wyłączać. Sam widziałeś, że można, ale na to nie wpadłeś.

– Co ty gadasz?

– Przypomnij sobie, wczoraj ten gość w volvo wjeżdżał na teren zakładu, więc pomyślałem najpierw, że wjedziemy w jego bagażniku, ale szybko stwierdziłem, że to głupie. Lepszym pomysłem będzie, jeżeli ukradniemy mu to volvo i wjedziemy nim do środka. Wtedy wystarczy, że obezwładnimy jednego strażnika. Rozkład obchodów pozostałej ochrony, kody do alarmów w całym budynku, wykaz kamer wewnątrz zakładu dał nam pan Owsik. Resztę umiemy sami otworzyć albo rozbroić.

– Ciekawe rozwiązanie i całkiem logiczne. – Timon oparł się na łokciach w łóżku.

– Super, że ci się podoba. To jeszcze możemy sobie poleżeć – zakomunikował Yves, a jako że jak nikt inny znał swojego kuzyna, uśmiechnął się z przekorą i położył się z powrotem do

łóżka.

– Zwariowałeś?! Teraz już nie zasną. Idziemy na śniadanie!
– Timon spojrział na zegarek – Z pewnością jest już w drodze do pracy, no cóż, pojedziemy pod Veltronex. Jak tylko wyjedzie z roboty, będziemy go śledzić, zobaczymy, gdzie mieszka, gdzie parkuje na noc. Jak zaśnie, podprowadzimy mu furę. Musimy zabrać cały ekwipunek, resztę zaplanujemy sobie po drodze.

Timon ostrożnie wjechał na parking Veltronexu. Ponieważ było już późno wszystkie miejsca w pierwszym rzędzie parkingu, umożliwiające obserwację biurowca i bramy wjazdowej były zajęte. Wszystkie oprócz miejsca dla inwalidy, które to wykorzystał od razu.

– Nie ma samochodu – powiedział Yves, przykładając małą lornetkę do oczu. – Dziennikarze dalej stoją pod budynkiem.

– Kurwa mać, pewnie sobie poczekamy. Mam nadzieję, że nie wyjechał na święta.

Kiedy piętnaście minut później, pod budynek podjechała taksówka, obaj przyłożyli lornetki do oczu. Zanim drzwi do taksówki otworzyły się, samochód otoczyło przynajmniej dwudziestu reporterów z kamerami i aparatami fotograficznymi w dłoniach. Kupczyk w końcu wyszedł z auta, poczekał, aż taksówka odjedzie, i zaczął rozdawać promienne uśmiechy.

– Jest dokładnie odwrotnie, jak zakładaliśmy, przyjechał bez samochodu. Może mu się zepsuł?

– Raczej się nachlał wczoraj i przyjechał taksówką – skomentował Timon.

– Kurwa mać! Że też nie wiemy, gdzie mieszka. Czekamy, aż będzie wracał?

– Myślę, że teraz jakiś czas będzie w firmie. W końcu przyjechał do pracy. Spokojnie możemy jechać na dobre śniadanie do miasta. Wrócimy tu po godzinie 12 i poczekamy.

Rozdział 46

– Szanowni państwo! – zaczął mówić do zgromadzonych przed bramkami dziennikarzy prezes Kuciak. – Zapewne każdy z państwa ma pytanie do naszego najlepszego pracownika. Żeby nie demolować nam wszystkich zaplanowanych na dzisiaj zajęć, zapraszam wszystkich dziennikarzy na konferencję prasową, która odbędzie się dosłownie za pięć minut w naszej auli na drugim piętrze. Proszę przechodzić kolejno przez bramki.

W zakładowej auli wszystko było uprzednio przygotowane do konferencji prasowej. Dla prasy przygotowano ustawione w rzędy stoliki z krzesłami. Na każdym stoliku postawiono termosy z kawą i herbatą oraz jakieś tandetne ciasteczka z dżemowym kleksem na środku. W prezydium na środku jako gwiazda dnia, tygodnia, miesiąca, roku, dekady, a może półwiecza zasiadł Maciej Kupczyk, po jego bokach zasiedli prezes z dyrektorem. – Jako że jestem gospodarzem tego jakże miłego dla nas wszystkich spotkania, pozwolę sobie zabrać głos jako pierwszy – odezwał się Kuciak, po czym przysunął się bliżej blatu i zaczął powoli mówić do mikrofonu. – Kiedy trzy lata temu przyjmowałem osobiście do pracy tego oto młodego człowieka, widziałem, że jest w nim coś wyjątkowego. I nie chodzi mi tylko o tę szlachetną krew, jaka płynie w jego żyłach, chodzi mi także o jego zaangażowanie i niezwykłą wręcz inteligencję. Ostatnio, tuż przed urlopem, a w zasadzie już w czasie czasu wolnego, bo musicie wiedzieć, drodzy państwo, że pan Kupczyk jest bardzo pracowity... tego ten... I dzięki tej jego pracowitości, dzięki Maciejowi Kupczykowi udało się nam wykryć lukę w zabezpieczeniu bezpieczeństwa energetycznego zakładu. W brawurowy sposób pan Maciej wykrył lukę w zabezpieczeniu, my poprawiliśmy błąd i już nigdy nie staniemy przed sytuacją braku zasilania... nieprawdaż... no dobrze. Ja tu opowiadam o naszych sprawach, a państwo zapewne nie chcą mnie już dłużej słuchać, tylko zadawać pytania. Tak więc bardzo proszę,

zaczniemy. Pierwsza pani z Radia ET.

– Może zacznę od żartu – odezwała się mocno pokryta „tapetą” blondynka. – A później zadam drugie, już bardziej konkretne pytanie: Gdzie to piękne volvo, którym przyjechał pan wczoraj, zepsuło się?

– Oczywiście, że się nie zepsuło – zaczął mówić bardzo śmiałym tonem Maciej. – Kiedy zszedłem rano na parking, okazało się, że nie mam powietrza w kole. Ponieważ miałem umówione spotkanie z państwem, nie miałem czasu na wezwanie assistance. Zamówiłem taksówkę i tyle – uśmiechnął się czarująco.

– To może powie nam pan, ile konkretnie odziedziczył i czy pana życie bardzo się zmieniło?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, ile odziedziczyłem dokładnie, ale z pewnością więcej, niż jestem w stanie wydać. Jeżeli chodzi o zmiany w życiu, to chciałem powiedzieć, że od dwóch dni nie włączałem telefonu komórkowego, bo dzwoni non stop. Nigdy też nie miałem tylu zaproszeń do znajomych na Facebooku, zaproszenia przychodzą od ludzi, którzy nie są moimi znajomymi, nawet ich nigdy nie widziałem. Myślę, że to początek zmian w moim życiu, dobry czas nadchodzi.

– Może jakieś konkretne przykłady tych zmian? Choć jeden, bardzo prosimy – wtrącił natychmiast dziennikarz z pierwszego rzędu.

– Bardzo proszę. Wczoraj zgłosiła się do mnie na przykład mama Małgosi z porażeniem mózgowym i rozszczepionym kręgosłupem. Postanowiłem im pomóc... I tak sobie myślę, że przez kilka dobrych uczynków moje życie zmieni się na lepsze i sam stanę się przez to jeszcze lepszym człowiekiem niż jestem nim obecnie.

– Teraz pani z kremowym mikrofonem – prezes pokazał na roślą kobietę z pofarbowanymi na rudo włosami.

– Maria Mikus, Radio Burza. W kwestii samego spadku, ja mam takie pytanie odnośnie do pana rodziców: Czy nie jest tak, że to pana rodzice, a dokładnie matka, powinni dziedziczyć spadek w pierwszej kolejności?

– No cóż, po prostu jestem sierotą. Zresztą nawet gdyby moi rodzice żyli i tak liczy się testament, a ten nie pozostawia żadnych złudzeń. Jestem jedynym spadkobiercą fortuny Larsa Stigsona.

– Teraz pan pod oknem – prezes wskazał na dość młodego mężczyznę, który w rękę trzymał staromodny notes ze wsadzonym między kartki metalowym długopisem.

– Podkomisarz Trzeciak Interpol. Zgłosiła się do nas szwedzka policja z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu okoliczności śmierci pańskiego pradziadka. Jak wiadomo, jego śmierć nastąpiła w wyniku szoku anafilaktycznego, po podaniu mu przez pana cukierka.

– Jakiego szoku? Nie rozumiem?

– No właśnie ja też nie rozumiem, szwedzka policja także. Jeżeli można to chciałbym z panem po konferencji porozmawiać...

– Ależ oczywiście, z pewnością wszystko się wyjaśni – powiedział dyrektor Marcuk.

– Jest jeszcze sprawa alarmu bombowego w szpitalu Capio Saint Göran's Hospital, który miał miejsce tydzień temu...

– Bardzo pana proszę o zachowanie powagi – tym razem prezes Kuciak dał wyraz swojemu niezadowoleniu. – Co mi pan tu na konferencji z jakimś szpitalem wyjeżdża! Proszę zadawać pytania z sensem, państwo się wysiła, bardzo proszę.

Maciej zaparł się stopami o nogi metalowego krzesła tak mocno, że z wysiłku czuł, jak zaczynają drżeć mu wszystkie mięśnie. Przynajmniej przez dziesięć sekund zbierał myśli i starał się za wszelką cenę wyciszyć. Kiedy szeroko uśmiechnął się i chciał sprytnie zripostować drugą część wypowiedzi policjanta jakiś mężczyzna siedzący tuż przed nim w pierwszym rzędzie odezwał się nieprzyjemnym przypominającym dźwięk szlifierki głosem:

– Proszę pana, my jesteśmy z komendy wojewódzkiej – tu pokazał na siedzącego obok niego grubasa – chcieliśmy porozmawiać o morderstwie, dokładniej o zwłokach znalezionych na promie do Szwecji. Płynął pan wtedy tym promem i bawił się z polsko-szwedzką parą, którą później

znaleziono zamordowaną.

W tej chwili w Macieja jakby wstąpił diabeł. Wstał z krzesła, oparł się rękoma o biurko, spojrzął w oczy policjanta i wyrecytował:

– Tak, zgadza się, płynąłem promem do Szwecji tak samo jak kilkaset innych osób. O tym, że doszło do zabójstwa na promie, dowiedziałem się dopiero, kiedy wracałem do Polski. Jeżeli chcecie mnie państwo przesłuchać, proszę przysłać na mój adres wezwania na przesłuchanie, a nie sobie tu szopkę przed telewizją robicie. Normalnie tak byście nie zrobili, ale jak człowiek zarobił już parę groszy i jest rozpoznawalny, to widowisko medialne produkujecie. Jesteście z Hollywood czy z policji? Tak wygląda policyjny profesjonalizm? No, chyba że jestem zatrzymany, to bardzo proszę.

Na sali zapanowała całkowita cisza. Maciej cały czas stał oparty o blat stołu dłońmi i lustrował zaintrygowane, zdumione twarze obecnych na sali dziennikarzy. Kiedy otworzyły się drzwi i do środka zajrzało dwóch młodych mężczyzn, Kupczyk zmierzył ich od stóp do głów i rzucił w ich stronę:

– Panowie na konferencję?

– Raczej nie. Jesteśmy z komendy miejskiej i szukamy pana Kupczyka w sprawie śmiertelnego zajścia wczoraj rano w hotelu Trym. Od wczoraj próbujemy pana przesłuchać.

– Synku, co tu się dzieje? O co chodzi z tą policją, co ty żeś ludziom nakłamał, że w telewizorze jesteś? – policjanci rozstąpili się, a zza ich pleców wyszła matka Macieja i ze łzami w oczach zaczęła przyglądać się zgromadzonym na sali ludziom ze sprzętem – Ło mój Bosze... Cóżes ty najlepszego narobił! Ludzie nie wierza mu, to mój syn! Nie jakiś tam pół-Szwed! To Polak jest!

Pot wystąpił na dłoniach Macieja tak nagle, że stracił on podparcie na blacie i z pozycji „na Duce” przeszedł do ślizgu w kierunku znajdujących się poniżej prezydium stołów dla dziennikarzy. Ostatnią rzeczą jaką zapamiętał była właśnie noga od takiego stołu.

Ocknął się na kozetce u higienistki. Otworzył szeroko oczy, wsparł się na łokciach i głęboko zaczerpnął powietrze. Oprócz pielęgniarki w gabinecie przebywał tylko dyrektor Marczuk.

– No żyje pan!?

– Jeszcze minuta i wzywalibyśmy pogotowie – powiedziała higienistka i pomogła mu usiąść na kozetce. – Tym razem się obeszło, ale ostatnio jak pana widziałam to przyjechało i pogotowie i policja.

– Dziś policja też była – odparł Kupczyk.

– To wszystko się na pewno wyjaśni. Nie przejmowałbym się tą sytuacją na pana miejscu. Gdyby faktycznie coś na pana mieli siedziałby pan już w areszcie – trysnął wazeliną Marczuk.

– Na szczęście nic na mnie nie mają.

– Na szczęście? – prychnęła pielęgniarka. – Pan akurat to szczęścia w ogóle nie ma i jeszcze przynosi nieszczęście innym. Do końca życia nie zapomnę, jak załatwił pan panią Agatkę.

– To raczej pani Agatka załatwiła mnie. A teraz zwalniam panią – powiedział Maciej, a kiedy w gabinecie zapanowała konsternacja, wstał jakby nigdy nic, przyłożył sobie do głowy kompres i wyszedł.

– Co on miał na myśli? – zapytała zaskoczona pielęgniarka.

– To, co pani słyszała. Pan Kupczyk panią zwolnił, a ja zapraszam za trzydzieści minut do działu HR – powiedział Marczuk, wybiegł na korytarz, żeby jak najszybciej dogonić Macieja.

– Co z tą kobietą podającą się za moją matkę? – rzucił w eter, kiedy usłyszał za sobą kroki dyrektora.

– Kazaliśmy ochronie wszystkich wyprosić, ją także.

– Bardzo dobrze. Nie wyobrażam sobie, że na teren zakładu może wejść każdy i powiedzieć, że jest moją matką czy ojcem. Przecież to zakład zamknięty – powiedział i nacisnął klamkę w drzwiach do sekretariatu, wyszczerzył na ułamek sekundy zęby do asystentki Oli i napał na drzwi do gabinetu prezesa.

– Niestety, pierwsza konferencja nie wypadła najlepiej – zaczął od progu. – Muszę przyznać, że jestem co najmniej nierozsądny.

Od przyjazdu właściwie nie włączałem telefonu! Nie wiedziałem, że mój pradziadek zmarł, ja tu bąki zbijam, a tam pewnie czekają na mnie z pogrzebem!

– Pan siada, panie wiceprezesie Kupczyk. Takie rzeczy się zdarzają. Sam często wyłączam telefon, żeby mieć spokój. Całkowicie to rozumiem, choć faktycznie moment, w którym pan to zrobił jest niefortunny – powiedział i skinął głową na dyrektora handlowego.

– Wiceprezesie pan powiedział? – Kupczyk uśmiechnął się lekko.

– Niech to będzie przez pana odebrane jako gest naszej dobrej woli. Przecież razem będzie nam się lepiej zarządzało Veltronexem – powiedział prezes.

Drzwi od gabinetu niespodziewanie otworzyły się i stanęła w nich piękna sekretarka prezesa Kuciaka. Uśmiechnęła się i wysunęła przed siebie rękę, w której trzymała słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Bardzo przepraszam, ale na dole znajduje się delegacja ze Szwecji do pana Kupczyka. Jakiś pan Fersen i trzy osoby towarzyszące.

– Trzy osoby towarzyszące? Do mnie?! – Kupczyk aż wstał od stołu. Nagłe, nieprzyjemne uczucie lęku kolejny raz tego dnia przeszło jego ciało.

– Zna pan pana Fersena? – zapytał prezes.

– Oczywiście, to mój adwokat... człowiek, który uprzednio pracował dla mojego pradziadka – odrzekł hardo. – Nie wiem z kim przyjechał ale myślę, że jest z nim pani Janina, prawniczka i tłumaczka.

– Proszę, niech ochrona przyprowadzi wszystkich do mnie do gabinetu. To będą nasi goście honorowi! Proszę o przygotowanie napojów i niech ktoś jedzie do Sowy czy Staropolskiej po ciastka – powiedział do panny Oli, która natychmiast oddaliła się do wyznaczonych zadań. – Jak śmiem przypuszczać, to delegacja w sprawie przejęcia przez pana spadku panie wiceprezesie Kupczyk.

– Też tak sędzę – powiedział Marczuk, który wstał od stołu

konferencyjnego i wyprostowany jak struna zaczął zapinać guziki w marynarce.

– Ja z kolei nie mam pojęcia o co chodzi, nie mniej przypuszczam, że mogą mieć panowie rację – powiedział niepewnie zdenerwowany do granic możliwości Maciej. Jego umysł balansował pomiędzy euforią a wizją całkowitej klęski, jaka towarzyszyła mu od wczoraj. W jego głowie bowiem niepewnie, ale skutecznie zaczęła kiełkować myśl, że jednak w jakimś niesamowitym zrzędzeniu losu, jakimś cudownym przypadkiem, Lars Stigson tuż przed śmiercią zapisał mu więcej niż rzucone w dżentelmeńskiej umowie 200 tysięcy euro, a może i cały majątek. Jeżeli tak się stało, wszystkie problemy rozwiązałyby się same. Długi wraz z odszkodowaniem zostałyby spłacone, sprawy policyjne za sprawą adwokatów i pieniędzy zamknięte, a zarządzanie Veltronexem stałoby się faktem. Zemsta na znieawidzonej części pracowników dopełniłaby się zgodnie z jego marzeniami. Błysk tej ostatniej myśli rozjaśnił nieco jego oblicze, a wizja przyjęcia nędznych „dwóch stów” oddaliła się. Szybko z kieszeni wyjął tabletkę cloraxenu, którą pogryzł razem z wyjętym ze szklanki słonym paluszkiem. Kiedy trzy minuty później w sekretariacie dało się słyszeć dialogi w języku szwedzkim wstał od stołu, wziął głęboki wdech i zachowując się jak gospodarz rozłożył szeroko ramiona ruszył na powitanie gości.

– Witam was serdecznie! – odezwał się słodkim jak miód głosem na widok mecenasa Fersena i Janiny, którzy stali w wejściu do gabinetu.

– Dzień dobry – odezwali się chórem i bez zbędnych słów oraz okazywania emocji weszli w głąb gabinetu. Za nimi do wszedł nieznany Maciejowi osobisty sekretarz Larsa Stigsona pan Erik Svensson oraz Britta Andersson, ta sama, którą widział w hotelu w Sztokholmie. Dziewczyna podeszła do Macieja, objęła go czule i pocałowała w usta.

– Dzień dobry, przystojniaku, jeszcze dwa dni temu mogłabym założyć się, że nie żyjesz – szepnęła mu do ucha.

– Nie wiem, czy nie byłoby lepiej – odparł.

– Dla mnie z pewnością byłoby lepiej – odparła i zaczęła mówić już całkiem głośno. – Przywiozłam ci laptopa, ponoć zostawiłeś go podczas audycji w radiu. Przywiózł go posłaniec, nie ukrywam, że go włączyłam. Wydaje się być całkiem nowy, nic w nim nie ma – uśmiechnęła się, wyjęła spod pachy macbooka i podała go Kupczykowi, który zaskoczony spojrział na lśniący przedmiot pożądania. Dokładnie taki sam jaki dzień wcześniej skradziono mu z domu. – Czyń honory, przedstaw nas kolegom – powiedziała i podeszła do stołu.

Chwilę później po dokonaniu przedstawienia się wszystkich obecnych pani kadrowa Makowska oraz asystentka wniosły do gabinetu dwie tace z kawami, herbatą w termosie oraz stosem przepysznych ciastek.

Dyrektor Marczuk, gestem oraz delikatnym pociągnięciem za rękaw dyskretnie wyprowadził prezesa z gabinetu do sekretariatu. Przymknął drzwi i scenicznym szeptem zwrócił się do przełożonego:

– Zadzwoń do mnie teraz na komórkę! Dzwon no już!

– Ale po co?

– Kurwa, dzwoń!

Kuciak wybrał numer, po chwili iPhone w rękę dyrektora Marczuka zadzwonił, a ten odebrał połączenie. Dla pewności przyłożył telefon na moment do ucha i schował go do kieszeni.

– Nie rozłączaj się. Zostawię mój telefon w gabinecie, a my wyjdziemy. Niech sobie pogadają, bez nas będą szczerzy i nieskrępowani. W tym czasie pójdziemy do mnie do gabinetu, zrobimy sobie kawę i będziemy sobie słuchać.

– To może być kluczowe, doskonały plan – włożył telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym wrócili do środka.

– Moi drodzy goście – zaczął mówić, aby dać czas Marczukowi na ukrycie telefonu. – Mamy z dyrektorem handlowym taką propozycję, żeby państwo omówili swoje sprawy, a my w tym czasie wrócimy do swoich obowiązków. Jeżeli będziemy potrzebni proszę posłać po nas pannę Olę.

– Tak, uważam, że tak będzie najlepiej – powiedział Marczuk, który ułamek sekundy wcześniej położył telefon w doniczce

z ogromnym fikusem.

Po tej pełnej empatii i zrozumienia scenie, kiedy wszyscy, a zwłaszcza Maciej przyjęli tę propozycję z uśmiechem, prezes Kuciak oraz dyrektor Marczuk opuścili gabinet i udali się do ustalonego wcześniej miejsca, mecenas Fersen spojrział wymownie na pozostałych i zaczął bardzo powoli artykułować swoje myśli.

– Od trzech, a w zasadzie od czterech dni nie ma z panem kontaktu. Pan Stigson zmarł w wyniku szoku, jakiego doznał jego organizm po zjedzeniu pańskiego podarunku...

– A skąd ja mogłem wiedzieć, że jest uczulony na polskie czekoladki?! – Maciej uznał, że najlepszą opcją w tym momencie jest atak. – Przecież w moim interesie było, żeby żył przynajmniej do końca naszej umowy.

– Od wyjaśnienia tej kwestii jest policja i prowadzone przez nią śledztwo. Przybyliśmy tutaj wszyscy, bowiem ostatnim testamentem, jaki zostawił pan Lars Stigson był dokument, w którym zdecydowaną większość swojego majątku zapisał obecnej tu Britcie Alvie Andersson. Nie mniej w trakcie naszego wspólnego pobytu na wyspie Tranholmen pan Stigson przekazał mi przy świadkach ten oto list adresowany do pana, który zobowiązałem się odczytać po jego śmierci.

– To nowy testament? – powiedział niepewnie, jednak z ledwie skrywanym uśmiechem na ustach Kupczyk.

– No właśnie z uwagi na fakt, że może to być ostatnia wersja testamentu Larsa Stigsona, nie mogliśmy z panem sekretarzem przystąpić do wykonywania spadku. Zgodnie ze złożoną obietnicą muszę go odczytać przy świadkach.

Po tych słowach zapadła w pokoju nieprzyjemna cisza. Britta, która do tej pory trzymała fason i co by nie powiedzieć z dużą wprawą ukrywała emocje zaczęła przygryzać wargi, a jej lewa noga zaczęła podskakiwać obijając się łydką o nogę od krzesła. Maciej natomiast przełożył laptopa z kolan na stół, położył na nim ręce i zaczął go tak mocno ścisnąć, aż jego dłonie zrobiły się białe. W tym czasie mecenas Fersen wyjął z teczki kopertę wykonaną z drogiego, czerpanego papieru opatrzoną lakową

pieczęcią rodową rodziny Stigson. Wstał od stołu i trzymając kopertę oburącz przeszedł wokół stołu pokazując każdemu nienaruszoną pieczęć, co każdy z obecnych skwitował kiwnięciem głowy. Odczekał moment, jeszcze raz spojrzął po wszystkich i zgiął kopertę na pół. Pieczęć wydała z siebie ostatnie tchnienie i pękła na kilka części krusząc się przy okazji na postawione przed adwokatem ciastko czekoladowe. Maciej z nerwów wykonywał ruchy rękoma, jakby chciał zwinąć laptopa w rulon.

– Szanowni państwo, strony zainteresowane, pani Britto, panie Matieniu przystępuję do czytania listu tudzież testamentu. Będę czytał po szwedzku pojedynczymi zdaniami, a panią Janinę proszę, żeby tłumaczyła od razu na język polski – rozłożył złożoną na trzy części kartkę i zaczął czytać:

„Mój drogi przybrany wnuku Macieju. Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy w szpitalu i próbowałeś mi wmówić, że spółkowałem z twoją prababcią udało ci się rozbawić mnie do łez... niemal do łez. Niestety popłakałem się dopiero kiedy zostałem sam i uświadomiłem sobie, że odchodzę z tego świata nie pozostawiając potomka. W tobie zobaczyłem siebie samego jakim byłem w młodości, szalonego, nietuzinkowego chłopaka. Jednak ty musisz o każdy grosz walczyć, a ja zawsze miałem pieniędzy więcej niż można sobie wyobrazić. I cóż z tego skoro tak jak pisałem powyżej odejdę z tego świata nie pozostawiając potomka? Można powiedzieć „los tak chciał”, ale ja losowi zawsze się stawiałem, więc i tym razem postanowiłem się postawić. Jak pamiętasz umówiliśmy się, że będziesz odgrywał swoją rolę tylko przez rok. Jednak po dłuższej chwili, po głębokim przemyśleniu wszystkich „za” i „przeciw” stwierdziłem, że może powinienem spłatać wszystkim figla i faktycznie dać tobie nowe życie, a moje za twoją sprawą przedłużyć. Pod warunkiem, oczywiście, że przyjmiesz moją nową propozycję. Drogi Macieju, dokładnie po czterech godzinach myślenia postanowiłem zapisać cały, ale to cały mój majątek właśnie tobie, biednemu chłopakowi z Polski...”.

– Aaaaaa! Ty gnoju! – wrzask o niewypowiedzianym brzmieniu

rozległ się w gabinecie, a Britta nie zważając na porozstawiane ciasta oraz serwis kawowy, rzuciła się przez długi na trzy metry stół, chcąc wyrwać z rąk mecenasa Fersena kartkę papieru. Maciej, który siedział z rozanieloną miną, w ostatniej chwili zasłonił mecenasa własną pierśią. Następnie odwrócił się i ugryzł Brittę z całej siły w przedramię. Od tego między spokojnymi z natury Szwedami rozgorzała prawdziwa walka o ocalenie ostatniej woli Larsa Stigsona. Dopiero silne uderzenie mosiężnym wazonem w tył głowy wyprowadzone przez panią Janinę jako tako przywróciło spokój. Niejako za karę, dochodzącą do siebie Brittę posadzono za biurkiem prezesa, a żeby była całkowita pewność, że nie rzuci się ponownie na mecenasa stała przy niej na straży pani Janina trzymając w ręku „gotowy do użycia” wazon wykonany z łuski po pocisku przeciwlotniczym.

– Ja was kurwa jeszcze wszystkich załatwię. Zobaczycie. Wszystkich co do jednego was załatwię – mówiła pod nosem Britta, rozmasowując sobie guza na głowie.

Maciej oraz sekretarz Svensson uprzątnęli ze stołu porozrzucane artefakty, po czym zasiedli na swoich miejscach, jednak żaden z nich nie spuszczał z oczu Britty. Mecenasa Fersen wyjął zza pleców troskliwie chowaną przed zniszczeniem kartkę papieru, położył na stole przed sobą i oznajmił:

– Czytam kolejne zdanie, tym razem proszę trzymać fason pani Britto. – pochylił się nad kartką i zaczął odczytywać ciąg dalszy listu.

„... Jednak kiedy podjąłem decyzję o uczynieniu ciebie moim jedynym spadkobiercą i ucieszony siedziałem w łóżku pisząc ten oto list, przyszedł do mnie pan Alf, któremu zleciłem dogłębne sprawdzenie twojej osoby. Kiedy opowiedział co ustalił za pośrednictwem szwedzkiego Interpolu serce mi pękło. Pracujesz podobno w Veltronexie w firmie, która została mojej rodzinie skradziona najpierw przez Trzecią Rzeszę, później przez PRL, a po upadku komunizmu przez Narodowy Fundusz Inwestycyjnym. Teraz muszę swoich praw muszę dochodzić w sądzie, walcząc z nieuczciwymi biznesmenami z Polski, którzy odkupili wcześniej skradzioną mojej rodzinie firmę właśnie od

skarbu państwa. W mojej ocenie są zwykłymi paserami, a paserstwo jest w Szwecji karane więzieniem. Tak więc mój drogi zakładam, wręcz jestem pewien ponad wszelką wątpliwość, że przysłał cię do mnie zarząd Veltronexu aby za twoim pośrednictwem okraść mnie po raz kolejny. Drogi chłopcze, nie dostaniesz ode mnie już nic, nie dostaniesz nawet tych umówionych 200 tysięcy euro, niech ci teraz twój zarząd i akcjonariusze zapłacą to co właśnie straciłeś. Brzydzą się tobą i przeklinam cię, bo złamałeś mi serce. Mecenasiu Fersen proszę nie płacić temu chamowi i oszustowi ani jednego euro. Mój poprzedni testament pozostaje w mocy. Podpisano Lars Stigson” – w obawie o zachowanie Macieja ostatnie trzy zdania powiedział z pamięci, na wszelki wypadek chowając list do kieszeni.

Kupczyk już od kilku sekund przestał „rolować” laptopa. Otworzył pokrywę, raczej w odruchu niż z konieczności włączył go jakby chciał nagle sprawdzić coś ważnego, po czym skrył się za nim ledwie mogąc powstrzymać łzy. Kiedy ostatnie zdanie przeczytane przez Fersena zostało przetłumaczone przez panią Jankę, Kupczyk wstał od stołu, zasłonił dłońmi napływające do oczu łzy i wybiegł z gabinetu. W sekretariacie minął się z biegnącymi prezesem Kuciakiem oraz dyrektorem Marczukiem, którzy ominęli go niemal tak jak omija się gównem i weszli do gabinetu. Tymczasem Maciej przebiegł przez korytarz, wpadł do łazienki i zamknął za sobą drzwi na zamek. Usiadł na toalecie i wybuchł histerycznym głośnym płaczem.

– To nie jest tak jak jest napisane w tym liście! – krzyczał od progu gabinetu prezes Kuciak.

– Nic podobnego. Ten chłopak to sam wymyślił, on już tu nie pracuje! Właśnie go wyrzucamy na bruk... – powiedział drżącym głosem dyrektor Marczuk i zamknął za sobą drzwi.

– Porozmawiajmy chwilę. To nie jest tak jak pozornie wygląda, żaden z akcjonariuszy nic o tym nie wiedział. Nikt o tym nie wiedział! Jeszcze raz powtórzę, że to samowolne działanie tego młokosa.

Obaj mężczyźni usiedli do stołu, patrzyli po twarzach

szwedzkiej delegacji, szukając jakiegokolwiek nici porozumienia. Jednak w pokoju panowała grobowa cisza, którą zakłóciło ciche syczenie. Wszyscy spojrzeli po sobie szukając źródła dźwięku. Kiedy oczy wszystkich skierowały się na otwarty przez Kupczyka laptop, z obu jego stron, z gniazd USB wystrzeliły z sykiem pod dużym ciśnieniem dwa siwe, gęste obłoki środka bojowego A-232. Wszyscy znajdujący się w pokoju w ciągu kilku sekund padli na wykładzinę powyginani w nienaturalne pozy. Po chwili rozpad układu nerwowego wprawił ich ciała w drgawki, a z ust zaczęła się toczyć piana, która następnie przybrała kolor różu, a jeszcze później szkarłatu. Cisza w pokoju zamieniła się odgłosy łapczywych prób złapania ostatniego oddechu przez porażony trucizną organizm. Kiedy trzy minuty później sekretarka Ola otworzyła drzwi po substancji bojowej A-232 nie było już w powietrzu śladu.

Wezwano policję. Bystry funkcjonariusz z wydziału kryminalnego, który przybył na miejsce zdarzenia powiadomił wywiad wojskowy i zarządził natychmiastową ewakuację całego budynku. Kupczyka znaleziono skulonego w toalecie. Kurczowo trzymał się klozetu i mimo gróźb oraz prób łagodnej perswazji nie chciał go puścić. Kiedy policjanci próbowali go wyciągnąć na zewnątrz łapiąc za ręce i nogi dostał napadu szału, w którym siły mięśni podnosi się do potęgi drugiej. Koniec końców zużyto dwa pojemniki gazu łzawiącego, żeby wydostać go z kabiny, po czym wrzucono go do tyłu radiowozu i zawieszono do piątego komisariatu policji na Wyżynach gdzie znajdował się tak zwany policyjny dołek.

Nieco później do Veltronexu przyjechali przedstawiciele wywiadu wojskowego, którzy po dokonaniu inspekcji, oprócz personelu ewakuowanego wcześniej biurowca, nakazali wszystkim pozostałym pracownikom opuszczenie zakładu. Dodatkowo utworzono strefę bezpieczeństwa poprzez zamknięcie ulicy dojazdowej do zakładu. Pieczy nas strefą specjalną strzegły dwa plutony żandarmerii wojskowej oraz drużyna zabezpieczenia chemicznego. Oprócz wojska do zakładu przyjechało kilkunastu specjalistów od broni biologicznej

i chemicznej. Strefa zamknięta wokół Veltronexu przypominała teraz okolice Czarnobyla po eksplozji reaktora elektrowni atomowej.

Rozdział 47

Kiedy wjechał do ładnie odnowionego ścisłego centrum Bydgoszczy, Timon zaczął się nerwowo rozglądać po ulicach, obracać za siebie i wiercić na fotelu.

– Coś cię frapuje?

– Nie. Mieliśmy zjeść śniadanie, więc szukam jakiejś knajpy. Jakbyś się przyłączył, może byłoby łatwiej.

– A może pojedziemy po prostu do KFC?

– Francuzi do KFC w Polsce? I to twoim zdaniem jest to dobre śniadanie? A nie croissant z dżemem i kawa?

– Jest prawie 11, za moment będą wydawali lunch, więc może pójdziemy jednak na łatwiznę?

– No dobrze, włącz w Googlach miejsce, gdzie jest KFC i jakaś cukiernia – powiedział Timon i skręcił w prawo i wjechał w ulicę Jagiellońską. Wkrótce nawigacja kazała im jechać prosto. Chwilę później okolica wydała im się znajoma, minęli ulicę Krakowską i dojechali do świateł koło hotelu Trym. Kiedy samochód zwalniał, Yves spojrzał w prawo, odprowadzając wzrokiem budynek oraz parking.

– Jest! Timon zawracaj na rondzie. Volvo stoi na parkingu!

– Ale mamy szczęście! Kto by pomyślał, że stoi pod hotelem, mogliśmy się o to założyć – powiedział i nacisnął pedał gazu.

Zaparkowali tuż obok czarnego volvo. Timon spojrzał przez boczną szybę na przebite przednie koło i pokiwał głową.

– Teraz jest jasne, dlaczego przyjechał taksówką. Nie ma powietrza w przednim kole.

– To napompujemy. Wysiadaj.

Chwilę później Yves wyjął z bagażnika laptopa ze specjalnym oprogramowaniem i otworzył volvo, łamiąc w mniej niż dwie minuty wszystkie fabryczne zabezpieczenia. Na „grande finale” zdalnie odpalił silnik. Zanim auto się nagrzało, wyjęli zestaw naprawczy i napompowali koło. W czasie kiedy Timon składał sprzęt Yves przerzucił torby z ekwipunkiem do bagażnika,

następnie między nie włożył plastikową torbę z głową Helmuta.

– Zapomniałeś? – Timon otworzył drzwi od passata i wyjął z za siedzenia torbę z pół miliona euro, jakie dostali od pana Pędraka dwa dni wcześniej. – Lepiej takich rzeczy nie zapominać kuzynie – powiedział i rzucił torbę w Yves’a, który włożył ją do bagażnika i trzasnął klapą.

– No to teraz możemy jechać na śniadanie – skomentował Yves, zapinając się w pasy.

– Wreszcie zbliżamy się do końca, trzeba powiadomić o tym wujka Arnauda. Spróbuj się do niego w międzyczasie dodzwonić, a jak nie odbierze dzwoni do szpitala.

Samochód ruszył do tyłu. Timon wykręcił o 180 stopni, skierował wóz w kierunku wyjazdu. Niestety tuż przed końcem parkingu musiał się zatrzymać, żeby przepuścić gościa hotelowego ubranego w błękitną kurtkę i ciągnącego za sobą równie błękitną walizkę. W pewnym momencie gość skręcił w ich stronę, wyjął z kieszeni papierosa i uśmiechnął się. Podszedł do drzwi, a kiedy to zrobił szarpnął niespodziewanie klamkę tylnych drzwi i zanim kuzyni zdążyli zareagować, znalazł się w środku. W ułamku sekundy w jego ręku pojawił się pistolet, który wypalił w momencie, kiedy intruz zamykał drzwi. Kula trafiła Yves’a w dłoń.

– Ty nie krzyczysz, a ty powoli ruszasz – Roberto powiedział po polsku na co kuzyni odpowiedzieli wiązką francuskich przekleństw i gróźb. – Niestety musimy rozmawiać po angielsku. Prosiłem o ciszę – powiedział ponownie, a ponieważ kuzyni zaczęli grozić mu teraz po angielsku, strzelił Yves’owi w tę samą rękę jeszcze raz. Tym razem w aucie zapanowała całkowita cisza. – Bardzo dobrze. Powtórzę jeszcze raz – odezwał się jałowym, pozbawionym uczuć głosem Roberto. – Ty ruszasz i jedziesz przed siebie, a ty nie krzyczysz. Mam do was parę pytań. Tak?

– Tak – wycedził przez zaciśnięte szczęki Yves.

– No to dobrze – Roberto wygodnie rozparł się w tylnym fotelu i spojrzał na przejeżdżający ulica Jagiellońską nowoczesny tramwaj.

Timon włączył kierunkowskaz i czekał, żeby włączyć się do

ruchu. Kiedy zielona strzałeczka kierunkowskazu zaświeciła się piąty raz wcisnął pedał gazu i ruszył.

Recepcjonistka hotelu z pożądaniem patrzyła na piękne, czarne volvo, które majestatycznie ruszało z miejsca. Samochód wyjechał na ulicę i zniknął jej z oczu kiedy wjechał na rondo. Dziewczyna uśmiechnęła się sama do siebie i spojrzała w monitor wracając do pracy. Ogromny huk wystraszył ją tak mocno, że aż podskoczyła na krześle i zamknęła oczy. Siła fali uderzeniowej była tak duża, że szyby wygięły się do środka. Sekundę później wielka dziewiętnastocalowe koło ze znaczkiem firmowym volvo wybijając uprzednio szybę spadło na jej biurko demolując przy okazji znaczną część recepcji. Przerażona dziewczyna otworzyła oczy i zaczęła krzyczeć. Poraniona od szkielec i drzazg z rozbitego biurka pobiegła przed siebie w kierunku restauracji. Smród spalonej gumy z tłącej się opony, rozszedł się momentalnie po hotelowym lobby.

Rozdział 48

Maciej siedział oparty plecami o zimną ścianę celi zatrzymań. Jego umysł mimo wysiłków nie potrafił zatrzymać, czy choćby uspokoić gonitwy myśli krążącej wokół próby przywołania z pamięci tego niesamowitego uczucia, kiedy dowiedział się przy stole, że został miliarderm. Zamiast tego jego mózg złośliwie potrafił odtworzyć tylko dwa zdania napisane w liście: „... Mecenasiu Fersen, proszę nie płacić temu chamowi i oszustowi ani jednego euro. Mój poprzedni testament pozostaje w mocy. Lars Stigson”.

– A było tak blisko! Co za pech! – powiedział, kiedy usłyszał dźwięk odsuwanej zasuw w stalowych drzwiach.

Drzwi otworzyły się i zobaczył za nimi tunel z folii oraz trzech żołnierzy ubranych w przezroczyste maski przeciwgazowe z pochłaniaczami po bokach. Całości tego spektaklu grozy dopełniały białe, foliowo-gumowe kombinezony ze znacznikiem BIOHAZARD, w które ubrani byli mężczyźni. Dwóch z nich trzymało w dłoniach pistolety maszynowe Glauberyt, a trzeci kajdanki.

– I to wszystko przez to, że chciałem wyłudzić spadek?! – przełknął głośno ślinę.

Maciej z wrażenia całkowicie zwiotczał. Bez najmniejszych problemów skuli jego nadgarstki kajdankami, a kolejną parą kajdanek żołnierz przykuł jego ręce do swojej dłoni. Kiedy wyszli z celi i przeszli przez tunel wyłożony folią, Maciej zreflektował się, że cała komenda została pokryta specjalną matową folią i jakimiś czujnikami. Po drodze stanęli obok dwóch mężczyzn, również w ubraniach ochronnych, którzy stali nad jakąś metalową skrzynką z wyświetlaczem cyfrowym. Jeden z nich wyciągnął ze skrzynki coś na kształt małego mikrofonu i przytknął to Maciejowi do policzka, później do czoła i do dłoni. Spojrzał na odczyt i skinął głową. – Możecie iść, jest czysty – powiedział.

Funkcjonariusze zaprowadzili Macieja wijącym się po komendzie niczym dżdżownica tunelem do czegoś na kształt słuzy tlenowej. Tam wszyscy zostali opryskani jakimś preparatem, po czym weszli do obszernego pokoju, wewnątrz którego został rozstawiony namiot, mniej więcej taki, jaki Kupczyk widział na filmie „E.T.”. Wewnątrz namiotu siedziało dwóch mężczyzn. Jeden po cywilnemu z policyjną blachą na łańcuszku, a drugi w mundurze wojskowym w stopniu kapitana. Konwojujący Kupczyka żołnierze najpierw zdjęli maski z głów, dwóch z bronią stanęło w gotowości do strzału i dopiero wtedy jedna para kajdanek została zdjęta.

– Siad! – wrzasnął trzeci z nich i popchnął Macieja w kierunku stojącego przed biurkiem krzesła.

Maciej usiadł nieco niepewnie i spojrzał ze strachem na otaczających go mężczyzn w wojskowych mundurach. Jego broda, mimo że bardzo sobie tego nie życzył, delikatnie drżała, a dłonie splecione z tyłu kajdankami drżały, jakby miał zaawansowanego parkinsona.

– Panie Kupczyk, zanim przejdziemy do spraw bardziej poważnych – odezwał się policjant – mógłby pan łaskawie nam wyjaśnić, dlaczego zamordował pan panią Britte Andersson, pana Fersena, Kuciaka, Marczuka i innych?

– Ale jak zamordowałem... Kuciaka? – Maciej otworzył szeroko oczy i jednocześnie zwiesił dolną szczękę, która mimo tego nie przestała drżeć.

– Jak pan to zrobił, to my raczej już wiemy. Chcemy wiedzieć jeszcze dlaczego? Dla kogo pan pracuje?

– Czemu panie Kupczyk? Czemu obojętnie, gdzie się pan pojawi, wszyscy giną?

– Co pan gada za głupoty? Ja rozumiem, że chcecie mnie złamać, ale w to, że akurat oni nie żyją, nie uwierzę. Zresztą jak wychodziłem z pokoju, wszyscy mieli się świetnie. Ja pobiegłem do ubikacji! Pani sekretarka Ola z pewnością wszystko potwierdzi.

– Pani sekretarka ani niczego nie potwierdzi, ani nie zaprzeczy. Obecnie znajduje się w szpitalu psychiatrycznym... na

obserwacji.

– Można powiedzieć, że doprowadzasz dziewczyny do szaleństwa – zażartował policjant, wziął z biurka stos zdjęć i podszedł do Kupczyka. – A to poznajesz? Twoje volvo? – podsunął pod jego nos zdjęcie z wysadzonym samochodem. Następnie kolejne, na którym widać było poszarpane wybuchem kawałki zwłok Yves'a, Timona oraz jakiegoś nieznanego mężczyzny ubranego w błękitną kurtkę.

– Można również powiedzieć, że ludzie lubią się rozerwać w twoim samochodzie.

– Kurwa mać! Panowie, o co tu chodzi?! To jakiś fotomontaż? Co nie?

– Skąd miałeś laptopa z bombą wypełnioną gazem bojowym? Skąd u ciebie Nowiczok?! – wrzasnęła kapitan.

– Jaki Nowiczok? Ja nie znam nikogo z Rosji. Żadnego Rosjanina nie znam i żaden u mnie nigdy nie mieszkał. Jak to u mnie Nowiczok? Kto to taki?

– A jak myślisz, skąd te folie, te namioty, śluzы bezpieczeństwa?

– Nie wiem skąd? Pewnie z magazynu jakiegoś je przywieźliście. Przecież chyba nie chcecie mi wmówić, że ja tę folię tu rozwiesiłem.

Policjant i kapitan Wojska Polskiego spojrzeli na siebie. Pierwszy pokręcił głową, a drugi bezradnie wrzucił ramionami.

– Nie udawaj głupiego! Przecież nikt nie wie lepiej niż ty, że Nowiczok, czy jak go tam chemicy nazywają A-232, to rosyjski gaz bojowy. Zresztą nawet jakbyś nie wiedział, wystarczy, że się nim posłużyłeś. Właśnie to typuje cię jako szpiega GRU.

– Nie zapytam tylko o jedno, skąd miałeś w bagażniku torbę z pół miliona euro. Bo to akurat jest dla mnie jasne... pierdolony szpiegu miliardrze – zdjęcie z torbą wypchaną paczkami z pieniędzmi rzucił Kupczykowi pod nogi.

– To nie moja torba – odparł zaskoczony. – Jakie pół miliona euro u mnie w bagażniku? Niby skąd? To nie moje!

– A to też nie jest twoje? – policjant pokazał kolejną fotografię, na której w rozchylonej foliowej torbie w bagażniku wysadzonego volvo leżała zamrożona głowa Helmuta.

– To twój samochód... nie poznajesz?

Maciej odwrócił wzrok. Zamknął oczy, wziął głęboki wdech, żeby zyskać trochę na czasie. Jednak jego mózg w stresie nie potrafił znaleźć żadnej racjonalnej odpowiedzi.

– Rozpoznajesz go? Znasz go?

– Nie znam nikogo, kto ma tak zmarzniętą głowę i jeździ w bagażniku.

– Uważasz, że jesteś taki zabawny? Taki kurwa śmieszny?

– oficer odwrócił laptopa ekranem do Kupczyka. Na monitorze widać było zapis z kamery zamontowanej na korytarzu hotelu Trym. Monitoring nagrał, jak Kupczyk idzie za człowiekiem ubranym w czerwony szlafrok, wchodzi na chwilę do jego pokoju, a następnie z niego wybiega.

– Wiesz, co to oznacza? – W tej chwili policjant podetknął pod nos Kupczyka zdjęcie wykonane przez policyjnego technika na hotelowym balkonie.

– Kamera wcześniej nagrała, jak ten drugi wchodził do ciebie do pokoju i nigdy z niego nie wyszedł, nazywał się Miedzianowski. Mówi ci coś to nazwisko?

– A to zdjęcie? Poznajesz ten pistolet z tłumikiem? – policjant uderzył Kupczyka w brzuch, a kiedy ten zgiął się w pół, wepchnął mu do ust zdjęcie – znaleźliśmy go w twojej kurtce w sekretariacie. Jakby Nowiczok nie zadziałał, chciałeś ich zastrzelić? No powiedz! Zaraz naszprycujemy cię narkotykami, to wszystko nam...

Krzyk policjanta w tym momencie został przerwany przez głośny dźwięk dzwonka jednego z telefonów komórkowych leżących na stole. Kapitan podniósł telefon do ucha, po pięciu pierwszych słowach usłyszanych od rozmówcy zrobił się błądy.

– Nie wiem, czy ciebie dobrze zrozumiałem, możesz powtórzyć – powiedział do słuchawki.

– Panie kapitanie! Melduje się porucznik Marchewka, przed chwilą cysterna z paliwem szarżowała na nasz posterunek.

– I co?

– Melduję posłusznie, że ją ostrzelaliśmy. Jak zaczęliśmy walić, to kierowca chciał wyskoczyć, ale jak wyskakiwał, to zaczepił się

nogą o schodek i zginął. To znaczy na płocie go rozdarło, jeszcze flaki wiszą.

– Aaa...

– A cysterna to przejechała przez ten płot właśnie i uderzyła w jakiś budynek na zakładzie. Na szczęście nic się nie zapaliło, mimo że rozszczelniła się jak franca. Cały czas paliwo z niej leci.

– Strzelaliście do cysterny?! – Kapitan starał się uspokoić oddech.

– Tak jest! Na szczęście nie trafiliśmy. Kierowca włączył wszystkie światła, oślepiło nas, nie wiedzieliśmy, że to cysterna, dopóki nas nie minęła...

– Macie wszyscy szczęście, że nie wybuchła. Wołajcie staż pożarną, niech zabezpieczą rozlane paliwo. Jakież straty? Żadnych panie kapitanie. Mamy za to tego drugiego.

– Jakiego drugiego?

– No tego, co siedział koło kierowcy w tej cysternie.

– O kurwa mać! W jakim jest stanie?

– Normalnie panie kapitanie. Kapral Łyżwiński tylko go lekko obił, zanim dobiegłem, ale szef zrozumie... chwilę wcześniej prawie Łyżwińskiego przejechali. Poza tym jednym podbitym okiem to gość jest nówka.

– Czyli jest z nim kontakt?

– No niby jest. Mówi po naszymu, ale jakoś tak dziwnie zaciąga. Jednak jak się wdać w szczegóły, to dekiel jakiś chyba, albo to po tym wstrząsie...

– Co konkretnie?

– No mówi, że jest dyplomatą z Izraela i złoży na nas skargę. Mówię, że debil jakiś panie kapitanie.

– Niech go ktoś natychmiast do mnie przywiezie! I wołajcie tę straż pożarną. Ruchy Marchewka, ruchy! – Rozłączył połączenie, przyłożył telefon do piersi i kiwnął do policjanta. – Chodź na zewnątrz, muszę ci to wszystko opowiedzieć... na osobności.

Dłuższą chwilę później obaj wrócili do namiotu przesłuchań. Policjant usiadł za biurkiem, a kapitan przyglądał się

Kupczykowi, starając się tym wymownym milczeniem wyrzec na nim jak największe wrażenie.

– Tak sobie teraz posiedzimy i poczekamy, aż przywiozą twojego kolegę...

– Nie wiem, o czym pan do mnie mówi. Którego kolegę?

W zasadzie to ja w ogóle nie mam kolegów, nikogo nie mam.

– I tak zmądrzejesz. Jeśli nie damy sobie rady, zabiorą cię Amerykanie do Guantanamo. Wszystko sobie przypomnisz, będziesz miał całe lata na składanie zeznań – kapitan włączył swój ulubiony utwór w aplikacji Spotify w telefonie i zasiadł z powrotem za biurkiem.

Zanim Kazik zakończył śpiewać piosenkę pod tytułem „Przesłuchiwałem całą noc”, starszy strzelec wyprowadził do foliowego namiotu skutego z przodu kajdankami Lewiego Cajmera. Siniak pod okiem zgodnie z tym, co mówił porucznik Marchewka, nie był zbyt duży. Lewi najpierw dokładnie rozejrzał się po pomieszczeniu, do którego wprowadzono, później spojrzał na twarze żołnierzy, policjanta oraz siedzącego na krześle po lewej stronie Macieja Kupczyka. Mimo że widział go tylko przez szybę samochodu, jak opłukiwał volvo z ptasich odchodów i raz na zdjęciu pokazanym mu jeszcze w Sztokholmie, rozpoznał go natychmiast.

– Jestem izraelskim dyplomata, a w tej ciężarówce, w tej cysternie znalazłem się wbrew własnej woli. Zmuszono mnie do wejścia do niej, zostałem porwany – mówił i podniósł ręce z kajdankami wyżej, jakby chciał zwrócić uwagę na niewłaściwe traktowanie. – Bardzo proszę mnie uwolnić i pozwolić zadzwonić do mojej ambasady w Warszawie – kiedy skończył zdanie, był już bardzo blisko biurka i wyciągnął ręce do leżącego na blacie telefonu.

– Gdzie te łapy! Siadać mi tu kurwa! – wrzasnął konwojujący go sierżant.

Lewi cofnął się o pół kroku, niespodziewanym i dobrze wyćwiczonym ruchem złapał leżący na stole jednorazowy długopis, obrócił się na pięcie i całym ciężarem ciała wyprowadził cios w gardło Macieja. Kiedy uderzył drugi raz,

strażnik trzymający w ręku pistolet maszynowy Glauberyt wystrzelił. Seria z trzech wystrzałów przerwała zamieszanie. Nieżywy Lewi zwałił się u stóp swojej ofiary. Maciej nawet nie bronił się przed nadchodzącą śmiercią, nie starał się zahamować krwotoku z tętnicy szyjnej, nie wykonał żadnego ruchu. Siedział z odchyłoną do tyłu głową, oddychał, głośno świszcząc i patrzył w foliowy sufit namiotu. Zanim skonał, oprócz wrzasków i przekleństw usłyszał jeszcze dochodzący z biurka dźwięk telefonu.

– Taaak! – wrzasnął do słuchawki kapitan.

– Porucznik Marchewka mówi. Panie kapitanie! Panie kapitanie! Wszystko wyjechało!

– Co ty mówisz? Co wyjechało?!

– Cysterna i ten budynek, w który wjechała. Wyjechało jak Wezuwiusz! Wszystko wkoło się pali! Słyszysz mnie pan?! Halo?!